

A woman with her back to the camera, wearing a red, lace-trimmed dress and a pearl necklace. She is looking out at a large sailing ship on the sea under a dark, starry night sky. The text is overlaid on the right side of the image.

SARA  
SHERIDAN

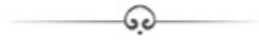
— ❦ —  
INTRYGA  
PASJA  
CZEKOLADA  
— ❦ —

*Na  
gwiazdzystych  
morzach*



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SARA  
SHERIDAN



*Na  
gwiazdzistych  
morzach*

PRZEŁOŻYŁA  
Maria Bialek





*Dedykuję tę książkę kobietom,  
które walczyły i walczą o zmianę.  
Występującym w naszym imieniu feministkom.*

*Ci, którzy odwiedzają obce krainy, ale przestają jedynie w towarzystwie swoich rodaków, poznają nowy klimat, lecz nie zwyczajnie [...] przekraczają nowe południki, lecz spotykają tych samych ludzi i wracają do domu z głową tak pustą jak ich kieszenie, z wyczerpanym wożami ciałem i nieskazanym podróżą umysłem.*

– Charles Caleb Colton, Lacon

## PROLOG

OKOLICE VALPARAÍSO, Chile, 1823

Świtało. W coraz jaśniejszym świetle poranka drzewa chyliły się kołysane podmuchami nietypowego dla tej pory roku wiatru. Maria Graham<sup>[1]</sup> stała w saloniku chatki, w której mieszkała przez ostatni rok. Gdy uklękła przed kominkiem, spódnica jej szarej sukni podróżnej zamiotła drewnianą podłogę. Kobieta zapatrzyła się w puste palenisko. „Angielska dama nie powinna mieszkać sama tak daleko od miasteczka” – często słyszała te słowa. Ale ona kochała ten dom. Kiedy tylko zobaczyła tonące w kwiatkach ściany, poczuła, że to właściwe miejsce. Tutaj mogła swobodnie rozkładać swoje papiery na siedziskach foteli albo na kupce obok łóżka. Tutaj mogła jeść i jednocześnie studiować rozrysowaną na pergaminie mapę chilijskich wyżyn. Mogła ukontentowana siedzieć na werandzie i chłonać otaczającą ją zieleni. Tutaj wreszcie miała okazję doświadczyć trzęsienia ziemi. Z piórem w dłoni badała zakres zniszczeń. Odnotowanie wstrząsów było kwestią triangulacji.

Zdawała sobie sprawę z tego, co mówią w Valparaíso. „To nie jest normalne. Angielska wdowa to dziwaczka”. Ale nie dbała o to. Konsul zamęczał ją propozycjami odesłania do domu. Dla jej bezpieczeństwa. Ciotka, czcigodna lady Dundas, zasypywała ją listami, w których z gniewem, bo nie da się inaczej tego określić, domagała się, by Maria wróciła do Londynu. „Jesteś teraz wdową, Mario. Twoje miejsce jest tutaj – nalegała. – Kobieta nie może podróżować samotnie. Jesteśmy wielce zażenowani Twoim postępowaniem”. Maria rozpałała ogień. Choć dopiero dniało, już panowała duchota. Potem usiadła i spokojnie obserwowała tłący się papier – dwadzieścia dwie strony dziennika, nazbyt osobiste, by je zachować. Świadectwo jej żałoby po Thomasie. Grube kartki najpierw zaczęły się skręcać, w końcu zapłonęły. Po chwili dorzuciła listy od ciotki.

Z drugiej strony chatki dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Maria rozgarnęła popiół, aby upewnić się, że w kominku nie pozostał żaden ślad po przykrych słowach, po czym wstała i wygładziła nieistniejące zagniecenia na spódnicy. Po chwili do pokoju weszła służąca – pulchna dziewczyna z pobliskiej wsi, o gładkiej skórze koloru imbiru. Dobrze dbała o dom. Rozpłakała się, gdy Maria powiedziała jej, że wyjeżdża. Teraz dygnęła, gotowa stawić czoła wyzwaniom ostatniego dnia.

– Mężczyźni przyjdą po nie później – powiedziała Maria, wskazując głową piętrzące się kufry i walizy, potem sięgnęła po portmonetkę, wyjęła monetę i podała służącej. Ciemne oczy dziewczyny zaszkliły się, jakby znów miała zacząć płakać, ale Maria nie chciała na to patrzeć. W korytarzu założyła kapelusz, podniosła bukiet śnieżnobiałych róż, które zebrała, jeszcze nim weszło słońce. Przerośnięte krzewy stanowiły spadek po poprzednim mieszkańcu chatki. – Ktoś przyjdzie po klucz – dodała.

Na miejsce przywieźli ją dwaj młodzi oficerowie z „Doris” – bryczką, którą wynajęła od stajennego w Valparaíso. Matkowała im przez trwającą niemal rok podróż z Anglii, Thomas był dla nich jak ojciec. Teraz podeszła do czekającego na nią konia. Róże włożyła do jednej sakwy, w drugiej umieściła swój cenny manuskrypt na temat Chile, który pisała przez rok żałoby. Dosiadła konia po damsku i ruszyła wyciętym w lesie traktem. Służąca obserwowała ją z zacienionej werandy. Gdy podniosła rękę w geście pożegnania, Maria jej odmachała.

Już po chwili jazdy równym kłusem Maria nie widziała domu. Jej policzki poróżowiły, owiewane ciepłą wiosenną bryzą tańczącą między gałęziami. Brakowało jej tchu. Tylko podróż potrafi sprawić, że krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Tylko podróż potrafi nakarmić duszę. A Maria była urodzonym podróżnikiem. Dziś miała wypłynąć na drugi kraniec kontynentu. Gęsty drzewostan tworzył rozmazaną plamę zieleni, co jakiś czas zastępowały go pola uprawne. Była już niedaleko wierzchołka wzgórza. Na horyzoncie morze kusząco lśniło. W widocznym w oddali, tętniącym życiem parnym porcie roilo się od marynarzy, tu i ówdzie poniewierały się liny, bloczki, ruchome drzewce, zdemontowane maszty. Jeden z zacumowanych tam statków miał zabrać Marię w pierwszy etap jej podróży, ale przedtem musiała coś jeszcze zrobić.

Stadko ptaszków poderwało się z otaczającego miasteczko muru i odleciało w stronę morza; przypominało tańczący na wietrze skrawek ciemnego jedwabiu. Niebo miało kolor niezapominajek. Słońce paliło. Maria jechała skrajem traktu biegnącego coraz bliżej zaokrąglonego szczytu na terenie wyschniętego na wiór cmentarza. Na pogrzebie Thomasa pojawiło się kilka osób z lokalnej brytyjskiej społeczności i cała załoga „Doris”. Dwóch młodszych marynarzy, jedenastoletnich chłopców, popłakiwało. Naprawdę minął tylko rok? Miała wrażenie, że to wszystko działo się tak dawno temu daleko stąd.

Wątła bugenwilla pięła się po trzech kredowobiałych nagrobkach przy bramie. Maria ciągle nie mogła złapać tchu. Z trzepoczącym w piersi sercem przywiązała konia i sięgnęła po róże. Furka zaskrzypiała, gdy ją popchnęła. „Komandor Thomas Graham” – napisano na grobie jej męża. Wciąż nie zdołała się przyzwyczaić do myśli, że go nie ma. Wiele lat wcześniej, kiedy w Bombaju zmarł jej ojciec, dzieliły ich tysiące kilometrów. Wiadomość o jego śmierci nadeszła pocztą kilka tygodni po fakcie. „Mario, jesteś bardzo dziwnym, wyobcowanym stworzeniem – strofowała ją lady Dundas, jakby to zamykanie się córki w pokoju, by opłakiwać śmierć ojca,



stanowiło z jej strony przejaw egoizmu. – Wszyscy jesteśmy pogrążeni w rozpacz” – dodała, pociągając nosem. Mimo to nie przerwano obiadu, a ciotka martwiła się głównie o odpowiedni strój z czarnego jedwabiu. Maria za to nigdy nie wybaczyła sobie tego, że nie towarzyszyła ojcu w jego ostatnich chwilach. Kiedy Thomas żegnał się z tym światem, trzymała go za rękę. Chciała być przy nim i właściwie odegrać swoją rolę. Gdy w końcu zamknął oczy na wieczność, osunęła się na podłogę. Statek trzeszczał wokół niej, a ona siedziała pogrążona w kontemplacji. Dopiero po godzinie poinformowała starszego oficera o tym, co się stało – miała niezbywalne prawo do opłakiwania tej śmierci i nie zamierzała z niego rezygnować. Położyła kwiaty na żółtej ziemi, wyprostowała się i na moment zastygła. Nie łudziła się, że wróci do Valparaíso.

– Żegnaj – powiedziała stanowczym tonem, odwróciła się i odeszła.

W mieście Maria odwiedziła swoją jedyną przyjaciółkę – panią Campbell, Hiszpankę, która poślubiła jednego z osiadłych w Valparaíso szkockich kupców. Rosa Campbell rozumiała ból Marii. To ona poprowadziła czuwanie nad zwłokami Thomasa. Nie zapytała Marii, kiedy zamierza opuścić Chile. Zaglądała tylko do niej, pozwalając nieśpiesznie dojść do siebie. „Jest pani dla mnie taka miła” – powiedziała któregoś razu Maria i uśmiechnęła się blado. „Jestem pani wielbicieleką – przyznała pani Campbell. – Przeczytałam wszystkie pani książki. Co za wspaniałe przygody, zawsze mam wrażenie, że podróżuję razem z panią”.

Służąca zaprosiła Marię do środka. Wewnątrz panował przyjemny chłód. Campbellowie posadzili w ogrodzie kapryfolium i teraz w zacienionym budynku unosił się zapach angielskiego lata. Maria stała nad biurkiem z żółtodrzewu, wdzięczna, że mogła na chwilę uciec przed skwarem. Przystąpiła z nogi na nogę, po czym sięgnęła po gęsie pióro zanurzone w kałamarzu. Przy tym biurku Rosa Campbell sporządzała domowy budżet. Maria nigdy nie prowadziła domu dla Thomasa albo kogoś innego. Większość żon oficerów po prostu czekała na mężów, ale nie ona – ona zawsze podróżowała w towarzystwie Thomasa albo sama. On doglądał brytyjskich interesów, ona opisywała miejsca, które odwiedzali.

Obcasy satynowych pantofelków zastukały po wyłożonej kafelkami podłodze, gdy Rosa Campbell weszła do pokoju.

– Pani Graham. – Przytuliła swoją przyjaciółkę. – Dziś?

Maria pokiwała głową.

Kobiety usiadły.

– Herbaty? – zaproponowała Rosa, choć zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu, gdyż pani Campbell przyswoiła sobie zwyczaje panujące w ojczyźnie męża.

Służąca pośpieszyła do kuchni, kiedy rozległo się pukanie. Po chwili wróciła do pokoju z wizytówką zapowiadającą przybycie brytyjskiego konsula. Maria westchnęła zrezygnowana. Rosa wzruszyła ramionami. Valparaíso nie było dużym ośrodkiem.

Konsul wmaszerował wyraźnie zadowolony z siebie i uklonił się paniom. Rosa dygnęła, Maria jedynie skinęła głową.

– *Madam*, czy uczyni mi pani uprzejmość i pozwoli w końcu zorganizować powrót do domu? – zapytał, nie owijając w bawełnę. Miesiącami wyczekiwał na wyjazd Marii i wreszcie ten dzień miał nadejść.

– Ależ, *sir*, dlaczego sądzi pan, że udaję się do Londynu? – Maria udała zdziwienie.

– Przecież wyprowadziła się pani z posiadłości, pani Graham – zapieklił się konsul. – Spakowała. – Wieści naprawdę rozchodziły się tutaj bardzo szybko.

Służąca pojawiła się z herbatą. Porcelanowe filiżanki zabręczały, kiedy stawiała tacę na stoliku.

– Dziś przypada rocznica śmierci mojego męża – oświadczyła Maria. Zabrzmiało to patetycznie, ale wydawało się, że okazja tego wymaga. – I zamierzam wyjechać – dodała. – Ale nie do Londynu.

Rosa podniosła czajniczek i zaczęła rozlewać napar. W głębi duszy bawiła się znakomicie. W jej opinii skołowany urzędas nie dorastał Marii do pięt.

– A czy zechce pani zdradzić, dokąd zmierza, pani Graham? To nie jest bezpieczne ani odpowiednie dla kobie...

Maria uniosła dłoń obleczoną w rękawiczkę.

– Do Brazylii, *sir*. Pan Murray poprosił mnie o napisanie książki poświęconej Brazylii.

Maria nieco minęła się z prawdą. Sama zaproponowała ten temat Johnowi Murrayowi, ale nie chciała jeszcze wracać do domu.

Konsul nie wiedział, jak zareagować. Pani Graham była mu solą w oku, jednak czuł się odpowiedzialny za samotną Brytyjkę. Z drugiej strony w Brazylii znajdzie się poza jego jurysdykcją.

– Czy była już pani w Brazylii? Zna ją pani?

– Ależ nie, *sir*. Jednakowoż mam plany. Moje mapy. Na tym polega cała przyjemność, z pewnością pan to rozumie.

– Napiszę zatem list polecający – oznajmił konsul.

– Dziękuję – powiedziała, lekko skłaniając głowę. John Murray zdążył już zaopatrzyć ją w kilka takich listów, ale nie wypadało odmawiać.

Konsul spojrział na tacę.

– Obowiązki wzywają – oznajmił i wstał. – Chciałem tylko panią pożegnać, pani Graham.

– To bardzo uprzejme z pana strony.

Gdy drzwi się zamknęły, kobiety odczekały chwilę, a potem wybuchły niepowstrzymanym

śmiechem.

– Nadęty dureń – stwierdziła Rosa z rzadką dla niej zuchwałością.

Maria sięgnęła po filiżankę.

– Jak sądzę, nie da się nic na to poradzić – powiedziała dyplomatycznie, choć w głębi serca czuła satysfakcję, że się go pozbyła. I w gruncie rzeczy wcale nie skłamała. W końcu Murray czekał na manuskrypt.

---

[1] Sara Sheridan dokonała wielu zmian w życiorysie Marii Graham oraz pozostałych przywołanych w książce realnych postaci, o czym informuje w posłowniu. Zachęcam do poznania prawdziwych dziejów lady Calcott, rodzin Dundasów i Fryów, a także Thomasa i Kitty Cochrane'ów, Johna Murraya i Augustusa Calcotta – są równie fascynujące. Zachowano wszystkie poczynione przez autorkę zmiany oraz nieścisłości historyczne i nie opatrzone ich przypisami (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

## WSCHODNI LONDYN

Old Street Bridge Club mieścił się na pierwszym piętrze niewielkiego budynku usytuowanego naprzeciwko Rose Tavern. Należące do niego dwa pokoje sprzątała i zaopatrywała Betty Wylie, udająca młodką wiekowa gospodyni tawerny. Pani Wylie co miesiąc zostawiała na łupkowym gzymsie nad kominkiem starannie złożony rachunek, który niezwłocznie regulowano w gotówce.

W klubie czuło się stabilność i władzę. Atmosferę podkreślały ściany wyłożone boazerią, skórzane fotele i pokryty specjalnym sukmem luksusowy stół do gry w karty. Powietrze było ciężkie od stęchłego dymu stanowiącego pamiątkę po późnonocnych cygarach, którymi znakomici członkowie nieśpiesznie raczyli się podczas ostatnich rozdań. Wiaderko pełne pustych muszli ostryg leżało w kącie porzucone, pozostawiane gdzieś pojedyncze skórzane rękawiczki albo jedwabne fulary świadczyły o tym, że goście przybywali tutaj z zachodniej części miasta, gdzie życie było bogatsze, a dobra jakość owocowała napiwkami. Pani Wylie miała nadzieję, że kiedyś tam zamieszka, albo przynajmniej w pobliżu.

Klub gwarantował pełną dyskrecję. Nie był powszechnie znany. Z zewnątrz niczym się nie wyróżniał, wyglądał jak wiele innych budynków w zapuszczonych uliczkach ciągnących się z dala od głównej drogi. Na sfatygowanych drzwiach nie zawieszono żadnego szyldu, który ogłaszałby światu istnienie tej „jaskini dżentelmenów”. Okiennice trzech zapyziałych okien zawsze były zamknięte i zabezpieczone żelaznymi sztabami. Czasami, gdy pani Wylie pokonała zapuszczony chodnik i otwierała drzwi, widziała, że nikogo nie było przez całą noc. Innym razem wszędzie walały się karty i puste butelki po porto. Członkowie klubu nie zachowywali się przewidywalnie, ale jedno było niezmiennie – brak kobiet. Ani jedna tandetnie wypacykowana lafirynda z pobliskiego Shoreditch<sup>[2]</sup> nie przestąpiła progu klubu, ani jedna z urodziwszych kurewek łajdaczących się na obrzeżach Mile End Road<sup>[3]</sup>. Nie wszczynano też awantur – raz tylko roztrzaskano fotel.

„Łatwe pieniądze” – powtarzała sobie pani Wylie. Poza domem o klubie nie wspominała. Matka jej męża dokładnie poinstruowała ją w tym zakresie. Stara Pani Wylie zostawiła lokal pod opieką syna i jego rodziny, a sama udała się do nadmorskiego kurortu w Kent, gdzie postanowiła

spędzić ostatnie lata życia. Niestety, przed wyjazdem zapomniała powiedzieć, jak długo klub działa, ale sprawiał wrażenie wiekowej instytucji – takiej, która po prostu jest. Jak Hampton Court<sup>[4]</sup> w górze rzeki czy wspaniały pałac Whitehall<sup>[5]</sup>. Zresztą nikt nigdy o to nie pytał.

Tego rzeńskiego wiosennego popołudnia, zbyt wcześnie, by dżentelmeni zajmowali swoje miejsca wokół stołu, pewien wysoki mężczyzna, najwyżej dwudziestopięcioletni, przeprawił się na drugą stronę ruchliwej ulicy. Will Simmons zdążył z daleka – w Falmouth złapał przeładowany powóz i przez trzydzieści sześć godzin telepał się na jego dachu obok podskakujących na wybojach kufrów. Ostatnie kilka kilometrów w Londynie pokonał na piechotę. Mijał ławice gazeciarzy wykrzykujących tytuły z pierwszych stron dzienników, ale nie zwracał uwagi na nagłówki informujące o nagłym powstaniu w oddalonej o tysiące kilometrów Brazylii. Will nigdy nie nauczył się czytać, a poza tym to, co działo się za granicą, nie miało dla niego znaczenia. Nieporuszenie maszerował w stronę Mallow Street.

W końcu dotarł do budynku, w którym mieścił się klub, dotknął na chwilę schowanego w kieszeni noża, potem wyciągnął klucz ukryty w kapeluszu i otworzył drzwi. Kiedy wspinał się po zapuszczonych schodach na pierwsze piętro, ciemność rozpraszały załamane wiązki światła wpadające przez dziurkę od klucza. Pokój, do którego wszedł, zajmował całą długość budynku. Tańczące w palenisku bursztynowe płomienie zalewały go słabym światłem. Na dębowym stole czekały chleb i ser. Płomień świec zdrzął, gdy Will rzucił się na jedzenie, jakby głodował przez tydzień. Szybko osuszył szklaneczkę porto i zaraz nalał sobie następną. Tym razem wnikliwie studiował bukiet douro.

Trzask zamykanych na dole drzwi sprawił, że z nożem w ręce zerwał się na równe nogi. Na schodach zadudniły kroki. Gdy w zacienionym progu stanął niski, pulchny starszy mężczyzna, Simmons odetchnął z ulgą i odprężył się.

– Chryste – powiedział przybysz ze szkockim akcentem. – Wszystko w porządku, Will?

Simmons pokiwał głową.

– Trochę się uświłem. – Uśmiechnął się. Miał niski głos i akcent zawieszony niczym moczary Essexu<sup>[6]</sup>, gdzie chowała go rodzina matki.

– Masz to?

– Mam.

Will sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął owiniętą w płótno kostkę wielkości cegły i położył na stole obok sera. Choć z zasady nie był ciekawski – w jego fachu groziło to śmiercią – zerknął do środka. Ostatecznie zdecydował, że lepiej nie głowić się, dlaczego blok czekolady miałby być wart tyle zachodu. Jeśli jego zleceniodawcy mieli ochotę sprowadzać z Ameryki bloki czekolady i płacić mu za osobiste dostarczanie ich do Londynu, mieli do tego prawo. Klasa wyższa wiedziała, jak dbać o swoje interesy; on nie musiał tego robić za nią.

Pulchny mężczyzna z namaszczeniem oparł hebanową laskę o jeden z foteli. Jej rączkę zdobiła srebrna główka lisa – nierzucająca się w oczy, ale charakterystyczna. Podniósł „cegiełkę” i obrócił ją. Oczy mu błyszcząły.

- Wspaniale. Dobra robota, chłopcze.
- Obawiam się, że mam złe wieści, *sir*.
- Stawiał opór? – zapytał mężczyzna, wzdychając.

Will pokręcił głową i wyjął nóż. Nie musiał nic mówić – na ostrzu widniały ślady zakrzepłej krwi.

- Próbował zwędzić. Pieprzony złodziej.
- Dlaczego oni to robią? Przecież dobrze im płacimy.

Will milczał. Słowa były zbędne. Nie miał problemów z eliminowaniem niełojalnych podwykonawców. Do tej pory dwóch kapitanów okazało się zbyt chciwych – jeden w zeszłym roku, drugi zaledwie kilka dni temu. Will zadźgał obu bez skrępowań.

– Potrzebny nam ktoś odpowiedzialny – dżentelmen zawahał się. – Łajdak, któremu można zaufać.

- Znaczy się jak ja? – zarechotał Will.

Mężczyzna uśmiechnął się. Zmrużył bładoniebieskie oczy. Nie bez powodu nazywano go Czarującym Charliem Grantem. Zapalił kolejną świecę, eksponując perfekcyjnie dobrany garnitur oraz morze piegów, które – jak uważał – odejmowały mu lat mimo siwizny atakującej jego jasnorudą czuprynę.

- Mój drogi chłopcze... Nie możemy wymieniać kapitana za kapitanem.
- Co tam, w Londynie ich nie brakuje. Wywiem się – powiedział Will pogodnie.

Grant pokręcił głową.

– Uważam – odparł – że źle do tego podeszliśmy. Bardzo sprawnie rozwiązujesz nasze problemy, ale nie ma sensu dłużej powielać błędów i narażać się na kłopoty. Musimy zmienić *modus operandi*.

Rozmowę przerwało trzaśnięcie drzwi wejściowych. Mężczyźni popatrzyli po sobie. Will sięgnął po nóż. Grant oparł się na lasce, niby nonszalancko, ale gotów do walki. Stanął przed stołem, tak by z progu nie dało się dostrzec, co leży na blacie.

Do pokoju weszli dwaj wytworni dżentelmeni. Grant, już spokojny, skinął im głową.

- Fisher, Hayward – przywitał ich. – Przyszliście wcześniej.
- Później od ciebie – zauważył Fisher.

Hayward zapalił grube cygaro od świecy.

- Panie Simmons – powiedział. – Ma pan naszą paczkę? – Simmons pokiwał głową. –

Dobrze. – Hayward rozsiadł się w fotelu. – Porto? – zaproponował krótko typowym dla klasy wyższej władczy tonem.

– Nie, dziękuję.

– Will poinformował mnie – wtrącił się Grant – że potrzebujemy nowego kapitana. Wrócił stary problem.

– Tak, *sir*. Popytam w Greenwich – potwierdził Will i nagle atmosfera się zmieniła. Jakby zburzył tafle spokojnego jeziora, wrzucając do niego kamień. Przez pokój przeszła dziwna pulsacja. Zrozumiał, że dżentelmeni już wcześniej o tym rozmawiali.

– Rzecz w tym, Simmons, że jesteś dobry. – Hayward mimo wszystko nalał szklanek porto i podał ją Willowi.

– Lubiliśmy twojego ojca – wtrącił Fisher. – Ciebie też lubimy.

Will przestąpił z nogi na nogę. Z wahaniem umoczył usta w douro. Old Street Bridge Club miał bardzo praktyczne podejście do interesów, a on ostrożnie przyjmował pochwały. Z doświadczenia wiedział, że jeśli zamierza się kogoś zabić, łatwiej to zrobić z zaskoczenia.

Grant położył dłoń na jego ramieniu i roześmiał się.

– Nie chcemy cię wykończyć. W żadnym wypadku. W rzeczywistości – kontynuował – mamy dla ciebie propozycję. Można powiedzieć, że oferujemy ci awans.

Will miał nadzieję, że nie każą mu jechać na północ. Nigdy nie był w Szkocji, a wiedział, że jego zleceniodawcy prowadzili tam interesy. Nadmorskie miasteczka East Neuk<sup>[7]</sup> i Kornwalii na równi słynęły z pomagania przedstawicielom dżentelmenów, takich jak członkowie Old Street Bridge Club, w unikaniu Urzędu Ceł Jego Królewskiej Mości. Bóg jeden raczył wiedzieć, co jeszcze i na jaką skalę przemycano. Will słyszał plotki o włoskim winie i skarbach z Indii. Dla angielskiego dżentelmena mającego plan i odpowiednie środki świat stał otworem.

– Gdzie mam pojechać? – zapytał Will.

– Rozszerzamy działalność – wyjaśnił Fisher. – Dlaczego mielibyśmy w dalszym ciągu uprzedzać kapitanów, że nasze paczki są tak wartościowe? Nie ma potrzeby informować nikogo o naszych... – zawahał się, bo nawet we własnym towarzystwie członkowie klubu byli powściągliwi – skarbach. To tylko spędza im sen z oczu. Zaczynają się zastanawiać i kombinować i robią się chciwi. Na tym polega nasz problem. Stanowimy dla nich źródło łatwych dodatkowych pieniędzy, tak im się przynajmniej wydaje. Postanowiliśmy zatem sfinansować całą podróż. W ten sposób nasza działalność nie będzie rodzić podejrzeń.

Will nie mógł tego pojąć. Klub sprowadzał co pół roku jeden blok czekolady. Co było w niej tak cholernie wyjątkowego? No i jak zamierzał usprawiedliwić wynajęcie całego statku?

Grant z przyjemnością obserwował wyraz twarzy Simmons'a.

– Wyczarterujemy statek, żeby przywieźć ziarna kakaowca. Ładunek nie powinien budzić

żadnych podejrzeń. Rynek kakao w Londynie systematycznie rośnie. Tylko w tym roku powstały dwie manufaktury czekolady, apteki handlują tym towarem na potęgę. Dobrej jakości ziarna kakaowca mają większą wartość niż ładownia alkoholu, ale nie zachęcają do kradzieży. Statek zawinie do portu w Kornwalii, jak zawsze. Dostarczysz nam ziarna, my sprzedamy je z wystarczająco dobrym zyskiem, żeby odpalić dolę kapitanowi. – Mężczyzna zawiesił głos dla efektu. – Paczka, oczywiście, stanowi odrębną sprawę, tylko między nami. Sam będziesz się nią opiekować. Kapitan nic nie będzie o niej wiedzieć.

– Sam będę się nią opiekować?

– Tak.

– Chcecie, żebym popłynął... – Will zawahał się, bo właśnie zrozumiał, co proponowali zebrani w pokoju dżentelmeni. Nie miał w sobie duszy marynarza. Nigdy nie opuścił wód brytyjskich. Raz tylko popłynął do Irlandii. Rzygał równo od początku do końca rejsu. Jeszcze przez kilka miesięcy później męczyły go koszmary o dalekomorskich wyprawach, z dala od krzepiącego widoku suchego lądu. Budził się wtedy zlany zimnym potem.

– Zgadza się. Do Brazylii. – Grant nawet się nie zająknął. – Odbierzesz paczkę od naszego pośrednika i wyczarterujesz statek do Anglii. Potrzebujemy kapitana, który jest szelmą, ale nie ma całkowicie zszarganej reputacji. Musisz go dla nas znaleźć...

– Nie możesz wciąż zabijać, chłopcze – oznajmił Fisher zasadniczym tonem, jakby omawiał eksploatację należących do niego stawów rybnych. – Wcześniej czy później złapią cię, Will, nieważne, jak jesteś dobry. Poza tym robi się coraz trudniej. Na pewno widziałeś w nowych dokach ogłoszenia oferujące nagrodę za informacje. Nie chcemy, żebyś skończył na stryczku. To nikomu nie pomoże.

– W ten sposób wejdiesz w ten biznes, Will. – Grant starał się złagodzić wstrząs. – To awans. Twój ojciec byłby z tego zadowolony, nieprawdaż?

Simmons wzruszył ramionami. Jego ojciec zmarł przed trzema laty. Szmuglem trudnił się od jedenastego roku życia i zawsze żywił ogromny szacunek dla ludzi parających się tym fachem. „Oni mogą mieć pieniądze – często powtarzał – ale to my mamy umiejętności”. Członkowie Old Street Bridge Club nie zdawali sobie sprawy z rewolucyjnych poglądów Simmons seniora.

– Kapitan nie będzie miał powodu niczego podejrzewać – Grant kontynuował – więc nie będziesz musiał po raz kolejny demonstrować swojej biegłości w posługiwaniu się nożem. Ładunek zarejestrujesz na siebie. Oddasz nam potrojony wkład, odpalisz dolę kapitanowi, a resztę zostawisz sobie. Z moich kalkulacji wynika, że dobrze na tym wyjdiesz, zarobisz więcej, niż to rzeczywiście warte, i nie będzie cię to kosztowało ani pensa. Dodatkowo otrzymasz standardowe wynagrodzenie za dostarczenie nam naszej paczki. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce będziemy mogli sprowadzać nie jeden blok czekolady, ale



nawet sześć. Do tej pory takie przedsięwzięcie wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem, ale ty możesz to zmienić, chłopcze.

– Nie znam się na żeglowaniu – wyjąkał poblady Will. Oferta była naprawdę hojna.

– Ależ nic nie szkodzi, mój drogi. – Grant ponownie napełnił szklankę Willa i przywołał na twarz czarujący uśmiech. – To inni będą żeglować. Ty masz tylko być na pokładzie.

Hayward wyjął z kieszeni skórzaną sakiewkę. Zabrzęczała, gdy podawał ją Willowi.

– Nic nie może prowadzić do nas, zrozumiano? – powiedział Fisher. W jego głosie słychać było groźbę. W końcu za przemyt karano śmiercią. – Będziemy stać za tobą murem, ale jeśli spróbujesz nas wycyckać...

– Panowie, spokojnie, proszę – wtrącił się Grant. – Pracujemy z Willem nie od dziś. Zna zasady. Nigdy byś nas nie zawiódł, prawda Will? A Brazylia? Masz szczęście chłopcze. Te sarniookie piękności z Rio Grande do Norte<sup>[8]</sup>, ciemnoskóre ślicznotki z São Luís<sup>[9]</sup>... Natal<sup>[10]</sup> to raj dla młodziaków.

Dżentelmeni roześmiali się.

– Spodoba ci się, wierz mi – rzekł z uśmiechem Hayward.

– A co, jeśli nie zechcę?! – zapytał Will z gniewem w oczach.

Trzej dżentelmeni spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Grant odwrócił się i sięgnął po nową butelkę porto, Hayward wygodniej rozsiadł się w fotelu, Fisher... Will nie zauważył nawet, kiedy mężczyzna zaszedł go od tyłu, i nie był wystarczająco szybki, by uniknąć zaciskającej się na jego szyi cynobrowej jedwabnej garoty. Grant, wyraźnie niepokieszony, obserwował szamoczącego się młodzieńca. Hayward gapił się w buzujący w kominku ogień. Will robił się już fioletowy na twarzy, gdy w końcu wymacał w kieszeni ostrze. Na niewiele się to zdało, bowiem Grant bez cienia litości sprawnie rozbroił go, nie ruszając się z miejsca. Elegancka laska opadła na trzymającą nóż rękę z głuchym trzaskiem. Will nie mógł nawet wrzasnąć, krzyk zamarł mu w gardle i zamienił się w charkot. Kiedy już żegnał się z życiem, Fisher zwolnił ucisk. Will upadł na podłogę, usiłując złapać oddech. Spodziewał się, że jeden z mężczyzn zaraz dokończy dzieła, tymczasem cała trójka zachowywała się, jakby nigdy nic. Fisher usiadł spokojnie w fotelu i zapalił cygaro.

– To nie podlega dyskusji – powiedział.

Grant wstał, podał Willowi dłoń i pomógł mu wstać.

– Doprawdy, mój chłopcze, my wiemy, co jest najlepsze.

Will tylko zarzęził. Ból był przeraźliwy. Wiedział, że jego zleceniodawcy są bezwzględni – nie da się osiągnąć tego co oni bez rozlewu sporej ilości krwi. Sięgnął nieuszkodzoną ręką do gardła. Tak musi się czuć gość dyndający na stryczku – uświadomił sobie ze ściśniętym sercem. Przynajmniej miał pewność, że nie zostanie okantowany. Mogli być najgorszymi skurwielami,

ale płacili dobrze. Grant zakręcił nożem w dłoni. To by była dopiero złośliwość losu – przemknęło Willowi przez głowę – zarobić własną kosą.

– Spróbuję – wydukał nie bez trudności.

Grant pokiwał głową.

– Dobrze. Pracowałeś z Pearsonem, prawda? Czas, żeby chłopak zajął się czymś bardziej odpowiedzialnym. Przejmie twoje dotychczasowe obowiązki.

Will przytaknął bez entuzjazmu. Sam Pearson miał prawie dziewiętnaście lat. Wysoki, rudy ryzykant ucieszyłby się z awansu. Dobrze radził sobie w walce, był wystarczająco sprytny do tej roboty, jego powolny akcent z południowo-zachodnich krańców Anglii maskował bystry umysł, absolutną lojalność i wrodzoną zaciekłość. Widywał się z dziewczyną z Budock Water. Jeśli miał zamiar iść do ołtarza, dodatkowy grosz na pewno mu się przyda.

– Rozmówię się z nim. – Will przecesał nerwowo blond czuprynę, wstał i wcisnął sakiewkę do kieszeni. – Przepytam go i pokażę co i jak, jeśli nie będzie czegoś wiedział...

– Powiedz Pearsonowi, żeby odwiedził nas w przyszłym tygodniu – odparł Fisher, jakby zapraszał na obiad.

Will, wciąż oszołomiony, pożegnał się z trójką dżentelmenów i powlókł w stronę drzwi.

– Masz. – Grant zatrzymał go i zwrócił mu nóż. – Ulice nie są tu bezpieczne.

Mężczyźni milczeli, dopóki nie usłyszeli miarowych kroków młodzieńca na ulicy. Hayward zapalił cygaro i wbił wzrok w Granta.

– Doprawdy, sarniookie piękności? Ciemnoskóre ślicznotki?

– Musiałem go jakoś zachęcić – odparł Grant, wzruszając ramionami.

– Tak, faktycznie. Myślałem tylko o mojej żonie...

– Problemy, staruszku?

– Sądzi, że mam kochankę. Twierdzi, że jestem czymś tak pochłonięty, że nie może sobie wyobrazić, co innego mógłbym kombinować. No ale zazdrość leży w jej naturze.

Fisher wybuchnął krótkim śmiechem.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział – jestem pewien, że pani Fisher odetchnęłaby z ulgą, gdybym wdał się w romans. Poza tym lepiej, żeby twoja żona snuła takie podejrzenia, niż poznała prawdę. Biedaczka musi być przekonana, że finansujesz jej toalety z płodów twojej ziemi i wygranych na wyścigach. Biżuteria. To moja rada. Błyskotki od lat uszczęśliwiają panią Fisher. W modzie są teraz indyjskie rubiny – zauważył i wyciągnął z kieszeni szkarłatny sznur. – Na twoim miejscu rozejrzałbym się za jakąś kolia...

Grant wstał. Podczas rozmów na temat płci przeciwnej zawsze odczuwał skrępowanie. Miał inne skłonności, ale im nie ulegał. Jego życie intymne przypominało zamknięty na cztery spusty

kredens, którego zawartości nie znał nawet on sam.

– Czas iść – oznajmił. – Cieszę się, że nie musieliśmy pozbywać się chłopaka. Naprawdę go polubiłem. – Podniósł owiniętą w płótno paczuszkę. – Fisher, zajmiesz się tym?

– Oczywiście. Mam kupca.

– I filiżankę gorącej czekolady na śniadanie – zażartował Hayward.

– Mam nadzieję, że Simmons stanie na wysokości zadania – dodał Fisher.

Grant spojrział na srebrną główkę swojej laski, wypatrując uszkodzeń. Do tej pory tylko raz musieli wyprawić kuriera na tamten świat. Nie było to przyjemne. Tak czy owak Old Street Bridge Club dysponował siecią dobrze opłacanych informatorów i kontaktów, dlatego zwykle stawał na swoim. Simmons nie miał najmniejszej szansy, zwłaszcza jeśli nie był gotowy wsiąść na statek. A nawet gdyby – wystarczyło dać znać odpowiednim ludziom, zaoferować sowitą nagrodę i uzbroić się w cierpliwość. Jako instytucja działająca od trzech pokoleń, Old Street Bridge Club mógł sobie pozwolić na luksus długofalowego planowania.

– Powinien sobie poradzić – Fisher przerwał rozważania Granta. – Może nawet spodoba mu się takie życie. – Wzruszył ramionami. – Na pewno nie będzie kręcić nosem na dodatkowe pieniądze. Niektórymi trzeba po prostu odpowiednio pokierować.

Mężczyźni pokiwali głowami i sięgnęli po kapelusze. Fisher rozsypał na stole talię kart, Grant rzucił na podłogę kilka arkuszy służących do zapisywania wyników. Zostawiwszy za sobą zaduch, topiące się świece i dogasający ogień w kominku, trzech dżentelmeni, zmagając się z ostrym zimowym wiatrem, pośpieszyli do swoich dobrze przewietrzonych przytulnych westendzkich<sup>[11]</sup> sypialni.

---

[2] Shoreditch – rejon w północno-wschodniej części dzisiejszego Wielkiego Londynu, popularny w XVII wieku wśród bogatych handlowców i francuskich hugenotów parających się tkactwem, w XVIII wieku rozkwitł jako centrum przemysłu meblarskiego, w XIX stuleciu zubożał i podupadł.

[3] Mile End Road – ulica w dzielnicy Mile End we wschodnim Londynie, w XVIII i XIX wieku zasiedlana głównie przez imigrantów, migrantów i robotników.

[4] Hampton Court – pałac na południowo-zachodnim krańcu Londynu, który od 1528 roku stanowi własność brytyjskich monarchów.

[5] Whitehall Palace – w latach 1530–1698 rezydencja brytyjskich monarchów; ogromny pałac, mieszczący ponad tysiąc pięćset pokoi, spłonął niemal doszczętnie, pozostałości po nim posłużyły do budowy nowych gmachów dla instytucji rządowych.

[6] Essex – hrabstwo we wschodniej Anglii nad Morzem Północnym, między estuarium Tamizy a ujściem Stour, około stu kilometrów na północny wschód od Londynu.

[7] East Neuk – nadmorski rejon we wschodniej części półwyspu Fife, obecnie nazywany często Szkocką Riwierą.

[8] Rio Grande do Norte – stan usytuowany na najdalej wysuniętym na wschód krańcu Brazylii.

[9] São Luís – stolica stanu Maranhão w północno-wschodniej części Brazylii.

[10] Natal – stolica stanu Rio Grande do Norte.

[11] West End – obszar obejmujący centralny Londyn na zachód od historycznego City; od XVII do XIX wieku zabudowywany był pałacami, eleganckimi kamienicami, ekskluzywnymi sklepami oraz modnymi lokalami rozrywkowymi.

## BRAZYLIJSKI INTERIOR

**M**aria wpatrywała się w ścianę zieleni. Jeden z mułów ugrzązł w błocie. Mężczyźni od godziny próbowali uratować zwierzę. Biedne, wycieńczone stworzenie zapadło się w mazi po boki. Krótka grzywa na jego szyi była ciemna od lśniącego oleistego potu, jego przepełnione grozą oczy błyszczały. Maria pociągnęła nosem. Dżungla pachniała ziemią, roślinnością i truchłem. Miesiąc wcześniej niziny zostały zalane, ale woda zdążyła już opaść, zostawiając po sobie mętne sadzawki, pomiędzy którymi mężczyźni wycinali w zaroślach grząską ścieżkę. Przesycone wilgocią powietrze tłumilo dźwięki. Zalegało w płucach niczym ciężka burzowa chmura. Przed słońcem chroniło ich nierzadko trujące listowie. Wszystko tutaj szybko psuło się, gniło. Mimo tych trudności Maria uważała, że dżungla emanuje dziwnym, przytłaczającym pięknem, którego da Couto, towarzyszący jej szorstki, ciemnooki dyplomata, zdawał się w ogóle nie zauważać.

Brazylia okazała się bardziej skomplikowana, niż Maria się spodziewała. I nie chodziło nawet o szerokie błotniste rzeki, które musiała pokonywać siermiężnymi płaskodennymi łodziami, ani o przeprowianie się przez spaloną słońcem pustynię w karawanie uwalanych kurzem koni. W kraju wciąż toczyły się wyniszczające walki niepodległościowe. Jednak mimo wstrząsów politycznych śmietanka towarzyska Rio powitała panią Graham serdecznie, niedługo potem Maria została przedstawiona cesarzowej. Jej Wysokość była elegancką, inteligentną miłośniczką botaniki, znała też książki Marii na temat Indii. Po zaledwie kilku tygodniach znajomości zapytała Marię, czy nie zechciałaby zostać guwernantką jej córki, następczyni tronu księżniczki Marii da Glórii, która ledwo co wyrosła z pieluszek. Cesarzowa ostrożnie dobierała słowa, zdając sobie sprawę z tego, że ich przyjaźń zrodziła się w bardzo krótkim czasie. Ale porządna Angielka z nieskazitelnymi manierami naprawdę jej się spodobała. Poza tym potrzebowała pomocy. „Dama pani pokroju, pani Graham, sprawi, że moja córka zyska obiektywny obraz świata. Chcę, by potrafiła dostrzegać różne rzeczy. Chcę, by była wyedukowana”. Nawet w królewskiej rodzinie edukacja dziewcząt wychodząca poza muzykę i sztukę nie stanowiła reguły. „Oczywiście – powiedziała Maria, kiwając głową. – Rozumiem”. Dwór nie pochwalał tej decyzji. Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii mogło być

sprzymierzeńcem Brazylii, ale Maria wciąż była nietutejsza. Mimo to cesarzowa nie miała zamiaru przejmować się dezaprobatą otoczenia.

Maria bardzo szybko przywiązała się do swojej podopiecznej – pulchnej, uśmiechniętej kilkulatki, która pierwsze słowa wysepleniła w języku angielskim. Razem odkrywały sekrety botaniki, bawiąc się w chowanego w królewskich ogrodach i wyplatając girlandy z pospolitych łąkowych stokrotek, którymi przystrajały potem sypialnię księżniczki. Ku radości cesarzowej dziewczynka nauczyła się łacińskiej nazwy stokrotek – *Bellis perennis*.

„Dworska etykieta musi być koniecznie przestrzegana – powiedziała Maria cesarzowej podczas ich pierwszej rozmowy. – To nie podlega dyskusji. Ale nie chciałabym pozbawiać księżniczki dzieciństwa. Szczęśliwe dzieciństwo kształci samo w sobie”. W jej życiu takiej edukacji zabrakło.

Maria Dundas wcześniej została zabrana spod skrzydeł matki. Rodzina uznała, że pani Dundas nie nadaje się do opieki nad potomstwem, a może raczej, że nie jest wystarczająco arystokratyczna, by odpowiednio wychować kolejne pokolenie Dundasów. Faktycznie, matka była niezrównowazona. Maria pamiętała awantury albo to, co na ich temat podsłuchiwała. Tak czy owak komandor Dundas poślubił panią Dundas, ponieważ darzył ją prawdziwym uczuciem, a kiedy jego miłość umarła, wyruszył do Bombaju, kuratelę nad córką powierzwszy bratowej – wyniosłej, szorstkiej i wyrachowanej lady Dundas. Maria dołączyła do ojca w Indiach, gdy skończyła dwadzieścia trzy lata. Od tej pory cały czas podróżowała.

Cesarzowa z uśmiechem objęła nowo mianowaną guwernantkę. „Prosiłam Boga, by zesłał mi rzetelną, dobrą kobietę. I widzę, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Moja córka będzie bezpieczna w tak mądrych rękach”.

Gdy nadszedł stosowny czas, pani Graham została wydelegowana do Londynu, by kupić dla swojej podopiecznej książki oraz inne materiały edukacyjne. Nim ucałowała dziewczynkę na pożegnanie, jakby ta była jej kuzynką albo bratanicą, pokazała jej Wielką Brytanię na globusie. Mała zaraz obróciła go pulchnymi paluszkami. Maria powiedziała jej, że najtrudniejszy etap podróży będzie stanowiła przeprawa przez Atlantyck. „Przez tę część, niebieską” – wyjaśniła, wskazując ocean. „Niebieską” – powtórzyła księżniczka. *Azul. Celeste*.

Teraz, kiedy stała ubabrana błotem i zdawało się, że ciężkie powietrze na nią napiera, ta rozmowa była jakby nierealna. Maria zrozumiała, że się myliła. To nie niebieski Atlantyck miał stanowić najtrudniejszy etap jej podróży, ale zielony las deszczowy. Co za ironia – stwierdziła – że w którymś z jej kufrów leży flakonik z olejkiem z orchidei i piżma – prezent pożegnalny od cesarzowej. Nie pamiętała, kiedy ostatnio się myła, a co dopiero mówić o namaszczeniu się aromatycznym olejkiem. Minie jeszcze sporo czasu – pomyślała – nim będę mogła pozwolić sobie na jakiegokolwiek pachnidła.

Oprócz cesarskiego prezentu Maria wiozła też list zaadresowany do admirała Cochrane'a, dowódcy brazylijskiej marynarki – angielskiego renegata, który był zaufanym męża Marii. Rozkazy były jasne. „Pod żadnym pozorem nie mów o nim da Couto – powiedziała Jej Wysokość, podając Marii pismo. – On nie ma w sobie nawet grama subtelności, ale pod jego eskortą bezpiecznie dotrzesz na miejsce. List przekaz Cochrane'owi osobiście. Podróż morską wzdłuż wybrzeża jest zbyt niebezpieczna, da Couto poprowadzi cię na przełaj”.

Maria szczyliła się sprawnością, odpornością oraz samodzielnością, która przynajmniej po części stanowiła efekt lat spędzonych w szkole z internatem w Oxfordshire. Ciasnota i surowe zasady świetnie przygotowały ją do życia w drodze i odwiedzania najdalszych zakątków ziemi. Mimo wszystko ten etap podróży stanowił dla niej swoisty sprawdzian. Tragarze śmierzdźli odchodami mułów oraz potem. Niedługo po opuszczeniu miasta odzież wielu z nich zamieniła się w łąchmany, inni po prostu rozebrali się, odsłaniając skórę w różnych odcieniach kawy – od czarnej rozbielonej domieszką mleka do czystego espresso. Z drugiej strony upał był tak niewiarygodny, że Maria nie mogła mieć o to do nich żalu. Z czasem jednak dżungla pozbawiła ich nie tylko czystych strojów, lecz także dobrych manier.

Od siedmiu dni przedzierali się przez las. Maria zastanawiała się, czy zarośnięta ścieżka nie jest bardziej niebezpieczna niż morski szlak wiodący wzdłuż wybrzeża – nawet jeśli znajdował się pod ostrzałem. Mało który mieszkaniak podszytu nie próbował ich kąsać. Szybko przekonała się też, że wąskie błotniste rzeczki pełne są piranii, że wszelkiej maści jadowite węże ukrywają się i na ziemi, i na drzewach, okręcając się wokół gałęzi, że dzika małpa to, delikatnie rzecz ujmując, urodzony chuligan. Jedna właśnie trajkotała nad jej głową. Stojąc nad błotnistym bajorkiem, Maria miała ją na oku, bo ogoniaści rozbójnicy potrafili czasem zaatakować bez powodu. Ale to nie były najgorsze z prób, na które wystawiła ją dżungla. Wiele roślin zawierało substancje trujące, kontakt z niektórymi – jeśli postępowało się z nimi niewłaściwie – mógł grozić śmiercią. Poza tym siusiać należało tak, by nie przerwać strumienia moczu, ponieważ mięsożerne insekty tylko czekały na to, by z pomocą gorącej uryny dostać się do organizmu człowieka. Krótko mówiąc, dżungla stanowiła prawdziwe piekło na ziemi. Niełatwe warunki dodatkowo utrudniało niesympatyczne towarzystwo. Las nieustannie wysysał z człowieka energię, a *senhor*<sup>[12]</sup> da Couto skutecznie dusił wszelkie pozostałe siły witalne.

Dyplomata sprawdził ze swojego punktu obserwacyjnego, gdzie podziewa się pani Graham.

– Za długo to trwa – powiedział.

– Mogłabym pomóc – zaoferowała Maria.

Wąskie usta da Couto ułożyły się w okrutną linię, która zdawała się dzielić jego twarz na pół. Odwrócił się. Pomoc kobiety nie była tutaj mile widziana. Gdy jeden z mężczyzn upuścił linę, da Couto nie wytrzymał. Wyciągnął szpicrutę i z furią zaczął chłostać nagie plecy nieszczęśnika,

miotając portugalskimi przekleństwami. Bat dotkliwie kaleczył ciemną skórę, po której zaczęły spływać strumyczki krwi.

– Panie da Couto – zaproponowała Maria. To okrucieństwo nie miało sensu. – Panie da Couto! – powtórzyła, kiedy ten ją zignorował i kontynuował chłostę.

Maria weszła pomiędzy dyplomatę a niewolnika. Tragarze w milczeniu obserwowali, jak szpicruta opada na ramię kobiety. Da Couto zamarł, zrozumiał, czego się dopuścił. Maria odprawiła rannego mężczyznę i przywołała dwóch innych, by wyłowili linę z błota. Skóra ją piekła, ale uderzenie nie uszkodziło skóry, bo przez bawełnę jej szarej sukni podróźnej nie przesiąkła krew. Przez chwilę nie mogła zgiąć palców. Nie miała wątpliwości, że skończy się to krwiakiem.

– ¡*Vuelva trabajar!* – zawołała. Wracajcie do pracy.

Tragarze stali. Da Couto wbił w nią wzrok. Jego czarne oczy lśniły wściekłością. Zsiadł z konia i szarpnął nią, brutalnie wpijając palce w ramię. Zszokowana takim zachowaniem Maria poczuła mdłości. Nie bała się, właściwie to delektowała się wyzwaniem. Pamiętała, że kiedyś ojciec kazał wychłostać mężczyznę, który ukradł jabłko z okrętowych zapasów. Ale to była inna sytuacja – chodziło o wymierzenie sprawiedliwości. Da Couto był zwykłym ciemiężcą, niewolnikiem swojego wybuchowego charakteru.

– Myśli pani, że skoro ma posłuch u cesarzowej... – warknął da Couto. – Że skoro jest Angielką... To ja tutaj dowodzę...

Maria obrzuciła mężczyznę stanowczym spojrzeniem. Przypominał jej zdziczałego psa albo nieumiejętnie ułożonego konia. Musiała przejąć kontrolę.

– Myślę, panie da Couto – przerwała tyradę surowym tonem – że z taką chęcią mówi pan po angielsku, żeby żaden z tych mężczyzn nie wiedział, o czym rozmawiamy. I myślę też, że ważne jest, abyśmy jak najszybciej ruszyli w drogę. – Zmusiła się do uśmiechu i konspiracyjnie poklepała da Couto po ramieniu. Da Couto zebrał się w sobie i zwolnił uścisk. Tragarze przestali się gapić. – Sądzę też, że słusznie w tych okolicznościach nie odzywa się pan do mnie po portugalsku.

Na początku podróży Maria poprosiła da Couto, by pomógł jej ćwiczyć język, ale on wolał posługiwać się swoją bardzo formalną angielszczyzną i zwyczajnie udawał, że nie rozumie Marii, gdy zwracała się tak, jak nauczyła się tego w Rio. W rezultacie do swojego słowniczka mogła dodać tylko przekleństwa. Poza portugalskim tragarze posługiwali się dziwnym narzeczem, w którym trudno było się rozeznąć – mieszanką języków afrykańskich i hiszpańskiego. Ciekawa była, o czym rozmawiają, kiedy porzucali portugalski. Słyszała ich szepty w nocnych ciemnościach – ciche słowa, kliki i mlaski. Maria miała ucho do języków, ale to przekraczało jej możliwości.



– Nie może się pani wtrącać – rzucił ostro da Couto.

Maria uśmiechnęła się.

– To wystarczająco niebezpieczne miejsce, panie da Couto, nie musimy sami dodatkowo pogarszać sytuacji. Potrzebna jest pomoc wszystkich mężczyzn.

Da Couto spojrział na nią z kamienną twarzą.

– Proszę tam poczekać – powiedział lodowatym tonem. – Niedługo skończymy.

Maria posłusznie ruszyła na drugą stronę błotnistej pułapki. Cienka bawełna sukni drażniła jej spoconą skórę. Nie pierwszy raz pomyślała, jak przyjemnie będzie spędzić kilka tygodni w Anglii. Niebezpieczeństwo nie czyha tam na każdym kroku, a o tej porze roku panuje rześki chłód.

Podczas gdy mężczyźni na powrót opasywali zwierzę linami, Maria próbowała rozruszać spięte kostki i nadgarstki, rozciągając nogi pod osłoną sukni. Widziała, jak w domowym zaciszu Hinduski z gracją ćwiczą asany. Zastygłe w kolejnych pozycjach przypominały eleganckie posągi. Powitanie Słońca – tak to nazywają. Tajemnica Orientu. Teraz, rozciągając brzuch niczym prężący się kot, marzyła o tym, by wykonać skłon i dotknąć błotnistej ziemi. Zrobi to wieczorem, postanowiła, w zaciszu swojego namiotu, nieskrępowana gorsetem.

Da Couto okrążył „sadzawkę”. Muł stał opasany gęstą siecią uwalanych błotem lin. Kolejne trzy muły i konia zaprzęgnięto, żeby go wyciągnąć. Dyplomata skinął głową. Na jego sygnał tragarze zaczęli pokrzykiwać na zwierzęta i okładać ich spocone boki, zachęcając je, by parły do przodu i wyciągnęły zaklinowanego pobratymca.

Gdy w końcu muł wygramolił się na wolność, po ścianie lasu przetoczył się grzmot, niebo przekreśliła błyskawica, a na ziemię zaczęły spadać ogromne krople deszczu. Powietrze natychmiast stało się czystsze. Woda uderzała w liście z taką mocą, że wydawało się, iż wokół rytmicznie grają bębny. Tragarze powitali ulewę radosnymi okrzykami, a trzech zaczęło tańczyć.

Maria skierowała twarz w niebo, jej ciemne włosy błyszcząły, policzki zarumieniły się. Ścieżka w ciągu kilku sekund zamieni się w trzęsawisko. Trudno uwierzyć, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej rzucała śnieżkami w Chile, a jej palce były zaróżowione i skostniałe z zimna. Wspomnienie znikło tak szybko jak kostka lodu rozpuszczająca się w upalnej dżungli.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – zainteresował się da Couto.

Dwukrotnie w ciągu ostatniego tygodnia Maria budziła się w nocy przerażona, wyobrażając sobie, że da Couto stoi przed jej namiotem w gęstej jak molasa ciemności. Teraz jej oczy odruchowo spoczęły na przytroczonych do siodła olstrach. W jednym trzymała naładowany pistolet, teraz niemal na pewno zbyt mokry, by wypalić, w drugim – dodatkową butelkę wody i piersiówkę z brandy do celów medycznych. Przez lata nauczyła się dbać o własne zapasy, na wszelki wypadek.

– Zajmuję się tylko moimi manuskryptami – powiedziała spokojnie. – Mam dwie książki gotowe do publikacji. Papiery muszą być suche. – Ogromne krople deszczu spływały po jej szyi i wślizgły się pod cienką suknię, by ostatecznie zebrać się w okolicach krzyża.

– To już długo nie potrwa – zapewnił ją da Couto i zawrócił konia.

Maria ponownie sprawdziła sprzączki i poprawiła pled w próżnej nadziei, że w ten sposób zapobiegnie zawilgoceniu. W Londynie manuskrypty zostaną uważnie przestudiowane. Jeśli Hiszpania i Portugalia zmniejszą kontrolę nad Ameryką Południową, brytyjski handel zyska nowe możliwości. Jej wydawca, John Murray, lubił prezentować przedstawicielom władz w Londynie rzetelne sprawozdania, a ci niezmiennie kochali wszystko, co im przedstawiał. Szybko odda jej tekst do druku, a książki pojawią się w każdej księgarni w kraju, jeszcze nim Maria zdąży się zaopatrzyć i wrócić do Brazylii. Już nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła wspominać to doświadczenie z daleka. Opowie Murrayowi o prawie niemożliwym do pokonania terenie i podłym towarzystwie i razem będą się z tego śmiać. „To była udręka – przyzna – ale przetrwałam”.

Podciągnęła się zgrabnie i usiadła w siodle, jej maniery okalały ją niczym zbroja. Gdy była odwrócona plecami, da Couto niemal leniwie podniósł szpicrutę i zdzielił jednego z niewolników.

– Panie da Couto. Doprawdy – zbeształa go.

Dyplomata bez słowa wskazał postępujących tragarzy. Maria skinęła głową na znak, że jest gotowa do drogi. Odruchowo sprawdziła sprzączkę na przytroczonej do siodła skórzanej torbie na dokumenty. Potem odgarnęła mokre pasmo włosów z twarzy i usiadła sztywno, jakby połknęła kij od miotły, naśladując długie pnie puchowców pięciopęcikowych – najwyższych i najbardziej majestatycznych ze wszystkich botanicznych skarbów dżungli.

– *Madam*, proszę zachować ostrożność – powiedział dyplomata bez przekonania.

Maria westchnęła. Sięgnęła w stronę jaskrawopomarańczowego kwiatu, który wychynął z gąszczu liści tak ciemnozielonych, że wydawały się niemal czarne. W porę powstrzymała się i cofnęła dłoń, przypominając sobie, że dżungli nie można ufać. Gdy się obróciła, dostrzegła na twarzy da Couto gniewne rozczarowanie. Na sekundę gładka fasada runęła niczym cień.

Nic dziwnego, że mnie nienawidzi – pomyślała – ruszając w drogę. Uważa, że cała ta wyprawa to jedynie mój kaprys.

---

[12] Senhor – pan, wielmożny pan.

## Z ANGLII DO BRAZYLI

**R**ejs Willa Simmonsa nie rozpoczął się najlepiej. W rzeczy samej przewyższał wszelkie oczekiwania w swej okropności – był znacznie gorszy niż przeprawa przez Kanał Północny do Irlandii, do hrabstwa Down. Ale wtedy przynajmniej jego męki nie trwały długo. Tym razem przebywał na statku już kilka dni. I cały czas wymiotował – za burtę, do wiadra, na deski pokładu, a w nocy, między jedną a drugą drzemką, w kabinie, zwieszając się z hamaka. Strumień wymiocin wypływał z jego wnętrzości, dławiąc go i dusząc. Will, niemalże nieprzytomny, mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie zjadł tyle, ile teraz zwracał. Walcząc z bolesnymi, długotrwałymi mdłościami, które sprawiały, że każda minuta zdawała się trwać godzinę, stracił poczucie czasu i miejsca. Mimo że nie wierzył w miłosierdzie Boga, modlił się o szybką śmierć.

Kiedy okręt dopłynął do Teneryfy, gdzie miał uzupełnić zapasy, nudności ustały. Bładolicy, wymięty Will wyczłapał na słońce. Odnosił wrażenie, że jego żołądek wywrócił się na lewą stronę. Schudł, czuł się słaby, otumaniony, ale przynajmniej przestał wymiotować.

Umył się w beczce morskiej wody, aby pozbyć się smrodu, i zszedł na brzeg.

Obcyczna zrobiła na nim wrażenie. Chłopak z Kornwalii nie mógł wyjść z podziwu, widząc bujną roślinność oraz kosze pełne pomarańczy i bananów. Nigdy nie widział tak błękitnego nieba. Bielone ściany urzekły go swoją nieskazitelną czystością. Juki jawiły się jako dziwne żywe rzeźby. Spacerując po suchych ulicach, Will rozkoszował się upałem. Lewe kolano, które od dwóch lat nie przestawało go rwać w wilgotnym angielskim klimacie, tutaj zginało się tak łatwo jak nasmarowany słoniną zardzewiały zamek. W usytuowanym w pobliżu doków, prowadzonym przez Anglika zajeździe Will spałaszował pierwszy posiłek od ponad tygodnia, a potem zasnął na słońcu, słuchając, jak córka gospodarza gra na kastanietach.

Gdy znów wypłynął, musiał przyznać, że członkowie Old Street Bridge Club mieli rację: kiedy człowiek już się przyzwyczai, podróż drogą morską nie jest tak zła, jak mogłoby się wydawać.

Po przeprawie przez Atlantyk statek zawinął do portu w Matelot na Trynidadzie. Tam wraz z innymi zapasami na pokład trafił blok czekolady. Mimo że Will doręczył dżentelmenom

z klubu kilka tego typu przesyłek, sam nigdy nie próbował gorącej czekolady. W domu pił niskoprocentowe ale. Kawą raczyli się dżentelmeni trudniący się biznesem, herbata była dla kobiet, a czekolada dla szlachetnie urodzonych. Tutaj cała załoga piła ten dość gęsty ciemny napój zaprawiony rumem. Nie wszystkim przypadł do gustu.

– Wygląda jak rzadkie gówno – mruknął chłopiec okrętowy.

Ale w smaku mikstura wcale gówna nie przypominała. Will uśmiechnął się, unosząc do ust pewterowy kubek. Na jego języku eksplodowały bąbelki. Czekolada miała bogaty smak i aromat – jak porto albo brandy, a jednocześnie krzepiła niczym poranna owsianka.

– Mógłbym na tym przytyć. – Uśmiechnął się, siadając na beczce. W ustach czuł ogień.

– W domu rezerwują to dla Jaśnie Pani – zaśmiał się bezzębny stary marynarz, podnosząc swój metalowy kufel z pokrywką.

Codzienna porcja czekolady wprawiała Willa w świetny nastrój, czasami wydawało mu się, że mógłby szybować po niebie wraz z mewami polującymi na ryby w spienionej przybrzeżnej wodzie. Teraz, kiedy poczuł prawdziwą wolność, zrozumiał, że ten skrawek Wielkiej Brytanii, który do tej pory stanowił centrum jego uniwersum, jest zaledwie maleńkim punkcikiem w nieskończonym bezkresie. Świat jawił mu się niczym ponętna dziwka wolno rozkładająca przed nim nogi. Chętnie słuchał opowieści starych marynarzy o chińskich dzonkach i polarnych mrozach, o hinduskich potworach i stadach dzikich koni w Amerykach – o tym, że jeśli komuś uda się złapać wierzchowca, może go zatrzymać.

Ale najlepsze było to, że na statku nie traktowano go jako żółtodzioba czy byle łachudrę z marginesu. Podróżując, stał się panem świata. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Zastanawiał się, co kapitanowie, z którymi negocjował, o nim myśleli – pewnie mieli go za niedowarzonego frajera. Nic dziwnego, że próbowali go wykiwać. Kiedyś sądził, że wypad na Eel Pie Island<sup>[13]</sup> na ryby i mdława kolacja w tamtejszym zajeździe to wspaniała wyprawa. Nie teraz, już nie.

Podróż z Trynidadu do Brazylii nie trwała długo. W Natalu Will zszedł z pokładu jako nowy człowiek, nieprzypominający gburowatego bladziocha, który zaokrętował się w Portsmouth. Jego włosy pojaśniały, jego skóra zbrązowiła, jego poglądy się zmieniły. Statek zmierzał na południe, z prądem. Część załogi zebrała się pod pokładem, by go pożegnać. Ścisnął kolejne dłonie niczym dżentelmen opuszczający swoje wesele i powiedział, że ma nadzieję, iż kiedyś znów się spotkają. Zdenerwowany zatrzymał się na szczycie trapu. Rejs stanowił dla niego bezpieczną przystań. Marynarze byli twardzi, ale grali w jednej drużynie. W rozciągającym się przed nim tętniącym życiem obcym doku będzie sam, tysiące kilometrów od domu.

– Dalej, Will! – zawołał jeden z mężczyzn stojących w dolnej części drewnianego kadłuba.

Will wziął głęboki oddech i zmusił się do uśmiechu. Jego serce waliło jak młotem. W końcu

wziął się w garść i ruszył po trapie, zostawiając za sobą wszystko, co znajome.

Natal zdawał się kipieć, wrzeć, powietrze było gorące jak w piecu, hałas przytłaczał, ale Will w ogóle tego nie dostrzegał. Miał wrażenie, że zanurkował głęboko pod wodę. Kiedy wynurzył się na powierzchnię i stanął na suchym lądzie, nie mógł wyłowić nawet jednego słowa po angielsku, mimo że niezwykle uważnie wsłuchiwał się w rozmowy dokerów, marynarzy na przepustce i zachwalających swoje towary kupców. Rozejrzał się wokół, chłonąc niewyobrażalny rozgardiasz, zaskoczony, że z daleka nie jest w stanie rozpoznać statku, który przez tyle tygodni był dla niego domem. Czas namierzyć pośrednika.

– *Senhor* Dourado? – zawołał. – *Senhor* Dourado?

Ktoś go musi znać.



Kapitan James Henderson lubił Natal, a port zwłaszcza wieczorem, kiedy okręty skrzypiały w ciemności. Spędził sporo czasu na północnych i południowych wybrzeżach Brazylii i to nadmorskie miasteczko bezsprzecznie należało do jego faworytów. Było dobrze zaopatrzone, ludzie, choć nie zawsze przyjaźni, mieli przynajmniej trochę oleju w głowie i nie angażowali się w walki, które dezorganizowały handel na południu. Stojąc na skąpanym w świetle księżycy opustoszałym nabrzeżu, ciemnowłosy, bladolicy Henderson robił wrażenie. Jego oczy były niewiarygodnie jasnoniebieskie, niemal przezroczyste. Zapewne zdawałby się dzięki nim młodszy, gdyby nie cień zarostu. Nie przypominał Brazylijczyka. Zresztą wcale się tu nie urodził. Ale mieszkał już bardzo długo.

Kapitan spędził przyjemny wieczór na lądzie – zjadł dobry obiad i znalazł kobietę, która szczerze obdarzyła go swoimi względami w zamian za równie szczodłą gratyfikację finansową. Teraz jednak oberże gasiły już świece. Kroki ostatnich maruderów w bocznych uliczkach cichły. Dobiegające z dala głosy dwóch obśmiewających się z czegoś dziwek wydawały się flirciarskie, bezcielesne, krzepiące. Henderson szedł w stronę swojego statku, kiedy natknął się na młodego Anglika. Nie miał wątpliwości, że to Anglik, bo wyraźnie zawiany młodzieniec stał pośrodku brukowanej kei i mamrotał bełkotliwie:

– Byłem pewny, że to wszystko będą Indianie. – W jego głosie dało się słyszeć szczere zdziwienie. – Mógłbym sobie dać za to rękę obciąć.

Henderson uśmiechnął się. Nieznajomy musiał być z dziesięć lat młodszy od niego. Dość dobrze ubrany, niósł nowiutki worek marynarski. Wyraźnie zawitał tu niedawno. Może być zabawnie – stwierdził i głośno odchrząknął.

– Chłopie, Indian w tych stronach nie widuje się prawie nigdy – powiedział wyraźnie, jego angielski akcent dźwięczał niczym szklanka pełna czystej zimnej wody. – Spotykałem ich

w głębi kraju, nagich od pasa w górę, przystrojonych piórami, ale na wybrzeżu są rzadkością.

Anglik nie spodziewał się odpowiedzi. Zaskoczony, okręcił się na pięcie z nożem w rękę, po czym zmrużył oczy, by w słabym świetle lepiej przyjrzeć się potencjalnemu napastnikowi. Dwóch marynarzy minęło ich obojętnie. Henderson milczał. Wysoki i przystojny, nosił się jak dżentelmen. Był też dobrze zbudowany i w razie potrzeby doskonale radził sobie w walce wręcz – miał silne, szczupłe ramiona człowieka, który potrafi zadać silny cios. Nie obawiał się konfrontacji. Kąciki jego ust uniosły się nawet w lekkim uśmiechu.

– Musisz być desperatem albo szaleńcem, albo jednym i drugim, żeby iść do dżungli, jednak ty mi na takiego nie wyglądasz. Ale to właśnie tam żyją Indianie, jeśli naprawdę chcesz ich spotkać. – Jego blade oczy spokojnie obserwowały ostrze.

Anglik wpatrywał się w Hendersona, usiłując umiejscowić akcent – można go było określić jako londyński z naleciałościami rodem z Brazylii i Nowego Jorku, nijak miał się do doświadczeń młodzieńca.

– Nie potrzebujesz noża, stary – dodał kapitan i jak gdyby nigdy nic wyciągnął rękę, próbując uspokoić młodego człowieka. – Nie mam złych zamiarów. Nazywam się Henderson.

Po chwili zastanowienia młodzieniec schował broń, chwycił wyciągniętą dłoń i serdecznie nią potrząsnął.

– Will Simmons. Przepraszam. Przestraszyłem się, słysząc angielski.

– Całkiem zrozumiałe – odparł kapitan, niewzruszony niczym polerowany granit. Zaciekał go ten włóczący się po nocy podcięty znajda. A ponieważ nie śpieszyło mu się na statek, postanowił go wybadać. Wyciągnął fajkę z kieszeni, starannie napełnił cybuch szagiem<sup>[14]</sup> i zapalił.

Will poczuł dym o mocnym aromacie toffi. W Londynie nie byłoby to nic nadzwyczajnego, ale tutaj, na niemal wymarłym nocną porą nabrzeżu, miał wrażenie, że zobaczył błądy cieni Anglii. Jego usta ułożyły się w podkuwkę.

– Dopiero co przybiliście? Wybacz ciekawość, ale gdzie cumujecie? – zapytał Henderson.

– Wykupiłem rejs w jedną stronę, statek już odpłynął. – Will zdusił czkawkę. – Mam tutaj pośredniczyć w pewnym biznesie. Czy zna pan może *senhora* Dourada, *sir*? Szukam go od kilku godzin, ale nikt tutaj nie mówi po angielsku.

Henderson w zamyśleniu zaciągnął się fajką.

– Jest tutaj handlowiec o tym nazwisku – odparł w końcu. – Ma magazyn tam – wskazał – w końcowej części nabrzeża. Jednak rzadko kiedy osobiście dogląda swoich spraw, ma ludzi od pilnowania towarów...

– Ale ja muszę pomówić z nim osobiście – oznajmił Will nieco dramatycznym tonem, co zapewne należało złożyć na karb jego młodości.

– No to najpewniej zastaniesz go w domu. Na twoim miejscu wybrałbym się jutro do miasta. Na plac. – Henderson wskazał kierunek. – To właściwe miejsce, żeby się czegoś wywiedzieć. Teraz większość miejscowych leży już w łóżkach. Interesy w dokach załatwia się długo, ale nawet tutaj wszystko kiedyś się kończy. Jestem pewny, że rano *senhor* Dourado będzie w domu.

Will pokiwał głową.

– Dziękuję, panie Henderson.

– Panie kapitanie – poprawił go Henderson. – Pożegnam się zatem – rzekł, uchylając kapelusza. – Dobrej nocy. – Jeszcze raz obrzucił młodzieńca badawczym spojrzeniem. Jeśli miał robić interesy z Douradem, to ewidentnie coś kombinował. Ale to nieważne, nie jego sprawa. Jednak... Simmons dopiero co przybył z Anglii. Henderson nie pamiętał już, kiedy ostatnio był w domu, w Londynie. Co najmniej piętnaście lat temu. Chłopak w jakiś sposób przypominał mu to miasto, lecz Henderson nie był pewien co, jeśli cokolwiek, miałby powiedzieć. Nic nie przychodziło mu do głowy. Uniósł rękę i wszedł na trap wiodący na niewielki, nieco sfatygowany statek. Dwóch marynarzy na wachcie zerwało się na nogi.

– Czy ten statek przyplłynął z Anglii? – zawołał Will za odchodzącym. Wyrwało mu się to zupełnie niezamierzenie.

Henderson zdawał sobie sprawę z tego, że jego okręt prezentuje się dość osobliwie, może nawet staroświecko. Odwrócił się na szczycie trapu i lekko pochylił konspiracyjnie.

– „Bittersweet” to piękność, prawda? Doskonale się nim steruje. Może jest tradycyjnie zbudowany, ale za to świetnie radzi sobie na płyciznach. Da się nim wpłynąć do niemal każdej zatoki. – Puścił oczko.

Kiedy Simmons uśmiechnął się ze zrozumieniem, Henderson odpowiedział mu uśmiechem. Ach – pomyślał – tu cię mam. Jesteś przemytnikiem.

– Przypomina karawelę albo fleutę – powiedział Will.

Henderson wzruszył ramionami. „Bittersweet” był szerszy niż liniowiec i za płytki jak na towarowiec. Mieścił maksymalnie dwudziestu ludzi. Dziwaczna dla Anglika konstrukcja tutaj nie wydawała się tak niespotykana. W końcu karawele to portugalski wynalazek.

– Jankesi uwielbiają poranną czekoladę – zauważył, opierając się o burtę.

Will przerzucił worek przez ramię. Co za fartowne spotkanie. Otepiały od rumu umysł zaczął pracować. Henderson mówił po angielsku i wyglądał na gościa, który mógłby zająć się transportem do Londynu. Przyzwoity, ale nie nazbyt, spłacił swoje długi i nie siedział w ciupie dłużej, niż wypada. Tak jak powiedział pan Grant. Will planował najpierw zabezpieczyć transport, a potem szukać kapitana, ale skoro nadarzyła się okazja, to trzeba z niej skorzystać. Jeśli się zastanowić, sfatygowany stary statek był idealny – nie powinien zwrócić uwagi niewłaściwych osób. Will odchrząknął.

– Będę chciał zaproponować panu współpracę, kapitanie, muszę tylko najpierw rozmówić się z Douradem. Mam zamiar kupić ziarna kakaowca. Słyszałem, że to tutejsza specjalność. Potem będę musiał je przetransportować.

Henderson oparł się wygodniej o burtę. Kakao stanowiło jego ulubiony fracht. Jego transportem trudnił się od małego.

– Dokąd chcesz je dostarczyć? – zapytał cicho.

– Do Anglii, oczywiście.

Simmons to prawdziwy żółtodziób – pomyślał Henderson. Dla niego nie istniał inny cel podróży.

– Handel kakao rozwija się w okolicach Wash<sup>[15]</sup>?

– Tak, *sir*. I kwitnie.

Kapitan pokiwał głową. Anglia oznaczała dla niego Londyn. Tam dorastał. Gdzieś w mętnych zakamarkach jego umysłu to wciąż był jego dom. Zdjął kapelusz i przeczesał włosy. Powrót brzmiał nęcąco. Niemniej jednak omawianie ewentualnej współpracy przy osobach postronnych byłoby głupotą. Brazylia przymykała oko na wiele więcej niż inne kraje, ale przemysł wciąż stanowił tutaj poważne przestępstwo. Henderson bez pośpiechu rozważył sytuację.

– Czy mogę zaproponować ci drinka i babeczkę budyniową? – zapytał ostatecznie. – Znajdujesz się teraz na terytorium portugalskim, a jedną z rzeczy, jakie Portugalczycy opanowali do perfekcji, są babeczki z ciasta francuskiego z kremem jajecznym. *Pastéis de nata*, tak je nazywają. Ja lubię je posypane cynamonem. Miałeś już okazję ich spróbować?

– Jeszcze nie, ale z przyjemnością zrobię to teraz – odrzekł Simmons z uśmiechem, wchodząc na trap.

---

[13] Eel Pie Island – dosłownie: wyspa pasztecików z wędzorem; nazwa nawiązuje do Eel Pie House – zajazdu, który serwował popularne wśród niezamożnej londyńskiej społeczności *pie and mash*, czyli placki nazywane wędzorem (tańszym zamiennikiem wołowiny) z tłuczonymi ziemniakami w sosie pietruszkowym.

[14] Szag – typ suchawego drobnego tytoniu ciętego w długie paski.

[15] The Wash – zatoka Morza Północnego i estuarium na wschodnim wybrzeżu Anglii.



## GABINET LORDA COCHRANE'A, RECIFE

Angelino stał przy drzwiach z zaczesanymi za uszy siwiejącymi włosami, niby to w razie gdyby był potrzebny, a tak naprawdę z zadowoleniem podsłuchując. Plotkowano, że Angielka jest kochanką lorda Cochrane'a. Angelino jednak uważał to za mało prawdopodobne. Lady Cochrane była młodsza i piękniejsza od pani Graham. Poza tym jaśnie pani spała na piętrze, tuż przy pokoju dzieciennym, w którym drzemały jej pociechy. Niemniej Angelino wolał wiedzieć, co też jaśnie pan i ciemnooka *dona*<sup>[16]</sup>, sami w ten chłodny wieczór, kombinują. Schylił się i przyłożył oko do dziurki od klucza w starannie wyrzeźbionym miedzianym zamku. Po chwili, kiedy jego wzrok skupił się i wyostrzył, zobaczył pokój o ścianach w kolorze chłodnej zieleni, pełen oprawionych w skórę książek. Połączony brązowy zegar ustawiony na kominku z białego marmuru wybił właśnie północ. Angelino oparł dla wygody rękę w krok i wytężył słuch.

Admirał Cochrane odziany był w strój nieformalny. Jako dowódca brazylijskiej marynarki pozwalał sobie czasem na pewną swobodę w ubiorze. Dziś założył eleganckie spodnie w kolorze bladego złota i podkreślający sylwetkę ekstrawagancki zielony żakiet. Maria uważała, że prezentuje się bardzo dobrze. Admirał nalał jej kieliszek czerwonego wina, po czym podszedł do otwartego na oścież okna i zaczął krążyć w tę i z powrotem. Słońce już dawno zanurzyło się w oceanie, roztapiając na powierzchni wody lśniące pomarańczem promienie. Ciemność rozpraszały znaczące kontur portu pokładowe latarnie. Maria znała admirała Cochrane'a od niemal dwudziestu lat. Zawsze rozmawiali ze sobą otwarcie.

– Kitty źle znosi tutejsze warunki – zwierzył się jej lord. – Nie może się doczekać końca konfliktu.

– Trudno ją za to winić, ale na Boga, Thomasie, przecież dopiero co rozpoczęliście walki?

Maria sączyła wino, długie satynowe rękawiczki w kolorze miodu podkreślały szczupłość jej nadgarstków. Co za wygoda znów znaleźć się na łonie cywilizacji – pomyślała. Dwie kąpiele i cały dzień starannego rozpakowywania – tyle czasu zajęło jej pozbycie się śladów po lesie deszczowym. W międzyczasie opowiadała młodszym dzieciom admirała historie o dżungli, starsze instruowała, jak grać w karty, oraz wypełniała rozmaite obowiązki związane ze swoim

statusem.

– Po południu odwiedziłyśmy z Kitty szpital. Trudno nazwać to doświadczenie budującym, biedne duszyczki.

Konsekwencje działań zbrojnych nie były Marii obce, ale wcale jej to nie pomogło. Ranni leżący na zatłoczonych, słabo wyposażonych salach umierali jak muchy, wyniszczani przez rozległe zakażenia ran pooperacyjnych. Słodki smród gangreny, który owiał kobiety, gdy zakładały fartuchy i podwijały rękawy, przyprawiał o mdłości. Lady Cochrane po raz pierwszy zetknęła się z wojną. Na szczęście udało jej się powstrzymać łzy przy rannych. Rozpłakała się dopiero w powozie, w drodze do domu. „Nie możemy pozwolić, żeby dzieci to zobaczyły. Ani Thomas. – Kitty starała się osuszyć oczy. – Nie potrafię się powstrzymać od zamartwiania się o wszystko” – powiedziała Marii, pociągając nosem. Ale snu z powiek Kitty Cochrane nie spędzał tylko stan rannych żołnierzy oraz wymęczonych walkami oddziałów. Jej rodzina przeniosła się do Brazylii, ponieważ admirał został w Londynie zdyskredytowany. „Chodzi mi o reputację Thomasa. Nigdy nie martwię się o niego podczas ataku czy bitwy. Bo on nie może umrzeć, Mario, nie umrze, dopóki nie sprawi, że wszyscy znowu będą z niego dumni. Dziękował Bogu, kiedy wybuchło to powstanie. Teraz będzie mógł odbudować swoje dobre imię”. Maria współczuła Kitty. Przez plotkę można było stracić wszystko. Była pewna, że admirał nie ma na sumieniu tego, co mu przypisywano – oszustwa giełdowe nie leżały w jego naturze. Ale Londyn nie znał litości dla tych, którzy w towarzystwie przestawali cieszyć się względami. Na razie Cochrane znajdował się w niełasce. Maria położyła dłoń na ramieniu Kitty. „Zostanie ułaskawiony. Ludzie ujmą się za nim. Na pewno. Wszystkim zaimponują jego wojskowe sukcesy. Thomas jest wspaniałym człowiekiem, Anglia jeszcze się na nim pozna. Po prostu zajmie to trochę czasu. W końcu każdy może odzyskać dobrą reputację, zwłaszcza jeśli ma talent”.

Admirał upił bordo i usiadł w skórzanym fotelu.

– Taka praca – powiedział. – Brazylia będzie niepodległa. Za wszelką cenę. Najlepiej załatwić to szybko. Żeby w ostatecznym rozrachunku ograniczyć liczbę ofiar.

– Wiem – odparła Maria poważnym tonem, usiłując wyrzucić z pamięci wspomnienie prowizorycznego szpitala, sinych ciał i przeraźliwego cierpienia. Rozpaczanie w niczym nie pomaga i nie sprawi, że szybciej dotrze do Londynu albo wróci do swoich obowiązków w Rio. – Zmieniłeś losy wojny w zaledwie sześć tygodni, Thomasie. To niesamowite. Ich Cesarskie Moście muszą być zachwycone. Jednakże – przyznała – nie przybyłam tutaj tylko po to, by dostarczyć ci notę od Jaśnie Pani. Potrzebuję twojej porady, jak mam dotrzeć do domu.

Cochrane odstawił kieliszek.

– Doprawdy, Mario, nie powinnaś teraz podróżować. Nie mogę sobie wyobrazić, co oni

sobie myśleli, wysyłając cię na tę wyprawę, poza tym, że masz dostarczyć ich listy. Jesteś nieostrożna, moja droga. Żaden statek nie popłynie do Anglii. Minie co najmniej miesiąc, zanim się tutaj uspokoi. Wtedy możemy ci znaleźć transport.

Maria pokręciła głową. Obiecała wrócić na dwór tak szybko, jak to możliwe. Była pewna, że nawet w czasie wojny można się stąd wydostać.

– Wszystko bardzo pięknie, tyle że ja nie mam miesiąca. Muszę wrócić do Londynu.

– Do Londynu? Moja droga pani, w tej chwili nie mam pojęcia, jak mielibyśmy wyprawić cię z Recife – odpowiedział Cochrane. – Nie mogę poświęcić na to żadnych środków. Być może wygraliśmy bitwę, ale nie zwyciężyliśmy wojny. W Londynie jestem już wystarczająco spostonowany, nie potrzebuję być dodatkowo osobnikiem, który stracił drogocenną panią Graham na pełnym morzu, bo źle ją wyekspediował. Murray nigdy by mi nie wybaczył. Nie możesz poczekać?

– Głuptas z ciebie. – Maria roześmiała się. – „Drogocenną panią Graham”.

Admirał jednakże był niewzruszony. Nie zdradził jej, że dostał list od lady Dundas. Biorąc pod uwagę jego dyskredytację w towarzystwie, stara wiedźma musiała być naprawdę zdesperowana. Ale w Ameryce Południowej nie przebywało zbyt wielu Anglików, a już zwłaszcza w Brazylii. Mając wzgląd na ton listu, admirał nie był pewien, czy Maria powinna wracać do Londynu. Mimo iż lady Dundas nigdy nie lubiła swojej bratanicy, było jasne, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by biedaczkę przy sobie zatrzymać. Z drugiej strony Maria przywykła do obstawania przy swoim. Jeśli lady Dundas rzuci jej wyzwanie, chciałby być świadkiem tego pojedynku. Maria obdarzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Jesteś pewna, że chcesz wracać? – zapytał. – Wybacz, moja droga, lecz w instrukcjach Jej Cesarska Mość nie wspomina nic o przeprowianiu cię przez ocean, a ja mam mało ludzi.

Maria przełknęła tę informację.

– Muszę – powiedziała stanowczo. Poradzi sobie, z pomocą Cochrane’a czy bez niej, choć łatwiej by było ze wsparciem admirała. Ale była zdeterminowana.

Skórzana torba na dokumenty leżała otwarta na stole. Instrukcje były jasne. To jeszcze nie koniec zmagania i choć walka może trwać do Bożego Narodzenia, Cochrane musi obsadzić wybrzeże i odeprzeć portugalskie okręty oraz odizolować stronników Portugalii na lądzie. Do walki ma stanąć cała flota.

– Boże, proszę, nie mów, że muszę znowu przedzierać się przez dżunglę – westchnęła żartobliwie Maria.

– Słyszałem – powiedział Cochrane z półuśmiechem, poprawiając starannie zawiązany jedwabny fular w kolorze złota – że tam wszystko ma zęby.

Oczy Marii zabłyśły.

– Nawet *senhor* da Couto. – Pochyliła się. – Przysięgam, że pod koniec naszej przeprawy marzył o tym, żeby wyprawić mnie na tamten świat. Chyba nikt nigdy nie chciał się ze mną tak szybko pożegnać. A i ja nigdy nie czułam tak wielkiej ulgi, że mój eskortant doprowadził mnie na miejsce w jednym kawałku. Dżungla była trudna i budziła grozę, da Couto podobnie. Jeśli mam poruszać się dalej drogą lądową, przynajmniej będzie to na moich warunkach i sama sobie dobiorę towarzyszy.

– To bogata ziemia, która potrafi chronić swoje skarby. – Cochrane opróżnił kieliszek i przeniósł się w myślach do rodzinnej posiadłości w nadmorskim Culross w hrabstwie Fife, gdzie węgiel dosłownie wyrywało się z cienkich pokładów zalegających pod dnem zimnej szarej zatoki. Rodzina Cochrane'ów zatrudniała armię górników, silnych niczym kopalniane kuce i niewiele wyższych. Kolejne ich pokolenia aż do niedawna pracowały w systemie pańszczyźnianym. Teraz było to już tylko odległe, nieco wyblakłe wspomnienie.

Maria zdawała sobie sprawę, że ma szczęście, mogąc wrócić do domu. Nie chciała się z tym afiszować.

– Dżungla jest niebezpieczna, to wrogi żywy koszmar – zauważyła. – Rani i gnębi, choć moje skaleczenia i siniaki zawsze szybko się goiły. Przynajmniej dziś będę mogła spać w prawdziwym łóżku. – Naprężyła i rozluźniła nogi pod osłoną sukni, aby przynieść ulgę spiętym kostkom.

Lord Cochrane zlustrował panią Graham uważnym spojrzeniem. Spoczywając na sofce, emanowała elegancją. Tego wieczora nikt by nie uwierzył, że jest sawantką, ponieważ z widoczną przyjemnością porzuciła noszoną na co dzień mało gustowną szarą suknię podróżną na rzecz modniejszej, spływającej kaskadami satynowej toalety. Elegancko ułożone ciemne włosy spięła szpilką ozdobioną niebieskim piórkiem, szlachetnym kamieniem i perłami. Spowijający ją aromat orchidei rozpraszał unoszący się w gabinecie zapach starego papieru i laku. Lekarz ze szpitala zameldował, że podniosła żołnierzy na duchu. Maria Graham miała coś w sobie. Choć nieustannie podróżowała, co już czyniło ją kobietą nietuzinkową, uosabiała skrawek domu. Niewiele kobiet obdarzonych zostało osobowością pozwalającą na odbywanie dalekich wypraw. Jeszcze mniej stanowiło tak dobre towarzystwo. Lord podejrzewał, że postawi na swoim, w ten czy inny sposób.

– Chętnie popłynęłabym statkiem towarowym, gdyby była taka moż...

– Moja droga – wtrącił się Cochrane – wiem, że nie ma sensu mówić ci, co masz robić.

Maria zaczerwieniła się i złożyła ręce na podołku.

– Pomyślałam tylko, że statek towaro...

Cochrane zrozumiał, że owijanie w bawełnę nie przyniesie skutków, więc podniósł rękę, znów wchodząc pani Graham w słowo.

– Jeśli rozważasz rejs statkiem handlowym, to musisz wiedzieć, że nie masz do wyboru zbyt wielu jednostek. Z pewnością trudno ci będzie znaleźć wolną koję. W czasie wojny najbardziej opłaca się przewozić żywność i broń, a nie angielskie damy. Poza tym, co nie powinno zaskakiwać w obecnej sytuacji, każdy okręt dowodzony jest przez oportunistę. Może nie są piratami albo przemytnikami, ale w gruncie rzeczy niewiele się od nich różnią. W zeszłym tygodniu musieliśmy powiesić pół tuzina renegatów i to po tym, jak im zaoferowaliśmy możliwość przyłączenia się do nas. Wiesz, że nie mam nic przeciwko handlowi, Mario. Mężczyźni trudniący się handlem mogą być dżentelmenami, ale ludzie robiący interesy w tych okolicznościach... Nie będę zachęcać cię, abyś oddała swoje życie w ręce takich osobników. I nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś damą. Mężczyźni powiedziałbym dokładnie to samo. Jednak kobiety są narażone na pewne wyjątkowo bolesne upokorzenia i mogłabyś się znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie. Zwłaszcza gdybyś została pojmana.

Maria pokiwała głową. Cochrane brzmiał szczerze, w przeciwieństwie do wielu innych mężczyzn, którzy wydawali się zwyczajnie zirytowani kobietą, która pragnęła czegoś więcej niż lekka popołudniowa przejażdżka. Musiała stawiać czoło takim poglądom, odkąd skończyła osiem lat, kiedy to decyzje podejmowano wbrew woli jej matki. Wtedy zrozumiała, że wszyscy chcą dyktować małej dziewczynce, co ma robić – jak ma się ubierać, co ma czytać – aż w końcu spakowali ją i odesłali do tej znienawidzonej szkoły, oddalonej o dziesiątki kilometrów. Z początku modliła się, by pozwolili jej pojechać z ojcem na jego następną misję. Na próżno. Potem powiedziała sobie, że restrykcje skończą się, gdy osiągnie dorosłość. Tak się nie stało. Wszyscy chcieli dyktować młodej damie, co ma robić. Cochrane był jednak przyjacielem. Mówił jej prawdę, tak jak ją widział.

– Rozumiem – powiedziała. – Tylko że da Couto wynajął statek.

– Łajbę – zaproponował admirał. – To była łódź rybacka. W dodatku płyną na południe. To co innego. Aby przekroczyć Atlantyk, potrzebujesz czegoś zdarnego do żeglugi.

– Och, łódź rybacka mi nie przeszkadza – podchwyciła. – Przynajmniej pokonałabym część drogi. Moją jedyną alternatywą jest skierować się w głąb łądu i podążać na północ, aż dotrę do kolejnego portu.

– Da Couto to głupiec.

– Bez wątplenia. – Oczy Marii zabłyszczały. Wyciągnęła szyję niczym łabędź. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że mogłam się go pozbyć i oddać się w twoje kompetentne ręce.

Interior był stanowczo zbyt niebezpieczny. Cochrane westchnął. Zdawał sobie sprawę, że jeśli się nie zaangażuje, Maria jest gotowa wprowadzić swój szalony plan w życie i powiosłować w nieznaną. A to oznaczało kłopoty. Podniósł ręce w geście poddania.

– Wykończysz mnie. Za kilka dni wysyłam dwie jednostki w górę wybrzeża. To zwykły

rekonesans, ale jeśli napotkają wrogie okręty, podejmą walkę. Jeden z nich mógłby popłynąć okrężną drogą i podrzucić cię gdzieś z dala od Recife, poza centrum działań rebeliantów. Gdzieś, gdzie miałybyś szansę na bezpieczne zaokrętowanie. – Cochrane wyciągnął mapę z biurka. – Muszę znaleźć miejsce, w którym można by cię wysadzić. – Po chwili palec admirała zatrzymał się. – Czy byłeś już w Natalu? To stolica stanu Rio Grande do Norte i całkiem spory port handlowy. – Maria pokręciła głową. – Jest bezpieczny. A może raczej wystarczająco bezpieczny. Wcześniej opowiedział się za cesarzem i nie bierze bezpośredniego udziału w walkach. Ruch handlowy jest ograniczony, ale łatwiej będzie ci znaleźć jednostkę zmierzającą do Anglii albo chociaż do Ameryki Północnej, a tam możesz się przesiąść na docelowy statek. To powinno uchronić się przed kłopotami.

– Dziękuję – powiedziała Maria z uśmiechem. – Choć nie obawiam się kłopotów, lordzie Cochrane.

Cochrane postukał palcem w mapę, zadowolony, że znalazł rozwiązanie.

– Co ty nie powiesz – odparł.

Radość rozjaśniła twarz Marii mocniej niż blask świec. Admirał odpowiedział jej uśmiechem. Przypomniał sobie, że młody komandor Graham był pod wrażeniem siły charakteru i odwagi swojej małżonki. Mówił, że to najtwardsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, i zapewne nie mijał się z prawdą. Cochrane podejrzewał, że miał nadzieję, iż doczeka się synów. Maria przywodziła na myśl znaną z monet antyczną personifikację Brytanii – było w niej coś nieustraszonego, nieposkromionego. Słyszał, że nie straciła głowy podczas trzęsienia ziemi, które nawiedziło Chile rok wcześniej. A przecież starsi i bardziej doświadczeni mężczyźni dali się porwać panice. Po wszystkim siedziała spokojnie, robiąc notatki, opisując gwałtowne ruchy warstw skalnych. „Na potrzeby publikacji – wyjaśniła. – Nie wiemy jeszcze wystarczająco dużo na temat tego fenomenu. A sposób na to jest tylko jeden” – dodała ostro, kiedy jej niedoszli ratownicy usiłowali ewakuować ją, obawiając się wstrząsów następczych.

– Wy, kobiety! Pisarki! – Admirał ponownie napełnił kieliszek. – Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że łatwiej byłoby udać się gdzieś, gdzie nie ma właśnie wojny albo nie przetacza się huragan? Ze służącą?

Maria roześmiała się. Teraz, kiedy miała plan, mogła się odprężyć.

– Nie potrzebuję pomocy, czy to przy ubieraniu się, czy przy podróżowaniu. Ale jestem ci wdzięczna za wsparcie. Natal będzie wspaniały. Dziękuję – Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Admirał zaczerwienił się. Zwinął mapę i upił wina.

– To nie może znaleźć się w twoich gryzmołach, moja droga. Proszę, przez wzgląd na potomność, odpłynąć bez mojej ingerencji. Zgodnie z prawem nie powinienem iść ci na rękę. To

będzie nasz sekret. – Cochrane wrócił na swoje miejsce. – A tak na marginesie, muszę powiedzieć, że dość mocno upodobniłaś się do tubylców...

– Cóż, faktycznie będę tęsknić za tutejszą kawą – rzuciła Maria z półuśmiechem. – Stałam się prawdziwą miłośniczką małej czarnej. Wyobrażasz sobie, że mieliby mnie obsłużyć w którejś z londyńskich kawiarni<sup>[17]</sup>?

Lord roześmiał się drwiąco. To dlatego Maria stanowiła tak świetne towarzystwo.

– Moja droga, niedługo będziesz próbowała handlować akcjami albo połakomisz się na fotel w Westminsterze<sup>[18]</sup> – powiedział pobłażliwie.

Maria z chęcią wsparłaby takie dążenia, ale wiedziała, że admirał żartuje.

– Już nie mogę się doczekać przejażdżek konnych w parku pod drzewami i choć to dziwne, angielskiego puddingu, zawiniętego w lnianą ściereczkę i gotowanego w kąpieli wodnej, jedzonego łyżeczką...

Oczy Cochrane'a zgasły.

– Tak. Oczywiście.

Admirał nagle spowaźniał. Tęsknił za Anglią, ale nigdy by się do tego nie przyznał. Maria przygryzła wargę. Nie miała zamiaru go zasmucać.

– Wybacz, Thomasie – zaczęła, ale on podniósł rękę.

– Też mi się to marzy – powiedział i wyprostował się. – Cóż, będziesz z nami przez kilka następnych dni. Kitty i dzieci ze smutkiem przyjmą twój wyjazd, moja droga.

– Tylko kilka dni?

– W rzeczy samej. Chirurg zapewnił mnie, że konający pożegnają się z tym światem do końca tygodnia. Zastąpię ich niewolnikami, pozwolę im odpracować wolność. Oprócz niej dostaną pierwsze w życiu uposażenie, a my będziemy mieć pełną załogę. Nigdy jeszcze nie miałem tak chętnych poborowych, teraz musimy ich tylko wyszkolić.

– Ach, to chyba z tego powodu żołnierze nazywają cię Papą Cochrane'em.

– Tak mnie nazywają? – Cochrane zbladł, autentycznie skonsternowany tą wiadomością. – Wielkie nieba, Kitty będzie zbulwersowana. Obiecuj mi, Mario, że nie zrobisz nic głupiego. Rio Grande do Norte to najlepsze, co mogę zaoferować. Dalej musisz postępować bardzo ostrożnie...

Pani Graham wyciągnęła dłoń na zgodę.

Gdy lord Cochrane zawołał Angelina, lokaj pojawił się bezzwłocznie. Admirał pomyślał z ulgą, że przynajmniej jakość obsługi w Brazylii jest bez zarzutu.

– Przynieś kaganek – zarządził. – Muszę jeszcze popracować, a pani Graham powinna już udać się na spoczynek.

– Dobrej nocy, Papo – zażartowała Maria.

Idąc korytarzem, pani Graham postanowiła posiedzieć jeszcze i pozachwycać się pokrytymi esówkami dachami Recife na tle pełnego baranków firmamentu. Wiedziała, że po dotarciu do domu będzie tęsknić za południowym niebem, ale przynajmniej tutaj przez noc albo dwie mogła zwinąć się w kłębek przy oknie i chłonać.

Angelino przytrzymał drzwi do sypialni i zapalił świece. Osobliwy jegomość wciąż na nią zerkał.

– To wszystko – zwolniła go ze służby.

Musiała uważać. Cochrane'owie byli ludźmi, którym mogła przyznać się do słabości, ale kobiecie z wyższych sfer bardzo łatwo utracić szacunek. Dama może być sobą na górskim szczycie, nawet w sercu dżungli, ale na łonie cywilizacji musi się wdziękzyć i w żadnym razie nie powinna chodzić na skróty. Maria nigdy nie potrafiła długo tego wytrzymać.

---

[16] Dona – pani, dama.

[17] Choć nie było to powszechne w ówczesnej Europie, w Wielkiej Brytanii kawiarnie przeznaczone były tylko dla mężczyzn – kobiety obejmował zakaz wstępu.

[18] Westminster – tutaj synonim brytyjskiego parlamentu, którego siedzibą jest pałac westminsterski.



## NATAL

Will wytropił Dourada następnego dnia. Tak jak mówił Henderson, z dala od doków łatwo otrzymał wskazówki, jak trafić do jego domu. Natal był miastem spłowiałej świetności. Słońce jeszcze nie stało w zenicie, ale skwar robił się coraz większy. Powietrze było tak przesycone aromatem wypieków, że nie dało się powiedzieć, skąd zapach się rozchodził. Grupka bosych chłopców siedziała w kurzu, bez większego przekonania bawiąc się gumową piłką i obrzucając przechodniów spojrzzeniami twardymi niczym diament. Z pustostanu, który straszył zabitymi deskami oknami, dobiegał płacz niemowlęcia. Zdezelowane furmanki zaprzęzione w muły wiozły kosze warzyw na targ.

Will zatrzymał się niewiele dalej, wziął głęboki oddech i zapukał do drzwi wysokiego, bogato zdobionego budynku. W Anglii siedziby zamożnych handlowców były schludne, wręcz wymuskane, tutaj miało się wrażenie, że za sekundę dom się rozsypie – zgaszony bladuróżowy tynk z oddali zdawał się tak niewyraźny, że patrzący zastanawiał się, czy nie ma zwidów. Z bliska dostrzegano, że pomarańczowe okiennice są mocno sfatygowane, farba odchodzi od ścian długimi płatami, a mosiężne ornamenty pokrył zielony nalot. Will został zaproszony do środka przez lokaja, który wyglądał na zaskoczonego tym, że ktoś przyszedł z wizytą. Mężczyzna odziany w wytłaczany wzorami krzykliwy żakiet miał skórę tak ciemną jak palona kawa. W milczeniu poprowadził Willa przez pograżony w mroku korytarz. Po wspinaczce na wzniesieniu panujący wewnątrz chłód przynosił ulgę. Dourado siedział w swoim gabinecie, olśniewający w ozdobionym świecami fotelu z czerwonej skóry. Pulchny handlowiec w średnim wieku był wyraźnie zadowolony z wizyty. Gdy tylko dobili interesu, zaproponował Willowi porto i herbatniki.

Porto stało się w Brazylii potężnym politycznym narzędziem. Dourado nie chciał sprzedawać go w swoim magazynie, mając świadomość, że mogłoby to naznaczyć go piętnem niepatriotycznego recydywisty. Było to sprytne posunięcie, bo odkąd Brazylijczycy zażądali zwrotu swojej ziemi, a Portugalczycy zaczęli się wycofywać, wieszano za znacznie lżejsze przewinienia niż upodobanie do portugalskich trunków. A ponieważ żał byłoby zmarnować znakomite wino z najlepszych roczników, Dourado oznaczył beczki jako „przeznaczone na

użytek własny” i beznamiętnie przebijał się przez cały zapas. Simmons – nowo przybyły Anglik, nieurazony pochodzeniem oferowanego trunku – nieoczekiwanie okazał się prawdziwym koneserem. Sącząc rubinowy nektar, wyrażał uznanie dla szlachetnego bukietu i wiekowych kieliszków ze spiralnymi nóżkami, z których Dourado był wyjątkowo dumny.

Starszy mężczyzna ponownie napełnił kieliszki i przełamał herbatnik na pół tak stanowczym ruchem, że jego długie koronkowe mankiety zafalowały. Miło było mieć nowe towarzystwo. Ostatnio życie kulturalne Natalu zamarło. Nawet opera od miesięcy świeciła pustkami. Niemniej jednak miasto wciąż stanowiło centrum handlu drewnem, rumem, solą, tytoniem, cukrem i ziarnami kakaowca – skarbami z położonych w głębi łądu plantacji albo wyrwanych z trzewi dżungli, rozciągającej się daleko na południe niczym ogromne szmaragdowe jezioro, w którym *senhor* Dourado i jemu podobni co jakiś czas zanurzali się nie dla przyjemności, ale dla profitów. To właśnie dlatego Dourado wciąż tkwił na cichej, sennej prowincji, zamiast przenieść się na południe, gdzie rezydował dwór. Przez większość czasu był zadowolony ze swojej decyzji. Mimo to zdarzało mu się tęsknić za szczęśliwymi dniami Natalu – zanim wybuchła wojna, kiedy co wieczór można było usłyszeć inny koncert, a w weekendy rozkoszować się operą.

– Czekałem na pana – powiedział.

Will wzruszył ramionami.

– Mieliśmy problem z ostatnim transportem. Kapitan okazał się niesolidny. Od tej pory będzie pan prowadzić interesy ze mną, o ile to panu nie przeszkadza, *sir*. Jeśli nasza współpraca wypali, być może zaczniemy działać na większą skalę. Dżentelmeni z klubu skontaktują się z panem.

Dourado pokiwał głową. *Os ingleses* – Anglicy – od ponad dziesięciu lat należeli do jego najlepszych klientów. Znaleźli go z polecenia dawno już zmarłego znajomego. Dourado nie znał nazwisk ani adresów swoich londyńskich kontrahentów, ale płacili z góry – a to rzadkość na tym nieufnym świecie – i mimo sporadycznych zmian w grafiku w dużej mierze można było na nich polegać. Dourado oferował im dobrą cenę za regularne usługi. Chłopak zdawał się nieopierzony – w przeciwieństwie do kapitanów, którzy dwa razy w roku zjawiali się po paczkę.

– Czy zechciałby pan zjeść ze mną lunch, *senhor* Simmons?

W pierwszej chwili Will miał ochotę się zgodzić, ale ostatecznie pokręcił głową. Nie był głodny. Natal już hojnie obdarował go o poranku smażonymi w dokach gorącymi pączkami. Poza tym czekało go jeszcze jedno spotkanie. Henderson obiecał zorganizować w zamian za prowizję ładunek ziaren kakaowca. Z początku Will chciał kupić ziarna od Dourada, ale Henderson zarzekał się, że może zdobyć je taniej, a jakkolwiek by było, im więcej pieniędzy Will zarobi, tym więcej zatrzyma dla siebie. Dourado dostarczał dżentelmenom z Old Street

Bridge Club ich towar, ale to nie znaczyło, że Will też musi od niego kupować.

– Muszę wrócić do portu – odparł sumiennie. – Sprawdzam próbki towaru przed zakupem.

Dourado zamyślił się, jedną dłoń, ukrytą pod koronkowym mankietem, położył na brzuchu, w drugiej trzymał kieliszek. Spojrzał na Willa swoimi gadzimi oczami, mrugnął wolno, jakby z namysłem.

– Mogę panu pomóc – zaoferował. – Wystarczy, że powie pan, czego potrzebuje. Mój magazyn jest świetnie zaopatrzone. Rum, kakao, cukier, sól. Mam wszystko.

Simmons pokręcił głową.

– Dziękuję – odparł. – W razie potrzeby na pewno się odezwę.

Nie wierzył, by Dourado zaproponował lepsze warunki niż Henderson. Kapitan, jak się okazało, mógł pozyskać ziarna bezpośrednio od plantatorów w górach. Poza tym zgodził się na przyzwoite honorarium za swoją usługę, co dobrze wróżyło na przyszłość. Will nie zamierzał zmieniać podjętej decyzji. Kapitan był wyraźnie entuzjastą kakao. „Od czasu do czasu przysyłają nawet worek czy dwa ziaren dziko rosnących drzew” – powiedział z błyskiem w oczach, gdyż czekolada wytwarzana z takiego kakao stanowiła wyjątkowy delikates.

– Może, za pana pozwoleniem, zjemy razem podczas mojej kolejnej wizyty? – Will zwrócił się grzecznie do Dourada, po czym odstawił pusty kieliszek na intarsjowany stolik. – Na pewno będę w Natalu jeszcze w tym roku, mam nadzieję, że będę mógł zostać na trochę dłużej. Byłoby mi niezwykle miło spożyć z panem posiłek, *sir*...

Kupiec skinął uprzejmie głową. Zwilżył usta wąskim językiem. Mógł poczekać. Tak naprawdę nawet sprawi mu to satysfakcję.

Will ostrożnie włożył blok czekolady do przytroczonej do paska długiej skórzanej torby. W tym upale musiał porzucić swoją angielską marynarkę z pożytecznymi kieszeniami.

– Nie zepsuje się? – zapytał.

Dourado pokręcił głową, nie okazując odczuwanego zaskoczenia. Jeśli jego zleceńodawcy nie chcieli zdradzać kurierom prawdziwej natury przewożonego towaru, a ten był dosłownie niemożliwy do zepsucia, to on nie zamierzał zawodzić ich zaufania.

– Nie – zapewnił, ściskając swoją chłodną dłoń wyciągniętą na pożegnanie rękę Willa. – Jest bardzo... gęsta. Będę z niecierpliwością czekał na pańską wizytę, panie Simmons.



Kapitan udał się do baru i wytargał jeden z foteli na zewnątrz, gdzie mógł cieszyć się przyjemną bryzą znad oceanu. Zamówił rum i talerz owoców. Zgodnie z lokalnym zwyczajem w czasie największego upału należało zrobić sobie sjeść, ale Henderson, który przybył do Brazylii jako

dziecko, nigdy nie był zwolennikiem drzemania w środku dnia. Zamiast tego wolał spokojny lunch i lekturę. Teraz zdjął kapelusz i odgarnąwszy ciemne włosy, zabrał się do jedzenia. Mango było dojrzałe, jego słodki zapach pobudzał apetyt. Na nabrzeżu grupa bosych *jangadeiros*<sup>[19]</sup> naprawiała w słońcu żagiel. Jeden z nich wybijał na bębnie rytm przywodzący na myśl statki do transportu niewolników, na których, bez wątpienia, część rybaków dotarła do Brazylii. Biały żagiel upstrzony był spłowiałymi złotymi cętkami. Niedługo skończą – pomyślał Henderson, rozpierając się w fotelu. – Może Will wróci do tego czasu.

Polubił młodego Anglika. Załogę „Bittersweet” tworzyła żyjąca z dnia na dzień zbieranina, znajdująca upodobanie w łatwych do przewidzenia, mało finezyjnych przyjemnościach, podczas gdy Simmons wydawał się prawdziwym miłośnikiem podróży. Wczoraj rozmawiali tak długo, że świece z pszczelego wosku wypaliły się niemal do cna, a kabina przesiąkła wonią ciepłego miodu i alkoholu. Henderson nie mógł przestać myśleć o propozycji. To był pretekst, by wrócić do domu. Nie był na starych śmieciach od ponad dziesięciu – nie, policzył – od prawie dwudziestu lat. Ciekawiło go, czy coś się zmieniło. Wsłuchany w siebie i rytmiczne bębnienie sprawnie pokroił owoc na talerzu, włożył jeden wilgotny kąsek do ust i popił rumem.

Londyn wciąż miał nad nim pewną władzę, choć trudno mu było przywołać z pamięci szczegóły – ilekroć próbował, przed oczami stawała mu skromna willa w pobliżu Covent Garden<sup>[20]</sup>. Cały dom pachniał lawendą i tymiankiem, woniami tymi przesiąkły i politurowane komody z żółtodrzewu, i ciężkie poduszki z adamaszku. Echa wspomnień, postrzępione, niewyraźne, zamglone skrawki... Był wtedy mały – zapatrzony w matkę bezczelny smarkacz. Popołudniami, kiedy deszcz spływał po szybach, zakradał się do kuchni po kromkę ciepłego chleba z żółtym serem i szklankę mleka z kroplą brandy. Co rano przychodził guwerner i uczył go języków, matematyki, historii i sztuk pięknych. Raz w tygodniu pojawiał się mistrz tańca, aby w uprzątniętej z mebli jadalni ćwiczyć z nim kroki szkockich tańców ludowych. Wieczorami Henderson czytał na głos przy kominku, podczas gdy matka, miłośniczka słowa pisanego, z namaszczeniem zapełniała kolejne karty swojego dziennika.

Kapitan był ciekaw, czy dom jeszcze stoi, a jeśli tak, kto w nim mieszka. Czy wciąż jest w nim miejsce na oprawione w skórę książki i maślane karmelki? Czy sklepy w Covent Garden ciągle są tak wspaniałe? Czy budynki, które zaczęto wznosić na obrzeżach Soho<sup>[21]</sup>, zostały ukończone? Zakłuło go serce. Od lat o tym nie myślał. Był już mężczyzną, kapitanem, znajdował się daleko od domu, bardzo daleko.

Gdy matka Jamesa zmarła, obsługujący rodzinę radca prawny powiadomił o tym listownie jego ojca. James mimo swego młodego wieku zajął się organizacją pogrzebu, a potem czekał. Mieszkał sam. To znaczy sam ze służbą, która posłusznie wykonywała jego polecenia jako pana domu. Poza tym, że brakowało mu matki, nic się nie zmieniło – co rano przychodził nauczyciel,

raz w tygodniu pojawiał się mistrz tańca. Uruchomiono zablokowane do tej pory środki i spłacono wszystkie długi. „Musimy wykazać się cierpliwością, chłopcze” – powiedział radca, kiedy James odwiedził go w biurze przy Broad Street. Ale James czuł, że nie może już dłużej czekać. Dla niego instrukcje od ojca znaczyły wszystko, zależało od nich całe jego życie, a nie miał pojęcia, co może się wydarzyć. Zegar tykał głośno w bawialni, a on siedział i czekał. Czekał, by w końcu dowiedzieć się, co ma robić. Cokolwiek. Choćby zjeść kolację. Któregoś dnia poszedł z nauczycielem do British Museum. Później postanowił, że każdego ranka będzie odbywał przechadzkę dla zdrowia. Spacerował po parku, karmił kaczki, gapił się na konie. Raz poflirtował nawet ze służącą niosącą koszyk z zakupami do domu przy Soho Square, niedaleko jego własnego.

W końcu ojciec przysłał wiadomość, że James ma dołączyć do niego w Brazylii. List zdawał się ciążyć młodemu Hendersonowi w rękach. Przeczytał go trzy razy i osunął się na najniższy stopień schodów wiodących na piętro. Nie miał pojęcia, jak daleko jest Brazylia. Skończył zaledwie dwanaście lat i choć wiedział, ile to sto metrów albo kilometr czy dwa, ośmiu tysięcy kilometrów nie potrafił sobie wyobrazić. Ale zrobił to, co mu kazano, pozostawiając w rękach prawnika likwidację domu i załatwienie ostatnich spraw rodziny Hendersonów na brytyjskiej ziemi. Mimo swojego wieku na statek wsiadł sam. Zresztą i tak był starszy niż najmłodszy członek załogi i podróżował w doskonałym stylu – niczym dżentelmen. Zabrał ze sobą mapę Brazylii, którą znalazł w jakimś periodyku. Studiował ją co wieczór. „Nie mogę się doczekać życia w koloniach” – mówił, wyobrażając sobie tradycyjną plantację, mnóstwo służby i stajnię pełną koni. Nie spodziewał się upiornej spiekoty i duszącej wilgotności.

Jego rodzina cieszyła się szacunkiem. Ojciec zarządzał małą plantacją. W to wierzyła matka. Mimo że tyle czytała, była naiwna i niestety przekazała tę słabość swojemu jedynakowi. Nawet teraz, po latach, kapitan nie lubił myśleć o rozczarowaniu, jakiego doznał po opuszczeniu pokładu statku.

Henderson przygotował kolejnego drinka i rozkazał sobie przestać rozpamiętywać przeszłość. Był za stary na to, by przechodzić wszystko jeszcze raz. Potarł pokrytą lekkim zarostem brodę i skupił wzrok na nabrzeżu. Coś się działo. Port w najlepsze tętnił życiem i wcale nie zanosilo się, żeby ktokolwiek zamierzał robić sobie wolne na godzinę czy dwie. Wręcz przeciwnie – ludzi przybywało. Kapitan wyciągnął szyję, ale tłum tak skutecznie zasłonił horyzont, że nie mógł dojrzeć, o co to całe zamieszanie. Rybacy stali na palcach przy swojej łódce, bęben leżał porzucony, załatany złotawy żagiel zwiślał smętnie na wpeł wciągnięty na maszt. Kilku wyniosłych urzędników wyściubiło nosy ze swoich biur, paru gońców pobiegło do miasta, aby zawiadomić miejscowych prominentów, którzy mogli być zainteresowani wydarzeniem. Coś się działo.

Henderson wstał i rzucił okiem na „Bittersweet”. Wszystko zdawało się w należyтым porządku. Dziewczyna przyniosła dzbanek rumu.

– Masz miłą twarz – zagadnęła i mrugnęła bezwstydnie.

Henderson uśmiechnął się. Kobiety lubiły, kiedy się nie golił. Lubiły prawdziwych mężczyzn – z wyglądu nieogładzonych, ale z manierami dżentelmena, albo odpowiadającymi ich wyobrażeniom na temat dżentelmena. Nagle kątem oka dojrzał coś, co było powodem zamętu. Do portu zmierzał jakiś statek. W jednej chwili odechciało mu się amorów na pięterku.

– Przynieś mi kawę – powiedział, wstając. – Niech mnie diabli – mruknął. Fregata, oddalona już o kilkaset metrów od nabrzeża, płynęła pod brytyjską i brazylijską banderą. Henderson nie wiedział, co o tym myśleć. Do tej pory w Natalu nie było żadnych problemów, żadne okręty wojenne nie zapuszczały się tak daleko na północ. Nic dziwnego, że zebrały się takie tłumy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i kołysząc biodrami, wróciła do baru. Kapitan wysączył ostatnie krople rumu, nie spuszczając bładych oczu z wpływającego do portu statku. Czyżby zbliżała się wojna?

Jednostka elegancko zacumowała przy wtórce znajomych gwizdów, które sprawiają, że załoga pracuje jak w zegarku. Gładkolicy młodszy oficer został wysłany na ląd, by załatwić papiery. Zaaferowani ludzie zatarasowali mu przejście i zaczął zasypywać ich pytaniami w języku portugalskim. Jego koledzy czekali spokojnie na pokładzie, niezainteresowani zbiegowiskiem. Faktycznie, było to bardzo angielskie. Hendersonowi podobała się ta stoickość. W innym przypadku straganiarze dawno nagabywaliby już klientów, ale tym razem nie w głowie im były profity – tak jak pozostali chcieli wiedzieć, co statek robi w porcie. Henderson wrócił do obserwacji jednostki, bo kapitan nagle pośpieszył w stronę kabiny, z której wyłoniła się jakaś dama.

Doprawdy zadziwiający rozwój wypadków. Zwykle obecność płci pięknej nie stanowiła dla niego problemu. Przyzwyczał się do tego, że kobiety zwracają na niego uwagę. Był wysoki, silny, sprawny, dobrze się ubierał i chociaż nie można by go nazwać bogaczem, nikt nie wątpił, że jest zamożny. Kapitan nie robił z tego problemu. Bez ceregieli wykorzystywał to zainteresowanie, jeśli miał na to ochotę, lub ignorował je – jeśli ochoty nie miał. Sam nie wiedział, co sprawiło, że ta kobieta go zaintrygowała. Nie mógł być to jej wygląd. Po trzydziestce, drobna i blada, założyła stosowną do podróży czystą, dobrze skrojoną szarą suknię, zaś ciemnobrązowe włosy zaczesła do tyłu, starannie upięła w kok i przykryła skromnym kapeluszem. Nic nadzwyczajnego, a jednak Henderson nie mógł oderwać od niej wzroku. Niezwykle było to, że zrezygnowała z jakichkolwiek ozdób. W Brazylii kobiety niezależnie od swojej klasy społecznej wyglądały dosłownie jak obsypane kwiatami, owijały się w jaskrawe szale, wybierały takie fasony sukien, by kusić fragmentami nagiego ciała, które w większości

przypadków można było wynająć, a czasem po prostu kupić. Poza starszymi wdowami ozdabiały się biżuterią ze strasu i polerowanego turkus, farbowanymi piórkami, wstążkami, bursztynowymi paciorkami oraz perłami. Szanowane czy nie, połyskiwały w dzień i w nocy. Ale nie ona.

Nawet w jasnym słońcu była zapięta pod samą szyję – jak w mundurze. Nie ubarwiła różem policzków, włosów nie namaściła olejkami. Henderson nie zauważył na niej ani płątka złota, ani jednej wstążki. Co, u diabła, ona tu robiła? Płynnym ruchem przeciągnęła się niczym szara kotka i rozluźniła nadgarstki. Uśmiechnęła się lekko do komandora i skromnie poprawiła suknię, nie wiadomo po co. W końcu podniosła chroniącą przed słońcem ciemną parasolkę. Henderson stwierdził, że w sumie bardziej niepokoiła go obecność tej kobiety niż okrętu wojennego.

Dziewczyna przyniosła kawę. Upił trochę, nie spuszczać wzroku z pokładu. Pozwolił goryczce pobudzić umysł. Kobieta poruszała się niczym baletnica. Kiedy zdążyła w stronę trapu, jej parasolka rzucała elegancki cień.

Tłum nieco się rozstąpił, gdy zeszła na nabrzeże z brytyjskim komandorem. Za nimi przez cizbę przepychało się dwóch marynarzy niosących brązowy skórzany kufer i trzy mniejsze torby. Na pytanie jednego z mężczyzn komandor odparł stanowczym tonem, z dłonią opartą na rękojeści miecza, że odpłynie, gdy tylko bezpiecznie odeskortuje towarzyszącą mu damę do miasta. Mimo to ludzie nie przestawali napierać. Co się dzieje na morzu? Jakie są wieści? Nieustająca kanonada pytań w obcym języku powinna zatrząść – pomyślał Henderson, ale kobieta nie wydawała się zaniepokojona czy onieśmielona. Nie zwalniając kroku, komandor spokojnie udzielał odpowiedzi. Rebelianci w Recife zostali rozgromieni, niemal cała Bahia<sup>[22]</sup> się poddała, Maranham<sup>[23]</sup> jeszcze się broni. Okręt odpłynie zaraz po jego powrocie na pokład. Nie ma rozkazów względem Natalu.

Ulga była wręcz namacalna, a wieści rozeszły się szybko.

Skoro tajemnica fregaty została rozwiązana, ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Kilku mężczyzn pomaszerowało do baru. Jakaś kobieta ziewnęła i powlokła się w stronę budynków wynajmujących ocienione okiennicami pokoje z cienkimi materacami. Parę osób ruszyło do miasta, aby przekazać dobre nowiny: Bahia się poddała, okręt odpływa, nie ma tu żadnych interesów. Stojący w szeregu portowi urzędnicy wzruszyli ramionami, poklepalili jeden drugiego po plecach i skierowali się do *taberny* na lunch. Sprzedawcy zaczęli zachwalać marynarzom swoje towary – paciorki, bawełnę, noże, banany – a trzy kobiety w falbaniastych spódnicach oferować swoje wdzięki. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Kapitanowie dwóch czy trzech statków przepijali do siebie przy straganie. Znów odezwał się bęben *jangadeiros*.

Brytyjski oficer i szara dama maszerowali w prawdziwie wojskowym tempie, nieuchronnie oddalając się od akwatorium. Kobieta prezentowała nienaganną postawę, jej niezmacony spokój

zakłócił na chwilę dzieciak, który zafascynowany mundurem komandora biegł obok nich, piszcząc z ekscytacji. Musiało ją to rozbawić, bo na jej twarzy zakwitł przelotny uśmiezek. Henderson zostawił na stole monetę i nie wiedząc właściwie dlaczego, zaczepił parę.

– Czy mogę zaoferować moje usługi? – zapytał, uchylając kapelusza. – Znam Natal i z miłą chęcią państwu pomogę.

Dama lakonicznie pokręciła głową.

– Proszę zejść nam z drogi – warknął komandor.

Kobieta bez trudu dotrzymywała mu kroku. Nie wydawała się zbulwersowana scenami rozgrywającymi się na nabrzeżu – spoconymi ciałami marynarzy, kręcącymi się przy statkach prostytutkami, straganami oferującymi skutych kajdanami niewolników. Równie dobrze mogłaby spacerować po podmiejskim ogrodzie.

– Nie potrzebujecie przewodnika? – Henderson nie dawał za wygraną.

– Nie, dziękuję, nie potrzebujemy – oznajmił komandor stanowczo. – Proszę zejść nam z drogi.

Henderson zatrzymał się zaskoczony. Nie był przyzwyczajony do takiego lekceważenia. Obrzucił parę nieruchomym spojrzeniem. Przez chwilę miał ochotę ruszyć za nimi, ale ostatecznie zrezygnował. Kobieta, zauważył, pachniała orchideami, co sprawiało, że atmosfera wokół niej zdawała się chłodniejsza. Woń perfum unosiła się jeszcze w powietrzu, nieoczekiwana nuta świeżości w słodkawym smrodzie doków. I jednak miała coś złotego – obrączkę, choć jasne było, że komandor nie jest jej mężem. Henderson poczuł przyprawiające o mdłości rozczarowanie. Był człowiekiem praktycznym, a przynajmniej stał się takim po przybyciu do Brazylii. Kiedy zrozumiał, że nie jest synem szanowanego plantatora, a ojciec zagonił go do roboty przy przerzucaniu alkoholu na północ i cukru na południe – bo sam zaczynał w ten sposób. Gdy w jego życiu zabrakło miejsca na marzenia i fantazje. Finansowo dobrze mu się powodziło. Był wyedukowany. Miał własny statek. Czego mógł chcieć więcej? A teraz nagle zafiksował się na dość nijakiej Angielce i za cholerę nie wiedział dlaczego.

Popatrzył, jak znika za rogiem niczym cień wraz z niosącymi jej bagaże marynarzami, i wrócił do baru czekać na Simmonsa. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Ciekaw jestem, jak masz na imię – szepnęła.

– *Senhor?* – zapytała kelnerka.

– Rum. Przynieś więcej rumu.

Być może minęło po prostu zbyt wiele czasu, odkąd widział jakąkolwiek Angielkę.





Okręt wypłynął w morze po dwóch godzinach. Kobieta nie pojawiła się na nabrzeżu, aby go pożegnać. Wkrótce Simmons skutecznie oderwał myśli Hendersona od tajemniczej nieznanym. Mężczyźni pili w oczekiwaniu na próbki kakao. Czas w koloniach jest bardzo elastyczny. Henderson nie nosił zegarka. Nie było sensu. Sprawy toczyły się tutaj własnym tempem. Kilku małych uliczników spało w cieniu ze sforą kundli, które przygarnęli. Z nieba lał się ukrop.

– Ominęły cię atrakcje – rzucił Henderson z uśmiechem. – Do portu zawinęła fregata V rangi odstawiona na sto dwa. Przycumowała tylko na chwilę, nawet nie uzupełnili zapasów.

– Ale nie zamierzają atakować? – zaniepokoił się Will.

Henderson pokręcił głową.

– Nie sędzę. Owszem, to stolica stanu, ale nie jest tak ważna pod względem strategicznym jak inne miasta na wybrzeżu. Poza tym to był okręt rojalistów – brazylijskich, a nie portugalskich – a Natal jest na wskroś brazylijski. Takie są tutaj nastroje.

Will wypił duszkiem piwo. Nawet ciepłe odświeżało.

– Nie czuć, że to stolica – powiedział. – Bardziej przypomina miasto targowe. Gdzieś na prowincji. Jak Hereford. Coś takiego.

Henderson wzruszył ramionami. Nigdy nie był w Hereford. Natal jawił mu się zawsze niczym pozostawiony na straży domu lojalny stary lokaj, który dla odprężenia zdejmuje buty i chłodząc stopy w fontannie jaśniepaństwa, raczy się specjałami z piwniczki. Architektura miasta była przyjemna. Atmosfera podobnie. Panował spokój.

– Walki toczą się w okolicy Recife i w Bahii. Siedziba dworu znajduje się dalej na południe. Tam jest bezpiecznie.

Rewolucja miała w sobie coś kuszącego. Gdy wybuchła wojna, kapitan zastanawiał się nawet, czy nie zaciągnąć się u Cochrane'a jako dżentelmen-ochotnik, ale choć potrafił żeglować, nie miał żadnego doświadczenia wojskowego. Poza tym, nieważne jak kompetentny na wodzie, wątpił, by kontynuujący profesję ojca przemytnik spotkał się z ciepłym przyjęciem w gabinecie jego lordowskiej mości.

W końcu cienie wydłużyły się i praca w dokach zawrzała na nowo. Niedługo po tym, jak zegar na wieży wybił piątą, przez tłum przedarł się chudy chłop w luźnych spodniach z samodziału i ciemnobrązowej koszuli, która zlewała się z jego skórą tak idealnie, że niemal nie dało się jej rozpoznać. Kiedy pochylił się, żeby potrząsnąć dłońmi na powitanie, Will poczuł zapach dymu z drewna i ziaren. Mężczyzna wyraźnie ucieszył się ze spotkania z Hendersonem. Poklepał kapitana po plecach i ukłonił się nisko, jego członki przypominały patyczki, czujne czarne oczy były maleńkie niczym łebki szpilek.

– Przyszedłem jak najszybciej – usprawiedliwił się.

– Nie ma powodu do pośpiechu – zapewnił go kapitan.

– Tutaj?

Henderson pokiwał głową.

– Po prostu rozłóż się z jednej strony – dodał, oferując mężczyźnie kieliszek rumu.

Wieśniak opróżnił go jednym haustem, odstawił, po czym wyjął dwa woreczki prażonych ziaren kakaowca, móździerz, tłuczek oraz rondelki. Rozstawił wszystko na brukowanym nabrzeżu, nieustannie pogadując coś po portugalsku. Henderson, rozparty wygodnie w poszarpanym skrawku cienia na werandzie zajazdu, sporadycznie tłumaczył jego słowa. Plantator rozpałił ogień w małym kamiennym kręgu. Toczący się powolnym rytmem intrygujący rytuał rozwiął dręczące Willa wątpliwości na temat kompetencji ich dostawcy. Niedługo potem pasta trafiła do rondelka z odrobiną gorącej wody, a wokół rozszedł się oszałamiający aromat.

– Piłeś kiedyś świeżą czekoladę, Simmons? – zapytał Henderson.

Will pokręcił głową. Na pokładzie kuk rozpuszczał czekoladę z bloku. Ta miała inny zapach – mocny, niemal jak kawa. Plantator wyjął z kieszeni dwie małe buteleczki i dosypał z jednej odrobinę surowego cukru, a z drugiej sproszkowane chili. A potem przelał gęsty płyn.

Will uniósł do ust pewterowy kufel z przykrywką. Woń ostrej przyprawy podrażniła jego gardło, aż zakaszłał, ale upił łyżeczek. Miał wrażenie, że czekolada wtapia się w niego. Mógłby przysiąc, że jego zmysły nagle się wyostrzyły. Że widzi i słyszy wszystko wyraźniej. Gdzieś na nabrzeżu ktoś grał na flecie. Muzyka przybliżała się. Jego puls przyśpieszył – czuł się tak, jakby miał ulecieć na wydmy za ostatnim pomostem. I nagle czekolady nie było.

Oczy chłopca zaiskrzyły. Zaśmiał się, odsłaniając zęby żółte niczym u kościotrupa. Potem podniósł palec i sięgnął po następny woreczek.

– To były te tańsze – zauważył Henderson.

Will usiłował skoncentrować się na słowach kapitana.

– Nie pamiętam – mówił – żeby w Anglii powszechnie pijało się czekoladę. W gruncie rzeczy w ogóle sobie tego nie przypominam, ale byłem dość mały, gdy opuściłem Anglię.

– Powstają nowe manufaktorie – wydukał Will nieskładnie, łącząc wyrazy. Myśli w jego głowie galopowały. – Robią proszek, który jest tańszy od bloków. Nie próbowałem go.

– A w jaki sposób, Simmons, wpadłeś na pomysł importowania ziaren?

Will zamarł. Nie miał zamiaru wspominać Hendersonowi o Old Street Bridge Club, ale nie pomyślał o tym, żeby ułożyć sobie inną historyjkę, która miałaby sens.

– A niby dlaczego purchawki miałyby mieć wszystko? – bąknął bez przekonania. – Jestem człowiekiem interesu. – Zebrał palcem z kufła resztki czekolady zaprawionej chili. – Wszyscy mężczyźni powinni mieć dostęp do ziaren kakaowca. I kobiety też. Rynek się rozwija, a towar jest znakomity. – Zarumienił się. – Jest znakomity, prawda?

Henderson zawahał się. Chłopak kłamał, a przynajmniej usiłował coś ukryć. Jedyne powód,

dla którego płynie się dalej niż Trynidad, jeśli faktycznie chodzi ci o kakao, to jakość, a Simmons nigdy wcześniej nie miał w ustach tak dobrej czekolady. Co kombinował i dlaczego starał się tego nie zdradzić?

– Bardzo to pomysłowe i śmiałe. – Henderson postanowił nie ujawniać swoich wątpliwości.

Will uśmiechnął się i dodał z entuzjazmem:

– Zarobię na kakao więcej niż na tym, co robiłem wcześniej.

Kolejne ziarna były ciemniejsze, ale to nie wpływało w większym stopniu na smak. Will wpatrywał się w zawartość rondelka, jakby rozważał największe tajemnice świata. Chłop ubijał masę tak energicznie, że musiała go boleć ręka.

Szmuuglować coś, o czym nie wiem... Henderson nigdy tego nie robił. To była główna zasada, którą wpoił mu ojciec. Mimo to Simmons oferował dobre pieniądze bez ryzyka finansowego. Kapitan zyska na tym więcej, niż gdyby miał przewieźć ten sam towar w górę zachodniego wybrzeża do rozwijających się kolonii w Bostonie czy Nowym Jorku. Być może – stwierdził – po prostu przyszedł czas na powrót do Anglii. Ciekawie będzie zobaczyć Londyn oczami dorosłego. Nie bardzo pamiętał miasto – tylko drobne szczegóły, które go kiedyś zaintrygowały. Może coś z jego dawnego życia jeszcze się ostało. Nagle poczuł, że chce poznać Londyn tak dobrze, jak znał Rio, Waszyngton czy Nowy Jork. Sam nie wiedział, dlaczego wcześniej nie pomyślał o tym, by wrócić.

Chłop zaproponował im drugą próbkę.

Will upił łyżek.

– Och, zdecydowanie ta.

Plantator pokiwał głową, jakby przyznając, że młodzieniec podjął doskonałą decyzję, i wymamrotał kilka liczb. Henderson wtrącił się, mówił tak szybko, że trudno było rozpoznać pojedyncze słowa. Mężczyźni targowali się twardo przez niemal pięć minut. Przybysz wyglądał tak, jakby właśnie zarobił cios w brzuch, z kolei kapitan – jakby usłyszał coś na wskroś plugawego. W końcu podali sobie ręce na zgodę. Sprawa załatwiona.

– Będzie po trosze obu. Sześćdziesiąt do czterdziestu – oznajmił Henderson.

Will spojrzał na niego ukontentowany. Tak dobrze się bawił, że przestało mu zależeć na zysku. Zresztą pieniądze, które wydawał, i tak nie należały do niego. Poza tym był pewien, że Henderson ubił wystarczająco dobry interes. Podniósł kufel i wylizał do czysta. Picie tego gęstego napoju w skwarze sprawiało, że zrobił się rozleniwiony, senny.

– A dostaniemy trochę ziaren dzikiego kakaowca? – spytał niczym koneser, za którego zaczął się już uważać.

Henderson rozpoczął kolejną szybką dyskusję, która zakończyła się potrząśnięciem dłoni.

– Kiedy odpływamy? – zapytał Will.

Henderson miał wrażenie, że zobaczył na twarzy młodzieńca cień przygnębienia, gdy zapewnił go, że jeśli będą mieli szczęście, to postawią żagle za dwa, trzy dni. Po zakończeniu negocjacji mężczyźni zamówili rum.

– Za Londyn. – Henderson wznosił kieliszek, a Will stuknął go swoim pewterowym kuflem.

Upał zelżał. Siedzieli usatysfakcjonowani, obserwując znikające za horyzontem słońce i cowieczorny pochód wagabundów, dopiero co przybyłych marynarzy oraz kurewek. Nad straganami unosił się zapach skwierczącego mięsa. Uliczny muzykant zebrał o monety, wygrywając zapadającą w pamięć chrypliwą melodię. Życie nie mogło być piękniejsze.

---

[19] Jangadeiros – brazylijscy rybacy pływający wzdłuż północno-wschodnich wybrzeży w charakterystycznych jednomasztowych łodziach z pni palmy woskowej (jangadach).

[20] Covent Garden – dzielnica we wschodniej części West Endu, której nazwa nawiązuje do znajdujących się tam w XIII wieku ogrodów i sadów należących do opactwa westminsterskiego oraz klasztoru; w drugiej połowie XVII wieku służyła z targu warzywno-owocowego, w XVIII stuleciu podupadła.

[21] Soho – centralna część West Endu, której nazwa nawiązuje do dawnego okrzyku angielskich myśliwych; w XVIII wieku często osiedlali się tu imigranci, między innymi francuscy hugenoci.

[22] Bahia – stan usytuowany na północnym wschodzie Brazylii.

[23] Maranhão – wariantowa nazwa São Luís, stolicy stanu Maranhão.

## NATAL

**M**aria obudziła się wcześniej i zamówiła śniadanie do pokoju. Jajka podano z sosem chili. Wypiła łapczywie kawę, by ugasić pożar w ustach, po czym wyruszyła szukać statku. Tymczasem kapitan Henderson opuścił swoją zacienioną kabinę z potwornym bólem głowy. Na skąpanym w palącym słońcu pokładzie oszołomił go smród stojącej morskiej wody. Obserwując nabrzeże, skonstatował, że choć spędził miły wieczór w towarzystwie Willa Simmonsa, nie udało mu się wydobyć z niego informacji, na którą liczył. Z drugiej strony, jeśli ktoś oferuje ci część wynagrodzenia z góry, w dobrym tonie jest szanować jego prywatność.

Ponieważ „Bittersweet” miał niedługo stawiać żagle, załoga nie próżnowała – szorowano i zabezpieczano woskiem wszelkie powierzchnie, sprawdzano olinowanie. Clarkson, który pełnił funkcję mata, sprawnie kierował pracą majtków i marynarzy. Kapitan przemaszerował przez pokład i zanurzył głowę w beczce ciepławej wody. Jak zwykle nie było śladu bryzy. Te miejsca nigdy się nie zmieniają. Przeczesał dłonią włosy. Pomyślał, że z pewnością prezentuje się koszmarnie. W Brazylii nie miało to znaczenia, ale skoro wracał do Anglii, musi, do jasnej cholery, wyglądać elegancko i wytwornie.

Postanowił wziąć byka za rogi i zająć się kwestią stroju. Pomachał z roztargnieniem, schodząc po trapie, i ruszył do miasta. W pobliżu targu działał zakład krawiecki, który cieszył się dobrą opinią. Słońce stało już niemal w zenicie. Henderson trzymał się wąskich cieni między składami celnymi a portowymi barami. Skwar sprawiał, że piekła go skóra. Minęło tyle lat, a on wciąż nie przyzwyczyił się do tropików. Dla kapitana statku w tym rejonie to dość kłopotliwe. Poza tym w cieniu lepiej widać.

Najpierw rozpoznał charakterystyczny zapach – lekki, ale trwały, sprawiający, że wszystko wydawało się wyraźniejsze. Nagle zapomniał o osłabieniu. Poczuł niezwykłą jasność umysłu. Potem spojrzał przed siebie i zobaczył, że Angielka z wigorem maszeruje z miasta, w tej samej szarej sukni co wczoraj. Cofnął się, tak by go nie zauważyła, i pozwolił jej przejść. Potem spojrzał w stronę dzielnicy handlowej i przez ramię za jej znikającą już w tłumie sylwetką. Coś w niej było. Coś niewytłumaczalnie ważnego. Nie miał wątpliwości, że krawiec powinien zaczekać, a on musi iść za nią i dowiedzieć się o niej więcej. Wystające spod pieroga związane

w kucyk włosy na słońcu niemal już wyschły. Podrapał się po zaroście na brodzie. Przez głowę przemknęło mu, czy nie powinien się ogolić. Nie. Prezentował się wystarczająco przyzwoicie. Ruszył za Angielką.

Kobieta wyraźnie czuła się w zgiełku jak w domu. Henderson zauważył, że mocno ściska torebkę, świadoma tego, jak łatwo można paść w takim miejscu ofiarą złodzieja. Torował sobie drogę wśród gawiedzi, cały czas mając ją na oku, podczas gdy ona „dokonywała inspekcji” – stawała przy kolejnych statkach, ale niemal natychmiast ruszała dalej. Henderson trzymał się na uboczu. Zaczepił majtkę z norweskiej jednostki, o co pytała, ale chłopak nie mówił ani po angielsku, ani po portugalsku. Kapitan stwierdził, że ważniejsze jest, by dama nie zniknęła mu z oczu.

Kobieta metodycznie oglądała jednostkę za jednostką. Ominęła ładunek cukru wciągany niepewnie na nierównych linach. Zwolniła kroku przy „Bittersweet”, ale nie zatrzymała się, tylko wzruszyła ramionami. Henderson zobaczył w tym swoją szansę. Szarpnął nerwowo swój wykrochmalony na sztywno mankiet i zagadnął:

– Nie podoba się pani „Bittersweet”, *madam*?

Gdy odwróciła się w jego stronę, ukłonił się. Lekko skinęła głową, rozpoznawszy w nim męzczyznę, który dzień wcześniej zaczepił ją w dokach.

– Nie sądzę, żeby płynął do Anglii.

– Myli się pani. Płyniemy do Falmouth albo w pobliże. Potem Tamizą, mam wielką ochotę odwiedzić Londyn. Mieszkałem tam w dzieciństwie. – Zauważył, że jej oczy były tak orzechowe, iż zdawały się niemal zielone.

– I zapewne jest pan kapitanem tego statku?

– James Henderson, *madam*, do pani usług.

– Wydaje się nieco za lekki na takie wody, kapitanie Henderson.

– Pływa jak złoto, pani...

– Graham.

Maria zebrała myśli. W przeciwieństwie do Hendersona była skupiona wyłącznie na znalezieniu zaokrętowania. Wiedziała, że w Natalu nie zobaczy żadnych brytyjskich jednostek, ale miała nadzieję, że natrafi na jakąś przyzwoitą. W końcu miała się przeprawić przez Atlantyk, a nie – jak zauważył Cochrane – byle jezioro przy młynie. W porównaniu z każdym statkiem, którym kiedykolwiek płynęła, „Bittersweet” był zwykłą łajbą. Po pierwsze, jak na wedle jej szacunków dwadzieścia pięć metrów długości, był dziwnie mocno zanurzony. Po drugie, wyglądał na bardzo staroświecki. Przypominał portugalską karawelę albo może holenderską fleutę, których nie widziano w brytyjskiej flocie, a raczej w jakiegokolwiek flocie, od czasów dziadka Lorda Nelsona, a przecież sam Lord Nelson nie żył już od prawie dwudziestu lat. Maria

przysięgła Cochrane'owi, że będzie ostrożna – a Henderson reprezentował sobą dokładnie ten typ mężczyzny, którego miała unikać. Wydawał się zbyt chętny do pomocy, zbyt bezpośredni.

– Dziękuję panu za uprzejmość, kapitanie Henderson. Być może się do pana odezwę.

Henderson nie odpuszczał.

– Nie ma ich wiele, pani Graham. – Nie czuł się tak pewny siebie, jak to okazywał. Teraz żałował, że się nie ogolił.

– Ich?

– Statków do Anglii. Z Natalu pływa się głównie na południe, do stolicy lub na połów wielorybów, albo na północ, do Ameryki. Każdy, kto płynie na zachód, zwykle zmierza do Lizbony, choć obecnie ten szlak nie cieszy się popularnością. Anglików jest tutaj niewielu, znajdujemy się bardzo daleko od domu.

Maria obrzuciła kapitana zimnym spojrzeniem. Nie podobało jej się to, że próbuje ją zmusić do podjęcia decyzji. Nie podobała jej się pewność siebie, jaką emanował. Miał w sobie coś z nieokrzesanego dandysa i to też jej się nie podobało. Poza tym był nieogolony.

– Jak już powiedziałam, kapitanie Henderson, być może się do pana odezwę. Dziękuję za pana uprzejmość. Dobrego dnia. – Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Henderson zamarł wstrząśnięty. Poczuł, jakby dostał w twarz. Kobiety zwykle były mu powolne, zwłaszcza gdy nawiązywał z nimi rozmowę i starał się być czarujący.

– Och! – Wykrzyknik wyrwał się z jego ust niczym guzik odskakujący od kamizelki grubasa.

Podczas gdy kapitan usiłował otrząsnąć się z szoku, pani Graham, najwyraźniej nieświadoma jego dalszej obecności, zniknęła na pokładzie duńskiego statku handlowego. Dół jej szarej spódnicy zatrzepotał nad jego głową. Wyprostował się. Nie będzie stać tutaj dłużej, gapiąc się za nią. Ale choć wziął się w garść i ruszył do krawca, maszerując pod górę, nie mógł przestać analizować ich spotkanie. Rozmowa nie poszła najlepiej, ocenił sucho, jednak nie potrafił powiedzieć, na czym polegał błąd. Zdawało się, że czegoś od niego oczekuje – czegoś innego.

Przecznicę od starej sali koncertowej przy straganie ze świeżymi wypiekami i orzechami w miodzie skręcił w boczną uliczkę. Podróż do Anglii potrwa przynajmniej sześć tygodni i choć przybiją w czasie lata, stwierdził, że warto zaopatrzyć się też w szalik i cieplejszą garderobę. Pamiętał, że pewnego roku, kiedy miał pięć czy sześć lat, trząśnięty z zimna, gdy krojono jego tort urodzinowy... w czerwcu. Matka opisała to w swoim dzienniku. Wełniane stroje, które zabierał ze sobą, ilekroć udawał się do jednego z amerykańskich miast, absolutnie nie sprawdziłyby się w stolicy Anglii. Spacer po Mayfair<sup>[24]</sup> w takim chaotycznym miszmaszu stanowiłby obrazę dla jego całego wychowania.

Henderson zatrzymał się przed drzwiami zakładu. Nagle poczuł, że nie chce tam wchodzić. Przed oczami miał widmo pani Graham. Być może odrzuciła go, ponieważ wyglądał na

zaniedbanego. Damy, przypomniał sobie mgliście, zwracają uwagę na aparycję mężczyzn. W porównaniu do większości marynarzy na nabrzeżu prezentował się niczym sam Beau Brummell<sup>[25]</sup>, ale mimo wszystko.

Na skąpanym w słońcu progę spał szary kocur. Jego ogon zadrgał.

– Nie powinienem był pozwolić jej odejść – mruknął Henderson.

Z konsternacją zauważył, że czuje się tak, jakby nie miał żadnej szansy na rehabilitację. Jakby te kilka słów, które zamienili rano, stanowiło jedyną okazję rozmowy z panią Graham. Było to nieprzyjemne uczucie. Spojrzał w dół, w stronę doków, i pomyślał z niepokojem, że znalazła jednak miejsce na innym statku. Albo że mimo wszystko zdecydowała się na podróż „Bittersweet”, ale nie zastała go na pokładzie.

Kapitan sięgnął do kieszeni, wyjął fajkę i oparłszy się o ścianę, zapalił. Wkrótce otoczyły go smugi dymu. Ostatnią damę spotkał dobrych kilka lat temu – kobiety w dokach były inne. Holenderka w Waszyngtonie, której często sprzedawał swój towar, kiedyś mogła być damą, ale pani Graham stanowiła całkowicie osobną kategorię, studium powściągliwości i umiaru. Za nieco ostentacyjne można było uznać jedynie jej perfumy. Ich bogaty zapach przywodził mu na myśl marcepan. Próbował wyobrazić sobie, że jest dobrze ułożonym angielskim dżentelmenem, który dopiero co zszedł ze statku. Co powinien zrobić?

Postukał fajką we framugę drzwi i ruszył w stronę placu targowego. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko dowiedzieć się, gdzie zatrzymała się angielska *dona*. Przemykał cieniami rzucanymi przez wysokie palmy górujące nad rozstawionymi wszędzie straganami. Kilka ciemnoskórych kobiet stłoczyło się wokół beczki z oliwą. Dwaj mężczyźni kłócili się nad krążkiem żółtego sera. Po trzech nieudanych próbach trafił na dziewczynę sprzedającą skórzane paski i torebki ze ściąganyymi uszami.

– Nowa Angielka zatrzymała się tam. – Wskazała. – Szara suknia. – Gestem pokazała kok noszony przez panią Graham. – Tak. Tam.

To był typowy brazylijski dom. Garstka siedzib należących do brytyjskich handlowców znajdowała się nieco dalej na wzgórzu. Próżno było tam szukać odpadającej płatami farby – widoku charakterystycznego dla nawet najporządniejszych brazylijskich ulic. Henderson nie utrzymywał kontaktów towarzyskich z Anglikami i tylko z rzadka prowadził z nimi interesy. Nie umiał powiedzieć, czy to on ich unikał, czy oni jego. Ciekawe, że pani Graham nie chciała zatrzymać się wśród swoich. To dobry znak – pomyślał.

Stado ptaszków zanurkowało z dachu, gdy zapukał do drzwi. Tor ich lotu wydawał się samobójczy, śmignęły przez intensywnie niebieskie niebo niczym wystrzelone kule, przemknęły tuż nad rynsztokiem, by poderwać się w ostatniej chwili i uniknąć spotkania z brukiem.

– Chciałbym zostawić wiadomość dla angielskiej damy – powiedział Henderson służącej,



która stanęła w progu. – Przynieś mi pióro, tusz i papier. Muszę napisać list.



Henderson, już spokojniejszy, odwiedził krawca, następnie zjadł lekki posiłek, stojąc przy straganie, i wrócił do swojej kabiny na statku. Od kilku godzin zastanawiał się, czy poprawnie sformułował liścik. Nieobecny duchem aż podskoczył, słysząc gwałtowne stukanie do drzwi. Wstrzymał oddech i wypuścił powietrze z płuc dopiero, gdy w progu zobaczył uśmiechniętego Simmonsa. W samą porę – stwierdził.

Will miał wyraźnie dobry dzień. Otaczał go zapach mocnego alkoholu, ale nie był pijany w sztok, a jego złotawa skóra zyskała różowawy odcień w miejscach, które dłużej wystawił na słońce.

– Słyszałem, że wieczorem odbędzie się walka, na której można sporo zarobić – powiedział. – Na plaży. Na gołe pięści. – Kiwnął głową w stronę leżącego na stole rozpakowanego pudła na kapelusze. – Szykowny – skomentował.

– Do Londynu – rzucił Henderson tytułem wyjaśnienia. – Poczęstuj się drinkiem.

Młodzieniec nalał sobie brandy.

– Jedwabny cylinder itepe. Interesują cię zachodnie dzielnice? A może – zażartował – wychodzi z ciebie purchawka?

Henderson pokręcił ze smutkiem głową.

– Chciałbym odwiedzić mój dawny dom rodzinny w Soho. Nie wiem, czy uznają mnie tam za dżentelmena.

Simmons opadł na krzesło i rozsiadł się wygodnie.

– No cóż, masz kapelusz. Spodoba im się to. Ale jeśli chcesz robić za jaśniepana, to musisz się ogolić. Taka jest moda. Londyn się zmienia. Wszyscy tak mówią. Nazywają to rozwojem – na East Endzie<sup>[26]</sup> rozbudowują doki. Sugerowałbym, żebyś skombinował sobie porządną kosę. Facet musi mieć się czym bronić, dżentelmen czy nie. Londyn to nie bajka. A jak było za twoich czasów?

Henderson uśmiechnął się przeproszająco. Nie powiedział, że nie pamięta zbyt wiele, poza matką, a ona, oczywiście, dawno nie żyła. Uczył się fechtunku, ale nie wiedział za bardzo w jakim celu. Mimo to zalała go fala tęsknoty za wyobrażeniem domu swojego dzieciństwa.

– Jestem ciekaw, jak wszystko teraz wygląda – przyznał. – A w kwestii noża zdam się na ciebie.

Simmons pokiwał głową. Powachlował się kartą o poszarpanych brzegach, którą wyciągnął z kieszeni.

– Jak dopłyniemy na miejsce, pokażę ci dzielnice, w które purchase się nie zapuszczają albo przynajmniej rzadko. Możemy zajrzeć do Rose Tavern.

Henderson roześmiał się.

– Rose Tavern? Muszą być ich całe setki. A każda zapewne prowadzona przez panią Smith. W pobliżu głównej ulicy.

– W pobliżu Old Street. Mam przyjaciół naprzeciwko. Inwestorów. Idziesz w dół Mallow Street... Mallow Street, pamiętaj...

– Nie zostanę długo – wtrącił Henderson. – Chcę tylko przypomnieć sobie miasto, jak tam jest.

– Cholernie zimno i mokro – dowcipkował Will. – Nie zamierzam tam zostawać. Myślę, że następnym razem przypłynę przez Nowy Jork. Chciałbym go zobaczyć.

Henderson wzruszył ramionami.

– Nowy Jork to nieduża miejscina. Nic w nim egzotycznego. A jeśli nie lubisz zimna, nie wybieraj się tam zimą. W styczniu Hudson jest bardziej szary niż Tamiza. Ta walka, o której wspominałeś... – dodał z ożywieniem, bo nagle wpadło mu do głowy, że wyjście dobrze mu zrobi, odciągnie jego myśli od pani Graham. Ta kobieta po prostu go prześladowuje. – Znam to miejsce...

Will zerwał się na nogi.

– Prowadź – powiedział.

Księżyc wisiał nisko, ale nie był w pełni. Mężczyźni szli wzdłuż nabrzeża, gawędząc. Gdy dotarli do pogrążonej w ciemnościach plaży, Simmons oznajmił:

– Nie ma na świecie lepszego miejsca.

Henderson nie mógł się z nim nie zgodzić. Plaża była piękna. Gwiazdy rozświetlały piasek, z każdą rozbijającą się o brzeg falą napływało balsamiczne powietrze. Kilkaset metrów dalej poświata na czarnym niebie wskazywała miejsce, w którym miała się odbyć walka. Niektórzy widzowie przynieśli ze sobą pochodnie. Skądś dobiegał głos śpiewającej kobiety, nad smażącymi się ciastkami unosiła się woń cynamonu. Dwóch chłopców z czarnym psem na postronku dzieliło się kiełbaską. Z oddali, gdzie piach ustępował zaroślom i kępom palm, rozniósł się śmiech, kiedy spomiędzy drzew chwiejnym krokiem wyszli widzowie. Po kilku metrach Henderson uświadomił sobie, że musiało się tu zebrać kilkaset osób. Kwadratowy ring zakreślono za pomocą czterech palików połączonych linami. Tłum kręcił się wokół, jedząc, pijąc i robiąc zakłady. W przeciwnych narożnikach siedziało dwóch czarnoskórych olbrzymów. Ich naoliwione ciała lśniły w drgającym świetle pochodni, które rzucały na nierówny piasek groteskowe cienie.

Simmons obliznął usta. Uwielbiał nawalanki. Henderson obserwował pięściarzy. Czuł się tutaj

jak w domu. Był wystarczająco dobry, gdyby kiedykolwiek miał ochotę wystąpić na ringu.

Jeden olbrzym wydawał się nieco większy od drugiego, ale nie na tyle, żeby mniejszy nie mógł zrekompensować postury szczerą determinacją, gdy wreszcie siknie krew. A wiadomo było, że walka na tym się skończy. Kiedy jeden z pięściarzy się odwrócił, Henderson dostrzegł na jego plecach ciąg blizn. Został bezlitośnie wychłostany, i to niedawno.

– Są wyzwoleni? – zapytał jednego z bukmacherów.

Mężczyzna lakonicznie pokiwał głową, dłubiąc w zębach odłamkiem kości. Kleiła się do niego czarnooka Murzynka.

Will postanowił uciąć gadkę szmatkę.

– Trzy do jednego – powiedział, podnosząc trzy palce i wskazując zawodnika po lewej.

Bukmacher wziął od niego pieniądze i w zamian podał kawałek korka oznaczonego niewyraźnym gryzmołem. Oczy kobiety zabłyszczały na widok przechodzącej z rąk do rąk gotówki.

– A ty? – zapytał Simmons.

– Nie robię zakładów – odparł Henderson. – Walki są ustawiane...

Will wzruszył ramionami. Nie chciał w to wierzyć. A jeśli nawet, to i tak mógł wygrać.

Ludzie zaczęli się przepychać, usiłując znaleźć miejsce. Henderson już miał wspomnieć, że podczas rejsu prawdopodobnie będą mieli pasażerkę, prawdziwą damę, ale potem rozległ się dzwonek. Mogę powiedzieć mu później – stwierdził.

Publiczność skupiła całą swoją uwagę na ringu, na plaży zapadła cisza. Dzwonek zadźwięczał jeszcze raz i pięściarze zaczęli się okładać. Jeden uchylił się i zdołał wyprowadzić potężny cios w twarz, potem odskoczył, unikając rewanżu. Tłum ryknął. Co za ekscytujący początek.

– To regularny Mendoza<sup>[27]</sup>, nie ma co! – Simmons krzyknął rozemocjonowany. – Popatrz na niego! – Mężczyzna skakał do tyłu i do przodu, tak by przeciwnik nie mógł go dosięgnąć.

– Zaraz się zmęczy – odparł Henderson.

Takie walki mogły ciągnąć się godzinami. Wszystko zależało od wytrwałości pięściarzy. Ta dwójka ganiała się po ringu niczym charty wyścigowe. Było to ekscytujące, ale nie mogło długo trwać.

Po minucie czy dwóch Henderson odwrócił się do Simmons'a, żeby do niego zagadać, ale odkrył, że miejsce obok niego jest puste. Will stał z boku, ignorując toczącą się walkę. Czarnooka kobieta pochylała się zalotnie i szeptała mu coś do ucha. Simmons poządlawie objął ją w pasie. Henderson uśmiechnął się.

Twarz pierwszego pięściarza spuchła, po jego ciemnej skórze spływał gęsty strumień krwi,

ale teraz to on zaczął zadawać ciosy. W ciężkim, nocnym powietrzu unosiła się ostra woń potu ze słonawą nutą krwi. To było jak oglądanie dwóch psów skaczących sobie do gardeł albo szarżujących byczków.

– Tracisz całą walkę! – zawołał Henderson, rzucając okiem w stronę Willa, ale jego już tam nie było.

Kapitan, jak zwykle ostrożny, sprawdził, gdzie podziewa się bukmacher. Stał tuż przy ringu i krzyczał do pierwszego pięściarza w swoim mocno akcentowanym portugalskim, chcąc go zachęcić do większego wysiłku. Kobieta zniknęła. Henderson znowu się uśmiechnął.

Strategia pierwszego pięściarza zaczęła przynosić owoce. „Tancerz” zwolnił i dostał hakiem w klatkę piersiową, aż go zemdliło. Tymczasem przeciwnik okładał go po uszach. Gdy „tancerz” wydał z siebie zwierzęcy skowyt, rozległy się gwizdy. Chłopcy usiłowali utrzymać na postronku swojego rozszczekanego pupila. Wydawało się, że cały tłum stanął za wolniejszym bokserem, który szykował się do zadania ostatecznego ciosu. Jego rywal był jednak silny i niewzruszenie przyjmował kolejne uderzenia, a nawet sam zdołał zadać kilka solidnych razów. Obaj mężczyźni mieli opuchłe usta i oczy oraz zakrwawione piersi, ciężko dyszeli. Ale drugi pięściarz po prostu wyprowadzał cios za ciosem.

– Dawaj! – wrzasnął Henderson.

„Tancerz” stał nieruchomo niczym posąg, nawet nie próbując kontrować. Henderson miał wrażenie, że gdzieś ponad tłumem usłyszał ostry trzask łamanego żebra, a potem olbrzym zwałił się na piach niczym ścinany dąb. Tuman pyłu przetoczył się na skraj ringu. Widzowie zamarli. Zwycięzca zastygł zdezorientowany, jakby nie spodziewał się tak szybkiego końca. Potem kiwnął głową i wolno uniósł rękę w geście triumfu. Tłum oszalał. Na ring wbiegło z pół tuzina osób. Starszy mężczyzna ominął świętujących i próbował ocucić nieprzytomnego, wylewając na jego głowę wiadro morskiej wody. Podczas gdy zwycięzca zrobił rundę honorową, trzy podniecone dziewczęta, najwyżej trzynastoletnie, rzucały kwiaty fuksji pod jego stopy, bezwstydnie odsłaniając piersi. Zwycięzca odwrócił się, aby sprawdzić, co się dzieje z jego przeciwnikiem. Wciąż leżał na piasku. Było jasne, że zwykle tak to nie wygląda. Zwycięzca wydawał się nieco speszony. Publiczność zorientowała się, że coś jest nie tak. Wiwaty przycichły. Nagle uwaga wszystkich skupiła się na przegranym.

Staruszek szturchnął leżącego w rękę, potem poklepał go po policzkach – w ciszy rozbrzmiały ostre klaśnięcia. Przyłożył ucho do jego piersi. Podłożył dłoń pod nos. Ludzie wstrzymali oddech. Na balsamicznie czarnej plaży czas się zatrzymał. Staruszek jeszcze raz poklepał pięściarza po policzkach, mocniej. Na próżno. Podniósł wzrok i wzruszył ramionami.

Ktoś krzyknął:

– *Il es morte*[28]!

Przez tłum przetoczyła się cicha fala paniki i ekscytacji. Jakaś kobieta rzuciła się na ciało martwego pięściarza, łkając i łkając łączywie powietrze niczym słodkie wino.

– *Il es morte. Il es morte* – słychać było udręczony bełkot.

Ludzie nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać. Zwycięzca był w szoku, wyraźnie nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Z kamienną twarzą i szeroko otwartymi oczami delikatnie trącił rywala stopą.

– Ade – wypowiedział imię mężczyzny. – Ade? – Jego wargi drżały.

I nagle trup poruszył się. Powoli zepchnął z siebie łkającą kobietę i usiadł sztywno niczym ożywiony golem. Zwycięzca uśmiechnął się szeroko i objął serdecznie przeciwnika. Tłum oszalał. Przegrany podniósł rękę, a ludzie tak wiwatowali, że omal im płuca nie pękły. Na twarzy zwycięzcy widać było ulgę. Wszyscy się śmiali. Obcy rzucali się sobie w ramiona. Kobiety krzychały z radości i zbyt kowały w przybrzeżnych falach. Radość była większa, niż gdyby przegrany walkę wygrał.

– Ade! Ade! – skandowali ludzie, wyrzucając pięści w powietrze.

Czterech mężczyzn podniosło „zmartwychwstałego” na ramiona i paradowało z nim po plaży. Zwycięzca zainkasował swoją wygraną i został odeskortowany, zostawiając tłum szaleńców tańczących pod rozgwieżdżonym niebem.

Henderson uśmiechnął się. Co za urocze widowisko. Wycofał się i usiadł na jednej z wydm. Chwilę później dołączył do niego Will.

– Zaliczyłem Murzynkę – oznajmił dumnie. – Czy to on wygrał? – zapytał.

– Nie – odparł ze śmiechem Henderson. – To przegrany. Myśleli, że kofnął...

– No to w takim razie potroiłem kasę.

Ruszył w rozkrzyczany tłum w poszukiwaniu bukmachera.

– Trzy do jednego – powiedział i pokazał gestem.

Mężczyzna z kościaną wykałaczką spochmurniał i przechylił głowę na bok. Nad jego górną wargą zebrała się strużka potu.

– *Que*<sup>[29]</sup>?

– Mój zakład. Trzy do jednego. – Will wyłowił z kieszeni kawałek korka.

– Ade – powiedział bukmacher, po czym wskazał mężczyznę, który radośnie pluskał się w morzu, i pokręcił głową, aby pokazać, że pięściarz nie wygrał walki.

– Stawiałem na tego drugiego – odparł Will z szerokim uśmiechem.

Bukmacher zadziałał szybko, ale nie na tyle, żeby przechytrzyć natręta. Ostrze z najlepszej angielskiej stali załśniło w słabym świetle. Ale jeśli Brazylijczyk sądził, że w ten sposób odstraszy białego natręta, to się grubo pomylił. Simmons zręcznie zablokował cios, chwycił

napastnika za przedramię, powalił go na ziemię i przyłożył mu do gardła nóż.

– *Meu dinheiro* – zażądał ostro. Moje pieniądze.

Henderson uśmiechnął się. Simmons był w Natalu tylko kilka dni, ale raz-dwa podchwycił ważne słowa. Nachylił się.

– Lepiej zapłać – postraszył, po czym przetłumaczył groźbę, żeby wszystko było jasne. – *Você tem que pagar.*

Mężczyzna podniósł ręce w geście poddania. Sięgnął do sakiewki i wyjął kilka monet. Jego oczy zdradzały czyste przerażenie.

Will pokiwał głową, schował pieniądze i odstąpił.

– *Obrigado* – powiedział. Dziękuję.

Odwrócił się i zaczął odchodzić z wygraną. Henderson pomyślał, że razem tworzą świetny duet. Miło było zostać przez kogoś pozytywnie zaskoczonym – być może to właśnie dlatego chłopak kłamał o swoich biznesach. Tak czy owak, to, jak się obchodził z nożem, zdawało się przeczyć jego swobodnemu obejściu. Ale nim Henderson zdołał zapytać, gdzie Will nauczył się tak walczyć, czarnooka dziewczyna, którą młodzik dopiero co dmuchnął na wydmach, rzuciła się w jego ramiona.

Henderson uśmiechnął się do dziewczyny, ale zaraz sposepniał. Jego serce zamarło, kiedy zrozumiał, co zrobiła. Will zastygł z otwartymi ustami, a po chwili osunął się na piasek. Obok niego rozlewała się kałuża krwi.

– Jezu...

Henderson aż się zatoczył. Był tak wstrząśnięty, że bukmacher zdążył zabrać Willowi pieniądze. Gdy dziewczyna chowała za pasek zakrwawiony nóż, na jej twarzy pojawił się wężowy uśmiešek. Zaraz potem para rozplynęła się w ciemności.

Henderson ukląkł i objął rannego.

– Cholera – szepnął Will.

– Zabiorę cię na statek.

Henderson usiłował podnieść Willa, ale ten wydał z siebie ciche westchnienie, które przeraziło kapitana bardziej niż jakikolwiek skowyt z bólu. Mijający ich ludzie biegali po plaży, radośnie wołając „*Ade vivo!*”.

– Zabierz to do nich do Londynu. – Will z trudnością wydobywał z siebie kolejne słowa. Jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy. – Zapytaj o dżentelmenów w Rose. Daj im wszystko, rozumiesz? Mam klucz. W kapeluszu. Old Street Bridge...

– Cicho, nic nie mów – szepnął Henderson.

W końcu dźwignął Willa i zaczął iść wzdłuż plaży. Duży Al Thatcher zszył niejedno perfidne

rżnięcie wprost na drewnianym stole w kuchni. To solidny Yorkshirczyk, poradzi sobie. Poza tym nie każda rana kłuta jest śmiertelna. Po kilku krokach Henderson zrozumiał, że się mylił. Tłum na plaży krzyczał, tańczył i śpiewał, ale Will już nie oddychał. James Henderson niósł zwłoki.

---

[24] Mayfair – ekskluzywna dzielnica w centrum Londynu, której nazwa nawiązuje do odbywającego się tam niegdyś majowego jarmarku (May fair).

[25] Beau Brummell (1778–1840) – brytyjski dandys, słynący z nienagannego ubioru, świetnego wyczucia stylu, rozrutnego trybu życia oraz przyjaźni z przyszłym królem Jerzym IV.

[26] East End – uboższe dzielnice położone we wschodniej części Londynu.

[27] Daniel Mendoza (1764–1836) – brytyjski bokser walczący na gołe pięści, znany jako Jewish Champion (żydowski mistrz); szybki i zwinny, miał świetną technikę i zdobywał tytuły mistrzowskie w wadze lekkiej, półśredniej i średniej.

[28] Il es morte – on nie żyje.

[29] Que – co, czego.

## NATAL

**M**aria nie rozpakowała się – choć pensjonat był czysty i dobrze utrzymany, nie miała zamiaru przebywać w Natalu dłużej, niż potrzeba. Tyle że mijał drugi dzień, a ona wciąż nie znalazła przyzwoitego statku zmierzającego do Anglii. Komandor, któremu Thomas Cochrane powierzył jej bezpieczeństwo, proponował nawet, że zorganizuje jej transport. Teraz trochę żałowała, że odruchowo odrzuciła pomoc. Ale było już za późno. Nie chciała brać pod uwagę „Bittersweet” – zarówno statek, jak i dowodzący nim kapitan prezentowali się co najmniej podejrzanie. Na razie ustaliła, że dwie jednostki udają się do Kalikatu przez zachodnioafrykańskie Wybrzeże Kości Słoniowej. Ale kto wie, jak szybko trafiłaby tam na odpowiedni statek na północ. Choć nie brakowało jej odwagi, wiedziała, że większe szanse na bezpieczne dotarcie do Europy ma, jeśli popłynie bezpośrednio z Ameryki Południowej niż z położonego bliżej Czarnego Kontynentu. W gruncie rzeczy mogła też wybrać statek zmierzający na północ – do Trynidadu, Bostonu albo Nowego Jorku. Tam względnie łatwo mogłaby znaleźć przeprawę przez Atlantyk. Tyle że to oznaczało stratę kilku tygodni i spore wydatki. Jeśli mogła wybierać, to wołała rejs bezpośredni.

Wzorem Thomasa starannie przestudiowała mapy, próbując znaleźć najlepsze rozwiązanie. Ostatecznie doszła do wniosku, że może postąpić dwojako: udać się na Trynidad i liczyć na to, że trafi na statek, który zabierze ją na wchód (rozsądne wyjście, choć czasochłonne), albo zaryzykować podróż z kapitanem Hendersonem – jeśli wszystko poszłoby gładko, już za sześć, siedem tygodni siedziałaby z manuskryptami w wydawnictwie Johna Murraya na rogu Albemarle Street i Piccadilly. Nie miała wątpliwości, że Thomas Cochrane byłby wręcz przerażony „Bittersweet”. Musiała też wziąć pod uwagę dyskomfort, jaki odczuwała z powodu nadmiernej natarczywości Hendersona, kiedy w dokach usiłował wymóc na niej decyzję o zaokrętowaniu się na jego statek. Dżentelmeni nie postępują w ten sposób. Z drugiej strony – stwierdziła – musiał przemyśleć swoje zachowanie, ponieważ napisał do niej krótki list. „*Madam* – zaczął – mam nadzieję, że nie wprowadziłem Pani w konfuzję lub skrzepowanie. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny, jeśli tak się stało”.

Po kolacji serwowanej przy masywnym mahoniowym stole w jadalni na pierwszym piętrze



gospodyni, obwieszona krzykliwymi szklanymi paciorkami, przyniosła do pokoju Marii ziołową herbatkę. Teraz Maria sączyła napar, spoglądając przez okno na ciągnące się w stronę rynku bladoróżowe budynki, ich płaskorzeźbione płowoołte ściany szczytowe wgryzały się w rozgwieżdżone aksamitne niebo. Typowa Angielka w podróży. Natal – zauważyła, ponieważ podsumowywanie nowych miejsc stało się dla niej pewnym zwyczajem – to ciche prowincjonalne miasteczko handlowe, takie jak szereg innych ośrodków, które rozsiadły się wzdłuż wybrzeża. Wyblakłe od słońca budynki miały atrakcyjną formę, ale nie było w nich nic interesującego, jeśli chodzi o towary albo pomysły. Ciepłe powietrze, przesycone zapachami smakołyków z setek pieców, niosło znajomą woń rozmarynu. Maria sięgnęła po kruche ciasteczko. Słodkie niczym plaster miodu, rozpułnęło się jej w ustach. Skubała je, przekartkowując swój dziennik. Przemieszczając się w poprzek kraju, sporo szkicowała – lektykę w Bahii i niewolników targających ogromną beczkę z piwem w Pernambuco. Każdy obraz przywoływał jakieś wspomnienie. Czuła się dziwnie nienasycona. Przecież jadłam zaledwie godzinę temu, nie mogę już być głodna – zbeształa samą siebie.

Wyżywienie podczas przeprawy z Recife było okropne, jedli tylko chleb kukurydziany i nieprzyprawione niczym mięso. Miała ochotę zakraść się do kuchni, poszukać chociaż kilku płatków soli, paru ziarenek pieprzu czy okruchów chili (na żadnym statku w południowych regionach nie mogło ich zabraknąć). Już odrobina przypraw sprawiłaby ogromną różnicę. Jednak nawet wspaniała Maria Graham nie śmiała otwarcie krytykować pokładowego kuka. Z autopsji wiedziała, że byli to trudni mężczyźni, zdolni nie tylko długo żywić urazę, lecz także wziąć odwet. Jedzenie w pensjonacie było znacznie lepsze. Smakowało jej pożywne, choć ostre śniadanie. Zachwycona była też wyjątkowo sycącą kolacją złożoną z zupy, smażonej ryby oraz pieczonych warzyw. Ale mimo ziołowej herbatki i kruchych ciasteczek czuła jakiś ciężar na żołądku. Być może to niepokój – pomyślała – niepewność, co zrobić.

Kiedy poprzedniego dnia otrzymała wiadomość od kapitana Hendersona, postanowiła popytać o niego miejscowych. Dowiedziała się, że jest w porcie dobrze znany i cieszy się opinią kompetentnego dowódcy, choć nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek wybierał się na drugą stronę Atlantyku. Jak na kapitana drobnicowca wydawał się raczej przyzwoity, jednak „Bittersweet” nie napawał optymizmem, a i cała sytuacja przypominała te, których Thomas radził jej się wystrzegać. Dzięki naukom ojca Maria nie bała się mórz, tylko czuła wobec nich zdrowy respekt. Z jej doświadczenia wynikało, że ocean nie stara się umyślnie zatopić żeglujących po jego wodach. To wielopasmowa droga zbierająca w gruncie rzeczy zaskakująco małe śmiertelne żniwo, po prostu podczas nawałnic i przy złej nawigacji nieraz trudno było uniknąć katastrofy. Maria spędziła sporą część życia na pokładzie i szczyła się tym, że jest w stanie ocenić profesjonalizm kapitana statku. A wiele zależało od tego człowieka. Henderson był opanowanym

kobieciarzem – co można złożyć na karb jego szorstkiej urody albo pewności siebie. Nie mógł uchodzić za młodzieńca, ale nie miała wątpliwości, że był od niej młodszy. Poza tym należało wziąć poprawkę na to, że wychował się w koloniach. Wydaje się zdolny – pomyślała Maria. – Z pewnością jest szczerzy. Powiedział, że jego statek jest jedyny i miał rację.

Liścik Hendersona leżał na jej kolanach. Przeczytała go jeszcze raz. „Gdyby zdecydowała się Pani mi zaufać – obiecywał – oddam Pani moją kabinę, *madam*”. Ładnie sformułowane i pisane pewną ręką. Ponoć świetnie znał szlaki wzdłuż wschodniego wybrzeża. Przeanalizowała styl narracji. Formalny i nieco staroświecki – zdecydowała. Ciekawa była, co powiedziałby o nim John Murray. To właśnie chęć ponownego spotkania ze starym przyjacielem tak gnała ją do Londynu, i nie tylko dlatego, że miał kupić jej manuskrypty. Murray był mentorem Marii, odkąd zaczęła pisać. Na początku zlecał jej prace redaktorskie, które pozwoliły jej podszlifować umiejętności. „Jesteś szalona, dziewczyno – oświadczyła lady Dundas z pogardą. – To równoznaczne z zatrudnieniem. Żadna dama z naszej rodziny nigdy nie pracowała”.

Maria starannie złożyła list Hendersona. Być może pochopnie go oceniła ze względu na to narzucanie się. Tyle że na morzu nie będzie mogła się obronić przed jego natarczywością, a było jasne, że nie jest dżentelmenem – w każdym razie nie prawdziwym. Wróciła myślami do dżungli i z lekkim uśmiechem stwierdziła, że ten mężczyzna nie mógł być gorszy od da Couta, a tamtą męczarnię jakoś przetrwała. Poproszę go o pokazanie tej jego kabiny – zdecydowała.

Ulica opustoszała. Gdzieś z oddali niósł się w noc beztroski śmiech.

– Powinnam poczytać przed pójściem spać – powiedziała na głos.

Książka leżała przy łóżku, ale Maria zawahała się, gdy zapadła się w miękkie poduszki. Podróż przez dżunglę naprawdę ją wyczerpała. Poza tym przez ostatnie dwa tygodnie żyła w nieustannym pędzie – pomagając w szpitalu marynarki, przesiadując do późnej nocy z Cochrane’ami, a od rana bawiąc się z ich dziećmi. Zegar stojący w korytarzu na dole wybił dziesiątą. Maria umościła się i zasnęła z głową na jaśku ozdobionym haftem przez córkę gospodyni.



Następnego dnia w pełni sił po porannej toalecie Maria Graham sięgnęła po swoją parasolkę przeciwsłoneczną i ruszyła w stronę doków. Z zadowoleniem stwierdziła, że mimo wczesniej pory kapitan Henderson już jest na stanowisku i nadzoruje załadunek towaru. Postanowiła poczekać w cieniu, doszedłszy do wniosku, że nie ma większego sensu przeszkadzać mu w pracy. Cieszyły ją widoki i dźwięki nabrzeża – port zawsze kojarzył jej się z wolnością. W pomieszczeniu na piętrze jakiś marynarz pojękiwał, tatuując sobie ramię, za magazynem przyczało się dwóch uliczników mających nadzieję, że uda im się zgarnąć, cokolwiek wypadnie

z wnoszonych właśnie worków, albo okraść jakiegoś nieuważnego bogacza, po brukowanej uliczce przytruchtała świnia w obroży, niedaleko trzej marynarze obserwowali ją, jedząc gorące pączki. Cierpliwie siedziała, a kolejne worki z ziarnami kakaowca wciągano na linach na statek Hendersona. Opadający z nich kurz unosił się w gorącym powietrzu. Kapitan kłócił się z chudym rolnikiem, który dostarczył towar. Krzydzeli po portugalsku tak płynnie, że Maria nie rozpoznawała słów.

Henderson wydawał się spięty. Ewidentnie jej nie zauważył. W końcu rolnik zmiękł i mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, choć kapitan wciąż niechętnie. Henderson podał rolnikowi monety i uniósł ręce w geście poddania.

– Nie wiem, co zrobić – powiedział na tyle wolno, że Maria była w stanie zrozumieć, co mówi. – Teraz go już nie potrzebuję.

– Zawiesziesz na północ i sprzedasz. Jest świetnej jakości – odparł rolnik, machając mu na pożegnanie, i oddalił się z sakiewką monet w ręku.

Henderson zaczął wykrzykiwać do załogi kolejne polecenia. Zachowywał się inaczej, niż wtedy, gdy ostatnio rozmawiali – wydawał się poruszony, zdenerwowany, smutny. Chociaż, Maria zgadywała, gdyby naprawdę nie chciał przyjąć ładunku, to by go nie przyjął. W końcu był dwa razy większy od wątego rolnika. Poza tym – stwierdziła – miał w sobie coś z czarnego psa, który zdolny jest walczyć na śmierć i życie, ale może też być łagodnym i wiernym towarzyszem. Kobieta wstała i zaczęła iść w jego kierunku, lecz po chwili przystanąła. Jeśli kapitan ma zły humor, to może to nie najlepszy moment. Z drugiej strony musiała załatwić tę sprawę. Skoro na „Bittersweet” trwa załadunek, prawdopodobnie nie zostało jej wiele czasu.

– Kapitanie Henderson.

Spojrzał na nią, jakby wyrwała go ze snu.

– Och. Dzień dobry.

– Czy szykuje się pan do drogi? Do Londynu?

Henderson zawahał się, po czym spuścił głowę.

– Niestety, nie płynę już do Londynu, *madam*. Nie ma już takiej potrzeby.

Maria nie mogła uwierzyć własnym uszom. To było absolutnie nieoczekiwane. Przecież był taki chętny. Niepokój, że kapitan może mieć w stosunku do niej niegodziwe zamiary, zniknął.

– Ależ ja mam taką potrzebę! – odrzekła. – Muszę wrócić do domu. I obawiam się, że miał pan rację. Z Natalu nie ma żadnych regularnych rejsów do Anglii. Liczę na pana. Na pańskie słowo. Pański list. – Henderson obrzucił ją badawczym spojrzeniem, jakby podejrzewał, że coś ukrywa. – Zastanawiałam się – Maria kontynuowała gładko – czy mogłabym rzucić okiem na kabinę? – Nie dostrzegła w jego oczach sprzeciwu, więc odwróciła się na pięcie i wspięła po trapie. On pośpieszył za nią, podejrzewała, że zbyt zmartwiony, by zdobyć się na odpowiedź. –

„Bittersweet” nie wydaje się już tak osobliwy, gdy się stoi na jego pokładzie, prawda? – rzuciła z uśmiechem. – Ale to dość niezwykła jednostka. Najpierw myślałam, że może pochodzi z Chin. Jest taka niska i płaska. Czy widział pan kiedyś sampan, kapitanie? Ja miałam przyjemność studiować tylko przedstawiający go rysunek, jednak ma podobną konstrukcję. Jest w niej też coś z galeonu, nie sądzi pan?

Henderson w milczeniu przepuścił panią Graham przodem. Pomaszerowała śmiało w stronę jego kabiny. Czuł się dziwnie – nie zastanawiał się wcześniej, jak to będzie mieć kobietę na pokładzie. Ale pani Graham wydawała się zadowolona, emanowała stanowczością i stoicyzmem. To mu się zdecydowanie podobało.

Kabina była większa, niż Maria się spodziewała, i lepiej urządzona. Ściany wyłożono boazerią. Przy jednej stał misternie rzeźbiony dębowy stół pokryty stertą map, przy drugiej – elegancka serwantka, w której przechowywano karafki z porto i brandy, na trzeciej ścianie zamocowano półki, pod nimi ulokowano dwa okute kufry.

– Chciałabym dostać się do domu. Pomoże mi pan? – zapytała. – Widzi pan, w swoim liście... – Zaczęła szukać czegoś w swojej torebce.

Henderson usiłował przypomnieć sobie, co napisał. Przepychanki z ciałem Willa Simmonsa sprawiły, że wszystko wyleciało mu z głowy. Okazany przez władze brak troski o marynarza zabitego podczas awantury nie zaskoczył go w najmniejszym stopniu, ale ilość pieniędzy ukrytych w rzeczach osobistych młodzieńca stanowiła sporą niespodziankę. Podobnie jak klucz w kapeluszu i dziwnie zapakowany blok czekolady – gotowej, by ją zetrzeć i dodać do wrzątku albo zagotowanego mleka, lecz tak marnej jakości, że napój zostawiałby w ustach posmak stęchlizny. Kimkolwiek byli dżentelmeni z Old Street, wysła im dobytek Willa z północy. Mnóstwo statków płynęło z Nowego Jorku do Londynu. Biorąc pod uwagę zaangażowane w to przedsięwzięcie pieniądze, postanowił, że odejmie wynegocjowaną stawkę i coś ekstra za doprowadzenie sprawy do końca. Potem umyje ręce. Londyn to był głupi pomysł, lepiej o nim zapomnieć. Teraz przypomniał sobie, co napisał do pani Graham. Pamiętał, że był niezwykle uprzejmy. Zauważył, że w jej obecności odzyskał spokój. Znow miała na sobie tę szarą suknię i nieatrakcyjny kapelusz. Powietrze wokół niej przesycone było wonią orchidei. Być może to charakterystyczne dla wszystkich Angielek. Być może każda z nich roztacza wokół siebie zapach kwiatów i emanuje stanowczością oraz stoicyzmem. Nie pamiętał.

– Obawiam się, że moje plany uległy zmianie, *madam* – powiedział. – Znajomy zmarł wczoraj w nocy nieoczekiwanie. To przez wzgląd na niego miałem płynąć do Londynu.

– Przez wzgląd na niego? Nie chce pan sam zobaczyć Londynu? Wspominał pan o tym...

Henderson speszył się.

– Faktycznie, ale to interesy mnie tam prowadziły.

– Jaki ma pan ładunek?

– Kakao. Popłyniemy z prądem do Nowej Anglii.

– A sądzi pan, że w królewskiej Anglii nie ma zapotrzebowania na kakao? Doprawdy, *sir*.

Henderson opadł na jedno z drewnianych krzeseł. Zdjął kapelusz, położył na stole i przeczesał włosy palcami.

– Słyszałem, że jest popyt. Ponoć Brytyjczycy uwielbiają egzotyczne specjały. Simmons mówił mi, że przerabiają tam ziarna kakaowca na proszek. Ale nie wiem, ile ten ładunek byłby wart w Anglii.

– Widziałam ten proszek – wtrąciła Maria z entuzjazmem. – Jest produkowany za pomocą prasy. Bardzo pomysłowe rozwiązanie. Kapitanie Henderson, powiem szczerze. Po prostu muszę wrócić do Londynu. Mam oddać mojemu wydawcy dwa manuskrypty i zdobyć różne rzeczy dla Jej Cesarskiej Mości. Wie pan, zostałam zatrudniona jako nauczycielka księżniczki Marii da Glorii. Nie sprawię kłopotów, obiecuję. W zasadzie będę pracować przez większą część podróży, przepisując na czysto moje bazgroły. Nie chciałabym się narzucać, ale już raz zmienił pan swoje plany, może jednak byłby pan skłonny zmienić je ponownie? Ta kabina w zupełności mi wystarczy. Byłabym ogromnie wdzięczna. I mogę zapłacić. Być może nie tyle, ile spodziewał się pan otrzymać od swojego znajomego, ale zawsze coś. Wyświadczyłby mi pan wielką przysługę.

Henderson siedział jak skamieniały. Oczami wyobraźni zobaczył domek w Soho, matkę przy biurku zapisującą kolejne karty dziennika, wpadające przez okna przymglone poranne światło słoneczne. Ta kobieta zamieszkiwała świat, który i on kiedyś postrzegał jako swój – świat wydawców i wiarygodnych dostawców. Londyn pełen pokrytych kałużami szarych ulic, solidny i kompetentny. Czy to możliwe, że wciąż taki był?

– W Anglii będzie lato...

– Nie ma gwarancji co do pogody – pani Graham przerwała mu z uśmiechem. – Mimo to miło będzie zobaczyć drzewa w Regent's Park. To jest zawsze przyjemne. Nawet w deszczu.

– Regent's Park. Tak. – Henderson powoli pokiwał głową, uświadomiwszy sobie, że rzeczywiście chciałby je zobaczyć.

Śmierć Willa mocno nim wstrząsnęła. Ciało młodzieńca przez całą noc leżało twarzą w dół pod pokładem. Załoga stwierdziła, że to zły omen, ale Henderson nigdy nie przejmował się zabobonami. Teraz uświadomił sobie, że z ostatnim tchem Will poprosił go, by zawiózł jego rzeczy do Londynu. I nagle pani Graham zaczęła mu się jawić niczym głos jego sumienia. Widmowy Londyn rozpogodził się nieco. Kapitan wyobraził sobie podobnych mu gości, energicznie spacerujących dżdżystą Pall Mall. Miał ochotę iść dalej i przywitać się z nimi.

– Dlaczego nie? – powiedział, wpatrując się w dal niewidzącym spojrzeniem. – Z chęcią go zobaczę. – Uśmiechnął się. – Czy mam tymczasem zorganizować transport pani bagażu na

pokład, pani Graham? Oczywiście będzie pani podróżować w mojej kabinie. Ustalimy szczegóły po zakończeniu załadunku.

Maria usiadła. Uśmiechnęła się lekko, splatając ręce na podołku. „Bittersweet” prezentował się może nieco staroświecko, ale wiedziała, że Cochrane nie okazałby niezadowolenia z podjętej przez nią decyzji. Kabina była dobrze wyposażona, statek prezentował się idealnie, załoga pracowała sumiennie. Liny starannie ułożono, żagle schludnie zwinięto. Szczerze mówiąc, nie spodziewała się tak nieskazitelnej czystości. Wszystko było w jak najlepszym porządku. A nawet więcej. Poza tym kapitan wydawał się odmieniony, poważniejszy.

– Dziękuję – powiedziała prosto. – Wystarczy mi stół do pisania, a ten nadaje się idealnie.

## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

Słońce świeciło w żagle pośród wszechobecnego błękitu. Henderson trzymał się na uboczu. Śmierć Willa Simmonsa stała się dla niego swoistym przełomem. Teraz, kiedy pani Graham zdecydowała się na podróż „Bittersweet”, nie chciał jej niepokoić, by nie wydawało się, że wykorzystuje okazję. Poza tym pochłaniało go niełatwe zadanie planowania ich atlantyckiej przeprawy. Co wieczór do późnej nocy ślęczał nad mapami rozłożonymi na rozchybotanym prowizorycznym stole w mrocznej ciasnej kabinie, do której się przeprowadził. Kajuta była nie większa niż spiżarnia i oświetlona dwiema niedającymi zbyt wiele światła lampami świecowymi. Najpierw mieli się zatrzymać w jednym z portów Trynidadu i uzupełnić zapasy, a potem skierować na wschód – ku wybrzeżom Wielkiej Brytanii. Gdy podczas pierwszego etapu podróży przypadkiem zobaczył ją na pokładzie, chciał nawet do niej podejść, ale czuł się niezręcznie. Uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć, więc stał tak oniemiały, przeklinając się w duchu, podczas gdy jego myśli bezładnie błędziły. Z drugiej strony, kiedy nie przebywał w jej towarzystwie, właściwie myślał tylko o niej i musiał zmuszać się do studiowania map. Po kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy wolał spędzać czas w swojej kabinie, a kiedy w końcu się z niej wynurzał, a pani Graham akurat spacerowała po pokładzie pomiędzy zwojami lin, knagami i ożaglowaniem, witał ją sztywnym ukłonem. Woń orchidei niosła mu pociechę jeszcze długo po tym, jak oddalała się, by kopiować swój manuskrypt.

Podczas gdy zarys Natalu rozmywał się, tworząc mglistą linię tam, gdzie ocean spotykał się z niebem, on podziwiał jej sylwetkę, kiedy odchodziła do kabiny w tej schludnej szarej sukni, z włosami upiętymi na karku. Była niczym sen, niczym Londyn, którego nie mógł w pełni pojąć i którego nie był wart. Chciał stać się jego częścią, ale nie pamiętał jak. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, że ta kobieta, wzór wśród innych, zniżyła się do tego, by podróżować jego statkiem. W rzeczy samej – nalegała na to. Jej obecność wydawała się nie z tego świata i swojska zarazem, ale to nie tłumaczyło, dlaczego jego mózg przestawał pracować, ilekroć znalazł się w jej towarzystwie. Było to męczące.

Któregoś ranka Maria podeszła do kapitana Hendersona.

– Czy odbędzie się msza? – zapytała. Ostre słońce sprawiało, że musiała mrużyć oczy. Kapitan popatrzył na nią zaskoczony. Jego cień kładł się wąskim pasem na deskach pokładu, za nim olinowanie odbijało się pajęczyną na migoczącej wodzie. – Jest niedziela – dodała. – Zazwyczaj odprawia się wtedy mszę.

– Och, nie – odparł z lekkim uśmiechem. – Ale jeśli ktoś chce się modlić, to oczywiście może.

Nie ma niedzielnej mszy – odnotowała. To sprawiało, że Henderson wydał jej się jeszcze bardziej interesujący, choć zdawała sobie sprawę z tego, że nie wypada pytać o jego osobiste przekonania religijne. Kapitanowie zwykle pilnowali nie tylko fizycznej dyscypliny swoich ludzi, lecz także duchowej. Henderson nie przejmował się ani jednym, ani drugim. To znacząco różniło jego statek od wszystkich innych jednostek, na pokładzie których miała okazję podróżować. Mimo to, zauważyła, „Bittersweet” funkcjonował jak dobrze naoliwiona maszyna.

– Czy nigdy nie karze pan swoich ludzi? – zapytała impulsywnie.

Henderson wpatrywał się w nią przez chwilę, analizując jej słowa.

– Sądzi pani, że skoro nie zmuszam ich do modlitwy albo nie okładam kańczugiem, to nie mam nad nimi żadnej kontroli?

Maria poczuła, że jej policzki płoną. Zabrzmiało to tak, jakby preferowała da Couta – jakby wolała brutala.

– *Sir*, podziwiam zaufanie, jakim obdarza pan swoją załogę... – zaczęła.

Henderson parsknął śmiechem. Czuł się odurzony i przytłoczony zarazem.

– Nie ma potrzeby, by odwoływała pani swoje słowa – rzekł z lekkim uśmiechem. – Ma pani prawo do swojej opinii, wie pani, jak to działa, ze swojego doświadczenia. Ale to ja dzierzę tutaj ster. I jeśli muszę komuś przemówić do rozumu, to to robię, ale nie będę dowodzić statkiem przy pomocy codziennej chłosty, drobiazgowych zasad i zabobonów. Moja załoga zasługuje na coś lepszego.

Maria dostrzegła dwóch przysłuchujących się im mężczyzn. Być może kapitan Henderson nie mówił wiele, ale kiedy już się odezwał, to trafiał w punkt.

– Nie chciałam pana urazić – powiedziała.

– Nie ma sprawy, proszę pani.

Z jego tonu wywnioskowała, że rzeczywiście tak myśli. To też było nietypowe. Przywykła do tego, że mężczyzna, którego pomysły podaje się w wątpliwość, staje się arogancki.

Kiedy odchodziła, Henderson przeklinał się za to, że był tak ostry. Pani Graham ruszyła w stronę dziobu, gdzie mewy i burzyki opadały lotem ślizgowym i chwytaly pływające przy powierzchni ryby. Kapitan popatrzył za jej oddalającą się sylwetką – przez chwilę miał wrażenie, jakby leciała z ptakami, wysoka i szczupła, wychylona za burtę przypominała mu gotowy



zanurkować galion. Cechowała ją jakaś osobliwa zwinność, powłóczyństwo, absolutna elegancja. Wciąż się w nią wpatrywał, gdy „szybowała” do kabiny, do swoich manuskryptów. Podniosła dłoń, jakby zaskoczona, że go widzi.

Maria wpadła w wygodny rytm: albo pracowała w kabinie, albo spacerowała po pokładzie. Samotność była dla niej luksusem i z tej przyczyny statek szybko stał się dla niej domem. Pomiędzy kolejnymi korektami materiału na temat historii wojny o niepodległość Chile obserwowała kapitana Hendersona – małomównego, ale z pewnością kompetentnego. W opinii Marii – a nie wydała jej pochopnie – nie mógłby zostać kapitanem królewskiej marynarki. Owszem, akceptowano tam ekscentryków, ale brytyjscy kapitanowie byli przeważnie konserwatywni. A ta cecha była Hendersonowi obca. Niemniej jednak podejście kapitana do załogi wydawało się nieoczekiwanie światłe. Tak, to właściwe słowo.

Ojciec i mąż Marii służyli w marynarce. Życie na statku było dla niej czymś normalnym już w dzieciństwie. Wielokrotnie przychodziło jej do głowy, że na pokładzie nie jest ważne, skąd i dokąd płyniesz. Każdy rejs ma własny urok. Przypomina pisanie książki – słowo za słowem – albo eksplorację nieznanymi miejscami – krok za krokiem. Każdą minutę należy przeżywać sekunda po sekundzie. Jeśli usilnie starasz się gdzieś dotrzeć, potróż trwa dwa razy dłużej. Ostatecznie przebywanie na morzu jest konstruktywne. Kiedy tylko rozwiniesz żagle, z definicji dokądś płyniesz. Jej ojciec zwykł mawiać: „Podróż, Mario, stanowi takie samo osiągnięcie jak dowód matematyczny”.

Maria czuła, że między nią a kapitanem zawiązało się osobliwe milczące porozumienie. Jednocześnie miała wrażenie, że szlak między Natalem a Trynidadem pokonywali na dwóch siostrzanych statkach przypadkiem zmierzających w tę samą stronę. Rzadko rozmawiali, zresztą większość dni Maria spędzała na porządkowaniu manuskryptów. Co rano rozciągała się na hinduską modłę we wpadającej przez okno smudze światła, oddychając głęboko bez krępującego gorsetu. Zauważyła, że suche ciepłe powietrze pozwala jej na większą elastyczność, a słońce miło grzeje jej skórę. Zdarzało się, że gubiła wówczas myśli. Było to wielce przyjemne uczucie niosące ze sobą spokój charakterystyczny dla głębokiego snu. Na jej znak przychodził chłopiec okrętowy – sprzątał kajutę, wietrzył pościel, przynosił jedzenie z kuchni i pewterowy dzban z gorącą wodą do porannej toalety. Dzieciak, najwyżej dwunastoletni, miał skórę tego samego koloru co ciemne drewno, którym wyłożono kabinę. Na jego twarzy malowała się powaga, jakby nigdy dotąd się nie uśmiechał i nie zamierzał tego robić. Którego dnia Maria pokazała mu swoje szkice. Przez ponad dwa lata zgromadziła ich całkiem sporo – kościół w Valparaíso, smocze drzewa, porastające dżunglę osobliwe rośliny, łódzie w porcie w Bahii, pałac w Rio. Chłopiec otworzył szeroko ciemne oczy i chłonął szczegóły, tak jak sucha ziemia absorbuje wodę. Maria opowiedziała mu o dziwnych zwierzętach gospodarskich, ogromnych pałacowych kuchniach,

długich marmurowych korytarzach oświetlanych kryształowymi żyrandolami. Malec obrzucił jej książki podejrzliwym spojrzeniem.

– Gdzie nauczyła się pani czytać? – zapytał.

Poczuła ukłucie w sercu. Matka nauczyła ją tego, nim została od niej odsunięta. Pamiętała, jak siedzieli razem w pokoju dzieciennym. Później panna Bright, nauczycielka w Oxfordshire, podrzucała jej w tajemnicy dzieła Szekspira i Owidiusza, które uchodziły za trudne, niemożliwe do przyswojenia przez małą dziewczynkę. Maria spijała każde słowo. Anglia z jej dzieciństwa była zimna i nieprzychylna. Szkoła stanowiła szarą klatkę, a dom jej ciotki, w którym spędzała święta, złote więzienie. Książki stały się dla niej jedyną ucieczką.

– W szkole – powiedziała. – Mogę cię nauczyć, jeśli chcesz. To jest A – wymówiła głoskę, rysując literę. – Chłopiec powtórzył za nią.

Potem już co rano uczył się z nią na pokładzie – siedziała w słońcu na beczie i pisała kredą na deskach niczym na tablicy. Kiedy któregoś razu Henderson ich minął, bez słowa skinął jej głową. To nie jest człowiek małowówny, to absolutny milczek – pomyślała wtedy.

Dlatego zdziwiła się, gdy pewnego popołudnia zastukał energicznie do drzwi jej kabiny i poinformował ją, że w zasięgu wzroku mają już port w San Fernando. Wpięła w kapelusz srebrną szpilkę, poprawiła szarą spódnicę i wyszła na zalany słońcem pokład. Stojąc w cieniu żagli, obserwowała nabierającą ostrości zieloną wyspę. Przez słone morskie powietrze przebijał się słodki zapach cukru.

– Czy są tam plantacje? – zapytała.

Henderson pokiwał głową.

– Biedne dusze.

– Cukier i kakao. Trochę kawy.

– Czy transportuje pan tylko kakao, kapitanie?

Było to dobre pytanie. Henderson zawahał się.

– Kupuję i sprzedaję tylko to, na czym się znam – odparł. – Kiedyś specjalizowałem się w rumie i cukrze, teraz na popularności zyskało kakao. A ponieważ nie każdy wie, co kupować, mam przewagę. Jako dziecko spędziłem trochę czasu na plantacji. Mój ojciec tam pomieszkiwał. Jego... – zawahał się, ponieważ ten układ był tak daleki od szacownego Londynu, jak można to sobie tylko wyobrazić – kobieta była świetną kucharką.

Maria pokiwała głową. Jedzenie na „Bittersweet” było o niebo lepsze od tego, które zwykle serwowano na statkach. Uświadomiła sobie, że rankiem z niecierpliwością czeka na przyniesioną do jej kabiny gorącą czekoladę, słodką i pikantną, oraz świeży, jeszcze ciepły chleb kukurydziany. Wino do kolacji zawsze odpowiednio dobierano do serwowanego dania. Grillowaną rybę podawano jak trzeba – z limonką. A przecież niejednokrotnie już podczas

swoich dalekomorskich wojaży z konieczności musiała się zadowolić samymi herbatnikami i suszonym mięsem. Niektórym marynarzom wcale to nie przeszkadzało, ale jak sądziła, Hendersonowi – tak. Była pewna, że kapitan maczał palce w menu, nosiło bowiem znamię bardziej wyszukanego smaku, niż można by się spodziewać po kucharzu okrętowym. Po niezrozumiałym dla niej napadzie głodu w Natalu, jej apetyt na pokładzie „Bittersweet” został zaspokojony.

Słońce prażyło bezlitośnie. Maria westchnęła. Była już zmęczona niekończącą się dobrą pogodą, wiecznie wypełnionymi muchami i potem dokami, bawiącymi się w kurzu bosymi ciemnoskórnymi dziećmi, które tylko czekają na okazję, by coś ukraść z twojej kieszeni, gąszczem statków i drzew palmowych, zapijającymi się w porcie marynarzami. Marzyła o londyńskim chłodzie i domu, z którego okien mogłaby podpatrywać przechodniów śpieszących ulicami, sącząc gorącą herbatę i skubiąc bułeczkę z masłem. Było coś kojącego w bladolicy, dobrze odżywionej, zdystansowanej służbie. Wyobraziła sobie dotyk lodu na skórze i orzeźwiająca świeżość jasnego zimnego poranka. Brytyjską cywilizację. Jak dobrze byłoby nie czuć się zobligowaną do wnikliwych obserwacji. Może w końcu naszła mnie nostalgia – pomyślała. Londyn się zbliżał, a z nim słodko-gorzkie oczekiwania. Zerknęła na kapitana, zastanawiając się, czy on też tak to odczuwa.

Podczas gdy marynarze uwijali się na pokładzie, ze świadcząca o doświadczeniu wprawą klarując żagle i takielunek, Maria zauważyła, że na nabrzeżu jakiś blondyn wyskoczył ze straganu z rumem i zaczął entuzjastycznie machać. Miał na sobie wymięty garnitur z jasnego lnu, biały fular i cudaczny kapelusz z sitowia, niektóre pędy były jeszcze wyraźnie zielone. Kiedy tylko opuszczono trap, mężczyzna wbiegł na pokład z butelką rumu w ręce. Ukłonił się nisko na widok Marii, zapytując najpierw po portugalsku, a potem po angielsku ze skandynawskim akcentem, co porabia na „Bittersweet”.

Twarz Hendersona rozjaśnił szeroki uśmiech. Wziął rum i dokonał prezentacji.

– Thys Bagdorf – powiedział. – Pani Maria Graham.

– Sprzedaję Jamesowi kakao z rodzinnej plantacji – oznajmił Thys z szerokim uśmiechem, podając jej dłoń.

– Obawiam się, że nie dziś – odparł kapitan.

Thys przyjął odmowę bez mrugnięcia okiem.

– Wiesz, co tracisz, mój przyjacielu. Tegoroczne zbiory są wybitne. Co wieziesz? – zapytał.

– Właśnie kakao. Kupione na zlecenie w Brazylii. Mam dostarczyć je do Londynu. Pani Graham płynie z nami jako pasażerka.

Thys ukłonił się jeszcze raz.

– Miałem nadzieję, Jamesie, że razem obalimy butelkę. Ale skoro masz damę na pokładzie,

zapraszam was oboje na kolację.

– Muszę przestudiować mapy – zaproponował Henderson. – Będziemy tu tylko dzień. Może w drodze powrotnej...

– Nie. Przyjdźcie dzisiaj – naciskał Thys. – Moja siostra jest w domu. Zaproszę jeszcze jednego kapitana i będziecie mogli przedyskutować twój kurs. To dla was ostatni przystanek przed kilkutygodniowym odcinkiem rejsu, prawda?

– Miałam nadzieję, że uda mi się zdobyć tutaj jakąś lekturę – przyznała Maria.

Nie spodziewała się znaleźć w San Fernando księgarni, a już zwłaszcza takiej, która oferowałaby książki w języku angielskim. Uświadomiła sobie jednak, że pracując w dotychczasowym tempie, skończy przepisywanie i poprawianie manuskryptów w połowie rejsu i nie będzie miała co robić ani z kim rozmawiać – z wyjątkiem chłopca okrętowego.

– Mamy angielskie książki – zagrział Thys – nawet powieści, jeśli w tym pani gustuje. Choć damy zawsze preferują powieści. Sława panny Austen dotarła nawet tutaj, ale przyznam, że nie miałem okazji zapoznać się z jej twórczością. *Emma*, prawda?

– Dziękuję – powiedziała Maria bez entuzjazmu. Według niej powieści niewiele wносиły. Owszem, zdarzało jej się przerzucić jakąś, gdy źle się czuła, ale prawdziwą namiętność budziły w niej czasopisma naukowe. – Bardziej interesują mnie pozycje dotyczące botaniki.

– Nie ma sprawy – Thys odparł bezceremonialnie. – Pożyczysz sobie pani, cokolwiek się jej spodoba. Nalegam. Przyjdźcie o dziewiątej.

Henderson usłyszał, jak jeden z mężczyzn przy bezanmaszcie zażartował coś o damie i książce. Głośny śmiech zalał pokład – jakby ktoś chlusnął wiadrem farby. Jedno stalowe spojrzenie wystarczyło, by zapadła cisza. Kapitan poczuł, że się zaczerwienił ze wstydu, i pogratulował sobie w duchu, że tym razem się nie ogolił. Na szczęście pani Graham niczego nie zauważyła. Stała u szczytu trapu i machała do schodzącego Thysa.

Tego popołudnia Maria spacerowała bez celu po pokładzie i obserwowała tętniące życiem, wypełnione handlarzami doki. Miała wrażenie, że w tym porcie było więcej niewolników niż w innych. Kolejne statki wypływały na nabrzeże mężczyzn i kobiety, słabych, zakutych w łańcuchy. Aż skręcało ją w żołądku na ten widok. Na długo przed zachodem słońca wróciła do kabiny. Rozłożyła na łóżku suknię wieczorową. Gdy zauważyła, że niebo poznały pomarańczowe smugi, zapaliła świece i zamknęła okiennice. Głuchy chłupot wody o burzę wybijał nierówny rytm.

W kabinie wciąż znajdowało się mnóstwo rzeczy należących do kapitana Hendersona. Kajuta, do której się przeniósł, była zbyt mała, by pomieścić cały jego dobytek. Na ciężkich drewnianych półkach leżały mapy południowych wód. Honorowe miejsce zajmował mosiężny model Układu Słonecznego – zauważyła, że jest podobny do tego, który posiadał jej ojciec. Ale

w tym przypadku tellurium nie korespondowało z osobowością właściciela. Wydawało się zbyt przeintelektualizowane. Komandor Dundas wykorzystywał je, aby rozpocząć rozmowę. Henderson do tej pory nie okazał nim najmniejszego zainteresowania.

Maria wprawiła metronom w ruch. Tykał w rytm jej rozważań. Nie wiedziała, co myśleć na temat Jamesa Hendersona. Umiał się dobrze ubrać, był schludny, kompetentny, mało mówny i – jak twierdził chłopiec okrętowy – odważny. Pewna szorstkość w obyciu sprawiała, że była skłonna dać malcowi wiarę. Niespodziankę stanowił dla niej jego kosmopolityzm. Uwielbiał jeść i pić, ale nie mogłaby nazwać go ani żarłokiem, ani pijakiem. Gdyby miała wziąć pod uwagę sam rejs, powiedziałaaby, że to po prostu bardzo skryty, zamknięty w sobie mężczyzna, może nawet nieśmiały, jednak to, w jaki sposób zabiegał o jej obecność na statku wcześniej, zdawało się temu zaprzeczać.

Pod półkami stały dwa skórzane kufry. Zaciekawiona Maria postanowiła sprawdzić, co w nich jest. Może znajdzie przynajmniej lustro, ponieważ w kabinie nie było żadnego zwierciadła, przy którym mogłaby ułożyć fryzurę. Znaleźć lustro. To właśnie – powiedziała sobie – zamierza zrobić. Jej serce zaczęło bić szybciej, gdy stanęła przed jednym z kufrów. Na moment zawahała się, ale chwyciła za mosiężną rączkę na zawiasach i podniosła wieko. Chmura kurzu sprawiła, że szybko odsunęła się od skrzyni. Gdy pył opadł, zajrzała do środka. Na wierzchu leżały stare ubrania. Pod nimi znalazła stertę listów. Uświadomiła sobie, że pisało je dziecko. Zawierały między innymi wzór łacińskiej deklinacji, obliczenia matematyczne i słabej jakości szkic ołówkiem przedstawiający kota siedzącego na aksamitnej poduszce przy zalanym deszczem oknie. Nie znalazła żadnego lustra, więc otworzyła drugi kufer. Nie był tak zakurzony ani wypełniony po brzegi. Wewnątrz leżała sakiewka z monetami, list przewozowy z Natalu i coś owiniętego w płótno. Wyjęła paczuszkę i pochyliła się mocniej, żeby zajrzeć na dno skrzyni. Jakie to typowe dla mężczyzn nie przechowywać nic użytecznego – pomyślała. Kiedy statek zakołysał się niespodziewanie, straciła równowagę i upuściła paczuszkę. Z płótna wypadła spora brązowa bryłka. Czekolada – pomyślała. Dziwne. Po co kapitan miałby przechowywać ten blok w swojej kabinie? Ładownię wypełniały ziarna kakaowca, a kuk miał pokaźne zapasy czekolady w kuchni. Może to jakiś wyjątkowy gatunek. Podniosła odłamana część i powąchała. Poczła lekki zapach stęchlizny, co świadczyło o nie najlepszej jakości produktu – albo raczej o złej. Zdała sobie z tego sprawę, nawet przy swojej ograniczonej wiedzy na temat czekolady.

Kiedy sięgała po resztę bloku, zauważyła, że coś w nim jasno pobłyskuje. Nie umiała tego wyjaśnić. Zaintrygowana poszła po kuferek z przyborami toaletowymi. Postawiła go na stole i wyjęła z niego srebrną łyżeczkę do czyszczenia paznokci. Potem usiadła, by zbadać swoje zagadkowe znalezisko. Przynęła bliżej świecę i choć się zawahała, przewyciężyła wrodzony

szacunek dla obcej własności i ostrożnie wywierciła dziurę w pobliżu krawędzi bloku – tak jak podczas sprawdzania świeżości i jakości czekolady. Czyścik uderzył w coś twardego.

Maria drążyła dalej – czuła się niczym pies gończy, który złapał trop. Cokolwiek znajdowało się w środku, było znacznie twardsze niż zabłakane ziarenko albo nawet zbitka kilku, pokruszonych i prażonych. Zaczęła delikatnie obciosywać blok, ostrożnie odkładając ciemne strużyny na kawałek kartki – czuła się jak chirurg przeprowadzający sekcję zwłok. Po minucie wydlubała niekształtny kamień wielkości moreli. Jej serce zabiło szybciej, gdy zbliżyła go do światła. Nie była ekspertem, ale nie miała wątpliwości, że trzyma w ręku nieoszlifowany klejnot. Jego mleczną, nierówną powierzchnię znaczyły cętki kakao.

Poderwała się na nogi i pobiegła po szkatułkę z biżuterią. Wyjęła z niej szpilkę do włosów ozdobioną zawadiackim niebieskim piórkiem, kilkoma perłami oraz lśniącem diamencikiem. Przytrzymała mocno kamień i przesunęła po nim diamentem. Ten zostawił po sobie cienką linię, lekkie zadraśnięcie. Odłożyła klejnot. Nie mógł być to nieoszlifowany diament, ale też nie było to szkło. Kolor miał bardzo jasny – może zatem topaz.

Maria opadła na obity skórą fotel, czując nagle, że nie może swobodnie oddychać. Odkryła tajemnicę kapitana. Owszem, mężczyzna stanowił zagadkę, jednak tego się nie spodziewała. Opanowała się i wywierciła w czekoladowym bloku jeszcze sześć dziur, jedną po drugiej. Wkrótce blat zasłaly różnokolorowe nieoszlifowane surowe kamienie szlachetne. Rozpoznała dwa szmaragdy i jak podejrzewała, diament – dość mały, ale o bardzo dużej gęstości, bo szpilka nawet go nie zarysowała. Z pewnością wart setki. Maria wywierciła ostatnią dziurę i poszerzyła ją nieco, a potem nachyliła świecę. Ukryta materia zalśniła złotem. Jedyne racjonalne wyjaśnienie było takie, że Henderson trudnił się przemysłem. A może kamienie pochodziły z kradzieży...

Metronom znieruchomiał i nagle Maria uświadomiła sobie z przerażeniem, że zupełnie straciła poczucie czasu. Zaskoczona pukaniem, które rozległo się minutę albo dwie później, odruchowo zakryła ręką usta.

– Chwileczkę! – zawołała, po czym trzęsącymi się dłońmi zawinęła czekoladę i kamienie w płótno, a potem wsunęła całość pod stertę papierów.

Kiedy zezwoliła na wejście, z wyraźną ulgą stwierdziła, że to tylko chłopiec okrętowy przyniósł dzban z wrzątkiem. Odesłała go pośpiesznie i zamknęła za nim drzwi. Potem podeszła do toaletki. Do mycia użyła muslinowej myjki. Nie mogła przestać myśleć o drogocенnościach ukrytych wśród swoich papierów, wracała do nich wzrokiem, przebierając się w wieczorową suknię z błękitnej satyny i wsuwając bladozłote rękawiczki. Ułożyła elegancko włosy i spięła szpilką. Odrobina olejku z orchidei zakończyła jej przygotowania.

Co teraz? Miała jeszcze kwadrans do wyjścia.

Usiadła przy stole z rękami splecionymi na podołku i wróciła myślami do bloku czekolady. Przypomniała sobie wszystko, co wiedziała na temat Jamesa Hendersona. Jej myśli błądziły, ściagały się, próbowała je ujarzmić niczym rozbrykanego kucyka. Zdawała sobie sprawę, że teoretycznie znalazła się w niebezpiecznej sytuacji. Trudno przewidzieć, co zdemaskowany przemytnik albo złodziej może zrobić, choć Henderson z pewnością nie był pozbawionym serca potworem, nawet jeśli łamał prawo. Po pierwsze, naprawdę mocno przeżył śmierć przyjaciela w Natalu. Po drugie, Thys, którego dziś poznała, sprawiał wrażenie porządnego człowieka i wydawał się szczerze zadowolony ze spotkania z kapitanem. Po trzecie, załoga wypełniała rozkazy co do joty i to nie dlatego, że czuła się w jakiś sposób zastraszona. Wszystko wskazywało na autentyczny, uczciwie wypracowany szacunek i poczucie przyzwoitości. Czy był piratem-dżentelmenem? Nie, dżentelmenem nie, ale piratem albo rozbójnikiem...

Maria należała do londyńskiej elity, jednak każdego traktowała tak, jak uważała, że na to zasługuje. Lokalna angielska społeczność często była przerażona tym, że spędzała czas z farmerami czy handlarzami końmi, ekscentrykami i mistykami, jednak ona ceniła sobie wiedzę ponad konwencje i od dawna wierzyła, że aby poczynić pewne odkrycia w świecie, trzeba pozbyć się swojej angielskości i otworzyć oczy. Mimo to ukryte klejnoty były nie do przyjęcia. To grom z jasnego tropikalnego nieba. To szmugiel. Schowała jeden z kamieni do swojej torebki – jako dowód, gdyby go potrzebowała.

Pukanie do drzwi sprawiło, że jej ręce zatrzepotały niczym motyle skrzydła. Opanowała się i wstała, by wpuścić kapitana do kabiny. Obserwowała go uważnie, kiedy kłaniał się i przestępował przez próg. Miał surowy wyraz twarzy, ale nie niemiły. Mimo to nie mogła się zdobyć na tak okropne oskarżenie. Przemytnicy byli bezwzględnyimi przestępcami, pospolitymi bandytami. Ich zwłoki rozwieszano we wszystkich portach rozkwitającego cesarstwa. Czy mógłby ją skrzywdzić, gdyby wystąpiła przeciw niemu? Znajdowała się na pokładzie jego statku i pod jego opieką.

Henderson wyszykował się na kolację. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech, blade oczy wydawały się niebieskozielone.

- Kabina wygląda na lżejszą wypełniona pani rzeczami – powiedział. – I ładniej pachnie.
  - Kolacja – oznajmiła ostrożnie, podając mu ramię. – Chciałabym zobaczyć plantację.
- Przynajmniej wieczorna rozrywka da jej czas na to, by go przestudiować.

## SAN FERNANDO

Przy trapie stała lekka dwukołówka zaprzęzona w parę kasztanów, którą powoził nieciekawie wyglądający fiakier w koszuli bez marynarki. Niedogolony, musiał używać wyjątkowo tępej brzytwy. Henderson najpierw pomógł Marii zająć miejsce, potem spoczął naprzeciw niej. Cienko tapicerowane siedzenia były twarde, a gdzieniegdzie do cna wytarte.

Podczas milczącej przejażdżki po tętniącym wieczornym życiem kolorowym mieście Maria nie była w stanie spojrzeć kapitanowi w oczy. U zbiegu ulic mali chłopcy sprzedawali soczyste plastry czerwonego i pomarańczowego melona. Hurgot kół toczących się po kocich łbach z początku wydawał się wprost ogłuszający, ale przynajmniej usprawiedliwiał brak konwersacji, niedostatecznie gruba tapicerka pozwalała poczuć każdy wybój na drodze. Maria obserwowała Hendersona ukradkiem, szukając czegoś, co świadczyłoby o tym, że prowadzi działalność przestępczą. Przez cały tydzień rozmyślała na temat kapitana ta możliwość nie przyszła jej do głowy. Przemytlik. Zaczęła analizować rejs z Natalu, zaniepokojona tym, co jeszcze nielegalnego mogło się dziać na pokładzie „Bittersweet” – tuż pod jej nosem.

Gdy bruk zastąpiła ubita ziemia, a duchotę na wyżej położonym terenie zakłóciła lekka bryza, Maria odetchnęła z ulgą. Niedługo potem światła domów i tawern ustąpiły ciemności. Cieniutki sierp księżyca rzucał delikatną poświatę. Samotna lampa na wyposażeniu dwukółki wydawała się nieistotna w obliczu otaczającego ich mroku – jej blady poblask ledwo docierał do rogów powozu. Kości policzkowe Hendersona wydawały się jeszcze mocniej zarysowane.

Nie sądzę, by mnie skrzywdził – pomyślała Maria. Stanowił mieszaninę sprzeczności, więc trudno było powiedzieć. Na początku postrzegala go jako kobieciarza – po tym, jak ruszył w pogoń za nią, gdy tylko postawiła stopę w Natalu, nagabywał ją w dokach i zabiegał o jej uwagę. Na pokładzie był inny – zamknięty w sobie i zdystansowany, zachwyił ją otwartym umysłem. A teraz te kamienie. Czyżby to wszystko było grą pozorów? Czyżby miała do czynienia ze sprytnym iluzjonistą przywdziewającym różne wersje siebie?

Po zjechaniu z głównej drogi powóz zaczął wspinać się po kamienistej ścieżce, kolebiąc się na boki. Henderson i Maria trzymali się cienkich skórzanych pasów przymocowanych do drzwiczek, to z przepaszającym spojrzeniem objając się o siebie, to z szarpnięciem lecąc



w drugą stronę. Kiedy Maria otarła się o marynarkę kapitana, owionął ją piżmowy zapach dymu z fajki.

– Będzie pani cała w siniakach – powiedział. – Do portu musimy wrócić lepszą bryczką.

Jej serce zamarło, otworzyła usta, ale słowa nie chciały przejść przez gardło. Czy jest pan kryminalistą, *sir*? Przemysłowcem? Jak mogła o to zapytać? Powietrze wypełniło pulsujące brzęczenie świerszczy. Teraz, kiedy zamiast kamieni mieli pod kołami miększą ziemię, słyszała je wyraźnie. Co za drażniący hałas. Zrozumiała, że musi wiedzieć – jak inaczej miałyby wrócić na statek?

Ale zanim wydusiła z siebie pytanie, przemykający obok nich świat zatrzymał się, kiedy dwukołówka zajechała przed bielejącą w mroku drewnianą werandę. W równych odstępach wzdłuż przybudówki ustawiono lampy. Na powitanie wyszło im dwoje służących albo niewolników. Zaraz za nimi podążył Thys Bagdorf, ponownie w garniturze z jasnego lnu i śnieżnobiałym fularze. Do butonierki włożył morelowy kwiat – epifillum.

– Witajcie – zagrzmiał Thys. Jego blond loki zaśniły w świetle lampionów.

Henderson zeskoczył z powozu i poklepał przyjaciela po plecach.

Thys uklonił się i wręczył Marii bladą lilię.

– Do wpięcia we włosy.

Maria dygnęła, szeleszcząc satyną. Potem, stukając obcasami po drewnianej podłodze, pośpieszyła za gospodarzem przez hol do eleganckiego salonu. Zdobiące pokój czerwone poinsecje na tle bladoniebieskiej tapety tworzyły niezwykły klimat. Blask świec rozlewał się wszędzie niczym płynne złoto. Taka jasność po przepastnej ciemności wydawała się wręcz przepychem. Natura została tutaj ujarzmiona. Na drewnianej sofie siedziała ładna blondynka. Sączyła jakiś blady napój z gigantycznego kieliszka, który w jej rękach przypominał nieduże wiadro.

– Pani Graham, kapitanie Henderson, chciałbym przedstawić moją siostrę, pannę Ramonę Bagdorf.

Panna Bagdorf wstała i dygnęła. Po chwili pojawił się lokaj z tacą. Maria nie potrafiła skupić się na pięknym pokoju i nieoczekiwanym towarzystwie. Czuła się zagubiona, jakby pływała w blasku świec, pozbawiona gruntu pod nogami.

– Kapitan Ebberhardt – kontynuował Thys swobodnie – nie mógł do nas dołączyć, ale uprzejmie zgodził się udzielić kilku wskazówek. Często przeprowadza się przez Atlantyk. Ostatnio do i z Amsterdamu. Tymczasem wypijmy za waszą podróż i bezpieczny powrót. – Uniósł kieliszek. Alkohol zaśnił w półmroku.

Maria nie mogła się oprzeć i spojrzała Hendersonowi prosto w oczy, próbując domyślić się jego prawdziwych intencji.

– Cieszę się, że będę mógł znów zobaczyć Londyn – przyznał kapitan. Jego głos brzmiał niemal chłopięco.

– Współczuję pani, pani Graham – zagaił Thys, który wyraźnie miał obycie towarzyskie. – Zezwolono pani na zaledwie jeden dzień na pięknym Trynidadzie...

– Muszę jak najszybciej wrócić do Anglii – wyjaśniła Maria. W gruncie rzeczy była to prawda. Rozejrzała się, chcąc przekazać komuś pałeczkę w rozmowie. – Panno Bagdorf, a jak pani znajduje wyspę? Jest tu już pani od dłuższego czasu?

Ramona pokiwała głową.

– Przypłynęłam w zeszłym roku – odparła. Perfekcyjnie mówiła po angielsku. – Na początku były tu straszne sztormy, ale teraz pogoda się uspokoiła. Thys kupił mi konia.

Thys przestąpił z nogi na nogę.

– Musi pani wiedzieć, pani Graham, że moja siostra jest buntowniczką. Zaledwie kilka dni temu przyłapałam ją na jeździe konnej nie bokiem w siodle damskim, ale jak džentelmen – okrakiem. Jak rozumiem, jeździ w ten sposób już od jakiegoś czasu.

Ramona miała na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

– Mój Boże! Gdzie pani jeździ w ten sposób, panno Bagdorf? – Maria wiedziała, że są zasady, których lepiej nie łamać, i takie, których łamać po prostu nie można. Podczas wszystkich swoich podróży nigdy nie jeździła konno po męsku. Gdyby tak szokująca historia wyszła na jaw, nie dałoby się uniknąć skandalu. Panna Bagdorf była wyraźnie amazonką. Jeszcze chwila i zacznie nosić pantalonny.

Ramona zachowała spokój.

– Większość kobiet może uznać to za niestosowne, *madam*, ale pokonując kolejne wzniesienia, zrozumiałam, że jazda bokiem mnie spowalnia.

– Brawo! – pochwalił ją Henderson. – Dlaczego nie? Trzeba przeciwstawiać się sztywnym tradycjom.

Panna Bagdorf zaczerwieniła się tak bardzo, że nawet jej usta zdawały się płonąć, niczym echo poinsecji. Dojrzałe jabłko tylko czekające na to, by je zerwać z gałęzi.

– Trynidad to prawdziwy klejnot – powiedziała prosto i dodała: – Zbieram receptury. Dziś wieczorem wypróbujemy kilka z nich. Niedługo Thys odeśle mnie do Londynu, do ciotki Birgette, która podupadła na zdrowiu. Mam się nią opiekować. Kapitanie Henderson – zmieniła temat – rozumiem, że jest pan specem od kakao?

– Największym. Jamesie, nawet nie próbuj zaprzeczać. – Thys wszedł w słowo speszonemu Hendersonowi. – Tobie pokazuję tylko najlepszą część moich zbiorów. Nie ma sensu próbować wciskać ci czegoś innego.

Maria obserwowała Hendersona, który usiłował zbagatelizować komplement.

Kolacja przypominała ucztę – podano krewetki, pieczone rajske banany, pieczonego kurczaka w przyprawach, ser kremowy, miód i chleb tak świeży, że chciało się go jeść bez przerwy. Było jasne, że panna Bagdorf preferowała życie z dala od pełnej rezerwy dystygowanej Kopenhagi i bez żalu porzuciła matczynej *brunsviger*<sup>[30]</sup> na rzecz specjałów niewolników oraz beztroskiej jazdy po bujnych tropikalnych bezdrożach.

– Lubię jeść rękami – wyznała dziewczyna. – Te potrawy są do tego stworzone.

– Ale nie nasze stroje – dowcipkował Thys ze śmiechem.

Maria odłożyła sztucce, zdjęła rękawiczki i podniosła palcami nogę kurczaka. Henderson spojrział na nią badawczo i zrobił to samo.

– Smakuje inaczej, nie uważa pani? – zaćwierkała Ramona.

– Niedługo zawołasz niewolników i każesz im przyśpiewywać do posiłku – zbeształ ją Thys.

Strzępek skóry z nogi wysunął się Marii z palców i spadł na jej suknię. Strzepnęła go na podłogę.

– A nie mówiłem? – napawał się Thys.

Gdy Maria z powrotem założyła rękawiczki, nieszczęśliwie zaczepiła guzikiem o nóż, a ten zaczął zsuwać się ze stołu. Henderson w jednej chwili nachylił się i złapał go w powietrzu, potem zręcznie zakręcił nim w dłoni tak, by mogła łatwo chwycić za rękojeść z kości słoniowej. Ramona zaklaskała.

– Dziękuję – powiedziała Maria, w duchu przekonując siebie, że nie ma powodu, dla którego kapitan nie powinien umieć obchodzić się z nożami. Popada w histerię. Nawet jego uśmiech wydaje jej się złowieszczy. Przemyttnik. Przestępca. Złodziej.

Po kolacji grali w brydża. Kapitan z powodzeniem impasował, a z jego twarzy trudno było wyczytać szanse na wygraną. Nie zdziwiło to Marii. Być może nigdy nie pokazuje swojego prawdziwego oblicza – pomyślała. Być może pod powierzchnią kryje się pustka. Ale to nieprawdopodobne. Musi coś być. Żaden człowiek nie jest na wskroś dobry albo zły.

– Wspomniała pani, panno Bagdorf, o powrocie do Londynu? – zapytała Maria.

– Czekamy na wiadomość – wtrącił się Thys.

– Być może mogłabym zabrać się z panem, kapitanie? – Ramona jak urzeczona wpatrywała się w szerokie barki Hendersona. Wyraźnie nie podzielała zastrzeżeń Marii co do przystojnego gościa.

– Odpływamy jutro rano. Jeśli chce pani zająć kabinę na pokładzie „Bittersweet”, musi się pani natychmiast spakować – droczył się z nią Henderson.

Panna Bagdorf, nie speszona tym, zagrała dwa atu.

Długo po północy sączyli kawę nalaną do różowych filiżanek z wysokiego srebrnego

dzbanka, kończąc kruche ciasteczka. Cma przeleciała przez pokój i opadła na podłogę. Maria wciąż nie doszła do żadnych wniosków. Wszystko zdawało się tutaj zbyt normalne. Kiedy dopaliły się ostatnie ze świec, zapadła ciemność.

– Czyżby wzrósł podatek od woskowych świec? Może powinienem zorganizować jakąś kontrabandę – zażartował Henderson.

Czy to było przyznanie się do winy?

Thys roześmiał się.

– Nie wymieniajcie świec – poinstruował lokaja. – Przygotuj lampy i powóz. Chcę wam coś pokazać. – Zerwał się na nogi.

Panna Bagdorf zgarnęła etolę i sprawdziwszy, czy Henderson idzie za nią, chwyciła Marię za rękę i pociągnęła w tropikalną noc.

– Nie mam pojęcia, która jest godzina – zauważyła Maria. – Na kominku nie ma zegara...

– Po zmierzchu i przed świtem – Ramona zaczęła roześmiana, opadając na miękkie skórzane siedzenie w bryczce brata. – Tyle musimy wiedzieć. Niech pani usiądzie obok mnie, pani Graham – Wyciągnęła rękę obciążoną w sięgającą do łokcia rękawiczkę.

Thys siedział na koźle i powoził dwoma gnadoszami. Oddalali się od domu wąską drogą, niemal ścieżką prowadzącą przez ciemne listowie. Powietrze przepełniała woń tropikalnych kwiatów i chmielu, co świadczyło o tym, że na terenie majątku działał browar. Gdy bryczka stanęła, Maria usłyszała szmer płynącej wody, pohukiwanie sów i rytmiczne brzęczenie ukrytych w trawie insektów. Na wpół zahipnotyzowana, chciała zostać w tym miejscu i tylko nasłuchiwać, ale Thys już czekał na nich z lampionem w ręku. Henderson pomógł jej wysiąść. Powoli, tonąc w smolistej czerni, wędrowali za lampionem w dół wzgórza. Z półmroku co chwilę wyłaniały się owalne owoce kakaowca, pędy, liście. W końcu Thys zatrzymał się nad brzegiem niewielkiej rzeki, lampion migotał delikatnym światłem nad atramentową wodą.

– Jest słodka, prawda? – Ramona odwróciła się do Marii. Jej włosy tak lśniły, że wydawały się mokre.

W mroku trudno było zobaczyć cokolwiek – czepiające się ich pnącza, wodę przelewającą się przez próg skalny i spadającą pionowo w kompletną ciemność.

– To wodospad – oznajmiła Ramona.

– Chodźcie – powiedział Thys, zgasiwszy lampion. – Chodźcie za mną.

Maria gestem podziękowała Hendersonowi za oferowane ramię i bez trudu ruszyła po kamieniach w ślad za Thysem. Jej oczy zdążyły przyzwyczaić się do ciemności rozjaśnionej garstką gwiazd.

Rozciągające się pod nimi rozlewisko lśniło nieostrym poblaskiem przywodzącym na myśl latarnię magiczną<sup>[31]</sup>. Maria nigdy czegoś takiego nie widziała – miała wrażenie, że księżyc

runął z nieboskłonu i roztrzaskał się o tafelę, tworząc tajemnicze świetlne jezioro, prastare, bezcenne. Powierzchnia miała barwę opalu. Przypominała Marii naszyjnik, który kiedyś wypatrzyła u jubilera przy Hatton Garden. Miała dwadzieścia trzy lata. „Zostań w Londynie, a będzie twój” – powiedziała lady Dundas, kołysząc błyskotką. Maria wpatrywała się w kulię z zapartym tchem, urzeczona łapiącymi i odbijającymi światło kamieniami. Ale ona chciała płynąć do Bombaju. „A zresztą co dziewczyna twojego pokroju miałaby robić z biżuterią? – naigrawała się ciotka, kiedy Maria odrzuciła jej, trzeba przyznać, hojną ofertę. – Pozbawiona gustu intelektualistka. Doprawdy”.

Rozlewisko było większe niż jakikolwiek opal i znacznie jaśniejsze.

– Co to takiego? – zapytała zdumiona.

– Nie mam pojęcia – przyznał Thys. – Zaczęło się kilka dni temu. Niewolnicy mówią, że to podarunek od aniołów, i śpiewają pieśni dziękczynne. Osobiście nie wierzę w anioły. Musi być jakieś bardziej przyziemne wytłumaczenie tego zjawiska.

Ramona usiadła na brzegu płaskiego kamienia. Poświata podkreślała szczupłość jej kostek.

– Cokolwiek by to było, jest magicznie – oznajmiła. – Nie sądzi pan, kapitanie?

Henderson milczał. Dziewczyna obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

Maria zerknęła na nierówną kamienistą ścieżkę. Skąpana była w niesamowitym błękitcie, który przypominał wodę.

– Musimy zdobyć próbkę – oświadczyła. – Dla Royal Society<sup>[32]</sup>.

– Ja pójdę – wtrącił się Henderson. – Zejście w ciemności jest dla pani zbyt niebezpieczne.

Maria spojrzała na swoje stopy. Założyła jasne pończochy i lekkie pantofelki. Chciała zaoponować, ale Henderson już zaczął pokonywać kamienną ścianę. Ramona obserwowała go zahipnotyzowana, a kiedy na dole zdjął marynarkę i zakasał rękawy, wyszeptała coś po duńsku. Henderson wyjął z kieszeni tabakierkę, opróżnił ją i opłukał, potem sięgnął w głąb iluminowanej wody i używając chusteczki jako prowizorycznej sieci, złowił światełka, po czym wrzucił je do pudełeczka. Powtórzył tę operację kilkakrotnie. Patrzyli z góry, jak lśniąca woda wiruje wokół jego ramienia, jak chusteczka płonie niczym jasna gwiazda. Maria stała jak zaczarowana. W końcu kapitan, usatysfakcjonowany, wyjął chusteczkę, złożył ją i zamknął rogowe pudełeczko. Tam, gdzie woda opadła na kamień, krople w jednej chwili ciemniały – gasły jak zdmuchnięta świeczka. Maria pragnęła zobaczyć, jak jej własna skóra promieniuje niezwykłym światłem. Bez słowa zrzuciła pantofelki.

– Pani Graham! – zawołał Thys, ale było już za późno.

Głazy były ogromne, piasek i żwir czepiały się pończoch, wkładały się między palce stóp. Na dole kapitan Henderson złapał Marię za rękę i przytrzymał, a następnie poprowadził ją do wygodniejszej ścieżki.

– Dla Royal Society. – Podał jej pudełeczko. – Jeśli mogę, *madam*, jest pani absolutnie niestrudzona.

– W innym wypadku byłabym sobą bardzo rozczarowana, kapitanie Henderson.

Kapitan przyjął jej słowa z pobłażliwym uśmiechem.

Maria ściągnęła rękawiczki i pochyliła się nad taflą. Zanurzyła dłoń w zimnej wodzie, jej szczupłe palce śledziły zaczarowany nurt.

– W dotyku przypomina zwykłą wodę – powiedziała.

Na górze Thys usiłował powstrzymać siostrę, która zaczęła do nich schodzić, kiedy tylko przekonała się, że droga jest bezpieczna dla damy. Henderson ruszył, by pomóc panie Bagdorf, ale kamienie zrobiły się mokre, poślizgnął się i wylądował w wodzie.

– Patrz! Teraz jesteś cały mokry i pani Graham też! – zawołał Thys. – Ramona! Nie idź dalej!

Henderson podniósł się, jego nogi w wodnej poświacie wydawały się unieruchomione, jakby ukorzenione. Kapitan ukłonił się Ramonie, która właśnie dotarła nad rozlewisko, i roześmiał serdecznie. Jego zęby błyszcząły niezmierną bielą, przez chwilę zdawały się niemal przepuszczać światło.

Maria wzruszyła ramionami. W tropikach opryskanie wodą nie stwarza większego zagrożenia dla życia. Pod wieloma względami było to nawet odświeżające. Usiadła pogodna na krawędzi kamienia, machając obciążonymi pończochami stopami niczym ciekawskie dziecko.

– Jak pani uważa, co stoi za tym fenomenem? – szepnęła Ramona.

– Myślę, że jakaś ryba – odparła z uśmiechem Maria. – Albo roślina. W każdym razie coś bardzo małego, co naukowcy będą mogli dostrzec tylko przez mikroskop. Próbką wielce ich zainteresuje. Ciekawa jestem, skąd bierze się światło, bo nic nie powstaje z niczego. Czyż nie? Mogę dać pani listownie znać, co dżentelmeni sądzą na ten temat. Z naukowego punktu widzenia.

Ramona wyciągnęła rękę w stronę Hendersona.

– Musimy wydostać pana na suchy ląd, kapitanie – powiedziała. – Wygląda pan dość złowrogo w tej poświacie.

Henderson, zamiast chwycić rękę dziewczyny, schylił się, zebrał garść rozświetlonej wody i rzucił w ciemność, w stronę kobiet. Ramona zapiszczała.

– Próbką wielce ich zainteresuje – sparodiował Marię. – Wielce. Pani Graham, to cud. Niemożliwy do odtworzenia przez Rafaela. Albo Thomasa Gainsborough. – Jego zęby wydały się Marii nagle bardzo ostre. – Pewnie już nigdy nie zobaczy pani czegoś tak pięknego. To anielska woda. A pani myśli tylko o nauce.

Maria nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale zaraz się zachmurzyła. Gdyby moje myśli

zaprzętała tylko nauka... Nie potrafiła zapomnieć o klejnocie w torebce.

---

[30] Brunsviger – drożdżowe ciasto polane masłem z dodatkiem ciemnego cukru z dużą zawartością melasy.

[31] Latarnia magiczna (inaczej: latarnia czarnoksiężska, *laterna magica*) – aparat projekcyjny, pierwowzór rzutnika; w zależności od źródeł pierwsze tego typu urządzenie skonstruował pod koniec XVI wieku Giambattista della Porta lub w połowie XVII wieku Athanasius Kircher.

[32] Royal Society – towarzystwo naukowe skupiające przedstawicieli nauk matematycznych i przyrodniczych; założone w 1660 roku, pełni funkcję brytyjskiej akademii nauk.

## SAN FERNANDO

Świtało, gdy kapitan Henderson i Maria znaleźli się w powozie toczącym się wyboistą drogą do miasta. W Londynie takie późne powroty nie należały do rzadkości, ale minęło sporo czasu, odkąd stanowiły dla Marii rutynę. Wschodzące słońce odkryło rozległość zielonych wzgórz. Porastająca wzniesienia roślinność była tak bujna, że wdzierała się na trakt. Niewolnicy już pracowali w polu, ogromny nadzorca z nagim torsem chłostał jakiegoś nieszczęśnika. Maria została delikatnie osuszona, ale jeden czy dwa loki umknęły uwadze Ramony i od czasu do czasu skapywała z nich dorodna kropla wody.

– Zmęczona? – zapytał Henderson.

Maria pokręciła głową. Nie chciała wracać na statek, nie ujawniając swoich wątpliwości, a w powozie byli sami. Co prawda zwiększało to niebezpieczeństwo – kapitan był od niej dwa razy większy – ale dłużej nie mogła zwlekać. Wzięła głęboki oddech i zebrała myśli. Chciała, żeby zabrzmiało to swobodnie.

– Muszę się do czegoś przyznać, kapitanie. Może się to panu nie spodobać.

Henderson zdjął kapelusz. Jego kucyk związany był cienką wstążką koloru czekolady. Uśmiechnął się.

– *Madam?*

Jej serce zamarło. Jeśli był winny, czy mógł wyrzucić ją z bryczki?

– Zaciekawiał mnie blok czekolady, który znalazłam w jednym z kufków w pańskiej kabinie. Oczywiście postąpiłam źle, ale odkryłam pana sekret – powiedziała. Czuła się, jakby właśnie skoczyła z klifu i spadała, spadała...

Twarz Hendersona niczego nie zdradzała.

– Co ma pani na myśli? – zapytał.

– Znalazłam schowek. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła klejnot. – W bloku czekolady, który leżał w kufrze.

– No niech mnie. – Henderson uniósł kamień, aby przyjrzeć mu się w bladym porannym słońcu, którego promienie przeświecały przez okno powozu. – A czego pani szukała w moim starym kufrze?



Maria spuściła oczy na podłogę.

– Lusterka – powiedziała. – Żeby ułożyć fryzurę.

– Naprawdę? – Nie wierzył jej. – Kiedy?

– Zanim opuściliśmy statek. Upuściłam blok. Ułamał się i znalazłam ten kamień. Trochę mnie to niepokoi. – Starła się ostrożnie dobierać słowa.

Henderson zachowywał się tak naturalnie, jakby znów siedział na jednej z długich sof Bagdorfów.

– Podstępny diabeł. – Uśmiechnął się. – A więc to było w tym bloku starej czekolady? To hiszpański patent. Duchowni unikali w ten sposób płacenia należnego Koronie cła. Nie miałem pojęcia, że ktoś jeszcze stosuje tę technikę.

Marię zalało poczucie ulgi. Na jej ustach zakwitł mimowolnie promienny uśmiech. Nie wiedział.

– A więc klejnoty nie należą do pana? – szepnęła.

– Ta stęchła czekolada należała do Willa, Anglika, który zmarł w Natalu. Tuż przed śmiercią poprosił mnie, żebym dostarczył ją jego partnerom biznesowym. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego trzęsie się nad tak marnym towarem. Założyłem, że mówi o pozostałych rzeczach. Teraz, no cóż, nic dziwnego, że go to trapiło. A już chciałem oddać czekoladę do kuchni, dla załogi – Henderson zachichotał. – Moi ludzie są uczciwi, ale kucharz ulotniłby się w pierwszym porcie. To cwany Yorkshirczyk. Zresztą kto mógłby go za to obwiniać?

– A więc zgłosi pan to i zapłaci cło, kapitanie?

Henderson spojrzał na nią. Perły w szpilce do włosów pani Graham lśniły bielą, piórko kołysało się wraz z powozem. Wpatrywała się w niego uważnie. Suknia uwydatniała kolor jej oczu. Miło było widzieć, że coś jest w stanie wywołać w niej taką namiętność, nawet jeśli dotyczyło to obowiązków wobec Skarbu Jego Królewskiej Mości. Ale nie oznaczało to, że był gotowy skłamać.

– Dostarczę blok partnerom Willa, pani Graham, a co oni z nim zrobią, to już ich sprawa. O to zostałem poproszony. Nie jestem złodziejem. Oczywiście, odpowiednio ich za to obciążę.

Maria zeszywniała.

– Jeśli nie uiści pan należnego cła, *sir*, stanie się pan zwykłym przemytnikiem. Zapomina pan, że reprezentuję cesarza Brazylii. Zarówno mój ojciec, jak i mąż byli kapitanami królewskiej marynarki wojennej. Nie ma wątpliwości. Cło musi zostać zapłacone. – Oczy Hendersona zabłyśły gniewnie, ale teraz, kiedy Maria już zaczęła mówić, stwierdziła, że nie może przestać. – Dżentelmen z definicji postępuje słusznie wobec króla i kraju.

– Wielu dżentelmenów – zaoponował Henderson bez emocji – przywłaszczyłoby sobie takie dobra.

Maria pokręciła głową.

– To absolutnie niestosowne.

– Tak samo niestosowne, jak szperanie w rzeczach osobistych dżentelmena, *madam*? – Głos kapitana stwardniał. – W poszukiwaniu lusterka. Zaiste. Wystarczyło o nie poprosić. Proszę mi powiedzieć, jakim prawem dyktuje mi pani, co mam robić, i to takim tonem?

Był zły, ale Maria trzymała nerwy na wodzy.

– Bo mam rację, *sir* – powiedziała spokojnie. – I pan o tym wie.

Henderson, przed chwilą wyprostowany jak struna, opadł bezwładnie na siedzenie. Na tym właśnie zasadzał się problem. Najpewniej miała rację, niech ją szlag – znów stała się jego sumieniem, przywoływała go do porządku. Serce kapitana zamarło. Prawda była taka, że pragnął takiego życia. Kobiety takiej jak Maria Graham. Kolacji z przyjaciółmi. Pragnął być dżentelmenem. Nagle uświadomił sobie, że to dlatego wraca do Londynu. Że właśnie to go pociąga – nie tylko jej piękno, lecz także wrodzona przyzwoitość. Maria Graham reprezentowała to, co najlepsze w brytyjskości, a on wart był jej mniej niż samego Londynu. Szykowny surdut nie wystarczy, nie zmieni wszystkiego. Otaczały go tropikalne krajobrazy, ale widział tylko Anglię.

Pokiwał głową.

– Faktycznie. Jest pani bardzo odważna.

Henderson przeżył swoje dzieciństwo w niewiedzy. Dorastając, myślał, że jego matka jest damą, ale ona nie miała pojęcia o prawdziwej naturze życia. Nie znała prawdziwego oblicza własnego męża. Była naiwniaczką, która dała się zwieść eleganckim ubraniom. Po śmierci ojca Henderson odnalazł jej listy. Uwielbiała go, dzieliła się z nim każdym szczegółem swojego wyważonego angielskiego życia. Paplała o nowych nasadzeniach w londyńskich parkach i kolejnych naprawach wysłużonego rodzinnego powozu, z jego staroświeckimi siedzeniami – jakby to miało dla niego jakieś znaczenie. Nigdy nie zapytała, dlaczego nie pozwalał jej dołączyć do siebie w Brazylii. Musiał ją kochać, ale okłamywał ją, odkąd się poznali. Kapitan miał wrażenie, że zagubiłaby się, gdyby poznała prawdę. Była uczciwą kobietą. On okazał się bardziej podobny do ojca niż przesiąknięty Londynem. Jak inaczej mógłby tak nisko upaść?

Pani Graham siedziała z rękami splecionymi na podołku i cierpliwie czekała na to, co Henderson ma do powiedzenia. Jej satynowa toaleta lśniła w blasku wschodzącego słońca. Maria Graham uosabiała wszystko, za czym tęsknił. Przejrzała go na wylot i niepodziewanie zrozumiał, że nie chce dalej się ukrywać. Uświadomił sobie, że to dlatego nie mógł wydusić z siebie słowa przez cały rejs. Nie chce kłamać – pomyślał. Odchrząknął.

– Mogę panią zapewnić, że nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo, *madam*. Może pani w każdej chwili opuścić „Bittersweet”, jeśli nasze porozumienie przestało pani odpowiadać.

– Jak mogłabym to zaaprobować?

– Czy nigdy nie zdarzyło się pani załatwić czegoś nieoficjalną drogą? Podczas wszystkich swoich podróży? Nawet raz?

Maria zmieniła pozycję. Oczywiście, że jej się to zdarzyło.

– Nigdy tylko po to, by na tym zarobić – powiedziała. – Pan wybacz.

Kapitan zamyślił się. To prawda, że partnerzy biznesowi Willa zapłacą, bo odkrył ich sekret. Will tak powiedział – ale nie chodzi tylko o pieniądze. Henderson odetchnął głęboko.

– Musi pani zostawić to mnie. To nie pani sprawa, a mnie dotyczy tylko przez zbieg okoliczności. Nie ma pani prawa dyktować, co mam robić. – Zamilkł na chwilę. Jeśli chciał być inny niż jego ojciec, musiał inaczej postępować. Nie mógł ukrywać prawdy o swoim zawodzie. Poczł mdłości. – Obawiam się, że rozczaruję panią, *madam* – kontynuował – ale muszę przyznać, że jestem notorycznym przemytnikiem. W ten sposób zarabiam. W ten sposób zarabiał mój ojciec...

Henderson spodziewał się chmury dymu i smrodu siarki, krzyków, dramatycznego wyskakiwania z pędzącego powozu, że słońce zgaśnie, niebo runie, a pola się sfałdują i wszystko stanie na głowie. Zamiast tego jego wyznaczenie wisiało w powietrzu.

– Rozumiem – oznajmiła Maria ze spokojem. – To nie było oczywiste.

Kapitan był nieprawdopodobnie szczery. Bardziej szczery – uświadomiła sobie Maria – niż jakikolwiek mężczyzna, z którym kiedykolwiek miała do czynienia. Nie spodziewała się tego. Sądziła, że przemytnik musi być z gruntu zły, jednak ten siedzący naprzeciw niej był elokwentny i troskliwy.

– Proszę się zastanowić, co chce pani zrobić – powiedział.

– Obawiałam się, że może mnie pan skrzywdzić.

– Pani Graham – odparł żarliwie – musi pani zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy bym jej nie skrzywdził. Może mi pani wierzyć na słowo.

Patrząc na niego we wpadającym do wnętrza wczesnoporannym świetle, wierzyła mu.

Powóz wciąż zjeżdżał ze wzgórza, Maria się odprężyła. Cieszyła się, że wyraziła głośno swoje obawy, ale było to dość wyczerpujące. Lubiła kapitana Hendersona, mimo że nie miał racji. Zauważyła, że nie skonsternowało jej to tak bardzo, jak powinno.

– Nie obawia się pan kary ostatecznej? – zapytała.

Henderson nachylił się do niej.

– Stryczka? – Nikt nigdy nie mówił z nim o tym w ten sposób.

Maria pokiwała głową.

– Raczej nie. Kara śmierci obowiązuje tylko na terenie kolonii brytyjskich. Na północy

trzeba odsiedzieć swoje w więzieniu.

Maria podniosła stopy i rozciągnęła kostki. Czyżby kapitan nie przywiązywał większej wagi do swojego życia?

– Nie marzy się panu coś lepszego? – Jej ton był poważny, przepełniony emocjami.

Henderson nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wbił wzrok w horyzont. Słońce już wstało.

Maria ziewnęła. Choć raz nie walczyła o siebie, swoją rolę, o to, co powinna czy czego nie powinna robić. Co za odmiana. Nagle poczuła się skrajnie wycieńczona. Fakt, że Henderson trudni się przemytem, nie napawał jej już przerażeniem. Poza tym dowiedziała się czegoś nowego o sobie i o nim. Przez cały wieczór nie czuła gruntu pod nogami, ale teraz wreszcie stanęła mocno na ziemi.

Gdy kapitan znów spojrzął na panią Graham, spała. Oczy miała zamknięte, oddech płytki, a mięśnie twarzy rozluźnione. Skorzystał z okazji, by dobrze się jej przypatrzeć. Wydawała się taka filigranowa, jej biała cera kontrastowała mocno z ciemną skórą siedzeń. Nagle palce w bladych satynowych rękawiczkach lekko zadrgały. To wydało mu się nazbyt intymne. Odwrócił wzrok. Sposepniał. Był pewny, że nigdy mu nie wybaczy.



W mieście unosił się zapach dopiero co rozpalonych pieców. Obok powozu biegł jakiś mały ulicznik. Bosonogi łobuziak pokrzykiwał radośnie. Gdy wjechali na kocie łby, Henderson zaczął co chwilę popatrywać na panią Graham – zaniepokojony, niczym świeżo upieczony ojciec, że hałas ją obudzi. Kolebiąc się, mijali kolorowe szeregowce. Henderson pomyślał, że mogliby razem wypić kawę i poobserwować, jak doki budzą się do życia. Ale po chwili porzucił ten pomysł. Wyglądała tak spokojnie, śpiąc. Nie chciał jej przeszkadzać ani przyśpieszać jej pożegnania z „Bittersweet”.

Gdy powóz zatrzymał się w porcie, bez wahania wziął ją na ręce i wniósł bezwładną na statek. Czuł ciężki zapach orchidei. Ramię Marii opadło, ciemne włosy, miękkie niczym jedwab, rozsypały się, zasłaniając rękaw jego marynarki. Mężczyźni na pokładzie stanęli na baczność. Jeden wyrwał się przed szereg i otworzył drzwi do kabiny.

– Udana noc, *sir*? – Uśmiechnął się szeroko, błyskając wesoło oczami.

– Zachowuj się – warknął Henderson.

Kapitan ostrożnie położył panią Graham na łóżku. Okiennice wciąż były zamknięte, światło przenikało przez szczeliny, kreśląc na podłodze jasne paski. Aksamitną torebkę wieczorową rzucił na skraj łóżka, a potem rozejrzał się, nie chcąc jeszcze odchodzić. Rzucił okiem na papiery na stole. Pani Graham przygotowywała czystopisy swoich manuskryptów. Zaskoczyło go, że jej pismo nie jest tak staranne, jak można by się tego spodziewać, a materiały tworzą

nieuporządkowaną stertę. Na wierzchu poniewierał się opis cesarskiego pałacu Świętego Krzysztofa. Przesunął palcem po wierszu, jakby chciał w ten sposób wchłonąć zanotowane słowa. Potem spojrział na czekoladowy blok Willa, wyjął z marynarki nożyk i odciął gruby kawałek z końca – znalazł tam nieforemną bryłkę żółtego złota. Pani Graham miała rację – to był prawdziwy skarb. Ostrożnie, by jej nie obudzić, schował blok, strużyny i klejnoty do kieszeni. Większe kamienie będą miały po oszlifowaniu po kilka karatów. Zamknie je w swojej kabinie – zdecydował. Potem się zastanowi, co zrobić.

Henderson udał się do baru na nabrzeżu, w którym Thys pił dzień wcześniej. Był o niebo lepszy od tych, do jakich przeważnie zaglądał. W jednym kącie kapitan znalazł trzy numery „Daily Courant” sprzed osiemnastu miesięcy. Zamówił rum i siedział nad szklaneczką, to obserwując „Bittersweet”, to studiując czarno-białe ryciny – wysokie londyńskie budynki, modnie odziane damy oraz dżentelmenów w cylindrach. Nie rozpoznawał polityków, sędziwych przedstawicieli śmietanki towarzyskiej ani nawet króla. Czy to miasto naprawdę mogło być jego domem? Miał takie wrażenie.

– Dolać rumu, *sir*? – zapytał szynkarz, były niewolnik.

Henderson pokręcił głową.

– Szukam statku z wolną kabiną, zdatnego dla damy. Do Anglii – powiedział.

– Słyszałem, że pana statek płynie do Londynu.

– A jakiś inny?

Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Trzeba popytać na jednostkach pod banderą Zjednoczonego Królestwa. Tak mi się wydaje.

– Ruch jest dobry?

– Ruch, *sir*?

– Z Anglii i do Anglii. Statki kursują regularnie?

– Ach, tak, *sir*. Jak w przypadku wszystkich miejsc po drugiej stronie wielkiej wody.

Henderson zapłacił i przeszedł się po dokach. Pogapił się na własny statek. Na wpół nagi dzieciak dostarczył do kuchni niezakrytą niczym terakotową misę pełną gęstej jasnej krwi. Wieczorem jego ludzie zaspokoją swój apetyt kaszanką.

Dalej przycumowane były trzy jednostki pod banderą Zjednoczonego Królestwa. Zapytał kręcących się na nabrzeżu marynarzy, dokąd zmierzają – dwa statki, jak się okazało, płynęły do Ameryki, trzeci na wschód. Handlowy „Jury” cieszył się wystarczająco dobrą opinią – dowodził nim kapitan, który odszedł z Bombay Marine<sup>[33]</sup>. Miał podnieść kotwicę pod koniec tygodnia i z ładunkiem cukru udać się do Portsmouth. Henderson zwlekał. Nie chciał, żeby pani Graham się tam zaokrętowała.

Kapitan wracał na „Bittersweet” bez pośpiechu. Podczas przeprawy przez Atlantyk będzie

miał wystarczająco dużo czasu na to, by zbadać sekrety czekoladowego bloku i rozszyfrować Willa Simmonsa. Młodzieniec wydawał się nieopierzony, ale może jednak był mózgiem tej operacji. Może kombinował coś jeszcze? Czy wszystko w Londynie było inne? Czy ludzie się zmienili? Być może miasto odmieni również jego. Kamienie z pewnością tam okażą się cenniejsze.

Henderson przywołał matę. Clarkson słynął z tego, że ma szczęście w kartach, co zapewne wiązało się z wiecznie obecnym na jego twarzy lekko kpiącym uśmiechem. Niezależnie od tego, jakie rozdanie mu się trafiło, zawsze sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Możemy wypłynąć w ciągu pół godziny – powiedział Clarkson. – Pływ się zmienia. Pogoda też jest dobra, wystarczająco wietrzna.

Henderson zdjął kapelusz i przeczesał włosy.

– Pół godziny? – powtórzył.

– Tak, *sir*. Jeśli jest to akceptowalne. Powiedział pan, że mamy zrobić szybki przegląd i uzupełnić zapasy. Kazałem wyczyścić działo i przygotować kule. Na wypadek, gdybyśmy się natknęli na piratów.

Henderson spojrzał w stronę kabiny pani Graham. Nagle zapragnął poczuć jej zapach, raczyć się nim niczym kielichem tempranilla, zanurzyć się w nim jak w jeziorze. Ledwo udało mu się nad sobą zapanować.

– Czy pani Graham już się obudziła? – zapytał.

– Nie, *sir*, nic mi o tym nie wiadomo.

Gestem kazał Clarksonowi pójść za nim. Rzucił okiem na „Jury”, a potem spojrzał na morze. Podczas gdy on w myślach powtarzał zaplanowaną trasę, Clarkson czekał na jego decyzję.

– „Bittersweet” jest mniejszy, ale szybszy – rozważał. – Dopłyniemy na miejsce co najmniej tydzień przed nim, jeśli nie wcześniej. Ten jest załadowany aż po burtę. Cięższy przynajmniej o połowę. Dotrzemy do portu przed nim, nie ma wątpliwości.

– Przed kim, *sir*? – zapytał Clarkson, jak zwykle z uśmiechem na ustach.

Henderson wziął głęboki oddech i wydał rozkaz:

– Panie Clarkson, proszę rozwinąć żagle. Po cichu.

– Po cichu?

– Dama wciąż śpi.

Clarkson spojrzał na niego zdezorientowany, ale kapitan nie zaprzętał sobie tym głowy. Przeprawa zajmie ponad miesiąc. Może jeszcze pół, jeśli pogoda nie będzie im sprzyjać. Ale każdy statek stawia czoła tym samym warunkom, a „Bittersweet” będzie mieć kilkudniową przewagę nad „Jury”. Poza tym zawsze można nadrobić czas po drodze.

– Dżentelmen czy nie, tylko ze mną dotrze tam najszybciej. Podnieść kotwicę, wypływamy – oznajmił i oddalił się do swojej kabiny.

Zamiast studiować mapy albo spróbować przewidzieć reakcję pani Graham, wyjął starannie ukryty blok czekolady i zaczął metodycznie go kroić. Zastanawiał się, ile jeszcze schowano w nim klejnotów i złota. Serce biło mu jak szalone.

---

[33] Bombay Marine – nazwa indyjskiej marynarki wojennej w latach 1686–1828.

## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

**M**aria obróciła się powoli na bok. Chciało jej się pić. Jej ręka zwisała z łóżka. Skupiła się na niewyraźnym konturze stojącej na stole karafki, jej ciemnej zawartości kolebiącej się z boku na bok. Potem zauważyła, że półhalka, którą zostawiła na krześle, również się kołysze. Fale muszą być wysokie. Zawahała się. Czekwała na znajomy głuchy łomot wody w basenie o burtę, ale nic takiego nie usłyszała. Usiadła na łóżku, spuściła nogi i wstała, by otworzyć okiennice. Aż westchnęła, gdy kabinę zalało ciepłe światło – nie miała wątpliwości, że „Bittersweet” znajduje się na pełnym morzu. Przed jej oczami rozciągał się niczym nieprzesłonięty błękitny przestwór oceanu. Opadła na fotel i sięgnęła po płótno, w które zawinęła czekoladę i przemycane klejnoty. Blok i kamienie zniknęły. Nie umiała powiedzieć, która jest godzina, ale sądząc po słońcu i biorąc pod uwagę, że wciąż musieli znajdować się w obszarze Karaibów, było już późne popołudnie. Maria miała wrażenie, że tonie w chaosie. Zaburczało jej w brzuchu. Nalała do pewterowego kubka odrobinę wina, a potem wysączyła je i odstawiła naczynie na bok. Następnie ostrożnie wyjęła z włosów szpilkę i ściągnęła rękawiczki. Nie mogła odwrócić wzroku od okna.

– Jesteśmy na morzu – powiedziała do siebie.

W myślach rozważała wszystkie możliwości. Nie oznajmiła Hendersonowi, że chce opuścić „Bittersweet”, jeszcze nie poruszyli tego tematu. Prawda była taka, że nie miała pewności, czy nie ocenia kapitana zbyt ostro. Było w nim coś – coś, co mogło skończyć się niczym, jak równanie, które nie ma rozwiązania. Teraz jednak została pozbawiona wyboru i to jej się nie podobało. Maria przestudiowała wzrokiem stół. Dziennik z zapiskami dotyczącymi Brazylii był niemal ukończony. Mogła zabrać się do książki na temat Chile. Ale była tak zirytowana, że nie wyobrażała sobie, iż mogłaby dać radę skoncentrować się na pracy. Kapitan mógł przynajmniej się z nią skonsultować. Jeszcze raz zerknęła za okno. Nie widziała żadnych ptaków – musieli wypłynąć kilka godzin temu. Oburzające.

Opłukała twarz zimną wodą i wyjęła z kufra szarą suknię. Przebrała się szybko, sprawnie przypięła kapelusz. Potem, nie próbując nawet przejrzeć się w oknie, wyszła z kabiny na zalany słońcem pokład.



Hendersona nigdzie nie było. Dwóch marynarzy ściągnęło czapki na jej widok i życzyło jej dobrego popołudnia. „Bittersweet” płynął pod pełnymi żaglami – w zasięgu wzroku nie było śladu lądu, tylko Atlantyk i kryształowo czyste niebo. Mężczyźni zwijali liny. Czują zapach wosku i rozpylonej wody morskiej, charakterystyczne oznaki pierwszego dnia długiej podróży – rozpoznawała je na każdym statku, którym zdarzyło jej się płynąć. Wszystkie zapasy uzupełniono, a załoga starannie wypełniała rozkazy i z optymizmem patrzyła w przyszłość, bo na końcu drogi czekało sowite wynagrodzenie.

– Gdzie jest kapitan? – zapytała.

– W swojej kabinie, proszę pani.

Maria ruszyła w stronę kajuty. Po drodze rozciągnęła palce, strzelając stawami – niczym pianista przed wyjściem na scenę. Zapukała uprzejmie, ale nacisnęła klamkę, nie czekając na odpowiedź.

Henderson ślęczał skulony nad mapami. Na biurku, w miejscu przeznaczonym na kałamarz stał pusty kubek, w którym wcześniej znajdowało się porto. Umyty, ogolony i przebrany prezentował się irytująco świeżo.

– Jesteśmy na pełnym morzu, *sir* – oznajmiła Maria bez emocji.

Kapitan zerwał się na nogi, przewracając kubek i zrzucając dwie mapy na podłogę.

– Pogoda nam sprzyja – powiedział. – Poza tym popytałem w dokach. Nikt nie wypływa do Anglii wcześniej niż za tydzień. Pozwoliłem sobie zadecydować za panią.

– A nie pomyślał pan o tym, by mnie obudzić?

– Pomyślałem. Oczywiście. Ale była pani zmęczona i spała tak spokojnie. Zresztą wiem, jak bardzo zależy pani na czasie.

Maria westchnęła i rzuciła mu wymowne spojrzenie. Henderson zachwiał się lekko, jakby dostał cios w twarz. Nie mógł jej winić.

– Najpierw okazuje się, że jest pan przemytnikiem, teraz został pan także porywaczem – wycedziła bez ogródek. – Nie chcę być obcesowa, kapitanie Henderson. Ludzie z pańskiego otoczenia mówią, że można panu ufać, załoga traktuje pana z szacunkiem, ale kiedy przychodzi do...

– Wiem, wiem. – Machnął ręką w geście przeprosin i usprawiedliwienia zarazem. Jego postępowanie ciążyło mu na sumieniu. – Nie umiem wyrazić, jak bardzo jest mi przykro, pani Graham. Zauważyłem, że w przypadku pani osoby znajduję się... w trudnej sytuacji.

– Mojej osoby?

– Tak, *madam*. – Wyglądał na zmieszanego, ale to on poruszył temat. – Uważam, że jest pani wspaniała. Wydaje się, że w pani obecności rzadko jestem sobą. Nie chciałem pozbawiać się pani towarzystwa.

Maria położyła rękę na żołądku. W ciasnej kabinie stała niemal przytulona do biurka. Od Hendersona nie dzieliło jej nawet dziesięć centymetrów, tak że czuła otaczający go zapach tytoniu – wydawał się znajomy, krzepiący. Pogłębiło to jej irytację. Ale choć wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie, jednocześnie była pewna, że ma przewagę moralną. Nikt wcześniej nie użył tej wymówki. Nawet jej zmarły mąż.

– Jeśli oczekuje pan, kapitanie, że pochlebstwami skłoni mnie do akceptacji jego postępowania, to zapewniam, że to nie zadziała.

– Och, nie – zaoponował Henderson. – Zdaję sobie sprawę z tego, kim jestem, i mam nadzieję, że jasno się na ten temat wyraziłem. Nie usiłuję pani schlebiać, pani Graham. Po prostu oferuję wytłumaczenie.

Nie odwrócił wzroku. Było tak jak wczoraj – rozmowa twarzą w twarz, absolutnie szczerą, bez śladu wahania. Kapitan Henderson miał w sobie coś z zawodowego boksera.

Maria z doświadczenia wiedziała, że prawdziwa natura człowieka jest widoczna tylko *in extremis*. Ich konwersacja przypominała jej otwarte starcie albo przynajmniej grę w karty o wysoką stawkę. Nieraz podróżowała w towarzystwie wielu mężczyzn, którzy chcieli ruszać bez jej pozwolenia, organizować jej zakwaterowanie i ograniczać jej plany. Ich wtrącanie się wynikało z dobrych intencji, ale nigdy nie miało tak osobistego wydźwięku jak teraz. Kapitan Henderson był rozbijający właśnie ze względu na swoją szczerłość.

– Szczycę się tym, że sama podejmuję dotyczące mnie decyzje, *sir* – powiedziała. – Nie lubię, gdy dżentelmeni próbują decydować za mnie.

Henderson stanowczo pokiwał głową.

– Ma pani rację, pani Graham. – Ukłonił się, na ile pozwalała mu ciasnota w kabinie. – To było bardzo samolubne z mojej strony. Czy będzie pani w stanie mi wybaczyć?

Maria westchnęła. Nie miała wyjścia, jak podporządkować się jego decyzji – w końcu znajdowali się na pełnym morzu.

– Kiedy spodziewa się pan dotrzeć do Anglii?

– To zależy od pogody. Podróż zajmie nam przynajmniej miesiąc, może tydzień lub dwa więcej. Jak dobrze pani wie, wszystko zależy od wiatrów, choć o tej porze roku powinny nam sprzyjać. Będziemy płynąć tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie było statku, który dobiłby do Anglii szybciej. Miałem nadzieję, że postępuję właściwie.

– Ale nie był pan tego pewien, *sir*.

– Nie.

Zawahała się. Gdyby był mniej skruszony, walczyłaby bardziej zaciekle. Ale trudno nie wybaczyć komuś tak przyzwoitemu. Niemniej jednak czuła irytację. Niezależnie od tego, jak pociągający był mężczyzna u steru, płynęła do domu na statku przemysłowym.

– I tak nic nie możemy zrobić – dodała, obrzucając Hendersona stalowym spojrzeniem, po czym skinęła ostro głową i wymaszerowała z kabiny.

Henderson opadł na krzesło. Miał wrażenie, że pani Graham zabrała ze sobą część światła. Czuł się jak drań – najgorszy łajdak – a przecież poprzedniej nocy przy kolacji gawędzili jak starzy przyjaciele. Droczył się z nią, a ona się śmiała. Otworzył szufladę biurka, w której ukrył czekoladowy łup. To był prawdziwy skarb – oprócz drogich kamieni znalazł trzy małe, ale przyjemnie ciężkie bryłki złota. Dotknął najbliższej na szczęście i aż wzdrygnął się, usłyszawszy gwałtowne pukanie do drzwi. Spodziewając się pani Graham, zerwał się na nogi niczym zawstydzony uczeń i zatrasnął szufladę.

Otworzył. Na progu stał Duży Al Thatcher, kucharz, który w razie potrzeby pełnił też funkcję chirurga. Załoga „Bittersweet” nie miała innego pokładowego lekarza.

– Może być prasowana karkówka, *sir*? – zapytał. Jego akcent był tak wyrazisty, jakby opuścił York przed tygodniem. – Mamy śmietaną. Pomyślałem, że spróbuję zrobić sos. Ze słodką maderą? I imbirem?

Henderson pokiwał głową.

– Białe hiszpańskie z Natalu powinno pasować – zastanowił się. – Będziemy potrzebowali czegoś o wyrazistym smaku. Każ nakryć stół dla mnie i pani Graham, dobrze?

Pociągła twarz Dużego Ala zadrgała. „Bittersweet” rzadko gościł pasażerów na pokładzie, a już na pewno nie damy. Al czuł się zagubiony, musząc porzucić solidne posiłki domowe na rzecz bardziej wysublimowanych dań. Tak czy owak pod skrzydłami Hendersona jego kulinarny repertuar znacznie się poszerzył i obecnie obejmował rozmaite wykwintne sosy oraz najlepsze gatunkowo sztuki mięsa. A teraz sam kuk miał jeszcze nakrywać do stołu.

– Gdzie zechce pan zjeść, *sir*? – zapytał.

Kapitan zadumał się. Biorąc pod uwagę irytację pani Graham, nie mógł kazać podać kolacji w jej kabinie, a potem się do niej wprosić, choć kabina kapitana, którą zajmowała, stanowiła też zwykle jadalnię.

– Na pokładzie – zdecydował.

Duży Al spojrział na niego niepewnie.

– Mamy żółty ser, jeśli chce pan urządzić piknik – zaproponował.

– Tak – podchwycił Henderson. – Piknik. Dokładnie. Porto z serem i owocami.

– Kazałem zrobić zapas świeżych fig, *sir*. Mamy też trochę owoców egzotycznych.

– Bardzo dobrze. Niech chłopiec okrętowy zaprosi panią Graham. Kolacja na pokładzie. Tak.



Gwiazdy w tropikach zapierały dech w piersiach. Maria będzie za nimi tęsknić. Londyn pamiętała jako wiecznie zamglony, a nawet jeśli się przejaśniało, nie dało się podziwiać konstelacji w pełnej krasie, bo w mieście zamontowano zbyt wiele lamp gazowych. W nocy nad zabudowaniami rozciągało się niebo koloru burego brązu. To cena, twierdził jej ojciec, jaką Londyn musi płacić za bycie największym i najlepszym miastem na świecie. Gdy była jeszcze dzieckiem, kapitan Dundas nauczył ją nazw wszystkich gwiazd, opisując konstelacje za pomocą rymowanek, które ułatwiały zapamiętanie. Nocami podczas jego długich nieobecności często wmykała się z łóżka i zakradała do okna. Owinięta w koc stała w chłodzie i obserwowała malejący księżyc oraz gwiazdy, pamiętając o tym, że tysiące kilometrów dalej świeciły na statek jej ojca.

Gwiazdy, jej zimni towarzysze, pozostały z nią także później, po opuszczeniu Anglii. Ich pozycje zmieniały się w zależności od tego, czy patrzyła na nie z obozowiska w Khandesiu, klasztoru żeńskiego w Umbrii czy jednego z chilijskich szczytów. Dawały jej komfort, kiedy podróż stawała się męcząca albo kiedy Maria znajdowała się w niebezpieczeństwie. Ta kolacja stanowiła dobry, choć niekonwencjonalny, sposób przeprosin – zostało im zaledwie kilka tygodni, podczas których mogli jadać na świeżym powietrzu, zanim konstelacje znikną za chmurami północnej Europy. Na południe od równika nocne niebo mrugało, statek rozbił fale w tej oszałamiającej oprawie.

Sunęli równo. Spod pokładu dobiegały śpiewy i odgłosy gry w kości. Kilku mężczyzn stracił pieniądze, nim zdąży je zarobić, kilku pod koniec rejsu stanie się bogaczami. Płomienie migotały w lekkiej bryzie muskającej lampy oliwne oświetlające stolik i dwa drewniane krzesła.

Z początku Maria obawiała się, że znów będą się kłócić, ale towarzystwo kapitana okazało się bardzo przyjemne, a jedzenie wyjątkowo smaczne. Teraz, oparta o gobelinową poduszkę, postanowiła wyciągnąć z tego rejsu, co najlepsze.

– Kto uszył tę poduszkę? – zapytała.

Henderson wzruszył ramionami.

– Tego typu wyposażenie przyszło ze statkiem – odparł. – Poduszek jest mało i rzadko są używane.

– A statek należał do pańskiego ojca?

– Tak.

– Winien jest pan ojcu wdzięczność. Jaki był?

Henderson zawahał się.

– Był przemysłowcem tak jak ja. Przez ponad czterdzieści lat żył z dala od Anglii, zmarł w Brazylii. Odwiedził moją matkę zaledwie dwa razy, przybył na krótko.

– Henderson to szkockie nazwisko, tak jak Graham – nazwisko mojego zmarłego męża, albo

Dundas – moje.

– Faktycznie. Ale nie mam pojęcia, gdzie urodził się ojciec. Matkę spotkał w Londynie. Tam też się pobrali. A teraz oboje nie żyją, więc nie mam, jak się tego dowiedzieć. Żadne z nich nie opowiadało wiele o sobie. Ojciec był elegancki, dziarski. Tak mówiła matka. Poznała go na balu w Knightsbridge.

– Był zatem dżentelmenem?

– Tak myślała.

– Ale pan w to wątpi.

– Był czarujący. I miał pieniądze. Ludzie poświęcają więcej czasu na konwenanse, niż to według mnie potrzebne. Wszyscy chcemy należeć do tego klubu. Przyznaję, że sam powinienem tego chcieć. – Ścisnęło go w żołądku. Słowa wydały mu się surowe, jednak kontynuował. – Jako chłopiec uważałem, że to moje wrodzone prawo. Wychowywano mnie na dżentelmena, ale poszedłem inną drogą. Część mnie wciąż tęskni za tym, co zostawiłem za sobą. Kocham Londyn z moich wspomnień. Nie mam pojęcia, czy wciąż taki jest, czy to tylko dziecinne wymysły.

Maria sączyła wino. Jako guwernantka brazylijskiej następczyni tronu nie mogła zaprzeczyć, że konwenanse były ważne, a jednak sama nie lubiła się wywyższać albo być niegrzeczną. Zawsze uważano ją za wstydliwą krewną – ciotka wciąż nie mogła zaakceptować jej literackich ambicji. Nieprzychylność rodziny sączyła się nieustannie, niesiona przez bezmiar oceanu, nieważne, jak daleko Maria uciekła. Lady Dundas chciała kontrolować jej małżeństwo, jej edukację, jej garderobę i – na twarzy Marii pojawił się grymas – jej matkę, spod której skrzydeł została tak szybko zabrana. Maria okazała się kłopotliwa pod każdym względem. Zamieniła naszyjnik z opali na gwiazdziste morza i wciąż nie uznawano jej za wystarczająco dobrą, mimo znakomitych recenzji.

– Człowieka ocenia się po jego osiągnięciach – powiedziała. – I czynach.

Henderson pokręcił głową. Oboje wiedzieli, że to nieprawda. Nie całkiem.

– Każdy z nas jest czymś dzieckiem – zauważył.

Pokiwała głową.

– Dzieckiem bardziej majątnego rodzica i jego rodziny.

Henderson pokroił mango, przesycając nocne powietrze egzotyczną wonią. Maria sięgnęła po plasterki sera.

– Zgodnie ze zwyczajem powinniśmy wypić kawę – powiedział kapitan. – Może podczas oczekiwania zechciałaby pani przespacerować się po pokładzie?

Żagle trzeszczały. Woda wybijała równy rytm, nieustannie uderzając o burty. Kiedy szli w stronę dziobu w aksamitnej ciemności, wydawało się, że są na statku tylko we dwoje. Lekka bryza sprawiała, że satynowa suknia Marii przylegała gładko do jej skóry.

– Uczę się języka portugalskiego od chłopca okrętowego – wyznała. – Będzie mi potrzebny podczas następnego zlecenia.

Miała świadomość, że jej palce trzęsą się, ale usiłowała to zignorować. Przeszło jej przez myśl, że może wciąż trochę się boi Hendersona. To było takie dezorientujące, bo przecież tak bardzo lubiła jego towarzystwo. Uważała, że jak na kogoś, kto nie może liczyć na poparcie społeczne, był pewny siebie.

– Od chłopca okrętowego? – powiedział. – Dobry z niego chłopak, lepszy niż można by się spodziewać. Znalazłem go w Nowym Jorku na nabrzeżu. Pobitego prawie na śmierć. Umarłby, gdybym go tam zostawił, bo szła zima. Obawiałem się, że jeśli przywykł do takiego traktowania, może się okazać nieco narowisty, ale niepotrzebnie.

– Przygarnął go pan?

– Potrzebowaliśmy chłopca okrętowego, ale gdyby się okazało, że się nie sprawdza, to byśmy go zostawili na brzegu. Niech pani nie myśli, że mam czułe serduszko, pani Graham. Wielokrotnie porzucałem na wpół żywych. Raz nawet powiesiłem za niesubordynację. Kiedy byłem młodszy, łatwo wpadałem w gniew.

– Chłopiec dobrze mówi po portugalsku.

– Ma smykałkę do języków. Już mówił po angielsku i trochę po holendersku, szybko podchwycił języki latynoskie. Są powszechne w porcie, poza tym mam w załodze trzech Brazylijczyków. Było siedmiu, ale wojna o niepodległość zabrała czterech. Ci, którzy zostali, nie są patriotami.

– Zna pan swoją załogę. Nie każdy kapitan byłby w stanie określić poglądy polityczne swoich ludzi.

– Dowodzę tym statkiem.

– Mimo to... – Maria zamilkła. Wielu kapitanów ignorowało podwładnych, dbało tylko o to, żeby wywarzyć w ich stronę odpowiednie rozkazy.

Henderson wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Maria walczyła z zalewającą ją falą ciepła. Po tym, jak wystąpiła przeciw niemu tamtego popołudnia, zauważyła pewną zmianę – dziwne ciarki wzdłuż kręgosłupa, jakby motyle w żołądku. Mężczyzna stanowił dziwną mieszankę komfortu i niebezpieczeństwa. Patrząc na północ, pomyślała o Johnie Murrayu. Kto teraz był ulubieńcem Londynu? Kogo Murray zapraszał do swojego słynnego salonu? Najwspanialsze umysły świata, bystrzy intelektualiści, członkowie Royal Society, porywczy młodzi poeci z kieliszkiem niemieckiego wina w dłoni. Żaden z tych wichrzycieli nigdy nie wyzwolił w niej takich uczuć. Kiedy tamtego dnia opuściła kajutę kapitana, dopiero po pięciu minutach odzyskała panowanie nad sobą i, jak zrozumiała, także część targającego nią wcześniej gniewu. Gdy powiedział jej o swojej profesji, poczuła się rozbrojona. Gdy wypłynął w morze

bez konsultacji, kipiała z wściekłości. A teraz czuła się poruszona.

To było dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Jej zmarły mąż nigdy nie sprawił, że czuła w brzuchu motyle. Thomas Graham był kompetentnym oficerem marynarki wojennej i jej najbliższym przyjacielem, ale nigdy nie wywoływał rumieńców na jej twarzy. Oczywiście było to zachowanie godne powieściowej trzpiotki, a nie cieszącej się poważaniem pani Graham. Poza tym kapitan musiał być jakieś pięć lat młodszy od niej i był przestępcą.

Zwróciła wzrok na zachód i sięgnęła do satynowej sakiewki, którą zawiesiła przy pasku sukienki. Wyciągnęła mały wachlarz i otworzyła go jednym strzepnięciem. Miała nadzieję, że chociaż tak się ochłodzi. Jeśli miała być szczerą, to uczucia te pojawiły się już w bryczce wiozącej ją na plantację Bagdorfów. Uświadomiła sobie, że gdyby teraz spróbowała je powstrzymać, stałyby się tylko mocniejsze – jakby za sprawą tajemniczej alchemicznej reakcji. Zerknęła na Hendersona. Odgarniał włosy z twarzy. Do tej pory przyznał się do bycia przemysłowcem, a potem właściwie dokonał porwania. Czy to infantylne oczarowanie? Czy ta dziwna fiksacja to w rzeczywistości forma lęku przed tym, co może się jeszcze wydarzyć?

– *Madam...* – zaczął Henderson, a ona przerażona pomyślała, że może kapitan chce zaproponować jej coś nieprzystojnego albo jeszcze gorzej, że jej to proponuje, a ona na to przystanie. – Sądzę, że powinniśmy jeść na zewnątrz co wieczór.

Ruszyli z powrotem do stolika. Maria zauważyła, że poczuła rozczarowanie. Z ciszą łatwiej się pogodzić – pomyślała. Jak ja mam przetrwać cały miesiąc?

– Dziękuję, będzie mi miło. – Uśmiechnęła się lekko, po czym dodała: – Obawiam się, że powinnam udać się już na spoczynek.

– Odprowadzę panią do kabiny – zaproponował kapitan.

– Nie ma potrzeby – szepnęła, lekko uginając kolana, ale nie na tyle, by przypominało to dygnięcie. Czas powiedzieć dość.

Henderson uklonił się jej i obserwował, jak oddała się i znika w ciemności. Zwlekał jeszcze chwilę, po czym z uśmiechem skoncentrował się na obowiązkach. Wiele kalkulacji można przeprowadzać tylko w nocy, czekało go spotkanie z gwiazdami. Henderson przywołał chłopca okrętowego i kazał mu uprzątnąć stół, a potem udał się na mostek i zajął sekstantem. W pewnym momencie zobaczył, że chłopiec bierze plasterki sera i wciska go do kieszeni spodni, po czym szybko wraca do zbierania pewterowych talerzy.

– Hej! – zawołał. – Odłóż ser. Thatcher da ci suchary, jeśli jesteś głodny.

– Tak, *sir* – odparł chłopiec. Trzymał głowę nisko, niczym skruszony pies. Ciemne palce posłusznie wyciągnęły plasterki z kieszeni i położyły na talerzu. Potem wróciły do zbierania zastawy.

Po północy powietrze było balsamiczne, a pokład cichy. Dwóch mężczyzn trzymało wachtę,

pozostali spali. Kończąc obchód, kapitan stanął przed drzwiami do kabiny pani Graham. Ze środka nie dobiegały żadne dźwięki, a jeśli paliły się świece, to światło było zbyt przyćmione, by dało się je dostrzec pod skrzydłem. Zastanawiał się, jak długo szanowana wdowa musi czekać, nim ponownie wyjdzie za mąż. Drewniane drzwi wydawały się bramą do innego świata – nie wyobrażanej przeszłości, ale możliwej przyszłości. Czegoś prawdziwego. Oparł się o deski naprzeciw i wpatrzył w drzwi. Być może – rozważał – jeśli nie jest mu pisane stać się szanowanym dżentelmenem, to przynajmniej okaże się wart uwagi pani Graham i Londynu. Po raz pierwszy widział przed sobą swoją drogę, a nie ścieżkę odziedziczoną po ojcu albo szlak rozczarowania zapisany mu w spadku przez matkę. W ciemnym przejściu znalazł coś nowego. Teraz, kiedy to zobaczył, może znajdzie sposób na życie bez wstydu?



## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

**N**astępny dzień Maria spędziła w kabinie, kapitan Henderson też trzymał się na uboczu. O czwartej po południu wysłał wiadomość. Ponownie zapraszał ją na wspólną kolację, na co przystała.

Wczesnym wieczorem Duży Al Thatcher oderwał się od pracy w kuchni – zwabiony sprzeczką, która wybuchła podczas gry w kości na pokładzie i skończyła się regularną rozróbą. Przeciwnicy szamotali się po deskach, wymieniając ciosy. Kucharz opuścił swoje stanowisko, aby szybko postawić zakład. Szylinga stracił w ciągu zaledwie dwóch minut. Jak się okazało, dwie minuty nieobecności przy piecu wystarczyły, żeby sterta powalanych tłuszczem szmat zajęła się ogniem, który potem przeskoczył na czerstwy chleb kukurydziany. Płomienie zaczęły rozprzestrzeniać się na dobre. Kiedy Duży Al wrócił do kuchni, pomieszczenie tonęło w kłębach dymu. Próbował zdusić ogień. Wylał wiadro wina na szmaty i chleb, ale płomienie wciąż tańczyły. Drewniana futryna zaczęła się tlić, zapasy tak samo, w końcu dym wydobywał się już na pokład. Gdy Maria wyszła na zewnątrz w wieczorowym stroju, dwaj mężczyźni w panice wyskakiwali właśnie za burzę, złapawszy po drodze puste beczki, żeby utrzymać się na wodzie. Zaraz rozległy się krzyki. Maria, tylko przez chwilę zaskoczona zamieszaniem, raz-dwa zorientowała się, w czym tkwi problem. Uświadomiła sobie, że znajdują się zbyt daleko od lądu, by można było mieć nadzieję na ratunek.

Zastanawiała się, co robić, gdy z kabiny wypadł kapitan Henderson. Zdecydowanym tonem przywołał załogę do porządku.

– Przynieść wiadra! – poinstruował krótko Clarkson. – I wszystko, w co można wlać wodę morską!

Clarkson zgromadził, co mógł: półbeczki, drewniane miednice, pewterowe kufle, cynkowe wiadra. Henderson uformował z załogi łańcuch, tak by sprawnie podawała sobie wodę. W powietrzu rozchodził się mocny zapach topiącego się masła i palącej się szynki. Mężczyźni kasłali, nad pokładem wisiała ciężka czarna chmura. Maria zajęła miejsce w łańcuchu.

– Nie ma potrzeby, proszę pani – powiedział Clarkson.

– Chcę pomóc – odparła stanowczym tonem. – Muszę czymś się zająć.

Praca była ciężka. Suknia Marii w jednej chwili zrobiła się mokra, satynę powalała sadza, ale ona nie zamierzała się poddawać. Nieustanny dopływ wody sprawił, że sytuacja została opanowana imponująco szybko. Duży Al i Henderson stali na przedzie, gasząc płomienie. W końcu chmura dymu zelżała. Mężczyźni stanowili utyłaną popiołem hołotę. Ci, którzy stali najbliżej palącej się kuchni, mocno łzawili. Pomiędzy cichymi rozmowami na temat szkód i winnych pożaru słychać było pokasywanie. Henderson zdjął przemoczoną marynarkę i kazał chłopcu okrętowemu usunąć z kuchni resztki dymu, teraz wiszącego tu i tam oparu. Poruszający się w zaskorupiałej czerni chłopiec przypominał smugę.

Jeden z marynarzy został poważnie poparzony – na prawym ramieniu miał sine odcisnięte piętno, jakby na jego skórze wytłoczono wzory. Przykucnął i pojękiwał cicho. Duży Al zabrał go pod pokład, zapewniając Hendersona, że o ile nie wda się infekcja, gość za dzień lub dwa będzie jak nowy.

– Nie trzeba amputować – powiedział. – Ale blizna zostanie.

– Musimy wykonać zwrot – kapitan myślałmi był już gdzie indziej. – Mamy dwóch ludzi za burtą. Tchórze, jeden z drugim.

Clarkson objął dowodzenie. Takie manewry nie zaliczały się do łatwych. Szot grota mógł odciąć nieuważnemu żeglarzowi głowę, a linom zdarzało się opleść pechowca i zamienić w wisielca. Wypadki nie należały do rzadkości – zwłaszcza po nocy zaprawionej rumem albo kiedy nerwy były napięte jak postronki. Na szczęście „Bittersweet” zawrócił bez problemów i Clarkson przy wtórze urągliwych gwizdów załogi wyłowił zawstydzonych dezertów. Maria stała z tyłu, obserwując wszystko.

Henderson czekał przy bezanmaszcie z rękami złożonymi na piersi. Zlustrował zbiegów twardym spojrzeniem. Materiał, z którego wykonano jego koszulę, była tak cienki, że Maria dostrzegła długą bliznę na ramieniu. Zrozumiała, że jeszcze wielu rzeczy nie wie na temat tego mężczyzny. Podejrzewała, że to, co miało się teraz wydarzyć, może odsłonić jego nowe oblicze. Załoga umilkła, oczekując na reakcję kapitana. Pechowa dwójka kuliła się ze strachu. Henderson zaatakował. Jego pięści uderzyły niczym błyskawice. Był silny. Wystarczyła sekunda, może dwie, aby obaj uciekinierzy leżeli na deskach.

– Nie opuszczacie statku, chyba że na mój rozkaz – wycedził Henderson. – Nie sracie, dopóki wam na to nie pozwolę. Zrozumiano?

Mężczyźni trzęśli się, skurczeni w sobie.

– Pieprzone trzęsidupy. – Henderson popatrzył na nich z pogardą i kiwnął głową w stronę Clarksona, który wręczył mu bicz.

Maria odwróciła wzrok. Już sam odgłos razów był wystarczająco straszny. Mogła przysiąc, że w oddali dostrzegła morświna. Poczowała mdłości.

Dym sprawił, że dokuczały jej nudności, ale żałosne krzyki były jeszcze gorsze. Mokry materiał na nadgarstku otarł jej skórę tak, że się aż zaróżowiła.

Chłosta się skończyła. Maria odwróciła się. Mężczyźni leżeli zakrwawieni, ich koledzy patrzyli na nich bez cienia litości. W końcu to oni opuścili ich w potrzebie.

– Zmniejszamy racje o połowę przez tydzień? – zapytał Clarkson, a Henderson potaknął.

Mężczyźni powlekli się za bosmanem pod pokład. Maria pomyślała, że wielu oficerów wymierza dyscyplinę *per procura*, ale kapitan Henderson, który na co dzień wydawał się bardzo łagodny, niemal bojaźliwy, gdy przychodziło co do czego, nie potrzebował zastępstwa. Zauważył, że na niego patrzy, i skinął jej głową. Odkłoniła się. Uświadomiła sobie, że powinna była wrócić do kabiny. To byłoby bardziej na miejscu. Załoga rozeszła się. Henderson zaczął sprawdzać, czy pożar nie spowodował szkód strukturalnych, i wydawać polecenia pokładowemu cieśli. Nawet morska bryza nie dała rady przewiać smrodu spalenizny. Maria przystanąła przy kuchni. W miejscu, w którym ściana się przepaliła, do wnętrza wpadał poszarpany strumień światła.

– Wyrównam to, *sir*, i będzie jak nowa – obiecywał cieśla. – Zrobi się świetlik, nie?

– Kiepski występ, Thatcher – mruknął kapitan.

Kucharz zajął się rannym, a teraz z powrotem na pokładzie szykował się na konsekwencje.

– Zasługuję na karę, *sir* – powiedział.

– Po prostu bądź ostrożny, chłopie – odparł Henderson, kładąc rękę na jego ramieniu. – Wykonujesz jedną z najniebezpieczniejszych robót na statku. Wystarczy moment nieuwagi. Rany tego człowieka to twoja kara. Ilekroć je zobaczysz, będziesz pamiętać. Niech to się nie powtórzy.

Maria stała z tyłu, podczas gdy kucharz wycierał swoje ogromne łapy w uwalaną popiołem kamizelkę. Kapitan, jak widać, mierzył ludzi podług własnego uznania. Wystarczyło pół godziny, żeby odzyskał ducha, wziął się do pracy i ostrożnie ocenił sytuację. Piec w kuchni wymagał naprawy, z ryb złowionych tego popołudnia został popiół. Cały zapas żółtego sera się stopił i zapiekł na chrupko, ale nieoczekiwanie okazało się, że nie tylko da się go zjeść, ale że jest bardzo smaczny. Masło poszło na straty. Na szczęście suchary, podawane na co dzień i dlatego przechowywane w otwartej beczce, nadawały się do spożycia, choć czuć je było spalenizną. Poza tym do tłumienia płomieni ktoś użył mleka i teraz tam, gdzie przypaliło się na pokładzie, rozchodził się kwaśny odór.

Maria udała się do kabiny, by osuszyć włosy. Powiesiła wieczorową suknię przy otwartym oknie – wyschła niemal natychmiast. Zauważyła szare ślady na tkaninie, ale była pewna, że da się je usunąć. Umyła ręce i twarz, a potem zwinęła się w kłębek i obserwowała przez okno ciemniejące niebo. Odtwarzając w głowie panikę, wymierzanie kary oraz pełen udręki wyraz

twarży kucharza, kiedy dowiedział się, że kapitan mu wybaczył. Z pokładu dochodziły odgłosy napraw – stukot młotków o drewno, hurgot przetaczanych beczek.

Kiedy godzinę później chłopiec okrętowy oznajmił, że zaproszenie Hendersona na kolację wciąż jest aktualne, Maria uświadomiła sobie, że przyłączy się do kapitana z wielką chęcią. Miała ochotę na rozmowę. Pokład opustoszał. Henderson wstał, gdy podchodziła do stołu. Tym razem posiłek był skromny – zamiast ryby, świeżych warzyw i wina Thatcher zaserwował czekoladę z brandy i talerz sera zapieczonego na chrupko. Było późno, na niebie wzeszły gwiazdy.

– Całkiem elegancko – powiedziała Maria, z gracją opadając na krzesło.

Załodze rozdano rum i whisky. Ogłoszono, że kuchnia oporządzi się, choć to może potrwać dzień czy dwa. Clarkson naprawiał piec. Zapasy będą skąpe przez resztę podróży, trzeba będzie łowić ryby, ale przetrwają.

– Co za wieczór – dodała.

– Przepraszam.

– Za co?

– Że musiała pani to oglądać. Że była pani narażona na niebezpieczeństwo. Obiecałem pani, że nic jej nie grozi. Wyłynęliśmy z Trynidadu zaledwie dwa dni temu, a pani już mogła stracić życie. Wszyscy mogliśmy stracić życie.

Maria powoli sączyła ciepły napój. Ta czekolada różniła się od porannej – nie była tak słodka i gęsta jak posset<sup>[34]</sup>, więc powoli spływała po ściance kubka, gdy nachyliła go do ust. Smak był niesamowity, zaskakująco bogaty, satysfakcjonujący. Spod pokładu w wieczorne powietrze przesączała się melancholijna pieśń, a ona zdawała się płynąć wraz z nią, wpatrując się w roztańczone na niebie gwiazdy. Podczas kryzysu zawsze jest tak samo – pomyślała – statek, którym podróżujesz, staje się centrum twojego świata.

– Bylibyśmy w tarapatkach, gdyby ogień się rozprzestrzenił – zauważył Henderson.

Przebrał się, ale na twarzy wciąż miał parę smug sadzy.

– Pana zachowanie było godne podziwu, kapitanie – spojrzała mu w oczy. – Widziałam mężczyzn w boju. Płynęłam na statku, który znajdował się pod ostrzałem. Pan uratował nam dziś życie. W takim skwarze drewno ponad linią wody musi być suche niczym podpałka. Gdyby nie pańska zdecydowana reakcja...

– Bała się pani? – zapytał.

Maria sięgnęła po kawałek sera. Miał nieco dziwną teksturę, ale stopiony i zapieczony zyskał intensywniejszy smak.

– Nie było czasu na strach. – Wzruszyła ramionami. – Usłyszałam krzyki, ale szybko zapanował pan nad swoimi ludźmi.

– Było dużo dymu – powiedział.

– Przeszło mi przez myśl, że znajdujemy się za daleko, by popłynąć szalupami z powrotem na Trynidad. Mielibyśmy prawdziwego pecha, gdybyśmy musieli opuścić statek.

Kapitan spojrzał na nią bacznie.

– Wygląda pani bardzo ładnie. – Uśmiechnął się.

Maria automatycznie przyglądała ręką spódnice. Być może w słabym świetle ślady po sadzy przypominały wzór. Nikt wcześniej nie komentował jej wyglądu. W każdym razie nie po to, by powiedzieć, że ładnie wygląda. Thomas nigdy tego nie robił.

– Jak na cesarską guwernantkę? Na statku. Po pożarze.

Henderson zawahał się, spoważniał. Wydawało mu się dziwne, że pani Graham tego nie wie. Że ma o sobie tak niskie mniemanie. Do czego przywykła? Odstawił pewterowy kubek i po chwili namysłu pochylił się i przyciągnął Marię do siebie. Czują popiół w jego włosach. Objął ją w pasie, przyciągnął jeszcze mocniej i pocałował. Jej ciało stało się płynne. Zanurzała się w jakimś upartym rytmie. Nagle zrozumiała, że odwzajemnia pocałunek. To było jak latanie.

Kiedy odsunęli się od siebie, brakowało jej tchu. Jej usta wydawały się spuchnięte. Zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała, co zrobiła. Henderson zlustrował ją spojrzeniem od stóp do głów. Poczwała, że zalewa ją fala ciepłego pożądania, ale zaraz za nią kipiącego gniewu. Zesztywniała niczym świeżo wykrochmalone prześcieradło. Cóż za afront. Zamachnęła się i uderzyła Hendersona w twarz, potem zebrała swoje rzeczy. Już odwracała się na pięcie, by odejść, kiedy kapitan dodał:

– Jak na kobietę. Wyglądasz bardzo ładnie jak na kobietę, Mario.

Nim zdała sobie sprawę z tego, co robi, kopnęła go w piszczel.

– Niech cię szlag – syknęła. – Jestem damą.

Henderson roześmiał się głośno.

– Jak na damę też wyglądasz bardzo ładnie.

Odetchnęła głęboko. To porywacz, kłamca, przemytnik, przestępca, a teraz jeszcze rozpustnik. Co ona, na Boga, sobie myślała? Powinna była zejść ze statku, kiedy miała okazję. Zapiekł ją policzek w miejscu, w którym podrapała ją jego broda. Aż się zagotowała z gniewu, ale nim zdążyła wycedzić ripostę, z kuchni wyszedł na pokład chłopiec okrętowy z dzbanem gorącej czekolady. Milczała, gdy nalewał napój. Tego, co zamierzała powiedzieć, nie powinien słyszeć członek załogi, nawet w porywie wściekłości. Przynajmniej w ten sposób zyskała czas do namysłu. Henderson uśmiechnął się lekko. Odezwał się, gdy tylko chłopiec znalazł się poza zasięgiem ich głosów. Niech go szlag.

– Nie powinienem był pani całować. Przepraszam. Krew we mnie buzuje po pożarze, *madam*, a poza tym muszę wyznać, że nie jest mi pani obojętna. Od początku stała się pani

bliska memu sercu.

– Niepotrzebnie – wycedziła Maria. – Mam parę lat więcej niż pan, w dodatku jestem wdową. Nic interesującego. Poza tym nie może pan tak postępować, a potem liczyć na to, że przeprosiny wystarczą. Musi pan chcieć zachowywać się lepiej, *sir*.

Henderson przygryzł wargę.

– Czuje pani to samo co ja. Wiem to.

To ją rozsierdziło. Jak śmie?

– Pana uczucia nie mają znaczenia, *sir*. A moje to nie pański interes. Obraził mnie pan.

– Podziwiam panią, *madam*. Pocałunek to nie obraza.

– Tam, skąd pochodzę, to obraza.

No i proszę. Londyn.

Świat, za którym tęsknił Henderson. Miejsce, do którego należała Maria Graham.

Kapitan osunął się na krzesło.

– Przepraszam. To było nie na miejscu – wydukał, usiłując się wytłumaczyć. – Nie rozumiem zasad. To znaczy, nie jestem do nich przyzwyczajony. Ale daję pani słowo, że już więcej pani nie dotknę. Będę się lepiej zachowywać, tak jak pani poprosiła.

Maria zawahała się. Sięgnęła do włosów, jakby chciała się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu.

– No cóż...

– Moje intencje... – zaczął. – To znaczy. Bardzo lubię pani towarzystwo, rozumie pani, i...

– Również lubię pana towarzystwo, kapitanie Henderson – przerwała mu bez skrępowań. – Ale czy sądzi pan, że będzie mógł zignorować ten wybryk? Czy jutro będziemy mogli zjeść kolację i rozmawiać o botanice i astronomii, a pan będzie zachowywać się jak dżentelmen?

No i proszę. *Jak dżentelmen*.

Henderson westchnął. Uroczyście dał słowo, uścisnął jej dłoń, a potem skłonił się speszony. Kiedy maszerowała do kabiny, dojrzał szczupłą kształtną kostkę i poczuł wyrzuty sumienia – jakby to była jego wina. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, kazał przynieść sobie brandy.

---

[34] Posset – tutaj tradycyjny brytyjski deser z cytryny lub soku cytrusowego, śmietany, cukru oraz, w zależności od preferowanej gęstości, jajek i okruszków chleba; także: napój z gorącego mleka zmieszanego z ale lub winem przyprawiony – kiedy już mleko się zsiądzie – cynamonem lub gałką muszkatołową.

## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

**M**aria leżała na łóżku, wpatrując się w migoczące płomienie. Nie mogła zasnąć. Większość rejsów sprzyjała refleksji. Podczas tej podróży – stwierdziła – miała więcej do rozważania niż zwykle. Sosnowy sufit był pełen sęków i plam. Śledziła je leniwie wzrokiem, analizując to, co się właśnie wydarzyło. Zapomniała się. Zatraciła. Czy to możliwe, by inne pary czuły tak wielką namiętność? Przecież to oburzające. Bulwersujące. Nagle przypomniała sobie gorące spojrzenia, które Thomas i Kitty posyłali sobie w Recife. Niespokojnie odwróciła się na bok. Teraz nabrały dla niej innego znaczenia. Tak – uświadomiła sobie – Cochrane’owie byli w sobie naprawdę zakochani. Ją z Thomasem Grahamem łączyła przyjaźń. Nic więcej. Musi być ostrożna. To z pewnością jakiś rodzaj małżeńskiego pomieszania zmysłów, ale nie ma się co przejmować. Za to Henderson zachował się absolutnie niestosownie.

Pomyślała, że maleńka kropeczka, która wskazywałaby na mapie podążający na północ „Bittersweet”, nie byłaby w stanie oddać jej uczuć. Może obok starożytnych map dobroci i francuskich map miłości powinna istnieć również mapa poświęcona uczuciom, znaczeniom. Osobista siatka geograficzna. Chłodny błękit symbolizowałby znaczenie społeczne, dwór królewski. Praktyczna zieleń – pieniądze i Londyn, do którego musi wrócić. Słoneczny oranż – trawiący ją tu ogień pożądania. Jej serce zamarło, kiedy zrozumiała, że powinna istnieć jeszcze jedna mapa. Pełna wstydu, oczekiwań otoczenia oraz straconych wpływów. Maria знаła siebie, ale wiedziała, że to nie ma większego znaczenia – liczyło się to, jak postrzegali ją inni, nawet jeśli była pewna, że się mylą. Kobieta mogła stracić wszystko przez nieporozumienie. Londyn był bezlitosny pod tym względem. A w tym przypadku na szali stawiała nie tylko osobistą reputację, lecz także zawodową – obie delikatne i kruche niczym muszle. Nie mogła zaprzeczyć, że była między nimi jakaś chemia. Nic nie bierze się z niczego. Na jej mapie miałyby kolor intensywnego pomarańcza, niczym ogień, niczym latarnia morska. Ona była wodnistą czerwienią – ograniczona wstydem, przytłoczona. Do tej pory wędrowała po świecie, wierząc, że jest wolna. Teraz zrozumiała, że cały czas była skrepowana. Marzyła o tym, by móc szybować niczym mewa. By móc poczuć pełną swobodę.

Śledziła palcem zarys swoich ust. Jej myśli błądziły. W końcu oświetlająca kabinę świeca

zgasła. Rozdarta leżała długi czas w ciemności, wsłuchując się w trzeszczenie desek. Wciąż miała dreszcze, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ostatecznie zapadła w niespokojny sen.



Następnego ranka obudziła się, myśląc o swojej książce. Dopiero potem przypomniała sobie, co zaszło zeszłej nocy. Promienie słoneczne przedarły się przez szczeliny w okiennicach. Poczowała ucisk w żołądku. Łatwiej by było, gdyby już nigdy nie musiała go zobaczyć. Tak postąpiłaby na stałym lądzie. Ale nie znajdowała się na stałym lądzie. Zadrzała. Może powinna po prostu tutaj zostać. Może kabina powinna stać się jej celą. Wkrótce do drzwi zapukał chłopiec okrętowy. Przyniósł czekoladę i dzban z ciepłą wodą morską do porannej toalety.

– *Toca aqui* – powiedziała. Postaw tam.

Wszystko wydawało się normalne, a jednak w jakiś sposób świat się zmienił. Pozwoliła wodzie swobodnie skapywać na dno metalowej miednicy. Stała tak, aż kabinę zalał snop światła.

Mimo że tego dnia nie wychodziła na zewnątrz, porzuciła staranne kopiowanie. Siedziała przy oknie, obserwując fale i ciesząc się ciepłem słońca. Wszyscy podróżnicy potrafią czekać. Maria nigdy o tym nie pisała, ale zabijanie czasu stanowiło stały element jej podróży. Musiała czekać na dobrą pogodę, aby statek mógł zawinąć do portu lub z niego wypłynąć. Musiała czekać na pozwolenie albo na przewodnika. Musiała czekać, aż minie sztorm albo na konia, którego chciała wynająć. Tego dnia godziny mijały powoli. Ilekroć drzwi do kabiny zatrzeszczały, jej serce zamierało. Chłopiec przyszedł późnym popołudniem z informacją, że kapitan zaprasza na kolację. Maria zawahała się.

– Nie jest pani głodna? – zapytał malec.

Och, miała apetyt, ale nie na jedzenie. Jeśli nie pójdzie do niego – stwierdziła – to on może przyjść tutaj do niej.

– Źle się pani czuje? – zaniepokoił się chłopiec. – Nie wyszła pani dziś na spacer.

– Nie, wszystko w porządku – uspokoił go Maria. – Przyjdę o zwykłej porze. I obiecuję, że jutro będziesz mógł mi poczytać. Musisz ćwiczyć.

Postanowiła nie przebierać się w wieczorową toaletę. Pograżona w rozmyślaniach siedziała w swojej szarej sukni podróżnej aż do zachodu słońca. Musi spróbować zachować rozsądek. Nie może pozwolić ponieść się nerwom. Rozważywszy wszystko dokładnie, sięgnęła po kaganek i wyszła na pokład, gdy tylko rozległ się gong.

Jak zwykle Henderson czekał na nią przy stole pod gwiazdami. Wstał na jej widok.

– Przyszła pani na kolację? – zapytał.

Postawiła kaganek na stole.



– Nie chciałam zakładać bardziej formalnej toalety...

– Sądzi pani, że to kwestia sukni?

Spuściła wzrok. To było poniżające. Nie mogła się przed nim ukryć. Był zbyt bezpośredni. Zapewne przywykł do tego, ale ona czuła się niezręcznie – nowicjuszka mimo swego wieku.

– Proszę. – Odsunął dla niej krzesło. – Nawet jeśli to panią irytuje, muszę ją jeszcze raz przeprosić... – Zauważył, że patrzy na stojący już na stole dzbanuszek czekolady. – To coś specjalnego. Kazałem przygotować Thatcherowi. Pomyślałem, że może zechce pani spróbować. Ja pijam kropelkę tylko od czasu do czasu. – Rozlał czekoladę. – Jest mocna, ale bardzo smaczna.

– To dziś nie będzie wina?

– Ależ będzie, tymczasem proponuję toast. – Uśmiechnął się. – Za pozostałą część podróży. I miłe towarzystwo.

Czy naprawdę żałuje swojego zachowania? – pomyślała Maria, w ślad za kapitanem wypijając duszkiem swoją porcję. Poczowała ogień w ustach. Zakaszła.

– To pomoże – powiedział Henderson, podając jej plasterek pomarańczy.

Faktycznie, pieczenie zelżało. Pozostało wrażenie niespodziewanej żywotności przeplatane dziwnym ukłuciem żalu. Złapała jego spojrzenie.

– Nie może pan tak na mnie patrzeć, kapitanie. – Gdyby nie palące chili, zapewne nigdy by tego nie powiedziała.

– Postaram się tego nie robić.

Nawet nie próbował zaprzeczać. Chyba spodobała mu się jej bezpośredniość. W jego arsenale była to bardzo skuteczna broń. Być może ona też powinna zacząć się nią posługiwać.

– Musimy pozostać przyjaciółmi – oświadczyła spokojnym tonem. – To przejdzie. Musimy siadać do kolacji jako przyjaciele.

– Obawiam się, że dzisiejsza kolacja wystawi naszą przyjaźń na próbę – odparł Henderson. – Kuchnia jest już w zasadzie wyremontowana, ale nie złowiliśmy dziś żadnych ryb. Thatcher już wcześniej zrobił zapas suszonego dorsza na taką okazję. Niestety, wyszedł cało z pożaru. Portugalczycy w nim gustują, ale przyznam, że mi nie smakuje.

– Czy pan nigdy nie zachowuje pozorów?

– Oczywiście, że to robię. Wmawiam mu, że nie mam ochoty na kolację, ale mogę coś przegryźć i każe mu upiec chleb kukurydziany.

– Może powinniśmy w takim razie jadać śniadania razem?

– To mój ulubiony posiłek, odkąd byłem chłopcem.

– Mali chłopcy potrafią być dziwni.

Henderson roześmiał się.

Maria uświadomiła sobie, że kapitan nigdy niczego nie ukrywa. Odsłania się. Kiedy się do niej nachylił, zmusiła się, żeby zachować spokój. Chyba nie zdawał sobie sprawy, jakie robi na niej wrażenie. Otaczający go zapach tytoniu do fajki. Jego włosy. Miała ochotę przeczesać je palcami. To była fascynująca forma tortur. Pomyślała o swoich nauczycielkach, o ciotce i kuzynkach – jaki miałyby wyraz twarzy, gdyby się o tym dowiedziały.

– Podczas mojego pierwszego roku w Brazylii – powiedział z uśmiechem Henderson – niemal wysadziłem w powietrze magazyn ojca. Próbowałem wyprodukować fajerwerki z octu, papieru pakowego i prochu strzelniczego. Warsztat miałem w sypialni. Nie byłem szczęśliwym dzieckiem. Nie mam pojęcia, co sobie myślałem.

– A więc z natury jest pan naukowcem – zauważyła Maria z ulgą. Przynajmniej rozmawiali.  
– To oznaka inteligencji...

– Oby miała pani samych synów, pani Graham. Wszystko im pani wybaczy.

Maria wzdrygnęła się lekko, ale nie uszło to jego uwagi.

– Nie chce pani mieć dzieci? – zapytał.

Pokręciła głową. Znow to zrobił. Mimo to postanowiła odpowiedzieć.

– Nie. To nie to.

Dzieci wszystko by zmieniły. Ludzie sądzili, że boli ją brak potomstwa, ale ona czuła ulgę. Gdyby była matką, Murray nie publikowałby jej książek – zatrudniane przez niego kobiety były albo niezamężne, albo miały już dorosłe dzieci. Gdyby spłodziła synów, nie mogłaby w ten sposób poznać świata. Poza tym współżycie nie sprawiało ani jej, ani Thomasowi większej przyjemności i przeważnie kończyło się kłótnią. Dlatego szybko zrezygnowali z tego aspektu małżeństwa. Zadowalała ich czuła intymność – trzymanie się za ręce, obejmowanie, wspólne zasypianie, ale nic więcej. Thomas różnił się od Jamesa Hendersona. Był grzeczny, łagodny i spokojny. Był dżentelmenem. Lubiała go. Wiele osób z towarzystwa widziało ich bliskość, ale nie uświadamiało sobie, że mimo iż się kochali, ich przyjaźń maskowała brak, całkowity brak – teraz Maria to rozumiała – namiętności. Wcześniej nawet nie postrzegała tego w kategorii tajemnicy. Teraz wydawało jej się to zawstydzające. Jej bezdzietność stanowiła dowód na to, że choć dokonała tak wiele, wciąż była niedoświadczona. Niby nie miało to żadnego znaczenia. A jednak. „Masz wspaniały umysł, Mario – powiedział ojciec, obejmując ją po powrocie z Indii, gdzie spędził dziewięć miesięcy. I nagle stała się damą. – Musisz wykorzystywać to, czego się nauczyłaś”.

Nie miała dzieci – powtarzała sobie – ale przynajmniej napisała książki. Słowa stanowiły skuteczną ucieczkę od smutku spowodowanego „odosobnieniem” w szkole z internatem albo ociężałej nudy rejsu. Nic dziwnego, że od śmierci Thomasa napisała dwie książki.

– Jest pan taki bezpośredni – powiedziała. – W pewien sposób przypomina mi pan ojca.

– Był ogrem?

– Ależ nie. Bardzo go kochałam.

To niedopowiedzenie – pomyślała z kluciem w sercu. Pamiętała, jak osamotniona się czuła, kiedy wyruszał na morze. Bywało, że nie widziała go nawet dwa lata. Pamiętała radość na wieść o jego powrocie. Siadywali wtedy przy oknie w domu ciotki, a on opowiadał jej o swoich przygodach. Przyciskała palce do zimnych szyb, aby móc wyobrazić sobie lejący się z nieba żar w Indiach i Afryce i na wysepkach pływających między nimi. „Świat jest wszystkim, Mario” – mawiał. Czy znał to uczucie, tak wielkie jak kontynent?

Chłopiec okrętowy przyniósł pokrojony ciepły chleb, dorsza i butelkę wina.

– Powinniśmy zacząć jeść. – Maria oddała kawałek chleba, Henderson rozlał wino.

– Przynieś jeszcze czekolady – powiedział chłopcu, który zaraz oddalił się w stronę kuchni.

– Będziemy ją pić do każdego posiłku?

– Może nie do każdego – odparł z uśmiechem Henderson. – Nie ma pani nic przeciw?

– Nie, smakuje o niebo lepiej od angielskiej czekolady, o której rozmawialiśmy. Prasowanej na proszek.

– Dobrze.

Zaczęli jeść. Maria cieszyła się, że została w szarej sukni. Wysyłała w ten sposób jasną wiadomość, którą sama chciała wziąć sobie do serca. Przygotowała się do dywersji, ale Henderson nie wykorzystywał swojej przewagi. Mówił o drzewach kakaowca, tych rosnących dziko i tych uprawianych na plantacjach, opisywał dziwaczny wygląd dojrzałych owoców, rozcinanie owalnych jagód, prażenie i przebieranie nasion, łuskanie ich i kruszenie. Maria przyniosła swoje szkice z brazylijskich wyżyn. Po skończonym posiłku oglądali razem najniezwyklejsze kwiaty, na jakie natknęła się podczas przeprawy przez dżunglę. Jaskrawe szarłaty oraz eleganckie orchidee walczyły o uwagę z ozdobnymi paciorecznikami. Żałowała, że nie zdążyła wykonać więcej rysunków.

Maria miała wrażenie, że w przypadku Hendersona nawet zwykła rozmowa zyskiwała nowy wymiar. I nawet jeśli drzwi do zakazanego pokoju stały przed nimi otworem, nie przekroczyli progu, nie wykonali żadnego ruchu.

– Te bromelie przypominają klejnoty. – Henderson studiował jej szkicownik. Liście wisały nisko, zdawały się oszlifowane niczym rubiny. – Pasowałyby do pani takie ozdoby.

Serce Marii zatrzepotało. Oczami wyobraźni ujrzała naszyjnik z opali, który kiedyś chciała mieć. Zamknęła szkicownik, a następnie uniosła i opuściła barki, aby rozluźnić mięśnie.

– Już późno – powiedziała.

– Pani pozwoli, że odprowadzę ją do kabiny.

Podniósł kaganek. Cień pogłaskał jej ramiona. Nigdy przedtem nie musiał się tak pilnować. Zapach jej perfum wisiał w powietrzu. Ruszył jego śladem.

– Dobrej nocy. – Skłonił się milczącej Marii.

Choć pani Graham zniknęła za drzwiami, Henderson nie mógł się ruszyć. Świat bez niej przestawał się kręcić. Kapitan zdusił płomień świecy, bo nie chciał, żeby zdradziła go smuga światła. Wpatrywał się w wąski korytarz. Ten próg był dla niego jak niema modlitwa, symbolizował jego pragnienia. Ten rejs – teraz to rozumiał – stanowił oderwanie się od świata. W każdej chwili stał na progu. Jego stopy wypalały w nim ślady. Przypomniawszy sobie słowa Samuela Johnsona, który w jego umyśle w jakiś sposób uosabiał Londyn. Nie myślał o nich od lat. „Dokonując życiowych wyborów, nie zapomnij żyć”.



Gwiazdy na niebie wyznaczały kurs „Bittersweet”. Powietrze stało się ostrzejsze, dało się w nim wyczuć chłód. Kucharz doprawiał czekoladę cynamonem i ozdabiał długimi spiralami skórki pomarańczowej. Posiłek za posiłkiem ubywało zapasów, aż do ostatniej cytryny. W niektóre dni jedli świeże ryby, w inne tylko chleb kukurydziany albo ryż. Co wieczór po odprowadzeniu pani Graham do kabiny Henderson stał w wąskim korytarzu pod jej drzwiami. Noc za nocą. Tydzień za tygodniem. Wpatrywanie się w zamknięte drzwi kabiny stało się swoistym rytuałem, nieodłącznym elementem rejsu – jak następujące po sobie słoneczne dni, długie kolacje, intymne rozmowy, nadzorowanie załogi, odkładanie kolejnych odległości na mapie i uzupełnianie wpisów w dzienniku okrętowym.

Nie łamał danego słowa – nie dotykał jej, ale ich rozmowy stawały się coraz bardziej osobiste. Dzielili się drobnymi wspomnieniami, sekretami. Maria opowiedziała mu o karach za to, że nie zachowywała się tak, jak życzyła sobie tego jej ciotka, o rozkwicie jej miłości do botaniki, o szoku, jaki przeżyła jej rodzina na wieść o tym, że chce podróżować i pisać. Henderson zwierzył jej się z ogromnego poczucia wstydu, jakiego doznał, gdy pierwszy raz spotkał się z ojcem.

Kiedy któregoś dnia Maria zapytała, jak daleko znajdują się od celu ich podróży, poszedł po mapę.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jesteśmy tak blisko – powiedziała z pochyloną głową, śledząc palcem ostatnie centymetry.

– Tak, już niedługo – odparł, po czym zwinął pergamin.

## PICCADILLY

John Murray, najbardziej znany londyński wydawca, przeszedł na drugą stronę Piccadilly i po kilku metrach skręcił w Jermyn Street<sup>[35]</sup>, gdzie zakład prowadził jego krawiec. Pani Murray oświadczyła, że jego kamizelka prezentuje się dość staromodnie, a on z doświadczenia wiedział, że w takim wypadku należy działać bezzwłocznie. „Szara, mój drogi, w kolorze twoich włosów, byłaby znacznie bardziej dystygowana” – zasugerowała.

Jeśli chodzi o sprawy dotyczące garderoby, Murray, przyjaciel i doradca takich osobistości jak lord Byron i Johann Wolfgang von Goethe oraz znamienitych autorek, które powierzyły mu swoje dzieła – zmarłej niestety Jane Austen czy słynnej Marii Graham – zawsze kierował się radami żony.

Tego dnia mgła była tak gęsta, że nawet stukot końskich podków zdawał się przytłumiony. Człowiek miałby szczęście, rozpoznając w niej własną matkę, gdyby się nie spodziewał jej spotkać. Tajemnicą pozostaje zatem, jak w tak niesprzyjających warunkach ciotka Marii wychwyciła i zidentyfikowała postać Johna Murraya.

– Panie Murray! – Rozkazujący dźwięczny głos sprawił, że wydawca stanął na baczność. Obok niego zmaterializowała się lady Dundas. Jak zwykle modnie odziana, miała suknię wykończoną futrem z lisa i drobnymi perłami. Przy niej stała Georgiana Graham, szwagierka Marii. – Co za szczęśliwe spotkanie – powiedziała czcigodna dama, przeciągając samogłoski. – Właśnie mówiłam panie Graham, że może mieć pan jakieś wieści na temat Marii. Gdzie się podziewa ta dziewczyna? Przyznam szczerze, że ledwo mogę za nią nadażyć.

Murray skłonił się.

– Ostatnie, co słyszałem, *madam*, to to, że wyprowadziła się ze swojej rezydencji w Chile i osiadła w Rio de Janeiro.

Georgiana ścisnęła wstążki swojej torebki tak mocno, jak zaciskała usta.

– I zapewne pisze książkę.

– Mam taką nadzieję.

– Jakie to francuskie – wydusiła z siebie panna Graham z zaledwie szczyptą pogardy.

Murray wyprostował się. Maria była jego przyjaciółką i ulubienicą, a poza tym jedną z jego

autorek. Choć nie do końca był zwolennikiem, jak to określała jego żona, koszmarnych osobniczek, które żądały reprezentacji w parlamencie, to z pewnością nie miał uprzedzeń do płci pięknej. Decyzje Marii nie wywołały skandalu w Londynie, ale było blisko, nie pomagało też podejście jej rodziny. Murray poczuł, że krew się w nim burzy.

– Pani bratowa – odrzekł gładko – ma wyjątkowy talent do łączenia niezwykle celnych spostrzeżeń z przyjemnie lekkim stylem. W zeszłym roku przesłała mi kilka szkiców botanicznych, które przekazałem *sir* Williamowi Hookerowi<sup>[36]</sup>, gdy ostatnio wizytował Kew<sup>[37]</sup>. Był pod wielkim wrażeniem. Pani Graham ma niezwykle dociekliwy umysł i wyjątkowe pióro. Jest waszą dumą, drogie panie, dumą waszych rodzin, dumą wszystkich kobiet...

Lady Dundas wydawała się wielce zmieszana tą przemową.

– Maria jest wdową i mieliśmy nadzieję, że wróci do domu – odparła ze smutkiem.

– Postawiłam pomnik mojemu zmarłemu bratu – wtrąciła się panna Graham. – Odwiedzam go codziennie, a Maria, choć była jego żoną, nawet go nie widziała.

– Jestem pewny, że kiedy wróci do domu, będzie zachwycona – skłamał Murray.

– A kiedy może to nastąpić, *sir*?

Murray wzruszył ramionami. Wielu jego autorów przebywało za granicą. W wydawnictwie pełno było ich korespondencji oraz dzienników. Poza tym Byron miał w zwyczaju przysyłać na adres oficyny skrzynie pełne artefaktów kupionych podczas wojaży po Europie; w ciągu ich współpracy trafiło się kilka naprawdę ogromnych obrazów oraz osobliwości. Oddał też na przechowanie szokujące swoją zawartością pamiętniki, które Murray starannie ukrył<sup>[38]</sup> – młodzieniec, choć urodzony w rodzinie arystokratycznej, potrafił przekroczyć wszelkie granice. Pani Murray opłakiwała przestrzeń, której wymagało tak rygorystycznie prowadzone archiwum. „Niedługo zabraknie miejsca na nasze wino” – lamentowała, ale Murray twardo obstawał przy swoim. Korespondencja musiała być odpowiednio zabezpieczona. „Nawet bezwartościowe notatki? – naciskała pani Murray. – Z obietnicami przyjazdu albo życzeniami urodzinowymi?” Murray pozostawał niewzruszony: „Tak, moja droga, tak. Nigdy nie wiadomo, co kiedyś może się przydać. Papa zawsze powtarzał...”. Pani Murray spoglądała wówczas w niebo. Była pewna, że jej syn, John, nie będzie traktować tak poważnie systemu archiwizacji ojca, i nie widziała powodu, dla którego jej mąż miałby respektować życzenia swojego ojca. „Wiele spośród osób, które współpracowały z twoim ojcem, już nie żyje. Jaki może być pożytek z ich listów?” Murray obawiał się, że któregoś dnia podczas jego nieobecności żona zacznie robić porządki. Zostawił służbie na taką okoliczność ścisłe instrukcje. Należy go niezwłocznie ściągnąć i starać się opóźnić działania pani Murray.

Przebiegły wydawca ukłonił się nisko.

– Sądzę, drogie panie, że pani Graham wróci do domu, kiedy będzie na to gotowa. Żałoba nie

ma jednego oblicza, a pani Graham ma do wykonania ważną pracę.

Georgiana westchnęła, jakby jej oddech miał odsunąć od niej słowa Murraya. Kobiety pokroju lady Dundas i jej protegowanej uważały, że dama powinna zachowywać się w jeden określony sposób. Maria, która według Murraya wykazywała się absolutną powściągliwością, nie miała zamiaru realizować oczekiwań swojej rodziny.

– Bóg jeden raczy wiedzieć, co znowu wymyśli – rzuciła poirytowana lady Dundas, lekko dygnęła i ścisnęła ramię panny Graham na znak, że jest gotowa się oddalić.

Murray miał głęboką nadzieję, że „dziewczyna” wymyśli temat na nową książkę.

– Cóż, Londyn czeka. – Ukłonił się i odstąpił na bok, by panie mogły przejść.

Gdy zniknęły we mgle, westchnął z ulgą. Nie zazdrościł Marii. Potem, usiłując zapomnieć o spotkaniu, podążył w stronę pozbawionego żeńskiego elementu, pokrzepiająco męskiego zakładu krawieckiego.

---

[35] Jermyn Street – ulica w centrum Londynu nazwana na cześć jej twórcy, Henry’ego Jermyna; do dziś znana jest jako ulica krawców męskich.

[36] William Hooker (1785–1865) – angielski botanik specjalizujący się we florystycznej systematyce roślin i botanice stosowanej, założyciel licznych muzeów przyrodniczych i ogrodów botanicznych w różnych koloniach angielskich; pierwszy dyrektor ogrodu botanicznego w Kew.

[37] Kew – dzielnica w południowo-zachodnim Londynie, na terenie której znajduje się słynny ogród botaniczny Kew Gardens, w 2003 roku wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO.

[38] Ponoć 17 maja 1824 roku Murray wraz z przyjaciółmi i wykonawcami testamentu Byrona zniszczyli dzienniki ze względu na ich skandaliczną zawartość, która pogrzebałaby reputację poety. Dwa tomy zostały spalone w kominku w wydawnictwie Murraya (inne źródła twierdzą, że Byron miał sam poprosić Murraya o spalenie zapisków w razie jego śmierci lub że memuary zniszczyła wdowa po Byronie).

## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

Tego wieczora na pokładzie „Bittersweet” kapitan Henderson i pani Graham przenieśli się z kolacją do jej kabiny, ponieważ zrobiło się zbyt chłodno, by jeść na pokładzie, i z niewielkimi przerwami przez cały dzień padało. „Orzeźwiająco, *sir*” – skomentował północną pogodę Clarkson. Nocna wachta musiała założyć ciepłe płaszcze.

Henderson stał chwilę pod drzwiami, zanim zapukał.

– Proszę.

Chłopiec okrętowy nakrył do stołu i przyniósł więcej świec. Pomieszczenie wydawało się inne – bardziej prywatne, intymne. Pachniało miodem i fiołkami. Kiedy Maria wstała, wyczuł delikatną nutę orchidei.

– Przeniosłam papiery. – Skinęła głową w stronę blatu.

Henderson uśmiechnął się, patrząc, jak owija szczupłe ramiona szalem. Podziwiał jej niechęć do kokietowania. Szara suknia niespodziewanie stała się bardziej intrygująca niż strusie pióra i szkarłatny jedwab. Gdy postawił krzesło obok niej, spięła się.

– Obiecałem – przypomniał.

Ilekcję się odzywał, jej oczy zdawały się wpatrywać w niego z powagą. Zaczął uważać na to, co mówi. Od czasów Londynu nikt nigdy nie wsłuchiwał się w to, co ma do powiedzenia. Czasami Maria Graham przypominała mu ptaka, który może w każdej chwili odlecieć. Chciał ją uspokoić. Nigdy nie ogarniała go taka czułość.

– Zabrała się pani do lektury. – Wskazał książki piętrzące się pod ścianą.

Pokiwała głową.

– Skończyłam pracę nad manuskryptami, więc pomyślałam, że poczytam.

Żałowała, że zapomniała skorzystać z biblioteki Bagdorów przed odjazdem z plantacji. Teraz nawet proponowane jej przez Thysa romansidła wydawały się kuszące. Gotowa była spróbować *Dumy i uprzedzenia* panny Austen – okropnej książki, której unikała za wszelką cenę, uważając ją za niewiele więcej niż czytało napisane do biblioteczek rozpuszczonych panienek z dobrych domów. Pan Murray kilkakrotnie oferował jej egzemplarz, ale nawet jemu podziękowała. Dziś by nie odmówiła.



Henderson sięgnął po tom z nazwiskiem Marii wytłoczonym złotem na grzbiecie. Zaczzerwieniła się.

– Pani? Mogę pożyczyć?

Zgodziła się.

Tej nocy po kolacji kapitan nauczył Marię grać w pokera. Sam poznał tę grę rok wcześniej podczas podróży do Nowego Orleanu. Zauważył, że nie umie blefować. Maria wiedziała, że to skandaliczne, ale stwierdziła, że może sobie pofolgować. Co by powiedziała o tym śmietanka towarzyska Londynu? Starła się tym nie przejmować. Ale co z Londynem? Zostało zaledwie kilka dni.

Później, kiedy Henderson wrócił do swojej kajuty, otworzył *Journal of a Residence in India*. Książka go rozbroiła. Na jej stronach komandor Dundas, ojciec Marii, ożywał. Maria eksplorowała sanktuaria, świątynie i pałace.

Miała niezaprzeczalny talent literacki. Niemal czuł zapach kurkumy w powietrzu i gwałtowne uderzenie monsunu zamieniającego ulice Bombaju w błotniste rzeki. Był pod wielkim wrażeniem jej umiejętności. Nic jej nie umykało, niczego nie pomijała. Opisywała wszystko – od pieczenia porannego czapati<sup>[39]</sup> po szwendające się swobodnie krowy, nieraz przewracające stragany i zmuszające kobiety, spowite w sari i obwieszane pobrzękującą przy każdym ruchu tanią biżuterią, do ratowania się ucieczką.

Zatrzymywał się dłużej przy akapitach poświęconych komandorowi Dundasowi – kiedy przedstawiał córkę swoim oficerom, z których jednego później poślubiła, kiedy towarzyszył jej podczas przejażdżki na słońiu i zwierzę niemal wpadło w szal. W tych i innych ustępach Maria jawiła mu się pełna entuzjazmu, podekscytowana możliwością spędzania czasu z ojcem po latach nauki, do której nie żywiła jawnej niechęci. Henderson przekonał się teraz, że w ciele tej charakteryzującej się stoicyzmem dorosłej kobiety kryje się dziewczynka chcąca zadowolić mężczyznę, za którym tęskniła przez większość swego krótkiego życia. Została odseparowana od wszystkiego, co kochała, co rozumiała. Tak jak ja – pomyślał.

Henderson odłożył książkę i oparł głowę o ścianę. Na zewnątrz dniało. Chłopiec okrętowy zapukał do drzwi z poranną kropelką rumu.

– *Sir*.

Kapitan przetarł oczy i wychylił duszkiem napój. Przesunął dłonią po zarośniętym podbródku. Ogoli się później.

– Już niedługo, *sir* – powiedział podekscytowany malec.

Marynarze opowiadali mu o Anglii, a pani Graham nauczyła go liter. Czytanie było trudne, ale każdego dnia przychodziło mu coraz łatwiej. Teraz z niecierpliwością czekał na nowy świat i czuł się niezniszczalny.

– Jakieś trzy dni. – Henderson zwolnił chłopca i skupił się na mapie.

Trzy dni i będzie po wszystkim – pomyślał. Musi ją poprosić, nawet jeśli czar pryśnie. Musi zebrać się na odwagę. Zrobi to dziś. Był zdeterminowany.



Rano Maria, umyta i ubrana, podniosła swój ciemny woskowany parasol, by ochronić się przed mżawką, która unosiła się nad pokładem niczym wyszywana srebrną nitką aplikacja. Im dalej na północ, tym bardziej powietrze czuć było Anglią. Załoga nie pracowała już na wpeł rozebrana, mężczyźni nosili bawełniane koszule i luźne wełniane kamizelki. Dziś czterech marynarzy łowiło. Dwoch zajmowało się linami, a dwóch samym włokiem. Ze skupieniem wpatrywali się w lekko wzburzoną wodę. Jeśli zawiodą, załoga będzie jeść tylko suchary.

– Szare – skomentował jeden, pokazując w górę. Zachmurzone niebo wróżyło dobry połów.

Maria wałęsała się poza zasięgiem ich wzroku, po czym na chwilę przysiadła na beczce. Uświadomiła sobie, że ma mieszane uczucia. Usiłowała sobie wmówić, że nie może się doczekać Londynu, i starała się nie myśleć o tym, że będzie musiała opuścić „Bittersweet”, czy też raczej kapitana Hendersona. Rejs zapewnił jej chwilę wytchnienia od oceniającego spojrzenia stolicy oraz oczekiwań Rio. Na pokładzie tej osobliwie prezentującej się jednostki mogła być sobą.

Beztrosko postanowiła podsłuchać pracującą czwórkę. Nie miała co robić, a podejrzewała, że może to być zabawne. Zawierciła się w gorsecie, próbując wydłużyć kręgosłup, po czym zastygła w oczekiwaniu. Na drugim końcu pokładu Clarkson stał przy sterze, pod jego nogami dwóch marynarzy szorowało deski. Przez długi czas „rybacy” pracowali w milczeniu. Jeden wyjął i zapalił fajkę. Ciszę przerywało regularne pykanie. Maria uśmiechnęła się. Chłodne powietrze było orzeźwiające, zapach tłącego się szagu przyjemny. Wkrótce wróci do kabiny poczytać. Chłopiec okrętowy przeszedł obok niej z wiadrem pomij i kiwnął głową na powitanie. Nagle usłyszała okrzyk radości i szamotaninę. Niedługo potem sieci zostały podniesione, a ich zawartość opróżniona na pokład. Po deskach rozlała się woda. Maria uniosła stopy. Po chwili rozległ się stukot – marynarze ogłuszali pałkami rzucające się ryby.

– Dobra jest – oświadczył głos.

– Duży Al będzie zadowolony. Jest więcej, niż kapitan i jego dama mogą zjeść – dodał drugi głos.

– Myślicie, że oni tam rzeczywiście jedzą? – wtrącił się trzeci. – Cholera wie, co tam wyczyniają.

Maria się wzdrygnęła. Zmroziło ją. Jakby nagle się obudziła. Spojrzała na Clarksona, ale był za daleko i nic nie słyszał. Cholera wie, co tam wyczyniają. Poczowała wściekłość. Jak śmieli?

Przeraził ją wybuch lubieżnego śmiechu. Głosy kontynuowały plugawe insynuacje.

– Noc za nocą. Ta pani Graham to niezła kurka.

Maria zerknęła na podgadującą czwórkę. Porządkowali sieci. Jeden z mężczyzn zrobił sprośny gest. Zauważyła, że miał obcięte koniuszki palców.

– Ale kto może winić kapitana? – dodał szeptem. – Była mężatką i jest urodziwa. Musi jej brakować pieprzu i ręki prawdziwego mężczyzny, który by podrapał, gdzie trzeba...

Mężczyźni znowu zarechotali.

Wzdrygnęła się zdjęta grozą. Czuła mdłości. Jak mogła być tak głupia i uwierzyć, że „Bittersweet” różni się od innych statków? Zrozumiała, że swobodne obejście Hendersona uspiło jej czujność. Jak głupia pozwoliła sobie na chwilę rozluźnienia i opuściła gardę, narażając się na drwiny. Ręce drżały jej z ponizenia. Co za wstyd! Czy cały czas spała? Mieli ją za byle lafiryndę. Tanią ulicznicę! Zerwała się na nogi i z pochyloną głową, tak żeby Clarkson nie mógł zobaczyć jej twarzy, oddaliła się pośpiesznie do kabiny. W oczach miała łzy. Cały statek miał z niej ubaw. Wszyscy się z niej śmiali.

Krążyła po pokoju spanikowana. Usiłowała zablokować echo szyderstw marynarzy, recytując poezję: *Wędrowni Childe Harolda* Byrona (Murray przesłał jej egzemplarz poematu przed rokiem), *Odę do jesieni* Keatsa i strofy o Grecji autorstwa panny Elizabeth Barrett, które zapamiętała z jakiegoś czasopisma. Maria nie dążyła do nowoczesnych ideałów romantyków. Była pragmatyczką. Ale teraz słowa wylewały się z jej ust – jakby przyzwyczajone do ucieczki. Nadaremno – nie mogła przestać myśleć o ordynarnym geście. Nie mogła przestać krążyć po kabinie, bo inaczej osunęłaby się na kolana. Wpatrywała się podejrzliwie w drzwi. Jak śmieli! Do końca dnia nie wystawiła nosa za próg. Wątpiła, by miała to jeszcze zrobić.

Gdy zapadła noc, odczuwany przez Marię wstyd nie osłabł. Na tym maleńkim statku pośród ogromnego oceanu nie było rzeczy, o której nie mogła dyskutować z kapitanem Hendersonem, od kultury kakao po nierzadko przerażające historie dotyczące różnych członków załogi – skąd się wzięli, co robili. Thatcher, zanim trafił na statek, stracił rodzinną piwiarnię w Bridlington przez długi hazardowe. Żona Clarksona sprzedawała go werbownikom zmuszającym do pracy na morzu, kiedy miał zaledwie dwadzieścia lat, bo – jak powiedział kapitanowi – jęzda poczuła do niego niechęć po czterech latach małżeństwa.

Tej nocy, kiedy zajęli miejsca przy stole, Maria stwierdziła, że nie potrafi wspomnieć o tym, co usłyszała na pokładzie. To była zbyt świeża rana. Siedząc obok niego w swojej szarej sukni, miała wrażenie, że krwawi. Światło świec kładło się miodowym blaskiem na jej twarzy, w środku skręcało ją z bólu. Nieświadom niczego Henderson był w dobrym humorze. Nalewał wino, uśmiechał się, opowiadając o wyznaczaniu kursu. Okazało się, że jego mapy były dokładne i mieli dobry czas. Podobała mu się jej książka. Kiedy zaczęli omawiać tematy

związane z botaniką – co odróżnia rośliny odporne, które są w stanie przetrwać morską podróż, od setek innych, które ku rozpaczy angielskich ogrodników nieodmiennie giną podczas transportu – Maria myślała tylko o mężczyznach za drzwiami. O załodze, która sądzi, że James chędożył ją jak jakąś wywłokę za trzy pensy.

– Czy wstąpi pan do RHS<sup>[40]</sup>? – zapytała, rozkojarzona, usiłując nie okazywać swej konfuzji. Gdyby go odesłała, musiałyby podać powód, a tego by absolutnie nie zniosła.

Henderson wymijająco wzruszył ramionami. Royal Horticultural Society stanowiło domenę dżentelmenów. Kandydat musiał mieć poparcie jednego członka na wejście i zdobyć poparcie drugiego. Kapitan musiałby przynajmniej opublikować jakieś broszury.

– Mógłby pan zaproponować wygłoszenie wykładu – zasugerowała. – Sądzę, że zainteresowanie pańską wiedzą botaniczną byłoby ogromne. *Jak ujarzmić nasiona kakaowca*. Słyszę to już teraz. Mało kto potrafi dokładnie określić różnice między ziarnami dzikimi a pochodzącymi z uprawy. Londyn wita nowe umysły z otwartymi ramionami.

– Być może.

Maria zlustrowała uważnie twarz chłopca okrętowego, który przyniósł gotowe danie i białe wino. Dzbanek postawił między nimi i lekko się uklonił. Kiedy zniknął za drzwiami, poczuła przenikliwy skurcz w żołądku. Czy malec też miał o niej tak potworne zdanie? Czy słyszał, co o niej mówią? Henderson oparł się wygodnie. Płomień świec migotał, raz było jasno, raz ciemno. Maria ścisnęła sztucce. Jej serce waliło jak młotem. Starła się nie patrzeć na łóżko. Może powinna przywołać chłopca. Czułaby się bezpieczniej. Henderson położył rękę na jej ramieniu.

– Dobrze się pani czuje?

Odsunęła się, kiwając głową. Nie zbliżył się tak do niej od czasu tamtego pocałunku. Czowała zapach mydła na jego skórze – nutę gałki muszkatołowej i jeżyn ukrytą pod znajomą wonią tytoniu do fajki. Zadrżały jej ręce. Takie momenty sprawiały, że nie potrafiła sobie zaufać, a mimo to czekała na nie. Co za wstyd.

– Pani Graham – powiedział kapitan – nasza podróż dobiega końca. Te kilka tygodni to był naprawdę wspaniały okres. Będę tęsknił za naszymi wspólnymi kolacjami.

– Tak – wymamrotała Maria.

– Muszę panią o coś poprosić. Pragnąłem poprosić o to już kilka tygodni temu, niemal na początku naszej znajomości.

Maria wpadła w panikę. Zaczyna się. Teraz. Jej serce biło tak mocno, że miała wrażenie, że zaraz wypadnie jej z piersi. Jej myśli szalały. Czy to wszystko miało do tego doprowadzić? Czy przeprosił za pocałunek tylko po to, by zaproponować jej coś gorszego? Jak ma się mu oprzeć, jeśli jej własne ciało nie chce słuchać głosu rozsądku? Londyn nią wzgardzi. Będzie wiedział.

I załoga. Wciąż słysząc lubieżny śmiech marynarzy, odsunęła krzesło i owinęła się mocno szalem – jakby był zbroją. Prawa małżeńskie są zarezerwowane dla małżeństw. Taka jest prawda, ale jeśli ją o to poprosi, czy tak mu odpowie?

– Nie mogę. Zrozum – odezwała się błagalnym tonem. – To niemożliwe, Jamesie. Jakkolwiek mocno bym tego chciała.

Kapitan popatrzył na nią w milczeniu, w końcu odpowiedział spokojnie:

– Wszystko jest możliwe. Jesteśmy wolnymi ludźmi, ty i ja. Ale nie mam zamiaru sprawiać ci przykrości.

– Nie sprawiasz mi przykrości. – Jej głos temu przeczył.

– Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak. Przyjaciółmi.

– Więc małżeństwo jest niemożliwe?

Maria spojrzała na niego zaskoczona. Tego się nie spodziewała.

– Małżeństwo – odparła – jest tak samo wykluczone.

– Tak samo jak co?

Jej oczy spoczęły na łóżku.

Roześmiał się głośno.

– Sądziłaś... Och, Mario. – Sięgnął po jej dłoń, ale złapał ją tylko na chwilę. – Przecież jesteś damą, pamiętasz?

Krew w jej żyłach zamieniła się w żywy ogień. Musiała odwrócić spojrzenie. Wychodziło na to, że wszyscy mieli rację. Szkoła... Ciotka... Dżentelmen, który odrzucił jej pracę... Oficerowie, którzy próbowali załatwić jej zakwaterowanie... Marynarze na pokładzie...

Henderson kontynuował.

– Moja droga, czy ty się po prostu tego boisz? Oczywiście, będzie nieco inaczej niż wcześniej, ale nie masz się czego obawiać.

Maria wyprostowała się upokorzona. Śmiał się z niej. Czy na „Bittersweet” nie była niczym więcej jak tylko dowcipem? Jej policzki płonęły.

– Byłam mężatką przez ponad dziesięć lat – wydusiła z siebie.

– I wciąż cię to przeraża?

Miała wrażenie, że umie ją przejrzeć na wylot. Mogła przepłynąć Amazonkę, jeździć na wielbłądzie, wędrować przez chilijskie wyżyny i szacować siłę trzęsienia ziemi, ale tego się obawiała, tej żałośnie zwykłej rzeczy, którą większość kobiet przyjmowało bez mrugnienia okiem. Poczowała łzę na policzku. Starła ją w złości. Przez lata unikała zbliżeń z Thomasem, a teraz nagle... z tym mężczyzną... całkowicie niestosownym... poznanym w dokach... bez

domu i rodziny... absolutnie niezwiązanym z jej życiem... przemytnikiem... porywaczem... kłamcą... Nic ich nie łączyło. Nie mieli żadnych wspólnych znajomych. A mimo to był fascynujący. Był najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego spotkała. Znaczył dla niej bardzo wiele, tylko udawała, że to zwykła grzecznościowa znajomość. Przez całe życie czuła się karana za to, że chce żyć inaczej. Podejmowanie „nieprzystającego kobiecie” ryzyka zawsze mogła usprawiedliwić, ale to – wiedziała – to byłoby nie do przyjęcia. Okryłaby się hańbą! Jak w ogóle mogła dopuścić do tej sytuacji?

– Nie wyjdę za pana, kapitanie Henderson. – Z wielkim wysiłkiem mówiła cichym głosem.

– Czy chodzi o mój status? – odparł. – Chcę się zmienić. Mario. Znajdę szanowaną profesję. Nie tylko ze względu na ciebie, lecz także dla siebie. Już to rozważałem.

Maria milczała. Wiedziała, że w Londynie te mgliste obietnice nic nie znaczyły. Prawdziwy świat brał pod uwagę tylko to, co realne, a nie to, co możliwe. Wystarczająco trudno jej było bronić swojego prawa do samodzielnego podróżowania, do pisania tego, co chce, do posiadania własnych opinii cenionych na równi chociażby ze zdaniem gorzej wykształconych mężczyzn. Ciężko walczyła o te przywileje. Jak mógł ją nawet o to prosić? Gdyby wyszła za Jamesa Hendersona, straciłaby cały szacunek, a z nim wszystko, na co pracowała, odkąd po raz pierwszy nieśmiało przyłożyła pióro do kartki z zamiarem opublikowania swoich słów. Nie mogła się skupić. Łóżko było już wystarczająco złe. Myśl o tym, że miałyby stracić kontrolę, napawała ją przerażeniem, ale jeśli załoga „Bittersweet” uważa ją za niewiele więcej niż obleśny dowcip, to nie miała wątpliwości, że w Londynie będzie jeszcze gorzej. Już sobie wyobrażała plotki – wyjechała z szanowanym mężem, a wróciła z mężczyzną niższego stanu. Miasto huczałoby od nich i nikt nigdy więcej nie potraktowałby jej poważnie.

– Przepraszam – powiedziała cicho, zdesperowana. Wyciągnęła rękę, jakby chciała go odepchnąć. – Musi pan wyjść.

Henderson przełknął jej słowa. Nie sprzeciwił się. Wstał powoli. Tym razem jego oczy nie skrywały uczuć.

– Proszę zapomnieć, że zmartwiłem panią tym pomysłem – powiedział, ukłonił się i starannie zamknął za sobą drzwi.

Wyszedł bez walki. Maria nie mogła w to uwierzyć. W obezwładniającej ciszy z przerażeniem wpatrywała się w pozostałości posiłku, jakby porzucone talerze i niezjedzona ryba stanowiły obraz po bitwie. Przez chwilę miała ochotę za nim pobiec, ale co miałyby mu powiedzieć? Nigdy nie wierzyła w miłosne uniesienia rodem z poezji. Kpiła z lady Caroline Lamb, kiedy ta zrobiła z siebie pośmiewisko, romansując z Byronem. Teraz sama mogłaby pochłonąć setki pogardzanych przez siebie czytadeł dla panienek i być może nawet rozplakać się nad niektórymi historiami. Zastanawiała się, co poradziłyby jej Murray (zakładając, że

kiedykolwiek byłaby w stanie podzielić się swoimi wstydliwymi wątpliwościami z tak znakomitym przyjacielem). Wyobraziła sobie, jak przechyla na bok siwą głowę, rozważając konsekwencje. Potem pomyślała o reakcji ojca. Pragnął, by była damą. Nie mogła w ten sposób zbeczczyć jego pamięci.

Nawet gdyby wróciła z Hendersonem do Brazylii, kapitan nie zostałby zaakceptowany przez dwór. Jeśli chodzi o hierarchię, Brazylijczycy byli tak samo rygorystyczni jak Brytyjczycy. Nie miała wątpliwości co do reakcji da Couta. Byłby uszczęśliwiony tak jak parę innych osób – bo bez wątpienia zostałaby natychmiast zwolniona. Jej Cesarska Mość miałyby pełne prawo to zrobić. Była ponad to.

A mimo to Maria czuła coś, co mogła opisać tylko jako tęsknotę pośród morza wstydu. Żałowała, że nie jest jej obojętne to, co inni o niej myślą. Martwiła się, że ten uporczywy ból nigdy nie minie. Czy umrze w podeszłym wieku, wciąż go pragnąc? Zastanawiając się, co by było gdyby? Ta myśl doprowadzała ją do szaleństwa. Utraciła grunt pod nogami. Wrzucona do zdradliwej głębinie, miotała się tam i nie mogła wypłynąć na powierzchnię. Zamiast się rozciągnąć, bo obawiała się, że to może nasilić uczucia i sprawić, że trudniej będzie je znieść, zwinęła się w kłębek na szerokich drewnianych deskach podłogi i łkała cicho. Od początku wszystko do tego zmierzało. Od początku.

Henderson jak zwykle stał oparty o ścianę naprzeciw drzwi. W kabinie zapadła cisza. Źle ocenił sytuację i co gorsza, źle ocenił panią Graham.

– Jestem niczym – szepnął. W gardle czuł smak kwaśnego wina.

Zastygł na chwilę zażenowany. W końcu kazał sobie odwrócić się i powlec do kajuty. Zauważył, że kuleje – jakby rana była fizyczna. Bolały go stopy. Nic nie miało sensu. Klepnął się w nogę zirytowany, wyprostował się i sięgnął po mapy. Niby dlaczego miałyby go chcieć? To był głupi pomysł. Nie miał nic do zaoferowania kobiecie takiej miary. Pora skupić się na interesach. Co on sobie myślał?

---

[39] Czapati – okrągły płaski placek z mąki pszennej, wody i soli pieczony na gorącym kamieniu lub *tava* (rodzaj wypukłego metalowego naczynia), a następnie opiekany nad wolnym ogniem do momentu, aż na powierzchni utworzą się charakterystyczne bąble.

[40] Royal Horticultural Society – jedno z najslawniejszych w Europie towarzystw ogrodniczych; założone w 1804 roku, słynie z prowadzenia otwartych dla publiczności ogrodów z bogatymi kolekcjami roślin oraz organizacji wystaw, które wyznaczają trendy i standardy w sztuce ogrodowej.

## KORNWALIA, TRZY DNI PÓŹNIEJ

Tej nocy blisko linii brzegowej zrobiło się sztormowo. „Bittersweet” kołysał się w ciemności, mściwe fale szalały gnane gwałtownymi podmuchami i spienione wdzierały się na pokład. Henderson usiłował się skupić. Te wody były śmiertelnie niebezpieczne. Stanowiły wylęgarnię budzących strach chorób – na przykład świerzbu z ławicy Dogger<sup>[41]</sup>, który podobno powodował odchodzenie skóry spomiędzy palców. Tuż pod powierzchnią kryły się podstępne rafy i podwodne skały. Poruszanie się w takich warunkach bez szczegółowej wiedzy na temat bezpiecznego szlaku niesie ze sobą duże ryzyko. To dlatego te okolice cieszyły się popularnością wśród przemytników – wystarczyło po prostu znać drogę.

Will wskazał mu tę część wybrzeża na mapie. Tygodnie temu pod palącym brazylijskim słońcem beztrudnie wplatał do rozmowy nazwy bezpiecznych wiosek, jakby wrzucał rodzyнки do *Selkirk bannock*<sup>[42]</sup>. „Sępy próbują – powiedział – ale przeważnie to my wygrywamy. Tak czy owak jest inaczej niż za czasów mojego staruszka”. „Masz na myśli celników?” – zapytał Henderson. „No. Był czas, że działali tylko na lądzie, ale teraz wprowadzili oficjalny patrol morski. Mam kuzyna z trzymasztowym lugierem w Ringstead Beach. Przekonał się o tym na własnej skórze. Dosłownie są jak rekiny, które poczuły świeżą krew. Teraz facet pływa w drugą stronę. Szmugluje cydr do Dieppe. To wystarczy, żeby zejść na przestępczą ścieżkę. – Will uśmiechnął się szeroko. – Muszą o tym myśleć. Kornwalia to raj dla przemytników. Nigdy nie uczynią jej uległą. Kornwalijszczyki prędzej zginą, niż porzucą swój fach. Anglia cię powiesi za królika czy bochenek chleba, a co dopiero za ładunek rumu”.

Naoliwiony połową butelki *caninhy*<sup>[43]</sup> Will opowiadał o ukrytych zaułkach, które miały wyprowadzić w pole urzędników skarbowych, o maleńkich chatkach z fałszywymi piwnicami wielkości Whitechapel<sup>[44]</sup>. Mówił, że większość kontrabandy znika w pobliżu miejsca, do którego została dowieziona. Beczki *genever*<sup>[45]</sup> za dwa szylingi i sześć pensów za antałek i brandy z Roscoff, warta znacznie więcej, bo to trunek dżentelmenów. Do Londynu szły tylko najlepsze i najrzadsze towary – ziarna kakaowca, wykwintne francuskie czerwone wino czy ozdobione bogatymi haftami tkaniny z Indii. Henderson nie musiał się niczym kłopotać – Will już znalazł chętnego na ziarno, więc jeśli o to chodzi, nie było problemu.



Tyle że Henderson nie miał pewności, czy dotrą do brzegu. Nie pamiętał nazwy miejsca, w którym Will mieszkał, choć dałby sobie rękę uciąć, że znajduje się, gdzie trzeba. Sprawdził światło ostrzegawcze, które wskazywało, że „sępy” są blisko, ale wzburzone morze rozjaśniał tylko z rzadka wychylający się zza chmur księżyc.

Od czasu oświadczyń kapitan kilkakrotnie próbował nawiązać konwersację z panią Graham, ale ona nie miała ochoty z nim rozmawiać. Nie zamierzał jej do tego zmuszać, jednak to oznaczało, że jadła sama w kabinie. Wypytywanie chłopca okrętowego o jej zdrowie, czy raczej stan umysłu, nie przynosiło większych rezultatów. Pod tym względem malec wykazał się wyjątkową lojalnością. Sztorm przynajmniej pozwalał Hendersonowi spędzać więcej czasu w pobliżu damy, choć nie w jej towarzystwie.

Po rozładowaniu ziaren oboje ruszą do Londynu. W jego umyśle stolica jawiła się jako szara, słotna i znacznie bardziej przerażająca niż jakiekolwiek podwodne skały czy burza morska. Jego dłonie pociły się na samą myśl o tym, co może znaleźć – duchy dzieciństwa i życia, które mogło być jego udziałem, prześladowały go niczym dzień sądu ostatecznego. Towarzystwo pani Graham byłoby krzepiące, ale wiedział, że nie może mieć na nie nadziei. Maria zniknie z pokładu, jak tylko „Bittersweet” przycumuje. Nie chciał o tym myśleć.

Wzmocniony gorącym portem i opatulony w ciepłe wełniane ubrania Henderson rozkazał ceniom na pokładzie rzucić kotwicę. Potem wysłał Clarksona z trzema ludźmi na brzeg, żeby zorientowali się w sytuacji. Zapalił fajkę i obserwował małą łódkę wiosłową. Dotarła na plażę. Wkrótce kołyszący się lampion Clarksona zniknął za wydumą. Jego zastępca był zręcznym negocjatorem i nawet z ostrzem w rękę wydawał się przyjaźnie nastawiony. Odkąd został wymanewrowany przez żonę, był zawsze przygotowany na wszystko. Miał zapukać do pierwszej z brzegu chaty i zapytać, czy ktoś nie czeka na znajomego Willa Simmonsa. W ten sposób brać wiedziała, że pyta swój. Odpowiednie nazwisko otwierało drzwi.

Henderson potarł zarost na brodzie i przypomniał sobie, że musi się starannie ogolić i przebrać w garnitur uszyty na miarę w Natalu. Tutaj nikt go nie znał, mógł od nowa zbudować swoją reputację. Londyn przywita go serdeczniej, jeśli założy odpowiedni fular.

Lampion Clarksona znów zajaśniał na brzegu, kiedy pierwsze blade światło szarego świtu ozdobiło horyzont niczym filigran. Henderson obserwował łódkę – wolno sunącą w stronę „Bittersweet” czarną smugę. Nie wracali sami. Clarkson pierwszy wdrapał się na pokład. Jego oddech pachniał. Nic dziwnego – choć pochodzący z Anglii członkowie załogi nigdy nie uskarżali się na tęsknotę za rodziną, niemal wszyscy opłakiwali brak dobrego ale. Nigdzie nie warzyli go tak jak trzeba – od Brazylii po rzekę Hudson, od Nowego Jorku po Kalikat. Było coś w angielskiej wodzie, w kentyjskim chmielu – smak domu, którego nie da się skopiować.

Mat wciągnął na pokład resztę marynarzy i pasażera.

– Kapitanie – oznajmił – to Sam Pearson. Znał Willa Simmonsa.

Pearson był chudym rudzielcem. O świetle jego skóra, obsypana dużymi bladymi piegami, wydawała się niemal przezroczysta.

– Will nie żyje? – zapytał natychmiast.

Henderson pokiwał głową.

– Dostał nożem – wyjaśnił.

Pearson zerknął w stronę brzegu, jakby miał ochotę wyskoczyć za burzę, jeśli odpowiedzi kapitana nie spotkają się z jego aprobatą. W końcu miał tylko słowo załogi, co stało się z jego przyjacielem, a piraci wcale nie byli rzadkością wzdłuż wybrzeża.

– Facet musiał być szybki – powiedział z rezerwą. – Will umiał walczyć.

– To była kobieta – wyjaśnił Henderson. – Zaskoczyła go. Poszło o zakład. Przepraszam. Nic nie mogłem zrobić...

– Pochował go pan?

Henderson potwierdził skinieniem głowy.

– W Brazylii – dodał. – Na poświęconej ziemi. Mam jego rzeczy pod pokładem. Możesz przekazać je rodzinie.

– Poinformuję jego siostry. To cała jego rodzina – odparł Pearson uroczystym tonem.

Owiał ich zapach gorącego chleba. Duży Al musiał stanąć przy piecu. Marynarze zignorowali nęcący aromat. Czekali już tylko na pieniądze – płacono im po rozładunku.

– A więc... będziesz naszym przewodnikiem?

– Tak, *sir*. Pokażę wam drogę. Pół godziny stąd jest bezpieczna zatoczka. Wysłałem wiadomość. Będą tam na nas czekać. – Chłopak mówił z mocnym, rozwlekłym akcentem, który sprawiał, że wydawał się tępy, ale bez wątplenia wiedział, co robi. Przemysł był tutaj poważnym biznesem, a Sam, tak jak Will, wyglądał na dobrze zorientowanego.

– Nie możemy zatopić ładunku, prawda? – zapytał chłopak.

– Nie. Ziaren nie można zamoczyć. Łatwo je skazić. Często tędy pływacie?

– Tak, *sir*. Głównie przerzucamy alkohol. Statek przyciąga straż jak ogień ćmy. Dlatego zatapiamy beczki, a potem już na spokojnie wypływamy łodziami wiosłowymi i wyciągamy je.

Henderson pomyślał, że brytyjscy celnicy są bardziej efektywni niż jankescy. Podczas transportów na północ po prostu się rozładowywał. Na rzekach Hudson i Charles rzadko kiedy się ich spotykało, a jeśli już, to łatwo dawali się przekupić. Ameryki wierzyły w prawo do handlu, a poza tym tak rozległy obszar trudno skutecznie patrolować.

– Nie przekupujecie ich po prostu?

– Już nie, ale ojciec opowiada o tych czasach, *sir*. – Twarz Sama się rozjaśniła. – Niekiedy

bywa naprawdę ostro. Ostatnio paru trafiło na tamten świat.

– Dobra. – Henderson podniósł rękę. – Nie ma sensu w to wchodzić. – Obawiał się, że to by tylko spłoszyło ludzi. – Pokaż nam, gdzie płynąć, Pearson – powiedział i kazał podnieść kotwicę. Załoga gotowa była sprowadzić „Bittersweet” do domu.

Chłopak wskazał kierunek. Na horyzoncie mewy flirtowały z szaroniebieskim morzem.

– Musimy płynąć na zachód, aż znajdziemy się za tym punktem.

Henderson kiwnął głową do Clarksona, żeby postępował zgodnie z instrukcjami.

– Dobrze. Skoro mamy pół godziny, to załatwimy jeszcze jeden interes, tylko my – dodał.

W ciasnej kajucie Henderson zapalił kaganki. Po ścianach zaraz rozpełzły się słabe cienie – świt to czas niewyraźnych kształtów, form i obrysów. Pearson obrzucił kabinę uważnym spojrzeniem.

– Ile chcesz za pomoc, Pearson? Musimy się dogadać.

Teraz, gdy stali tak blisko siebie, Henderson uświadomił sobie, że chłopak jest przeraźliwie chudy. Miał wrażenie, że to ubrania utrzymują go w pionie. Jego spodnie były sztywne od brudu, wełniany sweter śmierdział. Pearson uśmiechnął się, pokazując zęby w kolorze kości słoniowej – duże jak klawisze fortepianu.

– To ładunek Willa? Ten, po który popłynął? – zapytał.

Henderson potwierdził kiwnięciem.

– No to wszystko jest opłacone. Nie potrzebuję nic od pana, kapitanie. Mam swoje instrukcje. Jaką umowę mieliście z Willem? Dopilnuję, żeby została uhonorowana. Jestem pewien, że to my powinniśmy zapłacić panu.

Oczy Hendersona nie zdradzały nic.

– Nie mieliśmy czasu na dogranie szczegółów. Potrąciłem sobie z funduszy Willa ustaloną prowizję za transport, ale oczekuję też przyzwoitej doli ze sprzedaży.

Pearson pokiwał głową.

– Musimy wyładować ziarno tutaj. Chłopaki bezpiecznie je wywiozą, a ja dopilnuję, żeby dostał pan swoją dolę. To towar Willa. Już na niego czekają. Co zamierza pan porabiać w Anglii?

– Myślałem, żeby skoczyć do Londynu na kilka tygodni.

Pearson zrobił minę mędrca. Jakby Londyn był jego drugim domem.

– W takim razie zabiorę się z panem, *sir*. Pieniądze są w Londynie. Jak zawsze, no nie?

Wpadające przez bulaj światło ledwo rozjaśniało skołtuniony koc na łóżku. Błada twarz Pearsona znajdowała się w dużej mierze w mroku, ale w jego oczach, niebieskich niczym górski strumień w lecie, Henderson nie dopatrywał się śladu podstępny. Mimo to młodzik prosił o wiele.

Mało kto zgodziłby się wydać ładunek na słowo. Kapitan sięgnął po miedziany kompas i zważył go w ręku.

– Mam tak po prostu powierzyć ci towar? – zapytał. – Nie ustaliliśmy ceny?

Pearson stał spokojnie. Nie było w nim krzty przebiegłości.

– Nie ma innej możliwości, *sir*. Nie wiedzieliśmy, że pan przyplynie. Nie wiedzieliśmy, co przydarzyło się Willowi. To kompletnie zmienia postać rzeczy. Dżentelmeni spłacają swoje długi. Zapłacą panu więcej niż uczciwą cenę. Dałbym sobie za to głowę uciąć.

– Jacy dżentelmeni?

– No, ci, dla których pracujemy, Willi ja. – Pearson mówił coraz wolniej, uświadomił sobie, że może nie powinien był wspominać kapitanowi o swoich pracodawcach.

Henderson zawahał się. Młodziak w ogóle nie pytał o blok czekolady. Stwierdził, że to i ustalona stawka w gruncie rzeczy stanowią wystarczające poręczenie. Miał nadzieję, że instynkt go nie zawiedzie i że chłopakowi faktycznie można zaufać. Złoto i kamienie szlachetne były warte więcej niż pozostały towar i znacznie łatwiej dało się je przeszmygłować.

– Wiele ode mnie oczekujesz, Pearson – odparł. – Ale dobrze, uwierzę ci na słowo. Lepiej, żebyś nie skrewił. Ryzykujesz własne życie, chłopcze.

Sam pokiwał poważnie głową.

– Rozumiem, *sir*. Jak tutaj skończymy, możemy popłynąć na wschód, przeciąć Tamizę i zacumować w Greenwich. Teraz zrobił się ze mnie londyńczyk. Nie nawalę.

Henderson czekał. Chłopak wciąż nie robił żadnych aluzji, mówił tylko o kakao.

– Powinniśmy wrócić na pokład – powiedział, zadowolony, że wszystko dzieje się tak wcześnie. Pani Graham opuszczała kabinę dopiero późnym rankiem, po zjedzeniu śniadania. Załoga znajdowała się wówczas w połowie pierwszej wachty. Z odrobiną szczęścia skończą rozładunek, nim się obudzi, i od razu ruszą w stronę estuarium Tamizy. To by mu zapewniło jeszcze jeden dzień jej towarzystwa, może nawet dwa, gdyby sztormy nie zelżały. Pragnął naprawić wyrządzoną szkodę, mieć szansę na przeprosiny.

W powietrzu unosiła się mżawka, niebo wciąż zasnuwały ciemne chmury. Załoga była przemoczona do suchej nitki. Walczyła z linami, podczas gdy „Bittersweet” przedzierał się przez spienione fale. O obecności zatoczki Sama świadczyła jedynie widoczna na horyzoncie szczecina drzew – przypominała niechlujną wystrzępioną brodę. Natura dobrze zakamufłowała tę kryjówkę.

– Rafa – ostrzegł Pearson. – Trzeba ją wziąć szerokim łukiem. Nie widać jej, ale tam jest.

Henderson kiwnął głową i nieznacznie zmienił kurs. W najdalszym punkcie zobaczył przycumowane łodzie wiosłowe. Kołysały się przy prowizorycznym kamiennym pomoście. Sprytne. Jedna z nich unosiła się na wodzie do góry dnem, oblepiona pąklami i obślizgłymi

wodorostami w kolorze ochry. Pomost był pusty, na brzegu też nie dało się nikogo dostrzec. Chatki słały w niebo chude smugi dymu. Mewy polatywały między kominami. Pearson rozglądał się uważnie.

– Czy nie miał na nas ktoś czekać? – zapytał Henderson.

Pearson kiwnął głową.

– Jeśli ich nie ma, to mieli dobry powód – odparł. – A jeśli nikogo tam nie ma albo nikt się nie pokaże, to coś jest nie tak.

Na horyzoncie nie widać było śladu celników, ale tylko głupiec nie posłuchałby człowieka, który zna okolice.

– Zawracamy, panie Clarkson – warknął Henderson.

Statek wolno wykonał manewr. Henderson sprawdził, czy chłopiec okrętowy trzyma się na oku w połowie masztu. Małec zasalutował, błyskając żółtawymi zębami. Jego oczy lśniły. Uwielbiał, jak coś się działo. „Bittersweet” płynął w stronę otwartej wody łukiem, tak by bezpiecznie ominąć rafę.

– Miej oczy otwarte – polecił Henderson.

– Wypłyniemy na morze, *sir* – zasugerował Sam. – Na południe. Spróbujemy jeszcze raz później. Po zmroku możemy zaryzykować rozładunek bezpośrednio w wiosce.

Henderson milczał. Przesząpił z nogi na nogę. Horyzont pozostawał czysty. Co mogło się zdarzyć, gdyby zostali złapani? Jak by to wpłynęło na pozycję pani Graham? Nagle poczuł, jakby strona się przewróciła. Poluzował wełniany szalik, który owinał wokół szyi. Zdało mu się, że to niewłaściwe, że coś jest nie tak. Ogarnął go niepokój. Jakby miał na sobie ubranie należące do kogoś obcego. Niezwykłe uczucie. Chwila oświecenia.

Chciał przekształcić swoje życie, zeniąc się, a potem zmieniając sposób postępowania. Ale dlaczego nie miałyby zrobić na odwrót? Nie musi jechać do Londynu, nim zrealizuje swoje zamiary. To, co trzeba, może zrobić natychmiast. Co za kusząca perspektywa – zejść na stały ląd jako uczciwy człowiek. Coraz bardziej oddalali się od brzegu. Zerknął w stronę drzwi do kabiny pani Graham, jak zwykle zamkniętych. Mieszanie jej w to byłoby nie na miejscu – rozumował. A gdyby zostali złapani, nie dałoby się tego uniknąć. Obserwował, jak Clarkson dyryguje ludźmi. Na Trynidadzie Maria zapytała go, czy obawia się kary śmierci. Prawda był taka, że nigdy wcześniej o tym nie myślał, ale teraz się zastanawiał, ilu członków jego załogi mogłoby zawisnąć, gdyby coś poszło nie tak.

– Panie Clarkson, gdy już wydostaniemy się z zatoki, proszę dopilnować, żeby wszyscy zjedli. Pearson też – poinstruował mata. – Potem proszę skierować się na zachód. W ten sposób nie da się nas dyskretnie śledzić. Proszę informować mnie na bieżąco.

– Tak jest, *sir*.

Sam z płonącymi oczami obserwował uwijającą się załogę. „Bittersweet” halsował w zupełnie innym kierunku, niż poradził. Odwrócił się do kapitana, żeby zaprotestować, ale jego już nie było.

– Chodź, chłopcze – Clarkson pociągnął go za ramię. – Napełnimy twój żołądek, co?

Choć raz Henderson nie zawahał się przed drzwiami kabiny. Zdecydowanie zapukał i od razu wszedł do środka. Okiennice były zamknięte, pomieszczenie wydawało się odizolowane od reszty statku, powietrze – ciężkie od sennej ciszy. Pozostałości po kolacji na stole przesuwwały się to w jedną, to w drugą stronę zgodnie z kolejnymi manewrami. Strużka rozlanego czerwonego wina ciekła po blacie. Naderwany kawałek chleba toczył się po zapomnianej kartce papieru, na której pani Graham coś zanotowała. Po drugiej stronie pokoju Maria odwróciła się pod cienkim prześcieradłem i usiadła. Jej twarz była lekko spuchnięta od snu.

– James?

Henderson zebrał się w sobie. Jeśli zamierzał się zmienić, po prostu musiał to zrobić. Zrozumiał, że to natura bycia człowiekiem. Podszedł do okna i otworzył okiennice. Pani Graham, odziana w białą batystową koszulę nocną, pośpiesznie usiłowała się okryć, narzucając szal na ramiona. Rozpuszczone włosy spięła szybko w kok i poprawiła drżącymi palcami. Nigdy wcześniej nie nachodził jej w ten sposób. Dlaczego wtargnął tak niespodziewanie?

– Gdyby dał mi pan kilka minut, *sir*... – Zdenerwowana próbowała odszyfrować jego zamiary.

– Proszę wybaczyć – rzucił Henderson, przysuwając sobie krzesło – ale nie ma na to czasu. Mówiła pani, że próbowała tego proszku kakaowego. Jaki jest?

Maria, wyprostowana niczym Brytania<sup>[46]</sup>, obrzuciła go stanowczym spojrzeniem.

– Nie tak dobry jak czekolada na statku. – Zerknęła z nadzieją w stronę drzwi. Jakby na samo wspomnienie napoju miało pojawić się śniadanie.

– Simmons powiedział, że handel kakao rozkwita. A więc kto je wytwarza, pani Graham?

Maria opadła na poduszki. Henderson czasem naprawdę wprawiał ją w konsternację. Ze wszystkich powodów, dla których mógł tutaj wpaść, ten nigdy nie przyszedłby jej do głowy.

– Kto je wytwarza? – powtórzyła. Henderson krótko skinął głową. – No cóż, manufaktur jest kilka. Wydaje mi się, że największa należy do Fryów. Ale każda apteka może wejść w ten biznes. Kwakrzy w tym celu.

– Ci religijni ludzie?

Maria wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem...

– Więc mógłbym po prostu zostawić towar w składzie celnym, sprzedać go manufakturze i zapłacić cło? – myślał głośno Henderson. Ta rewolucyjna myśl dopiero teraz zaczęła jawić mu

się jako zupełnie realna możliwość.

Na twarzy pani Graham pojawił się cienki uśmiech. Przypominał Hendersonowi widoczną nisko nad horyzontem spłaszczoną tarczę wschodzącego słońca.

– Chce pan oddać królowi to, co mu należne, kapitanie Henderson?

– Myślę, że tak. Wie pani, gdzie mają siedzibę?

– Fryowie? Sądzę, że w Bristolu. Nie jestem pewna. Ale wydaje mi się, że na paczce drażetek widziałam napis „Fry’s of Bristol”. Tak. Tak właśnie brzmiał napis.

– Ziarno jest świetnej jakości – mamrotał do siebie Henderson. – Nie ma powodu, żeby nie zapłacili rzeczywistej ceny.

– Cóż – wtrąciła pani Graham – to ludzie ducha i interesu zarazem, będą znali wartość towaru. Skądś muszą dostawać ziarno. Trasę z Bristolu do Londynu obsługuje dyliżans. Bristol Rocket. W przyszłym tygodniu byłabym na Piccadilly. Musimy być już blisko. – W jej głosie dało się słyszeć ekscytację.

– Zreformowała mnie pani, *madam*. – Henderson kiwnął jej krótko głową i wstał, szurając krzesłem po podłodze.

Ale pani Graham nie skończyła. Nie mogła tego tak zostawić.

– Tamtej nocy, Jamesie... – zaczęła.

– Proszę się nie kłopotać – przerwał bezceremonialnie. Na jej twarzy wykwitły blade rumieńce. – Nie mam zamiaru pani zawstydząć – powiedział. – Wiem, że nie cieszę się szacunkiem. Dobro i zło, szacunek i jego brak to skomplikowane sprawy. Miałem nadzieję, że wybaczy mi pani moją złożoność. Rozumiem, że nie może pani tego zrobić, i przykro mi, że panią zaniepokoiłem. – Odwrócił się.

Maria chwyciła go za rękę. Chciała się wytłumaczyć. Myślała o tym całymi dniami. Teraz zignorowała ścisnięcie serca, upokorzenie. Otaczająca Hendersona aura niepokoju oraz gorączkowości sprawiła, że w jakiś sposób łatwiej jej było mówić.

– Rzecz w tym, że cenię sobie moją reputację – oświadczyła z naciskiem. – Wszystko, o co walczyłam, zależy od szacunku, który pan uważa za tak nieistotny. Moja kariera, całe moje życie mogą zawalić się przez jedną plotkę. Nieważne, czego pan chce albo czego ja chcę, stawka jest zbyt wysoka. – Jej słowa zawisły w powietrzu.

Henderson milczał, nie zamierzał się odzywać. Nie miało to sensu. Chciał się z nią ożenić. Postawił sprawę jasno. Co mogło być bardziej godne szacunku? Skóra jej dłoni była tak miękka. Nagle nachylił się i dotknął ustami jej ust. Odwzajemniła pocałunek. Najpierw lekko, potem coraz bardziej namiętnie. Nie usłyszał pukania do drzwi. Odskoczył od niej w ostatniej chwili – gdy się otworzyły. Przerazona Maria nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, a co dopiero matowi, który zajrzał do kabiny.

- *Sir* – powiedział Clarkson. – Zauważyli nas.
- Kto? – Głos Marii brzmiał obco.
- Kuter i barka – kontynuował Clarkson.
- Już idę – odparł Henderson i odesłał mata. – Przepraszam – dodał.

Maria odgarnęła włosy za ucho. Cokolwiek spowodowało zamęt na pokładzie, ułatwiło jej sprawę.

- Nic dobrego nie przyjdzie z takiej namiętności – szepnęła. – Muszę wracać do Londynu.
- Statek gwałtownie zszedł z kursu. Kapitan zrobił kilka kroków w tył.
- Co się dzieje? – zapytała Maria, bo niemal się przewróciła.
  - Proszę się ubrać, pani Graham. – Henderson odwrócił się.

Jedyne, co mógł zrobić, to zatroszczyć się o to, żeby w razie zatrzymania statku Maria była przyzwoicie ubrana. Tak czy owak, kiedy zrozumie, w jakim znaleźli się położeniu, może mu nigdy nie wybaczyć. Musiał w jakiś sposób zażegnać kryzys. Gdy wychodził, już sięgała po szarą suknię.

Na pokładzie Henderson przyłożył do oka lunetę. Jego pole widzenia było częściowo ograniczone przez całun niskich chmur, ale i tak dało się rozpoznać statki. Wiatr burzył fale.

Kapitan przywołał Sama Pearsona.

- Czy to straż celna?
- Tak. Piraci nie podpływają tak blisko ani nie wyglądają tak nikczemnie. Lepiej, żeby mnie tutaj nie przyuważyli, *sir*. Znają większość statków handlowych działających w tych okolicach i większość załóg. Nie wiedzą, kim pan jest, ale jeśli mnie zobaczą, szybko zaskoczą. Moje włosy! Powinienem założyć jakąś czapkę!

– Pan Clarkson ukryje cię pod pokładem, Pearson. – Polecenie miało w sobie coś z rozkazu, na który chłopak odpowiedział zawadiackim salutem.

Chłopiec okrętowy zagwizdał z masztu, sygnalizując, że obce jednostki coraz bardziej się zbliżają. Największą szansę mieli na otwartych wodach.

Gdy pani Graham wyszła na pokład, jej szara suknia niemal zlewała się z niebem. Statkiem kołysało tak gwałtownie, że ledwo mogła utrzymać się na nogach. Wysoko upięte włosy w jednej chwili rozsypały się wokół ramion. Zaraz przemokła też do suchej nitki. Jej czarny woskowany parasol, nawet gdyby miała go w ręku, nie przetrwałby uderzeń wiatru. Hendersonowi przeszło przez myśl, że gdyby sytuacja nie była tak niebezpieczna, mogłaby być komiczna. Cóż on myślał, stawiając szanowaną kobietę w takiej sytuacji? Miała rację.

Sam nie zamierzał się nigdzie ukrywać. Czuł, że James Henderson nie kwapi się, by dotrzymać słowa. Statek wyraźnie zmierzał w stronę Atlantyku. Pożyczył więc czapkę od



jednego z członków załogi, aby zasłonić rudą czuprynę, i wrócił do kapitana.

– Co się dzieje? – zapytał, spoglądając spode łba.

– Nie ma powodów do obaw. Nastąpiła drobna zmiana planów – oświadczył Henderson.

– Ale... – Sam rzucił okiem w stronę wioski.

– Jeśli przetrwamy, wysadzimy cię w Bristolu. Popracujesz, to po wszystkim uczciwie się rozliczymy.

– Nic tam nie przeszmyglujecie. W porcie są celnicy i komendant. Zaraz was aresztują.

– Idź pod pokład – powiedział Henderson stanowczym głosem.

– Nie ma mowy! – zlekceważył go Pearson. – To nie w porządku! Mieliśmy umowę!

Marynarze ociągali się, ciekawi, co może się wydarzyć. Nikt nigdy nie kwestionował rozkazów kapitana. Ani na pokładzie, ani pod pokładem. To by uznano za bunt w pogodny dzień, a co dopiero, kiedy statek walczył ze sztormem i usiłował uciec przed ścigającymi go stróżami prawa. Pearson zacisnął pięści, kiedy wokół zaczął zbierać się tłum.

– Dżentelmenom się to nie spodoba – nalegał. – To ich ładunek. Nie może pan... – Henderson obrzucił go ostrym jak brzytwa spojrzeniem, ale Pearson zignorował go rozgniewany. – Jest pan zwykłym złodziejaszkiem.

– Spłacę kapitał i odsetki jako procent z zysku. Zmieniłem zdanie, Pearson. Zamierzam zrobić to, co słuszne. Zapłacę należne cło, a co do reszty, to się dogadamy. Nie masz wyboru, Pearson.

Tyle że chłopak nie miał zamiaru się podporządkować.

– To nie pana ładunek – fuknął, po czym rzucił się na Hendersona. Ten jednak zrobił unik i sam uderzył z dołu w podbródek tak mocno, że Pearson aż się zatoczył.

Czterech marynarzy zaraz podskoczyło, ale kapitan ich odwołał. Maria zastygła poruszona. Załoga tłoczyła się wokół niej i przepychała, chcąc lepiej widzieć, co się dzieje. Tymczasem Henderson uderzył Pearsona w żołądek mocno niczym tłok maszyny parowej. Chłopak wprawdzie był chudy, ale łatwo się nie poddawał. Mimo to kapitan okazał się silniejszy i niedługo hardy młodzieńiak zwałił się na deski. Henderson podniósł go na nogi i oparł o bezanmaszt.

– Nigdy nie kwestionuj mojego słowa – warknął. – Dogadamy się. Może nie tak, jak chcesz, ale sytuacja uległa zmianie. Tak bywa na morzu.

Pearson nie mógł złapać oddechu.

– Nie pójda na to – wydyszał.

Henderson wzruszył ramionami.

– Chcesz czy nie, jest jak jest. I ciesz się, że nie wyrzucam cię za burtę. Panie Clarkson,

proszę sprawdzić, czy chłopak nie ma przy sobie broni, i zamknąć go pod pokładem...

– Kiedy dżentelmeni z panem skończą, będzie pan żałować, że celnicy go nie dopadli – rzucił złowieszczo przez ramię Pearson niczym wiedźma kłątwe.

– Ktoś chce coś dodać? – Henderson zwrócił się do załogi. W końcu sytuacja się zmieniła. Nikt się nie wychylił. Nikt też nie śmiał spojrzeć kapitanowi w oczy. – To do roboty.

– Kiedy powinniśmy dotrzeć do Bristolu? – zapytała spokojnie Maria, gdy mężczyźni się rozeszli.

– Nie mogłem nic innego zrobić – powiedział z naciskiem Henderson.

Kiwnęła szybko głową. Miał rację.

– Pana oczy nabrały diabelskich błysków.

– Mario, czyżby pani ze mną flirtowała?

– Nigdy nie widziałam takiej pasji.

– Och, widziała pani – odparł, wyjmując z kieszeni lunetę.

Statek halsował na wzburzonym morzu, a pogoda zacierała za nimi ślady. Pani Graham nie przestraszyła się pogoni. Miała naprawdę stalowe nerwy.

– Utrzymać prędkość! – zawołał. – Nie popłyną za nami, jeśli nie będą nas widzieć.

– Przygotować się do wymiany ognia, *sir*? – zapytał Clarkson.

Henderson się zawahał. Popatrzył na panią Graham, jakby rozważał wyborny rocznik albo inspirujący widok. Jeśli zamierzał to zrobić, musi to zrobić teraz.

– *Sir* – ponaglił go Clarkson.

– Nie będę strzelać do urzędników Jego Królewskiej Mości – oznajmił Henderson. – Jeśli damy radę, uciekniemy im. W innym wypadku będziemy się tłumaczyć.

Mat potrzebował chwili, żeby to przetrwać. Podrapał się po brudnych włosach serdelowatymi palcami, ale nie stracił charakterystycznej jowialności.

– Tak jest, panie kapitanie – warknął i „Bittersweet” bezzwłocznie znalazł schronienie w podmuchach sztormu.

Maria opadła na beczkę. Ręce położyła skromnie na podołku. Wydawało się, że Henderson miał zadatki na dżentelmena, choć dżentelmena przedsiębiorcę. Nie byłby pierwszym, który musiał walczyć o poważanie. Brawo – pomyślała. Kiedy minął ją marynarz z uszkodzonymi palcami, rzuciła mu twarde spojrzenie. Potem zastygła, zastanawiając się, ile zajmie jej dotarcie do Londynu. Świat czekał. Musi zająć się swoimi interesami. Musi.

---

[41] Dogger Bank itch – wyprysk o charakterze kontaktowym powstający pod wpływem zetknięcia się skóry z korałem

---

ośmiopromiennym *Alcyonidium hirsutum*.

[42] Selkirk bannock – pieczony na blasze wilgotny maślany placek z mąki pszennej z dużą ilością rodzynek, nazwany na cześć szkockiego miasteczka, w którym był tradycyjnie wyrabiany.

[43] Caninha – destylat z fermentowanego soku z trzciny cukrowej z zawartością alkoholu na poziomie 38–68%; jest bezbarwny lub delikatnie żółty (zabarwiony karmelem).

[44] Whitechapel – potoczna nazwa londyńskiego kościoła Świętej Marii Chabrowej, wzniesionego w miejscu dzisiejszego Altab Ali Park na przełomie XIII i XIV wieku, kilkakrotnie przebudowywanego i ostatecznie zniszczonego podczas drugiej wojny światowej.

[45] Genever (*genièvre*) – tradycyjny w Holandii i Flandrii gęsty gin z melasy i szyszkojagód jałowca pospolitego.

[46] Brytania – postać kobieca, personifikacja Wielkiej Brytanii; od czasów rzymskich przedstawiana jako dumnie wyprostowana bogini uzbrojona w trójząb i tarczę, z korynckim hełmem na głowie.

## DOKI W BRISTOLU, DWA DNI PÓŹNIEJ

Zwinne palce Richarda Frya zawsze wiernie mu służyły, choć nie, jeśli chodziło o panie, ponieważ podboje młodzieńca były dość niewinne. Owszem, gdy nadarzyła się okazja, nie wahał się skraść buziaka, ale do tej pory nie musiał pokonywać takiej przeszkody jak gorset. Wszyscy synowie Josepha Frya, właściciela fabryki czekolady, żyli w czystości do ślubu. Gorącokrwisty siedemnastoletni byczek, najmłodszy z trójki, nie zamierzał sprzeciwiać się rodzicom, choć oczywiście czasem jego uwagę zaprzętały apetyczne krągłości Mary Hewson – zatrudnionej w fabryce urodziwej pulchnawej blondynki o różanych policzkach. Jak wszyscy w manufakturze była dobrze odżywiona. Fryowie dbali o swoich pracowników, wiele osób nie traktowało tak nawet swoich osobistych służących, o czym świadczyła nagłośniona przez gazety sprawa dziewczyny pracującej w jednej z angielskich rezydencji. Zmarła we własnym łóżku – z głodu. Lekarz rodziny zdecydował się ujawnić ten szokujący i wstydlivy fakt ku przestrodze. Pani Fry zachęcała synów do modlitwy za duszę tej biednej istoty. To właśnie po tym „wypadku” wprowadzono ogólnokrajowy przepis, że w pomieszczeniach dla służby muszą być podawane ciasto i żółty ser. Jaśniepaństwo skontrolowali swoich wymizerowanych podwładnych i nieznacznie dostosowali domowe budżety oraz listy zakupów. Na tej historii skorzystała fabryka – sprzedaż czekolady była wyższa niż zwykle o tej porze roku. Mimo to Fryowie bez cienia fałszu mogli powiedzieć, że woleliby, żeby biedna służąca przeżyła.

Richard lubował się w tego typu historiach o ubóstwie i okrucieństwie z powodów, które dla jego rodziców nie były oczywiste. Wychowywany w umiarkowaniu i powściągliwości, w bezpiecznym i wygodnym domu klasy średniej, wydawał się podobny do swoich braci, choć pani Fry zauważyła, że ma inklinacje do ociągania się – zawsze ostatni kończył kolację i najwolniej się ubierał. Pani Fry obawiała się, że jej najmłodsza latorośl czerpie ze wszystkiego zbyt wiele przyjemności. I choć trudno dopatrzeć się grzechu w zwlekaniu, to przeszło jej to przez myśl.

Nieco bardziej spostrzegawczy pan Fry uważał, że Richard przypomina szczeniaka, którego nie można spuścić ze smyczy. Nie miał pojęcia, co jego syn mógłby robić w przyszłości, ale z niecierpliwością chciał się tego dowiedzieć. W głębi serca żywił nadzieję, że Richard okaże się

odkrywca, choć to zatrwożyłoby panią Fry, która nie spuszczała oka ze swoich potomków – „karmionych butelką piasek salonowych”. Pan Fry podejrzewał, że chłopak potrzebuje przestrzeni, czegoś, co go uformuje. Postanowił rozważyć to dokładniej i znaleźć coś odpowiedniego.

Nie miał pojęcia, że Richard wyprzedził ojca i już prowadził potajemne życie. Gdyby Joseph Fry domyślił się, gdzie chłopak naprawdę spędza czas, byłby przerażony. Nabrzeże Bristolu mieściło długi szereg składów celnych i magazynów oraz innych biznesów, które rozpleniły się wzdłuż wody. Richard lubił ocierać się o – jak to nazywał – „prawdziwe życie”, przebywać wśród ludzi egzystujących w skrajnej nędzy, którzy stanowili połowę populacji wspaniałego brytyjskiego narodu. Regularnie wypuszczał się badać portowy światek przestępczy i – w rzeczy samej – uczyć się go.

Odpowiednie ubrania kupił w lombardzie. Wtarł w siebie brud, zmierzwił włosy, dodając trochę gęsiego tłuszczu, który ukradł z garnka w spiżarni, żeby dobrze utrzymane loki zwisały w smętnych strąkach, tak jak u żebraka nieznającego glicerynowego mydła pani Fry i oczyszczającego efektu ciepłej wody. I tak wyruszał dzień za dniem. A im bardziej był brudny, tym łatwiej było mu penetrować intrygujące zakątki i alejki oraz ślepe uliczki i zaplecza, gdzie oddawano się grze w kości. Nauczył się wtapiać w tłum. Obserwował tawerniane dziwki, wychudzone dzieci grzebiące w odpadkach i nieczystościach z pobliskich domów, łowiące rozpaczliwie przy śmierdzących pomostach pontonowych. Przywykł do zatłoczonych szynków. Do robotników wylewających się z nich drzwiami i oknami niczym jełczejące mięso na kiełbasę. Rozkoszował się rozpaczą, desperacją. Szybko zrobił kilka dodatkowych dziur w spodniach – na początku nie był wystarczająco obszarpany. Mieszkając w porządnym gospodarstwie Fryów, łatwo było zmniejszyć dotkliwość ubóstwa.

Kiedy po raz pierwszy spróbował alkoholu, zwymiotował, ale niebawem się przekonał, że można przyzwyczać się do wszystkiego. Po zaledwie tygodniu czy dwóch bez problemu znosił smród przelewających się skórzanych zbiorników na siki i mimo wyziewów mógł wsunąć solidne śniadanie robotnika. W rzeczywistości wracał tu na tyle często, że nie wyróżniał się spośród garbarzy, oberżystów, łapserdaków, dziewcząt sprzedających kradzioną tabakę i bimber, a w brudnych pokoikach nad rzeką – swoje wdzięki. Ale przede wszystkim Richard nauczył się ryzykować, i to ekscytowało go bardziej niż co innego. Na dnie tej kupy śmieci każde życie traktowano jako zakład. W przeciwieństwie do matki czy braci Richard nie był reformatorem. Nie odkrywał występków, aby im zadośćuczynić. Albo z chęci niesienia pomocy. Nie, intencje innych stanowiły dla niego intrygującą zagadkę, którą trzeba rozwiązać. Na tym zasadzała się gra. Na tym zasadzał się zysk. Richard wolał wygrywać, niż ewangelizować. Szukanie wiedzy interesowało go znacznie bardziej niż wykorzystywanie jej do czynienia dobra.

Chłopak nauczył się wiele o zręczności ręki i umiejętności odwracania uwagi od benklarzy nakłaniających w dokach do gry w trzy karty. Hazard w rodzinie Fryów uchodził za grzech i był tak samo stanowczo potępiany jak opilstwo. W wyniku swoich obserwacji Richard wyróżnił dwa typy hazardzistów: obstawiających dla rozrywki („Znajdź damę. Zagramy dla zabawy, co?”) i na poważnie (ci oddawali się prywatnym grom ze stawkami nawet wysokości szylinga). Kiedy pierwszy raz usiadł przy stoliku – choć o ile dobrze pamiętał, była to pokrywa zwykłej beczki – nie mógł być szczęśliwszy, niż gdyby obstawił dziesięć gwinei w jednym z modnych klubów przy Strand<sup>[47]</sup>. Tutaj jego nazwisko nic nie znaczyło. Musiał sam dowieść swojej wartości. I to robił. Kiedy trzeba, walczył. Nie były to bokserskie mecze czy dżentelmeńskie pojedynki szermiercze, ale śmiertelne, szalone nawalanki, straceńcze szarpaniny w brudzie, nierzadko zakończone stoczeniem się wciąż mocujących się przeciwników do śmierdzącej wody. „Lepiej umrzeć, niż przegrać” – tak brzmiała mantra pariasów, którzy mogą w każdej chwili spotkać Stwórcę. Richard nosił swoje siniaki z dumą, choć w domu musiał mówić, że to kontuzje sportowe – efekt zapasów albo upadku podczas jazdy konnej. Kiedy dostał nożem, sam się opatrzył i leczył. Pokiereszowany zwinnopalcy Richard Fry odnalazł satysfakcję. Urodził się jako dżentelmen, ale potrafił się poruszać między obdartusami i desperatami. Rozumiał, jak co działa. Mógł wygrać.

W rzeczywistości wcale nie różniło się to tak bardzo od nieczystych zagrywek w kakaowym biznesie. Podstęp stanowił nieodłączny element produkcji czekolady, choć kwakrzy się do tego nie przyznawali. Stary pan Fry, jak wielu jego rywali, zatrudniał gości, których nie chciał nazywać szpiegami, a których zadaniem było nawiązywanie przyjacielskich relacji z pracownikami konkurencyjnych manufaktur i wyciąganie z nich receptur na wytwarzane tam najpopularniejsze drażetki, galaretki oraz wyroby czekoladowe. Kulinarni renegaci byli sownie opłacani, ale wymagali perswazji. Fryowie cieszyli się reputacją innowatorów. Ich historia pełna była smakowitych, nowoczesnych, a zarazem wyrafinowanych produktów. Dziadek Richarda wprowadził do fabryki silnik parowy, najpierw w swojej aptece, później w fabryce. Mechanizacja znacząco przyśpieszyła mielenie ziaren i produkcję ich najpopularniejszego do tej pory produktu – Fry’s Finest Cocoa. Wielu aptekarzy wytwarzających kakao na zapleczu swoich lokali oddałoby prawą dłoń za możliwość poznania tajemnic kuchni na trzecim piętrze fabryki Fryów. Pilnie strzeżone pomieszczenie znajdowało się pod skrzydłami Francisa, flegmatycznego i powściągliwego średniego brata, który miał niezwykły talent do wyciągania najgłębszych sekretów i w związku z tym zawiadywał również siatką informatorów. Udało mu się nawet przechytrzyć Meniera<sup>[48]</sup> w Paryżu i rodzinę Rowntree<sup>[49]</sup>, która niedawno zaczęła działać dalej na północ. Nie na darmo przedsiębiorstwo Fryów uchodziło za najpotężniejsze i odnoszące największe sukcesy w Anglii, a że Richard miał wyjątkowo dociekliwy umysł, mogło to dobrze

wróżyć jego przyszłości w czekoladowym biznesie, gdyby tylko zechciał skierować swoją ciekawość w tę stronę.

W dniu, w którym „Bittersweet” zawinął do portu w Bristolu, Richard wymknął się z domu po południu. Grał w kości przez niemal godzinę, aż stolik wysechł. Potem udał się w stronę doków, gdzie w jednej z beczek ukrył swój strój dżentelmena. Choć lubił rubaszne rozrywki, jakie oferowała po zmroku „zepsuta” dzielnica Bristolu, tym razem nie mógł się nimi cieszyć. Tego wieczora Fryowie mieli uczestniczyć w przyjęciu z recitalem fortepianowym. Poczł dreszcz emocji. Gdyby tylko szanowni goście wiedzieli, jakim zabawom oddawał się tego popołudnia, byłiby zszokowani. Na szczęście zostawił sobie sporo czasu – będzie musiał naprawdę porządnie się wyszorować, żeby przed kolacją usunąć smród ubóstwa.

Richard rażno skręcił w znajomą uliczkę. Naprzeciw niego w zwartej grupie szło trzech dokerów. Spiał się, gotowy stanąć do walki, ale mężczyźni minęli go obojętnie. Ich angielski zaprawiony był szczyptą języka gaelickiego. Skoncentrowany na swoim schowku, nie rozglądał się wokół i wpadł na kogoś. Instynktownie podniósł zaciśnięte w pięść dłonie i warknął:

– Uważaj, jak chodzisz, koleś. – Jego akcent w niczym nie przypominał wzorcowej wymowy dżentelmena, który regularnie czytuje Homera i dyskutuje z rodziną na temat niuansów Biblii.

Mężczyzna spojrział w górę i przez ułamek sekundy mogło się zrobić nieciekawie, ale nagle w jego głowie zapaliła się lampka. Oczy się rozjaśniły.

– Richard? Co ty tu robisz tak przebrany? – zapytał Francis młodszego brata.

– A ty co tu robisz? – odparował Richard.

– Zawinął statek z nową dostawą kakao – odparł Francis. – Dawno nie widziałem ziaren tak dobrej jakości. Celnik dał mi cynk, więc przyszedłem zerknąć na nie ukradkiem. Richardzie, jesteś potwornie brudny.

Oczy Richarda płonęły. Przez tyle lat nikt go nigdy nie nakrył. Tylko raz musiał się ratować skokiem za beczkę na deszczówkę, kiedy zobaczył nadjeżdżający powóz ojca.

– Jakie ziarna? – zapytał, bo jeśli chciało się odwrócić uwagę członka rodziny Fryów, najlepiej było zadać pytanie związane z czekoladą.

– Jest nawet trochę dzikich. – Na ustach Francisza pojawił się szeroki uśmiech. – Głównie brazylijskie *criollo*<sup>[50]</sup>. Statek przyplłynął z Natalu. Dzięki Bogu przybił tutaj, a nie popłynął do Londynu. Nie widziałem go wcześniej, taka zapyziała stara krypa. Ale kapitan wie, co robi. To dar z niebios. Ostatnio mieliśmy zdecydowanie za dużo *forastero*<sup>[51]</sup>. Jeśli uda nam się dobić targu, pozbędziemy się problemu. – Ze względu na wojnę statki z Brazylii zawijały dość nieregularnie, a większość ziaren pochodziła z Trynidadu i trudno było trafić na towar z najwyższej półki. – Kapitan oczywiście pytał o nas – kontynuował Francis. – To było pierwsze, co powiedział. Celnik opóźnił kontrolę do jutra, więc pomyślałem, że zakradnę się i zobaczę co

i jak. Ojciec będzie zachwycony. Ale co ty tutaj robisz, chłopcze?

Richard wzruszył ramionami. Czuł się jak dzieciak przyłapany o północy w spiżarni, ze śladami dżemu na buzi.

– Sumienie człowieka to jego prywatna sprawa – zaintonował rodzinne motto.

Francis zachichotał.

– To prawda, ale jego toaleta to już sprawa wszystkich wokół. – Objął młodszego brata. – Pójdę z tobą – zaproponował. – Jeśli matka zobaczy cię w takim stanie, zemdleje.



Henderson zastanawiał się, czy jego ojciec nie chciał wieść życia szanowanego plantatora, ale skomplikowane procedury związane z załatwianiem morskich listów przewozowych niezbędnych do opłacenia cła sprowadziły go na złą drogę. Siedział w biurze składu celnego od przynajmniej godziny. Wszelki postęp w sprawie hamował stan upojenia urzędnika. Henderson słuchał starego grubego pijanicy tylko dlatego, że mówił o Fryach. Wydawał się zauroczony całą rodziną.

– Bardzo hojni – bełkotał, wycierając spuchnięty czerwony nos. – Stary pan Fry był bardzo wielkoduszny po śmierci mojej żony. Są bardzo sprawiedliwi, nie mają uprzedzeń, tak, tak. Fryowie. Chłopcy i cała reszta.

Mimo to nie chciał spekulować, jak znamienity wytwórca czekolady może potraktować transport kilku ton brazylijskich ziaren kakaowca. Powtarzał tylko, że pan Fry to szczerą persona – po prostu „fsaniały” w przypadku kryzysu, ale ładunek obejrzy najwcześniej jutro.

To już trwało za długo. Maria zaczęła się pakować, kiedy Henderson opuścił statek, poza tym musiał wziąć pod uwagę swoich ludzi. Załoga „Bittersweet” zaczynała się niecierpliwić.

– *Sir* – powiedział – czy mogę jakoś skłonić pana...

Urzędnik czknął głośno.

– Oj – stęknął i czknął jeszcze raz.

– Robi się późno, *sir*, chciałbym móc zwolnić załogę – zaapelował Henderson mocno już zirytowany. – Poza tym mam inne obowiązki...

– Widziałem jednego z pana ludzi. – Spojrzenie celnika nagle stwardniało. – Wyrzywał ze statku jak strzała. Jak tak dalej pójdzie, po powrocie może pan nie zastać nikogo na pokładzie.

Henderson zawahał się. Urzędnik mówił o Samie Pearsonie, którego gniew nie osłabł przez resztę podróży. Nie miał zamiaru wyjaśniać zachowania chłopaka, ale skoro jego ucieczka została zauważona, musiał coś powiedzieć. Taki brak zdyscyplinowania źle o nim świadczył. Nie pokazując nic po sobie, zablefował jak podczas gry w karty. Oznajmił spokojnie:



– To pasażer. Sądzę, że chciał jak najszybciej zająć się swoimi interesami. Jak my wszyscy, *sir*...

Grube paluchy pijaka niezdarnie porządkowały papiery, jakby te były zrobione z pasków skóry. Odór zleżałego alkoholu zalegał nad nimi ciężką chmurą. Henderson wyciągnął szyję, żeby zerknąć w stronę statku przez zapuszczone okno ze skrzydłami na zawiasach. Popołudniowe niebo było szare. Wisiało nad miastem niczym pewterowy dach. Teraz, kiedy Henderson zawinął do portu, zaczął się denerwować – nie tym prostakiem, ale tym, co mogło się zdarzyć. Zasady uczciwego handlu nie były mu znane, a jednak musiał do nich przywyknąć. Oszacował minimalną cenę za ziarno, ale nie miał pojęcia, czy była realistyczna. Cło na czekoladę, podobnie jak na inne towary luksusowe, wyznaczono wysokie. Należało wziąć to pod uwagę. Różne towary miały różną wartość w różnych portach. Dobra cena w Nowym Jorku mogła w Bristolu uchodzić za zaledwie przeciętną i *vice versa*. Pocięszło go, że Will z wielkim ukontentowaniem wyrażał się na temat wartości ziaren na brytyjskich wodach. Mimo to Henderson musiał zachować czujność, ustalając najlepszą cenę i próbując ją osiągnąć. Zanim Sam wściekł się, nabzdyczył i zamilkł na dobre, przysięgał, że dżentelmeni, dla których pracuje, są rozsądni, co dawało pewną nadzieję. A celnik wyraźnie podziwiał zalety pana Frya, co znowu dobrze rokowało. Ale czy wszystko się uda? Rzecz w tym, że przemysł pozwala na dużą swobodę. Henderson był przyzwyczajony do czystego i wysokiego zysku. Teraz musiał oszacować, jak opłacenie cła i interesy z uczciwymi biznesmenami mogą na to wpłynąć.

Urzędnik sięgnął po mały mosiężny stempel na sznurku, zanurzył go w tuszu i odcisnął pieczętkę na każdym z dokumentów Hendersona. Potem podał mu plik papierów.

– Dobrego dnia, *sir*.

Załoga czekała. Pokład był uporządkowany. Clarkson zaczął uzupełniać zapasy. Mimo perspektywy zjedzenia świeżego mięsa wszyscy byli wyraźnie zniecierpliwieni, niczym charty, które lada moment mają zostać spuszczone ze smyczy, szczerzące zęby i napinające mięśnie. Jutro Duży Al Thatcher będzie miał, co robić. Jego ludzie regularnie wdawali się w bójki, więc było pewne, że niejeden wróci pokiereszowany. Albo z syfilisem. Henderson podniósł dokumenty.

– Zmiatajcie stąd! – zawołał.

Mężczyźni zawiwatowali i pośpiesznie zeszli na ląd. Tej nocy na „Bittersweet” zostanie tylko kilku pechowców wybranych w drodze losowania.

Henderson spacerował po pokładzie, spoglądając na trzymane w ręku pisma. Cóż, teraz jest już za późno – pomyślał. Oto jest, uczciwy handlowiec, którego los leży w rękach nieznanego mu pana Frya. Schował papiery do kieszeni i skoncentrował uwagę na ważniejszej sprawie. Dwóch pełniących służbę marynarzy wytaszczyło na pokład kufer pani Graham. Opuszczała go.

Stanął w drzwiach kabiny i obserwował, jak obejmuje zalanego łzami chłopca okrętowego, a potem daje mu trzy oprawione w skórę książki, które wcześniej odłożyła na bok. Warte były jego roczne wynagrodzenie.

– Musisz ćwiczyć czytanie – upomniała go łagodnie.

– Obiecuję – wyszeptał malec.

– Masz. – Wcisnęła mu do ręki kilka monet. – Bardzo dobrze się mną opiekowałeś.

Dziękuję.

Henderson zapukał we framugę drzwi. Chłopiec puścił spódnicę pani Graham i wymknął się na korytarz.

– Proszę – powiedziała, narzucając na ramiona ciemną wełnianą pelerynę.

Rzeczy osobiste Hendersona wróciły do kabiny. Leżały smutno pod jedną ze ścian.

– Miałem nadzieję, że zjemy razem kolację. Że zaczeka pani na mnie, aż sprzedam towar, i sprawi mi radość, opływając ze mną Anglię i żeglując w górę Tamizy – rzucił.

Maria spuściła wzrok. Miała wiele do zrobienia, choć wcale nie odczuwała ku temu większej ochoty. Ta podróż jej ciążyła – zdawała się uosabiać męczące, dokuczliwe rzeczy, które powinny stanowić przyjemność. Pragnęła powiedzieć mu, że chciałyby, żeby wszystko potoczyło się inaczej, ale w ten sposób zainicjowałyby rozmowę, na którą absolutnie nie mogła sobie pozwolić. Kiedy podszedł bliżej, odsunęła się, wyciągając przed siebie ręce.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie możemy...

– Mario, czy to dlatego, że panią pocałowałem? – Pytanie cięło niczym nóż.

Henderson nie mógł przestać o tym myśleć. W jej oczach zobaczył panikę. Nie było w nich śladu dziewczyny, która szybowała po niebie z rybitwami.

– Czekają na mnie w Londynie. Szybciej będzie, jak złapię dylizans. Mam zobowiązania wobec księżniczki i czołowego londyńskiego wydawcy.

Nie było sensu się spierać, ale mimo wszystko postanowił spróbować.

– Jestem pewien, że coś pani do mnie czuje, Mario. Mógłbym się o to nawet założyć. Moja oferta jest nadal aktualna.

Maria napięła i rozluźniła kostki pod spódnicą.

– Nie mogę i nie zrobię tego, *sir*. Stawka jest zbyt wysoka.

Tym razem Henderson spuścił wzrok. Zmusił ją do zaokrętowania się na jego statku i właściwie porwał ją, żeby została. Ale miała pełne prawo do podejmowania własnych decyzji.

– Powinniśmy zostać przyjaciółmi, *sir* – powiedziała. – Liczę na to.

– Zorganizuję powóz. Czy mogę towarzyszyć pani do postoju dylizansów?

Kiwnęła głową.

– Bardzo proszę.

Mżyło. W powietrzu czuło się przyjemny chłód. Gdy Maria po raz pierwszy od kilku tygodni zeszła na suchy ląd, zasnute chmurami niebo nieco pojaśniało. Kufer i trzy skórzane torby zniesiono za nią. Być może umiarkowanie ciepły klimat i angielska ziemia sprawią, że bardziej poczuje się sobą. Minęło sporo czasu. Rozkoszowała się orzeźwiająca pogodą.

– Marzyłam o tym w dżungli, a teraz wydaje się to takie dziwne.

Odetchnęła głęboko i poczuła charakterystyczny aromat dobiegający z usytuowanej w pobliżu fabryki Fryów. Czasem ludzie spacerowali po ulicach okalających wysoki budynek tylko po to, by ponapawać się bogatą egzotyczną wonią wydzielaną przez ziarna kakaowca, nim zostały schłodzone i odesłane do przebrania. Wielu uważało ten zapach za nawet bardziej kuszący niż aromat pieczonego chleba.

Henderson pomógł wsiąść pani Graham do powozu. Woźnica miał na twarzy wstrętą ropiejącą ranę. Kiedy się uśmiechnął, zdawało się, że to jakiś upiorny przemieszczający się otwór prowadzący do wnętrza jego ciała. Kapitan usiłował to zignorować. Czy o tej porze roku w Anglii zawsze panowała taka pogoda? Nie pamiętał.

– Postój dyliżansów – zarządził, siadając naprzeciw pani Graham.

Centrum Bristolu znajdowało się niedaleko portu. Początkowo jechali przez ulice z cegły, aż minęli przyjemny skwerek z wapienia portlandzkiego, choć również dobrze mógł to być zwykły gips. Niektóre domy wyglądały tak okazale, jak rezydencje w Bath, a przynajmniej tak jak na przedstawiających je szkicach. Wzdłuż alei ciągnął się szereg sklepów z markizami nad drzwiami. Woźnica wykrzykiwał nazwy mijanych obiektów.

– Giełda kukurydzy! – zawołał śpiewnie. – Zbliżamy się do teatru<sup>[52]</sup>.

Maria zauważyła, że musi się powstrzymać, aby nie obserwować wszystkiego tak, jakby miała zdać relację ze swojego przyjazdu – opisać ciąg pierwszych wrażeń z tego na przemian wspaniałego i zapyziałego prowincjonalnego miasteczka i dla koloru sportretować zdeformowanego wozaka. Jestem w Anglii – upomniała samą siebie. – Wszyscy wiedzą, jak tu jest.

– King Street. Bardzo znana – oznajmił woźnica, ale nie wyjaśnił dlaczego.

Postój dyliżansów znajdował się przed zajazdem niedaleko teatru. Niestety, okazało się, że tego dnia dyliżans już odjechał. Brukowany dziedziniec bardziej pasowałby do wiejskiego obejścia – co za szok po wyrafinowanych rezydencjach, które chwilę wcześniej mijali. Stadko kurczaków dziobało w błotnistej ziemi, omijając szerokie kopyta srokatego konia pociągowego. Przy drzwiach dwóch mężczyzn targowało się o beczułkę rumu – dostarczoną bez zapowiedzi. Maria rozprostowała ramiona. Ten ruch przyciągnął uwagę jednego z mężczyzn. Podniósł rękę, by wstrzymać rozmowę, po czym wraz z kompanem zlustrował uważnym spojrzeniem dobrze

przyodziających potencjalnych klientów, którzy dopytywali się o podróż do Londynu.

– Dylizans już odjechał. Zawsze odjeżdża o czwartej po południu, *madam*. – Mężczyzna mówił z tak ciężkim akcentem z Devonu lub Kornwalii, że Henderson i Maria musieli się dobrze skupić, by go zrozumieć. – Codziennie z wyjątkiem niedzieli, oczywiście.

Henderson wydał usta. Facet nie rozpoznałby godziny czwartej, nawet gdyby wskazówki zegara dźgnęły go w twarz. Rozkłady jazdy pełniły funkcję wyłącznie orientacyjną. Dylizanse ruszały wtedy, gdy były gotowe do odjazdu albo pełne. Tak czy owak, nie dało się nic zrobić.

Maria zjrzała do zajazdu. Nie miała zastrzeżeń. Panował porządek, z kuchni roznosił się smakowity zapach pieczeni, a klienci wyglądali względnie przyzwoicie – nie zauważyła zalanych w trupa pijaków ani prostytutek, a przynajmniej takich, które łatwo zidentyfikować. Wróciła do powozu, aby przypilnować rozładowania bagażu, dała woźnicy napiwek, starając się nie gapić na jego zeszpeconą twarz, a potem upewniła się, że wszystkie jej rzeczy znalazły się pod opieką gońca – muskularnego czternastolatka w czystym, choć nieco postrzępionym ubraniu.

– Wynajmę pokój – odezwała się do mężczyzny w progu – a jutro spróbuję wykupić miejsce. – Mówiła wolno, żeby jej słowa zapadły mu w pamięć. – Dylizans odjeżdża jutro, prawda?

– Tak, proszę pani – odparł mężczyzna, kiwnąwszy głową. – O czwartej. Mamy przyjemny pokój, jeśli pani pozwoli. Zatrzymywały się już u nas znane damy. Każę zanieść bagaże na górę, dobrze? A jeśli chce pani zarezerwować łóżę w teatrze na wieczór, proszę dać znać.

Henderson przygryzł wargę. Pani Graham mogła wrócić na „Bittersweet”, ale wolała trzymać go na dystans. Ponownie ogarnęło go uczucie paniki, którego doznał na zakurzonych ulicach Natalu, kiedy obawiał się, że może już więcej nie zamienić z nią słowa. Tymczasem chmury rozeszły się i zaświeciło słońce. Sprawy nabrały tempa, kiedy na dziedziniec wyszła urodziwa służąca, a chłopak zajmujący się jednym z koni, chcąc się przed nią popisać, rzucił się do roboty.

Maria odwróciła się.

– Chciałabym się przejść. Minęło sporo czasu, a widziałam niedaleko park. Mamy ładną pogodę, choć jest nieco pochmurno. Czy zechce mi pan towarzyszyć, kapitanie? Może, jeśli nie proszę o zbyt wiele, zechciałby pan zjeść też ze mną kolację?

Twarz Hendersona rozjaśniła się w uśmiechu. Zawsze to coś. Ukłonił się i wyciągnął ramię.

– Czas na przechadzkę – zadeklarował.

Maria roześmiała się.

– Cóż, choć „Bittersweet” to wspaniały statek, a widoki były niezrównane, to musi pan przyznać, że przechadzka wzdłuż pokładu zajmuje dwie minuty, a wszerej mniej niż jedną. Trudno porządnie rozprostować nogi.

Henderson pokiwał głową.

Spacerowanie po południu albo wczesnym wieczorem nie było w Bristolu powszechnym zwyczajem. Takie praktyki, w przypadku niesprzyjającej aury po prostu nieprzyjemne, uważano za dość niebezpieczną manierę rodem z Kontynentu. Na szczęście wcześniej tylko trochę siąpiło. Po zimowych mrozach i kwietniowych sztormach późnowiosenna aura była przez bristolczyków mile widziana, lecz według osób powracających z tropików przebijające się przez chmury blade promienie nie dawały wiele ciepła. Mimo to kilkoro dam i dżentelmenów przechadzało się po parku pod parasolami. W porównaniu z Jamesem Hendersonem czy Marią Graham wszyscy wokół wydawali się jednakowo kredowobiali, ale przebywając na pokładzie statku, nie da się uniknąć słońca. I choć cera kapitana w Natalu mogła uchodzić za bladą, tutaj nikt nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z obieżyświatem. Dwie kobiety sunące po drugiej stronie trawnika z wbitym w niebo nieobecny spojrzeniem przypominały duchy – stwierdził Henderson. Ponad drzewami wznosiły się balkony i tarasy domów, jakby budynki starały się stanąć na palcach, aby móc obserwować park. Z bocznej uliczki często dobiegało dzwonienie. Brzęk dzwonka u drzwi pasmanterii rozlegał się, ilekroć klientka wchodziła do sklepiku lub z niego wychodziła. Park rozkwitał. Wszędzie zieleniły się młode liście, a wzdłuż ogrodzenia dumnie stały świeżo posadzone jesiony. Kościelne dzwony wybiły szóstą, zapraszając wiernych na wieczorne nabożeństwo.

– Aż mam ochotę zerwać się do biegu – powiedziała Maria. – Tyle tu przestrzeni...

– Ale oczywiście nie zrobi pani tego – odparł Henderson z uśmiechem. – To byłoby niegodne damy.

Maria położyła dłoń na jego ramieniu.

– Oczywiście.

– Czy w towarzystwie nikt nigdy nie robi tego, na co ma ochotę?

Maria przewróciła oczami. Miała nadzieję, że kapitan nie okaże się nieznośny. Nie tylko dlatego, że trudno jej było mu się oprzeć. Z dała od „Bittersweet” przychodziło jej to łatwiej. I miała nadzieję, że w Londynie będzie jeszcze prościej. Dla niej ważne było, aby wszystko wróciło do normy.

– To ja chcę dostarczyć manuskrypty. To ja chcę zebrać materiały dla mojej podopiecznej. Kiedy dotrę do Londynu...

– To papierowe życzenia. Nieistotne. Chwilowe. Nie mogą pani motywować, Mario.

Zignorowała go.

– Zobaczę starych przyjaciół. Zostanę serdecznie przyjęta przez starych przyjaciół – powiedziała z naciskiem. – Mam nadzieję, że w gazetach znajdę wieści na temat wojny. Kiedy odpływaliśmy, lord Cochrane był bliski zwycięstwa. Ufam, że mu się udało. To nie są papierowe życzenia, Jamesie. Są ważne. To praca całego naszego narodu.

– Będzie mi pani brakowało. Pani, jak sądzę, też będzie za mną tęsknić. Jesteśmy ludźmi z krwi i kości, a nie jakąś spuścizną.

– Jest pan bardzo pewny siebie, *sir*.

– Nieprawda. Jestem na wpół przerażony. Mam dokumenty przewozowe, Mario. Mam obowiązki fiskalne. Muszę generować zyski. A mimo to będę za panią tęsknić. Codziennie. I wiem, że pani będzie czuć to samo.

– Powinien pan znaleźć sobie inny obiekt uczuć, *sir*. Odpowiedniejszy niż niemłoda już wdowa.

– Damę, która nie dba o moją pozycję?

– Pana pozycja się zmienia, nieprawdaż? Proszę, rozstańmy się jako przyjaciele...

Henderson pokiwał głową.

– Przyjaciele – powtórzył, ale w jego głosie nie dało się słyszeć ostrości.

A potem bez ostrzeżenia objął ją w pasie i powalcował wzdłuż ścieżki.

Jej serce szalało. Opuściła głowę i dotknęła jego ramienia. W jakiś sposób dało jej to siłę. Ludzie z początku gapili się na tę pełną energii demonstrację, ale wkrótce wrócili do przerwanych konwersacji. Maria nie potrafiła go za to zbesztać. Ani mieć mu tego za złe. Czasami żałowała, że nie może się zachowywać bardziej jak mężczyzna.

– Doprawdy – zdołała wydukać.

Henderson puścił jej rękę i patrząc w oczy, ukłonił się.

– Proszę o wybaczenie.

– Nie może pan wciąż robić, co tylko przyjdzie panu do głowy, a potem po prostu mówić „przepraszam”, Jamesie. Doprawdy, czy w koloniach nie nauczyli pana niczego o manierach?

Skręcili w stronę zajazdu. Jej palce drżały niczym skrzydełka zagubionych motyli. Zastanawiała się, czy dobrym pomysłem było zaproszenie go na kolację. Mimo świeżego powietrza czuła się oszołomiona. Musiała skoncentrować się na manuskryptach w torbach i zakupach dla cesarzowej. Była przyzwyczajona do rozstań, ale to okazało się wyjątkowo trudne. Na szczęście Henderson nie wywierał na niej presji.

– Podejrzewam, że podadzą jagnięcinę. To idealna pora roku na angielską jagnięcinę. Powinniśmy też znaleźć tu przyzwoite francuskie czerwone wino. Wybrzeże jest w niewielkiej odległości. Nikt nie robi takich sosów pieczeniowych jak Anglicy. Nie myślałem o tym, ale może będzie prawdziwy angielski pudding. Z syropem z melasy.

Na ustach Marii pojawił się chytry uśmiezek. Musi być po prostu ostrożna i trzymać uczucia na wodzy. W razie czego jedzenie odwróci uwagę.

– Pani Maria Graham zaprasza pana na bardzo angielską kolację, *sir*. – Dygnęła.

– Przepraszam... – odezwał się ktoś zza ich pleców kategorycznym tonem.

Kiedy się obejrżeli, ukłonił się im starszy dżentelmen w bladym surducie. Za nim na ścieżce stało dwóch młodych mężczyzn. Młodszy z nich wydawał się nazbyt różowy, wystające spod cylindra włosy miał jeszcze wilgotne. Starszy emanował niewymuszoną swobodą. Dżentelmen uśmiechnął się.

– Przepraszam, *madam*. Czy powiedziała pani „Maria Graham”?

– Tak.

– Tutaj, w Bristolu?

– Tak.

– Ta erudytką?

Maria pokiwała głową.

Dżentelmen się rozjaśnił.

– Och, błagam, proszę mi zdradzić, gdzie ją znaleźć? Bardzo chciałbym ją poznać. Jestem jej wielbicielem.

Maria wyprostowała się.

– To ja – oznajmiła.

Mężczyzna spojrział na nią zmieszany. Jego zwinne palce, jakby niesione podmuchami wieczornej bryzy, bawiły się srebrną główką laski.

– Pani Maria Graham, autorka? – zaryzykował, jakby to nie było możliwe.

– Tak.

Kapitan Henderson roześmiał się drwiąco.

– Ten dżentelmen uważa, że jest pani zbyt ładna, Mario, aby być sawantką. I zbyt młoda, jak sądzę.

– Och nie. Nie. Oczywiście, że nie – zapewniał dżentelmen. Jego rumiane policzki robiły się coraz bardziej czerwone. – Podziwiam pani pracę, *madam*. *A Residence in India*<sup>[53]</sup>? *Three Months Passed in the Mountains East of Rome*<sup>[54]</sup>? Wspaniałe lektury. Czułem się tak, jakbym osobiście podróżował po tych egzotycznych miejscach. Ma pani wyjątkowe oko. Ale biorąc pod uwagę dojrzałość pani prozy, sądziłem, że jest pani nieco starsza. To wszystko.

– W rzeczy samej.

– Wybacz mi pani ciekawość, ale co sprowadza panią do Bristolu? Może mogę służyć pomocą?

Maria dygnęła w podziękowaniu.

– Jestem w drodze do Londynu. Właśnie wróciłam z Ameryk.

– Szykuje się kolejna książka, mogę się założyć – zachichotał dżentelmen. Jego synowie

wydawali się zawstydzeni taką poufałością. Jeden przestąpił z nogi na nogę, drugi wpatrywał się w dal.

Maria przyjęła to łaskawie.

– Jeśli John Murray przyjmie moje manuskrypty, to nawet dwie. O Chile i podróży do Brazylii.

– Kapitalnie. Brazylia. – Zachwycony dżentelmen zaklaskał energicznie, aż podskoczyły luźne końcówki jego bladoniebieskiego fularu. – Pan Murray. Co za interesujący człowiek. Poza tym żaden inny temat nie przyciągnąłby mojej uwagi skuteczniej. Ach, jeśli spędza pani wieczór w Bristolu, muszę zaprosić panią i męża na recital i kolację. Wysłuchamy jednej z ostatnich sonat fortepianowych *Herr* Beethovena.

– Cóż, nie wiem... – zaczęła Maria.

– Nie chcę słyszeć odmowy – nalegał dżentelmen. Jego policzki spurpurowiały z podniecenia, wargi pokryły się kropelkami śliny. – Nie wybaczone by mi, gdybym pani nie przyprowadził. I nie bez racji. Musi pan nakłonić żonę, *sir* – zaapelował do Hendersona – by zaszczyliła nas swoim towarzystwem.

Maria skonstatowała z niemałym zdumieniem, że Henderson zareagował na te słowa bez mrugnięcia okiem.

– Kapitan Henderson, do usług – przedstawił się i uklonił. – Pani Graham niestety nie jest moją małżonką, ale jestem pewny, że z radością przyjmie zaproszenie. Mieliśmy zjeść razem kolację, ale to nie problem. Pani Graham nie miała innego towarzystwa przez cały długi rejs z Brazylii, a żadne z nas nie ma znajomych w Bristolu. To bardzo miłe z pana strony. A z kim mam przyjemność, *sir*?

– Gdzież moje maniery? Joseph Fry. Bardzo się cieszę, że mogę państwa poznać.

Kapitan i pani Graham spojrzeli po sobie, nie kryjąc zaskoczenia. Hendersonowi przeszło nawet przez myśl, że to nie może być gość, którego obawiał się przez całe popołudnie.

– Pan Joseph Fry, wytwórca kakao? – upewniła się pani Graham.

– W rzeczy samej. Moi synowie będą zachwyceni, mogąc panią poznać, *madam*. Pani Maria Graham. W Bristolu. Kto by pomyślał? Autorka o takiej sławie. Richard! Francis! Na pewno słyszeliście o dziełach pani Graham?

Młodzieńcy uklonili się. Zdaniem Hendersona prezentowali się zwyczajnie. Zaangażowane w rodzinny biznes na wskroś angielskie żółtodzioby, bez żyłki przygody. Czego mogli doświadczyć wychowani tutaj? Uśmiechnął się. Przez lata robił interesy z bystrookimi statecznymi obywatelami z Ameryki Północnej. Usilnie zabiegał o każdy grosz. Pan Fry był ulepiony z innej gliny. Jego synowie też. Handlowanie z dżentelmenami już wydawało się łatwe. Być może mimo wszystko pasuje do Anglii – zaobserwował, kiedy młodszy chłopiec pocałował



Marię w obleczone w rękawiczkę palce. Starszy tylko się uklonił i trzymał na dystans.

– Żona i trzeci syn czekają na nas w domu przyjaciółki naszej rodziny, pani Falconer. Nie mają państwo nic przeciwko muzyce?

Zarówno Henderson, jak i pani Graham zapewnili go, że nie.

– Ale nie jesteśmy odpowiednio ubrani – zaprotestowała pani Graham.

– Ech. Mogąc gościć umysł pani pokroju, *madam*, nikt nie będzie dbał o strój wieczorowy. Zresztą to zaledwie kwestia konwenansów.

– Jeśli pan nalega.

– Z całą mocą. Proszę za mną. Jesteśmy już nieco spóźnieni. Richard jest bardzo dokładny, jeśli chodzi o toaletę. Oczywiście tym razem skończyło się to dla nas szczęśliwie. Sądzę, że wstrzymają się z rozpoczęciem koncertu do naszego przybycia.

– Słyszałem, *sir*, że pańskie kakao jest wyborne. Pani Graham rekomendowała je zaledwie kilka dni temu – rzucił Henderson.

– No, no. Bardzo to uprzejme. Dzięki pani, pani Graham, nasza opieszałość zostanie nam wybaczona – oświadczył pan Fry, maszerując dziarsko w stronę bramy parku. – Niezwykle pomyślne. Czy to nie miłe?

---

[47] Strand – dosłownie: brzeg, wybrzeże; ulica w centrum Londynu, równoległa do Tamizy.

[48] Chocolat Menier – fabryka wyrobów czekoladowych, założona przez Antoine’a Meniera jako manufaktura aptekarska, pozostawała w rękach rodziny Menierów przez ponad sto pięćdziesiąt lat.

[49] Rowntree – fabryka wyrobów czekoladowych założona w Castlegate w Yorku w 1862 roku, w 1935 roku wprowadziła na rynek batonik KitKat.

[50] Criollo – najrzadsza i najdelikatniejsza odmiana kakaowca o najpełniejszych w smaku jasnych ziarnach.

[51] Forastero – najpopularniejsza i najbardziej wytrzymała odmiana kakaowca o ziarnach o krótkotrwałym, mocno czekoladowym smaku i gorzkawej nucie.

[52] Theatre Royal – najstarszy nieprzerwanie działający teatr w Wielkiej Brytanii, zbudowany w latach 1764–1766 w historycznym centrum Bristolu.

[53] *Journal of a Residence in India* (1812; dosłownie: dziennik z pobytu w Indiach).

[54] *Three Months Passed in the Mountains East of Rome, during the Year 1819* (1820; dosłownie: trzy miesiące minęły w górach na zachód od Rzymu podczas roku 1819).

## BRISTOL

Gdy przez wychodzące na zachód okna do pomieszczenia wpadły ostatnie blade promienie słońca, nadszedł zmierzch i nad Bristolem zaczęła zapadać ciemność. Połyskliwa i smolista, zdawała się okrywać całunem czerni Avon niemal w rytm rozbrzmiewającej wokół muzyki. Rzęsisty blask kandelabrow sprawiał, że roznoszone przez służbę kieliszki madersy przypominały lśniące topazy. Zgromadzone kobiety odziane były w aksamitne i satynowe toalety, każdy lok w ich starannie upiętych fryzurach znajdował się na swoim miejscu. Mężczyźni w ciemnych strojach wizytowych stali z tyłu. Podczas takich spędów Richard zawsze miał ochotę obrobić kilka kieszeni, ale choć dobrze wiedział, jak się do tego zabrać, powstrzymywał się. Podczas gdy wokół rozbrzmiewała pełna smutku sonata (numer 31 As-dur – syknęła matka), z zainteresowaniem obserwował buty lokaja, potem róż na policzkach trzech panien na wydaniu, a w końcu nieuprzątnięte przez służbę truchło myszy, które spostrzegł przy listewce łączącej podłogę ze ścianą. Maria, która przysiadła na szezlongu obitym lawendowym aksamitem, zauważyła, że dłoń Jamesa Hendersona znajduje się zaledwie centymetry od jej ramienia. Tymczasem Henderson zafascynowany wpatrywał się w płaskorzeźbiony kominek z zielonego marmuru karraryjskiego i płonące szczapy – minęło sporo czasu, odkąd sam musiał rozpalać ogień. Wsłuchiwał się w muzykę. Dla niego był to hymn do Marii i całej cudownej okazji – powrotu do domu. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w tego typu koncercie. Swoboda, z jaką Fry przedłożył zaproszenie, oraz radość gospodyni z wizyty Marii, niezwłocznie przedstawionej jako gość honorowy, napawały go nadzieją. Tego właśnie spodziewał się po Anglii. Świat, który niegdyś zmuszony był zostawić, nie odstawał od jego wyobrażeń.

Na ogromnym mahoniowym stole, zajmującym całą długość jadalni, lśnił wykwinny serwis obiadowy. Wazy kremów i bulionów stały obok półmisek z bogato garniowanymi gotowanymi rybami, pieczystym, ozorami cielęcymi oraz misami zwykłych zielonych sałatek i kremowego piure z marchewki. Bułeczki w kształcie rombu, lśniące porcje bladego masła, jabłkowe dżemy, musy cytrynowe i rodzynkowe puddingi rozstawiono pomiędzy paterą z marcepanowymi słodkościami oraz wazą z kremem budyniowym z polewą kajmakową. Dania

serwowane na pokładzie „Bittersweet” wypadały blado w porównaniu z tym przepychem.

Hendersona posadzono między panią Fry a zarumienioną młodą damą. Panienska była tak nieśmiała, że dosłownie bała się odezwać. Matka rzucała jej gniewne spojrzenia, wywołując na twarzy córki rumieńce, cynobrowe niczym otaczające ich ściany.

– Nie przejmuj się – szepnął Henderson. – Rozmowy są przeceniane.

Dziewczę odprężyło się nieznacznie, a Henderson skupił swoją uwagę na pani Fry, która martwiła się opieszałością swoich synów i męża oraz najdrobniejszymi niuansami moralności. Niemal nie oddychała, zawzięcie perorując na oba tematy.

– Nie mam pojęcia, kapitanie, skąd to się bierze u dżentelmenów z rodziny Fry’ów. Nie chcę wyjść na sekutnicę, ale wstrzymują wszystko. Nawet gdy mamy się spotkać. – Zniżyła głos tak jak aktor, który szepcze na scenie. – Bo widzi pan, jesteśmy przyjaciółmi. To znaczy kwakrami. Dziś wieczorem czekało nas umówione spotkanie z drogimi nam znajomymi. A panowie Fry znowu zjawili się pół godziny po czasie. Muzyka była wspaniała, nieprawdaż? Wielu braci-przyjaciół mojego męża nie należy do zwolenników muzyki. Czy jest pan człowiekiem sumienia, kapitanie? – Pani Fry nie dała mu szansy na odpowiedź. – Zważy pan, choć rozumiem, dlaczego gra na instrumentach może wydawać się grzechem, to jednak jest w niej tyle piękna. W dzieciństwie sama lubiłam śpiewać hymny. Oczywiście nie piję alkoholu. To jest absolutnie nie do przyjęcia. – Pociągnęła nosem, mierzając krytycznym spojrzeniem stojący przed Hendersonem kieliszek wina. – Nieumiarkowanie – wycodziła – to grzech. – Pani Fry zamilkła na krótką chwilę, ale było to tak nieoczekiwane, że Henderson nie zdążył zebrać myśli. Zerknął na milczącą dziewczynę, która koncentrowała się na smarowaniu masłem kromki chleba. – Widzi pan, *sir* – kontynuowała niestrudzenie pani Fry – czyha na nas tyle pułapek...

Pani Graham siedziała po drugiej stronie stołu. W świetle świec wyglądała jak zwykle pięknie. Bogini, której należy oddawać hołdy. Czy udałaby, że go nie widzi, gdyby spotkali się na takim spotkaniu w Londynie? Czy bez Marii mógłby w ogóle liczyć na zaproszenie? Przez chwilę próbował oszacować szansę, a potem skoncentrował się na potrawach. Jadł, aż poczuł się pełny.

W końcu w chmurze perfum i paplaniny damy oddaliły się gładko niczym jedwab w stronę rozjaśnionej świecami bawialni. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, dżentelmenów opatulila niczym kocyk błoga cisza. Lokaj i jego dwaj pomocnicy wnieśli tytoń, tabakę, cygara, dwie karafki porto i trzy mieniących się niczym klejnoty likierów. Po chwili oddechu jadalnię wypełnił dym i szmer rozmów, o oktawę cichszych niż podczas kolacji.

– Kapitanie Henderson – zagaił pan Fry – rozumiem, że nie był pan w Anglii od dłuższego czasu?

Henderson obrócił cygaro między palcami. Przynależał tu. Czuł to.

– Przebywałem w Amerykach, *sir*.

– W Brazylii, tak?

– Owszem. Także w Wenezueli. W obu Gujanach. Podróżowałem wzdłuż wschodniego wybrzeża. Byłem też na Trynidadzie. W Bostonie i Nowym Jorku.

– I co pan sądzi o naszych dawnych koloniach?

– Mam nadzieję, że nie zostanie to uznane za zdradę wobec Korony, ale całkiem dobrze sobie radzą bez wsparcia Jego Królewskiej Mości. To jeszcze dość prowincjonalne miasta, ale coraz lepiej prosperują. Nowy Jork znacząco się rozrósł w ciągu ostatniego roku.

– Kolonie mnie niepokoją – powiedział Fry, ignorując *Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych* i wrzucając obie Ameryki do jednego wora z innymi brytyjskimi terytoriami zależnymi. – Wciąż nie zaprzestano tam niegodziwej praktyki, jaką jest niewolnictwo. Jestem człowiekiem i twoim bratem. To jest moje motto. A nasza marynarka stale wychwytuje statki z żywym towarem. Jest zbyt wiele ludzi, którzy z radością czerpią korzyści z takiej nikczemności. To haniebane, nieprawdaż?

Wokół rozbrzmiały pomruki zgody. Fry'owie i ich znajomi byli wigami i abolicjonistami. Dobrymi ludźmi. Henderson pokiwał głową. Podzielał ich poglądy, choć nie znał wszystkich założeń tego stronnictwa. Brytyjska polityka była dla niego dość obca.

– Owszem – odparł. – Choć znam trochę osób, które uważają, że mają prawo do posiadania innego człowieka, mężczyzny czy kobiety, nie pochwalam ani handlu ludźmi, ani pracy niewolniczej. Z drugiej strony nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób poradzi sobie świat, gdy zabraknie tej formy zależności.

– Lepiej, jak sądzę – powiedział z naciskiem pan Fry. – Takie zło jest nie do przyjęcia. „Sześć dni będziesz pracować i wykonywać wszystkie twe zajęcia. Dzień zaś siódmy jest szabatem ku czci Pana, Boga twego. Nie możesz przeto w dniu tym wykonywać żadnej pracy ani ty sam, ani syn twój, ani twoja córka, ani twój niewolnik, ani twoja niewolnica”<sup>[55]</sup>. Czy oni o tym myślą, kiedy każą należącym do nich ludziom pracować bez wytchnienia? Nawet Reeves, którego rodzina dorobiła się fortuny na cukrze, zerwał z tym procederem. Ostatni z nas. Jesteśmy z niego dumni. Poza tym, jeśli nie praktykujemy tego w domu, dlaczego mielibyśmy praktykować to za granicą? To, co złe w Wielkiej Brytanii, musi być jednakowo złe na całym świecie.

Reeves, ubrany jak dandys, sącył wino.

– Owszem, sprzedaliśmy nasze plantacje. Ale to nie takie proste, jak ci się wydaje, Fry. Nie każdy niewolnik chce być wolny. Nie każdy pan jest potworem, jakim chciałbyś go widzieć. A konsekwencją zakazu są rosnące ceny. Wypłataliśmy się z tego biznesu i niezmiernie się z tego cieszę. To było bardzo przezorne posunięcie ze strony mojego ojca. Jest człowiekiem

sumienia i nie mógł tego dłużej znosić.

– Niech ceny rosną – włączył się do rozmowy Richard, który popijał miętowy likier w kolorze szmaragdów. – To tylko kwestia sumienia. Trzeba wprowadzić zmianę i sprawdzić, co stanie się potem.

– Łatwo mówić, Richardzie – zaproponował Reeves. – Ale czy wiesz, skąd pochodzi ziarno, które kupujesz? Po zniesieniu niewolnictwa ceny towarów eksportowanych pójdą w górę. Czy wybierzesz w związku z tym droższy towar?

– To jasne, że nie da się skontrolować każdego transportu. – Richard wyglądał tak, jakby miał ochotę zerwać się na nogi. – Możemy tylko ufać naszym kontrahentom. Czekolada to drogi towar. Cukier też. To oczywiste, że chcemy sprawić, aby pojawiła się na stołach biedoty, która żyje w warunkach zaledwie o włos lepszych od niewolników po drugiej stronie oceanu. Czy historia tej biednej zagłodzonej służącej nie przyprawiła cię o dreszcze? Jakimi jesteśmy ludźmi, jeśli nie karmimy tych, którzy nam podlegają? Kakao Fry’ów powinno być dostępne dla wszystkich. Poza tym, jak wiesz, ceny cukru i kakao spadły w tym roku.

– Ceny spadły tylko dlatego, że zwiększono produkcję. Koszty na plantacjach, na których nie pracują niewolnicy, wcale nie spadły – odbił pałeczkę Reeves. – Poza tym czekolada to towar dla większości zbyt luksusowy. Podkuchenna może pić mleko. Czekoladą to się raczy moja żona w niedzielę. Pan ostatni z nas wrócił z kolonii, kapitanie Henderson. Jakie jest pana zadanie na ten temat?

Henderson łyknął porto bez pośpiechu.

– Przyznam, że nie znam żadnych plantacji kakaowców, na których nie pracowałiby niewolnicy – powiedział wolno. – Ale w Brazylii jest trochę brytyjskich plantacji, z którymi handluję. Na Trynidadzie, gdzie zatrzymaliśmy się po drodze, niewolnictwo jest powszechne. Zgadzam się, że każdy przypadek jest inny. Niektórzy eksploatują swoich niewolników mniej niż inni. Ale to nie sprawia, że niewolnictwo jest słuszne. A jeśli ceny pójdą w górę, żeby uwzględnić wynagrodzenia pracowników, nie wiem, w jaki sposób zwykły człowiek miałby sobie pozwolić na czekoladę. Kakaowiec trudno się uprawia.

– Widzisz, Fry – triumfował Reeves. – To niemożliwe. Nie możesz mieć ciastka i zjeść ciastka. Nie możesz znieść niewolnictwa i zapewnić taniego, pożywnego jedzenia.

Joseph Fry, patriarcha co się zowie, wtrącił się, żeby zapobiec kłótni. Był miłym starszym handlowcem, nawet jeśli interesy, w które się angażował, wymagały bezwzględności.

– Moi drodzy, musi być sposób, który pozwoli na osiągnięcie zysku przy moralnym zachowaniu. Jesteśmy mistrzami innowacji, musimy kształtować świat. To Anglia.

– Słyszałem, że mają państwo nową maszynę – Henderson zaryzykował. – Czy o tym pan mówi? O prasie?

Fry roześmiał się, ale nie wyglądał na rozbawionego.

– Wieści szybko i daleko się rozchodzą. Maszynę wymyślili Holendrzy, wytwarza tak zwane holenderskie kakao, bardzo pożywne. Z czasem, mamy nadzieję, będzie coraz tańsze i coraz szerzej dostępne. Ale Fry's nie ma punktów sprzedaży ani w Ameryce Południowej, *sir*, ani w Nowym Jorku. Gdzie pan o tym usłyszał?

– Od pani Graham.

– Interesuje ją prasa do wytwarzania czekolady?

– W rzeczy samej. Pani Graham ma wiele zainteresowań o charakterze naukowym, czy to z zakresu botaniki, czy przemysłu.

– Ach, w takim razie muszą państwo wstąpić do fabryki, by ją zobaczyła. Jutro. Służymy pomocą.

Henderson zauważył, że synowie pana Frya niechętnie zareagowali na wysuniętą przez ojca propozycję, jednak żaden z nich nie wydusił z siebie słowa sprzeciwu.

– Z przyjemnością – odparł z uśmiechem.

Przyjęcie dobiegło końca po północy. Fryowie, przerażeni, że pani Graham zatrzymała się w zwykłym zajezdzie, próbowali namówić ją, by skorzystała z ich gościnności. Henderson obserwował, jak opędza się od ich uprzejmości niczym od much. Jej niezależność wywołała w nim znajomą dumę.

Później w milczeniu pędzili razem powozem przez senne ulice. Pani Graham drżała z zimna, wpatrując się w błyszczące i śliskie od deszczu kocie łby. Henderson zaoferował jej swoją marynarkę, ale odmówiła. Kiedy zatrzymali się przed zajazdem, budynek pogrążony był w ciemności. Czekał na nich tylko chłopiec ze świecą, gotowy zaprowadzić damę do jej pokoju. Gdy kapitan pomagał Marii wysiąść, przez uchylone drzwi dostrzegł ogień buzujący w palenisku.

– Miło było spędzić ten czas w pana towarzystwie... – powiedziała pani Graham i życzyła mu dobrej nocy.

Henderson zaproponował, że sprawdzi pokój, w którym została zakwaterowana, ale nie chciała o tym słyszeć.

– A jeśli jest niestosowny... Pani bezpieczeństwo, *madam*... – zawiesił głos.

– Nie będzie nieodpowiedni, Jamesie – odparła z naciskiem. – Zawsze jestem bezpieczna.

Zadał sobie pytanie, w jakich okolicznościach mogłaby zaakceptować pomoc lub radę. Przez chwilę zwlekała, stojąc na chłodzie.

– Dobranoc – powiedziała w końcu.

– Przyjdę rano. Żeby się pożegnać. Zastanawiałem się, jakie ma pani poglądy na temat

pracujących na plantacjach niewolników. Nigdy nie rozmawialiśmy...

Odwróciła się i położyła rękę na jego ramieniu. To było wystarczająco trudne.

– Jutro.

Stał, obserwując oddalające się światło i znikającą wewnątrz szczupłą sylwetkę. Czekał na rozbłysk światła w oknie, ale po chwili zorientował się, że drewniane okiennice zostały na noc zamknięte. Z dachu przypatrywał mu się kruk – niczym strażnik obejścia.

– Co za głupota – mruknął, wrócił do powozu i kazał się zawieźć do portu.

Kiedy wyjeżdżał z dziedzińca na drogę, ciemność na piętrze rozproszyła smuga pomarańczowego światła. Uśmiechnął się. To było małe zwycięstwo. Nie dbając o ogień w kominku, otworzyła okiennicę, by sprawdzić, czy już odjechał.

---

[55] Wj 20, 9–10, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

## BRISTOL

Kapitana obudziły odgłosy wymiotowania. Kazał przynieść wodę i umyć pokład. Wszystko trwało dłużej, bo nawet chłopiec okrętowy odczuwał skutki pierwszej nocy na lądzie. Jego palce były niemrawe, a kroki ciężkie. Henderson odprawił go, potem ogolił się i ubrał w nowy garnitur. Z trudem udało mu się zawiązać fular tak jak dżentelmeni podczas wczorajszego przyjęcia. Strój nie był stuprocentowo wygodny. Mimo to kapitan zjadł śniadanie, czując się niemal jak dandys. Przeszło mu przez myśl, że pani Graham miała rację. Powinien kupić zwierciadło, bo chciał skontrolować swój wygląd dokładniej, niż było to możliwe w wąskim odbiciu w małych szklanych szybkach z tyłu kabiny. W końcu wymaszerował na pokład wydać instrukcje. W jaskrawym świetle poranka załoga prezentowała się beznadziejnie.

Gdy dzwony w kościele Świętego Mikołaja wybiły dziewiątą, Henderson chciał zostawić swoich ludzi, by doprowadzili się do porządku, i spędzić dzień z panią Graham. Pragnął czekać na nią, kiedy wstanie, niestety spostrzegł poruszenie w okolicy składu celnego. Z tego, co wiedział, dla dżentelmenów pora była zbyt wczesna, a mimo to urzędnikowi towarzyszyły dwie postaci, które wydawały się dziwnie znajome. Kiedy trójka podeszła bliżej, Henderson rozpoznał pana Frya i jego najmłodszego syna, Richarda. Fry podniósł rękę w geście powitania. Kapitan skłonił głowę. Zmiana planów, najpierw sprzeda ziarno.

– Ach – powiedział Fry, wchodząc po trapie z surową miną. Poły jego ciemnego palta powiewały lekko w rytm zamaszystych kroków. – Co za traf, kapitanie Henderson, nieprawdaż?

– W rzeczy samej, *sir*.

Richard stał za ojcem, który lustrował wzrokiem „Bittersweet”. Nijaki, szczupły, wydawał się naiwny i bardzo angielski. Henderson miał wrażenie, że chłopak jest tu z przymusu. W jakiś sposób przypominał mu połyskującego ciernika, marzącego o tym, by wyrwać się w górę rzeki. Pan Fry, tak wesolutki poprzedniego wieczoru, w ciągu nocy stwardniał. Na jego policzkach wykwitły fioletowe żyłki, nie było widać śladu uśmiechu. Goście zwiedzili pokład, obserwowali krzątającą się niemrawo załogę. Nie dało się ukryć wczorajszego nieumiarkowania i pijaństwa – puste beczki stały w szeregu gotowe do zniesienia na brzeg, w powietrzu wisiał smród zwiędzłego alkoholu. Kapitan Henderson musiał przyznać, że „Bittersweet” nie prezentował się



najlepiej, ale też nikt nie spodziewał się gości. Przypomniał sobie, że liczyło się tylko to, co Fry myśli na temat towaru.

– Pokonał pan Atlantyk na tym statku? Z panią Graham na pokładzie? – powiedział bez emocji, wpatrując się obojętnym wzrokiem w takielunek.

– Tak. Statek może być staroświecki i zbyt mały jak na obecne wymagania, ale jest mocny. Jestem pewny, że pani Graham preferowałaby eskortę marynarki, ale Brazylia znajduje się w stanie wojny i ruch jest bardzo ograniczony. A jednak dotarliśmy tutaj bez większych przygód.

– Zostałem poinformowany, że ma pan ziarna kakaowca, *sir*...

– Tak, zakupione w Brazylii, panie Fry. Bardzo wczesnie zajmuje się pan interesami. Chciałem porozmawiać z panem na ten temat później.

Fry spał się w jednej chwili.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

– Jak pan sobie życzy, *sir* – odparł Henderson z niskim ukłonem, ale nie wywołało to żadnego efektu.

– A zatem zna się pan na czekoladzie?

Henderson kiwnął głową.

– Owszem. Wychowałem się w dużej mierze na plantacji. Handluję ziarnem kakaowca od zawsze. Czy mogę założyć, *sir*, że przybył pan tu z zamiarem kupna?

– Sam pan o mnie pytał, kapitanie. Oczywiście, że przyszedłem dokonać zakupu. Jestem zainteresowany towarem, ale nie rozumiem, dlaczego nie wspomniał pan o tym wczoraj wieczorem.

Henderson poczuł się zbesztany.

– Omawianie interesów podczas spotkania towarzyskiego wydało mi się rzeczą nieodpowiednią.

Pan Fry rozważył jego słowa, zastanawiając się, czy zaakceptować takie usprawiedliwienie.

– Rozumiem. Proszę mi zatem pokazać, co tam pan ma.

– Co powie pan na degustację? Mam dwie odmiany ziaren z uprawy i trzy worki dzikich. Tych ostatnich z każdym rokiem jest coraz mniej. W każdym razie przed zakupem zawsze sprawdzam smak. Z mojego doświadczenia wynika, że to jedyna miarodajna metoda oceny jakości ziaren.

– Ziarno z dziko rosnących kakaowców? – Oczy pana Frya zaśniły, mimo jego najszerszych chęci, by ukryć ekscytację. – Interesujące – dodał sucho.

Przeszli do kabiny. Pan Fry rozsiadł się wygodnie przy stole, Richard stanął z tyłu. Wzrok utkwiał w stercie rzeczy należących do kapitana, które jeszcze nie zostały odłożone na miejsce po

wyprowadzce pani Graham. Jego uwagę zwróciło tellurium, ale nie dał po sobie nic poznać.

– Wczoraj wieczorem moi ludzie zeszli na brzeg po raz pierwszy od kilku tygodni. – Henderson czuł, że musi usprawiedliwić stan swojej załogi. – Bywają trudni, ale ciężko pracują. Czy na czas oczekiwania mogę zaproponować panom brandy?

Ze względu na swoją wiarę żaden z Fryów nie wyraził chęci, a likieru na pokładzie nie było.

– Czekolada wystarczy – zadeklarował pan Fry.

– Planowałem wstąpić później po panią Graham i zobaczyć pana sławną prasę.

– Przyznam, że nie wiedziałem, iż ma pan do czynienia z czekoladą. Odnosiłem wrażenie, że pańskie zainteresowanie ma charakter czysto naukowy. Obawiam się jednak, że w tych okolicznościach muszę wycofać zaproszenie – powiedział szczerze pan Fry.

Henderson pokiwał głową.

– Rozumiem, *sir*, ale podkreślę, że nie wytwarzam czekolady.

Joseph Fry skinął głową, mimo to nie zamierzał dopuszczać do maszyny nikogo w jakikolwiek sposób związanego z branżą. Prasę zbudowano według projektu dostarczonego – czy raczej ukradzionego – przez Francisa. Pracowało nad nią trzech szkockich inżynierów. Ale przecież Fry nie przyszedł tutaj, żeby dyskutować na temat cholernej maszynierii. Najwyższy czas przejść do interesów.

– Cieszymy się, że zawinął pan do Bristolu, kapitanie Henderson. Większość towaru sprowadzamy z Deptfordu.

– Cóż, miałem nadzieję, że uda mi się sprzedać całość bezpośrednio panu, *sir*, więc najsensowniejsze wydawało się zatrzymanie tutaj. Pani Graham zasugerowała mi pańską manufakturę. Mam nadzieję, że spodoba się panu jakość produktu.

– Pani Graham zasugerowała moją manufakturę?

– Reputacja pańskich wyrobów pana wyprzedza. Pani Graham zasmakowały któreś z pańskich drażetek.

Pan Fry zmierzył Hendersona badawczym spojrzeniem. Oderwał od niego wzrok, dopiero gdy do kabiny wszedł Duży Al Thatcher, by przygotować czekoladę. Wkrótce pomieszczenie wypełniła woń przywołująca na myśl palące słońce i tropiki.

– Czy wizytował pan kiedyś plantacje? – zapytał Henderson, rozpierając się wygodnie w fotelu.

Fry potrząsnął głową, nie odrywając oczu od ubijania.

– Mój ojciec praktykował z początku jako lekarz i aptekarz, kapitanie Henderson. Tak wszedłem w ten biznes. Kakao jest wyjątkowo korzystne dla zdrowia, a dla klasy pracującej stanowi alternatywę dla alkoholu. Maszyna, którą się pan zainteresował, upowszechni je.

A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Szczytny cel i dochodowy, jak sądzę.

– Borykamy się nie tylko z problemem niewolnictwa, któremu, jak pan wie, jesteśmy przeciwni. Dodatkowo cło sprawia, że niemal niemożliwe jest udostępnienie kakao przedstawicielom klas niższych. Stawka jest zbyt wysoka.

– Rząd może być skłonny do obniżki – wtrącił się Richard, ale szybko zamilkł, gdy oczy ojca spoczęły na jego osobie.

– Cło musi zostać uiszczone – oświadczył pan Fry tonem nieznanym sprzeciwu. – Niewolnictwo musi zostać zniesione. Potem zobaczymy, co przyniesie dzień.

W końcu przed każdym z mężczyzn stanęły trzy małe pewterowe kubki. Fryowie rozpoczęli degustację. Atmosfera rozluźniła się. Richard z zamkniętymi oczami, bez pośpiechu delektował się każdym łykiem. Z ust jego ojca wyrwał się cichy pomruk uznania. Henderson odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– Dobra jakość, nieprawdaż? Nawet niewielki wzrost jakości ziarna czyni wielką różnicę, choć, jak sądzę, nie każde podniebienie jest tak wrażliwe jak pańskie.

– Klienci czerpią korzyści z naszego dobrego smaku – odparł pan Fry. – Bez wątplenia ziarno jest wyjątkowej jakości. Przejdźmy zatem do rozmowy o pieniądzech...

Duży Al został odprawiony. Richard pochylił się nad stołem, by wymienić kubek na pełny. Wydawał się niemal rozgniewany, że towar okazał się tak dobry, jak obiecywano. Pan Fry machnął na niego ręką, żeby nie przeszkadzał.

– Jaką cenę ma pan na myśli? – zapytał.

– Jaką cenę chciał pan zaoferować?

Fry uśmiechnął się.

– Cóż, jeśli tak ma to wyglądać, to mam pytanie. Dlaczego nie chce pan sprzedać ładunku na aukcji? Czy to też doradziła panu pani Graham? Czy wszystkie swoje interesy prowadzi pan, kierując się zdaniem kobiet?

– Przyznam – Henderson położył ręce na stole – że w ogóle nie rozważałem aukcji. W Amerykach przyzwyczailem się do robienia interesów z jednym kupcem. Wypłynęło pana nazwisko, więc o pana zapytałem. Jeśli uważa pan, że korzystniej będzie zawieźć towar do Londynu i wystawić na aukcji, to tak zrobię. Będę w stolicy przez tydzień lub dwa. Ale zanim odpłynę, oferuję towar tutaj. To z mojej strony, *sir*, szczerą uprzejmość. Miałem nadzieję, że towar zyska pańską aprobatę.

– Do produkcji proszku kakaowego używamy *forastero* z domieszką *trinitario*<sup>[56]</sup>. Ma pan rację, to ziarno jest wyjątkowe. Coraz mniej go do nas trafia z dalekiego południa, kapitanie. Rynek jest ograniczony. Marynarka zaopatruje się na Trynidadzie, nie sprowadza nic z Brazylii.

To dobry towar, ale mamy klientów, których interesuje najwyższa jakość. I choć staramy się oferować produkty na każdą kieszeń, część naszego asortymentu zawsze będzie dostępna tylko dla osób zamożniejszych i w rzeczy samej, obdarzonych lepszym smakiem.

– Słyszałem, że to się opłaca.

– Cóż, jak pan wie, ceny kakao spadają, ale mogę się założyć, że obaj na tym zarobimy. W tym przypadku mogę zaoferować sto szylingów za tonę. To uczciwa cena.

Henderson zeszytniał. W Ameryce taka kwota wprawiłaby w osłupienie. Mimo to nie zamierzał jej od razu zaakceptować. Przebywszy taki szmat drogi, chciał uzyskać najlepszą cenę na rynku – tutaj, w ujściu Avonu, a nie nad rzeką Hudson. Popatrzył na Richarda. Chłopak był wyraźnie rozgniewany na ojca i uważał, że podał za wysoką cenę. Dopiero rozpoczęli negocjacje, ale sygnał był jasny. Pan Fry, bardziej doświadczony od syna, zdołał zachować pokerową twarz. A więc staruszek jest przebiegły – pomyślał Henderson. Odchrząknął.

– Nie chciałbym wyjść na chciwego, *sir*, ale mam też trzy worki dzikich ziaren. Nie ważą tony, nawet w przybliżeniu, i muszą być wycenione osobno. Pozostała część towaru jest wyśmienitej jakości. Sto szylingów to dobra oferta, zgadzam się, ale tylko umiarkowanie dobra, nawet przy zniżkujących cenach. To wyjątkowy towar. Kupuje pan bezpośrednio, więc musi pan zaoferować nieco korzystniejsze warunki. Podczas aukcji, jak sądzę, cena byłaby wyższa. Czy zechce pan wysłuchać mojej propozycji? – Fry skinął bez słowa głową. – Sto czterdzieści szylingów za tonę i sześć gwinei za każdy worek. To małe worki, ale dzikie kakaowce spotyka się coraz rzadziej. Miałem szczęście, mogąc zdobyć te ziarna. Plantacje rozprzestrzeniają się coraz bardziej. Dzikie kakao to delikates, pańscy klienci z pewnością je docenią. A co ważniejsze, nie dostaną go nigdzie indziej.

– Sześć gwinei za worek? – powtórzył Richard z niedowierzaniem.

Henderson zignorował go.

– Dzikie kakaowce nie są uprawiane przez niewolników, *sir*. Są takie, jakimi stworzyła je natura. Dla wrażliwszych, bardziej wyrafinowanych klientów serwowanie dzikiego kakao będzie stanowiło również swego rodzaju deklarację. Jeśli dobrze pamiętam naszą wczorajszą rozmowę, tego rodzaju deklaracja cieszyłaby się poklaskiem. Czekolada nieskażona potem niewolników. Mógłby ją tak pan reklamować.

– Czekolada wolności? – zadumał się pan Fry.

– Inspiracja dla uczciwszego handlu.

Fry roześmiał się.

– Jest pan doprawdy niepospolity, kapitanie Henderson. Zwykle nikt nas nie poucza, jak mamy sprzedawać nasze produkty. Choć, przyznaję, to intrygujący pomysł. Można powiedzieć: rewolucyjny. Aczkolwiek skierowany do bardzo szczególnego rodzaju klientów.

– Ja myślę tylko o uczuciach, zwłaszcza o uczuciach żywionych przez przedstawicielki płci pięknej, *sir*. Panie są obdarzone miękkim sercem, ale lubią poranną czekoladę. Gdy oferuje się coś specjalnego, ma to swoją cenę. Starannie oszlifowany diament, bela najlepszego jedwabiu albo czekolada, która nie powoduje dylematów moralnych. To rzadkość.

Na twarzy Richarda pojawił się uśmiech.

– Możemy wyprodukować limitowaną serię – zamruczał.

– Fry's Wild Reserve? – zaproponował Henderson.

– Pierwsze saszetki powinniśmy zaproponować Reevesowi – mówił wolno Richard. – Sprawdźmy, czy po tym, co wczoraj powiedział, będzie miał ochotę wyłożyć pieniądze, aby poprzeć swoje poglądy.

Pan Fry wstał od stołu.

– Frapujący pomysł – przyznał.

– Dzikiego kakao jest tak niewiele, że zostawia się je dla biedoty. Człowiek, który sprzedał mi ziarna, wie, że cenę sobie ten smak. Większości handlarzy nawet by tego nie zaproponował. To dla was unikalna okazja, panowie.

Fry odczekał chwilę, potem wyciągnął dłoń.

– Dobrze. Sześć gwinei za worek dzikich ziaren, sto dwadzieścia pięć szylingów za tonę pozostałych i umowa stoi.

Henderson spojrzał mu prosto w oczy i potrząsnął wyciągniętą dłonią.

– Jest pan człowiekiem o świetnych pomysłach, kapitanie Henderson – dodał Fry. – Wydawał się pan... śliski, ale teraz widzę, że jest pan idealistą, a to godne podziwu.

– *Sir*. – Henderson ukłonił się. – Jak mniemam, spotkał pan wiele osób bardziej podejrzanych ode mnie. – Jego umysł już pracował na najwyższych obrotach. Zarobił ponad sześć razy więcej niż w jakimkolwiek amerykańskim porcie. Pieniądze były naprawdę dobre, nawet pomniejszone o cła i podatki. Will Simmons miał rację. Rynek brytyjski tylko czekał, żeby zostać zdobytym. Chłopak był geniuszem. Spekulantem. Gdyby żył, zostałby bogaczem.

– Miło robić z panem interesy, *sir* – powiedział Fry, odwracając się do drzwi. – Gdyby ponownie zawinął pan w te strony...

Ta myśl już przeszła Hendersonowi przez głowę.

– Być może następnym razem sprowadzę coś niższej jakości – zasugerował. – Pański zamiar stworzenia czekolady dla mas, *sir*, jest godny pochwały. To jednak długa podróż i muszę myśleć o sobie.

– Oczywiście, Trynidad jest bliżej – mruknął Fry. – I zawsze jest *forastero* – dodał dość ponurym tonem.

– A ile zapłaciłby pan za dobrej jakości *forastero*?

– Siedemdziesiąt pięć szylingów za tonę. Może mniej. Richard ma rację. Ceny spadają.

– Mógłbym obniżyć wartość ładunku w czasie przeprawy przez ocean.

Fry pokręcił głową.

– Ceny w Wielkiej Brytanii zawsze będą wyższe niż w koloniach. Nie ma nic złego w gorszej jakości ziarnach, jeśli mogę sprzedać tysiącu ludzi *forastero*, choć taniej – to tutaj kryje się największy zysk.

– *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* – Henderson przypomniał sobie tytuł traktatu Adama Smitha.

Fry pokiwał głową.

– Możemy mieć tylko nadzieję, że pan Smith się nie myli i że najszerszy rynek faktycznie przyniesie najwięcej korzyści. A teraz, po degustacji, chciałbym obejrzeć towar, jeśli byłby pan łaskaw.

Wkrótce ludzie pana Frya zostali poinstruowani, by ostrożnie rozładować „Bittersweet”. Powiadomiwszy celnika o zawartej umowie, dwaj dżentelmeni ruszyli w stronę miasta. Po chwili Richard chwycił ramię ojca.

– Pozwól mi go obserwować – powiedział.

Pan Fry poklepał syna po dłoni i zajął miejsce w powozie. Chłopak zawsze strasznie się niecierpliwił. Gdy woźnica zamknął za nim drzwi, zapytał:

– Uważasz, że kapitan Henderson jest niebezpieczny, czy wydaje ci się interesujący, Richardzie?

– Francis to robi, ojczu. Francis zawsze obserwuje dostawców.

– Francis obserwuje dostawców, jeśli trzeba przypilnować pewnych spraw. Kapitan Henderson sprzedał nam cały swój towar. A może po prostu praca w fabryce cię nuży?

Richard niemal tupnął nogą.

– Myślisz, że mnie na to nie stać.

– Sądzisz, że przyniesie to korzyść?

Richard pokiwał głową.

– Takie mam przeczucie.

Przeczucie rosło w nim z każdą sekundą, tak jakby kapitan miał oszukane kości albo asa ukrytego w rękawie. Henderson wykiwał staruszką – sześć gwinei za worek to szalona suma za dzikie ziarno, którego uprawa nic nie kosztuje.

Pan Fry podrapał się po brodzie. Może warto Richardowi na to pozwolić. Może pozbędzie się wreszcie tego niepokoju.

– Dobrze, czas na to, byś się uniezależnił. – Otworzył okno i przywołał Hendersona, który stał u stóp trapu. – Czy ma pan może wolne miejsce do Londynu, kapitanie? – zapytał. – Richard chciałby odwiedzić kuzynów w Marylebone<sup>[57]</sup>. Chętnie zapłacę za przeprawę.

Henderson ukłonił się i odparł z uśmiechem:

– To dla mnie zaszczyt. Wypłyniemy zaraz po zakończeniu rozładunku.

– Jestem zobowiązany. – Fry pomachał ręką po królewsku i gdy tylko Richard wysiadł z powozu, postukał laską w dach, by dać znać woźnicy, że jest gotowy do drogi.



Maria zjadła śniadanie w pokoju i ubrała się. Stabilność po nieustannym kołysaniu statku i nieobecność Jamesa Hendersona sprawiały, że czuła się dziwnie. Przez kilka tygodni krążyli wokół siebie, niczym ciała niebieskie orbitujące wokół wspólnego środka masy. Tego ranka uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie Henderson się podziewa. Dylizans miał przyjechać za kilka godzin. Wyjrzała przez okno na brukowany dziedziniec. Przynajmniej było pogodnie. Aura w Anglii bywała kapryśna. Spoglądając na ponownie zasnuwające błękitne niebo deszczowe chmury, poczuła się bardzo angielsko. Doszła do wniosku, że gdzie indziej pogodę przewiduje się stosunkowo łatwo, tak że ludzie dostrzegają tylko ekstrema – trzęsienia ziemi, nawałnice. Słońce i jej „uwięzienie” na statku powodowały, że z trudem mogła wysiedzieć w pokoju. Podróż do Londynu potrwa dwa, trzy dni, raczej trzy. Większość tego czasu spędzi w powozie. Starła się nie myśleć o „Bittersweet”.

Maria opracowała plan. Najpierw odwiedzi rodzinę Thomasa w Mayfair, gdzie się zatrzyma, a potem Murraya. Musi też wstąpić do ciotki, a później zajdzie do jednego lub dwóch z jej ulubionych księgarzy, co sprawi jej znacznie więcej przyjemności. Maria mogła dostać niemal każdą potrzebną jej publikację od Murraya, ale lubiła księgarnie. Z wyjątkiem jednej – pan Thompson przy Strand dał jej jasno do zrozumienia, że nie akceptuje kobiet parających się pisarstwem, a już zwłaszcza zajmujących się poważnymi tematami. Nie chciał sprzedawać jej książek. Panowie Bromer i Thin byli znacznie bardziej uprzejmi i postępowi. Oprawione w skórę tomy, które znalazły się na liście niezbędnych materiałów edukacyjnych, zamierzała nabyć właśnie w ich księgarniach. Jej Cesarska Mość wręczyła Marii list polecający, który miała przedstawić w londyńskim banku. W piśmie tym cesarzowa oddawała do jej dyspozycji więcej środków, niż potrzeba, by zakupić wszystko dla małej księżniczki.

Ciekawiło ją, jakie zmiany zaszły w stolicy w ciągu niemal trzech lat. Londyn nieustająco się zmieniał, ciągle wznoszono nowe budynki. Marzyła o tym, żeby je zobaczyć. Miasto stanowiło też centrum postępu naukowo-technicznego. Chciała zapoznać się z ostatnimi badaniami. Nie mogła się już doczekać wszystkich stymulujących dyskusji. Tyle że zbliżając się do tych

wspaniałości, od czegoś się oddalała. Maria przeciągnęła się, podniosła ręce wysoko w górę, a potem opuściła jak najniżej. W górę i w dół – pomyślała. Nie miała wątpliwości, że zostanie panią Henderson jest nie do przyjęcia. A jednak na samą myśl o kapitanie rumieniły się jej policzki. Jeszcze raz wyjrzała na dziedziniec. Trzech czarnoskórych mężczyzn ładowało beczki na wóz. Maria uśmiechnęła się. Miło było wiedzieć, że przynajmniej tutaj wszyscy ludzie są wolni. Jestem wolna – powiedziała sobie w duchu, choć miała świadomość, że to nie do końca prawda.

Narzuciła na siebie pelerynę i ruszyła w stronę parku. Poruszanie się zamaszystym krokiem wciąż wydawało jej się luksusem. O tej porze miała niemal całą zieloną przestrzeń dla siebie, pomijając lokajów wyprowadzających pupilów swoich pracodawców i dwóch dżentelmenów na koniach. Rozważała złożenie wizyty pani Fry lub pani Falconer, gospodyni wieczornego przyjęcia, ale niespecjalnie interesowały ją tego typu towarzyskie spotkania i obawiała się, że zamiast skrócić czas oczekiwania na dyliżans, tylko go nieprzyjemnie wydłuży. Poza tym odwiedziny o tak wczesnej godzinie mogły przeszkadzać. Nie chciała iść do fabryki Fryów bez Hendersona. Czułaby się tak, jakby go zdradziła. Opuściła park i wybrała jedną ze ścieżek, równoległą do linii dachów. Idąc wzdłuż tarasów, zerkała w wysokie okna salonów. Tu dostrzegła indyjskie serwantki i komody, tam rzeźbione chińskie smoki, gdzie indziej nawet niezwykle modne teraz eleganckie palmy.

Maria nigdy nie miała własnego salonu. We Włoszech wynajmowali dom, niczego w nim nie wybrała sama. Podobnie w Chile i Brazylii. Odkąd wyszła za Thomasa, niemal cały czas pozostawali w ruchu. Podążała za nim ze statku na statek, pisząc jedną książkę za drugą. Kiedy skręciła przy teatrze, gdzie rozklejano afisze na wieczorne przedstawienie *Księcia Homburga*, uświadomiła sobie, że od lat nigdzie nie zatrzymała się na dłużej, zawsze omijały ją kolejna sztuka, nadchodzący koncert, wiadomości o znajomych. Nie zgromadziła nic poza książkami – żadnych mebli, żadnych obrazów. Posiadanie obrazu, trzymanie go przy sobie byłoby miłą ekstrawagancją. Ale do tej pory w ogóle jej tego nie brakowało. Poczula w sercu ukłucie melancholii. Czyżby przez te wszystkie lata od czegoś uciekała? Odrzucała kolejne szanse na zbudowanie czegoś prawdziwego, trwałego? Jej matka lubiła zajmować się ogrodem. Maria nigdy tego nie doceniała – sztuki planowania i czekania, aż plan zostanie urzeczywistniony i wyda swoje owoce. Tam, gdzie się znalazła, znajdowała przyjaciół, a raczej znajomych. Ale ludzie w jej życiu przychodzili i odchodzili – mało kto stanowił stałą. Bardzo rzadko udawało jej się poznać dobrze jakieś miejsce czy osobę. Zamiast tego wołała nieustanną stymulację nowych kultur, kalejdoskop ludzi. Czy to ją martwiło? Przed oczami mignęła jej kabina kapitana Hendersona z długim łóżkiem – na samą myśl o nim wciąż odczuwała upokorzenie. Co, na Boga, jest ze mną nie tak? Czy nigdy nie zaznam szczęścia? Z pewnością miała wszystko, czego



obdarzona zdrowym rozsądkiem kobieta może pożądać. Była znana w Londynie. Miała przyjaciół. Miała rodzinę. Miała świetne recenzje.

Tego popołudnia Henderson nie przyjechał. Czas ciągnął się, aż zrobiło się za późno, by gdziekolwiek pójść i cokolwiek zobaczyć. Starła się nie czekać przy oknie, więc jego kroki w korytarzu tuż przed czwartą stanowiły dla niej miłą niespodziankę. Dygnęła, kiedy wszedł do pokoju i natychmiast zaczął ją przeproszać, kłaniając się nisko.

– Żałuję, że nie pozwoliła mi pani zawieźć się do Londynu, Mario. Ale jeszcze może pani zmienić zdanie.

Maria wyprostowała się. Za każdym razem byłoby tak samo trudno. Równie dobrze mogła to zrobić teraz.

– Mam sprawy do załatwienia.

– Podróżowanie dyliżansem jest męczące. Znacznie gorsze niż rejs „Bittersweet”...

Podobało jej się, że zachował poczucie humoru.

Chłopiec przyszedł po kufer i torby. Dyliżans czekał, konie zostały już zaprzężone. Nie zostało wiele czasu. Maria spuściła wzrok.

– Czy będzie mnie pani unikać w Londynie, Mario?

– Nie spotkam pana w Londynie, Jamesie, a przynajmniej wątpię w to. Dama nie może odwiedzać...

Przerwał jej.

– Ja mógłbym odwiedzić panią.

Pokiwała głową.

– Wtedy z przyjemnością pana przyjmę. Jeśli będę mogła w czymś pomóc...

– Czy jest pani pewna, Mario? – zapytał.

Ponownie pokiwała głową, ale nie podała mu adresu, daty ani innych szczegółów.

Zawahał się.

– Odprowadzę panią na dół.

Na dziedzińcu dwie dziewczyny oparte o wóz leniwie obserwowały załadunek dyliżansu. Delikatnie huśtały zalotnie splecionymi dłońmi. Chłopiec z zajazdu uporał się z bagażem i teraz siedział na stołku, czyszcząc szczotką skórzany fartuch. Maria zerknęła, czy Henderson zauważył tę scenkę, ale on nie spuszczał z niej oczu. Pocałował ją w rękę i pomógł jej wsiąść. Mężczyzna i kobieta, którzy zajęli już swoje miejsca, ścieśnili się lekko. Żałowała, że nie zdjęła rękawiczki. Jej serce waliło przerażone, że już więcej go nie zobaczy, że popełnia błąd. Ale Maria Graham nie popełnia błędów. Nie może sobie na nie pozwolić. Spojrzała w dół, przypomniało jej się dzieciństwo – ojciec wypływający w kolejne misje. Z niewiadomego

powodu czuła się osamotniona, choć tym razem to ona odjeżdżała.

– Do zobaczenia zatem – powiedział Henderson. – Odwiedzę panią, gdy tylko zawinę do portu.

– Do Londynu, proszę pani? Charing Cross<sup>[58]</sup>? – zapytał woźnica, z trzaskiem zamykając drzwiczki.

Podniosła rękę, by pomachać. W brudnej szybie postać Hendersona wydawała się rozmyta. Woźnica usiadł na swoim miejscu i ruszyli. Pasażerka uśmiechnęła się do niej przepraszająco.

– To długa podróż – zauważyła. – Woźnica powiedział, że potrwa trzy dni...

Maria pokiwała głową. Miała wrażenie, że czeka ją najdłuższa ze wszystkich podróży w jej życiu. Postępuję słusznie – zapewniła się w myślach i odwróciła wzrok od coraz mniejszej, niewyraźnej postaci machającej jej na pożegnanie przy bramie zajazdu.

Henderson stał na dziedzińcu jeszcze długo po tym, gdy dyliżans zniknął za zakrętem.

– Do widzenia, Mario – szepnął w końcu. – Do zobaczenia w Londynie...

---

[56] Trinitario – uprawiana na Trynidadzie krzyżówka odmian *criollo* i *forastero*.

[57] Marylebone – zamożna dzielnica w środkowym Londynie położona na ziemiach należących w średniowieczu do opactwa Barking.

[58] Charing Cross – rejon uchodzący od początku XIX wieku za centralną część Londynu.

## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

**H**enderson przysiadł w części dziobowej statku, czekając, aż na horyzoncie zobaczy zarys Londynu. Nie mógł spać. Miasto jego dzieciństwa było coraz bliżej. Nie chciał przegapić tego widoku. W ciemności przypomniał sobie, że kiedy był malutki, matka chwyciła go za rękę i pomagała mu zejść na dół w nowych butach. Usiłował przywołać kominy posyłające czarny dym w śnieżne niebo, linię krytych łupkiem dachów, które widział z okna swojego pokoju.

Richard Fry, który został zakwaterowany w drugiej kabinie, uważnie go obserwował. Miał talent do kości i już po pierwszej nocy na pokładzie Clarkson zgłosił Hendersonowi, że chłopak wygrał w korony i kotwice<sup>[59]</sup>, doszczętnie oskubując z pieniędzy kilku marynarzy. Henderson zaraz zawołał chłopaka na bok. Przysłane z kuchni śniadanie stygło.

– To nie w porządku, Richardzie. Pan Clarkson mówi, że masz talent, ale nie graj z załogą. Jeśli ktoś będzie ci winien pieniądze...

– Nikt nigdy nie bierze nikogo takim, jakim jest – powiedział ostro Richard, obrzucając go twardym spojrzeniem.

– Nie potrzebujesz pieniędzy – zaproponował Henderson.

– Nie. Po prostu to lubię.

Clarkson skrzyżował ręce na piersi, jakby był niańką chłopaka. Już przywiązał się do niego – wyrostek był chętny do nauki, choć trochę narowisty. Wyraźnie miał talent, aczkolwiek trudno było powiedzieć do czego poza hazardem.

– Siedemnastolatek idący własną drogą ma zwykle po prostu szczęście – zauważył. – Ale przyznaję, że masz rękę do kości.

– Sporo siedemnastolatków jest już żonaty. Mój kuzyn jest żonaty – rzucił Richard obrażonym tonem. Henderson uśmiechnął się kpiąco. Nie był pewien, co go bardziej bawiło: opryskliwość młodego Frya czy Clarkson gdaczący nad chłopakiem niczym kwoka. – Moi bracia są na swoim.

– Twoi bracia? O to chodzi? – zapytał Henderson. – Dlatego chciałeś wypłynąć? Szybciej dotarłbyś do miasta dylizanssem. Nie ma sprawy, mogę zabrać cię ze sobą, ale jestem ciekaw.

Richard zawahał się, w końcu jednak zebrał się na odwagę. Wszystko się zmieniło, odkąd opuścił Bristol. W ciągu zaledwie kilku godzin na „Bittersweet” znalazł coś, co intrygowało go znacznie bardziej niż gra w kości. Clarkson i jego załoga byli twardzi – takich ludzi nie spotyka się w dzielnicach biedoty. Pracowali razem jako zespół pod przewodnictwem budzącego respekt kapitana, który, jak zdążył usłyszeć, jednym ciosem powalił tego czy owego i uratował statek, nawigując w czasie sztormu. Jego fascynacja „morskimi wilkami” krystalizowała się coraz bardziej. I nie chciał jej dłużej ukrywać. Obracał słowa w ustach, jakby były wolno rozpuszczającym się cukierkiem.

– Chciałem się przekonać, co pan zamierza, kapitanie Henderson. Miałem przeczucie co do „Bittersweet”. Chciałem się przekonać, czym mam rację...

Henderson zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– Przeczucie? Nie możesz podejmować decyzji, kierując się przesadami i czarami, Fry. Londyn to wielkie miasto, niepozbawione niebezpieczeństw. Wiesz to, prawda?

Richard podniósł pięść.

– W razie potrzeby umiem przyłożyć – dodał. – Już mi się zdarzyło ratować z tarapatów za pomocą pięści.

– Koniec skubania załogi, synu – polecił Henderson. – A twoje pięści tutaj na niewiele się zdadzą. Londyn to największe miasto na świecie. Panie Clarkson, niech pan zorganizuje panu Fryowi nóż. Powinien wystarczyć na początek.

– Tak jest, *sir*.

Kiedy Clarkson zniknął pod pokładem, Henderson położył rękę na ramieniu Richarda i nachylił się do niego. Nie żywił do chłopaka ojcowskich uczuć, raczej braterskie.

– Podejrzewam, że jest ci nudno – zagaił życzliwym tonem. – Miałem dwanaście lat, kiedy opuściłem dom i udałem się do Brazylii. Za wcześniej, mówiąc szczerze, ale posłano po mnie. Tak czy owak, potrafię sobie wyobrazić, jak beznadziejnie musi być, gdy masz w sobie ikrę. Wydaje ci się, że potrafisz walić jak z armaty, ale brakuje ci doświadczenia. Chyba nie chcesz stracić życia przez ciekawość.

Oczy Richarda rozbłysły zrozumieniem.

– Sądzi pan, że o to właśnie chodzi? – szepnął. – O ciekawość? Nie chcę skończyć jako elegancik. Łatwo jest wyglądać prosto. Jak Reeves i jego cukrowa fortuna. Gość nie ma pojęcia o prawdziwym świecie. Chcę czegoś dokonać. I nie chodzi mi o dobre uczynki, pragnę zrobić coś, co zasługuje na szacunek.

– Powiem ci coś. – Henderson wyjął z kieszeni talię kart. – Nauczę cię gry, którą poznałem w zeszłym roku w Ameryce. Nazywa się poker. To cię przynajmniej będzie trzymać z dala od moich ludzi... – Richard pokiwał głową.

Tymczasem Clarkson wrócił spod pokładu z nożem.

– Jest porządny, panie Fry, ale warto go naostrzyć. Mogę zaraz kazać komuś go dobrze wywecować – zaoferował mat.

– Nie – wtrącił się Henderson, odkładając karty. Jeśli młody Fry chce doświadczenia, to powinien sam je zdobyć. – Richardowi nie o to chodzi, prawda? Panie Clarkson, proszę zaprowadzić pana Frya na dół i pokazać, jak się ostrzy noże. – Oczy Richarda zdawały się płonąć z radości.

Potem do późna omawiali rozmaite karciane sztuczki i triki oraz siłowanie się na rękę zgodnie z zasadami przestrzeganyymi przez młodszych oficerów marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości. Teraz pewny swojego miejsca na statku Richard, nie mogąc zasnąć, dołączył do Hendersona.

– Już niedaleko – zagadnął, trzęsąc się z zimna, po czym wychylił się za burtę i wpatrzył w wodę. Mgła zdawała się dymić nad powierzchnią. Było tak lodowato, że widział swój oddech.

– Czekolada dobrze by nam zrobiła, co? – rzucił Henderson wesoło. Dobiegało do nich pochrapywanie Thatchera, który spał w rozpiętym w kuchni hamaku. – W takich sytuacjach przydałaby się tabliczka czekolady, którą można by wyjąć z kieszeni i zjeść, właściwie nie przerywając tego, co się robi – rzucił Henderson z uśmiechem. – To by dopiero było, ech?

– Niesłychany koncept – wymamrotał Richard, którego umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach. Kapitan z pewnością miał wiele interesujących pomysłów. – Tabliczka musiałaby być dość miękka, może konsystencji żółtego sera. Trzeba by od razu dodać cukier. – Richardowi aż zaburczało w brzuchu, gdy wyobraził sobie bogaty smak rozpluwającej się w ustach czekolady. Dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł? Receptura warta by była fortunę. Przez chwilę zatęsknił za bratem. – Wyśmienite – szepnął.

Niedługo po tym, jak wstało słońce, „Bittersweet” pokonał drugie z zakoli Tamizy. Stan rzeki wprawił Hendersona w zdziwienie. W okolicach Tilbury, Northfleet i Grays woda śmierdziała, tam, gdzie nie była brązowa, miała kolor zielony. Płynęły nią ścieki i odpadki. Podczas odpływu ospowate dzieci brodziły po przybrzeżnych błotnych równinach w poszukiwaniu skorupiaków, wbijając w ziemię gałęzie grubości ich brudnych nóg. W okolicach Deptfordu, kiedy załoga spostrzegła pierwszego trupa, na statku zapadła upiorna cisza. Czas zwolnił. Wszyscy zajmowali się swoimi obowiązkami, starając się nie spuszczać wzroku z pokładu i beznamyślnie ignorować gnijące ciała przemytników i piratów kołyszące się na szubienicach w Dokach Egzekucji. Jednego z wisielców, nieosmołowanego, obsiadły mewy. Musiał zostać skazany niedawno – miękkie części ciała były dla ptaków łatwym celem.

Henderson zdjął kapelusz, ale nie odwrócił wzroku. Nie był tchórzem.

– To żaden wstyd, panowie! – zawołał. – Biedne dranie. Dobrze, że to statek handlowy, ech?

Żółte kwiaty starców jakubków wylewały się ze szczelin między ceglami i rozpadlin w błocie, podczas gdy coraz większe zastępy flisaków, uzbrojonych po zęby i tak bezwzględnych jak piraci z Mórza Południowych, zachwalali swoje usługi: „Przeprowadzę przez Tamizę, naczelniku. Aż do Shoreditch za dwa pensy”, „Za sześć pensów do Chelsea. Okradam sam siebie”. Interesy kwitły. Mimo wszystko na wodzie było bezpieczniej niż na wybrzeżu. Gęsta mgła wisiała nad nimi ciężko, poszarzała przez sadzę z tysięcy kominów. Dwa dawno temu zdechłe konie, rozkładające się i wzdęte, zaplątały się w porzucone sieci, które nie pozwalały się truchłom oddalić od brzegu. Czarne gawrony i kruki skrzeczały nad padliną, przepędzane od czasu do czasu przez mewy, białe niczym chmury, o dziobach ostrych jak brzytwa.

Pokonując kolejne zakole, Henderson przypomniał sobie dom w pobliżu Covent Garden, w którym się wychowywał. Elegancki gzymś ciągnący się niczym koronka wokół sufitu salonu. Lekcje tańca, prywatne ogrody i stadka mizernych wróbli na Soho Square. Był wytworny. Czysty. Uporządkowany. Nie taki jak to.

Kapitan postanowił przycumować w Greenwich, tak jak sugerował Sam Pearson. Z wody dostrzegł nie jeden, ale dwa kościoły, ich szare iglice sięgały wysoko ponad dachy. Rejon ten jednak nie przypominał centrum duchowych doznań – pełno było hotelików dbających o potrzeby mężczyzn. Smród rzeki tłumiał rozchodzący się wokół zapach pasztecików pieczonych i sprzedawanych na straganach przy głównej ulicy. Z domów publicznych dochodziła muzyka. Nieco dalej dziewczynka grała na piszczałce i za pół pensa tańczyła dziga, jeśli nie łajdaczyła się z każdym, kto jej za to zapłacił.

Większość załogi od razu zeszła na ląd. Dla tych, którzy zostali na pokładzie, Clarkson rozpiął grafik. Duży Al Thatcher zebrał się tak szybko, jakby w biały dzień uciekał ze statku. Jego siostra prowadziła sklep z tekstyliami. Dotarcie do niego wymagało jakichś dwóch godzin marszu wzdłuż rzeki.

– Ale będzie miała niespodziankę – rzucił z szerokim uśmiechem, chowając dwudziestocentymetrowy nóż za pasek. Nie miał zamiaru ryzykować. – To znaczy, jeśli wciąż tam jest i z tym samym gościem. Nasza Jenny lubiła skakać z kwiatka na kwiatek – dodał. Potem zniknął w labiryncie uliczek.

Henderson wahał się. Patrzył na okazały kamienny gmach królewskiej akademii marynarki wojennej, który spoglądał na Tamizę niczym siwowłosa sędzia na podwyższeniu. Dotąd skupiał się tylko na dotarciu do Londynu, ale teraz, kiedy był już na miejscu, poczuł niepewność. Miał środki, choć musiał zwrócić część funduszy inwestorom Willa. Tyle że po ucieczce Pearsona nie miał ani nazwisk, ani adresu. Będzie musiał popytać. Może – zastanawiał się – powinien odwiedzić tę tawernę przy Old Street, o której wspominał Simmons. Rose? Mallow Street?

Z tego, co pamiętał, siedziba inwestorów znajdowała się w pobliżu Old Street Bridge. Nie powinien mieć problemu z jej odnalezieniem.

– Witaj w Londynie – powiedział do młodego Frya, który obserwował ciągnące się wzdłuż nabrzeża warsztaty żaglowników, kowali, nożowników, dostawców okrętowych i cieśli. – Trzymaj się z daleka od kłopotów – upomniął go, zakładając cylinder i próbując przyzwyczać się do dodatkowych trzydziestu centymetrów.

– Dokąd się pan wybiera, kapitanie?

– Do domu – odparł Henderson z uśmiechem. – A przynajmniej mam taką nadzieję.

Richard mamrotał coś o kuzynach w Marylebone, ale kapitan nie słuchał. Oto on. Londyn. Jego Londyn. Schowawszy groźny nóż sprężynowy z ząbkowanym ostrzem w wewnętrznej kieszeni, zostawił chłopaka jego sprawom, a statek pod skrzydłami Clarksona i przywołał flisaka. Miał ochotę pozwiedzać.

Pograżony w marzeniach zszedł na ląd w oddalonym bardziej na zachód City i ruszył przed siebie, ledwo świadomy tego, gdzie go nogi niosą. Katedra Świętego Pawła górowała ponad dachami. Londyn otwierał się przed nim niczym książka – znajoma ilustrowana opowieść. Zanurzał się w niej, jeden z tysięcy, wystarczająco dobrze ubrany, niemal pozbawiony celu. Stolica wchłaniała takich gości jak on setkami tygodniowo. Z początku ulice były wąskie, a towarzystwo zróżnicowane.

– Masz szylinga? – zagadnęła go kobieta. Jej oddech cuchnął ginem. – Szyling za chwilę przyjemności?

Potem, nagle, tuż za rogiem zobaczył nieskazitelnie czysty kościół. Dwóch dżentelmenów w wykrochmalonym i wyprasowanym na sztywno przyodziewku, uzbrojonych w pistolety zniknęło w alejce. Henderson obawiał się, że nie wrócą już stamtąd tak czyści.

Skierował się na północny zachód. Niedługo potem ulice stały się bardziej regularne, a budynki bardziej okazałe. Kiedy minął przed sklepem kobietę trzymającą w rękach niewielkie pudełko z zakupami, zastanawiał się, jak potoczyłoby się życie jego matki. Musiała znać ludzi – inne mieszkanki Londynu – choć nie pamiętał zbyt wielu gości. Z pewnością nie miała przyjaciół. Poza wypełnianiem obowiązków rodzicielskich prowadziła dość samotną egzystencję, bo niewiele było miejsc, które mogłaby odwiedzać sama.

Rozemocjonowany przeciął Strand. Starał się nie gapić na kobiety. Było coś eleganckiego w angielskim stylu, choć oczywiście żadna ze stołecznych dam nie mogła dorównać Marii. Starannie dobrane rękawiczki, szale i kapelusze zdawały się formą manipulacji. Kapitan miał nieodparte wrażenie, że niektóre z kobiet, ubierając się, brały pod uwagę kolor powozu, którym będą poruszać się po mieście...

Gdy wszedł na plac przy Covent Garden, poczuł skręcanie w żołądku. Na ścianach wisiły

afisze reklamujące przedstawienia opery królewskiej, wszędzie walały się skrawki papieru. Każdy kawałek skweru zastawili straganiarze sprzedający kwiaty, żywe ptactwo, szczotki i sztucce. Sklepy w słabo oświetlonej kolumnadzie zasłoniło dwóch mężczyzn żonglujących nożami i pokrzykujących pretensjonalnie po włosku. Panowała atmosfera spotkania towarzyskiego, ale to wciąż nie było miasto z jego wspomnień. Jeszcze nie wrócił do domu.

Trwały roboty budowlane. Henderson nie rozpoznawał ulic, które odchodziły od targu. Drewniane rusztowania kołysały się niepewnie, zasłaniając fasady. Wiele się pozmieniało w ciągu dwudziestu lat. Henderson zatrzymał dżentelmena i zapytał, jak dojść do Soho Square.

– Trzeba iść w stronę Charing Cross, a potem skręcić w górę Frith Street – poinstruował go mężczyzna, wskazując na północ. – Lepiej nie zbaczać z drogi.

Był już blisko. Czy dom wciąż stoi? Przyśpieszył kroku.

Frith Street okazała się szersza, niż ją pamiętał. Przyglądając się otwartym drzwiom jednej z rezydencji, uświadomił sobie, że to dom publiczny. Po chwili zauważył przynajmniej jeszcze jeden tego typu „zakład”. Był pewien, że nie widział ich w dzieciństwie. Dwie niechlujne kobiety wcisnęły się rozchichotane do powozu. Henderson dostrzegł, że siedzący w nim podпиты mężczyzna przyciąga je do siebie.

I nagle go zobaczył. Znajomy trzypiętrowy domek z cegły, z oknami wychodzącymi na ulicę. Zupełnie taki, jakim go pamiętał. Kapitan zatrzymał się naprzeciw. Na kamieniach zalegała cienka warstwa błota. Spojrzał w górę, okna były ciemne. Nad jego głową przeleciał gołąb, wylądował na dachu i zaczął czyścić piórka.

– A niech mnie – szepnął Henderson.

To było warte tygodni na morzu, ryzyka podróży. Nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok detali z kutego żelaza przy oknach oraz półkolistego okna i płaskorzeźbionej dekoracji nad nijakimi czarnymi drzwiami. Numer 22. Czas stanął w miejscu. Podszedł, chwycił mosiężną kołatkę i zapukał dwa razy. Musiał obejrzeć go dokładnie. Musiał dostać się do środka.

Po chwili usłyszał szuranie. W progu stanęła służąca.

– *Sir*. – Dygnęła. – Tak? *Sir*?

Henderson nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy mógłbym zapytać, kto tu mieszka? – wydusił z siebie.

– Państwo Elmore, *sir*.

– Czy ich zastałem?

Służąca zerknęła przez ramię, potem obrzuciła go uważnym spojrzeniem i ostatecznie wygadała się:

– Nie ma nikogo oprócz mnie, *sir*. Kucharka poszła wybadać nową piekarnię, a lokaj załatwia sprawunki. – Dziewczyna gwałtownie zamknęła usta.



– Nazywam się Henderson – odezwał się po chwili wahania. – Mieszkałem w tym domu, kiedy byłem chłopcem. Bardzo chciałbym móc znowu go obejrzeć.

Służąca spojrzała na niego niepewnie.

– Och, *sir*. To niestosowne.

Henderson nie zaprzeczył, tylko spokojnie sięgnął do kieszeni i wyjął szylinga.

– Upraszam o przychyłność. To był mój dom rodzinny.

Zawahała się, zlustrowała go od stóp do głów, a że wyglądał jak dżentelmen, ostatecznie przyjęła monetę.

– Dobrze, tylko szybko – zdecydowała.

Pachniał inaczej. To pierwsze, co zauważył. Był czysty i dobrze utrzymany, ale pachniał drewnem i bulionem z kurczaka, który kucharka musiała zostawić na piecu. W salonie pomalowanym na blady róż postawiono fortepian. Korytarz wyłożono przyjemną kremowo-brązową tapetą. Nad szyfonierą zawieszono obraz przedstawiający wybrzeże. Ale rozkład pomieszczeń był znajomy. I światło. Spływało ciekłą strużką z kopuły, malując na cienkim burgundowym dywanie znajome cienie. Niewiele się zmieniło, poza tym, że dawniej pokoje wydawały mu się większe i były utrzymane w odcieniach zieleni. Henderson pogładził płaskorzeźbioną poręcz i zaczął się wspinać po schodach.

– *Sir* – zaoponowała chodząca za nim krok w krok służąca.

Mógłby przysiąc, że w korytarzu na pierwszym piętrze zobaczył ducha, wspomnienie matki. Czy nie siadywała tam czasem, zawzięcie notując w swoim dzienniku? Być może pisała absurdalne listy, które ojciec tak cenił, przejęta domowym budżetem, postępami syna w matematyce i repertuarem operowym. Każdy podpisywała „z oddaniem”. Tak. Henderson pamiętał, stały tam krzesło i stoliczek z obitym ciemną skórą przenośnym sekretarzykiem – podobnym do tego używanego przez Marię, z mosiężnym zamkiem i kałamarzem w pulpicie. Papier był gruby, kremowy i przycięty dokładnie na taki format, jak życzyła sobie tego matka. Laski laku miały kolor krwi.

Służąca krzątała się – otwierała okiennice, sprzątała z podłogi bieliznę pościelową swojej pani – ale to nie miało większego znaczenia. Znalazł, czego szukał. Centrum wszystkiego.

– Dom – szepnął.

To było dziwne i niemożliwe uczucie, jakby widział dwa domy naraz. Poniekąd spodziewał się, że spotka samego siebie, jedenastoletniego, zbiegającego po schodach po nocy spędzonej na odkształconym materacu, który matka kazała umieścić w starym pokoju dziecięcym. Nagle zrozumiał, że „Bittersweet” nic nie znaczy. To było jego miejsce. Londyn. Dom taki jak ten. Może nie stanowił jego schedy, ale z pewnością wydawał się jego przeznaczeniem, a nawet spuścizną, którą po sobie pozostawi. Zbyt szybko został wykorzeniony. Być może zawartość

bloku czekolady i zyski ze sprzedaży ładunku pozwolą mu tutaj zostać. Nie dosłownie, oczywiście, ale w podobnym miejscu. Miał szansę odkryć na nowo to, co stracił. Dom. Poczucie angielskości. A był jeszcze pomysł Marii – wykład na temat ziaren oraz metod upraw drzew kakaowca w RHS i związane z nim korzyści. Akceptacja. Bycie częścią najpiękniejszego miasta na świecie i wspianego narodu, do którego przecież przynależał. Poblądził, ale przyszedł czas uporządkować sprawy.

– No, no – westchnął, wręczył służącej dodatkową sześciopensówkę, zbiegł ze schodów, pokonując po dwa stopnie, i ruszył w stronę Charing Cross Road.

Dobrze zrobił, że wrócił. Londyn wciąż tu był, a on stanie się jego częścią. W jakiś sposób czekolada mu w tym pomoże. To było jego miejsce.

---

[59] Korony i kotwice – przypominająca ruletkę stara marynarska gra hazardowa polegająca na obstawianiu wyniku rzutu trzech kości.

## W DRODZE DO LONDYNU

**D**otarcie do miasta na piechotę zajęło Samowi Pearsonowi tydzień. Zostawił pieniądze w domu, więc kiedy „Bittersweet” odpłynął, nie mógł w żaden inny sposób dostać się do Londynu. Z początku do przodu popychał go gniew. Pierwszego dnia, rozwścieczony tym, jak potraktowano go na statku, musiał zrobić z czterdzieści pięć kilometrów. Ale nawet gdy złość z powodu niesprawiedliwości ustąpiła, nie zwolnił tempa. Tak czy owak dżentelmeni z Old Street Bridge Club musieli się dowiedzieć, co zaszło. Zgodnie z prawem ładunek, który Henderson sprzedał, należał do nich. W rezultacie Sam szedł cały czas, kiedy nie spał, a jednego ranka, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Bracknell, udało mu się złapać okazję do Collingwood – w zamian za pomoc przy załadunku i rozładunku wozu. Nie jadł za dużo. Bliżej Londynu jeszcze trudniej było znaleźć pożywienie, rolnicy nie mieli ochoty płacić kolacją za jedną czy dwie godziny pracy. Nieważne.

Jak zwykle rozpoczął dzień o czwartej, jeszcze przed świtem, i na obolałych nogach, ze skręcającym się z głodu żołądkiem pomaszerował w stronę Old Street. Miał wrażenie, że miasto rozrasta się wokół niego. Idąc przez Notting Hill<sup>[60]</sup>, starał się trzymać na północ od Kensingtonu<sup>[61]</sup>, żeby trafić na właściwą uliczkę. Kilometry dalej, kiedy dzwony kościelne wybiły dziesiątą, a każdy krok zdawał się coraz wolniejszy, wreszcie dotarł na miejsce. Stojąc przed powalanymi błotem drzwiami, walczył chwilę z kluczem, który zawsze trzymał w kieszeni, po czym zaczął wspinać się na piętro.

W nieco zapuszczonym pokoju rzucił się na resztki jedzenia na stole niczym wściekłe głodny pies. Sięgnął po kawałek żółtego sera i pochłonął go w kilku kęsach, po czym wyłopał zwietrzały porter z pewterowego kufła. Znad Tamizy dobiegały odgłosy syren. W końcu syty, z brzuchem nabrzmiętym niczym bęben i powalany okruciami, odgarnął rude włosy na jedną stronę i wyciągnął się wygodnie na drewnianej podłodze. Wiedział, że dżentelmeni zjawią się dość późno – taki mieli zwyczaj. Martwił się, co powiedzą, ale przecież nie mogli winić jego za zdradę Hendersona. Zresztą przyszedł im o tym powiedzieć, prawda? Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało, gdyby na jego miejscu znalazł się Will. Bo to on powinien tutaj być. Poczłukanie smutku w sercu. Na zewnątrz świeciło słońce, w półmroku zasłoniętego okiennicami

pokoju Sam zasnął.



Obudził go przejmujący ból w nodze, ostry niczym kieł krokodyla. Gęsty cień wisiał nad nim jak zły duch. Cień szybko jeszcze raz zdzielił go pogrzebaczem, tym razem trafiając w kolano. Sam wrzasnął. Obrócił się, ale czuł takie rwanie, że z powodu szoku nie mógł wstać.

– To ja, *sir!* – zawołał. – Sam! – Skulił się ze strachu.

Cień zawahał się, a potem powiedział:

– Włamałeś się. Wynocha stąd, wszarzu jeden.

Głos należał do kobiety. Sam usiłował się skoncentrować. Czy to upiór? Zjawa zwiastująca śmierć? W końcu jego wzrok się skupił i z półmroku wyłoniła się pani Wylie.

– Bo pójdę po męża – pogroziła mu, cofając się parę kroków. – Pan Wylie był zapaśnikiem w Tyburn. Był mistrzem Londynu. Zgniółby takie nic jak byle muchę.

Titus Wylie nigdy nawet nie zajrzał do Old Street Bridge Club. Jedna z niepisanych zasad mówiła, że pani Wylie powinna wypełniać tutaj swoje obowiązki samodzielnie. Lecz była pewna, że w obecnej sytuacji jego obecność może mieć uzasadnienie.

Sam podniósł rękę, chwycił krzesło i z wysiłkiem dźwignął się z podłogi.

– Proszę – powiedział. – Nie rozumie pani. Oczekują mnie. Dżentelmeni.

– Jasne! – krzyknęła pani Wylie. – Stąd czuję twój smród. Przybłędó jedna! Że niby moi panowie mieliby oczekiwać na takiego cuchnącego śmiecia...

– Nie. Proszę pani, naprawdę. Niech pani spojrzy, dali mi klucz. – Sam sięgnął wolno do kieszeni, żeby nie przestraszyć kobiety, i wyjął klucz do drzwi frontowych. – Mam zająć się ich interesami.

– Raczej chcesz zwędzić, co się da.

– Zjadłem tylko resztki sera. Panowie zawsze mnie czymś częstują. Przyszedłem z daleka z wieściami, bez grosza przy duszy, byłem głodny. Raz ugościli mnie i mojego przyjaciela całą zapiekanką w cieście. Nie przeszkadza im to.

Oczy pani Wylie spoczęły na stole. Co za interesy może prowadzić bezwartościowy bezdomny śmierzuch z amatorami brydża? Z drugiej strony chłopak faktycznie miał klucz. Postanowiła przyjrzeć mu się lepiej. Zbliżyła się wolno do okna i zwolniła haczyk na jednej z okiennic. Przez oblepioną brudem szybę wpadł snop zakurzonego popołudniowego światła. Chłopak zmrużył oczy.

– Nie widziałam cię tu wcześniej – powiedziała z wahaniem.

– Ale ja panią widziałem. Tu, w tawernie. Po załatwieniu interesów zwykle wypijam małe

piwo w Rose. Ma pani świetną piwniczkę.

Pani Wylie opuściła pogrzebacz i zerknęła na kosz, w którym przyniosła kilka butelek wina, bochenek świeżego chleba, kawał ostrego sera i szynkę.

– Tak czy owak, nie mogę pozwolić na to, żebyś okradał moich panów. Skończysz na stryczku, chłopcze. Częstowanie to co innego niż branie. Nie wiesz tego?

– Już się najadłem – powiedział Sam. – Nie sprawię więcej kłopotów.

– I mówisz, że masz wieści?

– Tak jest, proszę pani – odparł stanowczo, kiwając głową, a dostrzegłszy, że pani Wylie czeka na dalsze wyjaśnienia, dodał spokojnie: – Pani robi dla dżentelmenów to, co do pani należy. Ja też robię swoje. – Pokuśtykał w głąb pokoju i opadł na jedno z krzesel. – Ma pani niezłą rękę, nie da się zaprzeczyć.

Pani Wylie odwróciła się. Wyczyściła szkło na stole zmiętą ścierką, która zwisała jej u paska, potem ustawiła w szeregu puste butelki i zebrała rozrzucone karty oraz arkusiki do zapisywania wyników.

– Chleb jest świeży. Nie waż się go dotknąć – upomniała „włamywacza”, stojąc już w drzwiach z nocnikiem w ręku. – Chcesz gorący okład na kolano? – zapytała. – Za dwa pensy mogę zrobić kompres. Wrócę tu, jak tylko wyleję nieczystości.

Sam pokręcił głową.

– Nic mi nie będzie.



Było już ciemno, kiedy Sam znów się obudził. Drzemał na krześle, gdy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

– Sam? To ty? – Charlie Grant sięgnął po świecę. – Spodziewaliśmy się ciebie już kilka dni temu.

Sam chciał zerwać się na nogi, ale kolano spuchło i zaraz opadł na krzesło.

– Co ci się stało, chłopcze?

Sam spojrział na niego z zakłopotaniem.

– Kobieta, która zajmuje się tym miejscem, myślała, że się włamałem.

Grant zachichotał i odłożył na bok laskę.

– Ach, nasza pani Wylie. Prawdziwa amazonka – powiedział. – A teraz niewątpliwie zżera ją ciekawość. Hayward może cię obejrzeć. W młodości studiował medycynę. No więc, gdzie jest Will? Masz jakieś wieści o ładunku?

– Mam wieści, *sir*, ale obawiam się, że niezbyt dobre.

Grant przystawił świecę do ognia, który buzował w kominku, a potem zapalił od niej dwie lampy oliwne.

– Liczy się tylko towar. Czy towar został zabezpieczony, Sam?

Sam pokręcił głową.

– Nie, *sir* – przyznał.

Grant odwrócił się do niego z marsową miną.

– W ogóle?

– Will Simmons zginął w Brazylii, *sir*. Kapitan statku zabrał wszystko. Próbowałem przekonać go, żeby wyładował towar, ale nie chciał. Ładunek wyładował w składzie celnym w Bristolu. Zapłacił podatek.

Żaden mięsień na twarzy Granta nie drgnął. Tylko jedna brew wygięła się w łuk.

– Zabrał wszystko? – Grant zamilkł groźnie, a potem rozsiadł się w jednym z foteli przy kominku. – Czy kapitan nie wie, że Willa finansowali inwestorzy?

Sam pokiwał głową.

– Przypomniałem mu o tym. Chce zapłacić wam, *sir*, podzielić zyski i tak dalej. Ale to śliski sukinkot. Kiedy powiedziałem mu, że towar nie należy do niego i nie on podejmuje tutaj decyzje, pobił mnie i zamknął w ładowni. Zerwałem się ze statku, jak tylko mogłem. Zawinął w Bristolu, ale mówił, że zamierza przyплыć do Londynu. Chce pozwiedzać, tak słyszałem. Nie wiem, za ile sprzedał ziarno. To prawdziwa gnida.

– Cóż, tak nie może być, chłopcze – Grant powiedział bez ogródek. – Towar nie jest jego, żeby mógł nim rozporządzać według własnego uznania. A wspomniał o czymś jeszcze?

– O czymś jeszcze?

– O bloku czekolady, który Will miał sprowadzić oprócz kakao?

– Nie – odparł Sam po chwili zadumy. – Mówił tylko o ziarnie, panie Grant.

– Co to za jeden?

– Nazywa się Henderson, *sir*. Ma taki dziwny statek, „Bittersweet”, z Brazylii. Obco wygląda. Na pokładzie jest kobieta.

Grant wzruszył ramionami. Kobiety nie miały żadnego znaczenia.

– Dama, znaczy się, *sir*.

– Rozumiem. – Grant pochylił się, ignorując otaczający Sama smród. Chłopak ewidentnie nie mył się od dłuższego czasu. – Powiedz mi wszystko, co wiesz. Zacznij od początku, nie pomini żadnego szczegółu.

Sam pokiwał głową, ale jego oczy spoczęły na butelce porto, którą pani Wylie zostawiła na stole.

– Nie powinniśmy czekać na innych? – zapytał.

Tym razem Grant stracił opanowanie i tak bardzo zacisnął dłoń na hebanowej lasce z lisią główką – swojej ulubionej broni – że aż zbiałała. Potem powoli podniósł laskę i stukał nią w spuchniętą nogę na tyle mocno, że chłopak drgnął z bólu.

– Rób, co mówię, albo załatwię ci drugie kolano – syknął. – Wszystko, chłopcze. Chcę znać każdy jeden cholerny szczegół. Natychmiast...

---

[60] Notting Hill – modna dziś dzielnica Londynu do początku XIX wieku miała charakter wiejski; gdy miasto zaczęło się rozprzestrzeniać na zachód około 1820 roku rejon ten stopniowo przekształcał się w zamożne przedmieścia.

[61] Kensington – dzielnica usytuowana w zachodniej części Londynu, na ziemiach należących w średniowieczu do opactwa Abingdon, do połowy XIX wieku miała w dużej mierze charakter miejsko-wiejski.

## DALEJ NA ZACHÓD

Henderson maszerował w górę Piccadilly, kiedy dzwony kościelne wybiły ósmą. Przed wspaniałymi rezydencjami paliły się już lampy, które rzucały na kamienne i ceglane pierzeje niewyraźne cienie. Błada wieczorna mgła była tutaj cięższa niż dalej w dole rzeki. Otuliła wodę i zawisała nad miastem, osiadając wokół budynków i przesączając się przez ubrania kapitana. Dżentelmeni w wieczorowych strojach mijali go miarowym krokiem, co jakiś czas z dudnieniem przetoczył się faeton. Przynajmniej nie było zimno. Spodziewał się, że będzie gorzej. Wyjął fajkę. Zatrzymał się przy Albemarle Street, żeby się upewnić, że tytoń złapał ogień.

– Numer pięćdziesiąt – wymamrotał.

Kryty łupkiem dach rezydencji należącej do Johna Murraya – wysokiego domu z wapienia portlandzkiego – niemal całkowicie zasnuła mgła. Henderson spojrzął w górę. Zastłony były zaciągnięte, ale nieuszczelnione, tak że z wewnątrz przebijało się ciepłe światło. Jeśli go wzrok nie mylił, dostrzegł przechodzący cień – ktoś był w środku. Kapitan palił w zamyśleniu. Było za późno, żeby odwiedzać kogoś bez zaproszenia, nie miał też ze sobą wizytówek. Ale może wystarczy powołać się na Marię Graham. Żywił nadzieję, że może ją zastanie. Ilekroć mówiła o salonie Murraya, jej oczy nabierały blasku – co się nie zdarzało, kiedy dyskutowali o jej małżeństwie. Wydawało się, że Albemarle Street stanowiło centrum wszystkiego.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i zapukał do drzwi. Wysoki lokaj wyjrzał w ciemność.

– Kapitan Henderson do Johna Murraya.

Korytarz za kamerdynerem oświetlały dwa ozdobne kandelabry. Pewnie francuskie – pomyślał Henderson.

– Czy pan Murray pana oczekuje, *sir*?

– Nie – przyznał Henderson. – Pani Graham zasugerowała, bym go odwiedził. Czy go zastałem?

– Dowiem się.

Drzwi się zamknęły. Henderson zaciągnął się fajką. Mgła robiła się coraz gęstsza, okienko nad drzwiami stanowiło już tylko rozmazaną ciemnożółtą plamę. Na ulicy za sobą słyszał kroki,



ale tylko co jakiś czas dostrzegał niewyraźny zarys przechodzącego mężczyzny albo mamroczącego pod nosem małego gońca. Usiłował zebrać myśli.

Maria wspomniała, że Murray może być zainteresowany jego wiedzą botaniczną. Jeśli o to chodzi, zdecydował, że zaproponuje wydawcy traktat poświęcony kultywacji drzew kakaowca. Od czasów nastoletnich rzadko kiedy pisał. List do Marii w Natalu był pierwszym od długiego czasu. Niemniej jednak okazał się sukcesem, a poza tym Maria miała rację – przez lata zdobył naprawdę sporą wiedzę na ten temat. Musiał się tylko przyłożyć i przelać na papier swoje przemyślenia. To nie powinno być zbyt męczące, zwłaszcza jeśli miało przynieść wymierne korzyści.

Henderson opróżnił fajkę i schował ją do kieszeni. W końcu drzwi otworzyły się znowu, tym razem ze skrzyknięciem.

– *Sir?* – zapytał lokaj. Żółte światło nie dochodziło do krawędzi schodków, gdzie stał Henderson.

– Jestem.

– Pan Murray pana przyjmie. Proszę wejść.

Przestąpiwszy próg, poczuł się jak na poświęconej ziemi. Korytarz miał w sobie atmosferę podniosłości. Murray publikował przecież dzieła wybitnych przedstawicieli nauki i literatury. Najznakomitsi pisarze świata przemierzali ten hol prowadzeni na piętro. Nic dziwnego, że prezentował się tak wspaniale. Klatka schodowa wznosiła się eleganckim łukiem, wzdłuż niej umieszczono balustradę z poręczą i ozdobnymi słupkami. Dom pachniał skórzanymi oprawami oraz topiącym się masłem. Kiedy lokaj wiódł go na górę, Henderson starał się nie myśleć o poezji lorda Byrona. W rzeczy samej próbował nie myśleć o jakimkolwiek innym słynnym autorze Murraya. Jeśli Maria mogła być częścią tego świata, to on też.

Drzwi na końcu korytarza otwierały się na utrzymany w odcieniach żółci wykwintny salon o wysokim suficie. Siedzący w nim mężczyzna w stroju wieczorowym wstał, by przywitać gościa. Henderson miał wrażenie, że śni. Ciepłe światło stanowiło ostry kontrast dla ciężkiej mgły i sprawiało, że wszystko wydawało się wyjątkowo żywe. To było niemal szokujące. Nad kominkiem wisiał ogromny portret olejny. Jedną ze ścian zasłaniała biblioteka pełna oprawionych w skórę tomów. Przed nią stało zasłane rękopisami biurko z orzecha, zdawało się, że manuskrypty za chwilę spłyną na orientalny dywan. Henderson czuł, że nie może oddychać – jakby tonął, ale nie w wodzie, tylko w dziwnej mieszaninie tuszu, tradycji i dobrych manier.

– Kapitan Henderson? Jestem John Murray, *sir*. A to moja żona.

Henderson uklonił się.

– James Henderson – powiedział, przenosząc uwagę na siwą kobietę, ubraną tak samo elegancko i bezpretensjonalnie jak mąż. Wydawało się, że para spędza ten wieczór we własnym

towarzystwie. – Proszę wybaczyć tak późną porę.

– Ale ma pan wieści o pani Graham?

Henderson przestąpił z nogi na nogę.

– Miałem nadzieję, *sir*, że mogę ją tutaj spotkać.

– Tutaj? – Murray powtórzył zdziwiony. – W moim domu?

Pani Murray poruszyła się nieznacznie.

– Tak. Rozłączyliśmy się z panią Graham w Bristolu pięć dni temu. Spodziewała się, że dotrze do Londynu przede mną i miała udać się tutaj zaraz po przybyciu.

– To znaczy, że jest w Anglii? – Uśmiech Murraya był cieplejszy niż ogień, który buzował w kominku. – Jest pan zatem przyjacielem pani Graham, *sir*?

Henderson pokiwał głową.

– Dowodziłem statkiem, na którym podróżowała do Anglii.

– Kapitanie, proszę usiąść. To świetne wiadomości, nieprawdaż, moja droga? Czy chciałby się pan czegoś napić, *sir*? Brandy? Porto?

Henderson zawahał się.

– Brandy – odparł zaniepokojony.

– Proszę usiąść – nalegał Murray, wskazując szeroką sofkę z poduszkami w kolorze ochry i intarsjowanymi złotem drewnianymi podłokietnikami. Henderson nie wierzył, że mogła być wygodna.

– Powinna już tu być – powiedział. Wszystkie myśli na temat ziaren kakaowca, uznania RHS czy pisania książki w jednej chwili wyleciały mu z głowy. – Nie rozumiem. Chciała jak najszybciej znaleźć się w Londynie, dlatego postanowiła jechać z Bristolu dyliżansem. Pracowała nad dwoma rękopisami.

– Dwoma? – Murray rozpromienił się. – A więc dokonała tego. Brazylia i Chile. Pisała, że ma takie plany, i je zrealizowała. No, no.

– Nie rozumie pan, *sir*. Pięć dni to za długo na podróż z Bristolu. Ja płynąłem do Londynu. Pani Graham wyjechała przede mną. Powinna być już na miejscu.

Murray podał mu kieliszek z bursztynową brandy i usiadł obok żony, która osłoniwszy twarz od ognia za pomocą wachlarza, w milczeniu obserwowała kapitana. Wydawca nie widział powodu, by tracić dobry humor.

– Możemy tylko przypuszczać, że nastąpiło jakieś opóźnienie.

Henderson umoczył usta. Szacował, że Bristol od stolicy dzieliło około dwustu kilometrów. Droga nie była szczególnie niebezpieczna. Zdeterminowany jeździec na dobrym koniu mógłby pokonać taki dystans w jeden dzień. Dyliżanse jechały zwykle wolniej, mając na uwadze

komfort pasażerów. Bristol Rocket, którego końcowy przystanek znajdował się w centrum Londynu, miał dwukrotnie zatrzymać się na noc. To, że pani Graham nie dotarła tu przed „Bittersweet”, było niepojęte. Henderson wypił duszkiem resztę brandy.

– Czy wie pan może, *sir*, dokąd dojeżdżają dyliżanse z Bristolu? To znaczy, gdzie się zatrzymują na końcu podróży?

John Murray zamyślił się. Choć mniej niż dwa kilometry od jego domu znajdowało się kilka przydrożnych zajazdów, on sam rzadko kiedy opuszczał stolicę. A ponieważ wysyłał mnóstwo paczek z książkami do księgarń w całym kraju, dobrze wiedział, jak opuścić Londyn, ale nie, jak do niego przyjechać.

– Golden Cross<sup>[62]</sup> jest najstojniejszy w tej okolicy. W Charing Cross. Każdy go panu wskaże. W Londynie mamy wiele przydrożnych zajazdów, kapitanie Henderson. Najbardziej znany w Islington<sup>[63]</sup>, ale to nieodpowiednia część miasta. Sądzę zatem, że jeśli dyliżans jedzie z zachodu do centrum, to musi to być Golden Cross – stwierdził. – Jednak nie powinien się pan denerwować. Maria jest wyjątkowo twardą kobietą. Nie sądzą, żeby stała się jej jakaś krzywda podczas podróży z Bristolu. Może złamało się koło. To nie jest niezwykcyjne. A może po prostu znalazła dobre towarzystwo. Musimy mieć taką nadzieję.

Henderson odstawił kieliszek.

– Poczuję się lepiej, jeśli to sprawdzę. – Wstał.

Pani Murray pokiwała głową, a skonsternowany pan Murray zerwał się na nogi. Kapitan Henderson był ciekawym osobnikiem. W podróżach jeden czy dwa dni nie mają znaczenia. A może po prostu źle się czuł w towarzystwie wydawcy – Murray zdawał sobie sprawę z tego, że środowisko wywodzących się z bogatych rodzin artystów i naukowców nie każdemu przypadło do gustu. Mimo że Henderson odwiedził ich, kiedy byli sami, Albemarle Street była dość znanym miejscem. Kapitan mógł się czuć onieśmielony.

– Jest pan człowiekiem czynu, prawda? No cóż, dziękuję za wieści na temat pani Graham. Poinformuję moich drukarzy, żeby byli gotowi. Z niecierpliwością będziemy jej oczekiwać i z radością opublikujemy jej kolejne dzieła. Mógłby pan zostać na obiad. Zapraszam. Niedługo przybędą goście.

Henderson pokręcił głową. Część osób z londyńskiego towarzystwa wiele by dała za taką propozycję. To było dokładnie to, o czym marzył, stojąc przed drzwiami.

– Dziękuję, *sir*. – Skłonił się. – Być może innym razem.

Na nieoświetlonej lampami ulicy Henderson potknął się raz czy dwa, ale na Piccadilly ruszył za lepiej przygotowanymi na taką pogodę dżentelmenami. Zlokalizowanie zajazdu w Charing Cross nie było trudne – na nieprzyjemnie zimne i mokre podwórze wylewały się z niego wybuchy śmiechu i odgłosy waśni. Oświetlenie było tak słabe, że znaku kołyszącego się nad

drzwiami nie dało się odcyfrować.

– Dylizans z Bristolu? – Henderson zagadnął mężczyznę stojącego na zewnątrz. – Rocket?

Gość wzruszył ramionami i machnął w stronę zatłoczonego wnętrza.

Golden Cross nie spełniał oczekiwań, które niosła ze sobą nazwa. Nie był ani złoty, ani w żadnym wypadku świąty. Zatłoczone pomieszczenie z drewnianymi stołami w niczym nie przypominało salonu Johna Murraya. Pałace się końcówki świec dawały zaledwie szarawą poświatę. Po drugiej stronie niechlujne kelnerki odbierały tace pełne poobtlukiwanych kufli z piołunowym ale<sup>[64]</sup>. „Pens za pintę! Purl<sup>[65]</sup>! Pens za pintę!” – pokrzykiwały, krążąc między stołami. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny smród wymiocin. Przy jednym ze stołów kobieta wróżyła z kart. Przy innym mężczyzna z długą igłą przekłuwał ucho chłopcu. Malec tak mocno oberwał za płacz, że spadł na podłogę – klepisko pokryte trocinami zmieszanyymi z płynami ustrojowymi.

– Dylizans z Bristolu? – Henderson zagadnął jedną z kelnerek.

– Odjeżdża dopiero jutro, *sir*. O drugiej po południu.

– Chodzi mi o przyjazd. – Henderson złapał ją za rękę. – Żaden dylizans nie przyjechał?

Dziewczyna wyswobodziła się z uścisku, rozlewając błądy płyn na podłogę, i bez wahania mocno nastąpiła Hendersonowi na stopę.

– Odepierz się. Nie dotykaj mnie więcej – syknęła, odmaszerowując.

Henderson, nieco wstrząśnięty, nie próbował za nią iść. W zamian za to wyszedł na ciemne podwórze z tyłu zajazdu. Konie nakarmiono i odprowadzono do stajni. Powozy zaparkowano. Ale pod strychem na siano kilku chłopców grało w kości na połamanej beczce.

– Wiecie, co się stało z dylizansem z Bristolu?

– Przyjechał w porze lunchu, proszę pana – odparł jeden z niedorostków, przywódca grupy.

– Wszystkie przyjechały w tym tygodniu o czasie?

Chłopak zagapił się na niego.

– Jeden został obrabowany – odparł w końcu. – Pod White Waltham<sup>[66]</sup>. Tak mówią.

Henderson wyjął z kieszeni szylinga i go podniósł.

– Jeśli powiesz coś więcej, dostaniesz monetę. Szukam pewnej damy.

– Za szylinga? – Chłopiec roześmiał się, a jego kompani porzucili grę i stanęli za nim ze wzrokiem wbitym w monetę, niczym zaczarowani. – Słyszałem, że informacja jest złotem. Tak mówią – rzucił dzieciak z beczelnym uśmieszkiem. – Ma pan więcej? – Wyciągnął rękę.

– Szyling wystarczy – powiedział Henderson spokojnie.

Chłopak przestał błaznować, niepewny, co zrobić w obliczu takiej repliki. Medytując, jak postąpić, przygryzł wargę i wiercił stopą w zeschniętym błocie. Nie spuszczał oczu z monety.

– Dwa szylingi – spróbował.

Henderson złapał go za kołnierz.

– Chcesz szylinga czy nie? Mogę zapytać oberżystę i pewnie nic mu za to nie będę musiał zapłacić. Twoja decyzja.

Chłopak westchnął.

– Zabrali pocztę i bagaż, ale dama dała im popalić. Harda babka. Oczywiście nie patyczkowali się z nią. Jest w zajeździe w White Waltham. Wychodzi z szoku, nie? Bo damy nie są przyzwyczajone do obrywania.

Henderson rzucił monetę, a chłopak ją szybko złapał.

– Muszę natychmiast wynająć konia.

– Teraz, proszę pana, o tej porze to będzie pana kosztować.

Henderson roześmiał się.

– Będziesz milionerem, nim skończysz dwanaście lat, synu. Masz trzy szylingi. To uczciwa cena. Potrzebuję konia, który umie poruszać się cwałem w nocy i dotrze do White Waltham. Dostaniesz sześć pensów ekstra, jeśli będzie gotowy do drogi w ciągu dziesięciu minut.



Na obrzeżach miasta mgła zelżała. Skrawek księżycy niewyraźnie oświetlał trakt. Było już po dziesiątej, więc w przydrożnych obejściach pogaszono lampy. Rolnicy wstawali wcześniej i nie pracowali do późnej nocy. Poza rozbawionym Londynem Anglia chodziła spać, kiedy robiło się ciemno. Gawrony schowały się w koronach drzew. Z zarośli wybiegł lis, zielonooka błyskawica.

Henderson spał się. Miał przed sobą jeszcze sześćdziesiąt kilometrów. Albion, klacz, którą dał mu chłopak, była wystarczająco wytrzymała jak na zwierzę wypożyczane na godziny, ale siodło i uzda okazały się marnej jakości. Zresztą i tak największy problem stanowiła nawigacja. W zajeździe znalazł gościa, który powoził dyliżansem pocztowym. Za kolejnego szylinga facet objął mu drogę. Niby wszystko brzmiało prosto, jednak w ciemności łatwo o pomyłkę, a w przeciwieństwie do morza na suchym lądzie nie da się od razu skorygować kursu. Gdyby ominął właściwą drogę albo skręcił nie tam, gdzie trzeba, musiałby wrócić po swoich śladach lub mieć nadzieję, że na trakcie znajdzie kolejny zjazd. Na oznakowanie nie należało liczyć, na szczęście Henderson znalazł się na gwiazdach. Wielki Wóz wisiał jasno na niebie, dzięki czemu łatwo było znaleźć Gwiazdę Polarną.

– Dalej, Albion – pogonił wierzchowca.

Po raz ostatni dosiadał konia rok wcześniej. Z Thysem Bagdorfem wybrali się na rajd po trynidadzkich wyżynach. Wtedy podróż w siodle wydawała mu się czymś rozkosznym.

Pozwalała uciec przed przejmującym skwarem, zwłaszcza gdy podrywali się do galopu tam, gdzie podszyt im na to pozwalał. Po kilku tygodniach na pokładzie był to mile widziany powiew wolności. Tym razem jednak Henderson czuł, że ma skostniałą z zimna twarz i cieknie mu z nosa. Miał też nadzieję, że uzda wytrzyma, aż dotrze do zajazdu.

Nie wiedział, że w Wielkiej Brytanii jest tyle małych wiosek, osad i gospodarstw rolnych. Brazylię pokrywały nieprzebyta dżungla oraz ogromne plantacje. Można było podróżować przez kilka dni i nikogo nie spotkać na szlaku. Anglia była inna. Ogrody warzywne na obrzeżach Londynu zajmowały zaledwie parę hektarów każdy, a wsie rozsiane były wzdłuż całej drogi. Upiorny pejzaż pomiędzy osadami przywoływał koszmary z dzieciństwa.

Po dwóch godzinach Henderson dotarł w okolice Bracknell<sup>[67]</sup>, o czym poinformował go dąb udekorowany białymi wstążkami zrobionymi z porwanych prześcieradeł. Woźnica dylizansu podczas opisywania trasy wyjaśnił mu, że to lokalny zwyczaj, który zapoczątkowali wieśniacy z Bray, ale nie wiedział dlaczego. Drzewo wylaniało się z ciemności, skrawki materiału upiornie tańczyły unoszone nocną bryzą. Klacz spłoszyła się, ale Henderson zapanował nad nią, choć przez chwilę serce miał w gardle. Łatwo było spanikować w smolistej czerni.

– Spokojnie, spokojnie, Albion. Jesteśmy, już niedaleko. Bardzo blisko.

Zaklaskał w ręce, aby je rozgrzać. Zostało już tylko raptem pięć kilometrów, ale droga była nierówna i miał wrażenie, jakby musiał pokonać trzydzieści. Przynajmniej księżyc stał wysoko, dzięki czemu łatwiej było omijać wyboje. Na ostatnim odcinku nie dostrzegł żadnego domu, w końcu z ciemności wyłoniła się wioska. Henderson zatrzymał się przed zajazdem. W dwukondygnacyjnym budynku parter wzniesiono z cegły, piętro z muru pruskiego. Nad drzwiami kołysał się szyld z dość szkaradnym dębem obwiązany białymi wstążkami.

Przez szczeliny w okiennicach i pod nimi wydostawało się światło. Kapitan zdołał dostrzec mały ogień w kominku i palące się świece. Zsunął się z siodła i trzymając uzdę, załomotał do drzwi. Potem jeszcze raz. W końcu zasuwka kliknęła i w drzwiach stanęło dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyraźnie został wyrwany ze snu.

– Czego? – zapytał starszy z nich opryskliwie. W rękę trzymał ciężką pałkę.

– Czy to White Waltham?

– Oczywiście.

– Szukam kobiety, która została poturbowana podczas rabunku dylizansu.

Starszy mężczyzna spojrział na młodszego, ale żaden się nie ruszył. Henderson cieszył się, że zabrał nóż. Wyglądali na bandytów, co nie należało tu do rzadkości. Poza tym wyciągnął ich z łóżek niemal o północy.

– Przyjechałem, żeby się upewnić, że nic jej się nie stało – naciskał.

Gospodarz powoli łagodniał.

– Zajmij się wierzchowcem pana, Robbie. Proszę za mną, *sir*.

Pachniało tytoniem i pieczonym mięsem. Pomieszczenie z przyciemnionymi przez dym, topornie ociosanymi filarami rozrastało się, tworząc labirynt przytulnych zakątków. Nierówna podłoga trzymała gorąco rozchodzące się z kominka, więc wewnątrz było ciepłej niż na zewnątrz, co nie było powszechnie spotykane w zajazdach, zwłaszcza w nocy. Henderson poczuł ulgę.

– Będzie pan potrzebował pokoju – powiedział gospodarz.

– W rzeczy samej.

– Pół korony<sup>[68]</sup>.

Henderson podał monetę.

– Muszę od razu zobaczyć tę panią. Czy nic jej nie jest?

Mężczyzna zbadał srebro, po czym wsunął monetę do sakiewki przy pasku.

– Przestraszyła się, ale dochodzi do siebie. Eleanor! – zawołał.

Niemal natychmiast zza baru wyskoczyła drobna służąca. Musiała tam spać. Wygładziła fartuch, niemal dotykając uszu ramionami, tak przestraszył ją krzyk gospodarza. Ręce miała szorstkie, zaczerwienione, jakby przed chwilą szorowała garnki. Cienkie włosy nieokreślonego koloru opadały jej prawie do pasa.

– Tak, wuju – zapiszczała.

– Ten dżentelmen chce zobaczyć damę, co to niedomaga po rabunku.

Choć dziewczynka wydawała się przerażona, zaoponowała.

– Ale pani jest już w łóżku, wuju. Wszyscy goście już śpią.

Gospodarz zawisł groźnie nad siostrzenicą, jakby chciał pokazać kły i odgryźć jej głowę. Henderson był klientem z pieniędzmi, dżentelmenem. Mógł życzyć sobie wszystkiego.

– Zaprowadź mnie do niej – wtrącił się Henderson. – Ucieszy się, przyrzekam. Przyjechałem pomóc.

Dziewczynka wpatrywała się w buty Hendersona, jakby oceniała prawdziwość jego słów na podstawie jakości skóry. Potem dygnęła, sięgnęła po świecę i przemknęła szybko koło wuja, oczekując szturchańca, który na szczęście nie nadszedł.

Henderson ruszył za nią po ciemnych drewnianych schodach. Na piętrze znajdowały się pokoje. Dziewczynka zatrzymała się przed jednym z nich. Blask świecy tworzył lśniące jezioro. Cicho zapukała do drzwi. Jej zaczerwieniona dłoń wydawała się maleńka. Chciała ponownie zapukać, ale Henderson ją powstrzymał.

– Wystarczy. Możesz już iść – powiedział. – Zejdę później i zaprowadzisz mnie do mojego pokoju.

Zawahała się, ale nie próbowała się klócić. Oddała świecę, dygnęła i zniknęła w głębi korytarza. Henderson zapukał jeszcze raz, mocniej. Nikt nie odpowiedział. Przekręcił żelazną klamkę.

– Mario, dobrze się czujesz? – zapytał, wchodząc do środka.

Pokój był mały i o ile mógł dostrzec, jego główne wyposażenie stanowił cienki materac położony na prowizorycznej drewnianej ramie. Rozrzucana słoma przykrywała gołe deski. Henderson nachylił się i delikatnie potrząsnął śpiącą pod kołdrą postać.

– Mario, obudź się.

Poruszyła się, odsuwając się od jego ręki. Jej twarz tonęła w cieniu.

– Augustus? – wymamrotała zaspana.

– To ja, James. – Henderson z wdzięcznością przycisnął usta do jej dłoni. – Przybyłem, gdy tylko usłyszałem. Wiedziałem, że podróż trwa za długo i że coś musiało się stać.

Nagle Maria usiadła sztywno i wyszarpnęła dłoń z jego ręki. Niewyraźna sylwetka w jakiś sposób nie pasowała do oczekiwań. Kapitan przysunął świecę i natychmiast zrozumiał swój błąd. Zbyt późno, bo z ust nieznamyj kobiety wyrwał się przeraźliwy krzyk. Odskoczył. Pokój, teraz to do niego dotarło, nie pachniał tak jak trzeba. Nie czuł nawet nuty olejku z orchidei. Jeśli już, to stęchłe warzywa.

– Ratunku! – wołała kobieta. – Na miłość boską, łaski!

– *Madam* – zaoponował Henderson. – Proszę. To fatalne nieporozumienie...

Nim dokończył zdanie, został przyparty do otwartych drzwi przez zwalistego mężczyznę, który przybiegł z pokoju w dalszej części korytarza. Był niczym ogromny, ciężki pies stróżujący. Kapitan upuścił świecę – ta zgasła, pograżając pokój w mroku. Przez głowę przeszło mu, że gospodarz miał pałkę i że jeśli przyleci na pomoc kobiecie, trudno będzie mu się wywinąć.

– Co, do licha, robisz w pokoju mojej siostry? – warknął mężczyzna, plując mu w twarz.

Było tak ciemno, że Henderson ledwo mógł dostrzec rysy jego twarzy.

– To pomyłka. Szukam damy, która została poturbowana podczas napadu na dyliżans.

Facet nie słuchał. Trzymał Hendersona za szyję i ścisnął coraz mocniej.

– Też mi pomyłka – syknął, kiedy Henderson próbował go odepchnąć. – Wydaje mi się, że próbujesz się narzucać. Sądziłeś, że moja siostra jest bezbronna?

– Szukam kogoś innego. Nie obchodzi mnie pańska siostra. Naprawdę.

Ręce zacisnęły się jeszcze mocniej. Zrozumiawszy, że nie ma innej możliwości, Henderson zgiął nogę i mocno uderzył kolanem. Mężczyzna zaskowyczał i upadł. Henderson wypadł na pograżony w ciemności korytarz. Już miał zbiec ze schodów, kiedy usłyszał skrzypnięcie. Otworzyły się kolejne drzwi. Stała w nich Maria. Boso, w białej koszuli, z lampą w ręku,



zdawała się szybować nad podłogą.

– James? Co się tutaj dzieje? – zapytała, przechodząc obok Hendersona i zaglądając do pokoju.

Mężczyzna na podłodze jęczał. Kobieta wstała z łóżka, żeby mu pomóc.

– Mario – powiedziała – pomóż mi z Augustusem. Co za brutal! Brutal!

– Coś ty zrobił? – Maria odwróciła się do Hendersona.

– Przyjechałem pomóc. Zostałaś napadnięta...

Spojrzenie Marii stwardniało.

– Nie jestem ranna. Nie bądź śmieszny.

Maria nachyliła się, by pomóc Augustusowi stanąć, i posadziła go w nogach łóżka jego siostry.

– Pani Graham, czy zna pani tego mężczyznę? – wydusił z siebie Augustus. – Uderzył mnie kolanem w brzuch.

Henderson wiedział, że to nieprawda. Uderzył go kolanem znacznie niżej.

– Jamesie, nie możesz włamywać się do sypialni damy. Biedna panna Calcott musiała się przerazić na śmierć. Mam nadzieję, że ją za to przeprosiłeś.

– To był niezamierzony błąd – wymamrotał Henderson.

– Nieprawda – zaoponowała Maria. – Wszedłeś do niewłaściwego pokoju, ale jak sądzę, zamierzałeś przeszkodzić mi we śnie. Włamywać się do sypialni damy. Co może być bardziej bulwersującego? Coś ty sobie myślał, na Boga?

Henderson poczuł, że krew w nim wrze.

– Myślałem, pani Graham, że może pani potrzebować pomocy. Z tego powodu jechałem tu w nocy w kompletnych ciemnościach.

– Ale ja już przyjechałem mojej siostrze na pomoc, *sir*. – Augustus wstał. – I jutro zawiozę obie panie do Londynu bez pańskiej pomocy.

– To twój brat, Mario? Dzięki Bogu, że wydobrzałaś.

Maria aż się wzdygnęła. Taka poufałość była nie do przyjęcia. Czy on tego nie widzi? Jeśli mu na niej choć trochę zależy, powinien być ostrożniejszy.

– Absolutnie nic mi nie jest – powiedziała stanowczym tonem. – Pan Calcott nie jest moim bratem. Nie potrzebuję eskorty. I z całą pewnością nie potrzebuję, żeby mnie ratować. Co za idiotyzm.

– Ale musiałaś walczyć z rabusiami. Zostałaś pobita.

– Cóż, to tylko część prawdy. I choć to nie twój interes, panna Calcott także podróżowała dylizansem z Bristolu. Kiedy zostaliśmy zatrzymani, faktycznie stawiałam czoła rozbójnikom.

Zabezpieczyłam rękopisy, kiedy kradli resztę bagażu. Takie papiery nie mają żadnej wartości dla nikogo poza mną i panem Murrayem. Pod tym względem byli dość rozsądni. Jednakże panna Calcott postanowiła spróbować szczęścia i w ten sam sposób uratować obraz. A dokładniej obraz autorstwa Augustusa, który jest jej bratem. Niestety, nie chcieli się rozstać z łupem.

– Łajdacy – warknął Augustus.

Panna Calcott osunęła się na brzeg łóżka, jakby na samo wspomnienie napadu nie była w stanie utrzymać się na nogach.

– Nie mogę sobie wyobrazić, co myślałeś, decydując się na takie, takie... nadużycie – Maria zbeształa Hendersona. Wrzała w niej złość. Jak mógł być tak głupi?

Henderson spojrzał na nią niepewnie.

– Ale mogłaś przecież kontynuować podróż do Londynu. Jesteś co najmniej dwa dni spóźniona. A pan Murray na ciebie czeka. Jeśli nic ci nie jest, dlaczego po prostu nie ruszyłaś dalej? Przecież jechały tędy inne dyliżanse.

– Zostałam, żeby zaopiekować się panną Calcott, która tak jak ja podróżowała samotnie. – Maria mówiła wolno, jakby zwracała się do kogoś niepełnosprawnego intelektualnie. – Wysłałyśmy wiadomość do Augustusa, a on zjawił się dziś po południu, by zabrać siostrę do domu. Uprzejmie zaproponował, że mnie również podwiezie, więc nie muszę szukać szczęścia w innym dyliżansie.

– Myślałem – zaczął Henderson.

– Co sobie myślałeś, jest dla mnie kryształowo jasne, ale to z pewnością nie twoje miejsce, Jamesie. To tak nie działa – syknęła. – Szczerze mówiąc, to, że tego nie rozumiesz, jest doprawdy niepokojące. A teraz przepraszam, panowie, chciałabym zająć się panną Calcott.

Augustus posłusznie pokuśtykał na korytarz. Henderson ruszył za nim. Wyglądał na tak sponiewieranego, że jego niedawny oponent zlitował się nad nim.

– Proszę za mną – powiedział. – Napijemy się czegoś przed snem. W tym czasie zdążą przygotować panu pokój.

Gospodarz, jeśli słyszał awanturę na piętrze, nie pokazał tego po sobie. Spokojnie siedział przy ogniu, dłubiąc w zębach. Na prośbę pana Calcotta przyniósł grzane brandy. W świetle Henderson miał okazję ocenić swojego przeciwnika. Calcott był krzepkim mężczyzną po czterdziestce. Miał na sobie bryczesy i luźną koszulę. Usiłował przyczesać włosy w nieładzie.

– Augustus Calcott – przedstawił się i wyciągnął rękę.

– James Henderson. – Kapitan potrząsnął jego dłonią i opadł na krzesło.

– Skąd pan zna panią Graham?

Henderson roześmiał się.

– Dowodziłem statkiem, którym płynęła z Brazylii.

Calcott pokiwał mądrze głową.

– Rozumiem – powiedział i obrzucił Hendersona wszytkowiedzącym spojrzeniem. – Podejrzewam, że bardzo łatwo zostać przez nią oczarowanym. Pewnie zdarza się to cały czas. To niezwykła kobieta. Moja siostra i ja mamy wobec niej dług wdzięczności. Wie pan, że zasłoniła siostrę własnym ciałem, kiedy ci łajdacy ją zaatakowali. Kazała im przestać.

Henderson pokiwał głową. Oczywiście, że to zrobiła.

– Chciałem tylko pomóc – powiedział słabym głosem. – Martwiłem się, że ktoś zrobił jej krzywdę.

Calcott zajął miejsce po drugiej stronie kominka. Ruda czupryna oparła się jego zabiegom i opadła mu na twarz.

– Ale pani Graham ma rację, nieprawdaż? To nie pana miejsce.

Gospodarz wrócił z dwoma kuflami.

– Zrobiłem słodkie, *sirs* – powiedział. – Jeśli będą sobie panowie życzyć czegoś jeszcze, proszę zawołać małą Eleanor. Jest za barem. Idę spać. Wolny pokój, *sir*, jest na końcu korytarza. Jedyny, jaki został, jak się okazało.

Henderson upił długi łyk brandy, wpatrując się w plecy odchodzącego gospodarza zajazdu. Po długiej podróży gorący, słodki napój smakował wybornie. Potrzebował czegoś na poprawienie humoru. Został poniżony i czuł to głęboko.

– Jazda w ciemności to coś, wyobrażam sobie – zagaił Calcott jowialnie. – Nie jestem pewny, czy bym ją zaryzykował. Miał pan szczęście. Jakkolwiek by było, rabusie wciąż tam są.

Henderson ożywił się. Może wyszedł na głupca, ale nie był tchórzem.

– Jeździec na koniu nie ma ze sobą wiele. Z ich punktu widzenia pewnie lepiej poczekać i za dnia napaść na jakiś lepszy powóz. Podejrzewam, że pan ma lepszy powóz, panie Calcott.

Calcott roześmiał się.

– Lubi ją pan, prawda? – Napił się. – Cóż, pani Graham nigdy panu tego nie wybaczy. Poczula się ośmieszona.

Henderson poczuł mdłości. Gość miał rację. Nie znajdował się teraz na pokładzie statku, obserwowany przez załogę. Maria się wściekła. Naprawdę źle ocenił sytuację.



Długo po północy lampiony rozwieszane na pokładzie na „Bittersweet” kołysały się wraz ze statkiem. Trzech mężczyzn spało na rufie, jeden cicho pochrapywał. W mroku pan Clarkson pokazywał Richardowi, jak rzucać nożem, tak by wirujące ostrze wbiło się w cel. Gdy nóż

poszybował elegancko i wbił się głęboko w oznaczony kredą fragment drewnianej beczki, na twarzy Richarda pojawił się wyraz błogości.

– Ta beczka jest mniej więcej wielkości dorosłego mężczyzny – zauważył mat. – Jeśli pan w nią trafi, dopadnie pan gościa i załatwi go na amen – dodał pogodnie, wyciągając nóż. – No dalej, pana kolej.

Richard próbował nie wyobrazić sobie, co jego matka pomyślałaby o tego typu ćwiczeniach, choć widmo jej dezaprobaty niepomierne go cieszyło. Znalazł swój środek ciężkości, spojrzął na beczkę, wyciągnął nóż, zamachnął się i wyrzucił go w powietrze.

– Dobry rzut – stwierdził z zadowoleniem pan Clarkson, gdy czubek ostrza dosięgnął celu.

Chłopak aż się rozjaśnił i po raz kolejny posłał nóż w stronę beczki. Tym razem wbił się mocniej.

– Praktyka czyni mistrza, nie?

Kojąca bryza mocniej zabijała lampionami. Dwóch marynarzy skinęło lekko matowi, idąc zmienić wachtę.

– Jutro możesz zejść na ląd, Sandy – pan Clarkson poinformował wesoło jednego z nich. – Znajdziesz sobie babkę?

Kiedy Sandy się wzdrygnął, jego kompan zarechotał. Żyłasty, mierzący sto osiemdziesiąt centymetrów Sandy potrafił skakać po masztach jak mała, ale był tak nieśmiały, że nie radził sobie z dziewczynami. Bez słowa zajął swoje miejsce z widokiem na nabrzeże.

Richard oparł się o jedną z beczek ustawionych przy bezanmaszcie.

– A pan, *sir* – zapytał Clarkson. – Zamierza nas pan w najbliższym czasie opuścić?

Richard wzruszył ramionami. Nie chciał tego. Miał odwiedzić Gowerów, kuzynów, którzy rezydowali po drugiej stronie miasta, w Marylebone, znacznie bardziej przyzwoitej niż Greenwich. Ich dom był przyjemnym miejscem, ale on nie przypłynął tu, żeby prowadzić życie towarzyskie i rozmawiać o pogodzie. Znacznie bardziej pociągały go snute pod pokładem historie i możliwość zobaczenia na własne oczy, jak żyje załoga. Podobała mu się ta strona wielkiego miasta. Nawet szorstka i niebezpieczna, w jego oczach była wyrafinowana. W ciągu dnia tam, gdzie schodzili się imigranci, można było usłyszeć język francuski. Żydzi handlujący na targu mówili po hiszpańsku. Obszarpani, śmierdzący Irlandczycy szukający jakiegokolwiek roboty, głównie przy budowie albo rozładunku w porcie (jeśli mieli szczęście), wplatali strzępki gaelickiego. Podobno wieczorami można tu było znaleźć dziwkę mówiącą w każdym języku, jakim się chciało. Nawet po łacinie, jeśli to akurat kogoś podniecało. Richard nie był papistą, ale i tak go to zaciekało. Jeszcze raz rzucił nóż i ponownie trafił w cel.

– Czy zabił pan kiedykolwiek człowieka, panie Clarkson?

– Rzadko który na pokładzie tego nie zrobił – przyznał mat, wzruszając ramionami, a potem

krzyżując ręce na piersi. – To nie jest łatwe życie. W zeszłym roku straciliśmy dwóch ludzi w dwóch burdach, w takiej czy innej tawernie. Rum ich nakręca. Musi pan ćwiczyć. – Kiwnął głową w stronę podziurawionej beczki. – To znaczy, jeśli rozważa pan życie na morzu.

Richarda nie interesowała żegluga. Mógł się bawić w marynarza, ale był pewny, że umrze w domu, we własnym łóżku. Rzecz w tym, że pragnął zakosztować prawdziwego życia – ci nieokrzesani ludzie z ich wściekłymi bliznami pozwalali mu poznać jego smak. Niczym dziecko z nową zabawką nie chciał opuścić statku, nim nie usłyszy każdej historii.

– Sądzi pan, że kapitan zgodzi się zabrać mnie na swoją misję? Wie pan, dokąd się udał?

– To jego sprawy. On jest tu kapitanem – odparł Clarkson, który choć towarzyski, nie zamierzał zwierzać się wyrostkowi.

Richard znów wbił nóż w beczkę.

– Już to chwytam – stwierdził. – Wszystko zależy od równowagi...

---

[62] Golden Cross – dosłownie: złoty krzyż; zajazd został opisany przez Charlesa Dickensa na kartach *David Copperfielda* i *Klubu Pickwicka*, w XVIII i XIX wieku odjeżdżały spod niego dyliżanse do Dover, Brighton, Bath, Bristolu i Cambridge.

[63] Islington – dzielnica Londynu usytuowana w odległości około siedmiu kilometrów od Charing Cross; w pierwszej połowie XIX wieku przeżywała rozkwit – przyciągała urzędników, rzemieślników i wszelkiej maści fachowców.

[64] Piołunowe ale – mocno gorzkie bezchmielowe piwo ziołowe, którego produkcję oparto na piołunie.

[65] Purl – inna nazwa piołunowego ale.

[66] White Waltham – wieś usytuowana w hrabstwie Berkshire, mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów w linii prostej na zachód od centrum Londynu.

[67] Bracknell – miasto w dystrykcie Bracknell Forest w hrabstwie Berkshire, pięćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Londynu.

[68] Korona – brytyjska jednostka monetarna o wartości pięciu szylingów, w obiegu w latach 1526–1965.

## Z POWROTEM W ZAJEŹDZIE

Następnego dnia atmosfera w White Waltham podczas śniadania była napięta. Maria nie chciała patrzeć Hendersonowi w oczy. Spędziwszy pozostałą część nocy na rozważaniu jego postępowania, wciąż się gniewała. Cała czwórka siedziała w milczeniu przy stole zastawionym chlebem, gotowaną szynką i ciepłym ale. Augustus starał się zachować pozory. Wyjrzał na zewnątrz, po czym wrócił z informacją, że zapowiada się przyjemny czerwcowy poranek.

– Odwieziemy cię do Kensington – powiedział do siostry, delikatnie okrywając jej ramiona wełnianym szalem. Dopiero teraz Henderson dostrzegł uderzające rodzinne podobieństwo: orzechowe oczy, ciemnorude włosy, cera, do której wyjątkowo dobrze pasuje kolor zielony. – Jeśli wyjedziemy teraz, dotrzemy do domu w porze późnego lunchu.

Oczywiście nie pozostał im żaden bagaż. Maria miała tylko swoje manuskrypty, które teraz leżały na stole, i ubrania, które nosiła od kilku dni – szarą suknię podróżną i krótkie czarne botki. Augustus musiał wręczyć w imieniu obu pań hojne napiwki, ponieważ zajazd zapewnił im pościel.

– Czy udało się pani ocalić oba rękopisy, Mario? – spróbował Henderson.

Maria kiwnęła głową.

– I list polecający do banku. – Uśmiechnęła się. – Gość, który nas okradał, nie potrafił czytać. Nie widział żadnej różnicy.

– Kapitalne, nieprawdaż? – powiedział Augustus. – *Madam*, musi pani pozwolić, bym w dowód naszej wdzięczności za pani poświęcenie odkupił jeden ze straconych strojów. Może suknię wieczorową? Panna Calcott korzysta z usług wspaniałej krawcowej, niedaleko nas, w Gravel Pits<sup>[69]</sup>. Wiem, że nie brzmi to zachęcająco, ale mają tam niewiarygodne satyny. Z wielką przyjemnością zaaranżuję przymiarke i jeśli mi pani na to pozwoli, wybiorę kolor.

Henderson odwrócił się i spodziewając się, że Maria odmówi, powiedział:

– Pani Graham jest bardzo niezależna, *sir*.

– Z miłą chęcią – odparła Maria z uśmiechem. – To bardzo uprzejme z pana strony, Augustusie.

Zapadła krępująca cisza.

Maria wbiła w Hendersona wyzywające spojrzenie, co skłoniło Calcottów do zakończenia śniadania i zajęcia się powozem. Woźnica, który spał w stajni, już szykował konie.

– Augustus mówi, że nigdy mi pani nie wybaczy – rzucił Henderson, kiedy rodzeństwo się oddaliło.

Maria popatrzyła na niego beznamiętnie.

– Wspomniał pan wczoraj, że pan Murray na mnie czeka. Skąd pan o tym wie, kapitanie Henderson?

– Złożyłem mu wizytę. Przycumowaliśmy w Greenwich dwa dni temu. Sądziłem, że będziesz już w mieście i miałem nadzieję, że cię u niego spotkam.

– Poszedł pan szukać mnie u pana Murraya przy Albemarle Street?

– Tak. Powiedziała pani, że mogę panią odwiedzić. Poza tym miałem nadzieję, że porozmawiam z panem Murrayem na tematy botaniczne. Uświadomiłem sobie, że mógłbym coś napisać. Może książkę. O czekoladzie.

Wzrok Marii stwardniał.

– Nie ma pan najmniejszego pojęcia o etykiecie, nieprawdaż?

– Opuściłem Anglię, kiedy miałem dwanaście lat.

– Proszę nigdy więcej nie pytać o mnie w biurze Johna Murraya. Damę można odwiedzać tylko w jej własnym domu, kapitanie Henderson, nie w domach jej przyjaciół czy jej wydawcy. Kiedyś obiecał pan, że mnie nie skrzywdzi. Niech pan przyjmie do wiadomości, że mnie pan skrzywdził, *sir*. Idąc tam. Przyjeżdżając tutaj. – W oczach miała łzy. – Zrujnuje pan moją reputację w Londynie, jeszcze zanim do niego wrócę.

– Jeśli postąpiłem nieodpowiednio, to przepraszam, ale...

Maria przerwała mu bez cienia skrępowań.

– Oczywiście, że postąpił pan nieodpowiednio, Jamesie. Czy pan nie rozumie? Wszystko zależy od mojej reputacji. Czuję się tak, jakby starał się pan, żebym znalazła się w tarapatkach, którym tylko pan może zaradzić. Jeśli będzie pan to kontynuować, ludzie zaczną mówić. Pańska wizyta u Johna Murraya w mojej sprawie trąci potajemnym romanssem, Jamesie. Ludzie to wywęszą. Czy nie rozumie pan, że jego niedorzeczne wtargnięcie zeszłej nocy w normalnych okolicznościach przyczyniłoby się do mojego końca? W jaki sposób zastąpiłby pan życie, które wiodłam? Publikacje? Szacunek? Moje własne pieniądze? Nie, wydałby mnie pan za zreformowanego przemysłowca. To związek, z którego żadne z nas nie może odnieść korzyści. Musi pan zachować zdrowy rozsądek. Jeśli mnie pan skompromituje, stracę wszystko. Jeśli mnie pan skompromituje, w jaki sposób mam panu pomóc zabłysnąć? Jak szybko oboje byśmy się tym zmęczyli? Chcę dla nas obojga tego, co najlepsze, ale pana lekkomyślność na to nie

pozwała. Mam szczęście, że Calcottowie są tak porządnymi ludźmi. Obiecali zachować wszystko w tajemnicy. Oczywiście znają się z moją ciotką.

Henderson zerwał się na nogi.

– Ale... – Słowo zawisło w powietrzu.

Maria podniosła manuskrypty i umieściła je w zgięciu łokcia, niczym matka trzymająca niemowlę.

– Mam już dość pańskich „ale”, „dlaczego” i „po co”. Żadne przeprosiny nie są tu możliwe do zaakceptowania. Na zbyt wiele pan sobie pozwala. Dobrego dnia, kapitanie Henderson. – Jej oczy błyszczały gniewem, gdy maszerowała do drzwi.

Henderson poczuł złość. Co za irytująca kobieta. Gdy Maria zniknęła za progiem, uderzył ręką w stół. Rozdrażniony skończył swoje ale, wsłuchując się w odgłosy szykowania powozu Calcottów, zakładania uprzęży i pobrzękiwania ozdabiających ją mosiężnych medalionów, kiedy konie się wierciły. Augustus wyjrzał zza drzwi.

– Do widzenia – powiedział, salutując. – Nie martw się, odwożę panie do domu.

Henderson chrząknął. Gdy powóz ruszył, kazał przyprowadzić swojego konia. Musiał wrócić na „Bittersweet”, zabrać pieniądze zarobione na sprzedaży ładunku i odszukać inwestorów Willa Simmonsa. Sporo powinien też przemyśleć. Nie było sensu próbować przejednać Marii, gdy miała taki humor. Nie chciał nikogo skrzywdzić.

Henderson zapłacił za opiekę nad koniem – wiadro owsa i boks w stajni. Klacz prychnęła, rozśmieszając tym stajennego, i niemal westchnęła z ulgą, gdy kapitan podniósł lejce i skierował się w stronę Londynu. Faktycznie panowała letnia pogoda i zapowiadał się ciepły dzień. Droga była przyjemna. Henderson galopował przez kilka godzin, aż bujna zieleń wsi zaczęła ustępować terenom miejskim. Anglia – stwierdził – nie ma sobie równych. Tutaj natura uśmiecha się do ciebie, a nie próbuje wywieść cię w pole czy wpędzić w tarapaty. W powietrzu unosiła się świeża woń sadów. Henderson próbował nie rozpamiętywać porannych wydarzeń – tego, jak suknia zamiotła podłogę, gdy Maria wymaszerowała z zajazdu, tego, jak definitywnie zabrzmiały tym razem jej słowa. Nie pozwolił sobie na niejasne podejrzenie, że mogła mieć rację, nieważne, jak mocno ją kochał.

Łatwa droga i dobra pogoda sprawiły, że do Golden Cross dotarł w zaledwie trzy godziny. Zwrócił konia. Chłopak, który mu go wypożyczył, czyścił boksy i nagabywał o drobne dzentelmenów, którzy zostawiali swoje wierzchowce w zajęzdzie. Henderson rzucił mu sześciopensówkę, bo ten dotrzymał słowa – klacz okazała się prawdziwym darem niebios.

– Daj jej marchewkę – powiedział.

Na rozstawionym niedaleko straganie kupił pasztecik z nadzieniem z kurczaka i ruszył w stronę rzeki – łodzią najszybciej dostanie się do Greenwich. Panujący wokół rozgardiasz



sprawił, że czuł się jak w domu. Żywe, barwne ulice wypełniali przekupnie sprzedający swoje towary wprost z chodnika. Kapitan zaczął nawet rozpoznawać po wyglądzie kieszonkowców, dyskretnie wyczekujących w cieniu, na zakręcie lub w drzwiach. Londyn miał wiele warstw. Właściwie stanowił połączenie dwóch miast – tego z nowymi, śmiało zaprojektowanymi budowlami i tego szemranego, obfitującego w niebudzące zaufania zaułki i podejrzane alejki. W każdym łatwo było zniknąć, z każdego dało się uciec. Zdawało się, jakby zatłoczone trakty nigdy nie zasypiały: zamiatacze dzień w dzień ciężko pracowali, usiłując pozbyć się zalewających je nieczystości, torując drogę powozom zmierzającym w kierunku rozrywkowych Leicester Fields<sup>[70]</sup>.

Do Greenwich dotarł w pół godziny – rozmiar Londynu stanowił część uroku tego miasta, ale oznaczał też nieustanne podróżowanie. Wreszcie w dokach uśmiechnął się. Clarkson jak zwykle nie próżnował. „Bittersweet” świetnie się prezentował, starannie uporządkowany i odmalowany. Idąc po trapie, poczuł zapach świeżych strużyn. Zauważył, że Richard nie opuścił statku.

– Zostajesz na obiad? – zapytał, mijając chłopaka.

– Tak, *sir*. Dziękuję.

Kapitan machnął ręką i pośpieszył do kabiny, aby się przygotować. Miał wiele do zrobienia.



Calcottowie stanowili miłe towarzystwo, a pogoda była przyjemna, więc podróż się nie dłużyła. Maria miała wrażenie, jakby wybrała się w odwiedziny do starego przyjaciela. Siedząc przy otwartym oknie, oglądała kolejne budynki rozrastającego się miasta. W końcu zatrzymali się przed rezydencją siostry Thomasa przy Piccadilly. Maria zauważyła, że Georgiana obserwuje ich przez wysokie okno na piętrze. Pomachała do niej, ale nie doczekała się pozdrowienia. Kobieta cofnęła się w głąb pokoju. Gapienie się na przejeżdżające powozy uchodziło za przejaw złych manier.

Augustus pomógł jej wysiąść. Maria poczuła się, jakby znów miała dziesięć lat i nagle znalazła się w wielkim mieście, niepewna, czego się spodziewać. Dom lady Dundas znajdował się zaledwie dwie ulice dalej.

– Pani pozwoli? – Augustus wskazał drzwi.

– Dziękuję.

To takie dziwne – pomyślała Maria. Wolalaby jeszcze raz doświadczyć trzęsienia ziemi w Chile. Ale gdyby od razu tu nie przyjechała, nie zatrzymała się, przebywając w mieście, wybuchłby skandal. Żałoba obliżowała ją do pozostania z rodziną Thomasa.

Drzwi otworzyły się. Na ulicę wyrżał lokaj Georgiany, Billingham.

– Pani Graham – powiedział. – Panna Graham będzie zachwycona. Proszę wejść.

Maria pomachała do panny Calcott, która nie opuściła powozu. Ta uśmiechnęła się i lekko skłoniła głowę.

– Cieszę się, że mogłem dowieźć panią bezpiecznie na miejsce. – Augustus ukłonił się. – Proszę odwiedzić nas w dogodnym terminie.

– Z miłą chęcią, panie Calcott.

Musieli zachowywać się formalnie, przy świadkach nie mogli pozwolić sobie na poufałość.

Ściskając swoje rękopisy, Maria przekroczyła próg. W korytarzu było chłodno. Billingham zamknął drzwi i poprowadził ją na piętro. Nic się nie zmieniło, ani meble, ani portrety rodzinne. Georgiana siedziała w salonie pochylona nad niewielkim gobelinem, nad którym najwyraźniej pracowała, gdy zajechał powóz. Miała na sobie suknię żałobną.

– Mario! – Poderwała się, jakby została zaskoczona. – Wróciłaś do domu. – Na widok stroju podróżnego bratowej zacisnęła wargi. – Dobrze wyglądasz.

Maria uśmiechnęła się. Dom wyglądał jak dawniej, ale nie można tego było powiedzieć o Georgianie. Zdawała się chudsza i starsza niż przed trzema laty, gdy Grahamowie opuszczali Londyn. W kącikach jej surowych oczu pojawiły się niewielkie zmarszczki. Była dobre pięć lat młodsza od Marii, ale obca osoba podejrzewałaby, że to ona jest wdową.

– Koniecznie musisz zobaczyć pomnik, który postawiłam dla kochanego Thomasa. – Nabrała powietrza, jakby obawiała się, że wybuchnie płaczem.

– Na pewno byłby bardzo zadowolony – stwierdziła Maria.

To było kłamstwo. Zapewne nie ostatnie. Georgiana poklepała krzesło obok siebie. Wokół rozszedł się delikatny zapach fiołków, musiała skropić nadgarstki perfumami. Thomas wstąpił do marynarki królewskiej, gdy miał dziesięć lat. Od tej pory rzadko zaglądał do domu na dłużej niż dwa miesiące.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Jak umarł.

– Było tak, jak napisałam – odparła Maria wymijająco, siadając nieco dalej, niż Georgiana zapewne chciała.

W oczach kobiety pojawiły się łzy. Maria spuściła wzrok. Gobelin, nad którym pracowała Georgiana, przedstawiał „Doris”, statek Thomasa. Dobry Boże, ona przez ten cały czas nie myślała o niczym innym – zrozumiała Maria.

– Musimy być dzielne – wydusiła z siebie. – Thomas by tego chciał.

– Tak się cieszę, że już wróciłaś. – Georgiana obdarzyła ją lekkim uśmiechem. – To znacznie bardziej odpowiednie, Mario. Londyn to twoje miejsce. A kto chciałby się ze mną ożenić, wiedząc, że mam bratową, która włóczy się gdzieś po drugiej stronie świata i wyraża swoje opinie drukiem?

Maria zignorowała aluzje. Mężczyzna chcący poślubić Georgianę musiałby być na wpół obłąkany albo zdesperowany – nie miała żadnych propozycji, odkąd skończyła siedemnaście lat. To było co najmniej piętnaście lat temu. Żaden mężczyzna nie był wystarczająco dobry dla Georgiany Graham albo przynajmniej żaden jeszcze się nie wykazał.

– Teraz możemy zamówić nabożeństwo żałobne. – Georgiana ścisnęła dłonie. – Jeszcze jedno.

Maria westchnęła.

Z dołu dobiegły odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi i kroków w korytarzu. Po chwili pojawił się Billingham.

– Lady Dundas – oznajmił.

Nowiny przy Piccadilly roznoszą się szybko. Georgiana zapewne posłała wiadomość, gdy tylko Maria wysiadła z powozu.

O ile Georgiana postarzała się od wyjazdu Marii, o tyle jej ciotka zdawała się odmłodnieć. Pięćdziesięcioparoletnia Catherine Dundas wyglądała na dziesięć lat młodszą. Maria wiedziała, że nie szczędziła czasu i wysiłków, by utrzymać tę iluzję. Wkroczyła do salonu spowita w nieskazitelną, starannie zaprojektowaną jedwabną toaletę.

– Mario – oznajmiła – możesz mnie pocałować.

Maria posłusznie wykonała polecenie. Lady Dundas opadła na sofę.

– Herbata, Georgiano – powiedziała. – Byłbyś tak dobry, Billingham? – Jej spojrzenie spoczęło na stercie papierów, które Maria położyła na małym stoliku. – Och, doprawdy – rzuciła z niesmakiem. – Kolejna z twoich książek. Przynajmniej wróciłeś do domu. Teraz musimy poczynić plany.

– Plany?

– Tak. Dotyczące twojej przyszłości.

Maria oparła się wygodniej.

– Nie ma potrzeby. Za trzy tygodnie odpływam do Brazylii, proszę cioci. Zostałam zatrudniona.

– Nie potrzebujesz pracy – syknęła lady Dundas. – Fundusz powierniczy Dundasów zapewni ci dostatnie życie, a jako wdowa po Thomasie otrzymasz rentę z królewskiej marynarki. Doprawdy, Mario.

– Zostałam zatrudniona na dworze cesarskim – kontynuowała Maria bez zająknięcia. – Nie chciałabym się sprzeciwiać Jej Wysokości cesarzowej Brazylii. – To była jej karta atutowa.

Lady Dundas uniosła brew. Trudna decyzja. Naturalnie, stanowczo opowiadała się za monarchią – w rzeczy samej, żywiła głęboki szacunek do wszelkich królewskich instytucji – ale

cesarzowa, do której przed chwilą odniosła się Maria, była jej obca.

– Zostałam mianowana guwernantką księżniczki Marii da Glórii, proszę cioci. Będę mieszkać w pałacu w Rio de Janeiro.

Wydawało się, że Georgiana za chwilę się rozplacze.

– Jeszcze zobaczymy. – Lady Dundas skupiła uwagę na tacy, którą Billingham stawiał właśnie na niskim stole. Nalała każdej z nich filiżankę chińskiej herbaty, dodała mleko i cukier.

– Kim był džentelmen, który cię podwiózł? – zaciekała się Georgiana, upiwszy łyżeczek.

Lady Dundas zeszywniała jeszcze bardziej, o ile to możliwe.

– Dżentelmen?

– Augustus Calcott. Przyjaźnię się z jego siostrą – odrzekła Maria z uśmiechem. – Wynikły pewne problemy z dylizanssem z Bristolu. Pan Calcott był uprzejmy przyjść nam z pomocą.

– Och, doprawdy – skomentowała kąpiąco lady Dundas. – Przynajmniej znam Calcottów. Trudno przewidzieć, Mario, co może wpaść ci do głowy. – Wypiła herbatę, rozejrzała się i wstała. – No cóż, wyobrażam sobie, że chcesz się rozpakować i odpocząć po podróży. Pragnęłam cię zobaczyć, to wszystko. Jutro przyślę po ciebie powóz w porze lunchu.

– Muszę przekazać rękopisy panu Murrayowi, ale mogę wpaść do niego z rana. Poza tym muszę uzupełnić garderobę oraz inne niezbędne akcesoria. Podczas podróży spotkał nas bardzo nieprzyjemny wypadek i straciłam cały bagaż. Wszystko, co posiadam, mam na sobie. Pomożesz mi w zakupach? Jej Cesarska Mość otworzyła dla mnie linię kredytową w swoim londyńskim banku.

Wąskie usta lady Dundas ułożyły się w uśmiech. Przez całe życie z wielkim zamiłowaniem oddawała się zakupom.

– Widzisz, moja droga, w jakie tarapaty wpadasz przez te swoje nonsensy. – Nie mogła zmusić się do tego, by okazać krnąbrnej córce szwagra choć trochę serca. – Niemniej jednak, jeśli sobie życzysz, przyjdź o jedenastej. Wybierzemy się do Covent Garden.

Gdy lady Dundas wymaszerowała z salonu, zegar wybił czternastą. Maria nie potrafiła stwierdzić, czy ciotka była zadowolona – być może wszystko, na co mogła liczyć, to jej udobruchanie.

Georgiana odstawiła filiżankę i spodek.

– Żałuję, że mnie tam nie było. Na pokładzie. Kiedy Thomas umierał – powiedziała ze smutkiem w głosie.

– Opowiedzieć ci, co się stało? – zaproponowała Maria.

Nie miała wątpliwości, że nie będzie to łatwe, ale najwyraźniej musiała przez to przejść. Te kobiety, jakkolwiek by było, stanowiły jej rodzinę.

– Och, tak! – ożywiła się Georgiana. – Proszę! Opowiedz mi wszystko. Tak strasznie za nim tęsknię.



W Londynie nie było Old Street Bridge, a przynajmniej Henderson nie znalazł żadnego mostu o tej nazwie, który łączyłby brzegi Tamizy. Z drugiej strony plan, którym dysponował, zaledwie wystrzępiony świstek, pokazywał katedrę Świętego Pawła i jej okolice. W dodatku aktualny był dobre czterdzieści lat temu, bo należał jeszcze do jego ojca. Henderson z westchnieniem umieścił papier za dziennikiem okrętowym. Chciał wywiązać się z umowy i rozpocząć negocjacje, ale nie miał z kim negocjować. Nie pozostawało nic innego, jak popytać o drogę. Wolał wiedzieć, co go czeka, i odpowiednio się przygotować.

Zszedł z pokładu „Bittersweet” i zatrzymał jednoosobową łódkę szukającą pasażera. Flisak podpłynął do brzegu i podniósł rękę, żeby pomóc mu wejść.

– Dokąd płyniemy, *sir*?

Henderson został na stałym lądzie.

– Chcę dopłynąć do Old Street Bridge. Wiesz, gdzie to jest?

– Old Street Bridge... – Flisak podrapał się po zarośniętej brodzie. – Tak, *sir* – skłamał. A widząc, że Henderson nie zamierza wsiąść do łodzi, postanowił zachęcić go, mówiąc, jak dotrzeć na miejsce. – To na drugim brzegu. Wysadzę pana przy Świętym Magnusie, *sir*. To jest przy kościele Świętego Magnusa Męczennika.

– A stamtąd, jak mam iść? – zapytał Henderson.

– Musi pan minąć Eastcheap i Cornhill. Old Street jest jakieś półtora kilometra na północ od wybrzeża. Nie dalej. Nie zabierze to panu więcej niż pół godziny, może nawet dwadzieścia minut. Szyling za przeprawę. O tej porze dnia, dzięki Bogu, pływy nam sprzyjają...

Henderson podziękował.

– No dobrze – flisak nie rezygnował. – Popłynę za mniej. Dziesięć pensów?

– Wiesz, co jest na moście? Jaka to okolica?

Flisak zawahał się, po czym wypluł grudkę tytoniu. Na zielonej wodzie przypominała ropny wysięk. Nie zamierzał tracić czasu, jeśli nie miał na tym zarobić.

– Chce pan tam płynąć czy nie? – zapytał. Ton głosu był wesoły, ale oczy zdawały się martwe. Dziesięć pensów to była jego najlepsza oferta, za mniej się nie ruszy.

– Dopiero później – przyznał Henderson.

– No to sam się pan przekona, jak tam jest, nie?

Henderson złapał za burtę łodzi, nie pozwalając jej odpłynąć.

– Hej! – krzyknął flisak.

– Zapytałem, jaka to okolica – Henderson powtórzył spokojnie. – To grzeczne pytanie.

– Nie powiedziałbym, że spodoba się dżentelmenowi takiemu jak pan, ale są tacy, co to lubią przygody. Hazard. Łatwe kobiety. Albo mężczyzn. – Flisak splunął z obrzydzeniem. – Jakiegokolwiek wszeteczności pana kręca, znajdzie pan to na Old Street, jeśli ma pan pieniądze.

– A most jest z czegoś znany?

– Nie. Tam nie ma żadnego mostu. To zwykła ulica. Znana z doków i szumowin, jak cały wschodni Londyn. A teraz puść moją łódź, głupia pizdo! – Podniósł wiosło, chcąc pokazać, że nie zawaha się uderzyć.

W dokach lina przedziobana przez gromadkę małych ptaszków urwała się. Przestraszone stadko poderwało się i odleciało.

Henderson wrócił na „Bittersweet”. Dziwne – Will stanowczo wspominał o moście. Gdziekolwiek był, musiał znajdować się przy lub w pobliżu Old Street, a z opisu flisaka jasno wynikało, że w nocy nie załatwia się tam uczciwych interesów. Wybranie się tam z pieniędzmi nie wchodziło w grę, chyba że wzięłoby paru ludzi do ochrony. Ale ci, co zostali na pokładzie, nie nadawali się do tej roboty. Musiał rozmówić się z inwestorami sam i dogadać się co do płatności w innym terminie.

W opowieściach Willa Old Street Bridge prezentował się cudownie – przytulna tawerna Rose, świetne ale, łaskawi inwestorzy. Tyle że Henderson uświadomił sobie, iż chłopak był przyzwyczajony do nieokrzesań i brutalności. W rzeczy samej, lubił niebezpieczeństwo i ostrą zabawę. Jakkolwiek by patrzeć, przeleciał kobietę na wydmach. Nie, żeby Henderson go za to obwiniął, ani za to, co stało się później. W każdym razie doskonale władał nożem. Teraz, kiedy kapitan na nowo poznał Londyn, a przynajmniej jego część, nagle wszystko zaczęło się układać. Simmons należał do tej paskudnej warstwy miasta, która niczym niedające o sobie zapomnieć, upchnięte pod łóżkiem brudne prześcieradło czasami wyłaziła, by skazić czyste tynkowane pierzeje Covent Garden i Piccadilly. Will był zmyślny, teraz Henderson musiał się wykazać sprytem. Spodziewał się, że interesy z przemytnikami będą łatwe, ale tak się nie stało. Przeszło mu przez myśl, że dobrze zrobił, nie goląc się przed odjazdem z White Waltham – będzie wyglądał bardziej łachowato – poza tym powinien się przebrać. Wychodziło na to, że na Old Street lepiej powodzi się tym, którzy są gotowi na każdą ewentualność. Zaraz policzy klejnoty, zważy złoto i oszacuje, ile mu się należy ze sprzedaży ziaren. Musiał mieć wszystkie liczby pod ręką, tak żeby móc podjąć szybką decyzję. Nie łudził się, że łatwo dobije targu z dżentelmenami z Old Street.



Gdy Henderson ponownie wyszedł z kabiny, słońce prawie zaszło. Ponieważ postanowił udać się na drugi brzeg tuż po zmroku, już się przebrał. Przy melancholijnych dźwiękach akordeonu pod pokładem wygrywającego walijskie szanty wachta skończyła rozwieszać lampiony, a potem zabrała się do innych obowiązków. Otworzono beczki piwa i po pokładzie roznosiły się pomruki satysfakcji. Kolejni marynarze napełniali kufle, gawędzili, grali w gry planszowe, dwóch siedziało przy bezanmaszcie i w równym rytmie strugało klocki drewna wiśniowego, dzieląc swoją uwagę między noże a kufle. Łatwo było się wmieszać w tłum. Henderson znalazł niechlujne ubrania, które miały sugerować ogólne zaniedbanie. Roztaczał wokół siebie aurę zapuszczonego łachudry, z którym nie warto zadzierać.

Richard, wdychając głęboko wieczorne powietrze, obserwował nabrzeże, najwyraźniej ciekaw zajazdów, z których wylewały się rozwrzeszczane tłumy. Wydawało się, że ludzie wolą uciec ze swoich przygnębiających nor i zjeść na zewnątrz. Dżentelmeni – być może oficerowie marynarki – wałęsali się, szukając łatwych kobiet. Kurewki o białych ramionach przechadzały się wzdłuż kei, co znaczyło, że biznes na głównej ulicy nie szedł najlepiej. Nagabywały potencjalnych klientów. Chłopak beznamiętnie śledził rzucane przez ramię zalotne spojrzenia. To, że w tym wieku potrafił ignorować dziwki, było dość imponujące. Henderson ze zdziwieniem stwierdził, że młody Fry wyglądał na pokładzie „Bittersweet” jak swój.

Potyając się o własne nogi, po trapie wspinał się chłopiec okrętowy z wieczornym zaprowiantowaniem. W jednym ręku niósł torbę pełną pieczywa i gruszek, które kupił na jednym z licznych straganów przy głównej ulicy, w drugim pewterowy kociołek. Skierował się do kuchni, skąd nawet mimo nieobecności Dużego Ala serwowano wszystkie posiłki.

– Obiad, panowie! – zawołał mat. – Zamówiłem zupę mięsną z zajazdu. Bez kucharza na miejscu...

Richard poszedł za Hendersonem do kabiny. Był naprawdę głodny.

– Niezłe przebranie – skomentował.

Niechlujny strój kapitana sprawiał, że wydawał się jak nie z tej bajki, kiedy chłopiec okrętowy, znacznie porządniej od niego przyodziany, nalewał mu wino.

– Muszę wtopić się w otoczenie – odparł Henderson bez emocji. – Mam interes do załatwienia.

– Jagnięcina – poinformował ich chłopiec okrętowy, stawiając na długim wypolerowanym stole wazę z chochlą.

Henderson uniósł pokrywkę. Marchewki i ziemniaki w szaroburym sosie. Zamieszał. Było coś domowego w tym jedzeniu. Coś podnoszącego na duchu, dodającego otuchy.

– Nie widzę za dużo tej jagnięciny – powiedział. – Ale pachnie smakowicie.

Richard nalał wino reńskie z karafki. Henderson nalał zupę, po czym zastygł. Nie wiedział,

jak poruszyć tę sprawę. Chłopak po raz pierwszy odwiedzał to miasto. Tworzyła się między nimi jakaś więź, jej warunki były jeszcze niejasne.

– Wciąż z nami jesteś, Richardzie – oznajmił w końcu. – I pijesz wino.

– Nie sądziłem, że będzie miał mi pan to za złe – odparł młody Fry, błyskając oczami. – Wiem, że ma pan sprawy do załatwienia w Londynie, *sir*. Żywiłem nadzieję, że będę mógł panu pomóc.

– A zatem wciąż sprawdzasz, jak żyją inni?

– A pan nie?

Henderson spojrział po sobie.

– Słuchaj, synu, to przedsięwzięcie może się okazać niebezpieczne. – Pokręcił głową. – Wystarczy, że muszę zadbać o siebie. Trafianie nożem do celu to nie to samo co walka wręcz.

Richard wyprostował się zadowolony, że kapitan słyszał o jego zręczności.

– Może pan potrzebować kogoś, kto będzie pana osłaniać. – Wyjął nóż z kieszeni i przez chwilę bawił się nim, to rozkładając go jedną ręką, to zamykając i badając ostrze. Jedzenie stygło. – Trochę późno na załatwianie spraw. Po godzinach pracy?

Henderson wzruszył ramionami.

– Twój ojciec... – zaczął. – Nie wyobrażam sobie, że byłby zadowolony...

– Nie zaakceptowałyby tego. Nie zaakceptowałyby też wina reńskiego. Czy pana ojciec akceptował pana wybryki, kiedy był pan w moim wieku?

Henderson westchnął.

– Tak. Zachęcał mnie do nich.

– Cóż, godne pochwały – wydukał Richard. – Człowiek powinien mieć szansę spróbować nowych rzeczy. Nie można przeżyć całego życia w niewiedzy. – Podniósł kieliszek. – Obiecuję, że będzie miał pan ze mnie pożytek, kapitanie Henderson, jeśli stwierdzi pan, że się mu do czegoś przydam. Proszę tylko o szansę na to, bym mógł sam odkryć pewne sprawy.

Henderson pokręcił głową.

– Zwietrzą cię na kilometr po drugiej stronie rzeki.

Richard zasepił się, ale po chwili jego twarz się rozjaśniła.

– Nie. Chwila! – Zerwał się na nogi i wybiegł z kabiny.

Wrócił z kłębkim śmierdzących stęchlizną szmat. Gdy je rozwinął, Henderson aż zakasłał.

– Mój brat zakłada kostium, kiedy idzie na przeszpiegi – wyjaśnił. – Ja ubieram się w to, żeby dostać się do miejsc, w których normalnie nie byłbym mile widziany.

Henderson roześmiał się, gdy zrozumiał, o czym mówi młody Fry. W gruncie rzeczy cieszył się, że dzentelmeni niczym się nie różnią od zwykłych ludzi i że obowiązujące ich zasady są



naginane częściej, niżby można się tego spodziewać. Maria wierzyła w czarno-biały świat, a przynajmniej tak się wydawało. Teraz mógł mieć nadzieję, że jednak uda mu się znaleźć furtkę. Wielowymiarowość młodego Frya budziła jego zainteresowanie.

– Cóż, przynajmniej jeden z was jest bystry. Twój brat na tym zarabia.

– Ja wygrywam w karty. I w kości.

– Dobra, no to pokaż się.

Henderson rozparł się wygodnie na krześle. Richard pośpiesznie zaczął się przebierać.

– Normalnie wicherzę jeszcze włosy i namaszczam gęsim tłuszczem, żeby nie wyglądać na zbyt czystego. Proszę, kapitanie, chcę jeszcze z wami zostać – apelował. – Chcę się uczyć. My, Fryowie, potrafimy ciężko pracować, *sir*, a tutaj dzieje się tyle ciekawych rzeczy. Proszę mi pozwolić pójść ze sobą. Proszę.

– Będziesz dla mnie kulą u nogi, synu – powiedział Henderson beznamiętnie. – Tego fachu nie da się nauczyć w pięć minut i wierz mi, nauka nie jest przyjemna – nie dla dżentelmena. Poza tym „Bittersweet” nie prowadzi tu żadnych interesów. Pan Clarkson musi dopilnować napraw i uzupełnić zapasy. Prawdopodobnie większość prac dobiega końca. Nie masz czego więcej nauczyć się na pokładzie.

– Ale będzie pan załatwiać nowy ładunek? – zapytał Richard. – Do Brazylii. Może jedwab z Indii? Herbatę z Chin? Jakieś brytyjskie towary? Maszyny, ceramikę albo wełnę?

Henderson zawahał się. Właściwie to mógłby postarać się o nowy ładunek. Nie pomyślał o tym.

– Są w Londynie ludzie, z którymi chcę ubić pewien interes – przyznał. – Inwestorzy.

– No to może mógłbym panu w tym pomóc.

Henderson zamyślił się. Will wspominał, że spotyka się z inwestorami w nocy, bo wtedy dżentelmeni prowadzą swoje interesy. Wówczas nie wydawało się to takie dziwne, ale teraz, po spędzeniu kilku dni w Londynie, przekonał się, że żadna przyzwoita instytucja nie funkcjonuje po zmroku. Pod całunem nocy miasto zamieniało się w krainę grzesznych przyjemności dla wyższych klas, pełną powozów, przyjęć, tańców, muzyki i kobiet lekkich obyczajów. Sklepy zamykano wcześniej. Tylko gospodarze zajazdów i im podobni przedsiębiorcy mieli otwarte drzwi. Prawda była taka, że inwestorzy Willa byli zwykłymi przemytnikami, choć zarówno Sam, jak i Will nazywali ich dżentelmenami. W Hendersonie obudziło się poczucie moralnej wyższości – nie trudnił się już szmugłem. Wziął głęboki oddech i postanowił powiedzieć prawdę.

– Chcę ubić interes z inwestorami, którzy zapłacili za ziarno. To, które sprzedałem twojemu ojcu. Nic o nich nie wiem z wyjątkiem tego, że okolica, w której mają siedzibę, należy do najpodlejszych w mieście i że większość swoich spraw załatwiają w nocy. To przemytnicy.

– Przemysłowcy? – szepnął chłopak z płonącymi oczami.

– Ziarno, które sprzedałem twojemu ojcu, kupiłem ze współnikiem. Zmarł w Brazylii, dziś muszę oddać jego rzeczy osobiste i dogadać się z gośćmi, którzy go finansowali. To moi inwestorzy. Przejąłem ich niejako w spadku.

– Kim są?

– Z tego, co wiem, to dżentelmeni, ale nigdy się nie spotkaliśmy, a im więcej słyszę na temat Old Street Bridge, gdzie mają prowadzić swoje biznesy, tym mniej mi się to podoba. Mam gdzieś, czy są dżentelmenami, czy nie. Jestem przyzwyczajony do interesów z trudnymi ludźmi. Ale zwykle wybieram partnerów, z którymi można znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia.

Richard wyprostował się.

– To będzie niebezpieczne.

– Właściwie nie powinienem cię ze sobą zabierać, ale jeśli rzeczywiście chcesz być przydatny, Richardzie, to pomóż mi ich namierzyć. Albo jak mówiłeś, osłaniaj mnie. Do tego akurat twoje przebranie się nadaje.

– Powiem panu tak, kapitanie Henderson – oczy chłopaka błyszczały – proszę mi pozwolić iść z sobą, a ja pomogę panu z prawdziwym problemem. Domyślam się rzeczywistego powodu pana pobytu w Londynie. Jest tu pan ze względu na panią Graham, prawda?

Henderson zaczerwienił się i przeklął się w duchu. Maria wypominała mu, że nie potrafi dobrze ukryć swoich uczuć. To, że młody Fry tak szybko się połapał, stanowiło wystarczający dowód.

Chłopak kontynuował.

– Mogę panu pomóc. Wiem, jak zabiegać o względy damy. Etykieta, maniery, dykcja nie mają przede mną żadnych tajemnic. Proszę mi zdradzić sekrety swojego świata, a ja podzielę się z panem moją wiedzą. Chcę zobaczyć, jak to jest, jak się ubija interesy poza biurami rodzinnej manufaktury.

Kapitan medytował chwilę. Rozumiał ciekawość młodego Frya – nawet ją podziwiał. Poza tym faktycznie mógł skorzystać z jego wsparcia, nie miał pojęcia, w jaki sposób wypracować sobie szacunek w towarzystwie.

– Rozważam napisanie traktatu – przyznał.

– Na jaki temat?

– Kakao.

Fry pokiwał głową.

– Oczywiście musi być ilustrowany.

Tego Henderson nie brał pod uwagę, ale uświadomił sobie, że chłopak ma rację, a to

stanowiło wyzwanie.

– Tak. – Opadł na oparcie. – Nie pomyślałem o tym.

– Być może pani Graham zna kogoś, kto mógłby panu pomóc – zasugerował Richard. – Ilustracje często tworzone są przez panie. A może zechciałyby zilustrować pana książkę sama?

Pomijając fakt, że obecnie nie należał do jej ulubieńców, Henderson miał świadomość, że Maria poczułaby się wielce urażona taką propozycją. Była przecież cenioną autorką, znacznie bardziej kompetentną, niż on kiedykolwiek mógłby się stać. Nie chciał jednak tłumaczyć tego swojemu rozmówcy.

– Miałem nadzieję nawiązać współpracę z Johnem Murrayem – wyznał. – Odwiedziłem go wczoraj wieczorem, ale nie rozmawialiśmy o tym. Pojawiły się ważniejsze sprawy.

Richard uśmiechnął się. Poczynania kapitana stawały się coraz bardziej intrygujące.

– Sprawy jak te, które będzie pan dziś załatwiać?

Henderson nie odpowiedział od razu.

– Pani Graham została obrażona – odezwał się w końcu. – Posłużyłem się jej nazwiskiem, by zostać przyjętym. Miałem nadzieję, że spotkam ją u pana Murraya.

Richard spojrział na niego zdziwiony.

– Pan wybaczy to pytanie, *sir*, ale czy jesteście z panią Graham zaręczeni?

Henderson pokręcił głową.

– Odmówiła mi – przyznał. – Teraz jest, oczywiście, bardzo rozgniewana.

Richard Fry, po raz pierwszy, odkąd znalazł się na pokładzie „Bittersweet”, wyglądał na zszokowanego. Członkowie załogi mogli mieć swoje za uszami, kapitan mógł przestawać ze szmuglerami, ale to było nie do przyjęcia.

– Miał pan nadzieję, że spotka ją w domu znajomego płci męskiej, nie będąc... – wyjąkał.

– Wiem, wiem. – Henderson machnął ręką. – W Brazylii jest inaczej. W rzeczy samej, spodziewam się, że nigdzie indziej na świecie nie trzeba zachowywać się tak powściągliwie, ale tutaj, jak rozumiem, takie subtelności są bardzo ważne. Nigdy nie ukończyłem żadnej szkoły, nie bardzo wiem, jak to wszystko działa. Mam ogromne poczucie winy, Richardzie. Rozumiem, że moje zachowanie...

– Pani Graham musi być...

– Rozumiem – przerwał mu Henderson stanowczym tonem. – Teraz to widzę. Kobiety tak bardzo obawiają się spojrzeć mężczyźnie w oczy, że chodzą ze wzrokiem wbitym w niebo. Pomyliłem się, błędnie odczytałem, co jest możliwe. Pani Graham ma oczywiście absolutną rację. Pozwoliłem sobie na zbyt wiele. – Nie było wątpliwości, że jeśli nie dziś, to w przyszłości na salonach pomoc Richarda bardzo mu się przyda. – Jesteś pewien, że możesz znieść East End

i jego okropieństwa? Nie wiadomo, w co się pakujemy.

– Tak. – Oczy chłopaka zajaśniały.

Henderson zawahał się. To może dobrze młodemu zrobić.

– W takim razie umowa stoi – powiedział.

Richard uśmiechnął się szeroko, wyciągnął dłoń, a Henderson nią potrząsnął.

Atmosfera rozluźniła się. Zupa okazała się przepyszna, jedwabście gęsta, bogata w smaku. Henderson zamruczał ukontentowany, maczając w niej kawałek chleba. Fry nabrał na łyżkę trochę marchewki i fasoli.

– A potem będzie pan dalej handlować kakao? – zagadnął.

W podejściu Richarda do interesów dostrzegało się doświadczenie wyniesione z fabryki Fryów, gdzie przedsiębiorcy są uczciwi i zapewne znają się na stopie towarzyskiej. Henderson zawahał się.

– Z twoim ojcem?

Chłopak skinął głową.

– Nie wiem. Chciałem zostać w Londynie przez jakiś czas. Podoba mi się tu.

– Ojciec z pewnością nie miałby nic przeciwko – przekonywał go Richard. – Szczególnie interesuje go dzikie kakao. Był nim wyjątkowo podekscytowany. Powinien pan to rozważyć.

Henderson już o tym myślał i zdecydował, że liczy się jakość. Mógłby – rozumował – dogadać się z Thysem. Przy obecnych cenach w Anglii dwie dostawy rocznie z plantacji Bagdorfów zapewniłyby mu całkiem sensowne zyski. Starczyłoby na porządny dom w Soho i utrzymanie żony. Jednak po wizycie w rezydencji Johna Murraya zastanawiał się, czy nie powinien mierzyć wyżej. W jego głowie rodziły się pomysły, które mogły zaowocować kryształowymi żyrandolami, biblioteką pełną oprawionych w skórę tomów, ręcznie tkanymi egzotycznymi dywanami w orientalnych barwach. Dlaczego nie?

– Szkoda, że podróż tak długo trwa – zauważył.

Fry uśmiechnął się.

– Ziarno nie byłoby tyle warte, gdybyśmy mogli uprawiać kakaowce w Sussex.

Henderson wzruszył ramionami.

– Przeprawa przez Atlantyk to przynajmniej sześć tygodni. Mam świetny kontakt na Trynidadzie, ale wolałbym pływać bliżej.

– To może przyprawy z Maroka? Albo kość słoniowa z południowej Afryki?

– Specjalizuję się w kakao.

Skończyli posiłek. Fry wytarł usta.

– Kiedy ruszamy?

Henderson wstał. Słońce zaszło, kruczoczarna woda lśniła – jakże różniła się od mętnej zupy, którą widział za dnia.

– Teraz – powiedział.

Marynarz na trapie zasalutował, co z nabrzeża mogło wyglądać dziwacznie, bo statek opuściło dwóch zapyziałych gości z pewnością bardziej przyzwyczajonych do otrzymywania rozkazów niż ich wydawania. Clarkson, otulony dymem z fajki, uśmiechnął się.

– A niech mnie cholera – szepnął z podziwem. – Szczeniak dostał to, czego chciał.

Trzysta metrów od „Bittersweet” w nocnym powietrzu rozniósł się dźwięk kościelnych dzwonów. Dziesięć uderzeń. Księżyc nieśmiało oświetlał uliczki, ale Henderson i Fry trzymali się cieni. Zaczepiła ich kobieta.

– Szukacie zabawy, chłopcy? – Pachniała potem i likierem. – Chodźcie ze mną, obu zrobię dobrze.

Przyśpieszyli kroku.

– Kawalek dalej wynajmiesz łódź – powiedział Henderson. – Dopłyniesz do Świętego Magnusa Męczennika. W taką spokojną noc i w tych łachach powinieneś wytargować dobrą cenę. Dam ci dwie sześciopensówki, ale potrzebujesz tylko jednej. Wybierz najmarniej wyglądającego flisaka. Powiedz, że masz sprawę do załatwienia. Popłynę za tobą.

Oczy młodego Frya lśniły niczym dwa kryształy.

– Tak, kapitanie – Wyszczrzył się. Właśnie na to liczył. – Nie zawiodę pana...

---

[69] Kensington Gravel Pits – wieś na skrzyżowaniu dzisiejszych Bayswater Road i Kensington Church Street w zachodnim Londynie; nazwa odnosiła się do kopalni żwiru graniczących z ogrodami pałacu w Kensington.

[70] Leicester Fields (obecnie Leicester Square) – plac w centralnym Londynie, kilkaset metrów od Piccadilly Circus i Covent Garden; w XIX wieku stanowił centrum stołecznej rozrywki.

## PICCADILLY

**M**aria siedziała na kanarkowej sofie w salonie przy Albemarle Street 50. Obiad stanowił prawdziwą ucztę, ale prawie nie pamiętała menu, bo w głowie zawróciło jej towarzystwo. Przy stole znalazło się dziesięć osób, głównie dżentelmenów publikujących swoje dzieła w wydawnictwie Johna Murraya. Rozmowy nie ustawały. A jakież były stymulujące. Historia. Literatura. Nauka. Sztuka. Żyjąc przez trzy lata z dala od londyńskich salonów, Maria miała wiele do nadrobienia.

– Tylko w Londynie. Tylko w Piccadilly. Tylko przy Albemarle Street. Tylko pod numerem pięćdziesiątym – dowcipkowała. – Tylko tutaj – zakończyła z wyraźnym ukontentowaniem, po czym sięgnęła po płaską poduszkę w kolorze ochry i podłożyła sobie pod krzyż.

Murray skinął na lokaja, by dopełnił kieliszek pani Graham likierem.

– Nie możesz się tu czuć zbyt komfortowo, moja droga – powiedział. – Liczymy na twoje dalsze podróże i wieści ze świata. Twoje dzieła są dla nas kopalnią informacji.

Maria spoważniała. Rękopisy przesłała do biura Murraya tego popołudnia.

– Już je przeczytałeś?

– Ten o Chile. – Niebieskie oczy Murraya nagle nabrały ostrości. – Błyskawicznie, jednym ciągiem. Już wysłałem do drukarni. Dziennik z Brazylii pójdzie jutro. Książki raczej nie trafią na półki przed twoim wyjazdem, Mario, ale wysłę ci recenzje.

Kiedy przyszło zaproszenie od Johna Murraya, Georgiana natychmiast odesłała bilecik z uprzejmą odmową. „Ja zamierzam przyjąć zaproszenie” – oświadczyła Maria beznamiętnie. „Cóż – odparła Georgiana, patrząc na nią wilkiem – przynajmniej odwiedź dziś pomnik, którym upamiętniłam Thomasa”. Maria zgodziła się. Cenotaf w kształcie drzewa<sup>[71]</sup> stał na cmentarzu parafialnym, zaledwie kilka ulic dalej. Kapelan z entuzjazmem powitał obie damy. Grahamowie i Dundasowie należeli do jego najhjojnieszycy parafian. „Jakich to koszmarnych historii możemy się tym razem spodziewać? – zapytała Georgiana podczas jazdy powrotnej. – Jakich rewelacji od samotnie podróżującej kobiety? Co było w tych odrażających papierach, które wysłałaś na Albemarle Street?” Maria nie zamierzała niczego ukrywać. „Och, doprawdy – westchnęła Georgiana, mierząc szwagierkę zbolalym spojrzeniem. – Szargasz nam wszystkim

opinię tą swoją pisaniną. Jaka szkoda, że nie byłam wystarczająco sprytna, by wcześniej zaaranżować małżeństwo z admirałem albo księciem. Nie sądzę, bym teraz mogła mieć na to jakąkolwiek nadzieję”. „A komandor ani hrabia nie wystarczy? – odgryzła się Maria, ale zaraz upomniała się ostro za tę uszczypliwość. Powinna okazywać szwagierce więcej życzliwości. – Dlaczego nie odwiedzisz wieczorem ze mną Johna Murraya? – zaproponowała. – Możesz przecież zmienić zdanie”. Georgiana z trzaskiem złożyła wachlarz. „Na Boga, Mario, nie bądź niemądra. Po cóż miałabym tam iść?” – zapytała. Tak czy owak rozmowa sprawiła, że Maria zaczęła z niepokojem rozmyślać o swoich rękopisach. Nikt ich wcześniej nie czytał. Nie mogła się doczekać opinii Murraya. Jeśli książki zebrałyby marne recenzje, jej rodzina tylko utwierdziłaby się w swojej opinii na temat jej osoby. Jej wuj, nieżyjący już lord Dundas, zawsze nalegał, by lokaj usuwał z porannych dzienników recenzje jej publikacji, zarówno dobre, jak i złe, aby oszczędzić sobie stresu związanego z ich lekturą.

– Czy tekst nie jest nazbyt osobisty? – W jej głosie słychać było napięcie. – Obawiałam się, że może zawarłam w nim za dużo siebie. – Poprawiła się na sofie, z niecierpliwością czekając na odpowiedź.

– Ależ skąd, moja droga. – Oczy Murraya zaiskrzyły. – Obie książki będą swobodnie konkurować z dziełami dżentelmenów, jeśli to cię niepokoi. Poza tym niejednokrotnie odrobina detali natury osobistej tylko mocniej pobudza zainteresowanie inteligentnego czytelnika. Ale powiedz mi, jak długo zamierzasz zostać w Londynie.

Przez oczami Marii stanął wspianiały, acz zimny korytarz w rezydencji Georgiany.

– Niezbyt długo – przyznała.

– Dołożę wszelkich starań, aby jak najszybciej przygotowano próbne odbitki składu. Może uda mi się dostarczyć ci je przed wyjazdem, choć, obawiam się, nieoprawione... A zatem w Brazylii czeka na ciebie podopieczna?

– Księżniczka królewska – potwierdziła Maria. – Ma dopiero trzy lata, ale pewnie wrócę, kiedy zacznie już czwarty rok. Prawdopodobnie będę dość zaabsorbowana swoimi obowiązkami, z początku jednak nie powinny być one uciążliwe. Chciałabym napisać coś podczas pobytu w Rio. Opis życia na cesarskim dworze, panujące tam tradycje i zwyczaje.

Murray uśmiechnął się. Taka publikacja z pewnością zainteresowałaby zarówno damy, jak i dżentelmenów. Tyle książek odwołuje się do gustów tylko jednej płci, ta miałaby ogólniejszy charakter, a pozycje skierowane do szerszej publiczności lepiej się sprzedają.

– Świetny pomysł – powiedział. – Zobaczymy, jak dasz sobie radę.

Maria westchnęła z ukontentowaniem i upiła łyček likieru. Po trudnym popołudniu tutaj mogła poczuć się jak w domu. Wiedziała, że będzie tęsknić za tym obliczem Londynu. Kieliszek na cienkiej nóżce z ciętego kryształu złapał światło świecy, tworząc niezwykle refleksy.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Murraya.

– Co to za dżentelmen?

– Jaki dżentelmen? – Maria odstawiła kieliszek. Miała wrażenie, że nagle zawisł nad nią zimny cień.

– Ten, który odwiózł cię do domu Georgiany Graham. Nie chciałem być wścibski, moja droga, ale tak się cieszyłem na wieść o twoim przyjeździe. Mój człowiek powiedział mi, że widział jakiegoś wysokiego mężczyznę z bladozielonym fularem.

Odetchnęła z ulgą. W Londynie ludzie zauważali wszystko. Na szczęście Murray nie wspominał nic o niestosownej wizycie kapitana Hendersona. Nie była pewna, czy potrafiłaby dostatecznie dobrze ukryć swoje uczucia.

– Augustus Calcott? – Uśmiechnęła się. – Jest malarzem. Raczej dobrym moim zdaniem. Widziałam kilka jego olejów. Znamy się z jego siostrą.

Murray rozjaśnił się.

– Powinnaś mu zapozować, Mario. Portret to dobry pomysł.

W jej oczach zatańczyły iskierki.

– Poprosiłam go o miniaturę. Chciałabym mieć jedną z wizerunkiem ojca, choć zapewne trudno będzie uchwycić podobieństwo. Opisałam papę z pamięci. Augustus zgodził się uprzejmie potraktować moje zlecenie priorytetowo, tak bym mogła zabrać obraz do Brazylii.

– Miniaturę? – Murray zdziwił się, bo Maria nigdy nie dbała o tego typu ozdóbki. – Sądziłem, że nie przepadasz za parafernaliami.

Maria zaczerwieniła się. W przeszłości faktycznie traktowała tego typu przedmioty z lekceważeniem, a nawet pogardą – domowe wygody. Zawsze uważała je za przejaw próżności. A jednak najwyraźniej przyszedł czas, by posiadać portret – mały portret. Maria nie zapomniała swego samotnego spaceru w Bristolu i przejmującego poczucia braku przynależności. Augustus zaaranżował wizytę krawcowej z ulubionego warsztatu krawiecko-szewskiego jego siostry. Zakład miał oferować wyroby z najlepszych satyn, w tym wizytowe rękawiczki, pantofle i fascynatory. „Bogactwo brązu i złota – mówił w drodze do Londynu. – Pasują do pani królewskie odcienie – uśmiechnął się. – Jaskrawe strusie piórko we włosach, oczywiście. I suknia z ciemnobrązowego aksamitu. Może koloru czekolady”. Maria spłoszyła. Augustus nie mógł wiedzieć, że czekolada kojarzy jej się jednoznacznie z Jamesem Hendersonem. Tak czy owak tego popołudnia, słuchając niekończących się laudacji Georgiany na cześć jej brata, Maria postanowiła może nie całkowicie zmienić żywione do tej pory zapatrywania, ale nieco je zmodyfikować. Miała mieszkać w Rio na dworze, więc jak najbardziej wypadało ulepszyć garderobę i zabrać ze sobą pamiętki. Rozważała skompletowanie ogromnego pudła książek, tylko dla siebie, i zamówienie dwóch strojów wieczorowych – brązowego, zgodnie z sugestią



Augustusa, i niebieskiego, który zastąpiłby skradzioną toaletę. „Och, tak. Niebieski. Wyborny kolor” – oznajmił Augustus stanowczym tonem.

– Wydajesz się... – Murray zawahał się, szukając odpowiednich określeń, które wyraziłyby zmiany, jakie jego zdaniem zaszły w Marii Graham w gorących prowincjach Ameryki Łacińskiej. Słowa rzadko zawodziły tego najbardziej prominentnego wydawcę Londynu, nie ważyłyby się na to. Ale tym razem nie umiał trafić w sedno. – Tak, tak, w każdym razie cieszę się, że jesteś szczęśliwa. – Dopił swojego drinka.

Maria uśmiechnęła się lekko, melancholijnie niczym Mona Lisa. Tęskniła za Thomasem, oczywiście, ale przekonała się, że życie w Londynie toczy się dalej.

Murray poprosił gestem o uzupełnienie kieliszka. Zastanawiał się, czy Augustus Calcott jest czymś więcej niż tylko przelotnym artystycznym zainteresowaniem. To by było coś, gdyby Maria Graham znowu się zakochała. Doprawdy budujące. Musiał porozmawiać o tym z żoną i zapoznać się z portfolio pana Calcotta.

– Kiedy już załatwię najpilniejsze sprawy – Maria zmieniła temat – muszę się udać do Royal Society. Mam kilka ciekawych próbek i szkiców.

– Dopilnuję, żeby pierwsze egzemplarze twoich książek trafiły do *sir* Humphry’ego<sup>[72]</sup> – zapewnił ją Murray. – Może powinnaś rozważyć wygłoszenie wykładu? Mógłbym się tym zająć. Takie wystąpienie podniosłoby zainteresowanie twoimi nowymi publikacjami. Oczywiście, jeśli dysponujesz czasem.

Maria nie odpowiedziała. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w palenisko. Nagle znalazła się tysiące kilometrów od Albemarle Street. Na pokładzie statku. Miłość to rwąca rzeka – pomyślała – wciągająca w odmęty, niedająca się pokonać. Wtedy w zajeździe śniła o Jamesie Hendersonie. W męczących ją makabrycznych imaginacjach był martwy, jak Thomas i ojciec. Ufundowała dla niego mosiężną tablicę pamiątkową w kościele przy głównym placu w Natalu. To było takie dziwne. Sny czały się na obrzeżach jej umysłu, pomiędzy strzępami prawdziwego życia. Przeciskały się przez szczeliny targającego nią gniewu.

– Sądysz, że pasuje do mnie kolor czekoladowy? – zapytała cicho.

– Kolor czekoladowy? O czym ty mówisz? – Murray zaśmiał się.

– Och, o niczym. – Zebrała myśli. – Mieliśmy szerzej przedyskutować eksperymenty, jakie podejmował Basil Hall<sup>[73]</sup>, nieprawdaż? – powiedziała już stanowczym tonem. – Gdzież się podział pan Pond<sup>[74]</sup>? – Rozejrzała się. – Panie Pond – zagadnęła niewysokiego dobrze ubranego mężczyznę z wyraźnymi zakolami. – Proszę do nas dołączyć. Musi pan nam pomóc w naszych naukowych zmaganiach. Czy miał pan okazję zapoznać się z doświadczeniami pana Halla?

– Pani Graham – John Pond obrzucił Marię uważnym spojrzeniem – słyszałem, że w Chile obserwowała pani trzęsienie ziemi. To znacznie bardziej interesujące niż kalkulacje Basila.

Ponoć wyliczyła pani siłę wstrząsów następczych. Proszę mi zdradzić, jak pani tego dokonała.

– Jestem pewien – wtrącił się Murray – że pani Graham zaprezentuje poczynione odkrycia podczas zjazdu Royal Society, *sir*.

Maria wyprostowała się zarumieniona.

– Już, już – powiedziała – z pewnością możemy zaufać panu Pondowi. Jego doświadczenie w przeprowadzaniu złożonych obliczeń będzie bezcenne. A przyznam, zadanie było trudne.

Murray ustąpił. Pond usiadł przy kominku, jego sztywne mankiety zdawały się wędnać pod wpływem gorąca, nad lnianą tkaniną unosiła się lawendowa mgiełka. Maria nachyliła się konfidencjonalnie. Musiała zapomnieć o Jamesie Hendersonie.

– Powiem panu wszystko, panie Pond, pod warunkiem, że pomoże mi pan potwierdzić moje obliczenia.

Pond pokiwał głową. Maria nie czekała długo, tylko tyle, by mężczyźni nie byli do końca pewni, czy zaczną mówić. Murray przycupnął na skraju fotela, zdawało się, że zaraz zsunie się z siedzenia.

– A więc najpierw...



Kiedy Richard wysiadł z łodzi w pobliżu kościoła Świętego Magnusa, pomyślał, że powinien zorganizować jakiś lampion dla kapitana. Ciemność i rzadka mgła nadpływająca znad wody sprawiały, że ledwo mógł dostrzec fasadę świątyni w kolorze brudnej bieli. Ustawione w szeregu okrągłe okna wyglądały jak puste oczodoły, z których ktoś wydłubał gałki. Czy zaprojektowano go tak, by przypominał statek? Być może.

Richard automatycznie chciał zbadać teren, ale Henderson kazał mu na siebie czekać, więc cierpliwie stał. Okolica wyglądała na bardziej podupadłą, niż się spodziewał. Najbardziej zaskoczył go smród. Tamiza przypominała tutaj gnijące wnętrzności rozkładającego się trupa. Przesiąknięte wilgocią powietrze cuchnęło, niskie, zapleśniałe i na wpół zmurszałe budynki rozsypywały się. Wszystkie, z wyjątkiem kościoła, były ledwo widoczne na tle wypłowiałego, obskurnego East Endu. Wąskie uliczki tętniły jednak życiem. Czarne cienie przekradały się bezszelestnie z jednej alejki do drugiej, zdeformowane, postrzępione upiory.

Miejsce wydawało się nieopisanie ciężkie, niczym przytwierdzona do łańcucha ogromna żelazna kula, jaką włóczę za sobą więźniowie. Pomyślał, że ubóstwo w Bristolu jest lżejsze. Owszem, wciąż niełatwo wydostać się ze slumsów, ale przynajmniej ma się jakąkolwiek szansę. Zdawało się, że mieszkańcy tego brzegu rzeki nie mieszkają w swoich obskurnych czarnych domach, ale roją się w nich jak pluskwy czy karaluchy. Z pewnością lokalizacja nie kojarzyła się z interesami prowadzonymi przez dżentelmenów. Richard aż się wzdrygnął. Henderson nie mógł

być daleko za nim, pocieszył się, przykucnąwszy pod murem kościoła.

Pięć minut później z kolejnej łódki wysiadło trzech dżentelmenów. Stanowczym krokiem pomaszzerowali w ciemność z uniesioną wysoko lampą. Dwóch trzymało groźnie wyglądające pałki. Czające się w mroku chude cienie ożyły. Czterech chłopców, stadko wygłodniałych drapieżnych ptaków czyhających na swoją ofiarę, gotowych zaatakować w każdej chwili. Kiedy dżentelmeni skręcili za róg, ci ruszyli za nimi niczym spieniona fala podążająca w stronę brzegu. Richard cieszył się, że ma na sobie przebranie i że jednak nie zabrał lampionu.

Pojawienie się Hendersona nie zburzyło spokoju nocy. Tak szybko wyskoczył na brzeg, że łódź właściwie nie musiała się zatrzymywać. Jego chropowate nieokrzesanie tutaj działało na korzyść. Z dwudniowym zarostem sprawiał wrażenie gościa, który choć nie stąd, nie da sobie w kaszę dmuchać. Kiedy zdążył dojść do świątyni, lampion oświetlający łodzie był już niemal niewidoczny. Mijając Richarda, dotknął lekko jego ramienia na znak, że go rozpoznał. Po chwili chłopak podniósł się i podążył kilka kroków za nim.

Kierowali się w stronę Eastcheap. Inaczej niż przy Regent Street czy Oxford Street – tutaj na ścianach budynków nie wryto nazw, które ułatwiałyby nawigację. Mało prawdopodobne, by wielu mieszkańców tej części miasta umiało czytać. Jednak dla obcych stanowiło to poważne utrudnienie. Z tawern na chodniki wylewały się fale gości opitych piółunowym ale i ginem. Ochryply śmiech kobiet mieszał się z płaczem zostawionych samym sobie dzieci. Zwolnili. Dwie dziewczynki próbowały wyzebrać pół pensa od Hendersona, ale odprawił je bez cienia litości. Richarda zaczepił jakiś dzieciak.

– Po co za nim leżesz? – zaseplenił zaciekawiony. – Ma coś do spylecia?

– Zmiataj albo dostaniesz! – odwarknął młody Fry. Starał się brzmieć jak gość z marginesu.

– Tylko tak pytałem – obruszył się malec, ale zaraz potulnie się wycofał. Srogie spojrzenie podziałało niczym błysk nagiego ostrza.

W końcu dotarli do Old Street. Była szeroka, budynki wznosiły się po obu stronach, większość z nich stała pogrążona w ciemności, bo o tej porze tutejsze knajpy zamknęły już swoje podwoje. Złowieszczy aksamitny mrok rozpraszał tylko nisko wiszący księżyc. W jego bladej poświacie bezludna ulica zdawała się mityczną drogą. Łatwo było sobie wyobrazić, że ciągnie się kilometrami, prowadząc poza miasto, bez końca.

Henderson zmrużył oczy. Z naprzeciwka zmierzała w jego stronę samotna postać.

– Czy to jest Old Street, przyjacielu? – zapytał.

– Tak. Kogo szukasz?

Henderson wyciągnął fajkę z kieszeni, aby pokazać, że ma ochotę na cywilizowaną pogawędkę. Potrzebował informacji, a najlepszym sposobem na to było polać wodę. Facet był nieświeży, ale po drodze mijali nędzniejszych szmaciarzy i bardziej pijanych. Pewnie pracował

w dokach.

– Nie wiem dokładnie – przyznał. – Mallow Street jest blisko?

Nieznajomy roześmiał się. Przez chwilę wydawało się, że jego śmiech zawisł w gęstym nocnym powietrzu.

– Tam, kolego. – Machnął ręką w lewo. Patrzył na Hendersona niczym głodny pies na kiełbasę. – Musisz iść w tamtą stronę.

– Słyszałeś o Rose Tavern?

– Jasne. – Głos mężczyzny był zwodniczo obojętny. – Jakżeby inaczej.

– Znajomy wspomniał, że warto się tam napić.

– Jak będziesz robić to, co ci radzą znajomi, wpadniesz w tarapaty.

Richard przekradł się bliżej, pod ścianami, z dala od światła księżyca. Henderson palił fajkę, wyglądał na odprężonego. W półmroku jego skóra wydawała się niemal przezroczysta. Przypominał ducha. Rozmawiający z nim mężczyzna nie miał jednak takich skojarzeń. Jego interesował ten świat, a nie tamten. Wyraźnie doszedł do wniosku, że przybysz wart jest oskubania.

– To kogo, mówiłeś, że szukasz? – zapytał ponownie.

– Nie wiem. Znajomego znajomego. Importera. Nie znam nazwiska.

– Tutaj? No to masz pecha. Ci goście siedzą w dokach, kolego.

Henderson milczał.

– Jeśli interesuje cię import, może potrafię ci pomóc – mężczyzna przerwał rozlewającą się między nimi ciszę.

– W jaki sposób?

– Znam ludzi. Jak się nazywa ten twój znajomy, jeśli mogę wiedzieć?

– Will Simmons.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Henderson odwrócił się w stronę Mallow Street. Jeśli facet nie rozpoznawał nazwiska Willa, to nie miał dla niego żadnych przydatnych informacji. Ale jego rozmówca nie zamierzał wypuścić okazji z rąk. Złapał Hendersona za rękaw.

– A czego szukasz?

Richard sięgnął do kieszeni po nóż.

– Niczego, muszę zamienić słowo ze znajomym znajomego – odparł stanowczo Henderson, wyszarpnął ramię i ruszył przed siebie.

Mężczyzna nie zamierzał tracić łatwych pieniędzy. Najwyraźniej uznał, że skoro nie może zdobyć ich podstępem, to przywłaszczy je sobie siłą. Henderson kątem oka dostrzegł ruch.

Zrobił unik i chwycił za nóż, ale jego przeciwnik zaskoczył go mocnym kopniakiem w goleń.

– Wyskakuj z forszy. Masz forsę, nie? – Głos napastnika przepełniony był agresją, choć pobrzmiwała w nim jakaś nuta cierpienia, bólu. – Musisz mieć kapuchę, jeśli szukasz importera. Nawet o tej porze.

– Nie mam dla ciebie nic poza kosą w brzuch, przyjacielu. Zwijaj żagle albo skończysz z flakami na wierzchu – powiedział Henderson beznamiętnym tonem, twardym niczym granit.

Napastnik zastygł, bijąc się z myślami. Nagle zaatakował. Desperacja musiała pokonać zdrowy rozsądek. Henderson bez wahania dźgnął go w ramię z taką siłą, że ostrze się zaklinowało i musiał je zostawić w ciele przeciwnika. Ranny ryknął niczym rozwścieczony byk.

– Pieprz się! – warknął i pobudzony bólem próbował przyłożyć Hendersonowi pięścią.

Henderson zrobił unik, potem sam zdołał zadać dwa uderzenia. Trafił mężczyznę w nos tak mocno, że krew siknęła mu na koszulę. Ale przeciwnik nie rezygnował. Wymierzył dwa solidne ciosy w klatkę piersiową Hendersona, na chwilę pozbawiając go tchu.

– Cholera – szepnął ukryty w cieniu Richard. To już zaszło za daleko.

Otworzył sprężynowca. Właśnie do czegoś takiego przygotowywał się na pokładzie „Bittersweet”. Wystrzelił z ciemności jak z procy. Henderson próbował go zatrzymać, ale Richard cisnął nożem dokładnie tak jak się uczył i z precyzją trafił w tors napastnika. Mężczyzna zamarł, sięgnął do wystającej z piersi rękojeści i opadł na kolana. Spomiędzy jego palców ciekły strugi krwi.

– Trafiony zatopiony! – Richard z uśmiechem podszedł do rannego, by odzyskać nóż. Jakby to były ćwiczenia.

Ale ranny mężczyzna nie zamierzał się poddawać. Kiedy chłopak odwrócił się, by rzucić jakąś nonszalancką uwagę, zaatakował. Miał ukrytą broń – brzytwę. Mimo bólu jakoś zdołał wyciągnąć ją z buta. Henderson w ostatniej chwili odciągnął Richarda. Gdyby napastnikowi się poszczęściło, śmiercionośne ostrze tkwiłoby w podstawie kręgosłupa młodego Frya.

– Nie tracę drugiego – mruknął Henderson. – Masz się trzymać z dala, chyba że cię zawołam, słyszysz? To jest rozkaz.

Richard pokiwiał głową. Ręce mu drżały, ale wyjął brzytwę z bezwładnej dłoni i schował ją w kieszeni. Mężczyzna leżał we wsiąkającej w piach czarnej kałuży krwi. Patrzył na nich, wolno mrugając. W jego oczach nie dało się już dostrzec niedawnej twardości ani nawet cierpienia. Czekał, czy go wykończą.

– Mallow Street – oznajmił Henderson.

Ale Richard nie mógł oderwać oczu od swojej ofiary. Dopiero teraz poczuł szok.

– Czy nie byłoby łaskawiej...

Henderson pokręcił głową.

– To morderstwo i tyle. Przynajmniej w ten sposób ma jakąś szansę. – Pociągnął chłopaka w stronę zakrętu, zostawiając mężczyznę własnemu losowi.

Mallow Street nie była tak szeroka. Old Street skąpana była w zimnej białej poświacie, ale tutaj tawerna Rose rozpraszała mrok tylko w dolnej części ulicy. Dochodzący z wnętrza monotony bełkot koił. Richard spojrzął przez ramię, ale mężczyzna znajdował się już poza zasięgiem jego wzroku. Poczłł mdłości. Brał udział w bójkach, ale nigdy nikogo nie zabił. Za morderstwo wieszano. Zrobiło mu się niedobrze.

Henderson popatrzył na Frya, próbując ocenić jego kondycję. Ostatecznie położył dłoń na ramieniu chłopaka i skierował go w stronę zasłoniętego okiennicą okna.

– Zaczekaj tutaj – powiedział.

– Nie zawiodę pana – zapewnił go Richard słabym głosem. Nie przypominał już szukającego przygód butnego młodzika z pokładu „Bittersweet”.

– Zajmę się tobą, jak wrócę.

Henderson otworzył drzwi. Żaden z nich nie spodziewał się, że tak to się potoczy.



Tawerna była dobrze utrzymana. Oprócz purłu i portera na półkach stały beczułki brandy oraz nieodzowne butelki taniego ginu, preferowanego w tej okolicy. Henderson cieszył się, że jego wejście nie zwróciło większej uwagi. Oczywiście później, jeśli facet umrze na ulicy, pojawią się pytania, ale teraz tylko dwóch czy trzech gości odwróciło się, by na niego zerknąć, i parę kobiet. Jakaś dziewczyna podszywała postrzępiony rąbek sukienki przy kominku. Sprawdził, czy w świetle świec nie widać plam krwi na ubraniu, jednak wydawało się, że wyszedł z całej tej burdy bez szwanku. Przy odrobinie szczęścia szybko się dogada i odstawi Frya na statek. Henderson skupił się na sprawie do załatwienia.

Za barem gość przed czterdziestką w jasnożółtej kamizelce zręcznie napełniał kolejne kufle purłem, popalając krótkie cygaro. Skinął głową.

– Co mogę podać?

Kapitan stwierdził, że nie pogardziłby kuflem piołunowego ale, podał monetę i upił duży łyk.

– Szukam znajomego, Willa Simmonsa – zagadnął.

Mężczyzna wyjął cygaro z ust i spojrzął na niego, zastanawiając się.

– Willa Simmonsa? Nie. Nie znam. Mieszka w okolicy?

Henderson pokręcił głową.

– Ale robił tutaj interesy.

Podeszła do nich kobieta w średnim wieku. Zaskorupiały róż na jej policzkach sprawiał, że

zdawało się, iż cierpi na ostrą wysypkę. We włosy wpięła niechlujną brzoskwińową wstążkę. Henderson uznał, że fryzura i wstążka bardziej pasowałyby do kogoś młodszego.

– Czego pan szuka, Titusie? – zapytała.

– Gościa nazwiskiem Simmons.

Kobieta zlustrowała Hendersona badawczym wzrokiem.

Uśmiechnął się.

– Jestem znajomym Willa Simmonsa. Robił tu w okolicy interesy. Miałem nadzieję, że będę mógł skontaktować się z jego współpracownikami. Kilkoma dżentelmenami. – Titus zeszywniał. Tylko odrobinę, z daleka nikt by tego nie dostrzegł, ale Hendersonowi to nie umknęło. Flejtuchowata kobieta wpatrywała się w kapitana z taką intensywnością, że zaczęła przypominać figurę woskową. – Jeśli wie pani coś na temat tych dżentelmenów, to jestem pewien, że z chęcią wysłuchaliby wiadomości, które mam im do przekazania. – Postawił pusty kufel na ladzie. – Świetne piwo.

– Tak, nasza piwniczka jest najlepsza w tej okolicy. – Titus pokiwał głową. – Jeszcze jedno?

Henderson zaprzeczył.

– Muszę znaleźć znajomych Simmonsa. Jeśli nie mogą mi państwo pomóc, ruszam w drogę. Simmons polecał wasze piwo. Miał rację.

Nagle kobieta ożyła. Skinęła na Hendersona, żeby podszedł bliżej. Jej nos marszczył się i drżał jak u królika. Ostatnio do dżentelmenów zaczęło przychodzić dużo wiadomości. Chciała poznać przynajmniej kilka z nich.

– Być może wiem, kogo pan szuka. Czego dotyczą wiadomości, *sir*?

Hendersonowi nie drgnęła nawet powieka.

– Jeśli wie pani, gdzie mogę ich znaleźć, to lepiej niech mi powie – rzucił beznamiętnym tonem.

Titus wyglądał tak, jakby miał ochotę odłożyć cygaro i zacząć działać, bo nawet cień groźby stanowił dla niego zbyt wiele. Pani Wylie delikatnie dotknęła jego ramienia. Zawsze ingerowała – a przynajmniej próbowała ingerować – w prywatność dżentelmenów. W końcu ktoś powie, o co chodzi. Już niedługo. Wizyta nieznanego tylko wzmocniła jej ciekawość. Nie wyglądał na amatora kart, a w żadnym wypadku nie był wystarczająco dystyngowany, by zasiadać z jej dżentelmenami przy jednym z stole. Jej dżentelmeni zawsze wyglądali wytwornie, należeli do zupełnie innej klasy. Nachyliła się mocniej.

– Znajdzie ich pan naprzeciwko – szepnęła. – Dom z zasłoniętymi okiennicami, czarne drzwi. Pierwsze piętro. Dokładnie naprzeciwko.

---

---

[71] Popularne w XIX wieku bogato płaskorzeźbione pomniki w kształcie drzewa ze ściętymi lub złamanymi gałęziami miały symbolizować zbyt krótkie życie tragicznie przerwane śmiercią.

[72] Humphry Davy (1778–1829) – brytyjski chemik i fizyk; w latach 1820–1827 pełnił funkcję przewodniczącego Royal Society w Londynie.

[73] Basil Hall (1788–1844) – kapitan królewskiej marynarki, prowadził między innymi badania dotyczące grawitacji.

[74] John Pond (1767–1836) – w latach 1811–1835 pełnił prestiżową funkcję astronoma królewskiego.



## OLD STREET

Członkowie Klubu kazali Samowi wrócić tego wieczora. Po całodniowych rozważaniach na temat skradzionego towaru byli gotowi wydać instrukcje. Sam przyjechał wcześniej, a raczej – pomyślał z uśmiechem – w samą porę. Kiedy dostrzegł kapitana i chłopaka przy Old Street, zaczął za nimi iść. Rozróżba stanowiła niespodziewany bonus. Przyczajony w rozpadającej się bramie, spokojnie obserwował, jak dwójka unieszkodliwia gościa, który próbował obrobić Hendersona. Gdy parka ruszyła dalej, podążył za nią, wciąż kulejąc po spotkaniu z panią Wylie. Minął rannego. Facet czołgał się w stronę Shoreditch. Jeśli tam dotrze, bez wątpienia otrzyma pomoc. Całkiem dobrze mu szło. Nim Sam doszedł do skrętu w Mallow Street, koleś pokonał przecnicę. To całkiem obiecujący znak.

Uwagę Sama zajmowało coś ważniejszego. Trzymając się cienia, wyszedł na Mallow Street, akurat gdy młodziak kuczał we wnęce pod oknem, a kapitan zniknął w Rose. Na sam widok Hendersona krew gotowała mu się w żyłach. Nie miał specjalnie gwałtownego usposobienia, ale na pokładzie „Bittersweet” został upokorzony, więc gniew płonął w nim ze szczególną intensywnością. Nie mógł wejść do Klubu niezauważony przez chłopaka, skutkiem czego to on stał się jego celem. Wiedział, że szczawik uzbrojony jest w nóż i brzytwę. Oczywiście ma też pięści, ale jest niższy od Sama, a ponieważ jeszcze w pełni nie dojrzał, nie ma męskiej postury. W dodatku Sam miał przewagę wynikającą z elementu zaskoczenia. Żółtodziób skupiony był na drzwiach prowadzących do Rose. Sam uśmiechnął się. Cicho zawrócił, obszedł budynek i podkradł się od tyłu. Nie tyle cień, ile lewitujący duch unoszący się nad usłaną odchodami boczną uliczką. Kopnął niespodziewającego się niczego chłopaka zdrową nogą, tak że tamten stracił równowagę, po czym sprawnie przytrzymał go za gardło. W tej pozycji, raz-dwa przeszukawszy młodego, zabrał mu sprężynowiec i skradzioną brzytwę.

Richard usiłował się wyrwać, ale nawet nie mógł wydać z siebie głosu. Napastnik miażdżył mu tchawicę. Śmierdząca rzeka odpadków płynęła tuż koło jego ucha. Jak widać – pomyślał – w East Endzie można łatwo zostać napadniętym dwa razy w ciągu pięciu minut. Nie miał powodu sądzić, że atak nie jest związany z awanturą przy Old Street.

– Gęba na kłódkę, bo pożałujesz – szepnęła złowieszczco jego oprawca, po czym postawił go

na nogi i trzymając za splecione za plecami ręce, w mniej niż minutę przeprowadził na drugą stronę ulicy pod czarne drzwi i po drewnianych schodach wprowadził na piętro. Żelazny uścisk i technika wskazywały na duże doświadczenie.

Trzej dżentelmeni patrzyli na nich w milczeniu. Czas stanął. Tylko smużki dymu z cygar wiły się w stronę sufitu.

– No to co my tutaj mamy, Pearson? – zapytał w końcu jeden.

– Jest tutaj, łachudra jeden – odparł Pearson. – Kapitan „Bittersweet”, znaczy się. Naprzeciw, w Rose.

– A ten młokos? – zainteresował się drugi.

– Osłaniał go. – Pearson nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Pomyślałem, że dobrze go będzie przyprowadzić.

Richard wiercił się niemrawo. Kawałek błota spadł z jego twarzy na nieokrytą niczym drewnianą podłogę. Nie umiał powiedzieć, co to za miejsce, ale przynajmniej znajdował się w towarzystwie dżentelmenów. Z jego doświadczenia wynikało, że w obecności dżentelmenów mógł czuć się bezpiecznie. Zastanawiał się, czy powiedzieć im, że Henderson przyszedł, żeby dogadać się z nimi w sprawie ich inwestycji. Spodziewał się, że po tym oświadczeniu zapomną o jego niechlujnym wyglądzie i zaproponują mu kieliszek czegoś mocniejszego. Już miał się odezwać, kiedy zauważył, że coś się zmieniło. Siwawy rudzielec sięgnął po mahoniową laskę i teraz gładził zdobną rączką lisią główkę. W przód i w tył, w przód i w tył. Drugi mężczyzna podniósł się powoli i poprawił fular. Trzeci zamarł. Richard miał wrażenie, że obserwuje jakiś złowieszczy balet albo żywy obraz. To było hipnotyzujące. Pomyślał, że Fryowie nie prowadzą interesów w ten sposób. Ta trójka nie przypominała znanych mu dżentelmenów. W jednej sekundzie scena zmieniła się w koszmar. Laska niespodziewanie zderzyła się z nogami.

Nie rozpoznał dźwięku, który wyrwał się z jego gardła. Przez chwilę miał wrażenie, że świat zniknął, a w powietrzu brzmi tylko przyduszony, desperacki krzyk. Kiedy znowu mógł skupić wzrok, usiłował uspokoić oddech. Bał się, że zwymiotuje. Nogi bolały go tak, jakby zostały strzaskane, umysł zalewały fale strachu i dezorientacji. W Bristolu, kiedy walczył, miał głównie do czynienia z chłopakami swojej postury. Żaden z nich nie dysponował bronią, o której warto by było mówić. Mężczyzna, który poprawił fular, wystąpił naprzód, najwyraźniej przejmując dowodzenie nad przesłuchaniem.

– Jak się nazywasz? – zapytał spokojnie.

– Richard – zdołał wydusić z siebie Richard. Gardłowy dźwięk zdawał się obijać o zęby.

Mężczyzna nie śpieszył się. Wydawało się, że świetnie się bawi.

– No dobrze, Dick, oświeć nas. Co tutaj robisz?

– Kapitan przyszedł dogadać się co do pieniędzy. Jesteście inwestorami Willa Simmonsa?

Przyszedł zwrócić rzeczy osobiste Simmonsa i oddać wam waszą działkę. – Tym razem słowa wylewały się z niego w ledwo zrozumiałym bełkocie, niczym płynąca za szybko brudna woda. Westchnął, gdy skończyło mu się powietrze w płucach. Nogi nieziemsko go piekły. Nie było ku temu żadnego powodu, pomyślał, tylko czyste zło.

Mężczyźni zastygli. Oczy siwiejącego rudzielca były jak węgielki. Jeszcze raz podniósł hebanową laskę i uderzył nią z taką zawziętością, że luźny pukiel włosów podskoczył niczym ogon konia w galopie. Tym razem trafił wyżej. Richard nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Dopiero po chwili, zapewne z powodu szoku, poczuł na udach rozkwitające maleńkie pączki bólu, szereg siniaków w kolorze dżemu z czarnej porzeczki. Wrażliwa skóra zaczęła płonąć. Nie mógł powstrzymać drżenia nóg. Jeśli się trzęsą – pomyślał – to czy są strzaskane? Co to za straszne nieporozumienie. Próbował mówić, ale brakowało mu tchu i tylko westchnął jak migoczący płomień gaszonej świecy.

– Miło ze strony kapitana, że tutaj dotarł – skomentował zjadliwie „Fular” – ale on tu nie ma nic do powiedzenia. Nie teraz.

– Zapłacił cło – syknął rudzielec z laską. – Ukradł nasz towar, niech go cholera, i zapłacił pieprzone cło.

Richard czuł się zagubiony. Nic nie rozumiał. Nie mógł zebrać myśli. Henderson mówił, że to przemytnicy, ale to nie miało sensu. Kto próbował unikać płacenia cła? Z pewnością nie dżentelmeni? Czego oni właściwie chcieli? I jak mógł ostrzec Hendersona, co go czeka? Było w tym pokoju coś groteskowego. Coś obrzydliwego. Nim zdołał znaleźć rozwiązanie, ktoś zapukał stanowczo do drzwi wejściowych. Mężczyźni znowu zmienili pozycje, stanęli jeden przy drugim. Przyszło mu do głowy, że zachowują się jak stado wilków. A może nie, wilki nie byłyby chyba tak podłe. Ci goście delektowali się okrucieństwem. Zniecierpliwione pukanie powtórzyło się. Wydawało się, że dżentelmeni czerpią z tego jakąś satysfakcję.

– Rzadko się zdarza, żebyśmy mieli gości, którzy pukają – wycedził „Fular”.

Odpowiedział mu cichy śmiech.

Ustawili się. Na znak rudzielca Pearson puścił ramiona Richarda i poszedł otworzyć drzwi. Richard osunął się na podłogę. Po prostu nogi się pod nim ugięły. Uda go rwały, ale strach tłumił ból. Jego oczy z desperacją prześlizgiwały się po twarzach trzech mężczyzn. Nie potrafił przewidzieć, co może się wydarzyć. Dał kapitanowi słowo, że będzie go osłaniał. Czy powinien spróbować rozbroić rudzielca, który – z tego, co rozumiał – był najagresywniejszy z trójki, a na pewno najlepiej uzbrojony? Chciał złapać laskę, nim Henderson wejdzie do pokoju. Śmiały zamysł, ale rudzielec, choć wydawało się, że nie patrzy w jego stronę, był szybszy. Z nikczemną bezwzględnością zdzielił go w ramię, tym razem końcem ze srebrną dekoracją. Richard runął jak długi. Miał wrażenie, że jego żebra gruchnęły o podłogę. Cienki materiał marynarki w żaden

sposób nie ochronił go przed bólem. Załkał. Mężczyzna stanął nad nim gotów kontynuować lanie, gdyby się ruszył.

– No, no. Co za werwa – skomentował „Fular”.

Kroki na schodach zapowiedziały przybycie kapitana. Wszedł przed Pearsonem. Na widok leżącego na brzuchu Richarda skinął krótko głową. Jeśli domyślił się, że jest ranny, to nie okazał tego w żaden sposób.

– Ach, tutaj jesteś – powiedział zrelaksowanym tonem. – *Sirs*. – Złożył półukłon. – Cieszę się, że udało mi się panów namierzyć.

Grant stanął obok towarzyszy i oparł się ciężko na swojej lasce. Fisher bawił się garotą z czerwonego jedwabiu. Henderson zastanawiał się, czy mężczyzna trzyma różaniec – w słabym świetle trudno było powiedzieć, co ma w ręku.

– Kapitanie – odezwał się Hayward. – Gdyby nas pan nie odnalazł, sami byśmy pana odwiedzili. Gdzie, do diabła, jest nasz towar, *sir*?

– Sprzedałem z zyskiem.

– Wszystko?

Henderson uśmiechnął się złośliwie.

– Cóż, ziarno, które, jeśli się nie mylę, nie stanowi całego sprowadzonego towaru. Czy chcą panowie rozmawiać na ten temat w towarzystwie? – Skinął w stronę Pearsona i chłopaka.

– Ma pan rację – odparł Hayward. – Pan Pearson nie miał wówczas wiedzy na temat reszty ładunku. Jest jednak lojalny, choć nie w pełni poinformowany. A chłopak to pańska sprawa. Do jasnej cholery! Najpierw ucieka pan z naszym towarem, a teraz...

– Ależ skąd, *sir* – przerwał mu Henderson. – Towar panów, a raczej Willa Simmonsa, bo nie miałem świadomości o istnieniu panów, dopóki nie dotarłem do Kornwalii, dostarczyłem. W Kornwalii na pokład wszedł wasz przedstawiciel w osobie pana Pearsona. Zdecydował się opuścić statek, niemal pozbawiając mnie możliwości znalezienia panów. Na szczęście Will wspomniał Mallow Street. Dochodzenie okazało się... cóż... owocne. I oto jestem. Dotarłem do Londynu dwa dni temu. Sądzę, że znalazłem panów naprawdę szybko.

Pearson usiłował oprotestować taką wersję wydarzeń, ale Grant uniósł laskę i sprzeciwił się. Gestem poprosił Hendersona, by kontynuował.

– Nie wiem, panowie, czego ode mnie oczekiwaliście. W rzeczy samej uważam, że należy mi się podziękowanie. Nie każdy kapitan po śmierci klienta, który napełnił jego ładownię, zdobyłby się na takie poświęcenie i dotrzymał warunków umowy zawartej tysiące kilometrów stąd z przedstawicielem osób, których nie widział na oczy. Ach, to pieniądze Simmonsa. – Wyciągnął z kieszeni paczuszkę. – Nie okradnę zmarłego.

Członkowie Klubu zignorowali ten gest.

– Chłopak nie mógł za wiele przed panem ukryć, a jednak zapłacił pan cło – powiedział bez ogródek Grant, a pozostali mu przytaknęli.

– Tak jest, *sir*. Zapłaciłem. Podjąłem taką decyzję jako kapitan. A teraz przyszedłem tutaj omówić warunki zwrotu poczynionej przez was inwestycji.

– I tę drugą kwestię – zauważył Hayward.

– I kwestię klejnotów oraz złota. Tak, to też.

Fisher nalał sobie drinka.

– Spodziewamy się solidnego zysku – oznajmił.

Henderson uśmiechnął się, jedną rękę trzymał cały czas w kieszeni, na rękojeści noża. Zapytał gestem, czy może usiąść.

– A więc przejdźmy do interesów. No cóż, oczekuję prowizji za pośrednictwo w transakcji zakupu ziaren. Dogadaliśmy się z Simmonsem i już odjąłem odpowiednią umówioną kwotę. Jest też kwestia transportu i sprzedaży towaru z zyskiem. Za to też oczekuję wynagrodzenia. Spodziewam się go również za moją uczciwość, panowie. I to dobrego, bo wykonałem naprawdę niezłą robotę.

– Ale cło – powtórzył Grant.

Henderson nie zaprzeczył słowom Granta. Po prostu je zignorował.

– Jeśli chodzi o blok czekolady, wyjąłem z niego ukryte w nim klejnoty oraz złoto i oczekuję wynagrodzenia za ich dostawę. Hojnego wynagrodzenia, w rzeczy samej. Większość ludzi zniknęłaby z takim skarbem.

Hayward usiadł. Spokojny, wyważony ton Hendersona zrobił na nim wrażenie. Argumenty były niebezpieczne. Mógł wykazać się nierozważą, płacąc cło, ale wydawał się dość przyzwoitym łajdakiem. W końcu sam się do nich zgłosił.

– Kapitanie, dlaczego zapłacił pan cło? – zapytał. – Czy Will nie wyjaśnił panu natury naszej operacji?

Sam wtrącił się.

– Ja mu wyjaśniłem. Powiedziałem mu.

Grant uciszył chłopaka spojrzeniem, które przecięło pograżony w półmroku pokój niczym płonąca strzała.

Henderson wzruszył ramionami.

– Decyzja należy do kapitana. Szczerze mówiąc, uznałem, że gra nie była warta świeczki. Jak się okazało, i tak zdołałem wypracować zysk. Nie mogę oczywiście stwierdzić, czy nie zarobiłbym więcej, szmuglując ziarno, ale sądzę, że wysoka jakość towaru wpłynęła na sprzedaż. Według mnie trzymanie się litery prawa nie było czymś nierozsądnym.

Hayward zadumał się.

– Cóż, szukaliśmy odpowiedzialnego kapitana, nieprawdaż? – mruknął.

– Potrzebujemy kogoś, kto będzie operował na naszych warunkach – zaproponował Grant.

– Ale kapitan mógłby tak operować – stwierdził Hayward. – Prawda, kapitanie? Na moje oko w swoim czasie trudnił się pan przemytem. Patrzcie, jest spokojny jak oswojona fretka. Wydaje się wystarczająco solidny. Zechciałby pan z nami współpracować? Mamy zamiar zacząć regularnie korzystać z tego szlaku.

Pearson wyglądał na wściekłego. Przesząpił z nogi na nogę.

– Jestem tutaj, żeby doprowadzić ten interes do końca, *sirs* – Henderson uśmiechnął się. – To wszystko.

– Dobrze płacimy, kapitanie – zapewnił Fisher.

– Przekona się pan. Nalegamy. – Hayward nachylił się przez stół.

– Nie – powiedział Henderson. – To dobra oferta, ale dziękuję. Mam inne plany.

– To nie podlega dyskusji, kapitanie – oświadczył beznamyślnie Grant. – Przyznam, że w przypadku tego transportu mogliśmy popełnić błąd. – Spojrzał znacząco na Pearsona. – Mogliśmy nie zorientować się, że przy odpowiednich rozkazach współpraca z panem może mieć dużą wartość. W przeszłości miewaliśmy problemy z niesolidnymi kooperantami. Zwłaszcza kapitanami.

– Istotnie – potwierdził Hayward. – Potrzebne nam są pańskie usługi. Z pana pomocą możemy regularnie sprowadzać towar z Brazylii. Damy dobrą prowizję. Opłaci się to panu.

Stojący za plecami Hendersona Fisher bawił się swoją garotą.

– Panowie – Henderson uśmiechnął się. – Jestem tutaj, żeby sfinalizować umowę, którą zawarłem z Willem Simmonsem. Mam swoje plany. Przykro... – nie skończył mówić, kiedy Fisher zacisnął jedwabną linkę na jego gardle tak mocno, że Henderson aż się podniósł. W jego oczach zajaśniała panika. Rozpaczliwie usiłował odciągnąć duszącą go garotę.

– Zrób to, Fisher – odezwał się Hayward.

Richard próbował się podnieść, ale Pearson go przytrzymał. Chłopak kopnął go w zranioną nogę. Pearson odpowiedział silnym ciosem w posiniaczone ramię. Podczas gdy okładali się na podłodze, członkowie Old Street Bridge Club skupili całą swoją uwagę na Hendersonie. Fisher wciąż zaciskał linkę na gardle kapitana, coraz bardziej czerwonego na twarzy. Jego spojrzenie było twarde. Hayward wyglądał na umiarkowanie zmartwionego. Grant obserwował zajście z wyraźną przyjemnością, jego niebieskie oczy lśniły. Żaden z nich nie spodziewał się tego, co nastąpiło później. Niespodziewanie kapitan szarpnął całym ciałem w dół, przy okazji wykopując spod siebie krzesło, następnie uderzył Fishera łokciem w krocze tak mocno, że tamten padł jak długi na podłogę. Czerwona linka zsunęła się. Grant chciał użyć swojej laski, ale Henderson

okazał się dla niego zbyt szybki. W jednej chwili znokautował Szkota, zadając mu potężny cios w nasadę nosa. Grant osunął się na Fishera. Na koniec kapitan chwycił hebanową laskę, w odpowiednich rękach prawdziwie zabójczą broń, i zdzielił Haywarda srebrną główką, nim ten zdążył zareagować. Dżentelmeni zostali unieszkodliwieni.

– Dość! – krzyknął Henderson przez ramię na zmagających się chłopaków. – W porządku, synu?

Richard uwolnił się z uścisku Pearsona i pokuśtykał na bok.

– Tak, *sir*.

– Niech pan posłucha – odezwał się Fisher, stając na nogi. Mówił takim tonem, jakby chciał coś udowodnić podczas rozprawy w sądzie. W istocie w młodości przygotowywał się do wykonywania zawodu prawnika.

Henderson nie miał zamiaru go słuchać. Zamachnął się i walnął Fishera w brzuch, znów posyłając go na podłogę.

– Chryste. Przyszedłem się z wami dogadać. Nie jestem pewien, coście za jedni, ale żadni z was dżentelmeni. Macie szczęście, że nie porozwalałem wam głów i nie wykończyłem was. Nie wiem, z kim się zwykle zadajecie, ale ktokolwiek to jest, szkoda mi go.

Tymczasem, oprzytomniawszy, Grant otworzył oczy. Z ciemnofioletowym siniakiem na twarzy zupełnie nie przypominał znanego wszystkim Czarującego Charliego. Obrzucił Haywarda twardym, oskarżycielskim spojrzeniem. Jakby miał do niego żal, że nie zdołał zapanować nad sytuacją.

– Jest nas trzech – powiedział bez ogródek.

Pearson wystąpił do przodu, chcąc pokazać, że jest ich nawet czterech. Henderson podniósł laskę nieco wyżej. Teraz nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia. Ta trójka przywykła do interesów z ludźmi, którzy nie potrafili się im przeciwstawić, bo ci należeli do wyższej klasy. To byli zwykli despoty wykorzystujący swoją pozycję, by dostać to, czego chcą. Henderson jednakże dostrzegł pęknięcie. Słaby punkt między tym światem a West Endem.

– Oto moje warunki, panowie. Pieniądze Simmonsa, podwojony wkład, złoto i połowa kamieni. Możecie przyjąć tę ofertę albo ją odrzucić, mam to gdzieś. Byłem skłonny zaproponować lepsze warunki, ale próbowaliście wyprawić mnie na tamten świat, więc pieprzę to.

– Należy nam się potrojony wkład – warknął Grant. – Taka była umowa z Simmonsem, taka będzie teraz.

– Nie, kiedy próbowaliście mnie zamordować. Macie szczęście, że cokolwiek wam oferuję. Panie... Fisher? – Henderson zwrócił się do jedyne go członka Old Street Bridge Club, którego nazwisko zostało ujawnione.

Fisher kiwnął zdawkowo głową, spoglądając z ukosa na Haywarda, który go sypnął.

– Sfinalizujemy naszą umowę w pana rezydencji, *sir*. Dokąd mam się stawić?

– Interesy prowadzimy tutaj – zaproponował Fisher podniesionym tonem.

Henderson uśmiechnął się złośliwie. Miał dobry instynkt. To była ich melina.

– Jeśli sądzi pan, że przyjdę tutaj jeszcze raz, to ma mnie za zbyt dużego głupca.

– Nie może nam pan dyktować... – zaczął Hayward.

– Mogę, *sir* – przerwał mu Henderson. – I to robię. Jeśli nie zgadzacie się na te warunki, rozstaniemy się i zostaniecie z niczym. Jeśli będziecie mnie nachodzić po otrzymaniu swojej doli, zainteresuję się, dlaczego prowadzicie interesy tutaj, i sprawdzę gdzie każdy z was mieszka, kiedy udaje członka kulturalnego towarzystwa. A potem dopilnuję tego, żeby to kulturalne towarzystwo usłyszało o waszej działalności przy Mallow Street. To dotyczy całej waszej trójki, jasne? Zdemaskuję was jednego po drugim, macie moje słowo.

– To szantaż! – wybuchł Hayward. – Cholerny szantaż!

Twarz Hendersona rozjaśnił bezwzględny uśmiech.

– Proszę się cieszyć, że nie udusiłem pana garotą, *sir*. A szczerze mówiąc, jest to bardzo kuszące. Chyba lepszy szantaż niż śmierć. Nie wiem, z kim zwykle współpracujecie, ale nieuczciwie wykorzystujecie swój status, a na to nie mogę pozwolić. Ma pan żonę, *sir*? Uważa pan, że z chęcią posłucha o naszym spotkaniu? Cóż, zachowajcie się honorowo, a nigdy nie wyjdzie to na jaw. I tak na tym zarobicie, panowie. Takie są moje warunki. – Rudzielec wyraźnie chciał wstać, by zaprotestować, ale zdołał zaledwie podnieść się na kolana, gdy Henderson zadał mu cios w skroń. Aż się zatoczył. – Mówię poważnie – oświadczył. – Tak was załatwię, że nikt w Londynie nie zechce przyjmować ani was, ani waszych rodzin. – Członkowie Old Street Bridge Club zamarli zszokowani. Nikt dotąd im nie groził. Tymczasem Henderson odwrócił się do Richarda. – Możesz iść?

Richard pokiwał głową. Ramię potwornie go rwało i nie miał wątpliwości, że będzie kulą, ale mógł iść.

– Zejdź i poczekaj na mnie przy drzwiach – poinstruował go Henderson.

Kiedy słuchali oddalających się nierównych kroków, Henderson pochylił się.

– Jeśli pójdziecie za nami, pożałujecie. Rozumiemy się? Ludzi takich jak ja lepiej zostawić w spokoju, ma się wtedy znacznie mniej problemów. Jeśli spróbujecie zaatakować Richarda albo mnie, nigdy nie zobaczycie swoich pieniędzy. W innym wypadku działkę, złoto i klejnoty dostaniecie w ciągu kilku dni. Radzę to przemyśleć, panie Fisher, załatwić sprawę i o niej zapomnieć.

Cofając się w kierunku drzwi, nie umiał powiedzieć, czy dżentelmeni zgadzają się z nim, czy nie. Poważanie to świetna broń – pomyślał. W pewien sposób nauczyła go tego Maria – bardzo



zręcznie potrafiła wykorzystać etykietę do swoich potrzeb. Wypchnął Richarda za frontowe drzwi i pociągnął do najbliższej alejki, z dala od jakiegokolwiek źródła światła. Na ulicy byłoby zbyt odśnieżone. Czekali ich długi spacer nad rzekę, a chłopak był ciężko ranny.

Na drugim końcu ciemnego „tunelu”, przy trakcie prowadzącym ze wschodu na zachód, stał powóz. Pilnowało go dwóch woźniców w ciemnych liberjach. Jeden trzymał bat, drugi pałkę. Pojazd był dobrej jakości, ale stary. Lampa na długim haku oświetlała herb rodzinny na drzwiczkach – hełm otoczony białymi i czerwonymi piórami. Musiał należeć do jednego z dżentelmenów. Henderson podkradł się, by przeczytać nazwisko, ledwo widoczne w półmroku. Hayward. Fisher i Hayward. Miał już dwóch. Jeden z woźniców zatupał. Robiło się zimno. Gdy wrócił do Richarda, zaczęło mżyć. Chłopak opierał się o ścianę.

– Chodź. – Wyciągnął ramię, żeby młody Fry mógł się na nim oprzeć. W ciemności jego serce waliło jak młotem. Czuł to. Małe krople zimnego deszczu na włosach przypominały cukier puder. – Dobrze się czujesz?

Chłopak pokiwał głową.

– Cóż. Nie możemy przejść obok powozu, a główna droga jest zbyt oczywista. Obawiam się, że spotkalibyśmy tam naszych znajomych dżentelmenów albo gościa, którego dziabnąłeś. Więc musimy iść tędy. – Skinął głową w ciemność rozciągającą się za tawerną. – Bocznymi uliczkami. Przynajmniej przez jakiś czas.

Pokonanie całej drogi pieszo nie wchodziło w grę. Pomiędzy małymi niebezpiecznymi enklawami ciągnęły się długie, puste ulice. Rzeka była bezpieczniejsza, choć o tej późnej porze i tak daleko trudno będzie znaleźć flisaka. Mimo to musieli spróbować.

Z góry, od strony pokoju zajmowanego przez klub dobiegł stłumiony skowyt. Nie musieli nic mówić. Obaj wiedzieli, że to Sam Pearson.

– Przynajmniej ich zajmie – mruknął Henderson.

W Rose Tavern, po drugiej stronie ulicy, samotny głos wyśpiewywał wojskową piosenkę. Richard pomyślał o rodzinnym domu, cichym w nocie takie jak ta, o jego mieszkańcach śpiących bezpiecznie w wykrochmalonej pościeli i o tym, że na stoliku obok łóżka czeka na nich szklanka mleka.

– Dojdziemy do rzeki i złapiemy jakąś łódkę – powiedział kapitan, zdążając równym tempem w dół Mallow Street.

Gdy skręcili za róg, na wschodzie zabrzmiał kościelny dzwon. Twarz kapitana pogrążona była w ciemności, ale Richard dostrzegł jej wyraz, kiedy na chwilę oblało ich blade światło księżyca. Henderson był skupiony, absolutnie skoncentrowany na ucieczce.

## COVENT GARDEN

**M**aria usiadła w skórzanym fotelu w księgarni. Przeglądając tytuły innych wydawców – Blackwoodowie<sup>[75]</sup> opublikowali kilka cudownych pozycji – czuła się tak, jakby zdradzała Murraya, ale powiedziała sobie, że nie miałby jej tego za złe. Lista jego publikacji, choć bez cienia wątpliwości imponująca, nie wyczerpywała wszystkich tematów. Odetchnęła głęboko. Atmosfera księgarni zawsze dodawała jej otuchy – gruby papier, sporadyczna woń pergaminu, ciężki aromat skórzanych opraw, tłoczone złote litery połyskujące z półek niczym magiczne totemy. W rezydencji Georgiany nie było biblioteki. Znalazła tylko parę starych książek w salonie, nic więcej. Na razie nie miała czasu się z nimi zapoznać, ponieważ szwagierka bez końca mówiła o swoim bracie, wciąż i wciąż dopominała się o szczegóły dotyczące jego śmierci. Marii coraz trudniej przychodziło opisywanie krótkiej choroby Thomasa. Było to dla niej bolesne, a poza tym nie miała wiele do powiedzenia. Dostał wysokiej gorączki, opiekowała się nim, zmarł.

W dodatku Georgiana nie ulokowała jej w pokoju z małżeńskim łóżem, który do tej pory zajmowali z Thomasem, ani w żadnym z dwóch wolnych pokoi gościnnych z widokiem. Zamiast tego zakwaterowała owdowiałą bratową w posępnej klitce na tyłach domu, z wąskim pojedynczym łóżkiem i maleńkim kominkiem. Maria nie miała specjalnych obiekcji, tyle że zastanawiało ją, co Georgiana chciała jej w ten sposób zasugerować. Takie lokum nie mogło być dobre dla duszy. Cieszyła się, że ma sprawy do załatwienia i powód do opuszczenia czterech ścian. Kiedy oznajmiła, że musi napisać kilka liścików i odbyć parę spotkań, Georgiana patrzyła z podejrzliwością na każdą literę, która wychodziła spod jej pióra. A gdy Maria położyła się na sofie po śniadaniu, jej szwagierka zasugerowała wizytę w kościele. Propozycję, by w zamian odwiedzić Dulwich Gallery<sup>[76]</sup>, skomentowała słowami: „Jakie to francuskie”. Pograżona w swojej żałobie zaczęła gardzić nie tylko przyjemnościami, lecz także tym, co normalne. „Nie płaczesz za nim, Mario? Nie widziałam, żebyś ronila łzy” – zapytała. Maria pomyślała o tych dniach w Chile, kiedy wreszcie sama, pozbawiona tchu, opadła na podłogę i nie tylko płakała, ale wyła z żalu. To było instynktowne. Czuła się jak zwierzę. Georgiana osuszyła oczy chusteczką. „Widzisz, ja płaczę codziennie – pociągnęła nosem. – Ku jego pamięci”. Gdy

przyszła pora spotkania z lady Dundas, z którą Maria miała udać się na zakupy do Covent Garden, poczuła niemal ulgę.

Ciotka nie zechciała towarzyszyć jej w księgarni, więc Maria chłonęła spokój wspaniale zaopatrzonego punktu pana Thina, usytuowanego niedaleko Regent Street. Rozkoszowała się panującą tam ciszą i harmonią. Poza sporym stosikiem książek odłożyła również stertę „Edinburgh Review”. Pobyt w domu szwagierki przynajmniej sprawił, że doceniła miejsca, w których serdecznie ją witano.

– Jak zawsze miło panią widzieć, pani Graham – uprzejmie odezwał się pan Thin do swojej znakomitej klientki. – Nie będę próbował niczego pani sprzedać. Sama pani wie najlepiej, czego potrzebuje. Nadrabia pani zaległości, nieprawdaż? – Pan Thin gromadził kopie wszystkich magazynów opiniotwórczych właśnie z tego powodu. Dżentelmen czy dama przebywający za granicą rok czy dwa łatwo tracili rozeznanie, co się dzieje w świecie nauki i polityki. U pana Thina bez problemu mogli szybko uzupełnić braki. – Same interesujące artykuły – zapewnił Marię, oddalając się, by mogła w spokoju przekartkować czasopisma naukowe, które zamierzała kupić.

Nie zdejmując rękawiczek, Maria sięgnęła po egzemplarz z dołu satysfakcjonująco dużej sterty. Poza politycznymi biuletynami musiało się tam znajdować przynajmniej dwanaście magazynów. Gdy już się z nimi zapozna, a potem przeczyta je jeszcze raz, przekaże je brytyjskiej społeczności w Rio. Wieści z domu zawsze są na wagę złota. Zabrzęczał zegar szkieletowy stojący na kominku obok niej. Dżentelmen sprawdzający godzinę na swoim zegarku kieszonkowym zerknął na tytuły książek, które odłożyła na bok. Z zastanowieniem spojrzął na niezwykłą damę, która zażyczyła sobie tak poważne tomy.

– Czy mogę panu pomóc, *sir*? – zapytał pan Thin, który właśnie wyszedł z zaplecza.

– Tylko sprawdzam czas, panie Thin – przyznał dżentelmen, uchylając kapelusza i jednocześnie zatrzasnął wieczko. – To doprawdy wspaniały czasomierz.

Właśnie dlatego pan Thin zainwestował w zegar. Hipnotyczny ruch kół zębatych i sprężyn przyciągał klientów. Dżentelmeni przyjeżdżali tutaj co tydzień specjalnie po to, by nastawiać swoje zegarki kieszonkowe. I co tydzień część z nich dawała się skusić nowościom albo bestsellerom, które przebiegle umieszczał tuż pod ręką, jakby zupełnie przypadkiem.

Pani Graham podniosła wzrok znad „Edinburgh Review”.

– To wszystko też wezmę. – Poklepała stertę po prawej. – A także elementarze łaciński i grecki. Szukam również materiałów poświęconych tropikalnym ogrodom botanicznym. Jej Cesarska Mość zamierza założyć takie „żywe muzeum” w Rio de Janeiro i potrzebuje szczegółowych informacji. Interesują ją zwłaszcza sukulentki. I orchidee.

Głowa pana Thina zaczęła pracować, jakby napędzana mechanizmem podobnym do tego na

jego kominku. Pamiętał każdy tom, który przeszedł przez jego doświadczony rękę. To był jeden z powodów, dla których Maria uwielbiała odwiedzać ciasno upakowany sklepik. Uwielbiała, gdy stary księgarz przynosił jej różności jego zdaniem warte uwagi. Co jakiś czas dzięki jego encyklopedycznej wiedzy odkrywała na półkach prawdziwe klejnoty.

– Ach, tak – powiedział. – Mam pozycję na ten temat. Choć, obawiam się, może być nieco nieaktualna. Przyniosę i oceni pani, czy jest odpowiednia. Mam też na stanie katalog orchidei z cudownymi ilustracjami. Zaraz go poszukam. – Oddalił się w kierunku piwnicy.

Dzientelmen, który nastawił zegarek, musiał najwyraźniej stwierdzić, że sytuacja go przerasta, bowiem skinął pani Graham grzecznie głową i wyszedł. Maria rozluźniła kostki i przekartkowała kolejny egzemplarz „Review”. W chwilach cichej refleksji, takich jak ta, wracała myślami do Jamesa Hendersona. Wciąż była na niego wściekła. I zła na siebie, że nie potrafi o nim zapomnieć. Ale taka jest prawda. Każdy drobiazg ją prowokował – artykuł na temat prowadzenia plantacji, mijana przekupka oferująca udziec jagnięcy. Nie spodziewała się tego.

Zmusiła się, by wrócić do teraźniejszości. Obserwowała kobiety mijające obojętnie starannie zaaranżowane witryny księgarni pana Thina, by zatrzymać się przed znacznie bardziej zabawnymi i atrakcyjniejszymi wystawami rezydującego tuż obok kapelusznika. Kiedy pan Thin wróci na górę – zdecydowała – poproszę go o jeszcze dwie książki. Na temat historii Hiszpanii i zoologii. Dzięki listowi polecającemu od cesarzowej nie musiała oszczędzać – nowe tomy nie stanowiły luksusu, były nieodzowne, jeśli miała dobrze wykonać swoją pracę. A księżniczka może być jeszcze dzieckiem, ale cokolwiek Maria teraz kupi, z czasem stanie się przydatne. Rozsiadła się wygodniej i otworzyła kolejny egzemplarz „Review”, mając nadzieję, że nic nie przypomni jej o kapitanie Jamesie Hendersonie.

Była pochłonięta artykułem poświęconym płomiennej przemowie pana Plunketa<sup>[77]</sup> na temat Irlandii, kiedy drzwi otworzyły się i do księgarni weszła panienka. Miała na sobie suknię w kolorze dzikich hiacyntów. Maria dostrzegła ją kątem oka. Kolor był uroczy – czy Augustus nie mówił, że niebieski jest bardzo twarzowy? To skłoniło ją, by spojrzeć wyżej, na buzię dziewczyny, która wpatrywała się w nią z uśmiechem. Maria poderwała się na nogi.

– Panna Bagdorf, co za spotkanie! – zawołała, jednocześnie złorzeczając na Hendersona, że znów tu był. Nie mogła go wyrzucić z głowy.

– Pani Graham! – Ramona chwyciła stanowczo dłoń Marii. Wyraz zadowolenia na jej obliczu nie zostawiał wątpliwości, że wspólny obiad na Trynidadzie stanowił dla niej przyjemne wspomnienie i że szczerze cieszy się na widok Marii. – Jak miło panią zobaczyć. – W Londynie duński akcent wydawał się mocniejszy niż w tropikach.

Dziewczyna była piękna, może nawet jeszcze bardziej niż wcześniej – zastanawiała się

Maria. Otaczał ją zapach jeżyn. Rysy miała delikatne. Nie straciła też charakterystycznej żywej równikowej maniery. Na tle półek tomów w skórzanych oprawach jawiła się niczym wizja. Spadające kaskadą spod kapelusza blond loki przypominały złotą egzotyczną roślinę.

– Nie sądziłam, że tak szybko przybędzie pani do Londynu, moja droga – powiedziała Maria.

– Ja również – odparła z uśmiechem Ramona. – Ale list, na który czekaliśmy z Thysem, kiedy nas odwiedziliście, przyszedł zaledwie dwa dni po waszym wyjeździe. Niedługo potem zaokrętowałam się na „Jury”. Żałowałam, że wszystko nie zgrało się lepiej w czasie. Znacznie przyjemniej byłoby podróżować razem na pokładzie „Bittersweet”.

Maria zaczerwieniła się. Obecność Ramony na pewno wiele by zmieniła. Na przykład niestosowną intymność posiłków pod gwiazdami.

– A zatem jednak musiała się pani szybko spakować. – Pamiętała jej nonszalancką reakcję na słowa Hendersona.

Ramona wzruszyła ramionami.

– Miałam pomoc, oczywiście. Ale pakowanie jest takie męczące, zgodzi się pani? Czasami zastanawiam się, ile sukni rzeczywiście trzeba nosić – szepnęła, jakby to było niewłaściwe. – Tyle z tym zachodu. Mam wrażenie, że wciąż się tylko przebieram i przebieram. Na szczęście, jako że ciotka jest inwalidką, oszczędzono mi części tych męczarni. Nie wydajemy formalnych obiadów i jak sądzę, nie będę musiała zbyt często bywać.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny. Tym razem stanął w nich lokaj z dwoma pudełkami starannie zawiniętymi w brązowy papier i obwiązanymi sznurkiem.

– To Dawson. Dawson opiekuje się mną. – Ramona uśmiechnęła się szeroko. – Ciocia Birgette nalegała, że nie powinnam robić zakupów samodzielnie. Bardzo angielskie.

Dawson uklonił się. Maria zauważyła jego surowe spojrzenie. Pomyślała, że ciekawska dziewczyna przyzwyczajona do niezależności, tolerancyjnego brata i swobodnych konnych przejażdżek wśród wzgórz Trynidadu musi mieć wrażenie, że została zamknięta w klatce. Zalała ją fala współczucia.

– Dobrze się pani bawi? – zapytała.

– Och, Londyn to jedno z moich ulubionych miast – zadeklarowała Ramona, jakby nigdy nic.

– Jeśli się okaże, że będę musiała zamieszkać w Europie, to mam nadzieję, że właśnie tutaj.

– Wciąż jeździ pani konno po parku, panno Bagdorf? Pamiętam, że wspominała pani, iż nauczyła się pani jeździć, gdy przebywała pani tutaj jako dziecko.

Ramona pokręciła głową.

– Nie. Nie tym razem. Jeszcze nie.

– A jak zdrowie pani cioci?

– Nie najlepiej – przyznała dziewczyna. – Dlatego tutaj przyszedłam. Miałam nadzieję, że znajdę dla niej jakąś lekturę. Rekonwalescencja zajmie trochę czasu, jak sądzę. Ale miło jest posłuchać ciekawych historii, kiedy się dochodzi do zdrowia, nie uważa pani? To jak powrót do dzieciństwa.

Pan Thin wynurzył się z piwnicy ze stertą książek w rękach. Położył je na stoliku przy krześle Marii.

– *Sir*, szukam powieści – zwróciła się do niego Ramona. – Czegoś frapującego i pogodnego dla starszej krewnej. Pani Graham, czy może ma pani jakiś pomysł?

– Scott – zasugerowała Maria. – Czy *sir* Walter nie opublikował czegoś nowego?

– *Kenilworth*. – Pan Thin zerknął na półkę i wyciągnął tom. – To romans historyczny, którego akcja rozgrywa się w epoce Tudorów.

Maria milczała, nie chciała okazać swojego zdegustowania. Ona wybrałaby poezję.

– *Kenilworth* będzie w sam raz – odparła Ramona z beztroskim entuzjazmem. – Na pewno obu nam się spodoba. Historia to niezwykle fascynująca materia, a miłosne perypetie wprawia ciocię w dobry nastrój. Mam nadzieję, że książka ma szczęśliwe zakończenie.

– A może *Maid Marian* Thomasa Love Peacocka? – Pan Thin wyciągnął tom nie wiadomo skąd, niczym magik. – Cieszy się wielką popularnością wśród dam, a jeśli lubi pani historię...

– Wezmę obie książki. – Ramona uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Nie brakuje nam czasu na lekturę. Uważam, że nowości będą miały wielce korzystny wpływ. Bardzo pan pomocny. Dziękuję.

Lokaj skierował się w stronę lady, gdzie pan Thin pakował książki.

– A co pani kupuje, pani Graham? – zainteresowała się Ramona.

– Głównie książki dla mojej podopiecznej. Po powrocie do Brazylii będę guwernantką na cesarskim dworze. Kompletuję materiały edukacyjne dla księżniczki królewskiej.

Ramona sięgnęła po elementarz łaciński.

– Jak to miło móc przebywać wśród dzieci. – Uśmiechnęła się ciepło. – A jak się miewa kapitan Henderson?

Rzucone od niechcienia pytanie wprawiło Marię w konsternację – choć może nie samo pytanie, ale ukłucie zazdrości, które mu towarzyszyło. Dlaczego każde wspomnienie Hendersona wywoływało u niej reakcję fizyczną? Nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego.

– Nie wiem – powiedziała. – Zawinęliśmy do portu w Bristolu i od tamtej pory wpadłam na niego tylko raz. Nie obracamy się w tych samych kręgach. – Przygryzła wargę. Nie chciała zabrzmieć jak snobka.

– Ale jest w Londynie?

– Z tego, co mi wiadomo.

– Szkoda. Miałam nadzieję, że znów go zobaczę. – Ramona wzruszyła ramionami. – Ale cieszę się, że panią spotkałam. Rezyduję przy Fitzhardinge Street. Pod numerem dwunastym. Blisko Manchester Square. Proszę mnie odwiedzić, gdyby była pani w okolicy. Nie ugoszczę pani smażonym kurczakiem i chili, ale kucharz jest ze Szkocji i piecze pyszne maślane bułeczki.

Maria skinęła głową. Nie mogła oderwać wzroku od oczu Ramony – dziewczyna miała niesamowicie długie rzęsy.

– Oczywiście – odparła. – Bardzo to miłe z pani strony. Mam nadzieję, że ciocia wkrótce poczuje się lepiej.

Jakiś czas później Maria wyszła na zalaną słońcem ulicę, zostawiając w księgarni pokazną stertę książek, które miały być starannie zapakowane i odesłane do rezydencji Georgiany, i pana Thina, który oświadczył, że z radością wystawi nowe publikacje Marii, umieści je na honorowym miejscu, przy zegarze. Na rogu przywołała *hackney*<sup>[78]</sup>, by udać się na zachód, do Kensington Gravel Pits. Wsiadając, zauważyła mężczyznę w ciemnym surducie i na chwilę jej serce zamarło. Wszędzie widziała Jamesa Hendersona. Musiała jakoś temu zaradzić.

Nie spodziewała się, że Londyn okaże się tak męczący. Georgiana nie zaproponowała jej pożyczania swojego powozu, a Maria nie chciała jej o to prosić. Wnętrze sprawiało wrażenie mocno podniszczonego, kurz wżarł się w wytarte obicia siedzeń, ale ogólnie rzecz biorąc, pojazd wydawał się sprawny, więc stan kabiny nie miał większego znaczenia. Poza tym było całkiem przyjemnie. Kiedy tętniące życiem ulice stolicy przeszły w wysadzone drzewami podmiejskie drogi, pojawiło się więcej plam cienia. Maria otworzyła zasmarowane okienko, aby lepiej się przyjrzeć nowszym budynkom stojącym wzdłuż półkolistych alejek. Potem próbowała skupić się na ogrodach, żeby o nim nie myśleć. Na marne. Zrozumiała, że panna Bagdorf stanowiłaby doskonałą partię dla kapitana, a on dla niej. I znów to samo. Ten rozdzierający ból, dziwne uczucie zażenowania. Zaklęła pod nosem. Trudno było jej zaakceptować, że utknęła, że nie umie sobie z czymś poradzić. Chcę mieć ciastko i zjeść ciastko, ale to niemożliwe – pomyślała. Przecież niedługo wypływa do Rio. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że skoro ona nie może ułożyć sobie życia z Jamesem Hendersonem, to wolałaby, żeby żadnej innej kobiecie też się to nie udało.

Maria nie była osobą nielogiczną. Wręcz przeciwnie, szczyliła się swoją umiejętnością analizowania problemów. I respektowania zasad. Jednak teraz nie była do tego zdolna. Przy bramie Hyde Parku nagle uświadomiła sobie, że zjawi się u panny Calcott z pustymi rękami. Zastukała w dach kabiny na znak, że chce się zatrzymać, i wysiadła kupić stroik z lawendy oraz pąków róż. Za ogrodzeniem dzieci bawiły się z nianiami na trawie. Niemowlęta w wózkach z budką zażywały świeżego powietrza. Stajenny uczył małego chłopca jeździć na kucyku. To

wszystko wydawało jej się obce, nie pasowało do rezydencji Murraya i toczących się tam kulturalnych konwersacji. Panna Bagdorf mieszkała niedaleko, po drugiej stronie parku, w Marylebone. Maria wsiadła do powozu i ruszyła w dalszą podróż.

Do Kensington Gravel Pits nie było już daleko – świadczyły o tym podążające w stronę miasta wozy załadowane żwirem. Zjechali na prawo, aby je przepuścić. Niedługo potem skręcili na wysypany kamieniami podjazd wiodący do ceglanego domu z oknami po obu stronach wejścia. Maria wysiadła i zapłaciła woźnicy. Potrzebowała chwili, żeby się opanować. Zapatrzyła się na pnący się po fasadzie powojnik w pełnym rozkwicie. W letnim słońcu zdawał się spływać białą kaskadą. Nim zdążyła zapukać, w drzwiach stanęła służąca. Dygnęła i szerokim, przyjemnym korytarzem, a potem po schodach zaprowadziła Marię na piętro do jasnego salonu. Wokół roznosiła się woń pszczelego wosku i brzoskwiń. Przez duże, dobrze rozmieszczone okna wpadało słońce. Na fortepianie stał wazon ogrodowych róż, część płatków opadła na nakrywą; na stole – patera z czerwonymi jabłkami, malowniczo wyglądającymi z listkami przy ogonkach. Wszystko było takie angielskie. Calcottowie nie hołowali modzie na egzotykę i orientalizm, pokój wyposażono w wygodne fotele, dębowe kredensy i stoły wyraźnie zaprojektowane w Anglii. W Kensington Gravel Pits, w niedalekiej odległości od centrum Londynu, można było się poczuć jak na dalekich peryferiach.

Na widok Marii panna Calcott zerwała się na nogi. Haft, nad którym pracowała, odłożyła na różowy aksamitny fotel.

– Pani Graham, tęskniłam za pani towarzystwem, moja droga – oświadczyła i sięgnęła po dzwoneczek, by dać służbie znać, że czas na herbatę.

Służąca pojawiła się tak szybko, że musiała już iść z tacą na górę. Oprócz srebrnego czajniczka i delikatnych porcelanowych filiżanek niosła talerz z kanapkami. Maria podarowała gospodyni stroik i próbowała się odprężyć. To był dobry dzień, a przynajmniej powinien taki być. Przyjazd do Gravel Pits miał stanowić przyjemność. W jakiś sposób tutaj życie zdawało się mniej skomplikowane. Może z tego powodu, że Calcottowie mieszkali w zwykłym domu, a nie w rezydencji. Albo dlatego, że panna Calcott naprawdę cieszyła się z tego, że ją widzi. Honorowe miejsce nad skromnie płaskorzeźbionym kominkiem zajmowały dwa pejzaże. Mimo to Maria czuła mdłości i nie mogła przestać myśleć o jednym – ta chęć zatrzymania Jamesa Hendersona dla siebie była potwornie zawstydzająca i niesprawiedliwa z jej strony. Musi o nim zapomnieć.

– Jak to miło, że pani przyjechała. Krawcowa powinna zjawić się już niedługo. Niestety, Augustus musiał dopilnować jednego ze zleceń. Jest wyjątkowo oddany swojej pracy. Ale zostawił to dla pani. – Panna Calcott podała jej niebieskie pudełko przewiązane cienką wstążką koloru kości słoniowej. – Prosił też, by przekazać jego pozdrowienia i zapytać, czy nie



zechciałyby pani udać się z nami w piątek do Dulwich. Galeria wystawia kolekcję portretów pana Bourgeois<sup>[79]</sup>. Zechce nam pani towarzyszyć, Mario? Jestem pewna, że ekspozycja się pani spodoba.

Maria uśmiechnęła się. Augustus Calcott stanowił uosobienie dżentelmena. Oczywiście, że chciała odwiedzić Dulwich.

– Będzie mi bardzo miło – powiedziała, siadając na długiej sofie.

Ostrożnie rozwiązała wstążkę, zdjęła wieczko i podniosła pudełko, by przyjrzeć się jego zawartości. Na poduszczyku z siana leżała miniatura przedstawiająca jej ojca. Augustus ubrał go w mundur marynarki, w tle dodał morze, niebo i statek w oddali – przypominał „Juno”, ulubioną fregatę George’a Dundasa. Utrzymany w odcieniach niebieskiego obraz oprawiono w delikatnie płaskorzeźbioną owalną mahoniową ramkę, która podkreślała ciemne włosy komandora. Maria westchnęła i upuściła pudełko na kolana. Podobieństwo było zaskakujące, a przecież Calcott nigdy nie spotkał jej ojca. Uwzględnił nawet opisany przez nią pieprzyk w pobliżu rowka na podbródku.

– Och. – Czują, że traci całe powietrze w płucach. – Och. – Jej oczy zaszyły łzami, a nie mogła znaleźć lnianej chusteczki.

Panna Calcott pochyliła się i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Augustus sądził, że konterfekt sprawi pani przyjemność, moja droga. Proszę, niech się pani nie martwi. Jeśli coś jest nie tak, namaluje go jeszcze raz.

– Nie. Jest absolutnie perfekcyjny – powiedziała Maria z uśmiechem, wyjmując portrecik z pudełka. Idealnie mieścił się w jej dłoni. – To pierwszy obraz w moim posiadaniu. Będę go mogła wszędzie ze sobą zabierać. – Trzymając w ręku miniaturę, miała wrażenie, że ojciec zza grobu ścisnął pokrępijając jej ramię i szepnął do ucha, że postępuje właściwie i powinna być z siebie dumna. Jest cenioną pisarką i guwernantką na cesarskim dworze. Ciesząc się szacunkiem wdową. Georgiana jest po prostu pogrążona w żałobie. Lady Dundas, jeśli nawet nie zmieni zdania, to przynajmniej zaakceptuje jej decyzję. Ramona, biedaczka, czuje się zapewne nieco samotna. A ona wkrótce opuści Londyn. Przesunęła palcem po ramce niczym staruszka głaszcząca kota. Pociągnęła nosem. Powrót do domu wyczerpywał ją emocjonalnie. – Szczerze mówiąc, to najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

– Och, to dobrze – powiedziała z ulgą panna Calcott, nalewając herbatę. – Obawiałam się, że może coś jest nie tak.

– Przepraszam. Nie chciałam histeryzować. – Maria oparła się o bładozielone poduszki i znów zapatrzyła się w oczy ojca. – Bardzo się cieszę, że tu jestem. – Sięgnęła po kanapkę. – Szynka to moja ulubiona wędlina.

– Tak – powiedział panna Calcott. – Augustus powiedział, że mam zamówić dla siebie

suknię dzienną, a dla pani wieczorową. Dobra już dla nas kolory, musimy tylko podjąć ostateczną decyzję. Potem krawcowa raz-dwa zdejmie miarę. Czy to nie miłe?

Maria uśmiechnęła się. Rzeczywiście miłe. Wkrótce znów będzie mogła podróżować.

– Tak, to bez wątpienia idealne popołudnie.



Członkowie Old Street Bridge Club nie mieli zwyczaju spotykać się poza Mallow Street, ale w tych okolicznościach zrobili wyjątek i zgromadzili się w rezydencji Fishera w pobliżu Leicester Fields. Grant zapalił cygaro i wpatrywał się na kryształową karafkę na kredensie. Ignorował kręcące się pod jego nogami dwa spragnione uwagi teriery. Fisher nalał trzy kieliszki brandy.

– Siad – rzucił w stronę psów, ale te nie posłuchały. Normalnie zadzwoniłby po służbę i kazał zabrać zwierzaki, ale w związku z wizytą Haywarda i Granta nie chciał, by ktoś kręcił się po bibliotece. Zawsze bardzo uważali, żeby nikt nie widział ich razem. W oczach osób postronnych powinna ich łączyć zaledwie przelotna znajomość. Kopnął lekko psa, żeby zszedł mu z drogi, a ten zaskomlał. – Należą do mojej żony – wyjaśnił ze spokojem w brązowych oczach, rozdając kieliszki.

Żaden z nich nie zdążył się nawet zdrzemnąć. Wszyscy odwołali umówione spotkania. Wydarzenia ubiegłej nocy były niepokojące i zawstydzające zarazem. Musieli coś postanowić.

Hayward wychylił brandy jednym haustem.

– Już mi lepiej – powiedział.

– A więc co robimy? – zapytał Fisher. – Kapitan zapowiedział, że tu przyjdzie.

Hayward spojrzał na niego twardym wzrokiem. Gdy Henderson i Fry opuścili Klub, oni przez niemal dwie godziny przesłuchiwali Sama Pearsona. Szybko stało się jasne, że choć chłopak głównie siedział pod pokładem, to sporo widział i słyszał. Hayward rozluźnił szczękę. To było oczywiste – przynajmniej dla niego. Fisher, jeśli chodziło o tego typu sprawy, był niewiele więcej niż idiotą, a Grant, niezastąpiony w kwestiach logistyki, nie rozumiał ludzi, a już zwłaszcza samego siebie.

– Musimy zabić Hendersona, nieważne, czy odzyskamy pieniądze, czy nie! – Grant nie mógł się powstrzymać. – Zagroził nam.

– Tak. Nie możemy pozwolić na takie zachowanie – zgodził się Hayward.

– Oczywiście – dodał Fisher. – Ale dobrze by było najpierw odzyskać pieniądze i klejnoty. Lubię mieć porządek w księgach.

– Zgadza się. – Grant pokiwał głową. – A ponieważ ma tutaj przyjść z naszą dolą, jest to

całkiem prawdopodobne.

Fisher rozejrzał się po swojej pięknej bibliotece. W Klubie zachowywał się inaczej niż w tym miejscu. U siebie przybierał zupełnie inną osobowość. I choć myśl o obecności kapitana w jego domu sprawiała, że czuł pewien dyskomfort, pomyślał, że miałby kogoś tutaj zabić, przyprawiało go o dreszcze.

Hayward wstał i nalał sobie kolejny kieliszek. Pozostałym nie zaproponował dolewki.

– Panowie, widzę też inne rozwiązanie – oświadczył. – Po co zabijać gościa, skoro w dalszym ciągu możemy go wykorzystać do naszych celów? To chyba najbardziej użyteczny ze wszystkich kapitanów, z którymi dotąd współpracowaliśmy. Umie walczyć i jest sprytny. Przemysł z Brazylii nie jest łatwy. Uważam, że kapitan Henderson rozwiąże nasze problemy. To urodzony szmugler. Musimy go tylko poskromić.

Grant i Fisher spojrzeli na niego skonsternowani.

– Co masz na myśli, Henry? – Grant zapytał ostrożnym tonem, jakby obawiał się, że Hayward może się na niego wściec. – Gość ma przyjść oddać nam naszą dolę, ale nie możemy pozwolić na to, żeby przeżył. Zna naszą tożsamość.

Hayward uśmiechnął się.

– Zgadza się – odparł. – Ale sądzę, że mamy idealną kartę przetargową. Pamiętacie? Pearson mówił wczoraj o tej kobiecie...

Grant zmrużył oczy. Nie mógł zrozumieć, o czym Hayward mówi.

– Jakiej kobiecie?

– Ze statku. Pearson mówił, że na statku była dama. Nie słuchałeś?

Fisher zapalił cygaro.

– Tak. Kochanka kapitana – wtrącił gładko. – Załoga mówiła, że mieli romans.

– Coś więcej. Nie słyszałeś, jak to opisywali? Kapitan robił do niej maślane oczy. A dama, wdowa, wracała z Ameryki Południowej – Hayward mówił wolno. – Wcześniej podróżowała po Brazylii. Czy wy nie śledzicie wiadomości? Toż to bez wątplenia Maria Graham. Ta pisarka. Bożyszczce Piccadilly. Nie widzicie tego?

Było jasne, że Fisher nigdy nie słyszał o kobiecie, ale w oczach Granta zalśniła iskierka zrozumienia. Rozpoznał nazwisko i potencjał tej informacji.

– Jeśli nasz kapitan żywi uczucia do tej damy, to możemy odpowiedzieć na jego groźbę naszą groźbą – oznajmił Hayward z rozmachem. – Nie będzie chciał być świadkiem jej upadku. Pewnie na jej pozycji w towarzystwie oparł realizację własnych planów. A w takim wypadku mamy go w garści, tak samo jak on nas. W istocie mamy nad nim nawet przewagę. Rozumiecie?

Grant pokiwał wolno głową.

– Tak – odparł. – To genialne, Hayward. Dosłownie genialne. Możemy zrujnować jej reputację. Możemy ją porwać. Możemy zrobić wszystko.

– Zrujnować reputację damy? – Fisher powtórzył bez zachwytu. – Dla mnie to trochę zbyt wiele. No i jaką mamy pewność, że kapitan stanie w jej obronie? To podejrzany typek. Dama z takim... mężczyzną. Nie wierzę w to. Weźmy, co nasze, i wykończmy go.

Grant i Hayward zignorowali obiekcje Fishera. Działali w trójkę, ale ta dwójka stanowiła trzon przedsięwzięcia. Gdy przychodziło co do czego, robili to, co chcieli. Fisher był niczym modelina – łatwo było wpłynąć na jego zdanie. Znalazł się w Klubie w drodze dziedziczenia, choć trzeba przyznać, że okazywał się przydatny, gdy rozwiązanie problemu wymagało bardziej fizycznego podejścia. To właśnie dlatego jemu powierzyli zadanie pozbycia się ciała Pearsona. Przed dwiema godzinami wylądowało w Tamizie. Okazało się, że chłopak nie nadawał się do tej roboty. Nie był wystarczająco spostrzegawczy. Beznadziejny przypadek.

– Jeśli Henderson kocha tę kobietę, nie zaryzykuje jej zniesławienia. Będzie na każde nasze wezwanie. – Twarz Granta rozjaśnił uśmiech. – Możemy zatrzymać pieniądze. Możemy mieć wszystko.

– Nie, nie. – Hayward podniósł palec. – Nie możemy być chciwi. Tutaj chodzi o coś znacznie bardziej wartościowego. Powinniśmy uprzeć się przy potrójnej stawce, jak zwykle, ale kapitan musi dla nas szmuglować. Będzie naszym człowiekiem. Zarobimy fortunę – dodał z samozadowoleniem.

– Co to za kobieta? – zapytał Fisher. – Gość miałby dla niej sporo poświęcić.

Hayward spojrzał z namysłem na swojego przyjaciela. Znali się całe życie.

– Nie rozumiesz miłości – odparł. – Pani Graham to nasza polisa ubezpieczeniowa. Przekonasz się.

Fisher opadł na skórzany fotel.

– Sądzę, że muszę zadbać o własną polisę ubezpieczeniową – powiedział. – Gdyby kapitanowi nie spodobał się wasz pomysł. Jeśli w ogóle się tutaj pokaże. Zawsze może uciec.

– To w pewnym stopniu człowiek honoru. Moim zdaniem postąpi tak, jak mówił – oświadczył Hayward.

– Dajmy mu dzień. – Grant zlustrował spojrzeniem swoje paznokcie. – Tylko jeden. Warto jednak zabezpieczyć pieniądze, niezależnie od tego, jak to się skończy.

Fisher ponownie kopnął zaczepiającego go teriera.

– Dobrze. Zostanę dziś w domu. Jeśli kapitan się pokaże, spróbuję waszego podstępu z damą. Pani Graham, tak? Co za kobieta zajmuje się pisaniem? – Jego głos ociekał niesmakiem. – Doprawdy, nie widzę, w jaki sposób wasz plan miałby się powieść.

---

[75] William Blackwood and Sons – szkockie wydawnictwo założone w 1804 roku, publikowało między innymi powieści Josepha Conrada.

[76] Dulwich Picture Gallery – najstarsza publiczna galeria sztuki w Wielkiej Brytanii, otwarta w 1817 roku w Dulwich, w południowym Londynie.

[77] William Plunket (1764–1854) – irlandzki polityk i prawnik, w latach 1830–1834 i 1835–1841 pełnił prestiżową funkcję Lorda Kanclerza Irlandii.

[78] Hackney – tu: licencjonowany powóz do wynajęcia.

[79] Peter Francis Bourgeois (1753–1811) – nadworny malarz Jerzego III specjalizujący się w pejzażach, scenach o charakterze historycznym i portretach (namalował między innymi portret Stanisława Augusta Poniatowskiego), marszałek i kolekcjoner; współzałożyciel Dulwich Picture Gallery.

## ST JAMES'S STREET

**W**klubie dla dżentelmenów Boodle's<sup>[80]</sup> zazwyczaj panowała stonowana atmosfera. Tym razem jednak John Murray wrzał gniewem. Po pierwsze został wezwany na dywanik niczym niesforny uczeń, po drugie dostał reprimendę.

– W żadnym razie nie możemy na to pozwolić. – *Sir* Horace Strange, wybitny członek Royal Society i torys, był tak wściekły, że aż ślina powalała jego kołnierzyk. – Kobieta. O czym pan myślał, *sir*?

Murray stanął w swojej obronie.

– Myślałem, że pani Graham dysponuje jednym z najciekawszych umysłów naszej epoki i że zrezygnowanie z jej wykładu w Royal Society tylko ze względu na płeć to głupota, biorąc pod uwagę jej talent. Świetnie pisze i jestem pewien, że jej naukowe obserwacje okażą się cenne. Jest doświadczonym geografem. Jej książki cieszą się powszechnym uznaniem.

Strange spiorunował go spojrzeniem. Klub przechodził właśnie długotrwałą renowację i kilku robotników pracowało w korytarzu, odnawiając tynki zgodnie z projektem słynnego architekta, pana Papwortha<sup>[81]</sup>. Strange spotkał Papwortha podczas kilku okazji. Wydawał się bardzo angielski, ale jego zamiłowanie do ornamentów o charakterze kontynentalnym wprowadzało *sir* Horace'a w dyskomfort. Klasyczna stylistyka to rzecz godna pochwały, jednak proponowane posągi nimf okazały się absolutnie nie do przyjęcia. Dziś odgłosy towarzyszące pracy robotników oraz zapach świeżego tynku były wyjątkowo irytujące.

– Kobieta w Royal Society? Nie pozwolę na to, *sir*. Rozmawiałem z *sir* Humphrym, między innymi – nalegał Strange.

– Nie miałem pojęcia, że znajduje się pan w zarządzie – odparł gładko Murray.

– O wielu rzeczach nie ma pan pojęcia, panie Murray – warknął rozwścieczony par. – Paplanina dam, nawet dam, które podróżują, nie interesuje członków Royal Society. Jesteśmy poważnymi ludźmi. Damy, *sir*, obniżają status.

– Chyba nie poznał pan pani Graham. – Murray zmuszał się, by mówić spokojnym tonem. – Ja jednakże znam ją od kilku lat. Nigdy nie paplała. Zamiast tego napisała kilka książek, które z dumą wydałem. Jest bystrą obserwatorką świata. Jej dzieła świetnie się sprzedają. Chętnie

dostarczę panu kilka egzemplarzy, by mógł pan sam je ocenić.

Strange wydał z siebie dźwięk, który bardziej pasowałby do rozszoszczonego zwierzęcia niż członka brytyjskiej arystokracji.

– Mównica to nie miejsce dla kobiety. I choć ma pan prawo do swojej opinii, słyszałem, że książki pani Graham są słabe i pozbawione obiektywizmu. Damy po prostu nie są zdolne do prowadzenia intelektualnych dyskursów. To nie ich wina. Tak chciała natura. Pani Graham, jeśli już musi pisać, powinna skupić się na fikcji albo może poezji. Ma umysł drugiej kategorii i nie zniżymy się do tego, by słuchać jej argumentów.

Murray wziął głęboki oddech.

– A kim są osoby, w których imieniu się pan wypowiada?

Strange zamilkł. Wydawca był absolutnie niedorzeczny, lecz Szkoci słynęli z trudnego charakteru. Murray mógł urodzić się w Londynie, ale jego ojciec był Szkotem. Tacy goście bywali przydatni, jednak nie rozumieli prostych zasad. Na tym polegał problem.

– Pani Graham jest osobą bezbronną, *sir*. Jej mąż i ojciec nie żyją. Nie pozwolę, by ją pan ośmieszył – powiedział z naciskiem.

– Pan zaś, *sir*, woli od razu zdyskredytować jej wiedzę i ośmieszyć ją w ten sposób. Idea, że przedstawicielki płci pięknej nie pojmują świata, jest dla mnie niezrozumiała. A co z panią Wollstonecraft<sup>[82]</sup>, *sir* Horace? Co z panną Herschel<sup>[83]</sup>? Panią Somerville<sup>[84]</sup>?

– E tam – *sir* Horace odrzucił przykłady siły kobiecego intelektu. – Wollstonecraft kilka razy próbowała popełnić samobójstwo, a panna Herschel pomagała bratu w kalkulacjach – umiejętnie, przyznam, ale nic więcej. Panna Somerville jest interesująca, ale pomysł, że umysł damy mógłby wymyślić jakakolwiek teorię, jest oburzający. Kobiety nie są do tego stworzone.

– Pani Graham z pewnością wpadła na więcej niż jeden pomysł. Wiem, jakie obserwacje poczyniła w Ameryce Południowej, a dzięki ciężkiej pracy i naukowym staraniom udało jej się obliczyć siłę wstrząsów następczych. To wyjątkowe osiągnięcie.

– Cóż, Royal Society, Royal Society – powtórzył Strange – nie istnieje po to, by rozgłaszać wyspane z palca historie. To tyle, panie Murray. Ani pani Graham, ani jej pomysły nie są tu mile widziane. Kobieta. Doprawdy.

Fakt, że to *sir* Horace został wyznaczony jako osoba mająca zająć się tą kwestią, a nie *sir* Humphry, przewodniczący Royal Society, mówił wiele. Murray odpuścił.

– Rozumiem. To bardzo rozczarujące.

Strange przyjął wycofanie się Murraya jako rodzaj groźby. Z korytarza dobiegł stłumiony łoskot, któremu towarzyszył krzyk robotników.

– Co znowu? – Stracił panowanie nad sobą.

– Diana, jak sądzę. Rozbita – Murray powiedział sucho.

– Będę czekać na recenzje ostatnich dzieł pani Graham – Strange nie mógł powstrzymać się od ataku. – Jeśli cokolwiek się pojawi, oczywiście.

Murray wstał. Obawiał się, że jeśli dłużej będzie prowokować *sir* Horace’a, mściwy staruch może znaleźć czas i zamiast oddawać się ulubionym konnym rozrywkom, zorganizować jakąś niesprawiedliwą kampanię przeciwko książkom Marii.

– Życzę dobrego dnia, *sir*. – Ukłonił się. – Powiadomię panią Graham o pana poglądach. Niedługo opuszcza Londyn, ponieważ została poproszona o objęcie stanowiska na brazylijskim dworze cesarskim.

– Jakiego stanowiska?

– Guwernantki księżniczki królewskiej. – Murray skierował się w stronę drzwi.

– To stanowisko idealne dla wdowy. – Strange uniósł rękę na pożegnanie. – Royal Society, *sir*, nie przyjmuje kobiet i nigdy nie będzie ich przyjmować.

Murray powstrzymał się od odpowiedzi i odebrał odzież wierzchnią od służącego przy wejściu do Klubu. Maria będzie rozczarowana, ale musi być z nią szczery. Tę bitwę przegrali. Najwyżej po jej powrocie z Brazylii spróbują jeszcze raz.

Może członek Royal Society mógłby zaprezentować teorię Marii w jej imieniu.

Zmierzając w górę St James’s Street w stronę Piccadilly, Murray beształ się za to, że jego starania nie przyniosły efektów. Mógł przywołać kobiety, które pojawiły się w Royal Society w przeszłości. Za czasów Pepysa<sup>[85]</sup> była jedna utytułowana dama. Nie przygotował się wystarczająco do wizyty w Boodle’s i nie był w stanie odeprzeć z gruntu fałszywych argumentów *sir* Horace’a. Z drugiej strony nikt nie poinformował go, czego Strange może chcieć. Irytujące. Kto mógłby się czuć obrażony obecnością Marii? Owszem, zdarzało się, że panie parające się nauką miały charakter wiedźmy i że dostarczały materiały, które po wnikliwej analizie okazywały się banalne albo błędne, lecz wśród panów też nie było to niespotykane. Ale Maria? Inteligentna, wykształcona, a teraz jeszcze owdowiała. Nie było nic, do czego rozsądny człowiek mógł się przyczepić. Murray zasapał. Na tym polegał problem. Londyn potrzebował klubu zrzeszającego rozsądnych mężczyzn. Musi o tym wspomnieć. Tego typu instytucja nosiłaby odpowiednio zacną nazwę, a nie pochodzącą od nazwiska głównego kelnera – jak Boodle’s. Nazwę nawiązującą do czegoś wartościowego, erudycji, nauki. Ateneum<sup>[86]</sup>. Uśmiechnął się. Taki światły przybytek nie dopuściłby, by jego próg przestąpił ktoś o mentalności *sir* Horace’a Strange’a.



Londyn mógł być ogromny, ale znalezienie tu dżentelmena – czy też damy – nie przedstawiało większych trudności. Henderson powstrzymał się jednak przed szukaniem Marii. Uświadomił



sobie, że jego wcześniejsze zachowanie było nie do przyjęcia. Im więcej czasu spędzał w mieście, tym wyraźniej rozumiał, że Maria miała rację. Biorąc pod uwagę okoliczności, i tak wykazała się w stosunku do niego cierpliwością i hojnością. Nie wiedział, jak powinien teraz postąpić. Poza tym sprawy związane z Old Street Bridge Club zajmowały dużo czasu i nie chciał jej w nie wciągać. Mimo to następnego ranka z nutą dumy zauważył, że dzienniki Marii trafią wkrótce na półki – tak przynajmniej mówiło ogłoszenie w „The Times”. *Journal of a Residence in Chile*<sup>[87]</sup> i *Journal of a Voyage to Brazil*<sup>[88]</sup> miały kosztować dwanaście szylingów za tom i być dostępne w przedsprzedaży w księgarniach w całym kraju.

Teraz siedział przy długim stole, czytał przyniesioną przez Clarksona gazetę i popijał mocną kawę.

– To co, idziemy na zachód, żeby dokończyć interes? – zapytał go Richard.

Spojrzał na chłopaka.

– Nie musisz iść ze mną, Richardzie. I tak wystarczająco zrobiłeś.

Młody Fry pokręcił głową. Zapach maści lawendowej, którą zostały wysmarowane wszystkie jego rany, był odurzający.

– Nie – powiedział. – Obiecałem. To moja część umowy. Zabieganie o względy dam i kontakty z dżentelmenami. Zabrał mnie pan na Old Street, kapitanie. Proszę pozwolić mi pójść do Piccadilly.

Biorąc pod uwagę to, co się stało, wymiana nie wydawała się uczciwa.

– Jak siniaki? – zainteresował się Henderson.

Chłopak usiadł, tylko trochę się przy tym krzywiąc.

– Lepiej niż w nocy, choć sądzę, że przez jakiś czas będę unikać gry w piłkę – odparł, najwyraźniej hołdując zasadom dżentelmeńskiej powściągliwości.

Kiedy w końcu wrócili na „Bittersweet” po drugiej nad ranem, miasto wydawało się Richardowi ciemne i niebezpieczne – złagodniało dopiero, gdy pan Clarkson podał mu morfinę i chłopak odpłynął w senne marzenia o czekoladzie. Jego myśli wciąż zaprzętał rewolucyjny pomysł na tabliczkę czekolady. Gdyby znalazł sposób na to, by masa stężała, mógłby odlewać kształty. Tworzyć jadalne rzeźby. Ale pomijając to, gdyby potrafił ją osłodzić i odlewać w małe bloczki, ile osób mogłoby ją nosić przy sobie cały czas? Wycieńczony, siedząc nad serem, chlebem i gorącym brandy z opium, na wpol śnił o handlowych sukcesach, a w końcu na dobre stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, dzień już dawno się zaczął. W dokach w Greenwich panował harmider, Tamiza tętniła życiem. Dziwnie się czuł, znów wpadając w tę normalność. Widząc kosze gruszek na nabrzeżu, dzieci biegające wzdłuż kei, letnie słońce odbijające się od stojących nad wodą białych budynków. Miał wrażenie, że znalazł się w zupełnie innym świecie – który został

podmieniony i w żaden sposób nie łączył się z przepełnionymi bólem i smrodem okolicami Old Street. W świetle dnia wszystko było możliwe.

Przy skręcie w główną ulicę stała dziewczyna sprzedająca kwiaty. Pulchna, miała blond włosy i ubrana była w znoszoną sukienkę koloru szafirowego. Wyglądała jak dziewczęta z fabryki Fryów, tyle że nieco bardziej szmatławo. Sprawiała, że Richard pomyślał o domu. Wydawało się nieprawdopodobne, że gdzieś tam daleko manufaktura jak zwykle produkuje kolejne partie wyrobów, a słodka Mary stawia na biurku ojca tacę z przedpołudniową przekąską. Richard spojrzął na swoje brudne ręce.

– Muszę się dobrze wykąpać – powiedział.

– Nie ma problemu – odparł Henderson dobrodusznie.

Richard wciągnął powietrze. Kawa pachniała zachęcająco, choć on przyzwyczajony był do czekolady i tostów na śniadanie. Wstał i powoli, próbując swoich sił, zrobił jeden krok, potem drugi. Nogi miał sztywne. Myśl o tym, że ma dotknąć siniaków, przyprawiała go o mdłości. Poza tym rwało go ramię.

– Jeśli chcesz, możemy sprowadzić lekarza – zaproponował Henderson.

– Nie. Nie czuję przeszywającego bólu. Nie mam połamanych kości. Trochę potrwa, zanim wszystko się zagoi. To wszystko. Mogę wziąć laudanum.

Henderson pokiwał głową, po raz kolejny zadziwiony zadziornością chłopaka.

– Może spróbuję trochę. – Richard wskazał dzbanek z kawą.

– W Brazylii na śniadanie kawę pije się z mlekiem – wyjaśnił mu Henderson – ale ja wolę czarną i jak najmocniejszą. Je się do niej ciastka albo pączki, ale teraz mamy tylko czerstwy chleb. Mam nadzieję, że Thatcher niedługo wróci. Jest dobrym kucharzem.

– Kapitanie?

– Po wczorajszej nocy powinienes mówić mi po imieniu, nie sądzisz?

Fry poderwał głowę zdziwiony i aż pobladł z bólu.

– Wczorajszej nocy uratował mi pan życie, *sir*. Mam wobec pana dług wdzięczności.

– Wyciągnąłem cię tylko z kłopotów, w które cię wcześniej wpakowałem.

– Sądzi pan, że przyjdą po nas?

– Nie wiem. Muszę znaleźć Fishera. To priorytet. Potem Haywarda, żeby mieć coś w zanadru. Chciałbym poznać nazwisko trzeciego gościa, o ile to możliwe. Jedno jest pewne, przyjdą po mnie, jeśli nie dotrzymam słowa. I to jest w porządku. Muszę być przygotowany. Przynajmniej ciebie nie znajdą, Richardzie. Nie wiedzą, kim jesteś.

– Czy zawsze prowadzi pan interesy w ten sposób?

Henderson pokręcił głową. Pasma ciemnych włosów opadło na jego twarz, więc odgarnął je

do tyłu.

– Absolutnie nie. Przyznaję, że szmuglowałem towary do Ameryki. Ale pierwszy raz przytrafiło mi się coś takiego. – Uśmiechnął się. – Wolę wersję Fryów.

– Ja też. – Richard nigdy by się tego po sobie nie spodziewał.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do kabiny wszedł chłopiec okrętowy z dzbankiem gorącej wody. Na jego widok Henderson wstał od stołu.

– Będziemy potrzebowali znacznie więcej wody. Dopilnuj, żeby ktoś zagotował duży gar, i przynieś dla pana Frya mydło, myjkę i dużą miednicę. – Henderson przeciągnął ręką po twarzy.

– Czas się ogolić, jak sądzę.

– I znów stać się dżentelmenem. – Richard pomyślał, że pozbędzie się swojego przebrania, może nawet je spali. – No dobrze – powiedział, łykając kawę i aż się wzdrygając od goryczki. – Nie ma co zwlekać.



Przed południem Henderson i Fry, przyodziani jak na dżentelmenów przystało, znaleźli się w okolicach Pall Mall. Zalane słońcem ulice tętniły życiem. Otoczeni aurą ważności urzędnicy sądowi z determinacją mknęli w stronę St James's albo z powrotem. Gdzieś dało się zauważyć elegancko ubrane damy wchodzące do sklepów lub z nich wychodzące, umykające spod kół rozpędzonych powozów. Przypominały ożywione ryciny. Deszcz, który spadł poprzedniej nocy, odświeżył miasto. Na rogu kwaciarki zachwalały swój towar: „Pół pensa za lawendę do butonierki i wiązankę!”. Jakiś dżentelmen zatrzymał się i kupił pachnący bukiet róż, po czym pośpieszył w kierunku ulicy Strand.

– Oczywiście normalnie znaleźlibyśmy gościa w jego klubie – powiedział tęsknie Richard. – Albo w jednej z kawiarni, do których uczęszcza. – Niestety, ani on, ani Henderson nie należeli do żadnego z londyńskich klubów, chyba żeby liczyć spotkania przyjaciół, ale Richard nie brał ich pod uwagę. A jeśli chodzi o kawiarnie, to w Londynie było ich mnóstwo. Niemal za każdym rogiem. W powietrzu czuło się woń prażonych ziaren, nie tak słodkich jak kakaowca, ale równie aromatycznych. – Fisher to dość pospolite nazwisko – kontynuował Richard, sięgając do kapelusza, który po nocnych wyczynach wydawał mu się dziwnie nie na miejscu. W ogóle miał wrażenie, że ubrania, które ma na sobie, nie należą do niego. – Szybciej powinniśmy znaleźć Haywarda.

– Jest jeszcze ten trzeci. Nie zapominaj o nim.

– Myśli pan, że któryś z nich należy do Royal Society?

– Do Royal Society? Chciałbym to zobaczyć.

Trudno było to sobie wyobrazić. Fisher jawił się jako duszący Hendersona szaleniec

o dzikim spojrzeniu, a dopingujący go towarzysze nie prezentowali się lepiej. Z pewnością członkowie Royal Society nie nosili ze sobą jedwabnych garot i nie atakowali bezbronnych łobuzów laskami.

Przeszli przez ulicę i skierowali się nad rzekę i na zachód w stronę wspianego Somerset House<sup>[89]</sup>. Przed pomieszczeniami należącymi do Royal Society wywieszono ogłoszenie informujące o wykładach na temat mas bitumicznych oraz płynnego chloru.

– W piątek wieczorem? Nie mogą znaleźć kogoś, kto mówiłby o czymś ciekawym? – skomentował Richard z uśmiechem, kiedy zostali wpuszczeni do środka.

Z jednego z pokoi wyszedł mężczyzna zakładający ciemny surdut.

– Przepraszam – zaczepił go Henderson – szukam dwóch dżentelmenów. Fishera i Haywarda. Czy są może członkami Royal Society?

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby przez chwilę naprawdę się zastanawiał.

– Mój drogi panie – odparł. Jego akcent zdradził szkockie pochodzenie. – Nie mogę znać wszystkich członków Royal Society. – Odwrócił się w stronę drzwi.

– Panowie Fisher i Hayward mają przyjaciela – wtrącił się Richard – z którym chcemy się skontaktować. To Szkot, tak jak pan.

Mężczyzna odwrócił się.

– A dlaczegoż to, jeśli można wiedzieć, chcecie panowie znaleźć tych dżentelmenów?

– Graliśmy w karty, *sir* – powiedział Henderson. – Obawiam się, że chodzi o rekompensatę.

– Rozumiem. – Mężczyzna pokiwał głową. Lokaj otworzył drzwi. – A ten ostatni dżentelmen? Szkot. Jak się nazywa?

– W tym właśnie problem. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Jest średniego wzrostu, rudy, ale siwieje, nosi czarną laskę ze srebrną główką lisa...

Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech.

– Ależ to Charlie Grant. To diabeł. Gra w karty? Zawsze sądziłem, że to kalwin do szpiku kości. Uprzejmili mi panowie dzień. – Mężczyzna uklonił się rozweselony.

– Grant – powiedział Henderson, łapiąc mężczyznę za ramię. – Tak. Dziękuję. A czy wie pan, gdzie mogę go znaleźć? Sądzi pan, że może być z tą dwójką, Fisherem i Haywardem?

– Nie. – Mężczyzna pokręcił głową. – Te nazwiska nic mi nie mówią. Nie znam ani Fishera, ani Haywarda. Ale Charliego znajdziecie bez problemu. Regularnie bywa w Rules<sup>[90]</sup>. Serwują tam wołowinę Galloway z kością, a czasem kuropatwę. Charlie mieszka sam, biedak, przy Tavistock Street. Woli jadać na mieście. Nie sądzę, by opłacało mu się utrzymywanie kucharki.

– Dziękuję.

Mężczyzna chrząknął i wyszedł na słońce.

– Fisher, Hayward i Grant. – Richard uśmiechnął się.

– To początek. Teraz musimy ich znaleźć.

– Cóż, proponuję udać się na lunch. – Śniadanie złożone z czerstwego pieczywa i kawy z mlekiem nie było zbyt pożywne.

Skierowali się w stronę Covent Garden. Spotykali coraz więcej eleganckich dam chroniących się przed słońcem pod parasolkami. Same wstążki, wstęgi i kokardy. Przed jednym ze sklepów mężczyzna ładował do powozu kolejne paczki, jedną upuścił na ziemię, ale zaraz ją podniósł i otrzepał z kurzu.

Restauracja właśnie zaczęła serwować lunch, więc było jeszcze spokojnie i cicho. W kącie jakiś dżentelmen nalewał kieliszek porto kobiecie, którą trudno by było nazwać damą. Jej bulgocący śmiech unosił się nad pustymi stolikami. Powietrze pachniało dobrej jakości cygarami oraz pieczonym mięsem. To musiała być woń, która osiadała tu przez lata.

– Czy w Brazylii mają kuropatwy, kapitanie?

– Nie. Może właśnie to powinniśmy zamówić.

Kelner zaprowadził ich do stolika w kącie najbardziej oddalonym od flirtującej pary.

– Bordo – powiedział Richard. – Czy serwujecie dzikie ptactwo i ziemniaki?

Kelner skinął głową.

– I ser? – zasugerował z nadzieją.

– Nie – odparł Henderson. – Poprosimy tylko dziczyznę i ziemniaki. I pudding. Coś angielskiego.

Kelner wydawał się przestraszony sugestią, że restauracja mogłaby podawać zagraniczne jedzenie.

– Oczywiście, *sir* – wymamrotał i pośpieszył do kuchni.

– A więc – Richard nachylił się nad stolikiem. – Mamy jednego z naszych dżentelmenów-przemysłowców i niedługo znajdziemy pozostałych. W najgorszym wypadku możemy uciec się do sposobów mojego brata. Służba zawsze chętnie plotkuje o swoich pracodawcach i ich przyjaciołach. Wie więcej o naszym życiu niż my o ich. Nie uwierzyłby pan, ile przepisów i technik poznaliśmy, wdając się w pogawędki z gosposiami. Ale to tylko skromna część tego, co obiecałem, kapitanie. Jest oczywiście sprawa pana Murraya i damy. Chciał pan znaleźć się w towarzystwie, powołując się na znajomość z panią Graham, nieprawdaż? – Henderson pokiwał głową bez słowa. Zachował się niewybaczalnie. To, czego teraz dowiedział się o kulturalnym Londynie, potwierdzało wagę jego impertynencji. – W tej sytuacji musi pan najpierw odwiedzić pana Murraya. We własnym imieniu. Chce pan napisać traktat, prawda? Musimy tego dopilnować. I proszę nie wspominać o pani Graham. Ani słowem. Jeśli Murray zainteresuje się pana pomysłem, to podniesie pana notowania. A potem zajmujemy się zalotami.

Henderson nagle poczuł niepewność. Maria wydawała się poza jego zasięgiem. Widząc jej nazwisko na łamach „Timesa”, uświadomił sobie, jak wielkie były jej osiągnięcia. A on mógł zaferować jej jedynie obietnice. Był samolubny, nawet dziecinny. Mimo to, jak powiedział młody Fry, zanim zacznie rozważać cokolwiek, musi zająć się czym innym.

– Trzeba zlokalizować całą trójkę.

Henderson dostrzegł kelnera niosącego tacę pełną mięsa i ziemniaków. Za nim podążał inny mężczyzna z butelką bordo. Oczy Richarda aż zabłyszczały na widok tej uczt. Nim kelner zdążył odejść, zagadnął go.

– Szukam starego znajomego. Szkota nazwiskiem Grant. Często tutaj jada. Mieszka przy Tavistock Street. Nie zna pan przypadkiem dokładnego adresu jego rezydencji?

– Pan Grant? – Kelner pokręcił głową. – Nie, *sir*. Ale Tavistock Street jest tuż za rogiem, po drugiej stronie Covent Garden. Spróbowałbym tam. Sąsiedzi na pewno go znają.

Richard wbił widelec w upieczonego na chrupko ziemniaka.

– Niewykluczone – zadumał się. – Bardzo dobrze, spróbujemy.



Tego popołudnia pan Grant nie zdecydował się na lunch w Rules. Henderson i Richard, pokrzepieni bordo i wspaniałym posiłkiem, którego kulminację stanowił gęsty rodzynkowy pudding, jaki można dostać tylko w Wielkiej Brytanii, wyszli z restauracji. Angielskie wiktuały były wielce satysfakcjonujące. Henderson postanowił, że dopilnuje, by Duży Al Thatcher zgromadził odpowiednie zapasy i serwował na pokładzie „Bittersweet” podobne delikatesy.

– Tavistock Street – zarządził Richard i ruszył w stronę Aldwych<sup>[91]</sup>, omijając stadko chłopców zabijających czas gapieniem się na wozy ciągnięte przez konie, zmierzające z beczkami piwa do lokali na obrzeżach Soho.

Henderson z zadowoleniem pozwolił młodemu prowadzić, chłopak sprawnie nawigował po tej stronie Tamizy. Świat Marii przypominał mu pajęczą sieć. Miał wrażenie, że jeśli znało się Piccadilly i Covent Garden, można było nagiąć rzeczywistość do swoich potrzeb. W Londynie wszystko stawało się możliwe.

Mając umysł zasnuty mgiełką wywołaną przez czerwone wino, łatwo było zapomnieć o biegnących nie tak daleko obskurnych ulicach oraz ignorować obserwujących potencjalne ofiary kieszonkowców i wszelkiej maści łachudrów czających się w kolumnadach Covent Garden. Tavistock Street prezentowała się znacznie okazalej niż boczna uliczka, przy której wychowywał się Henderson. Tutaj budynki były przestronne i liczyły nawet cztery kondygnacje. O tej porze dnia towarzystwo przyjmowało wizyty w usytuowanych na pierwszym piętrze, modnie urządzonych salonach. Przed bardziej popularnymi rezydencjami czekało tak dużo

powozów, że woźnice musieli się przepychać, żeby w spokoju zapalić w oczekiwaniu na panów i panie. Konie przestępowały z nogi na nogę, stukając podkutymi kopytami w kocie łąby. W takim tłoku ruch możliwy był tylko w jednym kierunku.

– Nie wie pan przypadkiem, w którym z domów rezyduje pan Grant? – zapytał Richard mężczyznę czeszącego grzywę jednego z wierzchowców.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł. – Hej, Rodney! – zawołał do kumpla. – Znasz niejakiego Granta?

– Jest Szkotem – dodał Richard na wszelki wypadek.

Rodney wychylił się z następnego powozu.

– Nie – powiedział nieco zdeprimowany. – Przykro mi.

Dalsze zapytania również nie przyniosły wyników.

– Musimy znaleźć dom, w którym została sama służba – orzekł Richard pragmatycznie i przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby przyjrzeć się oknom na pierwszym piętrze. – Ten! – Wskazał numer trzydzieści cztery.

Okna były ciemne, salon na pierwszym piętrze stał pusty. Zastukał do drzwi mosiężną kołatką. Otworzyła zażywna służąca roztaczająca wokół siebie aurę kompetencji oraz zapach wosku do polerowania i ziemniaczanych obierków. Dziewczyna była tak korpulentna, że nie widać było rozciągającego się za nią korytarza. Dygnęła i spojrzała pytająco na intruzów.

– Obawiam się, że mam kłopot. – Richard uśmiechnął się czarująco. – Szukam Charliego Granta. Wiem, że mieszka przy tej ulicy. Sam. Jest Szkotem. Może potrafiłaby pani skierować mnie pod właściwy adres?

Możliwość udzielenia pomocy zagubionym dżentelmenom sprawiła, że twarz służącej rozjaśnił uśmiech.

– Tak, *sir*. Pan Grant mieszka pod numerem osiemnastym. Ale raczej go pan nie zastanie. Zapewne wizytuje panią Hamilton spod dwudziestki piątki.

Gdy drzwi się zamknęły, rażno pomaszzerowali pod dom oznaczony numerem osiemnastym. Henderson nie mógł powstrzymać śmiechu. Londyńskie towarzystwo stanowiło swoisty klubik, dla osób z zewnątrz zagadkowy, dla wtajemniczonych – bardzo wygodny. Zastanawiał się też, co łączyło Granta z panią Hamilton.

– Francis zawsze powtarza – perorował tymczasem Richard – że kluczem jest służba. Zaprzyjaźnił się z czyścibutem Menierów. To dzięki temu udało nam się odkryć proces produkcyjny Francuzów.

– Czyścibut znał receptury na czekoladę?

– Nie. Znał dwie dziewczyny, które pracowały w manufakturze. Służba wszystko widzi. Wie, kto przychodzi, kto wychodzi. Zna wszystkie sekrety, wszystkie kłamstwa.

Już wydawało się, że pod numerem osiemnastym nikogo nie zastali, kiedy drzwi otworzył chudy lokaj.

– Czy zastałem pana Granta? – zapytał Henderson.

– Nie, *sir*. Czy mam przekazać, kto chce się z nim widzieć?

– Rzecz w tym – wtrącił się Richard – że nie szukamy pana Grant, ale jego znajomego, pana Fishera. Czy może nas pan skierować do rezydencji pana Fishera, dobry człowieku? Jesteśmy beznadziejnie zagubieni.

Lokaj wyduł usta, jakby ich prośba stanowiła dla niego wielką niedogodność.

– Przykro mi, *sir*. Nie znam pana Fishera – wycedził. Dżentelmeni powinni wiedzieć, gdzie mieszkają inni dżentelmeni. Na tym zasadza się natura klubów.

– To może zna pan pana Haywarda. Hayward też może być – nie ustępował Richard. – Po prostu musimy namierzyć jednego z nich. To kwestia ważnej inwestycji.

Lokaj rozważał, co odpowiedzieć. Pan Grant rzadko przyjmował gości. Jako nieżonaty dżentelmen zwykle to on odwiedzał innych. Zerknął w stronę domu pani Hamilton, gdzie jego pracodawca bawił w gościach.

– Inwestycji, rozumiem.

– A kiedy spodziewa się pan powrotu pana Granta? Chociaż... Jeśli wie pan, gdzie znajdziemy pana Granta, to właściwie możemy zwrócić się do niego bezpośrednio – Richard dodał nonszalancko, zdając sobie sprawę z tego, że mając wybór, dobry służący niemal zawsze podejmie decyzję, by nie kłopotać pracodawcy. – Słyszeliśmy, że wizytuje panią Hamilton?

Lokaj zawahał się, po czym zdecydował, że pan Grant nie chciałby być niepokojony, będąc w gościach. Lepiej podać informację dwóm niewątpliwie zacnym dżentelmenom – przeszkadzanie pracodawcy podczas spotkania towarzyskiego absolutnie nie wchodziło w rachubę.

– Z tego, co wiem – wycedził – rodzina Haywardów rezyduje przy Exeter Street. Trzeba iść do końca ulicy – wskazał ręką kierunek – i skręcić w prawo. Dom stoi mniej więcej w połowie ulicy.

– Dziękuję. Jestem wielce zobowiązany. – Richard uśmiechnął się i uchylił kapelusza.

Exeter Street była mniejsza i cichsza od Tavistock Street i przypominała nieco tunel, bowiem chodniki po obu stronach jezdni skąpane były w cieniu. Nie musieli nikogo pytać o rezydencję, w połowie ulicy stała bowiem lampa przyozdobiona taką samą tarczą herbową jak ta, która dekorowała drzwiczki powozu przy Mallow Street – co prawda pióra stanowiły trudny do określenia gąszcz, a rycerz mimo najlepszych chęci niczego by nie dostrzegł przez zasłone przyłbicy, niemniej jednak całość była rozpoznawalna.

– Sądzisz, że ktoś jest w domu? – Henderson odchylił głowę, starając się wypatrzeć jakiś



ruch na piętrze.

Richard wzruszył ramionami i chwycił za kołatkę. Tym razem drzwi otworzyły się natychmiast. Kamerdyner Haywardów stanowił niemal wierną kopię lokaja prowadzącego dom Granta. Hendersonowi przemknęło przez myśl, że może są braćmi. Kunsztownie zdobiony korytarz zdawał się obramowywać drobnego mężczyznę – jakby ten stanowił część klasycystycznego obrazu.

– *Sirs*. – Lokaj wyjrzał na ulicę, jakby spodziewał się kogoś innego. – Obawiam się, że nikogo nie ma w domu.

– Zastanawiam się, czy może nam pan pomóc – odezwał się Richard. – Przyszliśmy do pana Haywarda tylko dlatego, że szukamy jego znajomego, pana Fishera. Może zechciałby pan pokierować nas do rezydencji pana Fishera?

– Lorda Haywarda. – Kamerdyner nie mógł się powstrzymać od skorygowania błędu.

– Tak. Tak. Widzi pan, poznaliśmy się przy grze w karty. – Richard swobodnie zignorował pouczenie. – Czy zna pan może przyjaciela jego lordowskiej mości, pana Fishera?

Lokaj pokręcił głową.

– Nie, *sir*. Nie znam tego dżentelmena.

– Jest pani Fisher – odezwał się damski głos z domu. Lokaj odwrócił się. Z narożnego pokoju wyszła pokojówka. – Pani Fisher odwiedza jaśnie panią od czasu do czasu. Mieszka przy Garrick Street. To w okolicach Leicester Fields.

– Dziękuję, Brownleigh. – Wydawało się, że dziewczyna chciała powiedzieć coś jeszcze, ale lokaj musiał dojść do wniosku, że zdradziła wystarczająco dużo.

– Ach, Garrick Street, oczywiście. Tak – powiedział swobodnie Richard. – Dziękuję pani. – Zerknął na nią z zainteresowaniem. Służąca była urodziwa. – Bardzo to pomocne z pani strony.

Lokaj zamknął drzwi.

Ruszyli dalej.

– Pan Grant, pan Fisher i lord Hayward – Richard uśmiechnął się złośliwie, wymieniając kolejne nazwiska. – Mamy ich.

Idąc w stronę głównej drogi, Henderson pomyślał, że ta rundka wizyt w zamożnych domostwach usytuowanych przy lepszych ulicach Londynu i prowadzonych przez kompetentną służbę przypominała wycieczkę po życiu, do którego aspirował. Tutaj każdy znał każdego, a przynajmniej o nim słyszał. Jednocześnie żadna z rezydencji nie miała atmosfery prawdziwego domu, wspaniałe gmachy jawiły mu się niczym pozbawione ciepła miejsca zakwaterowania. Być może tylko mieszkańcy rezydencji mogli zobaczyć w nich dom. Być może – uświadomił sobie – potrzebna była do tego miłość.



W linii zabudowań wzdłuż Garrick Street było kilka przerw. Trwały prace budowlane. Rejon prezentował się niejednolicie – w niektórych miejscach widać było pieniądze, w innych jawił się jako niewiele więcej niż slumsy. Część z bardziej zrujnowanych domów wyraźnie czekała na rozbiórkę, inne, rachityczne, z muru pruskiego, wciąż tętniły życiem. Chłopcy biegali w tę i w tę z wiadomościami. Kobiety zerkały zza brudnych szyb, mając nadzieję na takiego czy innego klienta. Wiele drzwi frontowych stało otworem i prowadziło do piwiarni oraz rozmaitych zakładów, których szyldy głosiły „B. Bowman Perukarz” albo „Oliver Bradstock Dostawca wysokiej jakości artykułów pasmanteryjnych”. Wzniesione z kamienia rezydencje przy głównej ulicy miały bardziej formalny charakter. Richard zagadnął służącą z koszem w ręce, która z posiadłości należy do pana Fishera. Kobieta od razu wskazała okazały gmach z wapienia portlandzkiego na rogu Rose Street, znacznie większy niż siedziby Haywarda i Granta. Fisher wyraźnie wolał zaryzykować i osiąść w nieco gorszej okolicy, nieco dalej od centrum, aby móc się cieszyć niemal pałacowym przepychem. Przypadkiem udało im się zagrozić zniesławieniem właściwej osobie. Było jasne, że bardzo zależało mu na wizerunku.

– Sądzi pan, że go zastaniemy? – zapytał Richard.

– Mam taką nadzieję.

Okna były ciemne, ale to o niczym nie świadczyło.

– Gdyby ktoś miał mnie odwiedzić z ogromną sumą pieniędzy i garścią klejnotów, raczej siedziałbym w domu.

– No to chodźmy.

Henderson przyłożył rękę do piersi chłopaka, żeby go powstrzymać.

– Nie idziesz ze mną, Richardzie. Zaczekaj tam na mnie. – Skinął w stronę zatłoczonej piwiarni po drugiej stronie ulicy.

– Ale... – Henderson podniósł dłoń, jakby trenował psa.

– Nie – powiedział stanowczo. – Wystarczająco mi pomogłeś. Nie możesz ryzykować dobrego imienia swojej rodziny. Teraz sądzą, że jesteś byle biedakiem. Jeśli usłyszą, że jesteś z Fryów, to niepotrzebnie zwróci ich uwagę. To moja sprawa. Idź. Pograj w kości. To niebezpieczni ludzie. Jeśli za długo nie będę wracać, zacznij mnie szukać.

Richard niechętnie kiwnął głową.

– Dobrze. Będę stać na czatach – dodał i odszedł w stronę knajpy.

Henderson wszedł po schodach, odczekał, aż chłopak zniknie z oczu, i zapukał do szerokich drzwi. Zaskrzypiały, kiedy otworzył je postawny, wytwornie odziany lokaj. Wyglądał na faceta, który nie da sobie w kaszę dmuchać, choć bogato zdobiony strój próbował to zamaskować.

– Czy zastałem pana Fishera? – zapytał Henderson.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Starego znajomego z Brazylii.

Mężczyzna zawahał się, ale ostatecznie nie zaprotestował. Henderson odetchnął głęboko. Musi to dobrze rozegrać. Lokaj w mgnieniu oka wrócił i zaprosił kapitana do środka. Przestronny korytarz, wykładany czarnymi i białymi kaflami, prezentował się imponująco, może nawet bardziej niż elewacja. Kroki odbijały się echem od wysokiego sufitu. Klatka schodowa kapiała od ornamentów. Ściany zdobiły kryształowe kinkiety, stiuki pokryte złotem. Henderson miał wrażenie, że odwiedza pałac albo katedrę. Na zewnątrz było ciepło, ale w środku panował chłód. Kapitan zdrzął, jakby ktoś przeszedł nad jego grobem<sup>[92]</sup>. Lokaj wprowadził go do pustej biblioteki. Wszystkie ściany aż po sufit zasłonięte były przez regały z książkami. Henderson spojrzał na tytuły na grzbietach, potem ogarnął wzrokiem skórzane fotele oraz mahoniowe biurko, na którego blacie czekały rozłożone papiery. Za biurkiem stała wysoka drewniana komoda z kilkoma mosiężnymi zamkami.

– Jaskinia dżentelmena – zamruczał.

Powietrze było tak ciężkie od zapachu zleżałego papieru i skóry, że z trudem oddychał. Jego serce przyspieszyło. Zerknął przez wielodzielne okno na mały ogród na tyłach domu. Służąca rozwieszała wyprane prześcieradła na sznurze rozpiętym między drzewami. Wszystko tu krzyczało: „Tradycja!”. Zadumę przerwało mu dobiegające zza jego pleców pokasywanie.

Fisher stał w drzwiach. Był ubrany w burgundowy surdut z mosiężnymi guzikami, pozostałe elementy jego stroju miały kolor płowożółty. Henderson zauważył, że mężczyzna tylko udaje, że się nie denerwuje. On czuł dokładnie to samo, choć żywił nadzieję, że nieco lepiej ukrywa swoje emocje. Teraz bardzo przyda mu się wyćwiczona przy pokerze umiejętność blefowania. Pod nogami Fishera przydreptały dwa grube teriery i ułożyły się pod kominkiem.

– Żona udała się w gości. – Fisher zamknął drzwi. – Psy należą do niej.

Henderson pokiwał głową. To nie była wizyta towarzyska. Nie było sensu tracić czasu. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął trzy spore sakiewki. Fisher podszedł do biurka.

– To wszystko – powiedział Henderson. – W równych częściach.

– Należą nam się dwie trzecie.

Henderson zbył tę uwagę milczeniem. Przez chwilę mężczyźni wpatrywali się w siebie, w końcu Fisher otworzył sakiewki i wysypał ich zawartość na blat. Pieniądze dawały oczywiście satysfakcję, ale całą jego uwagę skupił deszcz klejnotów i złotych sztabek.

– Mam kupca.

– To koniec naszej współpracy – odezwał się Henderson.

Fisher podniósł wzrok.

– Niezupełnie, kapitanie. Rzecz w tym, że zagroził pan naszej reputacji. Nie traktujemy tego lekko.

– To już nie będzie problemem, *sir* – Henderson uśmiechnął się. – Chciałbym przypomnieć, że to panowie próbowali mnie zabić. Mam nadzieję, że nasze ścieżki więcej się nie przetną. – Odwrócił się w stronę drzwi.

– Ha! – Dźwięk, który wydał z siebie Fisher, przypominał ostry sygnał rogu mgłowego. – Nie, nie rozumie pan. Nie oddał nam pan wszystkiego, co jest nam winien. A poza tym chcemy, żeby szmuglował pan dla nas dalej na tych samych warunkach. Nie zmieniliśmy zdania. Klub jest całkowicie zdecydowany.

– Nie dam się przymusić – odparł Henderson, obrzucając Fishera twardym spojrzeniem. – I jestem zaskoczony, że muszę panu przypominać, iż nie powinien na mnie naciskać, biorąc pod uwagę, co mogę ujawnić.

– A co takiego może pan ujawnić, *sir*?

– Już raz sobie z wami poradziłem. Czy na pewno chce pan...

– Pani Graham – przerwał mu Fisher, wyjąwszy z szuflady biurka egzemplarz „Timesa”. Jego brązowe oczy wypatrywały reakcji. – Co na to powie?

Henderson poczuł lód w żyłach, ale nie okazał tego po sobie.

– O co panu chodzi?

– Chłopie, własna załoga zadaje panu kłam. Nie mówi o niczym innym, tylko o tym tandetnym romansie. Jeśli wyjdzie to na jaw, dama będzie skończona. Jeśli choć trochę panu na niej zależy, odda nam pan tyle, ile nam się należy, i zrobi to, czego chcemy. To nie takie złe, co? Już ten jeden kurs się panu opłacił. Naprawdę sądził pan, że nie znajdziemy czegoś na niego, podczas gdy sam pan miał naszą reputację w swoich brudnych rękach? Dziś prezentuje się pan jak dżentelmen, choć ja dobrałbym inną kamizelkę. Ale pan nie jest dżentelmenem, nieprawdaż? A pani Graham nie jest damą. Chce pan, żeby świat się o tym dowiedział?

Henderson nie mógł się skupić. Uświadomił sobie, że gdyby puścił parę z gęby, Maria straciłaby wszystko. Trzymali go w garści. I nie znali litości. Jedyne wyjście z sytuacji – stwierdził – to sprawić, żeby Fisher uwierzył, że nie zależy mu na Marii. Uśmiechnął się.

– Ma pan rację. W połowie. Pani Graham nie jest damą, *sir* – powiedział, choć ledwo przeszło mu to przez gardło. – A jeśli chcieliście zdobyć nade mną przewagę, grożąc jej, to się niestety pomyliliście. Takich kobiet jest na pęczki. Suki, każda jedna.

– Wypiera się pan romansu?

– Nie, *sir* – odparł stanowczo. Nie było sensu zaprzeczać. Kto wie, czego nasłuchali się od załogi. – Nie wypieram się też, że się już skończył. Jeśli chcą panowie wrzucić siebie i panią Graham do jednego worka, to proszę bardzo. A ja odpłacę się, opowiadając o tym, co wiem.

Tajny klub, którego są panowie członkami, na pewno rozpali wyobraźnię brukowców bardziej niż upadła kobieta, w dodatku sawantka. Ludzie zaczną się zastanawiać, co tam kombinujecie przy Mallow Street. Będą się zastanawiać, czy to, co mówię o was, jest prawdą, nawet jeśli więcej się tam nie pokażecie. Zgaduję, że nie mógłby pan sobie na to pozwolić. Nie, mając na utrzymaniu taką rezydencję. Żeby było pana na nią stać, potrzebuje pan ciągłych dostaw.

Fisher sapnął. Odezwał się jego tik – żyłka na skroni pulsowała. Nie spodziewał się, że podstęp Haywarda zadziała. I miał rację. Teraz nie mógł pozwolić, żeby kapitan wyszedł stąd o własnych siłach. Zresztą od początku chciał go zabić. Bez słowa odwrócił się i otworzył zamaskowane grzbietami książek drzwiczki do barku. Nalał kieliszek brandy z kryształowej karafki i wypił jednym haustem.

– Ma pan ochotę?

Henderson pokręcił głową.

– To dobry rocznik, z piwniczki przyjaciela. – Fisher zignorował odmowę kapitana, nalał dwa kieliszki i podał mu jeden. – Picie w pojedynkę przynosi pecha. Opuścimy panu, *sir*. Ale nie może mieć pan do mnie żalu, że próbowałem.

– Mogę i mam – obruszył się Henderson. – Nigdy nie spotkałem się z czymś takim, a przemycam towary do Ameryki od ponad dwunastu lat.

– Ach, Amerykanie – rzucił Fisher z niesmakiem. – Co oni wiedzą. Nawet nie wybrali króla, kiedy mieli okazję. Proszę. Bez urazy.

Henderson podniósł kieliszek. Alkohol miał kolor toffi i pachniał palonym cukrem. Upił łyżek. Fisher miał rację. Smakował wybornie.

– Poza tym zawsze trzeba próbować – Fisher kontynuował. – Moja żona, widzi pan, potrafi być bardzo wymagająca. Dokładnie dwie trzecie sprawiają, że jest szczęśliwa. Miałem nadzieję, że uda mi się pana przekonać.

– Nie może pan nastawać na czyjeś życie i oczekiwać, że będzie skłonny do negocjacji. Przyszedłem do waszego biura w dobrej wierze. Dostarczyłem towar w dobrej wierze. Ale nie zgodzę się na targi ani na szantaż – i to godzący w dobre imię damy! Nie dbam o panią Graham, ale mimo to uważam, że to podłe i niepotrzebne.

– Jak tam chłopak? – Fisher zmienił taktykę i temat. – Dick, nieprawdaż?

– Wyzdrowieje.

Henderson wypił drinka do końca i odstawił kieliszek na biurko. Fisher wyglądał na zaniepokojonego, zgarbił się.

Kapitan kontynuował.

– I żeby wszystko było jasne. Odwiedziłem dziś pana Granta i pana Haywarda. A raczej lorda Haywarda, nieprawdaż? A więc, Fisher, przypominam panu, że przyjęcie dostarczonych tu

przeze mnie pieniędzy i kamieni oznacza, że zakończyliśmy naszą współpracę. A jeśli będziecie mnie nagabywać, nie zawaham się wszystkiego opowiedzieć, nawet jeśli przez to ucierpi pani Graham. Zamierzam, czy może raczej pragnę, po prostu zniknąć wam z oczu. Jestem pewien, że mają panowie ważniejsze sprawy na głowie.

Henderson wbijał paznokcie kciuka w dłoń tak mocno, że obawiał się, iż przebije skórę. Analizował twarz Fishera, szukając oznak, że go przejrzał. Oczami wyobraźni widział twarz Marii. Tak bardzo chciał ją uratować. W razie potrzeby jeszcze mógł się wycofać.

– Dobrze – warknął Fisher.

Henderson uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że pani Fisher będzie zadowolona. – Odwrócił się. – I tymi słowami chciałbym się pożegnać.

Fisher wyszedł zza biurka, jakby chciał odprowadzić Hendersona do drzwi.

– A wie pan, że ten pokój zbudowano według mojego projektu? – zagadnął. – Lubię tradycyjne biblioteki. Wygląda tak, jakby rozrastała się tu od stu lat, prawda?

Henderson sięgnął do klamki, dłoń miał dziwnie wilgotną. Może to z nerwów – pomyślał. Tymczasem Fisher podszedł i położył lewą dłoń na gałce. Henderson chciał się wycofać, ale nie był wystarczająco szybki. Z bliskiej odległości dostał pięścią w twarz tak mocno, że z impetem uderzył tyłem głowy w drewniane drzwi. Mimo mroczków przed oczami zaatakował napastnika. Udało mu się przewrócić go na wzorzysty dywan. Psy zaczęły ujadać, ale nie odsunęły się od kominka. Fisher roześmiał się donośnie. Zdawało się, że śmiech dochodzi gdzieś z głębi jego klatki piersiowej. Podniósł się. Henderson chwiał się na nogach. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Miał w ustach gorzki posmak dochodzący aż z żołądka.

– Trucizna w szklance. Najstarszy trik na świecie – powiedział Fisher. – To nie potrwa dłużej niż minutę

Nagle okno za głową Fishera zaczęło się mienić, jakby ogród obsiadły wróżki. Henderson zamrugał, powieki mu ciążyły. Jak mógł być taki naiwny?

– Nie dostaniecie tego, czego chcecie, jeśli mnie zabijecie – wymamrotał. – Nie dostaniecie więcej pieniędzy.

– W razie potrzeby znajdziemy ludzi. Ale nie pozwolimy, żeby ktoś nam groził. – Fisher uśmiechnął się i nacisnął guzik. W ścianie książek otworzyły się drzwi. – Mój projekt – kontynuował bez zająknięcia. – Trzy metry na trzy i nikt nie wie, że tu jest.

Objął Hendersona, wbijając mu boleśnie łokieć w żebra, i zaprowadził do ukrytego pokoju. Kapitan nie mógł mówić. W głowie miał mętlik. Nie potrafił sobie przypomnieć, co właściwie tutaj robi. W półmroku rozpoznał stertę obrazów nagich kobiet – dlaczego żadna z nich nie była Marią? Mgła przesłoniła mu oczy. Głos Fishera brzmiał jak echo.

– Mojej żonie nie spodobałaby się ta kolekcja – przyznał, wpychając Hendersona do kąta, potem sięgnął po sznur i związał mu ręce.

Teriery wciąż szczerkały. Kapitan miał wrażenie, że gdzieś dalej, może na ulicy. Próbował podnieść głowę, ale była zbyt ciężka. Pokój kołysał się. Czyżby byli na statku? Na morzu? Co on jej zrobił?

– Biżuteria – dodał Fisher z zadowoleniem, zawiązując węzeł. – Zawsze powtarzam. Dużo biżuterii i uwaga przy śniadaniu. To usatysfakcjonuje każdą kobietę, a ty możesz robić, co ci się żywnie podoba...

---

[80] Boodle's – klub dla dżentelmenów założony w 1762 roku jako Almack's (pierwotnie klubem zarządzał William Almack prowadzący naprzeciw swoją tawernę); w 1764 roku wydzieliły się z niego dwa oddzielne kluby, prawdopodobnie z przyczyn politycznych – jeden z nich zmienił siedzibę i przemianował się na Brooks's, drugi pozostał na miejscu i zmienił nazwę na Boodle's, od nazwiska Edwarda Boodle'a, który w latach 1764–1768 prowadził interesy wspólnie z Almackiem; od 1782 roku Boodle's ma siedzibę przy St. James's Street 28.

[81] John Buonarotti Papworth (1775–1847) – architekt, artysta i współzałożyciel Institute of British Architects in London, stowarzyszenia zrzeszającego architektów w Wielkiej Brytanii działającego dziś jako Royal Institute of British Architects.

[82] Mary Wollstonecraft (1759–1797) – brytyjska pisarka propagująca równouprawnienie kobiet, prekursorka feminizmu, autorka pamfletu *Mysli o wykształceniu córek*.

[83] Caroline Lucretia Herschel (1750–1848) – brytyjska astronomka pochodzenia niemieckiego; wraz z bratem Williamem Herschelem odkryła osiem komet.

[84] Mary Somerville (1780–1872) – szkocka fizyczka; zajmowała się między innymi mechaniką, magnetyzmem i fizyką Newtona.

[85] Samuel Pepys (1633–1703) – sekretarz admiralicji, członek Parlamentu i pamiętnikarz; w 1665 roku został członkiem Towarzystwa Królewskiego, a w latach 1684–1686 jego przewodniczącym.

[86] Ateneum (łac. *Athenaeum*) – państwowa szkoła wyższa założona w Rzymie w 135 roku przez cesarza Hadriana. Londyński klub Athenaeum powstał w 1824 roku z inicjatywy Johna Wilsona Crokera, sekretarza admiralicji.

[87] Dokładnie: *Journal of a Residence in Chile during the Year 1822. And a Voyage from Chile to Brazil in 1823* (dosłownie: dziennik pobytu w Chile w roku 1822 i podróż z Chile do Brazylii w roku 1823).

[88] Dokładnie: *Journal of a Voyage to Brazil, and Residence There, During Part of the Years 1821, 1822, 1823* (dosłownie: dziennik podróży do Brazylii i pobytu tam w różnych okresach lat 1821, 1822, 1823).

[89] Somerset House – gmach po południowej stronie ulicy Strand, który od 1776 roku przez około dwieście lat stanowił siedzibę najważniejszych urzędów publicznych Wielkiej Brytanii, między innymi służb skarbowych, morskich i podatkowych – a także Royal Academy (królewskiej akademii sztuk pięknych) oraz Royal Society.

[90] Rules – działająca do dziś restauracja w Covent Garden, założona w 1798 roku przez Thomasa Rule'a.

[91] Aldwych – tutaj: rejon w okolicy ulicy Strand.

[92] Brytyjskie powiedzenie nawiązujące do średniowiecznych ludowych wierzeń, że nagłe dreszcze spowodowane są tym, iż ktoś przeszedł w miejscu, w którym osoba odczuwająca niespodziewane ciarki zostanie pochowana. W amerykańskiej wersji powiedzenia nad grobem przechodzi gęś lub królik.

## PICCADILLY

**N**a prośbę Murraya Maria przyjechała nieco wcześniej. Wiadomość o odmowie sir Horace'a i znikomym prawdopodobieństwie wystąpienia przed członkami Royal Society przyjęła lepiej, niż się spodziewał.

– Mój Boże! – Uśmiechnęła się. Jej oczy jaśniały, a spojrzenie można było opisać tylko jako szelmowskie. – Wywołałeś spore poruszenie, Johnie. Być może musimy się pogodzić z faktem, że niektórzy spośród naszych przyjaciół nigdy nie zaakceptują poglądu, że kobieta może mieć rozum.

Obawiając się reakcji Marii, Murray wypił przed jej przyjazdem pół butelki porto i teraz czuł w całym ciele przyjemną falę ciepła. Oczy miał okrągłe niczym żółtka jajek na twardo, przepołowionych i gotowych do spożycia. Spodziewał się, że Maria będzie zrozpaczona. Że zacznie go obwiniać. Teraz to on się uśmiechnął.

– Prawda jest taka, że dama musi robić to, co może – Maria kontynuowała bez zająknięcia – a w tej sytuacji mogę mieć tylko nadzieję, że książki zostaną dobrze przyjęte przez osoby o na tyle szerokich horyzontach, by czytać je bez uprzedzeń. Jak wiesz, to nie dotyczy członków mojej rodziny, którzy nie biorą pod uwagę pozytywnych recenzji tylko dlatego, że jestem kobietą. A jeśli chodzi o Royal Society, no cóż, nie miałam większych nadziei na udział w zebraniu i możliwość zaprezentowania rezultatów swojej pracy. Zresztą nie jestem przekonana, że byłoby to przyjemne doświadczenie. Margaret Cavendish<sup>[93]</sup> przeżyła bardzo przykre chwile.

– To było ponad sto lat temu – powiedział Murray, przypominając sobie niejasno, że późniejszą księżną Newcastle ochrzczono przydomkiem Mad Madge<sup>[94]</sup>. – Jakaś dama musi być pierwsza.

Maria wstała i podeszła do okna. Ulicą telepały się powozy, ale do niej dochodziły tylko stłumione odgłosy podków. Albemarle Street tonęła w promieniach letniego słońca. Nie padało od dwóch czy trzech dni.

– Nie warto angażować się w tę walkę. I tak niedługo opuszczam Londyn.

– Gdybyś była dzentelmenem, nie potraktowałabyś tej obrazę tak lekko.



– Gdybym była dżentelmenem – przez twarz Marii przebiegł złośliwy uśmieszek – pewnie zażądałabym od *sir* Horace’a satysfakcji. A ponieważ nie mogę, złościsz się w moim imieniu?

Murray pokiwał głową.

– Ech, mężczyźni. Zawsze tacy żądni krwi. Jeśli *sir* Horace się myli, to na pewno nie pierwszy i nie ostatni raz. A według mnie w tej kwestii zdecydowanie się myli – rzekła chłodnym tonem. – To wystarczy, nie sądzisz?

Z ust Murraya wyrwał się chichot.

– Nie możemy – kontynuowała gładko – mścić się na takich ludziach. Inaczej znaleźlibyśmy się w stanie wojny z połową świata. – Maria usiadła zgrabnie na żółtej sofie, skrzyżowała kostki i położyła ręce na podołku. Pomyślała o Georgianie i o ciotce. W kółko to samo. Nie wolno było pozwolić się przez to powstrzymać. – Wydaje mi się, Johnie, że nie w pełni rozumiesz, jak to jest być damą i pisarką. Na tym polega problem.

Murray roześmiał się i nachylił.

– A zatem powiedz mi, jak to jest.

– Jestem wdową. Nigdy nie będę miała dzieci. Ale mogę zostawić po sobie moje pisma i nauczyć czegoś księżniczkę Marię da Głórię. Pewnego dnia będzie rządzić milionami ludzi i być może niektóre z moich nauk pomogą jej podjąć rozsądne decyzje. Brzmi to podniośle, wiem. Ale ile bezdietnych kobiet może pozostawić po sobie taką spuściznę? Nie pieniądze, plotki albo poezje, lecz coś, co może mieć wpływ na losy świata. Jej Cesarska Mość pragnie, bym nauczyła księżniczkę nie tylko rysunków czy manier, lecz także geografii, historii, matematyki, języków. Mam jej zapewnić odpowiednie wykształcenie. Wyobrażasz to sobie? My, kobiety, jesteśmy wychowywane tak, by zakochać się, czarować strojem i przekonaniem, że istotne są ozdóbki i urok osobisty. Mam szansę wykształcić młodą kobietę, która może być kiedyś drugą Elżbietą<sup>[95]</sup>! Niech piekło pochłonie *sir* Horace’a. To i możliwość pisania moich dzienników dają mi głos, który ty wzmacniasz, drukując moje słowa. Mężczyźni tacy jak *sir* Horace mogą nie słuchać, ale to nie umniejsza faktu, że mówię to, co chcę. Widziałam świat. Realizuję swoje zainteresowania. I choć są pewne rzeczy, z których muszę zrezygnować, choćby dobre relacje z rodziną, to wydaje mi się, że jak na damę mam wiele szczęścia i możliwości, a Royal Society i *sir* Horace Strange niewiele znaczą. Zobaczę świat i będę czerpać z niego pełnymi garściami.

No i proszę. Murray oparł się wygodniej. Co za wyjątkowa kobieta. Czasami było w niej coś – Murray nie umiał tego określić innym słowem – historycznego. Wydawał dzieła wielu autorów, ale tylko niektórzy zostali stworzeni do tego, by pamiętać o nich przyszłe pokolenia.

– Czy masz wszystko, czego potrzebujesz, Mario? Wiesz, że jeśli jest cokolwiek...

Maria odwróciła się. Wciąż czekała na dwie suknie od krawcowej Calcottów, ale już były

w drodze. Zresztą Murray nie chciałby słyszeć o takich drobiazgach. Poza tym jej finanse miały się wyjątkowo dobrze. Murray wyznaczył bardzo korzystną cenę za jej książki. Odwiedziła kilka prywatnych galerii, a z Calcottami publiczną galerię w Dulwich. Zgromadziła niewielką bibliotekę, którą zabierze do Rio, i zdążyła spotkać się z niemal wszystkimi starymi znajomymi. Kupiła też skórzaną sakiewkę na miniaturę z portretem ojca, którą zaczęła wszędzie ze sobą nosić. Teraz też miała ją przy sobie w torebce ze ściąganyymi troczkami, którą położyła na stoliku. Lady Dundas była zgryźliwa, ale na tyle udobruchana, na ile to możliwe. Georgiana stanowiła przypadek beznadziejny. Ogólnie rzecz biorąc, Maria była gotowa. W czekającej ją przyszłości nie było miejsca dla Jamesa Hendersona. Nie mogło być. To wciąż jej doskwierało, ale postęp nie jest możliwy bez poniesienia pewnych strat. Nie traciła ducha.

– Mam twoją przyjaźń, Johnie, i twoje poparcie. Czego więcej mi trzeba?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Do pokoju zajrzał lokaj.

– Przybyli panowie Smyth<sup>[96]</sup> i Gulliver<sup>[97]</sup> – oznajmił.

– Już czas na popołudniową herbatkę? – Z tego wszystkiego zapomniał o innych gościach. – Och. Tak. Wprowadź ich. – Odwrócił się do Marii i nachylił konfidencjonalnie. Wiedział, że ma tylko kilka sekund, zanim znajdą się w większym towarzystwie. – Moja droga, obiecaj mi jedno. Jeśli będziesz mieć szansę na szczęście małżeńskie... Jesteś wciąż młoda... A czym jest życie bez miłości? Mam nadzieję, że się nie poddasz.

Maria wyciągnęła rękę po torebkę ze ściąganyymi troczkami. Poczowała mdłości. Nie wiedział. Nie mógł. Czyżby się zdradziła? Spojrzała na twarz Murraya. Nie, tylko tak ogólnie się dopytywał. Postanowiła go uspokoić.

– Myślisz, że znów znajdę kogoś takiego jak Thomas? Nie sądzę, bym miała tyle szczęścia – powiedziała. – Ale jestem ukontentowana, Johnie. Naprawdę. Dokonałam w życiu pewnych wyborów i jestem z nich zadowolona.

Murray zawahał się. Na końcu języka miał pytanie, czy Maria czuje się szczęśliwa. Ukontentowanie jest ważne, ale to szczęście stanowi sens życia. Potem drzwi się otworzyły i wszedł pan Smyth z wyciągniętą na powitanie ręką, więc Murray porzucił pomysł. Pewnie i tak był głupi.



Richard postanowił poczekać pół godziny, zanim podejmie jakiegokolwiek działania. Kupił w piwiarni kufel słabego ale i to spoglądał na drzwi do rezydencji Fishera, to obserwował grę w korony i kotwice, jak toczyła się w kącie sali. Minęło, miał pewność, nie więcej niż dwadzieścia minut, odkąd Henderson wszedł do „jaskini lwa”, kiedy pod dom zajechał powóz,

do którego niezwłocznie wsiadł Fisher. Richard zastanawiał się, co robić. Fisher wyszedł z domu sam, co oznaczało, że kapitan został w środku, a to bez dwóch zdań oznaczało kłopoty. Postawił kufel na stole. Nie miał dowodów, że coś złego się dzieje. Ciemne okna niczego nie zdradzały, ale był ciekaw. Zostawił monetę dla kelnerki, przeszedł na drugą stronę ulicy, omijając śmierdzące końskie odchody. Garrick Street nie cieszyła się tak dobrą opinią, by zasłużyć na szybką reakcję zamiataczy, jakiej mogli spodziewać się dżentelmeni poruszający się ulicami w rejonie Piccadilly. Richard skręcił za róg. Przy Rose Street do rezydencji Fishera można się było dostać boczną furtką. Była zamknięta, ale gdy młodzieniec wspiął się na palce, zdołał zajrzeć do ogrodu. Panował spokój. W oknach też nie zauważył żadnego ruchu.

Wrócił na Garrick Street i zapukał do drzwi frontowych. Stał w nich krzepki lokaj.

– Był tu niedawno mój przyjaciel, kapitan Henderson – powiedział. – Szukam go.

– Dżentelmen z Brazylii?

– Tak.

– Wyszedł, *sir*. Razem z panem Fisherem.

Richard zlustrował uważnym spojrzeniem pozbawioną emocji twarz mężczyzny. Doszedł do wniosku, że jest w nim coś z buldoga. Wiedział, że z angielskim kamerdynerem nie ma sensu kłócić się o to, kto jest, a kogo nie ma w domu. I tak nie zmieni swojego zdania.

– Rozumiem. Dziękuję – odparł. – Poszukam go zatem gdzie indziej.

Lokaj zamknął drzwi. Richard postać chwilę na schodach, rozważając dalsze postępowanie. Nie pozostawało mu nic innego, jak dostać się do środka, ponieważ Henderson na pewno nie opuścił tego budynku. Wrócił pod boczną furtkę. Upewnił się, że nikt go nie zauważył, a potem nie bez wysiłku podciągnął się i zeskoczył po drugiej stronie. Bez wahania, omijając schnące pranie, zakradł się do domu. Przez odpowietrznik w kuchennym oknie w suterenie wydostawały się smużki pary. Służąca i kucharz w skupieniu robili coś przy długim stole.

Richard spojrzał do góry. Od tej strony na wysokim parterze znajdowały się trzy pokoje, w tym biblioteka. Skoro Fisher wyszedł, nie powinien nikogo tam zastać. Biblioteka stanowiła domenę pana domu. Znalazł idealny punkt dostępu. Rozejrzał się, przysunął sobie pustą beczkę, która leżała na boku przy wychodku, i wspiął się na parapet. Potem wybił łokciem jedną z szybek w wielodzielnym oknie, co okazało się bolesne, sięgnął ostrożnie przez poszarpane szkło, otworzył skrzydło i wskoczył do pokoju.

Przy kominku leżały dwa teriery. Kiedy Richard zeskoczył na dywan, powęszyły, jeden wydał z siebie pojedyncze szczeknięcie, jakby na powitanie. Potem psy przydreptały do niego, merdając ogonami. Richard przykucnął i pogłaskał przyjazne zwierzaki.

– Już, już – powiedział, pocieszając siebie i czworonogi jednocześnie. Czuł mdłości. Jeśli zostanie przyłapany, Bóg jeden wie, co mu zrobią. – A teraz powiedzcie mi – zwrócił się do

psów – gdzie jest kapitan?

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że Henderson musiał być przetrzymywany obezwładniony. W takim domu jak ten może być mnóstwo schowków i komórek, przy czym najlepiej zabezpieczone tego typu pomieszczenie zwykle znajduje się w pobliżu kuchni i służy do przechowywania sreber. Dostanie się tam nie będzie łatwe. Richard ruszył w stronę drzwi, psy potruczały za nim. Chwilę ponasłuchiwał, potem przyłożył oko do dziurki od klucza. Teriery zaszczeły.

– Cicho.

Korytarz wydawał się pusty. Richard medytował. Kapitan z pewnością walczył, co oznaczało hałas. Po drugiej stronie korytarza głośno tykał zegar szafkowy. Poza tym panowała absolutna cisza. Richard zebrał się w sobie i już miał zaryzykować wyjście na korytarz, kiedy jeden pies się rozszczełał, a drugi zaskowyczał. Odwrócił się, żeby uciszyć zwierzaki. To duży dom, ale takie odgłosy mogą przyciągnąć uwagę. Oba teriery znajdowały się po drugiej stronie pokoju, jeden skakał przed regałem. Richard roześmiał się. Co za zabawne i ekscentryczne czworonogi, całkiem urocze. Ale nie mógł dłużej zwlekać. Henderson go potrzebował. Postanowił przeszukać dom metodycznie – od góry, gdzie zawsze jest mniej ludzi i w związku z tym powinno być bezpieczniej, do dołu. Przekręcił gałkę w drzwiach i już miał wyslizgnąć się na korytarz wyłożony czarno-białymi płytkami i ruszyć w stronę schodów, kiedy usłyszał kroki pokojówki. Cofnął się, przykucnął i z walącym sercem obserwował dziewczynę przez dziurkę od klucza. Szła z wiadrem węgla.

Psy przestały szczeleć, ale jeden wciąż skakał jak głupi przy regale.

– O co ci, do licha, chodzi? – syknął Richard, skradając się w ich stronę.

Teriery wydawały się zainteresowane dziełami Platona. Gdy Richard sięgnął po pierwszą z brzegu książkę, jeden z psów zaszczełał. Richard złapał go za pysk.

– Szzzz.

Jeden terier merdał ogonem, drugi znów zaczął podskakiwać przy klasyce. Nie spuszczać oka z drzwi, Richard wyciągnął książkę.

– Platon?

Co za głupota – pomyślał. Ale potem dostrzegł krawędź regału. Była równa, jednak brzegi rozdzielały się. Należało stanąć bardzo blisko, żeby to zauważyć. Niemal niewidoczny zarys drzwi. Richard uśmiechnął się szeroko i pogłaskał psa.

– Nie sądzę, byś mi powiedział, jak je otworzyć. – Rozejrzył się.

Nim cokolwiek wymyślił, usłyszał kroki przy drzwiach. Pośpiesznie zanurkował pod biurko. Jeden z terierów podreptał za nim, ale on odsunął go stanowczo i pies podbiegł do służącej, która weszła do biblioteki, żeby uzupełnić kosz na węgiel. Richard w napięciu obserwował stopy

dziewczyny.

– Brent niedługo po was przyjdzie. Później was wypuści – zbeształa przeszkadzające jej zwierzaki, po czym podniosła swoje wiadro i wyszła z pokoju.

Nie miał wiele czasu. Jeden z psów, entuzjastycznie merdając ogonem, wrócił do Richarda, drugi podreptał pod regał. Richard próbował otworzyć drzwi, podważając półkę – bezskutecznie. Potem zdjął więcej książek, ale żadna z nich nie była połączona z zasuwą. Usiłował się skupić. Gdzie najlepiej umieścić mechanizm otwierający? Spojrzał na biurko i uśmiechnął się. Podniósł kałamarz i bibułę do osuszania atramentu, przesunął palcami po brzegach szuflad. Opadł na kolana i zbadał przestrzeń pod biurkiem, gdzie przed chwilą się chował. Na jednej z nóg znalazł gałkę z pozłocanego brązu, której wcześniej z nerwów nie zauważył. Nacisnął. Drzwiczki otworzyły się, uderzając teriera w bok. Chłopak poczuł mrowienie w opuszkach palców. Nie wiedział, ile ma czasu. Jego serce waliło jak młotem. Ależ to ekscytujące.

Zajrzał do sekretnego pokoju Fishera i znalazł to, czego szukał. Nieprzytomny Henderson leżał związany na podłodze. Psy węszyły wokół i lizały go. Sprawdził, czy kapitan oddycha, potem poluzował więzy i poklepał mężczyznę po twarzy.

– No już.

Henderson nawet nie drgnął. Richard nie wiedział, co zrobić. Kapitan zawsze wydawał mu się silny i kompetentny. Oglądanie go w takiej sytuacji było niepokojące. W głowie miał mętlik, ale za wszelką cenę musiał wydostać stąd Hendersona.

– Do licha – mruknął, odetchnął głęboko, z trudem podźwignął kapitana i wywlókł go do biblioteki. Uświadomił sobie, że w tej sytuacji Fisher wróci po Hendersona, najpewniej w towarzystwie pozostałych członków Old Street Bridge Club. A zatem pierwsze, co musi zrobić, to wyprowadzić kapitana z rezydencji i odstawić na „Bittersweet”. Poza tym powinien zostawić wiadomość dżentelmenom, którzy bez wątpienia byli już w drodze.

Rozejrzał się. Na dywanie leżały tomy Platona, które zdjął z półki. Zebrał je, wrzucił do ogromnego wielkopańskiego kominka, a potem wrócił do sekretnego pokoju i zabrał kilka mniejszych obrazów. Za jednym z nich dostrzegł niewielkie wgłębienie i oprawiony w skórę notatnik. Pod wpływem impulsu schował go do kieszeni. W palenisku ułożył mniejsze obrazy w zgrabną piramidę, tak by płomienie szybko zajęły konstrukcję, potem sięgnął po pudełko na hubkę. Po minucie ogień wesoło buzował, wkrótce objął ułożone na dole pisma. Ojciec byłby przerażony – pomyślał Richard. To szczyt zła. Książki stanowiły świętość. Papier zaczął się marszczyć. Czuł, że puls mu przyśpiesza. Sięgnął po kolejne tomy i wcisnął je tak, żeby ogień przeniósł się na obrazy. Obserwował pokrywane się pęcherzami, pękające nagie nimfy. Psy grzały się zadowolone.

Na biurku znalazł czystą kartkę, na której napisał: „Jeśli będziecie mnie szukać, następna

będzie Mallow Street, potem rezydencja Granta i Haywarda. Ogień rozprzestrzenia się szybko”. Osuszył atrament i sięgnął do kieszeni. Już miał wrzucić notatnik w płomień, kiedy zauważył, że zapchał palenisko. Ogień nie będzie się palić, jeśli zabraknie powietrza. Szkolny błąd.

Wsadził notatnik do kieszeni i podźwignął Hendersona. Ignorując bolące siniaki, powłókł kapitana do drzwi. Wyjrzał – korytarz był pusty. Co chwila zerkając za siebie, na schody dla służby, ledwo łapiąc równowagę, zatargał Hendersona do frontowych drzwi i na zalane słońcem schody, po czym ostrożnie sprowadził go na ulicę. Na szczęście na Garrick Street co dzień widziało się tyłu pijanych dżentelmenów, że kondycja kapitana nie wzbudziła większych emocji.

– Trzymasz dobrze tatuśka? – krzyknął tylko jeden z trzech mężczyzn śpiewających coś przed tawerną, wzbudzając wesołość zawianych kompanów.

Z rezydencji nie dochodziły żadne niepokojące odgłosy, na ulicy nie było śladu pretensjonalnego powozu Fishera. Richard ruszył w drogę, a gdy tylko nadarzyła się okazja, zatrzymał *hackney*.

– Nad rzekę, proszę – powiedział. – Muszę złapać łódź do Greenwich.

Woźnica zszedł, żeby pomóc mu wsadzić Hendersona do kabiny.

– Nieźle się narąbał. Co świętuje?

Richard wzruszył ramionami.

– Lubi pić. – Starał się, by zabrzmiało to lekceważąco.

Kapitan wciąż nie odzyskiwał przytomności. Richard miał nadzieję, że wkrótce się obudzi. Zerknął przez ramię. Nie widział, żeby ktoś wrócił. Obawiał się, że ogień może się rozprzestrzenić, a zostawił psy w bibliotece. Spuścił wzrok i zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Oparł się oabinę. Chciał im wysłać ostrzeżenie, miał do tego prawo. Poza tym było już za późno, żeby się wycofać. Nagle poczuł, że marzną mu ramiona i palce. Czy przyjdą ich szukać? Usiłował o tym nie myśleć, ale zdawał sobie sprawę, że zapewne zaostrzył konflikt. Przypomniawsobiesłowa ojca: „Fry zawsze rozważa wszystko dogłębnie”. Cóż, uratował życie Hendersona. To była dobra wiadomość.

Po raz ostatni spojrzął na rezydencję Fishera i wdrapał się do obskurnej kabiny. Czas wracać na „Bittersweet”.

---

[93] Margaret Cavendish (1623–1673) – urodzona w rodzinie arystokratycznej brytyjska pisarka i filozof.

[94] Mad Madge – dosłownie: szalona Gośka.

[95] Elżbieta I Tudor (1533–1603) – królowa Anglii i Irlandii, córka Henryka VIII i Anny Boleyn.

[96] William Smyth (1788–1865) – brytyjski admirał, hydrograf, astronom i numizmatyk.

[97] George Gulliver (1804–1882) – brytyjski anatom i fizjolog.



## NA POKŁADZIE „BITTERSWEET”

**H**endersona męczyły dziwaczne sny. Kiedy się obudził, uświadomił sobie, że znajduje się w swojej kabynie. Było ciemno. Strasznie chciało mu się pić. Wygrzebał się z łóżka, niepewny, co jest prawdą, a co imaginacją. W zimnym świetle księżyca nalał wino z karafki na stole. Opróżnił kieliszek jednym haustem, nawet nie poczuwszy smaku. Chwilę potem opadł na kolana i zwymiotował do nocnika. Gdy w końcu udało mu się stanąć na nogi, postanowił sprawdzić klejnoty, złoto i pieniądze, które ukrył pod podłogą. Podważył odpowiednią deskę i zajrzał do skrytki. Wszystko było na swoim miejscu. Pośpiesznie zabezpieczył schowek. Próbował się uspokoić. Położył rękę na żołądku i oparł się o ścianę. Zastanowił się. Zjadł z Richardem śniadanie, potem odwiedzili kilka domów w centrum, później był mały piesek. Tak, terier Fishera. Nie, żony Fishera. Dostarczył, co trzeba, a potem... W jednej chwili dokładnie przypomniał sobie, co się stało.

Strwożony wyskoczył z kabiny na pokład. Dwóch marynarzy na wachcie zerwało się na nogi. W bladej poświacie księżyca ich twarze zdawały się kredowobiałe i przerażone. W Greenwich panował spokój, było niemal absolutnie cicho. Spanikowany kapitan wydawał się nie na miejscu. Gdzieś w oddali zaskrzeczała mewa.

– *Sir.*

– Jak się tu dostałem?

– *Sir?*

– Kto przyprowadził mnie na statek?

– Pan Fry, *sir.*

– Gdzie teraz jest?

– W łóżku.

– Ktoś nas śledził?

– Nie, *sir.*

– Są jakieś wieści o pani Graham?

Marynarze przyglądali mu się w osłupieniu.

Na głównej ulicy kościelne dzwony wybiły piątą. Myśli w głowie Hendersona galopowały.



Nabrzeże było opustoszałe. Trap podniesiono. Wszystko wydawało się normalne, a mimo to czuł przejmujący lęk. Zrzucał życie najwspanialszej z kobiet. Te bestie nie cofną się przed niczym. Cały czas miała rację, a teraz nie było odwrotu.

Poranne powietrze było świeże, wkrótce wszędzie słońce. Słyszał wodę obijającą się o burty statku, leniwe chlupotanie. Blżej centrum, w górę rzeki, dostrzegł pierwsze oznaki życia – lampion na łódce, powóz wracający do rezydencji, płomień świecy w oknie piekarni. Londyn dopiero się budził, ale gdzieś tam, czy to w East Endzie, czy West Endzie, Old Street Bridge Club omawiał jego zniknięcie.

– Ile spałem?

– Wrócił pan po południu, *sir*.

– Bądźcie czujni. Szuka mnie paru mężczyzn. Może się zdarzyć, że trzeba będzie przykrócić im cugli.

Henderson machnął ręką i udał się do kabiny Richarda. Wszedł do kajuty bez pukania. Chłopak usiadł zaspany, ze zmierzwionymi włosami.

– Kapitanie! – zawołał. – Widzę, że już się pan lepiej czuje.

Henderson złapał chłopaka za rękaw koszuli nocnej.

– Oni wiedzą o Marii – rzucił zdesperowany. – Wiedzą... – Załamał mu się głos. – Jeśli nie oddam im wszystkiego i nie będę dla nich pracować, zniszczą ją. Muszę ich udobruchać.

Richard usiłował to przetrwać.

– Gadali z załogą. – Ton Hendersona był rozpaczliwy.

– A zatem to tylko plotki. Bajeczki kucharek. Nic więcej.

Henderson chwycił chłopaka za ramiona i potrząsnął nim.

– Jej książka ma wyjść niedługo drukiem, Richardzie. Jej książka o Brazylii. A oni nazwą ją dziwką, upadłą kobietą. Co znaczą dowody? Jej przyjaciele mogą w to nie uwierzyć, ale reszta Londynu... Jedna plotka wystarczy.

Richard pokiwał głową ze zrozumieniem i nagle dotarło do niego, co zrobił.

– O mój Boże! Spaliłem książki tego gościa i kilka obrazów. Gdy pana wyprowadzałem, pomyślałem, że dobrze będzie zostawić im jakąś wiadomość. No to napisałem krótki liścik i żeby wzięli go na serio, podpaliłem parę rzeczy w kominku.

– Głupcze! – Henderson zawrzał ze złości i pchnął Richarda, aż ten opadł na łóżko.

– Ratowałem panu życie! Nie miałem pojęcia, że dowiedzieli się o romansie! – obruszył się Richard, ale po chwili dodał zawstydzony: – Przepraszam...

Dniało. Przez zasłaniającą bulaj okiennicę do kabiny przesączały się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Henderson już miał wybuchnąć, kiedy usłyszał stłumione pukanie do

drzwi. Przyszedł jeden z marynarzy pełniących wachtę. Trzymał w ręku złożoną kartkę.

– Wiadomość przyszła o świcie, *sir*, sekundę temu. Dostarczył ją goniec – zameldował, omijając wzrokiem kapitana i jego gościa.

Henderson odprawił mężczyznę i odpieczętował list. Pismo było jasne i klarowne: „Ludzie na drewnianych statkach nie powinni bawić się ogniem”.

– Ci dranie zabiją wszystkich na pokładzie – zdenerwował się Richard.

Henderson usiadł na skraju łóżka. Odwrócił kartkę i zamyślił się. Uświadomił sobie, że ma punkt zaczepienia. Aluzję, dzięki której może rozpocząć negocjacje.

– To oprychy. Uderzą w ten czy inny sposób – powiedział wolno, rozważając na głos sytuację. – Ale jeśli dobrze rozumiem, to nie jest zapowiedź wojny, lecz zaproszenie do rozmów. Gdyby chcieli podpalić „Bittersweet”, już by to zrobili. Nie. Oni czekają na moją reakcję. Podniosłeś stawkę Richardzie. Nie sądzę, bym mógł ich teraz po prostu spłacić, ale...

Henderson otworzył bulaj i zasłaniające go okiennice i sprawdził, czy goniec czeka na odpowiedź. Nabrzeże było puste. Tylko kot spał zwinięty w kłębek na niskim murku. Na jednym czy dwóch stojących w porcie statkach już krzatali się marynarze – widać nie potrafili odzwyczaić się od wstawania wraz ze wschodem słońca.

– Jeśli chcemy ją uratować, musimy ich zabić. – Richard usiłował rozwiązać problem.

– Nie. – Henderson spojrzał na chłopaka. – Tego typu zemsta to szaleństwo. Sprowadzi się do tego, ile osób skończy na tamtym świecie. Ty. Ja. Clarkson. Piętnastka na pokładzie. Fisher. Grant. Hayward. Służba w każdej z rezydencji. Może nawet Maria. Bóg raczy wiedzieć. To prosta droga na stryczek. Poza tym trudno powiedzieć, kto by wyszedł z tej rozgrywki zwycięsko. Nie znamy w pełni ich możliwości. Dużo ma tu do rzeczy szczęście. To zbyt niebezpieczne i nie do opanowania. Nie. Trzeba do tego podejść w inny sposób. Muszę stawić czoła spoczywającej na mnie odpowiedzialności.

Młody Fry rzucił się po spodnie, gotów do akcji, ale Henderson podniósł rękę.

– Nie, synu. Czas, żebyś wrócił do Bristolu. Nie pozwolę, byś się dłużej dla mnie narażał. Nie możesz mi w tym pomóc, chłopcze. Nie teraz. Wystarczająco dużo już zrobiłeś.

Richard wyglądał na zbulwersowanego.

– Nie jestem tchórzem!

– Nie każę ci uciekać. Każę ci zejść z linii ognia. Jak żołnierzowi. Wykonałeś kawał dobrej roboty. Ocaliłeś mi życie.

Richard obrzucił go ponurym spojrzeniem. Zaskoczyło go, jak ciepło myślał o domu, jak często pragnął się podzielić swoimi pomysłami z braćmi albo posłuchać, przynajmniej przez chwilę, jednej z tych nieracjonalnych tyrad matki. Mimo to nie chciał wracać.

– Nie jestem dzieckiem.

– Nie, już nie. – Henderson uśmiechnął się do niego. – I wrócisz do domu, wiedząc, że nie masz się czego wstydzić. Taki jest mój rozkaz jako kapitana tego statku.

Richard przygryzł wargę.

– Ale załoga jest w niebezpieczeństwie, *sir*. Muszę pomóc.

Henderson pokręcił głową.

– Dość. I koniec z głupimi wyskokami, Richardzie. Co dobrego miał przynieść pożar w bibliotece? Musisz koncentrować się na zasadniczych kwestiach. Jesteś już mężczyzną.

– Ale jeśli wrócę do domu, nie będę mężczyzną. Będzie mnie pan miał za fircyka.

– Wiem, że nim nie jesteś. Byłem świadkiem tego, jak prawie zabiłeś człowieka. Ale jeśli mam zwyciężyć w tej partii, muszę grać sam. – Henderson wstał. – Na już. Zbierz swoje rzeczy i pożegnaj się z panem Clarksonem. Śmiem twierdzić, że będzie za tobą tęsknił.

Richard zmrużył oczy i westchnął.

– W takim razie pójdę poszukać pana Clarksona.

Drzwi się zamknęły.

Przynajmniej uratuje chłopaka. Usiadł na skraju łóżka. Zupełnie upadł na duchu. Nie mógł sobie wyobrazić, co go czeka. Miał ludzi i broń. To jakiś początek. Nigdy nie cofał się przed walką. Wyciągnął z kieszeni swoją londyńską kosę – sprężynowca, którego wszędzie ze sobą nosił. Otworzył go i zamknął. Jego wzrok padł na biurko. Leżał na nim niewielki kajet oprawiony w skórę. Nie widział go tu wcześniej. Zaciekawiony zerknął na pierwszą stronę. Kolumny liczb tworzyły nieco poszarpaną linię – kolejne, dzielone na trzy, kwoty opatrzone nazwami miast. Calais, Natal, Bombaj, Kanton, Konstantynopol. Henderson przewrócił kilka stron. Wenecja, Kopenhaga, Sankt Petersburg, Murmańsk. Same porty handlowe. Poczuli mrowienie w palcach. Młody mógł zdobyć ten notatnik tylko w jednym miejscu. Roześmiał się.

– Ten chłopak to prawdziwa zaraza. Przysięgam.

Trzymał list od trójki dżentelmenów w jednej ręce, a w drugiej ważył niepozorną księgę rachunkową.

– To zaproszenie – powiedział do siebie. – Uratuje reputację Marii i moje życie.

Odzyskawszy nadzieję, Henderson zerwał się na nogi i wybiegł na korytarz, gdzie zderzył się z Fryem wracającym do kabiny z płóciennym workiem żeglarskim, który musiał dostać od Clarksona.

– Dostarczyłeś mi amunicję, chłopcze! – rzucił do niego z uśmiechem i serdecznie objął go ramieniem, po czym, nie czekając na odpowiedź, zamknął się w swojej kabynie.

– Co? Ale o co chodzi? – zapytał osłupiały Richard.

Nawet później, kiedy chłopak porządnie się przyodział, spakował i krążył po pokładzie,

zastanawiając się, czy po raz ostatni nie poćwiczyć rzucania nożem do celu, Henderson nie wyszedł z kajuty. Richard stanął przy drzwiach, nasłuchując, ale dochodziło do niego jedynie skrzypienie pióra, gdy kapitan przeciągał stalówką po papierze, naprzemiennie z krokami i mamrotaniem. W końcu o drugiej po południu Henderson opuścił „Bittersweet”. Otaczała go aura człowieka, który nie ma nic do stracenia.

– Mam sprawy do załatwienia. Kiedy wrócę, synu, bez urazy, ale nie chcę cię tu widzieć.



Ponieważ biblioteka nie nadawała się do użytku ze względu na wciąż zalegający w niej smród palącej się farby olejnej i skóry, członkowie Klubu zebrali się w pokoju dziennym. Fisher był w tak podłym nastroju, że jego żona postanowiła odwiedzić siostrę w Oxfordzie. Przy okazji zabrała ze sobą cholerne psy. Kiedy służba ją pakowała, Fisher wysłał liścik z zaproszeniem do agenta artystów, pana Notmana, który znany był ze swej dyskrecji dotyczącej bardziej specyficznych kolekcji należących do dżentelmenów.

– Zgromadzenie tego zbioru zajęło mi lata – narzekał. – A książki były warte fortunę. Wymienię je oczywiście, ale to spory wydatek.

– Przecież nie czytasz – zauważył Grant.

– Ale mógłbym zechcieć – odwarknął Fisher.

Miał nadzieję, że oprawiony w skórę notatnik trafił do kominka wraz z obrazami. Ogień był tak diabelsko skuteczny, że nie potrafił stwierdzić, które książki zostały spalone. A nie mógł wyjawiać swoich obaw Grantowi i Haywardowi. W końcu ustalili, że ich działalność nie powinna zostawić po sobie żadnych śladów. Fisher usiłował o tym nie myśleć i skupić się na poniesionych szkodach.

– Mogliśmy stracić przez to życie! – wybuchnął. – Podpalanie materiałów łatwopalnych w pustym pokoju to szaleństwo. Dywan jest cały osmalony – dodał z rozdrażnieniem.

– Teraz go dopadniemy. Nie martw się – pocieszał go Grant. – Zatrudnimy fachowców.

Lord Hayward stał w milczeniu przy wysokim oknie, obserwując postęp prac budowlanych przy Garrick Street. Tutejsze gmachy przypomniały mu monochromatyczne ryciny z *Londina Illustrata*<sup>[98]</sup> Roberta Wilkinsona. Nie chciał działać pochopnie. Fisher nie nadawał się w zasadzie do niczego poza duszeniem nic niepodajejrzejających ofiar. Nie powinien był powierzać mu sprawy Hendersona. Sytuacja wyraźnie wymagała subtelного podejścia. Słońce stało wysoko. Pomyślał, że może dziś da radę zjeść lunch. Zastanawiał się, czy Fisher każe służbie coś im podać. Pożar sprawił, że rezydencja pogrążyła się w chaosie. Lokaj nawet nie poprosił go o kapelusz, a kiedy włożył mu go w ręce, zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, czego ten od niego oczekuje. Z drugiej strony poza wczorajszym dniem Hayward nigdy

wcześniej nie odwiedzał Fishera, a wtedy nie miał żadnej styczności ze służbą. Być może mężczyzna został po prostu marnie wyszkolony. Dom był faktycznie wspaniały, ale czegoś mu brakowało. Nie umiał tego określić. Zauważył, że do drzwi podszedł goniec. Jego wiadomość została przyjęta.

– Oho, mamy odpowiedź.

Mężczyźni skupili się wokół kominka. Notka, którą Fisher odebrał od kamerdynera, została zabezpieczona zielonym lakiem, charakter pisma był zgrabny i czytelny. Gdy lokaj zamknął za sobą drzwi, Fisher złamał pieczęć i szybko przeczytał list.

– No i? – niecierpliwił się Grant.

– Drań – odparł Fisher, podając mu kartkę.

*Panowie, chcę Was zapewnić, że wczorajszy pożar nie został rozpętany przeze mnie. Kiedy moi ludzie przybyli mi na ratunek, byli, co dość zrozumiałe, dość zdenerwowani. O ich działaniu dowiedziałem się dopiero po przebudzeniu się z długiego snu wywołanego brandy. Chciałbym Was serdecznie przeprosić za ich czyn, ale jeśli będziecie w dalszym ciągu nastawać na moje życie, to sądzę, że takie wybryki mogą się powtórzyć. Pragnąłbym również wystosować zaproszenie do Lorda Haywarda – para z prawem zasiadania w Izbie Lordów, któremu, jak sądzę, mogę zaufać. Sir, jeśli pragnie Pan zakończyć tę sprawę w sposób satysfakcjonujący dla nas wszystkich, proszę spotkać się ze mną jutro o godzinie 11 w biurze mojego znajomego, pana Johna Murraya, przy Albemarle Street 50, Piccadilly. Wybrałem ten adres na wypadek, gdyby jednak zdecydowali się Panowie spróbować mnie zabić. Z pewnością zostaliby Panowie wtedy oskarżeni i vice versa. To adres dżentelmena. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy zachowywać się tam, jak na dżentelmenów przystało. Pan Murray nie jest świadom sytuacji, ale to uprzejmy i uczynny jegomość. Zaryzykujecie? Przyznaję, że macie mnie w garści, ale przekonacie się, że i ja nie jestem bezbronny. Jeśli zrealizujecie groźbę wystosowaną przeciwko mojemu statkowi, obiecuję Wam krwawą pobudkę. A jeśli zrealizujecie groźbę wystosowaną przeciwko wiadomej damie, nie będę znał litości. Negocjacje leżą w Waszym interesie. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia, i poświęcę dzisiejszy dzień na zapewnienie odpowiednich środków ku temu.*

Grant wrzucił list do kominka i patrzył, jak się marszczy i pali. Jego oczy błyszczały.

– Interesujące. „Odpowiednie środki”. Sądzicie, że chce nam dać więcej pieniędzy? Do tego się odnosi? Jeśli tak, powinniśmy najpierw położyć łapę na kasie, zanim zrobimy co innego. W końcu jest nam winien...

– Do diabła z tym! Jeśli zadziałamy dziś, możemy spalić całą tę łajbę z nim w środku –

wysyczał Fisher.

Hayward usiadł w bogato tapicerowanym fotelu. Westchnął i spojrzał na szachownicę po drugiej stronie pokoju, na której rozgrywano partię. Nawet stąd widział, jaki wykonać ruch. Fisher musiał grać z żoną – tylko kobieta mogłaby zastosować tak słabą obronę. Mógłby dać mata w dwóch ruchach na dwa sposoby. Wstał i wykonał ruch czarnymi. Rozczarowujące, że jego partnerom biznesowym brakowało wizji.

– Ciekawy człowiek, nieprawdaż? Cóż, Fisher, sądzę, że po raz pierwszy w życiu masz rację. Zobaczmy, co gość ma w zanadrzu. Potem, jeśli będziemy mieć ochotę, możemy zająć się reputacją damy. Sądzę, że powinienem się z nim spotkać, zanim podejmiemy decyzję. Jutro odwiedzę tego Murraya. A jeśli po wszystkim wciąż będziemy chcieli się pozbyć Hendersona, to co nas przed tym powstrzyma?

– Chcesz... u Murraya? – Fisher zapytał zszokowany.

– Oczywiście, że nie. Ale możemy wciągnąć go do powozu i zawieźć na Mallow Street. Sądzi, że adres w Piccadilly go ochroni? Co za zuchwałość! Tak czy owak chciałbym usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Pójdę z tobą – zaoferował Grant.

Hayward pokiwał głową.

– Jeśli chcesz. Możesz poczekać w powozie. Ale na razie grajmy na jego zasadach. Jestem zaintrygowany.

Fisher chciwie polizał usta.

– A jeśli jest więcej pieniędzy...

– Jeśli jest więcej pieniędzy – przerwał mu Hayward – to je zdobędziemy, mój drogi.

Fisher podszedł do szachownicy i skoczył białym gońcem naprzód.

– Dobrze – powiedział zrezygnowany – Też mam przyjąć?

– Sądzę, staruszkule, że masz tu wystarczająco dużo na głowie. Zostaw to mnie i Grantowi. Powiadomimy cię, gdy tylko się czegoś dowiemy.

Prawda była taka, że lord Hayward chciał trzymać Fishera z dala. Teraz do sprawy należało podejść kompetentnie i choć zabójczy w czterech ścianach Old Street Bridge Club, Fisher nie umiał porwać człowieka z ulicy albo – w rzeczy samej – zaszantażować kogoś na tyle efektywnie, by osiągnąć oczekiwany rezultat. Henderson uciekł z jego domu po tym, jak został odurzony. Jakim trzeba być głupcem, żeby przegrać, mając taką przewagę?

– A jeśli zabierzecie go na Mallow Street? – zapytał Fisher.

– Zaczekamy na ciebie, oczywiście – obiecał Hayward, sięgając po królową. – Szach-mat.

Grant roześmiał się. Śmiech zabrzmiał tak okrutnie, że poniżony Fisher poprawił fular.

– Dobrze, dobrze – powiedział, uratowany przez lokaja, który zapowiedział pana Notmana. To dało mu idealny pretekst, by skierować Granta i Haywarda do drzwi. – Tak, mam sporo do dopilnowania – dodał nonszalancko. – Sporo do zrobienia. Ale wykończymy go, prawda?

Hayward przewrócił białego króla.

– Och, bez wątpienia. Jestem tylko zaintrygowany, to wszystko. Poza tym tak jest łatwiej. Nie chciałbym zgubić naszego celu, a teraz wiemy dokładnie, gdzie będzie.

---

[98] *Londina Illustrata* – czterotomowy album przedstawiający rozmaite obiekty architektoniczne Londynu i jego przedmieść, którego pomysłodawcą i wydawcą był Robert Wilkinson.

## ST JAMES'S

John Murray jeździł konno rano. Lubił galopować w parku. Dzięki temu przez kilka godzin pracy miał dobry humor, a potem mógł spokojnie prowadzić swój salon. Skinął głową innym jeźdźcom na Rotten Row<sup>[99]</sup> – Hyde Park jak zwykle stanowił centrum życia towarzyskiego. Pogoda była dziś wyjątkowo ładna. Nie ma lepszej pory roku niż angielskie lato. Drzewa rzucały długie i skomplikowane cienie, niebo miało przyjemny odcień błękitu. Zapach trawy, którą kosila niewielka armia ogrodników, wypełniał jego nozdrza. Wokół niego unosiły się pobrzękiwanie ozdobnych mosiężnych medalionów, stukot kopyt i zawzięcie dyskutujące podniesione głosy. Ta część śmietanki towarzyskiej Londynu, która nie była przyodziana w wykwinne stroje do jazdy, siedziała w otwartych dorożkach, elegancko tapicerowanych błyszczącą skórą. Siostry Sidmouth ścigały się na swoich wierzchowcach. Dżentelmeni spędzający czas z damami swojego serca zwalniali tempa, by móc cieszyć się rozmową. Niektóre panie wolały spacerować z rozłożonymi parasolkami, ale zabawa koncentrowała się głównie wokół ścieżek konnych. Za tydzień czy dwa Londyn opustoszeje, słoneczna aura zachęci towarzystwo do przeniesienia się na wieś. Tamiza, jak co roku, już zaczęła śmierdzieć. A w Londynie nigdy nie jest się za daleko od rzeki. Pozostawanie w stolicy było nie tylko nieprzyjemne, lecz także niebezpieczne. Murrayowie mieli przez miesiąc gościć u krewnych w Szkocji. Pani Murray nie mogła się doczekać.

Po zażyciu powietrza pierwszy wydawca Londynu wrócił truchtem na Albemarle Street. Przekupki już się rozstawiły i kilka podkuchennych zostało wysłanych po sezonowe delikatesy z londyńskich ogrodów warzywnych. Murray miał nadzieję, że kucharka pamiętała, by kupić brzoskwinie i maliny, które szczególnie sobie upodobał – jasnoczerwone plamki w morzu śmietany. Oddał konia stajennemu i rażnym krokiem wmaszerował do cienistego korytarza.

– Kapitan Henderson czeka w salonie – powiadomił go lokaj.

Murray usiłował sobie przypomnieć nazwisko. Ach tak, facet, który szukał Marii. Wczesny gość. Czegoż może chcieć? Murray oddał kamerdynerowi kapelusz i rękawiczki i pośpieszył na piętro. Przejazdźka napęłniła go energią.

Henderson stał przy oknach, zerkając na ulicę. Gdy Murray wszedł do pokoju, wyciągnął do



niego na powitanie rękę.

– Ma pan ochotę na coś do picia, kapitanie?

Henderson podziękował za poczęstunek i przeszedł do rzeczy.

– Mam pomysł na pewien projekt, *sir*. Zastanawiałem się, czy zechciałby pan mnie wysłuchać? – Mówił głosem poważnym, ale przyjaznym, tak jak to ćwiczył z Richardem.

Wszystko prowadziło do tego ranka. Jeśli źle to rozegra, już przed lunchem może wachać kwiatki od spodu, a przy okazji zrujnować życie Marii. Miał nadzieję, że Murray nigdy się o tym nie dowie. Ale to było jedyne szanowane miejsce w Londynie, które mógł mieć powód odwiedzić.

W niebieskich oczach wydawcy zalśniły iskierki. Zawsze lubił dostawać nowe propozycje. To stanowiło w dużej mierze o jego sukcesie. Nawet gdy przez kilka tygodni nie pojawiało się nic interesującego, zawsze starannie rozważał każdą ofertę. Wiele spośród najbardziej popularnych publikacji znalazło się w portfolio Murraya w wyniku przypadkowego spotkania z autorem lub zapoznania się z niezamówionym materiałem. Książki panny Austen, które nie zyskały uznania krytyków, ale sprzedawały się niczym świeże bułeczki, a także wiele naukowych traktatów wywołujących międzynarodowe debaty ukazały się drukiem, bo umiał dostrzec w nich potencjał.

– Oczywiście – odparł Murray z uśmiechem. – Co ma pan na myśli?

– Jak pan wie, mieszkam w Brazylii i specjalizuję się w handlu ziarnami kakaowca. To fascynująca roślina, egzotyczna, bardzo delikatna, niełatwa w uprawie. Przez stulecia w Anglii stanowiła towar luksusowy. Wychowywałem się częściowo na plantacji, ziarnami oraz czekoladą handluję od piętnastu lat. Chciałbym o tym napisać. Musiałbym znaleźć kogoś do wykonania ilustracji – owoce kakaowca są wyjątkowo piękne i przydają plantacjom dzikiego uroku. Jeśli chodzi o przepisy, to znam ciekawe receptury rdzennych mieszkańców Brazylii, zawierające chili i gałkę muszkatołową, które są wykorzystywane do celów rytualnych, takich jak medytacja, a także w medycynie. Czekolada cieszy się w Europie opinią napoju wykwintnego i zniewalającego. Od ziarna do filiżanki. Czy takie przedsięwzięcie może być dla pana interesujące?

Murray zajął miejsce przy kominku i obrzucił Hendersona badawczym spojrzeniem. Kapitan był dobrze ubrany, a pewne nieobycie, związane niewątpliwie z życiem na morzu, pasowało do niego. Przynajmniej tym razem nie mówił o Marii. Wydawca próbował przypomnieć sobie popularne książki, które już omawiały ten temat. Sloane<sup>[100]</sup> pisał sporo o kakao, ale od tego czasu minęło niemal sto lat. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Muszę się zorientować, jak pan pisze, kapitanie, zanim się do czegoś zobowiązę, ale tak, czytelnicy chwalą sobie rozprawy o charakterze botanicznym. Nie można też zapominać

o entuzjastach czekolady, należy do nich sama pani Murray. Tego typu książka mogłaby mieć powodzenie. W jaki sposób chciałby pan podejść do tematu?

– Ziarna kakaowca w zależności od gatunku różnią się smakiem i właściwościami. *Criollo* jest na przykład charakterystyczne dla Brazylii i Ameryki Południowej. Trynidad ma własne odmiany, a każda wymaga nieco innej uprawy. Chciałbym o tym napisać. O plantacjach, metodach kultury i przetwarzaniu ziaren, a także ich zastosowaniu w kuchni i gdzie indziej.

Murray pokiwał głową. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało. Obok zagadnień botanicznych znajdowałyby się informacje na temat egzotycznych miejsc, a Londyn uwielbiał czytać o obcych stronach. Dobre książki podróżnicze świetnie się sprzedawały, w dodatku teraz wszyscy interesowali się leczniczymi właściwościami produktów spożywczych.

– Jeśli mógłby pan przedstawić to w formie osobistej podróży, wędrówki po plantacjach i obok informacji natury botanicznej opisać ludzi, którzy tam pracują, obyczaje, przesady oraz receptury, to tak, z przyjemnością zapoznam się z pańskim rękopisem i podejmę decyzję co do możliwości publikacji.

Twarz Hendersona rozjaśnił szeroki uśmiech, jaki spotyka się u chłopców, którym udało się zdobyć punkt w grze w piłkę. Nie przestając się uśmiechać, zerknął w okno.

– Dziękuję – powiedział. – Miałem nadzieję, że mój przyjaciel, pan Fry z Bristolu, mógłby napisać przedmowę.

Murray oczywiście słyszał o Fryach, ale był zdania, że słowo wstępne powinien napisać botanik, a nie handlowiec – ktoś wyjątkowy, wybitny. Taka decyzja często rozstrzyga o powodzeniu książki. Teraz jednak nie było sensu się tym zajmować.

– Zobaczmy – odparł wymijająco. – Być może sam znajdę kogoś, kto odpowiednio wprowadzi czytelników w temat. – Przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie przy biurku stał globus. Znalazł Amerykę Południową. Henderson dołączył do niego i wskazał Brazylię oraz Trynidad.

– Kakaowiec rośnie tylko w strefie międzyzwrotnikowej – dodał. – Szerokość geograficzna dokładnie określa granice występowania tych drzew. Powyżej albo poniżej tropików się ich nie spotyka. Teren uprawy musi być idealny albo całe przedsięwzięcie okaże się kląpą.

Murray przyjrzał się opisanemu przez Hendersona obszarowi.

– A długość geograficzna nie ma znaczenia?

– Cóż, dalej jest już ocean.

Henderson obrócił globus. Równoleżniki, które wskazał, biegły przez Atlantyk i dalej – do zachodniego wybrzeża Afryki. Coś w nim drgnęło. Nagle uświadomił sobie, że może kakaowce można by uprawiać także tam, po drugiej stronie oceanu, w zupełnie innym miejscu, ale we właściwej szerokości geograficznej. W jego umyśle zapaliło się światełko. To z pewnością

opatrzność. Zupełnie jakby te regiony były ze sobą w jakiś sposób powiązane – niczym rozdzieleni dalecy kuzyni. Całkiem możliwe. Był w stanie to sobie wyobrazić.

Murray, nieświadom niczego, wrócił na swoje miejsce. Henderson oderwał wzrok od Wybrzeża Kości Słoniowej i skupił się na bieżących sprawach. Kątem oka zauważył ruch przy drzwiach frontowych, zniekształcony przez nierówne szkło. Nadszedł czas na realizację drugiej, bardziej ryzykownej części planu. Dzwony kościoła przy Warwick Street wybiły jedenastą, przytłumione dźwięki odbijały się od dachówek.

– Miał pan przyjemny ranek? – zagadnął Henderson, żeby wypełnić jakoś czas.

– Jeździłem konno – przyznał Murray, wciąż lekko zarumieniony.

Czekał. Zegar na kominku tykał. Gdy do pokoju wszedł lokaj, serce kapitana waliło już jak młotem.

– *Sir* – oznajmił kamerdyner. – Przybył lord Hayward.

Murray wstał.

– Hayward... Hayward... – Nazwisko nic mu nie mówiło.

– To ja zaprosiłem tutaj jego lordowską mość – powiedział Henderson. – Chciałem go panu przedstawić, panie Murray.

Murray kiwnął głową, jak zwykle ugodowy.

– Wprowadź go na górę – polecił lokajowi. – Każdy pana znajomy jest tu mile widziany, kapitanie.

Na razie wszystko szło po myśli Hendersona, ale przygotował się też na najgorsze.

Kiedy Hayward wszedł do salonu, nie był nastawiony przyjaźnie. Obrzucił obu mężczyzn beznamiętnym spojrzeniem, ukłonił się lekko gospodarzowi i rzucił niecierpliwie:

– A zatem, *sir*, jestem, do cholery!

Henderson roześmiał się, jakby Hayward był niegrzecznym dzieckiem albo bredził po paru głębszych.

– To ja pana tutaj wezwałem, lordzie Hayward. Proszę mi wybaczyć.

Hayward rzucił mu wrogie spojrzenie. Przyszedł tak, jak mu kazano, ale nie zamierzał robić przedstawienia dla Murraya. W istocie wydawało się, że ma ochotę udusić kapitana gołymi rękami. Mimo to Henderson zachował spokój i dobry humor.

– Obawiam się, że podczas ostatniego spotkania z panem Murrayem wykazałem się brakiem towarzyskiej ogłady – przyznał. – Miałem nadzieję, że moja znajomość z panem rozproszy jego obawy. Chciałem pana przedstawić.

Murray podniósł dłoń, by rozwiać wątpliwości swojego gościa.

– W tym domu – powiedział – idee stanowią najwyższą wartość. Podoba mi się pomysł na

pańską książkę, kapitanie. Niemniej zawsze miło jest poznać nowych przyjaciół. Lordzie Hayward, czy mogę pana czymś poczęstować?

– Brandy – odparł Hayward, nie spuszczać wzroku z Hendersona.

Murray rozejrzał się. Karafek jeszcze nie wystawiono – wciąż było dość wcześnie. Zadzwoił po służbę i nieco sfrustrowany podszedł do drzwi.

– Zaraz każę przynieść – zapewnił, po czym się oddalił.

Oczy Haywarda zabłyszczały.

– Pański anioł stróż zniknął. – Uśmiechnął się złowieszczco. – A jeśli myśli pan, że nic tu panu nie grozi albo gdzie indziej, to jest pan w wielkim błędzie, kapitanie. Dopadniemy pana.

Henderson wiedział, że nie ma wiele czasu.

– Staram się doprowadzić do polubownego rozwiązania sprawy, tak by żaden z nas nie skończył z ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu, lordzie Hayward. Jeśli wy mnie dopadniecie, ja dopadnę was i przekonamy się, kto z nas trafi przed czasem na tamten świat. Wydaje się pan najrozsądniejszym z dżentelmenów z Mallow Street, więc pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię. Murray nie jest moim jedynym aniołem stróżem, *sir*. Zostawiłem listy na wypadek, gdyby coś stało się mnie, „Bittersweet” albo pani Graham. W razie potrzeby zostaną rozesłane. Poza tym, *sir*, powinien pan wiedzieć, że jestem w posiadaniu rejestru waszych transakcji. W tym momencie to już nie jest kwestia dobrego imienia, ale łamania prawa. Dokumenty, którymi dysponuję, zaprowadzą was na stryczek.

Hayward sięgnął do wewnętrznej kieszonki surduta.

– Listy? Ba – powiedział, zapalając krótkie i niezbyt grube cygaro. – Poza tym nie ma żadnych dokumentów, *sir*.

Henderson pokręcił głową.

– Śmiem się nie zgodzić. Znalazłem notatnik w rezydencji pana Fishera. Zapiski sięgają daleko wstecz. Nie wiedział pan o tym? Wiem, że tylko w ciągu ostatnich kilku tygodni przeszmyglowaliście dwanaście tuzinów jedwabiu z Murmańska i ładunek zielonej herbaty z Kantonu.

Hayward grał w szachy, a nie w karty, więc nie przywykł do blefowania i nie potrafił ukryć szoku. To faktycznie były ostatnie dwa transporty zrealizowane przez Klub. Cholerny Fisher – pomyślał z uciskiem w piersi. Głupiec prowadzi księgi rachunkowe. Oczywiście, że to robi. Ma obsesję na punkcie pieniędzy.

Henderson zignorował Haywarda i kontynuował.

– Do tej pory byłem w waszych oczach byle kapitanem. Wołem roboczym. Ale Murray chce podpisać ze mną umowę na napisanie książki. Zamierzam osiąść w Londynie. Jestem dżentelmenem, *sir*, tak jak pan. A jako dżentelmeni musimy dojść do porozumienia.

Hayward spojrział na niego tak, jakby Henderson był gównem, w które przypadkowo wdepnął. Złapał kapitana za kłapy surduta.

– Też mi dżentelmen – syknął. – Zabiję ciebie i cholernego Fishera.

– Nie obchodzi mnie, co zrobi pan Fisherowi. Ale jeśli zmusi mnie pan do walki, źle się do dla was skończy – warknął Henderson, patrząc Haywardowi prosto w oczy. – Jeśli cokolwiek stanie się mnie albo pani Graham, wasza działalność wyjdzie na jaw, a pan, *sir*, i pańscy towarzysze zawiśnięcie. Listy zawierają szczegółowe informacje i są poświadczane notarialnie. Zaadresowałem je do przewodniczących wszystkich klubów w Londynie i wydawców wszystkich gazet. Do sędziów pokoju i do biskupa. Do wszystkich kawiarni. Aha, i do pańskiej żony, i żony Fishera. Wasz sekret wywoła skandal. Nie uda się wam uciec. Ma pan na to moje słowo. Jest tak, jakbyśmy nawzajem przyłożyli sobie naładowane pistolety do skroni. Ale to najbezpieczniejsze rozwiązanie, jeśli ma się dobre nerwy. Jestem pewien, że dla pana to nie problem.

W momencie gdy Hayward uzmysłowił sobie, co tak naprawdę proponuje Henderson, drzwi otworzyły się i do salonu weszli Murray z lokajem. Hayward cofnął się i umknął wzrokiem. Żarty się skończyły.

– Brandy, prawda? – Murray uśmiechnął się, nalewając do kryształowych lampek słomkowy alkohol. Fasetki złapały światło, ostre punkciki przypominały miniaturowe słońca.

– Mówiłem właśnie – odezwał się Henderson – że lord Hayward zna mnie lepiej niż inni. Gdyby opublikował pan mój traktat, mógłby z łatwością podbudować moją reputację albo ją zniszczyć.

Murray podał Haywardowi kieliszek. Lord zbadał pod światło kolor trunku, następnie z zadumą upił łyk. Potem przeniósł swoją uwagę na Hendersona, czy też raczej na jego strój, zmierzył go zimnym wzrokiem od stóp do głów. Potem nachylił się konfidencjonalnie do Murraya.

– Wie pan, kapitan ma dość zapalczywy temperament.

– Niewątpliwie. – Murray uśmiechnął się szeroko. – Zauważyłem, z jaką pasją dyskutował na temat kakao. Cóż, książce wyjdzie to tylko na dobre.

Hayward dopił brandy.

– Pozwoli pan, że wyjdziemy razem? – zaproponował Henderson.

Murray wstał, wciąż nieświadom, że w jego domu wydarzyło się coś niestosownego.

– Interesy z panami to czysta przyjemność, *sirs*. – Skinął im głową zadowolony i skierował się w stronę biurka. – Z niecierpliwością będę czekać na manuskrypt, kapitanie – dodał. – Proszę mnie jeszcze odwiedzić.

Na dole Hayward i Henderson odebrali swoje kapelusze i rękawiczki.

– Powiniennem cię załatwić – warknął Hayward. – Mam ochotę posiekać cię, kawałek po kawałku, najpierw palec, potem nos, i niech nas wszystkich szlag.

– Dlatego zaaranżowałem to spotkanie tutaj. – Henderson nie miał złudzeń. – Sądzę, że z czasem pan ochłonie – rzucił lekko, jakby wcale nie przejął się makabrycznymi groźbami. Asystujący im kamerdyner również zachował kamienną twarz, nie zdradzając nawet odrobiny zaniepokojenia. Wydawało się, że w ogóle ich nie słyszał. Hayward zastanawiał się, skąd Murray wytrzasnął tak przykłądną służbę.

– A zatem napisał pan listy i je zdeponował?

– U wiarygodnego i dobrze płatnego notariusza. Gdyby mnie albo „Bittersweet” przydarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek, zostaną rozesłane i odpowiednie organy dowiedzą się o waszych machlojkach. Jak pan wie, *sir*, ludzie są wieszani za przemyt. A gdyby nawet udało wam się wymknąć ramieniu sprawiedliwości, będziecie skończeni w towarzystwie. Ale nie interesuje mnie prześladowanie waszej trójki. Jeśli o mnie chodzi, sfinalizowaliśmy umowę, zostaliście spłaceni. Powinniście przestać się mnie czepiać. Pani Graham nic dla mnie nie znaczy, jednak ją też powinniście zostawić w spokoju. To było nieładne zagranie z waszej strony, *sir*. Grozić damie.

Lokaj otworzył im drzwi. Ruszyli Albemarle Street w stronę Charing Cross. Po minucie Hayward przerwał milczenie.

– Umowa stoi – powiedział krótko i skinął głową. Doszedł do wniosku, że Henderson zaproponował sprytne rozwiązanie. Członkowie Old Street Bridge Club nigdy dotąd nie robili interesów z ludźmi takimi jak oni sami. Ani razu przez wszystkie te lata. Być może dlatego wyszło, jak wyszło. Hayward zastanawiał się, czy Henderson mógłby pokonać go w szachy. – Chcieliśmy, żeby pan dla nas pracował – dodał, jakby próbował usprawiedliwić ich działania. – Mogliśmy sporo razem zarobić.

Henderson wzruszył ramionami.

– Z całym szacunkiem, dziękuję. Nie ma w tym nic złego. Po prostu nie jestem dostępny.

– Wezmę z pana przykład, *sir*. Napiszę listy do pana Murray i lorda adwokata, wyłuszczając to, co wiemy o panu i pana podejrzanych interesach. Przemycie, a nawet, jak rozumiem, piractwie. Zdemaskuję moralny upadek pani Graham. Zdeponuję listy w bezpiecznym miejscu i jeśli nie dotrzyma pan słowa, zniszczę ją, a panu załatwię stryczek. Co pan na to?

– Popieram. To mi się podoba. Niech pan strzela. Wolę, gdy przeciwnicy są jednakowo uzbrojeni, pan nie? Wiedziałem, że się pan szybko połapie.

Hayward zmrużył oczy, ale zachował spokój.

Na rogu czekał na nich powóz z tarczą herbową. W środku, z rękami na ozdobnej rączce laski siedział Czarujący Charlie Grant, człowiek w cieniu. Jego oczy zaświeciły się na widok

kapitana. Nachylił się, gotów pomóc Haywardowi wciągnąć go do środka. W jednej chwili wyjął nóż i z furią wbił go w ramię kapitana. Głownia, ostra niczym brzytwa, bez trudu przecięła ubranie i skórę, z rany trysnęła krew. Henderson krzyknął – bardziej ze strachu niż z bólu. Jego serce waliło jak młotem. Hayward, nie patyczkując się, odepchnął Granta.

– Nie.

Grant parsknął ze złością.

– Powiem ci po drodze – wycedził Hayward. Fisher, obiecał sobie, dostanie za swoje. Idiota naraził ich wszystkich. Nikomu nie można ufać.

Henderson cofnął się i wyjął chusteczkę z kieszeni, by obwiązać ranę. Duży Al Thatcher zszyje ją później, a ból osłabnie.

– Proszę wybaczyć – powiedział Hayward, choć wyraźnie nie miał wyrzutów sumienia.

Henderson wyciągnął nieokaleczoną rękę, ale jego lordowska mość nie miał zamiaru jej uścisnąć.

– Nalegam. Sądzę, że bardziej zaboli to mnie niż pana.

Powoli Hayward złapał palce kapitana.

– Co się stało z Samem Pearsonem? – zagadnął Henderson.

– Dojdzie do siebie – skłamał Hayward.

– Jest lojalny.

Hayward wzruszył ramionami

– Mam nadzieję, kapitanie, że więcej się nie spotkamy, że dostanie pan zakażenia i szczytnie.

– Wsiadł do kabiny i trzasnął drzwiczkami.

Henderson stał na chodniku, obserwując oddalający się powóz.

Idąc w dół Charing Cross Road, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Hayward wciąż ma go na oku. Pomyślał, że trochę potrwa, nim pozbędzie się tego odczucia. Old Street Bridge Club nie jest czymś, co łatwo zapomnieć, ale – uśmiechnął się – postawił na swoim. Udało mu się. Od księgarni pana Thina dzielił go krótki spacer, ale miał ochotę się przejść. Był wolnym człowiekiem. Interesowało go, czy księgarz ma na stanie atlas – a konkretnie mapy zachodniej Afryki. Pomysł, który zaświtał mu w głowie w salonie pana Murraya zaczął nabierać coraz wyraźniejszych kształtów. Nieważne, w jaki sposób dżentelmeni zarabiają swoje pieniądze, z pewnością najbardziej liczy się to, że płacą swoje rachunki. Londyn witał nowe idee z otwartymi ramionami – tak twierdziła Maria. Kapitan zastanawiał się, jak serdecznie miasto przyjmie nowe pieniądze. Zerknął na zegarek. Miał nadzieję, że Maria otrzymała już paczuszkę, którą do niej wysłał. Chciał jej coś podarować bez względu na wynik spotkania z Haywardem. Wzruszył ramionami. Niedługo wróci na „Bittersweet”. Może odpowie na jego list.

Słońce stało wysoko. Henderson miał wrażenie, że po cienistej stronie ulicy spacerują drżące widma, a wśród nich duch jego matki. Uśmiechnął się. Przed nim długa droga, ale przynajmniej wkroczył na właściwą ścieżkę. Musi teraz opracować plany i oszacować zyski możliwe do osiągnięcia pod gorącym afrykańskim niebem – bliżej Londynu, jednak w znacznie gorszych warunkach niż w Brazylii. Zaczynał nowe życie. Odkrył nowy ląd, krainę możliwości. Anglię. Przechodząc koło stoiska z gazetami, rzucił okiem na „Timesa”. Nagłówek mówił o zwycięstwach admirała Cochrane’a w Brazylii. Wyglądało na to, że wojna dobiegła końca, a cesarski tron został zabezpieczony. Mogę jej już więcej nie zobaczyć – pomyślał kapitan. – Mogę więcej nie wrócić do Ameryki Południowej.

---

[99] Rotten Row – dosłownie: zgniła uliczka (przeinaczone francuskie sformułowanie *route du roi* – droga królewska); droga dla jeźdźców w Hyde Parku prowadząca ze wschodu na zachód.

[100] Hans Sloane (1660–1753) – brytyjski lekarz, kolekcjoner roślin, minerałów i osobliwości przyrodniczych, który przekazał swoje zbiory British Museum; właściwości czekolady odkrył na Jamajce – dzięki niemu czekolada zaczęła być sprzedawana w aptekach jako lekarstwo.



## MAYFAIR

Maria siedziała w salonie przy oknie i od godziny studiowała zamieszczone w jednym z dzienników sprawozdanie z wojny toczącej się w Ameryce Południowej. W jej mniemaniu artykuł podawał za mało szczegółów. Nie wspomniano nic na temat Rio, nawet mimochodem. Jak rozumiała, admirał Cochrane nie wrócił jeszcze do stolicy, co oznaczało, że wyruszył w inną misję. Ta niewiedza strasznie ją frustrowała. Była już niemal spakowana. Za dwa dni miała udać się do Portsmouth, by znów przeprowić się przez Atlantyck. Zastanawiała się, czy nie napisać do wydawcy gazety i poprosić o umożliwienie zapoznania się z oryginalnym raportem, na podstawie którego napisano artykuł. I prawdopodobnie tak by zrobiła, gdyby nie otrzymała przesyłki.

Niewielką sosnową skrzyneczkę otworzyła za pomocą noża do papierów, który znalazła w biurku. W środku leżały zabezpieczony słomą blok czekolady oraz karteczka z napisem: „Hiszpański patent”. Uśmiechnęła się i pośpieszyła do pokoju po czyścik do paznokci, który przechowywała w neseserze na kosmetyki. Zaczęła drążyć dziurę w bloku i zaraz w coś uderzyła. Zerknęła przez ramię i na dobre zaczęła wiercić. Jej oczy zrobiły się okrągłe, gdy uświadomiła sobie, że to złoto. Tak jak obiecywała notka. Tylko jedna osoba mogła przysłać jej coś takiego. Z szerokim uśmiechem pracowała szybko, zeskrobując długie paski czekolady. W końcu odkryła kulię z granatami w kształcie migdałów. Kamienie migotały w słabym świetle. Miały kolor bordo z lekką nutą czekolady. Oprawione w złoto, połączone były delikatnym łańcuszkiem. Dolny kamień można było odpiąć i potraktować jako broszkę lub ozdobę do kapelusza. Westchnęła. To był naprawdę piękny naszyjnik, piękniejszy niż ten z opali, i niósł w sobie tyle znaczeń. Tak jakby wiedział. Jej twarz powalana była strużynami czekolady, ręce miała brązowe. Wyjęła z pudełka blok i pozostałą słomę, nie dbając o to, co ląduje na chińskim dywanie Georgiany. Na dnie znalazła liścik. Opadła na krzesło.

*To prezent dla Pani, Mario. Nie oczekuję, że się jeszcze spotkamy, a chcę, by miała Pani pamiątkę, która o mnie przypomni. Przepraszam za moje nadużycia i dziękuję za zachęcenie do pracy nad sobą. Cokolwiek osiągnąłem, nie byłoby możliwe, gdyby nie pokazała mi Pani właściwej drogi. „Nie marzy się panu coś lepszego?” – zapytała mnie*

*raz Pani. Teraz już wiem, co to znaczy, i odpowiedź brzmi: „Tak”. To dzięki Pani odnalazłem swoją ścieżkę. Biorąc pod uwagę moje zachowanie, większość dam od pierwszej chwili trzymałaby się ode mnie z daleka. Pani hojność i cierpliwość są nie do przecenienia. To za ich sprawą mogłem się zmienić. Zawsze będę Pani przyjacielem, jeśli będzie mnie Pani potrzebować. Co więcej – zawsze stanę w Pani obronie. Dziękuję za wszystko.*

*Pani przyjaciel, dżentelmen, James Henderson*

Po dwukrotnym przeczytaniu liściku szybko schowała go do kieszeni, bo do salonu wkroczyła Georgiana.

– Ach, Mario, co to takiego? – zapytała, po czym widząc stan podłogi, dodała: – Ojej, a cóż to się stało?

– Dostałam prezent.

– Od Augustusa Calcotta? – wycedziła Georgiana. Wyraźnie była zdania, że wraz ze śmiercią Thomasa Maria nie powinna rozmawiać z żadnymi mężczyznami. – Jakież to francuskie – skomentowała jak zwykle z szyderycznym uśmieszkiem.

Maria zdenerwowała się.

– W istocie to nie prezent od Augustusa, ale od kapitana statku, na którym przyплыłam tu z Brazylii.

Georgiana podniosła brwi i ponownie spojrzała na uwalaną podłogę.

– Cóż, brudno tu jak w chlewie, a i tobie przydałoby się oporządzić – powiedziała. – Zanim odpłyniesz, powinnaś ostatni raz odwiedzić pomnik Thomasa. Każę jednej ze służących przynieść rozmaryn i niezapominajki z ogrodu. Możemy pojechać na cmentarz przed twoją wizytą u pana Murraya. Masz zamiar znowu uczestniczyć w jego salonie, prawda?

Maria zawahała się tylko na sekundę. Georgiana nieustannie chciała z nią jeździć na cmentarz. Msze za duszę i przesiadywanie przy pomnikach nie były w jej stylu. Widziała to cholerne drzewo już czterokrotnie. I za każdym razem musiała odbyć rozmowę z wielebnym Greenem – to kolejna forma kary. Nie mogła już znieść kazań Georgiany. Tamta straciła brata – to prawda. Ale Maria straciła męża. Kiedy następnym razem zawita do Londynu, zatrzyma się gdzie indziej.

– Może jutro – odparła Maria gładko, zakładając kolię. Leżała idealnie. – Dzisiaj mam ważne spotkanie. Kucharka może wykorzystać czekoladę. Na pewno jest świetnej jakości. – Po tych słowach wymaszerowała z pokoju i udała się po kapelusz oraz rękawiczki.

Jakby przywoływana czarami, Maria zatrzymała *hackney* i kazała zawieźć się nad Tamizę, gdzie smród po kilku dniach słonecznej pogody był wprost nie do zniesienia. Przyłożyła

chusteczkę do nosa. Wodorosty unosiły się na wodzie niczym rozłożone ramiona, namawiające ją, by przekroczyła rzekę. Pozostała kwestia wynajęcia flisaka, który zechce popłynąć do Greenwich.

Maria usiadła na dziobie lekko wstrząśnięta, zwijając palce w pięść i rozprostowując je, rozluźniając nadgarstki. Jej serce biło jak szalone. Nie spodziewał się, że ją znowu zobaczy. Co może się wydarzyć? Pomyślała o kabinie, o przeciąganiu się niczym kotka na słońcu, o niebie ciepłym i błękitnym w dzień i czarnym, rozgwieżdżonym w nocy, o byciu sobą. Miała wrażenie, że Londyn wyparował. Po prostu musiała go zobaczyć jeszcze raz. Tylko raz.

Wysiadła w dokach Greenwich. Przeprowa zajęła dwadzieścia minut. Nie musiała długo szukać charakterystycznej sylwetki „Bittersweet” w portowym basenie. Nie miała pewności, czy zostanie wpuszczona na pokład. Lepiej – zastanawiała się – poobserwować statek z daleka. Okazało się, że nie miała wyboru. Clarkson w mig zauważył ją w całym tym zgiełku. Zaniepokoiła się, że może powinna była przynieść prezent dla Hendersona, ale teraz było już za późno. Gdy mat pomachał do niej i szedł, aby osobiście wprowadzić ją po trapie, poczuła serce w gardle.

– Pani Graham. – Ukłonił się. – Czy mogę zaprosić panią na pokład?

– Czy zastałam kapitana? – Nie spodziewała się tego. Nie całkiem.

– Tak, proszę pani.

– Nie jestem pewna... – Zamilkła. Szansa była niczym strącone przez wiatr słodkie jabłko. Gdybyż tylko pozwoliła sobie go skosztować.

Clarkson nie miał wątpliwości.

– Nie może pani zawitać do Greenwich i nas nie odwiedzić.

Zresztą przecież właśnie po to tutaj przybyła. Zebrała się w sobie. Pan Clarkson podał jej ramię i weszli razem po trapie. Kilku członków załogi zasalutowało.

– Ojej – powiedziała. – Pięknie go pan odszykował, panie Clarkson.

– Stoimy na kotwicy ponad tydzień.

Zapukał do drzwi kabiny i otworzył je, nie czekając na odpowiedź.

Henderson siedział przy stole. Wszędzie porozkładane były książki i mapy. Maria od razu zauważyła, że coś się w nim zmieniło, ale nie potrafiła określić co dokładnie. W każdym razie dziś już na pierwszy rzut oka przypominał oficera królewskiej marynarki. Poczula, że ma gęsią skórę. Muszę przestać, pomyślała, zachowuję się jak pensjonarka.

– Pani Graham! – Henderson zerwał się na nogi. – Proszę. Proszę wejść.

Wciągnęła powietrze do płuc. Poczula znajomy zapach – woń pizmowego mydła do golenia, pasty do butów, drewna i kawy. Weszła do środka.

– Nie jestem pewna... To znaczy... Nie wiem, dlaczego przyszedłam, poza tym, że chciałam podziękować za prezent. – Nie tak to miało wyglądać. Nie do końca.

– Podoba się pani?

Zaczerwieniła się.

– Tak. To bardzo hojny prezent, zwłaszcza po tym, jak się rozstaliśmy.

Henderson wyprostował się.

– Miała pani rację. Dostałem nauczkę. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Już nigdy nie będę się narzucać.

Odstawił krzesło i gestem poprosił, by usiadła. Nigdy nie dowie się, jak blisko była zniesławienia – pomyślał. Na jego twarzy pojawił się ledwo widoczny rumieniec. Przynajmniej jej tego oszczędził.

Maria zauważyła, że wszystkie jego rzeczy wróciły na swoje miejsce. Kabina zdawała się ciemniejsza niż wtedy, gdy w niej mieszkała. Nagle poczuła, że teraz ona się zmieniła – nie była już wspaniałą Marią Graham, osobistością z londyńskiego towarzystwa, stała się sobą.

– O czym pan czyta? – zapytała, zerkając na zavalony papierami stół.

– O Afryce. Zadziwiająca rzecz. Zastanawiam się... cóż... nad kilkoma rzeczami. Topazy są wydobywane na zachodzie, diamenty na południu, tak jak w Ameryce Południowej. Wcześniej chciałem pozyskiwać stamtąd drogie kamienie. Podróż byłaby krótsza, szybsza niż przez Atlantyk. Ale teraz rozważam coś zupełnie innego, choć obawiam się, że może to głupi pomysł.

Henderson zawahał się. Maria zdjęła wierzchnie okrycie i gestem poprosiła, by kontynuował.

– To nic takiego. Nieważne.

Popatrzyła na niego. Jak dobrze było wrócić.

– No dalej. Niech mi pan powie.

Henderson odetchnął głęboko.

– Chodzi o to, że skoro kakaowiec rośnie między pewnymi konkretnymi równoleżnikami w tropikalnych krajach Ameryki Południowej, to czy można by go uprawiać również w tej samej strefie w krajach afrykańskich? Gdzie panują dokładnie takie same warunki. – Podsunął jej mapę i wskazał rejony, o których mówił. Z zamiłowaniem wymieniał kolejne nazwy. Czarny Kontynent miał w sobie coś pociągającego. Choć nie do końca poznany i niebezpieczny, stanowił krainę możliwości.

– Ach – twarz Marii rozjaśniła się – rozumiem problem. Tyle że w Afryce kwestie natury botanicznej będą splatać się z trudnościami o innym charakterze.

– Takimi jak?

– Walczymy tam z Aszantami<sup>[101]</sup>. – Wskazała obszar działań na mapie. – Poza tym część

tych terytoriów należy też do Holendrów, Duńczyków i Francuzów.

- Nie byliby zainteresowani brytyjskimi pieniędzmi?
- Trudno powiedzieć.
- Ale holenderskie albo duńskie środki by im nie przeszkadzały?
- Prawdopodobnie.

Henderson spojrzał na nią.

- Przepraszam – powiedział – gdzie moje maniery. Czy zechciałaby pani czegoś się napić?

Maria spłoszyła. Wyglądało na to, że kapitan naprawdę się zmienił. Wydawał się bardziej zdystansowany, ale jego zachowanie w znacznym stopniu się poprawiło. Zauważyła, że przedramię tuż nad nadgarstkiem ma obandażowane, jakby się skaleczył.

- To nic takiego – zapewnił ją, widząc, na co patrzy.
- Chciała go dotknąć. Zamiast tego skoncentrowała się na jego pytaniu.
- Czy jest czekolada?
- Zaraz sprawdzę.

Gdy wyszedł, Maria przyciągnęła mapę nieco bliżej. Rozejrzała się ukradkiem po kabynie, spojrzała na nieposłane łóżko. Każda część pokoju przypominała jej o długich upalnych nocach i wietrznych popołudniach, o tym, jak się niemal roztapiała. Tak bardzo pograżyła się w myślach, że aż się przestraszyła, gdy Henderson wrócił.

– Czy pani książka niedługo ukaże się drukiem? – zapytał, siadając przy stole. – Miałem nadzieję zabrać egzemplarz w podróż.

– W ciągu kilku następnych tygodni – odparła nieco lekceważąco i szybko zmieniła temat. Zainteresowanie Hendersona Afryką było dla niej znacznie ciekawsze. – Zauważyłam, że w interiorze są regiony wciąż nieskartografowane – powiedziała. – Powinien pan porozmawiać z kimś z RHS na temat swojej teorii. Może skontaktują pana z kimś, kto spędził tam trochę czasu i ma pojęcie o panujących tam warunkach.

- Dziękuję.
- Wydaje mi się, że najbardziej obiecująco prezentują się okolice Zatoki Gwinejskiej. Wybrzeże Kości Słoniowej jest francuskie, a terytoria obok są chyba duńskie. Dalej w głąb kontynentu, jeśli się nie mylę, robi się bardziej sucho, co nie sprzyja uprawie kakaowca.

Henderson pokiwał głową.

– Będę potrzebował współników. Zastanawiam się, czy Thys nie byłby zainteresowany. Napiszę do niego. Ma odpowiednią narodowość. Poza tym ufam mu.

Maria uśmiechnęła się. To, jak Henderson się zmienił, było absolutnie imponujące. Czowała podziw, ale też nutę smutku. Nigdy więcej się do niej nie zbliżył. Znalazł swoje miejsce,

a przynajmniej miał pomysł, jak je znaleźć. Jednak ona też się zmieniła. Miała swój portret. Zawahała się, ale zaraz podjęła decyzję. Musi wykazać się wspaniałomyślnością. Rozluźniła palce, jakby pozwalała czemuś wypaść z dłoni, a potem nonszalancko powiedziała:

– Spotkałam niedawno siostrę Thysa. Mieszka w Marylebone, niedaleko Manchester Square. Ciotka niedomaga i Ramona się nią opiekuje. Teraz zbiera angielskie przepisy, jakby to były jakieś osobliwości.

– Powinienem ją odwiedzić – odparł Henderson lekko.

Maria poczuła mdłości.

– W rzeczy samej. Jestem pewna, że bardzo by się ucieszyła.

Chłopiec okrętowy wszedł z dzbankiem czekolady.

– Wróciła pani do nas?

– Tylko w odwiedziny. – Zdołała się uśmiechnąć.

Chłopiec postawił dzbanek na stole. Henderson nalał dwie filiżanki. Po kabinie rozniósł się zapach gorącego mleka, kakao i cynamonu.

– Czy wszystko między nami w porządku? – zapytał.

– Nie pamiętam, żebyśmy byli w stanie wojny, *sir*.

– Nie?

Sączyła czekoladę. Bogaty napój spływał jej gardłem. Przez chwilę poczuła się tak, jakby znów siedziała pod gwiazdami, pośrodku oceanu. Potem otworzyła oczy i wróciła do angielskiego popołudnia. Henderson uśmiechnął się do niej.

– Mam nadzieję, że zapisze się pan w historii, kapitanie Henderson – powiedziała. – I jeszcze raz dziękuję.

Wstała i wyciągnęła rękę. Przez sekundę miała wrażenie, że ukloni się i ją pocałuje, ale on po prostu chwycił jej dłoń i lekko nią potrząsnął. Rozczarowanie wywołało dziwne klucie w klatce piersiowej. Tego popołudnia temu doznaniu nie towarzyszyła ulga. Kiedyś, gdy była bardzo mała, ojciec musiał wypłynąć zimą w morze – czy to wtedy po raz pierwszy to poczuła? Gdy powóz ruszył, gawrony, które obsiadły nagie gałęzie, nagle odleciały. Patrzyła, jak opuszcza posępny lutowy podjazd, mija pozbawione liści drzewa. Ptaki stanowiły już tylko złowieszcze czarne smugi na niebie. Czuła się porzucona. Tego dnia i następnego pocieszała się: „Zaraz wróci. Jeśli poczekam, będzie za rogiem. Po prostu droczy się ze mną”. Ale ojciec wrócił do domu dopiero ponad rok później. A ona czekała na niego każdego dnia. Teraz to wspomnienie odżyło. Zostawiła Hendersonowi chwilę, wolną przestrzeń, kilka sekund, w ciągu których mógłby uderzyć niczym błyskawica. Ale on uklonił się. Czekala. Otworzył drzwi.

– Jest pan dżentelmenem, *sir*.

– Z pewnością znalazłem tu coś nowego, pani Graham.

Czekała. Tylko chwilę. Pod spódnicą jej kolana stuknęły o siebie, gdy stanęła na palcach.

– Cóż – powiedziała, zastanawiając się, jak to zniesie. – Czas na mnie.

---

[101] Aszantowie, dominująca grupa etniczna na terenie obecnej Ghany, w średniowieczu tworzyli potężne imperium. Sprzeciwiając się próbom kolonizacji przez Wielką Brytanię, sprzymierzyli się z Holendrami, by ograniczyć wpływy Korony w regionie. W kolejnych kampaniach szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Ostatecznie na mocy traktatu z 1831 roku Brytyjczycy zgodzili się uznać granice ziem zajmowanych przez Aszantów, zaś Aszantowie zaakceptować brytyjską kontrolę nad większością zachodniego wybrzeża.

## DALEJ WZDŁUŻ RZEKI

**R**ichard nie przebrał się w swój kostium biedaka, ale postarał się jak najbardziej wtopić w tło. Obiecał sobie, że przed opuszczeniem Londynu zje węgorza w galarecie i wróci na Mallow Street. Nie chciał mieć poczucia, że uciekł. East End tętnił życiem, wszędzie widział robotników. Dźwięki dochodzące z nabrzeża odbijały się na ulicach echem. Słyszał odgłosy towarzyszące rozładowywaniu statków, krzyki dokerów. Główna droga, opustoszała późną nocą, teraz pełna była wozów i platform rozwożących towary wzdłuż wybrzeża i do miasta. W ogóle nie przypominało to posępnego, niebezpiecznego miejsca, w którym niemal zabił człowieka i sam prawie został zabity. Skreślił w Mallow Street i stanął przed drzwiami prowadzącymi do siedziby Old Street Bridge Club. W słońcu budynek nie wyglądał tak złowieszczo. Martwił się, że cała ta afery uszła trójce dżentelmenów na sucho. Chciał im napsuć krwi. Wiedziony kaprysem postanowił wstąpić do Rose Tavern i zjeść lunch.

– Dzień dobry, *sir!* – zawołała wesoło kobieta szorująca stojak na beczki. Jej skołtunione włosy zdobiło morze wstążek.

Kilku amatorów piwa siedziało przy stołach, chcąc uciec przed promieniami słońca. Ich ciche rozmowy zlewały się przy barze w nieczytelny szum. Richard zamówił pintę portera i zapytał o menu.

– Zapiekanka i ser, *sir*.

Richard stanowczo skinął głową. Zastanawiał się, czy jego krew wciąż jest widoczna na bruku.

Właścicielka, pani Wylie, podała mu piwo, a potem poszła na zaplecze po talerz. Chłopak kontemplował otoczenie. Taverna była czysta i dobrze utrzymana. W nieco ciemnym wnętrzu panował przyjemny chłód. Siedzące z tyłu trzy dziwki miały na niego oko, ale dotąd żadna kobieta nie zdołała go skusić. Tym razem zignorował nawet grę w kości pod drzwiami. Kiedy sięgnął po kufel, poczuł dziwne drgnienie. Coś jak gdyby myszka wdrapała mu się do nogawki spodni. Odwrócił się i złapał za nadgarstek bosego chłopaczka, który chude palce trzymał w kieszeni jego surduta.

– Większość osób by tego nie poczuła. Ale wybrałeś sobie złą ofiarę.



Dzieciak usiłował się wyrwać.

– Siadaj – warknął Richard.

Malec zamarł. Jedna z kurewek w cieniu krzyknęła:

– Spróbuj się z kimś swojego rozmiaru!

Richard zignorował ją.

– Nic nie wzięłem – syknął smarkacz.

– Mam zawołać policję? – zaproponował mężczyzna, który wcześniej siedział przy stole, a teraz podszedł i zdzielił niedoszłego złodziejaska w ucho.

– Żeby wsadzili go do więzienia za to, że nie udało mu się mnie obrobić? Nie. Słuchaj, mały, musisz bardziej uważać, kogo próbujesz oskubać.

Odesłał dzieciaka, a ten wybiegł na ulicę i zniknął niczym krótki sen. Najcenniejszą rzecz, jaką Richard zabierał ze sobą z Londynu, stanowił pomysł na tabliczkę czekolady, którą można by jeść bez gotowania. Trzecie piętro fabryki miałoby pracę na miesiące, może nawet lata. Poczł ukłucie w sercu – strasznie chciał omówić ten pomysł z Francisem. Zastanawiał się, ile może mu wyjawić na temat swoich londyńskich przygód. Czy jego brat dostrzeże, jak bardzo się zmienił? Oczami wyobraźni zobaczył siebie siedzącego w domu w fotelu, zatopionego w jakiejś książce.

Pani Wylie wróciła z jedzeniem. Miała obejście emerytowanej ulicznicy. Kogoś na dożywotnim dorobku.

– Coś jeszcze, *sir*? – zapytała, kiwając głową w stronę beczek rozstawionych po całym pomieszczeniu.

– Nie.

To było ostatnie miejsce, które odwiedzi w Londynie. Ale wciąż słyszał w głowie głos szepczący o niedokończonych sprawach, o słodkiej zemście. Henderson nie chciałby, żeby sprawił trzem dżentelmenom kłopoty – wpakował ich w coś poważnego – jednak skoro trafia się okazja, trudno, żeby z niej nie skorzystał.

– Usłyszałem o pani lokalu od mojego wuja – rzucił, powoli krojąc zapiekankę.

– Ach tak? – Pani Wylie, zawsze spragniona ploteczek, nachyliła się do niego.

Tak, jest idealna – pomyślał Richard.

– Wie pani, jest członkiem tego klubu z naprzeciwka. Lord Hayward?

Oczy pani Wylie zrobiły się okrągłe.

– Lord Hayward – westchnęła. – Jego lordowska mość? Tutaj?

– Tylko niech nic mu pani nie mówi. Moj Boże, ciotka chyba by wyzionęła ducha, gdyby się dowiedziała, że dżentelmen o jego pozycji... No, rozumie pani. Ale to z powodu tych jego

przyjaciół. Pozostałych członków klubu. Fishera i Granta.

Na twarzy pani Wylie malował się wyraz błogości. Wreszcie miała ich w garści.

– Och, oczywiście, *sir*. Ich sekret jest bezpieczny. – Uśmiechnęła się. – To świetni klienci, dżentelmeni.

Fisher. Hayward. Grant.

Richard wychylił resztę portera. Nagle poczuł głęboką satysfakcję. Znalazł to, po co przyплыwał do Londynu. Nasycony, pchnął ostatni kawałek zapiekanki na skraj talerza.

– Dobrego dnia, *madam*. – Zostawił szylinga i ruszył w stronę zalanej słońcem głównej drogi East Endu. Czas wracać do domu.

## EPILOG

**M**aria stała na pokładzie „Valianta”. Nabrzeże w Portsmouth tętniło życiem, ale nie z jej powodu. Ani Georgiana, ani ciotka nie chciały odprowadzić jej na statek. „Doprawdy – powiedziała lady Dundas – czasem obawiam się o twój rozsądek, moja droga, ale nie możemy kwestionować decyzji Jej Cesarskiej Mości, nieprawdaż?” Maria cieszyła się ich nieobecnością. Spojrzała na otwartą wodę. Żołądek skręcał się jej z ekscytacji. Położyła dłoń na policzku. Potem przeczesła palcami ciemną grzywkę, którą kazała sobie przystrzyc. W Rio będzie za osiem tygodni. Wiedziała, że podjęła dobrą decyzję. Dla tego właśnie żyła, a Henderson... Cóż, było, minęło.

Maria rozejrzała się po pokładzie. Kapitan „Valianta” nie odstąpił jej swojej kabiny. Została zakwaterowana w maleńkiej kajucie od strony burty. Ciasnotę powiększały zgromadzone przez nią książki oraz egzemplarze „Illustrated London News”. Wcześniej odkryła, że choć ostrożnie, może się wyciągnąć na łóżku. Promienie słońca wpadające przez bulaj pieściły jej nogi.

Czekający na nabrzeżu pozostali pasażerowie zaczęli wdrapywać się po trapie. Najpierw chudy dżentelmen z wąsami, bez wątpienia zdeterminowany, żeby zrobić w Brazylii fortunę. Po nim duchowny o lodowatym spojrzeniu oraz dwoje dzieci pod jego opieką, wysyłane do ciotki w Recife. Chłopiec, w ubranku z brązowego aksamitu, wciąż zerkał przez ramię. Jakby starał się zapamiętać dom. Jakby miał nadzieję, że ktoś po niego przyjdzie. Usta dziewczynki drgały, jakby miała się zaraz rozpląkać. Wpatrywała się w długie deski pod nogami.

Maria postanowiła się przedstawić. Dżentelmen z wąsami zdjął kapelusz i ukłonił się tak nisko, że prawie zamiótł nim pokład. Był inżynierem, powiedział, inwestującym w kopalnie.

– I wszystko to, co może moim zdaniem przynieść korzyść, *madam*. – Uśmiechnął się.

Rozmowa z nim przypominała starannie wyreżyserowane *pas de deux*. Maria wątpiła, by mógł ją czymś zaskoczyć. Znała Brazylię, o której marzył – zasobne prowincjonalne miasteczka, gdzie z czerwonej ziemi wyrzywa się złoto i diamenty. Będzie mieszkać w bogato zdobionym otynkowanym domu, znajdzie sobie piękną brazylijską żonę i wniesie wkład w budowę rokokowego kościoła przy głównym placu. Wielu tego typu dżentelmenów przybywało do Brazylii i większość z nich całkiem dobrze prosperowała. Teraz, gdy Brazylia ogłosiła niepodległość, będzie ich jeszcze więcej, bo też znacznie więcej pojawi się możliwości intratnych inwestycji.

Kapitan Birse przywitał pasażerów i skierował ich do kajut. Zignorował dzieci. Maria

odwzajemniła spojrzenie chłopca i uśmiechnęła się. Nie mógł mieć więcej niż siedem lat. Jego siostra była pewnie rok starsza. Maria przykucnęła i zwróciła się do obojga:

– Chcielibyście poznać język mieszkańców kraju, do którego płyniecie? Mogłabym opowiedzieć wam różne ciekawe historie.

Dziewczynka podniosła wzrok znad nieskazitelnie czystych desek i wolno skinęła głową. Jej usta tworzyły smutną kreskę.

– Będzie mi bardzo miło.

Maria pokiwała głową.

– Pani Graham – zapewnił ją duchowny – nie ma takiej potrzeby.

– Ależ nalegam. – Uśmiechnęła się. – Muszę poćwiczyć. Przez trzy tygodnie w Londynie mówiłam niemal wyłącznie po angielsku.

Duchowny nie wyglądał na zadowolonego tą perspektywą i czym prędzej zaprowadził swoich podopiecznych do kajuty. Chłopiec, rozkojarzony mewami krążącymi nad nimi z szeroko rozpostartymi skrzydłami, ledwo nadążał.

Załadowano ostatnie zapasy. Nie wyglądało to obiecująco – głównie wędzone suche mięso, suchary i ziemniaki. Ten kapitan nie był koneserem. Na nabrzeżu kobieta sprzedawała pierwsze truskawki. Owoce leżały zapakowane w wyłożone słomą drewniane kobiałki i lśniły niczym rubiny. Maria dała obdartemu chłopcu okrętowemu sześciopensówkę i wysłała go po jeden koszyk.

– Upewnij się, że są dojrzałe – przykazała.

Kręcąc się w pobliżu trapu, obserwowała, jak daje przekupce monetę. Za nią kapitan wydawał załodze rozkazy. Byli gotowi. Gdy tylko chłopiec wrócił na pokład i oddał jej owoce, trap podniesiono. Maria odwróciła się, nagle nie mogąc patrzeć, jak Anglia maleje i maleje.

– Dziękuję – powiedziała.

Dam trochę dzieciom – postanowiła. Na horyzoncie piękne błękitne niebo łączyło się z morzem. Na tym musi się skupić. Wyrzuciła z głowy obraz Hendersona, nie chciała myśleć o tym, jak włosy spadały na jego twarz, kiedy się koncentrował. „Valiant” był zupełnie innym statkiem i to właśnie na nim chciała odbyć tę podróż.

– Żegnaj – szepnęła i lekko się uśmiechnęła. Przypomniała sobie, że czeka na nią nowy, świeżo oprawiony w skórę dziennik. Czyste strony niosły w sobie obietnicę. Nową historię. Taką, którą będzie się mogła podzielić ze światem. – Będę w kabinie – oznajmiła kapitanowi.

Maria Graham, guwernantka księżniczki Marii da Glorii, jedna ze słynnych autorek Johna Murraya, była gotowa ruszyć w świat.

## OD AUTORKI

**N**ie mam zdania, co jest akceptowalne, a co nie, gdy w fikcyjnej historii wykorzystuje się fakty historyczne. Moje podejście do tego problemu jest różne w zależności od książki, czasami sama siebie zaskakuję. Jednak zawsze szukam materiałów archiwalnych oraz inspirujących i ciekawych zapisów – uwielbiam wsłuchiwać się w głosy osób sprzed dwóch czy trzech stuleci, czytać ich listy i pamiętniki, tak świeżo i pięknie napisane. Niekiedy mam wrażenie, że ich autorzy niemal ożywają i stoją tuż obok mnie.

Maria Graham jest jedną z takich postaci. Nie mogę wyjść z podziwu dla jej osiągnięć. A oto, co wydarzyło się naprawdę po tym, na czym skończyła się ta fikcyjna historia. Maria nie cieszyła się długo funkcją guwernantki księżniczki Marii da Glórii. Gdy dotarła do Rio, Anglicy popadli na brazylijskim dworze w niełaskę i wkrótce musiała zrezygnować ze stanowiska. W związku z problemami z transportem opuściła Brazylię rok po swoim przyjeździe. Po powrocie do Londynu wynajęła dom w Kensington Gravel Pits. Niedługo potem wyszła za Augustusa Calcotta (wkrótce *sir* Augustusa Calcotta), z którym podróżowała po Europie. Wciąż pisała dla Johna Murraya. Zmarła bezdztannie w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Do dziś się o niej pamięta, choć jak w przypadku wielu wyjątkowych postaci (a zwłaszcza wyjątkowych kobiet), jej historia nie jest szeroko znana. Jej listy ukazują poczucie humoru i poważne podejście do kwestii reputacji. Była godną podziwu i niezwykle odważną globtroterką w czasach, gdy mało która kobieta wyjeżdżała poza granice kraju. Po powrocie do Londynu jej teorie zostały zaprezentowane przed członkami Royal Society i wywołały skandal, ale Maria nie ugięła się, a w dodatku znalazła poparcie wśród wielu dżentelmenów, między innymi Charlesa Darwina.

Pojawiające się w książce prawdziwe postacie: John Murray, Augustus Calcott, admirał Cochrane i Richard Fry, zostały mocno sfabularyzowane. Jednakże informacji na temat holenderskich pras oraz intryg i szpiegostwa w przemyśle czekoladowym nie poddano beletryzacji. Również marzenia Hendersona stały się rzeczywistością – Holendrzy uprawiający kakao w Afryce, proces umożliwiający produkcję tabliczek czekolady i oczywiście Sprawiedliwy Handel.

Thomas Cochrane stał się narodowym bohaterem Chile i Brazylii. Jego pamięć jest tam czczona bardziej niż w Wielkiej Brytanii. Ponoć Patrick O'Brian wzorował na nim postać kapitana Jacka Aubreya, bohatera serii *Master and Commander*.

Choć z początku zainteresował mnie życiorys Marii, szybko pochłonął mnie inny motyw tej

powieści – wątek odkrywania przez Hendersona swojej tożsamości nie tylko jako człowieka, lecz także jako dżentelmena. To historia ich obojga, może nawet bardziej jego. James Henderson jest postacią całkowicie fikcyjną, ale opisywane problemy społeczne epoki georgiańskiej miały miejsce naprawdę. Jestem szczęśliwa, że choć wielu osobom nie udało się odnieść sukcesu, on się nie poddał. Lata 1820–1845 to jedna z moich ulubionych epok. Tętni życiem i jest pełna przedsiębiorczych jednostek (a to mój ulubiony typ człowieka).

Na koniec chciałabym podziękować wszystkim osobom, które służyły mi pomocą. Mojej agentce, Jenny Brown. Lisie Highton, która udzielała mi wartościowych wskazówek redaktorskich. Pierwszym czytelnikom, którzy sugerowali rozmaite poprawki. Pracownikom John Murray Archive w National Library of Scotland (mam nadzieję, że nie są zbyt przerażeni fabularyzacją faktów). Organizacji Creative Scotland, która wspierała mnie przez wiele lat, także przy tym projekcie, finansując moje badania i pracę. Joemu Goodwinowi – za wskazówki badawcze, wsparcie i kolejne filiżanki herbaty. A także wspinałemu zespołowi Black & White Publishing, który doprowadził do wydania tej książki. Wszystkim Wam serdecznie dziękuję.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*On Starlit Seas*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © DarkBird (Shutterstock.com)

Copyright © Sara Sheridan 2016

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Maria Białek

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2018

ISBN 978-83-66074-56-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek